BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 197.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM, PRZEMYSŁOWI I SPRAWOM SPOŁECZNYM.

1890.

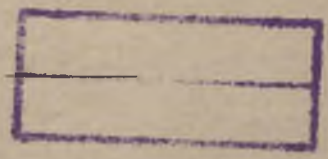

Tom pierwszy.

WARSZAWA.

Adres Redakcyi: NOWY-ŚWIAT Nr. 41.

—

1890.

4620. 1890. 1
II.
30.000/-

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Января 1890 года.

X-14297
4620/ II 1.
/1890

Druk J. Filipowicza (dawniej J. Bergera), Elektoralna Nr 14.

WIEŻA EIFFEL.

WYJĄTEK Z POEMATU „MEFISTO“.

PRZEZ

T. L.

Dalej i dalej w świat z rozdartém łonem,
Nad morzem martwém dziś, jutro czerwoném.
. . . . . .
Stolica świata nie traci z swéj siły..,
. . . . . .
Tam gdzieś z otwartéj sterczy kość mogiły,
Tam rozebrane z dział warowne wieże...
Kartaczownice, poskładane w sągi,
W Berlinie żołnierz landwerzysta strzeże,
Pomniejsze w pyszne przelane posągi
Moltków, Bismarcków, Werderów, Stejnmetzów,
Inne w ogniste ciągną paszcze pieców.

Ludzie i ludy odjąć się nie mogą
Prawu zniszczenia i odmianom losu:
Dziś—głośne, huczne, jutro—już bez głosu,
I wszystko w cienie schodzi zwykłą drogą;
Ale nim zejdzie, nim wieści zaginą
Sławy, znaczenia, wieńców i kadzideł,
Poezya w zorzy malowanych skrzydeł
Złociste loty niesie nad ruiną,
Zmarłemu życie powraca na chwile,
W obrazie, w pieśni, w głowie i w teatrze,

Potem się cisza wiesza na mogile,
Nim zapomnienia mgła ostatek zatrze,
Jeśli... tak, jeśli... któż przeznaczeń karty
Odczytał wszystkie od końca do końca?..
. . . . . .
W bramy paryzkiéj wystawy otwartéj
Od wschodu słońca do zachodu słońca,
Fale narodów płyną nurtem gwarnym,
Pod niebem, losem przyszłości ciężarném.

Gienjusz Egiptu na czas niepożyty
Na wstręcie burzom wzniósł piramid szczyty,
Które, gdy ziemia wciąż oblicze mieni,
Lądy zatapia, zniża gór łańcuchy,
Na nieobjętéj pustynnéj przestrzeni
W niezachodzących gwiazd wpatrzone ruchy,
Granitowemi zaryte podstawy,
Poważne kształty wznoszą z piasków ławy,
A w ciemną wieczność płynąc równo z czasem,
Ognistéj strefy zdają się kompasem,
Którego igła z nad Nilowéj rzeki
Znaczy nie świata godziny a wieki.

Tak równa siła odtrąca obawy
O trwałość bytu w opatrznéj naturze;
Słoń z nosorożcem jedne spasa trawy,
Na puklerzowéj nosorożca skórze
Oprze się słonia ząb, trąba nie chwyci,
I społem ciągną w oddal nieskłuconą.

Czasu i głazów nie wyprzędą nici
Nad brylantowe schylone wrzeciono
Okrutne Parki, aż byt się nasz strawi,
I chwila czasu w wieczność się przejawi.

Zapadłych wieków chwały i bezwstydy
Przebrzmiały wszystkie i zgłuchły na szlaku,
Cisza owiała ruiny Karnaku...

Od brzegów Nilu z krzykiem: P i r a m i d y!
We wrzącym piasku i bitew upale
Sławą okryci mkną zwycięzcy Galle,
Pod znakiem ptaka, który ranne świty,
Zarumienione opiewa błękity.

Śpiew marsylijski wstrząsającéj treści,
Legjonów tentent, a giest bohatera,
Drzemiących wieków obudza c z t e r d z i e ś c i
I ciemne koła oczu ich otwiera.

Jak nad Lemanem na niższe pokłady
W jesienny ranek mgły alpejskie cieką,
I szare skały, wzorem starców rady,
W krąg zaciągają, a ich szatę lekką
Promienie słońca wedle Boskich wzorów
Bramują nićmi tęczowych kolorów,
Wieki. z nieczułych obudzone zgonów,
Szarzeją z grobów setnych Faraonów.

I kędyż wami wiatr szalony wieje,
Prochy Tytany, Galle skarabeje?
— W słońce nam droga z pustyni przestworza,
Drzemiące ludy, zorza! nowa zorza!

. . . . . .

. . . . . .

Od ciał nam dusze odchodzą tak chętnie,
Jak od wymownych ust skwapliwe słowa.
Prawa ludzkości w każdym pulsów tętnie,
Jedno nam Brama. Ałła, czy Jehowa.
W dłoń broń i daléj z oczy łez pełnemi,
Jest Bóg na niebie, a Francya na ziemi.—

Schodzone skórznie, mundur, stare klaki,
Bitwy dzień po dniu, sztandar—drobne strzępy [1]);
A zorze dnieją, gdzie te pieją ptaki,
Dzień stąpa, gdzie te stąpają zastępy;
„E t r e s u p r ê m e“ krzyczą, „V i v e!“ i nad obszary
W odległość niosą podarte sztandary.

Więc głosy lecą do ostatnich kresów,
Na nieprzerwaną horyzontu głuszę,
Na Ptolomeów tych i na Ramzesów,
Jak wracające do swych mumij dusze,
I w trumny królów zawarte najszczelniéj,
Grzmiące podają słowo: Nieśmiertelni...

---

[1]) Skórznie: obuwie—klaki, kapelusze jakie nosili żołnierze pierwszéj Rewolucyi, skarabeje — chrząszcze, symbol żołnierzy egipskich.

Amon Ra! [1]) Słońce! i łódek żagielki
Pomkną po Nilu za ludem nieznanym,
Za bohaterskim, młodym, rozśpiewanym;
Mały ten naród Gallów jakże W i el k i.

II.

Z brzegów Sekwany, w której fale mętne
Chylą się wierzby, jak wdowy płaczące,
Pozornéj naszych dni wielkości wstrętne,
Potworna wieża wystrzela na słońce;
Piętrzy się szkielet żelazny olbrzyma,
Którego stopy matka otchłań trzyma,
A nocą gwiazda prześwieca śród żeber,
Jakby z tych szczelin patrzał *Nej* czy *Kleber*.

Przy jéj rozmiarach zdrobniał Paryż cały,
Ów tryumfalny łuk Cesarskiéj chwały,
I Inwalidów kościół i Notrdamy,
Saint Jacque, Lipcowa Kolumna i kramy,
I więcéj: Teby piramidy, File,
Kolońska wieża, mur Chiński, gdzie w pyle
Wszystko pode mgłą gęstą się rozściela.

Jako mularze u fal Eufratu,
Francya z wieżycy żelaznéj Eiffela,
Od końców ziemi strąbionemu światu
Wielkością swoją chce błyszczeć po klęsce,
Przed zadziwione niemieckie zwycięzce,
I pychą pychę wrogów upokorza:
Przebiła Alpy, związała dwa morza,
W nauki świetne, kunsztowne świątynie
Z nowemi mury wchodzi mądrość nowa;
Bóg Nazareński jeszcze tam gdzieś w gminie
Pod strzechą wiejskich mieszkańców się chowa,
Z wierzchołka wieży na ziemi oblicznośc
Świeci Bóg nowy świata—Elektryczność.

Zadowoleni, uczeni, szczęśliwi,
Nad zgromadzoną w poziomach czeredą;
A kto się dziwi, a kto się nie dziwi!?..
Japończyk większe widział cuda w Jedo;

---

[1]) Amon Ra = słońce u starych Egipcyan (*Champolion*).

Północny człowiek, ciche pojąc lamy,
Lodowce marzy, śniegów świat polarny;
Indjanin życia objawy, *Sen Bramy*;
O wielkim duchu szepce murzyn czarny.

I cała ilość narodów przemnoga
Powtarza jedno wciąż: I któż nad Boga?
Skinie, i w długi dym rozwieje skały,
Skinie i w płyn się rozleje żelazo...
O! Himalajo, Andy, Cimborazo!
Jeśliż na Paryż *On* wypuści gromy,
Harmonii wszystkich gwiazd Mistrz—na atomy?

Wielki ten naród Gallów jakże mały!..
Takiemi słowy mieszkaniec Orientu
Przymawia z wieży paryzkiemu świętu.

W żegludze wieków gienjusz, nie rzemiosło,
Do drogi cieniów nadotchłanną nocą,
Nim wieczne gwiazdy stały ląd ozłocą,
Promień za igłę wziął, a miecz za wiosło.

Nie w rytm poezyi wieża, wynalazki;
Muza, wrócona na Egipskie piaski,
Kędy ojcowie do drogi po sferach
Hermesa zodjak odkryli w Denderach,
Szemraniem liści pożółkłych jesieni
Nie do Francuzów śpiewa—do kamieni.

Poezja Francyi oczy pełne żalu
Po znieważonym powłoczy Wersalu,
Kędy w królewskiéj sali zwierciadlanéj
W lustrach wciąż widzi odbite Giermany,
Hełmy błyszczące berlińskich rycerzy,
Miecze wzniesione z plamami krwi świeżéj,
Upokorzoną Ojczyznę w przedsionkach,
Łunę pożaru nad miast świata miastem.

. . . . . .

Gdzieżeś, o cieniu w zbroi i koronkach,
Słońce, nazwane Ludwikiem czternastym?
Cienie Kondejów, Wobanów, Wandomów?
Jakaż to płochéj fortuny odmiana!
Rzesza niemiecka śród dział celnych gromów,
Nowego wita dziejów Karlomana.

Gdy rada mężów, poważnie kamienna,
Diugesklin, Tiuren, Rolandy, Bajardy,
W cieniach pałacu wspomina miecz Brenna,
Litości pełna, jeśli nie pogardy,
Dla płochéj hurmy, co gwarna a skrzętna,
Słodząc gorycze niezaszczytnéj walki,
Wystawia wieże i wystraja lalki,
Okrutnéj klęski i krwi niepamiętna;
A gdy w powietrzu jęczy głos: N i e s t e t y!
W wielkiéj kostnicy tańczy meneuty.

O Francyo! złotych żniwiarko wawrzynów,
Orlico wartkich po przestrzeni lotów,
Gdzie sława twoja, ziemio męzkich czynów,
Napoleonów, Hoszów, ziemio grzmotów,
W sferęż ty idziesz Bogów czy Helotów?..

Gdzie twoja chwała nieskażona, czysta?
Ziarna złociste podły czas roztrwania,
Na wieży Ejffel staje duch Mefista,
I na wschód, zachód poleca się, kłania,
Idei wielkiéj kłamstwo na porządku,
Pyszna Wystawa, poemat bez wątku.

Błądzi, kto gniewny sąd wygłasza rączo
O sprawach, które nigdy się nie kończą,
Lecz kto tę starga gmatwaninę krwawą?
Rzeczywistości! snemżeś ty, czy jawą?
Burza i lament, a śród łez i krzyków
Nie struny harfy, słyszę brzęk s r e b r n i k ó w.
. . . . . .
Godzino myśli, męko rzeczywista!
Za Ren wędrowca wiedzie kto? nie powiem,
A cień mu wszędzie wije się Mefista
I wiatr zawiewa siarką i ołowiem.

Wielcy współcześni, ach! ojcowie mali!
Wieża pod niebo wzbiega... idźmy daléj,
Daléj i daléj, kędy pęka granit
Na głosy żalu złotych Oceanid;
Tam gdzieś daleko u Germańskich krańców
Nad siném morzem w szum i wichrów zamęt
W ciche westchnienia, w konania wygnańców,
Wplatają pieśni łez akompaniament
Oceanidy, summa nędzy głosów,
Echa tragiedyi greckich Eschylosów.

WZMIANKA O BIBLIOTECE

Ś. P. JULIANA BIERGIELA,

pastora w Słucku.

Podał

Aleksander Jelski.

Opis charakterystycznych osobliwości, łączących się z miejscowościami, które jadąc do Słucka, spotykałem.— Sadyba Ciepleń.—Mikołka.—Dołhiniczo(Czeczotów).—Pereszcw.—Pereszewska Słoboda.—Przewoz.—Starzyca.—Hrozowo..— Koniuchy.—Kopyle.—Chrzanów.—Uszałowicze.—Siołko (Wzmianka o zakładzie wychowawczym p. Heleny Kowalnickiej). — Słuck. Opis miasta z rzutem oka na jego dzieje.— Dynastya Olelkowiczów. — Cierkiew w Trojczanach. — Grobowiec jenerała Krecztnikowa. — Grobowiec Zofii z Olelkowiczów Radziwiłłowéj. Ciekawe o niéj wspomnienie.—Słuck za Radziwiłłów. Widoczne chylenie się miasta ku upadkowi.—Książnica pastora Biergiela.

Dawno zamierzałem zwiedzić Słuck historyczny, zwłaszcza iż ta myśl była podniecana chęcią poznania tamecznego pastora Juliana Biergiela, tudzież obejrzenia jego znakomitéj książnicy, własną pracą mozolnie uzbieranéj. Korzystałem też z pierwszéj sposobności, zwłaszcza, że tą razą nie miałem podróżować samotnie, gdyż mi objawiły chęć towarzyszenia: ukochana córka i jéj przyjaciółka L. H. obie młode, ukształcone i chciwe szlachetnych wrażeń istoty. Podróż atoli z niewiastami zawsze jest nieco kłopotliwą, ze względu na możliwe niewygody, które przewidując, należy usuwać przed niemi. Powóz porządany nie mógł być użytecznym dla fatalnéj miejscami drogi, sztyftowano więc dobrze wysłużoną brykę tak, aby wyglądała

przyzwoiciéj. Wysmarowano pudło i fartuchy na czarno, tudzież nowe wzorzyste obicie wewnątrz istotnie nadały jéj pozór odpowiedni tém bardziéj, że i panieńska inwencya miała udział w tych wyborach do wycieczki. Gdy już wszystko przygotowano, postanowiliśmy, jechać.

I.

Było to w maju roku 1882-go: przyroda kraju, tak urocza dla serc naszych, rozkwitła wszystkiemi wdziękami i nęciła ku sobie; swobodniejsza zaś chwila przed sianozbiorem dawała możność rolnikowi wydalić się z domu dla błogiéj rozrywki, połączonéj z pożytkiem duchowym. Czułem, że mi dobrze było w tém otoczeniu, skoro i sama przyroda teraz harmonizowała z wiosną życia mych wesołych towarzyszek, lecz wzajemnie i moja osoba mogła się na coś im przydać;—dopełnialiśmy siebie wzajemnie i z miłém wrażeniem opuszczając domową strzechę, rozłożyliśmy podróż do Słucka na całych dwa dni, bo chociaż w prostym kierunku od mojego Zamościa, prastary ten gród słowiańszczyzny litewskiéj leży nie daléj jak o mil 9, z powodu jednak grupy olbrzymich błot, zwanych: Sietno, Aleksina, Korytno, Gniłe, Omelna, Bobowe, Jaźwiny, Sielce, Odżory i innych, zalegających przestrzenie nie możebne do przebycia w porze letniéj potrzeba objeżdżać je w okrąg, więc droga się przedłuża do mil kilkunastu i od starożytnych D u d z i c z kierując się w stronę południa, prawie ciągle przechodzi lasami, które w tych miejscowościach szczęściem nie uległy jeszcze zniszczeniu. O dobroci gościńca, chociaż ten się zalicza do wojenno-komunikacyjnych w powiecie Ihumeńskim, mowy nie ma, bo drogi nasze bez wyjątku doskonale tłómaczą źródrosłów nazwy:—każda jest istotnie d r o g ą, czyli kosztowną dla podróżnych, mogąc co chwila spowodować zniszczenie powozu, kalectwo koni i osób. Tyle o tém piszą, lecz nic się nie dzieje ku poprawie środków komunikacyi w kraju niby rolniczém. Tradycyjne polskie mosty, sterczące korzenie i karcze, grzązkie groble, wądoły, kałuże, kosohory, zrzucone wszędy z pola na drogę kamienie, utrudniając jazdę, świadczą o zaniedbaniu ekonomicznem kraju i dotkliwie dają się we znaki podróżnym. Zdaje się, że gościniec, któryśmy przebywali, od przejścia tędy w r. 1812 korpusu ks. Józefa Poniatowskiego i innych oddziałów wielkiéj armii Napoleona, nie był przedmiotem pieczołowitości policyi ziemskiéj, widocznie nie pomyślano nawet o kapitalném naprawieniu sypanych niegdyś przez Francuzów grobli. Ztąd można wnosić o przejazdach na głuchem Polesiu, które w swoim czasie opisał piórem mistrzowskiém nasz Nestor literatury, Kraszewski, a fotografia ta pozostanie wiekopomném świadectwem wyglądu kraju naszego w chwili, gdy gdzie indziéj cywilizacya, dobrobyt i przemysł były już w rozkwicie.

Bądź co bądź, wiele znieść można skoro się ma na celu w wędrówce przedmiot duchowy: jakoż pomimo silnych wstrząśnień i pochylań naszego wehikułu, jazda w kompanii nie nabawiła nas zbyt wielkich przykrości, cudne zaś powietrze, śpiew ptactwa leśnego, zasłyszane głosy fujarek wieśniaczych, widok pasących się stad na błoniach, rozjaśnione twarze przechodniów, cieszących się tak rzadkiém ciepłem u nas, kazały nawet zapomnieć nie jednę troskę, doznawaną w bokach w skutek podskakiwania kół na nierównościach wzmiankowanych wertebów.

Ale oto Cieplеń, sadyba dawnéj w tych stronach rodziny Uniechowskich, stolica grzybów, kaczek, żurowin, borów, błota i piasku, kędy właściciel p. Józef U. przez własną wytrwałą pracę posiada piękne ogrodownictwo, zasadzające się na rozmnażaniu szkółek drzew owocowych wyborowych gatunków, i ma je do zbycia w wielkiéj ilości po cenach wcale umiarkowanych. Ręcząc za sumienność firmy, polecamy to piękne przedsiębiorstwo współobywatela uwadze wszystkich tych, którzy się interesują kwestyą pomologiczną w kraju, a zamówienia mogą być adresowane: przez Mińsk gubernialny w Ciepleniu. Jużeśmy minęli warsztat rzetelnéj pracy kochanego sąsiada i dojeżdżamy w lesie do wielkiéj kupy gałęzi, piętrzącéj się tuż przy drodze. Uderza ta niekształtna masa nawalonego drzewa wzrok nieświadomych rzeczy podróżnych, lecz każdy chłopek tędy przejeżdżający lub przechodzący, wiedząc co to znaczy, ma sobie za święty obowiązek dorzucić kawałek drewna, poczém już zmyka, co tchu starczy, nie oglądając się po za siebie. Kupa tym sposobem rośnie coraz większa i nawet zawadza przejeżdżającym, aż wreszcie ktoś ją podpali i zawadę usunie. Pamięta jednak dobrze lud okoliczny to tradycyjne miejsce i na zgliszczu dawnego, zwolna się wznosi nowy kopiec z chrustu, pniaków, gałęzi i rozmaitego drewna, bo tu przed wielu może wiekami, „za sprawą złego ducha“ miał się obwiesić na sośnie jakiś iśmertelnik, więc miejsce to musi być na zawsze zawalone tak, aby odtąd nigdy tam drzewo nie wyrosło a dyabeł nie mógł zabrać ofiary ludzkiéj. Takie wierzenia jakkolwiek pocieszne dla ukształconych, wskazują wszakże wielką zachowawczość w gminie tutejszym, który pomimo potężnych wpływów od lat dwudziestu, chociaż się i wyzuł z wielu cech dawnych, nie wszystko jednak prądy nowotne wygluzować zdołały z prastaréj tradycyi jego, a im głębiéj kto zapuści wzrok badawczy w życie ludu naszego, tém snadniéj się przekona o właściwościach jego, przechowanych niezależnie od naleciałéj demoralizacyi, zwłaszcza w pozycyach lesistych, dokąd nie tak łatwo przenika nacisk czasu.

Zaledwieśmy minęli owo straszne miejsce przedhistorycznego wisielca, aż znowu po drodze napotykamy inne, brzemienne tradycyą zamierzchłych dziejów. Tém miejscem jest Mikołka, nie wielka wśród puszcz tuż przy drodze położona odwieczna osada, niegdyś ra-

dziwiłłowska, obecnie własność Hartingów. Przed nią od wjazdu naszego zarysowuje się na horyzoncie wspaniały Dąb święty, niemy świadek wielu wieków przeszłych, może rowieśnik Baublisa, bo chociaż nie tak fenomenalny jak tamten w opisie wieszcza, ma jednak w obwodzie 16 arszynów i imponuje okolicznéj florze. Wiadomo, że w miejscach czczonych przez dawnych wyznawców kultu Krewe—Krewejtów, po wprowadzeniu chrześciaństwa, aby nie odstraszać ludu, stawiano świątynie nowemu bóstwu poświęcane. Jakoż pod swe majestatyczne konary dąb mikolski przytuliwszy dawną pounicką cerkiewkę, sam zachował aż do ostatnich czasów rzezaną z drzewa figurę Chrystusa, która tu zapewne stanęła na miejscu bożka dawnego kultu. Gdyby ten pomnik żywy mógł przemówić, ileżbyśmy się od niego dowiedzieli legend o dziejach niedoścignionych wyobraźnią! tém nie mniéj daje się nieco wyrozumieć treść téj tajemniczéj przeszłości ze wskazówek do dziś dnia pozostałych w tradycyi. Niezawodnie, że Mikołka była odwiecznem mejscem pobożności ludu, forum świętém, bo i obecnie dwa razy do roku w uroczystości św. Mikołaja w maju i w grudniu, zbierają się tu tłumy z dalekich nawet okolic, zachowując pewne obrzędy symboliczne. W przeddzień tego patrona zbiegowisko pątników gromadzi się o wiorstę od Mikołki, przy rozstajnych drogach w lesistem uroczysku zwaném „Biercy," tam lud rozpala ognie, baraszkuje przez noc całą, śpiewa stare pieśni, a równo ze świtem wyrusza tłumnie do miejsca świętego i tam składa liczne ofiary w pieniądzach lub wytworach gospodarstwa, po nabożeństwie zaś następują orgie karczemne aż do jutra. Nadto o dębie mikolskim krąży ustalona wieść, jakoby pod nim został zachowany skarb, lecz onego nikt dotknąć nie może pod groźbą niechybnéj śmierci. Zauważmy, iż ta legenda stanowić powinna niejaką wskazówkę dla archeologów: lud nasz bowiem patryarchalny, zawsze ziemię nazywając matką swoją, powierzał jéj najskrytsze, najkosztowniejsze przedmioty jak: bóstwa ozdoby i późniejsze pieniądze, które nie rzadko znajdywano pod pniami drzew wiekowych, w grobach i w miejscach dawnych sadyb; to też tradycya mikolska zdaje się być w związku z jakimś faktem rzeczywistym i nie byłoby nic dziwnego, gdyby z pod korzeni przedhistorycznego olbrzyma wyłonił się, jak feniks z popiołu, skarb wiary ludowéj w postaci glinianéj, czy bronzowéj Mildy Peruna, Kolady, Markopola, Kukuwaitesa lub innego jakiego bóstwa dawnych autochtonów tutejszych—wiadomo, iż lud chował święte rzeczy w czasie wprowadzenia nowéj wiary.

Za Mikołką gościniec przechodzi przez owo zborne uroczysko „Biercy", a daléj nieco pod folwarkiem Paciorek przejeżdżamy drobny, trawą zarosły, prawie nieznaczny strumyk, przez który niedbale skleciła ręka ludzka mostek, składający się zaledwo z kilku dylów; są to źródła rzeki Łoszy, pierwszego lewego dopływu histo-

rycznego Niemna, zwanego u starożytnych Chronus, który, mając w pobliżu, za folwarkiem Huszczynem, początek nieokreślony, następnie zasilany wodami siostrzyc owéj Łoszy i Usy, o trzy mile niżéj staje się już żeglownym i posiada pierwszą przystań pod miasteczkiem Piaseczną. W biednéj lesistéj stronie mało jest rzeczy do zaznaczenia, wszędy krajobraz zacieśniony ramami puszystéj zieloności i zrzadka tylko wytrzebione przez rolników polany, rozszerzając widnokrąg, zwiastują blizkość osad ludzkich.

I tu właśnie dotarliśmy do pól uprawnych, zasianych sowicie narzutowym głazem. Nieopodal widnieją Dołhinicze, niegdyś dziedzictwo Szyszków teraz Czeczotów. Osadę rozpoczyna patryarchalnie dworek szlachecki, zamieszkały przez rodzinę właściciela, a tuż za dworkiem ciągnie się wieś cienista. Mogłaby ona wyglądać porządniej; kiedy natura nagromadziła tyle kamieni, przynajmniéj ulica powinnaby być wybrukowaną i pozbawioną cuchnącego błota; wszak to nie wielkie rzeczy, pożyteczne bez kwestyi, jednak u nas zaledwo do pobożnych życzeń redukować się muszą, nikt bowiem nie myśli o porządku ekonomicznym na wsi i wszystko jest jak było przed kilku może wiekami. Jedziemy fatalną ulicą, złośliwe kundle wypadają po kolei z podwórków wieśniaczych, aby się naszczekać na niezwykłych przybyszów, dziatwa, zasłyszawszy turkot powozu, brudna i bosa, zaledwo grubą koszulą przykryta, tłoczy się ciekawie na „przyźbach“ i we wrotach; żyd brodaty wyjrzał jakoś niechętnie przez szybę karczemną, bośmy przemknęli tylko koło nosa temu obserwatorowi ludzkich kieszeni. Nieszczęśliwe te wioski nasze z okropnemi karczmami, kędy za mały dochód wnoszony dziedzicowi, toną od wieków w wódce wszystkie zasoby dobrobytu i moralności gminu. Pytam: gdzie oberża przyzwoita dla podróżnych: gdzie pożyteczna szkoła ludowa? gdzie warsztaty rzemieślnicze, ochronki dla dzieci wiejskich i t. p. instytucye? Nie ma tu nic takiego zgoła, aż strach pomyśléć o przyszłości. Tak dumając spostrzegam na wzgórzu cmentarzysko wiejskie, na niém las krzyżów mogilnych, omszałych, pochylonych w różne strony, w środku stara cerkiewka o kształtach prostych; wszakże dziś już rzadkich, bo ząb czasu zgryzł przeszłość, a ludzie nowi starali się nadać odmienną postać rzeczom. Gdyby z tych grobów powstali poczciwi dziadowie, w poważnych switach i w postołach lipowych, zapewne miłym byłby im widok ocalałéj oazy cmentarnéj od przeobrażeń, nic więc dziwnego, że się ona zarysowuje sympatycznie w pamięci uważnego wędrowca. Jedziemy daléj, przed nami oberwany młyn wietrzny, dachy dworskie pstrokate od dziur i łat, jakieś zgliszcza wśród zabudowań, a na przeciwko znowu karczma—z żydem. To Pereszew, dość rozległe dobra, lecz od wielu lat marnowane przez nierząd, świecą właściwą przeszłością, zgliszcza zaś spowodowała nikczemna ręka współzawodników w rzeczy dzierżawy, bo u nas z upad-

kiem moralności, zemsta nie znając granic, tém chętniéj puszcza pożogę na przeciwnika, gdy ten nie jest w stanie swych zaskarżeń udowodnić świadkami. Bolesne to i przygnębiające, a niéma rady, więc cierpmy. O pół godziny drogi kamienistéj od Pereszewa leży wieś duża Pereszewska Słoboda; wygląda ona niby porządniéj, gdyż ulica dość równa i szeroka; jest tu zarząd gminy i z tego względu miejsce to ma znaczenie dla okolicy, odegrywając role metropolii, pod władzą wszechmocnego pisarza. Wzmiankę tę zastosowałem nie do osobistości, lecz do fachu, który w obecnych okolicznościach ma na wszystkich punktach kraju nie innych, tylko takich przedstawicieli jak powszechnie już znany Zołzikiewicz Sieńkiewicza. Okropni to, zaprawdę, ludzie dla gmin, nie my jednak ich reformować będziemy, więc dajmy pokój Zołzikiewiczów falandze i podróżujmy do celu. Za słobodą pierwszém przytuliskiem ludzkiém jest Przewoz, dobra z charakterem poleskim, niegdyś radziwiłłowskie, ostatnio księcia Wittgenszteina [1]), nad rzeką Łoszą, przepływającą ponure ostępy, pełne grubego zwierza, co zresztą i sama nazwa rzeki potwierdza. Przebywszy most, stanęliśmy na chwilkę przed karczmą, aby dać wysapać się koniom. W przybytku Bachusa znowu żydzi, chłopi i wódka — naprzeciwko zaś dworek. Bodaj to młodość! dwie moje towarzyszki sprawiły oczywiście niezwykły widok karczmarce, gdyż popatrzywszy, natychmiast wymknęła się tajemniczo, a kiedyśmy wkrótce odjeżdżali, ze dworku dążył już, ciekawy zapewne wdzięków, jakiś młodzieniec, lecz była to widocznie zapóźniona przechadzka, z czego się niezmiernie uśmiały figlarne dziewczęta, popuszczając wodze domyślnéj wyobraźni niewieściéj. Ztąd do Starzycy, kędyśmy dążyli na nocleg, zaledwo godzina drogi, mieliśmy jednak jeszcze oglądać parę ciekawych rzeczy, posiadających rozgłos ludowy w szerokim promieniu. Gościniec przerzyna bory, na piaskach porosłe, nic nie zaleca pozycyi, płasko dość i ponuro do koła: lecz oto przy drodze z prawéj strony pod sosną widnieje kurhan, a w nim tkwią tysiące prostych krzyżów, krzyżyków i krzyżyczków, wśród nich leżą wieńce z polnych kwiatów i kosmyki lnu, składanego tu przez pobożnych na ofiarę. Cóż to? znowu miejsce święte, tak stare, że nikt nie wie, kiedy się tu cuda dziać zaczęły; sam kurhan wszakże świadczy, iż legenda, pochodząc aż z czasów pogańskich, przeszła w dobę chrzecijaństwa i zachowuje onego pozór na gruncie dawnym. Przypuszczenie nasze zdaje się sprawdzać i ta okoliczność, że duchowni, jak mi opowiadano — pomimo pewnych pożytków ze składanych ofiar na kurhanie, jakiś czas niechętnie patrzyli na zbiegowi-

[1]) Po śmierci ks. Wittgensteina w r. 1887-o przeszło na własność siostry zmarłego, księżnéj Hohenlohe.

sko ludu. Słyszałem też opowiadających włościan z największą wiarą, że gdy paroch przed kilkunastu laty krzyże kazał uprzątnąć, przyszła na niego „n i e m o c“ i nie opuściła go, aż sam postawił tu nowe znaki święte. Odtąd kurhan roi się już swobodnie krzyżami, bo na miejscu upadłych wznoszą się nieustannie inne, tak dalece, że wszystkie nawet ramiona krzyżów większych są literalnie obsadzone mnóstwem krzyżyków malutkich, zrobionych złuczywa. Nie tak to łatwo wykorzenić stare! Każdy chłop tu przejeżdżający musi zostawić specyalną ofiarę, są zaś dni uprzywilejowane, w których tłumy zwiedzają to miejsce, nawet już ze współudziałem duchownych. Szczęśliwa naiwność prostacza. Jedziemy. Oto i pola starzyckie wyjrzały z za lasu, na dworze wieczór majowy, nieco na uboczu od drogi czernieje w mroku kędzierzawa odwieczna sosna, przy której pniu leżą też krzyżyki, ofiary z lnu i kwiaty. Nikt nie ma prawa uszczknąć gałązki z tego drzewa, obrazić kory, ani zawadzić sochą korzeni. W okrąg pnia na kilka sążni murawa nietknięta, a samo drzewo istotnie wygląda dziwnie; ciemno zielone, gęsto splecione konary, jak szczotka nadają drzewu pozór niezwykły, jak gdyby było podstrzygane. Rzekłbyś, że jakiś okaz nieznanéj flory dostał się na ziemię litewską, jednak to zwyczajna sosna, tylko wskutek niewiadomych może warunków gruntu oryginalnie ukształtowana i zabarwiona całkiem odmiennie na ciemno. Zjawisko ciekawe; lud na nie też zwrócił uwagę i utworzył cudotworną legendą: cóś się tam kiedyś komuś miało pokazać i odtąd sosna jest świętością okolicy. Lecz ponieważ na świecie ostateczności wszędy się z sobą stykają, więc od razu od rzeczy świętych przechodzimy do innych, bośmy właśnię stanęli przed karczmą starzycką na nocleg. Poważny, dyplomatyczny gospodarz, Pan Abram Icek, spotyka nas uprzejmie, musiał bowiem skombinować ile mu podróżni przyniosą dochodu na poczekaniu. Cztery ludzkie postacie z czwórką kłusaków na noclegu, to przecie obłowa dla arendarza. Ogromny zajazd, niby cyrk jaki, nie ma ani jednego przytulnego kącika, a chociaż na dworze powietrze było ciepłe, musieliśmy zaraz kazać palić, aby z komor obszernych wypędzić temperaturę grobową, zatęchłą i zimną. W tak ocieplonym apartamencie pana Abrahama rozlokowaliśmy się jakkolwiek; posiłek podróżny smakował podwójnie i sen późniéj był też niezgorszy na ławach nieco przytwardych. Nazajutrz, w dzień sobotni, pan Abram Icek, jak się okazało, człek starego autoramentu z sekty „kitajowców“ wyprawił wspólną modlitwę, czyli tak zwany „Mynian“, którego byliśmy świadkami. Tłum okolicznych żydów zszedł się tu od rana; młodzi i starzy odziani w żałobnéj berwy „t a ł e s y“, czyli śmiertelne koszule, z przepaskami rzemiennemi na obnażonych rękach z utkwionem na czole „dziesięciorem“, zawartem w małem papierowém pudełku, zdawali się prześcigać w patetycznych gestach i ekstazie podniosłéj—a jeden tylko nienaruszonéj powagi gospodarz,

zachowując spokój biblijnego patryarchy, majestatycznie przodował nabożeństwu. Widzieliśmy obraz niezwykły, żywy, pełen typowego charakteru, mogący każdemu rodzajowemu malarzowi posłużyć za studium bez zarzutu. Dziwna tylko rzecz, jak w przybytku grzechu i upadku bliźniego zaślepienie mogło jednocześnie urządzić dom modlitwy, chociaż cnota w pojęciach wszystkich kultów wyłącza motory niemoralności i zgorszenia. Żydzi nasi wszędzie po karczmach mają bóżnice; ale też nie darmo powiedział filozof, że „człowiek jest najgłupszém stworzeniem na świecie.“ Bądź co bądź, w obec fatalnéj emancypacyi żydów tutejszych, takie typy jakieśmy widzieli w Starzycy coraz są rzadsze i może nie minie pół wieku, a już znikną one u nas całkiem. Ktoby o tém wątpił niech spojrzy na metamorfozę żydowską w większych miastach naszych, wszak to peryod zaledwie dwudziestoletni zmienił tam zupełnie strój, obyczaje mowę i wierzenia nawet starozakonnych. Wprawdzie w innych okolicznościach nie ubolewalibyśmy nad tém, ale przyznać należy, iż wyzwalanie się żydów, na zasadzie lekceważenia duchowéj swojéj przeszłości, przy warunkach ujemnych czasu, wytworzyło pomiędzy nimi bardzo wiele nad wyraz sprytnych oszustów, bezwzględnych wyzyskiwaczy otoczenia; jakoż gdy kraj cały pochylił się w ubóstwie, oni rozwielmożnieni pasorzytnie cudzą biedą, wzrośli w niebywały dobrobyt, niby pieczarki na rumowisku. Z tego względu żyd modlący się szczerze po swojemu, pożądańszym jest niż jedzący kiełbasy i rezonujący o jedyném szczęściu w bogactwie, zwłaszcza, iż mu wiedza i pojęcie o obywatelskości nie świtały nawet w głowie.

Trudno wnioskować stanowczo, na jakich adeptów ukształcą niniejsze stosunki społeczne żydów ryczałtem, wszakże próby dokonanéj reformy po miastach tylko źle wróżyć mogą dla przyszłości, co zaznaczamy, pozytywnie rozumiejąc rzeczy ludzkie.

Starzyca, osada rzeczywiście odwieczna, kiedyś w księztwie Słuckiém położona, teraz w powiecie Ihumeńskim, z kolei dziedzictwo Olelków, Radziwiłłów, Ginterów, obecnie należy do Rowieńskich. Gospodarstwo tu zamożne a rodzina właścicieli przoduje okolicy wyjątkową zacnością i szczodrobliwością dla nieszczęśliwych. Cenne zaiste są takie objawy na pustkowiu naszém, więc z przyjemnością o tém wspominamy dla pocieszenia serc poczciwych, a szanowna skromność zapewne wybaczy mi śmiałość, żem o jéj cichéj zasłudze nadmienił. Za Starzycą miejscowość coraz więcéj polowa, lekko falista, w glebie wybornéj, zwiastującéj bliskość żyźnéj Słuczczyzny. Mijamy wieś Bułgowicze i stajemy w Hrozowie, starożytném miasteczku, już w powiecie Słuckim. Przed dwudziestu laty mieszkał tu czcigodny, słynny z ofiarności obywatel ś. p. Seweryn Mierzejewski: losy go ztąd usunęły, ale wieść o zacnym człowieku nie wygasła w sercach rodaków. Cześć cieniom dobrze zasłużonego, przedwcześnie zmarłego pracownika! Nic zgo-

ła nie zachował Hrozów z przeszłości swojéj, choć posiadał piękne świątynie i miał być miejscem obronném. Gnieździ się tu kupa żydów, używających fatalnéj opinii „koniokradów“, w jakich obfitują sławne okolice miasteczka Kopyla, którego Hrozów jest sąsiadem i niby satellitą w fachu. Jeszcze mil sporych dwie mając ztąd do Słucka, przejeżdżamy około Koniuchów, pięknie położonego nad rzeką Łoknieją i nad błotem, zwaném „hałe“, dziedzictwa Hrehorowiczów. Następnie mija się folwark Chrzanów i wieś Uszałowicze; w około już grunta płaskie, bardzo urodzajne, oko nie może się nacieszyć bujną pszenicą, któréj łany niedarmo w zachwyt wprowadzały i piewcę Pana Tadeusza, w niedalekiéj nowogrodzkiéj ziemi. To mi błogosławiona, sławna słuczczyzna, gdzie się rodzi nie tylko ziarno cenne, ale i wyborne owoce, z pomiędzy których olbrzymie śliwy i „słuckie bery“ mają szeroki rozgłos w handlu krajowym. W tę żyzną glebę ileż razy wsiąkała posoka ludzka! bodaj każda piędź ziemi słuckiéj krwią zbroczona w cyklu dziejów ma swoję historyą. Po kilkakroć plądrowały te miejsca zastępy tatarskie, szwedzkie lub bratobójcze ruchawki zdemoralizowanych magnatów. O przedhistorycznéj zaś dobie panowania tu prasterego plemienia słowiańskiego, Dregowiczan, któż wiedzieć może, skoro najstarsze pomniki kronikarskie tylko króciutkie robią wzmianki. Wszystko jeszcze w mroku głębokiéj starożytności. Posuwamy się coraz bliżéj ku Słuckowi. Przy drodze ciągnie się długi szereg nasypów mogilnych w Półkole. Czyżby to było cmentarzysko z czasów oblężeń Słucka przez Perekopców. Zarys całéj grupy kurhanów zdaje się potwierdzać to przypuszczenie, pomimo iż tradycya milczy; umiejętnie jednak poszukiwania mogłyby odkryć jakieś pamiątki. Jeśli nie tatarskie to groby, więc w każdym razie ważne być muszą, bo okolice Słucko-Kopylskie zalecają się wielką starożytnością, kryją w swém wnętrzu odwieczne pamiątki tych ludów, co tu żyły wcześniéj, niż ich historya poznać i zapisać mogła, dość że nie tylko broń kamienną, lecz narzędzia kościane, stanowiące najodleglejszą epokę w archeologii, znajdowano w kurhanach okolicznych.

Już bieleją mury świątyń dawnéj stolicy Olelków, za kwadrans jaki możnaby dojechać do bruków słuckich; wszakże zatrzymujemy się na chwilkę w Siołku, folwarku tuż przy gościńcu położonym. Budynki mocno zrujnowane prawie pustkami świecą; niegdyś park, widocznie piękny, teraz pozbawiony płotów stał się przytuliskiem koz żydowskich, które poogryzały drzewa i wszelkie dawne krzewy tam rosnące—ruina pod miastem. A jednak Siołko miało chwilę świetną, wielce znaczącą dla okolicznych i dalszych miejscowości. Od wieków był to folwark, należący do dominium słuckiego i drogą spadku przez Radziwiłłów przeszedłszy do Witgensteina około roku 1845 wraz z miastem Słuckiem, przez tegoż został odprzedany

rządowi. Odtąd ferma Siołko wydzierżawianą bywała osobom prywatnym. Długo przed rokiem 1863 trzymała to miejsce w arendzie czcigodna, światła, i pełna pomysłowości pedagogicznéj znana zresztą powszechnie w stronach naszych p a n i H e l e n a K o w a l n i c k a [1]). Jéj mozolném staraniem powstał tu znakomity zakład naukowy żeński, w którym bez różnicy wyznania i pochodzenia kształciły się rodaczki w kierunku prawdziwie obywatelskim. Profesorowie na ten czas wzorowego gimnazyum słuckiego dojeżdżali na lekcye; dozór był macierzyński, wygody uczennice miały prawie zbyteczne. Pensya w Siołku, będąc rozsadnikiem najzacniejszych zasad i praktycznéj nauki, wydała krajowi wiele szanownych obywatelek i matek zwłaszcza, iż dzięki niesłychanéj dobroczynności założycielki prawie czwarta część uczenic należała do kategoryi sierot i córek całkiem podupadłych rodzin, które nic nie płaciły lub bardzo mało. Nie można było wynaleźć lepszego miejsca pod względem zdrowotnym, ani stosowniejszych warunków pedagogicznych dla instytucyi naukowéj—wszystko tu sobie sprzyjało i harmonizowało wzajemnie: okolica ludna i tania z powodu wielkiéj urodzajności, bliskość miasta, posiadającego natenczas wyborne siły naukowe; wiejskie powietrze: a przy tém przykład gospodarności, gdyż pani K., ciesząc się hartowném zdrowiem, zajmowała się nietylko szkołą, lecz i gospodarstwem z wzorowém zamiłowaniem; — była to więc nauka z rzadkiém powodzeniem praktykowana. Jakoż zakład pani K., posiadłszy wysokie uznanie zarówno społeczności i władzy naukowéj, musiał jednak ustać w roku 1865 z wielkim żalem całego ogółu. Cicho pracowała p. Kowalnicka; ale czcigodna treść jéj mozołów nie zaginie nawet w pustce zrujnowanego Siołka, tém bardziéj w sercu wdzięcznego społeczeństwa, skoro mu przysporzyła tyle rzetelnych obywatelek. O ile przypominam nikt dotychczas nie podał w druku wiadomości o byłym zakładzie Siołka i onego szanownéj inicyatorce, z tém większą przeto przyjemnością zapisaliśmy te szczegóły, jako materyał do historyi oświaty miejscowéj; od siebie zaś wzywamy osoby, które brały w Siołku wychowanie, które doskonale pomną cały tryb porządków tego niezwykłego zakładu i dzieje koleżeństwa, aby zechciały je skreślić, bo tym tylko sposobem utrwalają się w pamięci ogółu podania i fakta, a temat tak piękny, bogaty dla serc ukształconych i wdzięcznych! Zaginął u nas stosunkowo w prędkim czasie typ instytucyi, że tak powiem m a c i e r z y ń s k o - p e d a g o g i c z n y c h dla kobiet, co się daje uczuwać utęsknionym za niemi rodzinom

---

[1]) Zmarła w lipcu 1884 r. pod Mińskiem litewskim w majętności Rudzicy pogrzebiona w Mińsku na Kalwaryi. Pośmiertne wspomnienie w „Kraju“ petersburskim w N-rze 30 (przyp. autora).

średniéj i małéj sytuacyj; niech więc ten typ się odtworzy pod piórem któréj z wychowanek Siołka, a wdzięczną za to pozostanie czytająca społeczność. Posiadamy wspomnienia i opisy z czasów uniwersytetu wileńskiego, szkół swisłockich, bialskich, Marymontu, Horghorek i innych zakładów męzkich, dlaczegożby i niewiasty nasze nie chciały iść za tym przykładem? Wszak mielibyśmy coraz więcéj materyału historyczno-moralnego do dziejów życia wychowawczego w kraju.

Żegnajmy Siołka ruiny, bo już pilno do mety.

Trzydzieści lat minęło jakem był w Słucku, w treści onego duchowéj wiele się zmieniło, lecz pozór miasta pozostał bez zmiany, ci sami żydzi, te same brudy i woń okropna, pochodząca z zakwitłych wód rzeki Słuczy i jéj kanałów przecinających miasto, zatamowanych groblą młynową i zanieczyszczonych najobrzydliwszémi ściekami ulicznemi:—zatrute powietrze w około, cuchnie materyą. W opisach grodów naszych jużem kilka razy wspominał i teraz powtarzam, stosując uwagę do Słucka, że gdyby takie warunki przyrodzone znalazły się w innych krajach, czegożby nie zrobiono dla uzdrowotnienia i upiększenia miasta? wycackanoby je na podziw ludziom, tu zaś przeciwnie swądy i ruiny uliczne nikogo nie obchodzą, bo Słuck w znaczeniu abnegacyi prym trzyma. Trudno pojąć jak ludzie w takim śmietniku żyć mogą, jak oddychać taką mijazmą i pić—nie wodę, lecz, mówiąc po prostu, ciecz kloaczną? To też słyszałem z ust światłego miejscowego lekarza, pana Fronckiewicza, że Słuck jest sławném siedliskiem nigdy nieustającego tyfusu, febry i wszelkiego rodzaju chorób zaraźliwych, w czasie zaś cholery płacił zawsze najobfitszą dań śmierci.

Nie wypowiedzianie przykry widok przedstawia to miasto dla przyjezdnych ze wsi, szczególnie w porze wiosennéj, kiedy pierś, napojona czystém powietrzem i oko, krasą przyrody, bardzo są wrażliwe na cuchnące wyziewy, kurzawę miejską i wszelkie rozpasane niechlujstwo zamieszkałych bruków przez żydowstwo, a Słuck przecie jest miastem żydowskiém par excellence, ponieważ na 18,000 ludności liczy wyznawców Mojżesza do 12,000. Zaznaczamy jednak przyjemniejsze wrażenia.

Jużeśmy się rozgościli tu na dobre, doznając uprzejmości serc życzliwych. Miasto pomimo niezmiernie brudnego pozoru, nosi na sobie cechy głębokiéj starożytności, okopy opasują je dokoła i wewnątrz widnieją jeszcze dawne bastyony obronne, kędy istniały zamki książęce, tyle razy zdobywane z wielkim krwi rozlewem. Nie będziemy pisać historyi Słucka, tém niemniéj wydatniejsze chwile z przeszłości jego zaznaczyć wypada. Początek ginie w mroku nieznanych dziejów Dregowiczan, plemienia zamieszkałego swobo-

dnie w tych stronach. przed opanowaniem słowiańszczyzny przez obcych przybyszów Waregów, mającego stolicę w niezbyt oddalonym Klecku. Od wieku XII kroniki zapisały już Słuck, jako gród, leżący w obrębie księztwa Wołyńskiego, zorganizowanego państwowo przez następców Włodzimierza W., w granicach mniéj więcéj po obu brzegach Szczary, pomiędzy błotami źródeł Niemna, środkowym Dnieprem, Użem i po obu brzegach Buga, sięgając wreszcie aż po ziemie krzyżackie na Zachodzie (Lelewel). Wtedy Słuck był udziałem, przechodzącym często z rąk do rąk, w zatargach wzajemnie łupiących się rozrodzonych owych waresko-kniaziowskich linii, aż po shołdowaniu w wieku XIII przez Litwę tych miejscowości, widzimy go własnością korony, skoro Witold w roku 1395 osadza tu wyzutego z Kijowa, stryjecznego synowca swego, Włodzimierza Olgerdowicza, od którego poszli słuccy książęta, mianujący się następnie Olelkowiczami, od imienia Aleksandra, czyli w spieszczeniu Olelka, syna Włodzimierzowego. Dynastya Olelkowiczów, posiadając przeszło 220 lat obszerne księztwo Słucko-Kopylskie, położone od źródeł Niemna aż po ujście Słuczy do Prypeci i po Oresę, wygasła po mieczu pod koniec XVI stulecia na trzech braciach: Jerzym III, Janie III i Aleksandrze II, po kądzieli zaś na Zofii córce Jerzego, nie zaś Michała, jak podają mylnie inni—poślubionéj krewnemu Januszowi Radziwiłłowi, któremu, umierając bezdzietnie zapisała Słuczczyznę wieczyście. Opowiemy niżéj smutne szczegóły tego dziedzictwa Radziwiłłów, a teraz, wracając w przeszłość, należy nadmienić, że Słuck wskutek swego dogodnego położenia od wieków był widownią zażartych namiętności politycznych, przedmiotem nienasyconéj chciwości.

Kto o niego nie walczył, kto się tu nie rozpierał! więc rosły obronne wały i mury przeciw wrogim napastnikom. Pomijając częste rzezie wareskich zdobywców, walczących tu o supremacyą, nadmieńmy, iż miał Słuck pod swojemi ścianami pięć razy hordy mongolskie i tatarskie, w latach 1275, 1503, 1504, 1505, 1508; zawsze ucierpiawszy od pożogi i mordu; dwa ostatnie jednak napady znakomicie odparte przez kobietę, księżnę Anastazyą ze Mścisławskich, godną lepszego pióra wieszczów naszych, niedołężne bowiem próby opisywania téj prawdziwéj bohaterki czasu, wcale nie odpowiadają zadaniu poetycznéj treści. Piękna księżna Anaztazya Olelkowiczowa istotnie była nadzwyczajną niewiastą w słowiańszczyźnie, bo według słów Bartoszewicza, mając męża, odważnego księcia Siemiona, który ciągle się uganiał w Litwie za tatarami „przywykła od młodości do niebezpiecznych zapasów, ducha rycerskiego pełna sama biegła na bitwę“. Po śmierci księcia Siemiona, gdy wiarołomny Michał Gliński obległ Słuck w roku 1508, aby przemocą zdobyć rękę uroczéj wdowy i przez bogactwa nowe swe wpływy w kraju rozszerzyć, cnotliwa, nieustraszona księżna Ana-

stazya zwycięża i tego gwałtownika, a wreszcie odpiera nowy napad tatarów, którzy tu po odejściu Glińskiego, koszem stanąwszy, pustoszyli włości księztwa.

Czas niszczyciel wszystko zaciera, jakoż zatarł nawet w pamięci dziejopisarzów świadomość o chwili zgonu i miejscu pogrzebania mężnéj Anastazyi—nie ma śladu o tém w historyi, więc tém więcéj ponęty dla poezyi!

Do dziejów Słucka należy wspomnienie o najściu zastępów kniazia Trubeckiego, w czasie wojny moskiewskiéj Cara Aleksieja z Janem Kazimierzem w roku 1655. Trubecki próbował Słuck oblegać, lecz wszystko się skończyło na spaleniu przedmieścia Trojczan i na groźnéj postawie mieszkańców, którzy mieli zamiar bronienia się do upadłego.

Późniéj znowu zachodzili tu szwedzi, nie zrządzając wiele złego, bo już miasto i bez inwazyi wrogów upadło.

Kniaziowie krwi, Olelkowicze, oprócz kilku wyjątków, zachowując dyzunią, odznaczali się jednak tolerancyą i wysokim patriotyzmem dla kraju. z tego względu mieli sobie przeznaczone miejsce w senacie po biskupach witebskich, a kniaź Siemion Aleksandrowicz, sławny pogromca bisurmanów, zgasły w 1470 r. posiadał tak wielki mir u panów litewskich, że go nawet forytowano na tron wielkoksiążęcy, czego zresztą i sam życzył gorąco.

Będąc w Słucku, należało obejrzeć najprzód pamiątki pozostałe po tych znakomitych, prawdziwie utytułowanych obywatelach kraju, ale czas je wyniszczył, tak, że nie wiele z tradycyi o Olelkowiczach pozostało na miejscu i kilka zaledwie pamiątek świadczy, że tu panowali. Gdzie żywych wątków pochwycić nie można, tam potrzeba zstępować do grobów i szukać wspomnień; jakoż udaliśmy się do cerkwi Spaskiéj na Trojczanach fundacyi Olelków i miejsce wiecznego spoczynku téj pamiętnéj rodziny. Młody, uprzejmy archimandryta, przełożony monasteru, chętnie udzielił mi pozwolenia obejrzenia wszystkiego. Oglądałem też przez kilka godzin świątynię i jéj otoczenie w towarzystwie mnicha, który dość rozprawiając, jak zwykle tłómacze tego rodzaju, nie wiele wiedział prawdziwych podań i faktów. Stara cerkiew zniszczona w pożodze wojen z doby Jana Kazimierza, odbudowaną została na początku XVIII wieku; robi ona bardzo przyjemne wrażenie, gdyż jest zabytkiem prześlicznéj greckiéj architektury, z którą się zbyt rzadko spotykamy. Dwie smukłe wieżyce nad frontem i kopuła środkowa, strzelając w górę majestatycznie, harmonizują z proporcyonalnym korpusem; całość zaś celuje lekkością i szczególniejszą prostotą. Jest to bodaj jedyny w całym kraju pomnik w prawdziwie gustownym bizantyjskim stylu, więc go notujemy jako curiosum budownictwa swego rodzaju. Świątynia wewnątrz światła i urocza, bo wysokość stropów cyrklowych pięknie od-

powiada objętości nawy głównéj. Wstępując do niéj z kruchty zaraz spostrzegłem z prawéj strony przy filarze artystycznie wykonany pomnik z bronzu i marmuru, a u spodu nadpis polski, łaciński i ruski, świadczący, iż tu zostały pogrzebione zwłoki głośnego Michała Mikołajewicza Jenerała Kreczetnikowa, zmarłego niespodzianie w Międzybożu 1793 r. Kreczetnikow, w r. 1792 wchodząc w granice Rzeczypospolitéj i wydając w Połocku 10-go maja sławną odezwę do mieszkańców zajmowanych prowincyi [1]), zapewne nie myślał, że za chwilę spocznie w téj ziemi, do któréj wkraczał. Pomnik przedstawiający popiersie wodza naturalnéj prawie wielkości w płaskorzeźbie, ciekawym jest zabytkiem równie pod względem sztuki jak i nadpisów, wskazujących, że wtedy jeszcze wcale nieznano uprzedzeń w rzeczy gwar miejscowych i że nie wiele chyba musiało być porządnych świątyń dyzunickich, kiedy aż z Miedzyboża z nad Bugu, transportowano tu zwłoki dygnitarza. Szperając w literaturze dziejowéj, nigdzieśmy nie napotkali wzmianki o grobowcu Kreczetnikowa w Słucku, ale rzecz dziwniejsza, że nawet tradycya o tém zaginęła na miejscu, gdzie tymczasem i osobistość i sztuka artystyczna w grobowcu — zasługują na uwagę.

W nawie presbiterium, również z prawéj strony umieszczona druga poważniejsza pamiątka; jest to z cyny, czy ołowiu, znacznych rozmiarów sarkofag, zawierający zwłoki nieszczęśliwéj Zofii z Olelkowiczów Radziwiłłowéj, ostatniéj księżny słuckiéj. We właściwém miejscu wieka sarkofagu wprawiona gruba szyba szklanna, z poza któréj wygląda twarz już całkiem zmurszała błogosławionéj, bo za taką ją uważa lud okoliczny i gromadzi się u jéj grobowca w każde święto. Tuż pod szybą wyryty po słowiańsku napis o dniu i roku śmierci księżnéj. Lecz zauważmy, że kiedy na grobowcu i u wielu autorów stoi data 1617 r. 19 marca, przeciwnie Kotłubaj, dobrze znający źródła archiwalne, podaje datę śmierci księżny Zofii w r. 1612 dnia 9 marca, dodając, iż umarła w Omelowie (?), nie zaś w Słucku i nie w Nieświeżu jak piszą inni (ob. Galer. Nieświezka str. 160). Niezawodnie, iż data Kotłubaja jest autentyczną, ponieważ i Niesiecki, mówiąc o powtórnym związku małżeńskim księcia Janusza Radziwiłła z Elżbietą Brandeburgską, kładzie rok 1613 (ob. Herb. wyd. Bobr. t. VIII, str. 53).

Piękna to postać ta księżna Zofia. Pisali o niéj Krzysztof Zenowicz, Kraszewski, Syrokomla i inni, lecz jest to przedmiot jeszcze nie wyczerpany jak i historya Halszki Ostrogskiéj, bo obie te kobiety, zarówno promieniejąc w dziejach bogactwem, urodą, nieszczęściem i cnotą, stały się ofiarą potwornéj chciwości, czychającéj

---

[1]) Dokument ten rzadki piszący posiada w oryginale.

na ich skarby i pomiatającéj wzniosłém sercem niewiasty!.. Smutne tłoczą się myśli u grobowca ostatniéj Olelkowiczówny! Losy ją obdarzyły wszystkiém, o czém tylko człowiek zamarzyć jest w stanie, a jednak nie zaznała chwili spokoju i przyjemności w życiu, jakby na potwierdzenie téj prawdy, że szczęście rzadko się mieści w pałacach i pod osłoną złotogłowia...

Biada bogatéj dobrotliwéj sierocie! a cóż dopiero gdy żyć musiała w czasach całkowitego zaginienia w ojczyźnie poczucia prawdy i godności obywatelskiéj. Autorowie nasi zwykli nie dopowiadać prawdy z żywota ostatniéj księżny słuckiéj, lecz my ją wyłuszczamy krótko bez ogródek. Księżna Zofia była córką Jerzego III i Barbary Kiszczenki, wojewodzianki podlaskiéj. Po śmierci rodziców dostała opiekunów w pokrewnych Chodkiewiczach, którzy będąc winni sumy Radziwiłłom, postanowili likwidować należność przez swoję pupilkę i jeszcze może coś zarobić więcéj na faciendzie. Jakoż pod tym bezecnym warunkiem, omówionym incognito, stanęła jawnie ugoda pomiędzy Jerzym Chodkiewiczem, Starostą Żmudzkim, opiekunem księżniczki i Krzysztofem Radziwiłłem woj. wil. w rzeczy wydania księżniczki po dojściu jéj do pełnoletności w dniu 6-ym lutego 1600 r. za syna wojewody Janusza Radziwiłła. Wkrótce umarł starosta żmudzki, a opiekę nad księżniczką objął brat jego, Hieronim Chodkiewicz, który wznowił konwencyą z Radziwiłłami, poczém pozwolono księciu Januszowi widywać się z księżniczką, mieszkającą wtedy w Wilnie w pałacu Chodkiewiczowskim. Zdawałoby się, że dla obu stron interes układał się pomyślnie i chodziło tylko o wyjście zakreślonego terminu; lecz duch pieniactwa w tych okropnych czasach był tak potężny, że często zaćmiewał wzrok na własny widoczny interes. Jakoż i Radziwiłłowie, gdy zamiast politycznego zachowania się zaczęli nieoględnie tradować Chodkiewiczom, za należność, miasteczko Kopyś pod Orszą, ci obrażeni postanowili nie dopuścić ks. Janusza do wiana księżniczki Zofii, zsyłając się na blizkie pokrewieństwo zmówionéj w małżeństwo pary.

Przerwano wizyty narzeczonego u księżniczki, przez co stosunki pomiędzy obu możnowładczemi rodzinami zaostrzyły się bardzo, a tymczasem zbliżał się rok 1600. Obie strony, nie myśląc zgoła o ustępstwach, zaczęły formalnie gotować się do wojny domowéj; zaciągano więc wojsko cudzoziemskie, zbierano tłumy przyjaciół, gotowych krew bratnią przelewać dla prywaty, ba, nawet Jan Zamoyski przysłał Radziwiłłom 200 koni na pomoc. Tych siła zaczepna wynosiła do 6000 zbieranego żołdactwa, Chodkiewiczowie zaś obsadzili swój dworzec wileński prawie trzema tysiącami zbrojnego ludu. Zgroza pomyśleć, że właśnie w chwili, kiedy bezecna chciwość pańska zamierzała wznieść bratobójcze zapasy, szwedzi pustoszyli Inflanty i brakło siły odpornéj przeciwko najeźdzcom. Król Zygmunt wcześnie posyłał w roli rozjemców: biskupa żmudzkiego Giedrojca,

Dorohostajskiego, wiel. marsz. kor., i Zawiszę, podskarbiego litews. Żądał zgody, groził wojną domową, ale głuchem było sumienie zaślepionych panów namiętnością i wyzutych z poczucia obowiązku względem kraju. Chodkiewiczowie przedewszystkiém myśleli przy tém ogniu upiec sobie tłustą pieczeń; konkurującego na chłodno, cynicznego Radziwiłła nęciła bogata Słuczczyzna, poziome zaś cele i środki stron obu wzajemnie się równoważyły. Rozjątrzenie doszło do ostateczności i kiedy zdawało się, iż rzeź domowa nastąpi, Radziwiłłowie, przerażeni postawą Chodkiewiczów, a może i odpowiedzialnością przed królem, niespodzianie po długich deliberacyach, w dniu, orzeczonym przez dokument opiekunów, przystali na układ. Skasowano więc wszystkie pretensye Radziwiłłów do Chodkiewiczów, pokwitowano tych ostatnich za opiekę, o co niezmiernie Chodkiewiczom chodziło, musieli dobrze się obłowić; nadto Chodkiewiczowie dostali 360,000 złotych w gotowiźnie i 500 włók ziemi na wieczność porękowicznego... Księżniczka Zofia została wydaną za ks. Janusza w Brześciu 1-go października 1600 r; ślub się odbył zupełnie cicho. W ten sposób zakończył się gorszący frymark uczuciem i mieniem nieszczęśliwéj książęcéj sieroty. Niesiecki w t. VII na str. 72 pisze bajkę, jakoby ks. Zofia przed poślubieniem Janusza Radziwiłła była za Jerzym Chodkiewiczem, kasztelanem trockim. Jest to błąd gruby i anachronizm, gdyż ten Chodkiewicz miał za sobą Zofię Radziwiłłównę, córkę Mikołaja, wojewody nowogrodzkiego. Wracając do naszéj bohaterki zaznaczamy, iż pożycie małżonków było niedobre; pomimo anielskiego charakteru i wdzięków księżnéj, potworny jéj mąż, choć wychowany świetnie, nie zalecał się ani wiernością, ani uprzejmością. Było wprawdzie dwoje potomstwa, które wkrótce zmarło, ale ks. Janusz względem żony zachowywał się cynicznie, bo tylko jéj skarbów pożądał. Skarby te Olelkowiczów długo jeszcze, jak zobaczymy, były przedmiotem nienasyconéj chciwości i ambicyi możnowładzców, aż pokąd nie zagarnęli ich ludzie uboczni i obcy całkiem narodowi... Kraszewski w swéj powieści p. t. „Ostatnia z książąt Słuckich", zapewne ze względu na sztukę nie wszystko przedstawia historycznie, bo też każe umierać księżnie w Nieświeżu, a przytém w dziewiątym roku pożycia, kiedy właściwie się to stało o trzy lata późniéj w Omelawie. Przed śmiercią cnotliwa księżna usidlona intrygami niecnego męża, nie tylko przebacza mu ciężkie winy, lecz nadto czyni zapis wieczysty z olbrzymich dobr swoich, przez co słuckie księztwo przeszło do Radziwiłłów. Wzbogacony jednak ks. Janusz łaską małżonki, którą dręczył, zaraz po zgonie swojéj dobrodziejki, ofiary bezwstydu panującego w ojczyźnie, zawiera nowe związki z Elżbietą, księżniczką Brandeburską.

Wszystko to podniecało znowu zawiść Chodkiewiczów, gdyż niezależnie od układu, zawartego z Radziwiłłami w 1600 r., rościli

pretensye do spuścizny wygasłych teraz Olelkowiczów, jako ich krewnych, czego też później probowali z dobrym skutkiem Sapiehowie. Nie sądzono widać było Słuczczyznie utrwalić się spokojnie w imieniu Radziwiłłów, na synie bowiem Januszu, z niemki zrodzonym, brzydkiej pamięci Bogusławie, koniuszym litewskim, kończyła się po mieczu ta gałąź; córka zaś Bogusława, Ludwika Karolina, wydana za Karola Filipa, Palatyna Reńskiego, księcia Nowoburskiego, z pominięciem królewicza Jakóba, wniosła cudzoziemcowi księztwo Słucko-Kupylskie wraz z hrabstwem Birżańskiém w trockiém województwie sytuowaném. Gdy para książęca Palatynów mieszkała za granicą, dobrami jéj, zwanemi Nowoburskie, rządzili tymczasem Oskierko i Niezabytowski, czyniąc nadużycia i wielce się bogacąc (Matuszewicz Pamięt. t. I, str. 75). Po śmierci księżny Ludwiki Karoliny, przypadłéj 1695 r., dobra jéj litewskie przeszły na jedyną córkę Elżbietę-Augustę, zostającą pod wpływem Palatyna Ojca. Odtąd zaczyna się nowa wojna domowa o Słuczczyznę.

Sapiehowie z tytułu pokrewieństwa z Radziwiłłami przez Hlebowiczów, pod pretekstem iż Palatyn nie miał indygenatu, rościli pretensye do dóbr Nowoburskich i postarali się o opiekę nad małoletnią księżniczką Elżbietą, na co zapadł wyrok trybunału litewskiego w r. 1695, naznaczający opiekunem hetmana litewskiego Kazimierza Sapiehę, dumnego i niespokojnego despotę. To pominięcie w opiece Radziwiłłów, jako bliższych, zapaliło nienawiść tych ostatnich, i pomiędzy obu rodami powstały brudne intrygi, (Atheneum z r. 1846, t. II, str. 120). Hetman Sapieha, aby dosadzić Radziwiłłom do żywego, w maju 1695 r. zbrojno zajeżdża wojskami Rzeczypospolitéj Kopyl trzymany przez Radziwiłłów, a w kilka dni późniéj odbiera go ks. Karol Stanisław Radziwiłł ze znacznéj krwi bratniéj rozlewem (Kotłubaj str. 395).

Po téj szalonéj inwazyi Sapiehów, Radziwiłłowie tém bardziéj przestawali myśleć o swych prawach do dóbr Nowoburskich, jakoż wiedząc, że Palatyn był winien królowi Augustowi II 600,000 złot. pols. uprzedzili Sapiehów za pośrednictwem przebiegłéj Anny z Sanguszków Radziwiłłowéj, kanclerzyny litewskiéj, przez układ z Palatynem o spłatę całkowitą sumy królowi i wzięcie dóbr Nowoburskich w zastaw. Dyplomatyczna kanclerzyna, nie przestając na tém, czyni możebne starania o poślubienie falcgrafianki Elżbiety okropnemu synowi swojemu, Hieronimowi Floryanowi — o którym niżéj — lecz gdy do tego nie przyszło, wymogła na Paletynie ostateczne zrzeczenie się dóbr Nowoburskich, więc i Słuczczyzny, która powtórnie weszła w dom Radziwiłłowski, nie bez gorszących społeczność faktów i nie byłoby końca temu, gdyby Radziwiłłowie dokuczającym procesami Sapiehom jednocześnie nie uiścili odczepnéj indemnizacyi

zawierającéj się w dwóch milionach złotych i pokwitowaniu wszelkich pretensyi.

Tak się zakończyła ta głośna awanturami sprawa; odtąd był już spokój, a nazwa dóbr Nowoburskich pozostała własnością historyi.

Trzeba być ślepym duchowo, aby nie przyznać zasady: „małe parta idą do czarta“; ruiny powszechne kolosalnych fortun są tego u nas jasnym dowodem. Jakoż i spuścizna cnotliwéj, a tak nieszczęśliwéj ks. Słuckiéj nie zapomogła jéj spadkobierców, drapieżna bowiem chciwość, szarpiąc się w swém gnieździe, zmarnowała z czasem wszystko i dziś już z milionowéj fortuny Radziwiłłowskiéj w księstwie Słuckiém, nie pozostało dla téj rodziny i feniga, gdyż ostatnia sukcesorka Słuczczyzny, nieszczęśliwa także księżna Stefania, córka ks. Dominika, przez wiano wniosła ją Wittgensztejnom, ci zaś sprzedali miasto z okolicą rządowi, a dobra wskutek bezżeństwa ostatniego Wittgensztejna, jeśli się ostoją, przejdą przez siostrę jego do rodziny całkiem niemieckiéj, książąt Hohenhole [1]) „Sic transit gloria mundi!“

Radziwiłłowie, po powtórném objęciu Słucka, mieli tu wspaniałą warowną rezydencyą, strzeżoną przez tysiące żołdactwa, mieli parki, powieściowe myśliwstwo, balety, cyrki i t. d. atoli z tych wspaniałości nie pozostało nic zgoła: stolica dziś zapomnianych oligarchów jest obrazem cuchnącéj ruiny, gdy tymczasem zwłoki księżny Zofii są czczone od ludu, a przechodzień, świadomy dziejów, nie może nie rozpamiętywać nad jéj grobowcem, dającém szerokie pole do dumań o marności pychy i zarazem o potędze ideałów niepożytéj cnoty!..

Grzeczny mnich otworzył mi pamiątkowy sarkofag, oglądałem więc te szczątki z uwielbieniem i pochyliwszy głowę, złożyłem hołd cieniom historycznéj niegdyś postaci, i udałem się w dalszą wędrówkę po świątyni. W presbiterium za ołtarzem pokazano mi starożytne kosztowne ornaty, szyte jakoby ręką księżny Zofii, co mi przypomniało roboty królowéj Jadwigi, przechowywane w katedrze krakowskiéj. Widziałém też Ewangelią z r. 1581 pięknie, nawet artystycznie przepisaną niby ręką Jurja, ojca Zofii, tudzież starożytny pastorał srebrny, zażywany zapewne przez zacnego Pawła Wołczańskiego i wręcz przeciwnych mu przekonań i dążności, niespokojnego Wiktora Sadkowskiego.

Daléj z lewéj strony presbiterium, naprzeciwko grobowca ks. Zofii, równie w sarkofagu zewnętrznem złożone są zwłoki dziecka, jakiegoś Hawryłka, zamęczonego niby przez żydów w Zabłudowie 1690 r.

---

[1]) Stało się to w roku 1887 po nagłéj śmierci księcia Wittgensztejna.

Zwłoki te są uważane za relikwie i bywają też nawiedzane przez pobożnych; starożytna zaś tablica, zawieszona na ścianie, streszcza w językach polskim i ruskim historyą tego wypadku. Mój przewodnik pokazał mi wnętrze sarkofagu, w którym ujrzałem kościotrup dziecka, zeschłego jak mumia, lecz na brunatnéj skórze istotnie można odróżnić tysiące piętn zagłębionych, niby od przekłócia powstałych. Wiadomo, że nauka pomimo ostatnich procesów o zabijanie dzieci chrześciańskich przez żydów, wynikłych na Kaukazie i w Węgrzech, odrzuca stanowczo udział religijny żydów w zbrodni dzieciobójstwa; nie mniéj jednak nadzwyczajnemi dowodami potwierdzają fakta zacięci adwersarze. O Hawryłce téż słuckim wspomina twierdząco zaciekły żydofob, awanturniczy exksiądz Lutostański, w ciekawém i obszernem swém dziele niedawno wydaném w języku rosyjskim i wymierzoném przeciwko jakoby dogmatowi Chasydów, mających używać krwi do przaśniaków wielkanocnych.

Po obejrzeniu Hawryłka, zapytałem o groby książęce i byłem zdziwiony odpowiedzią, że oprócz dwóch trumien w pieczarach więcéj ich nie ma. Żądałem je obejrzeć. Weszliśmy do ciemnych, zawalonych obrzydliwém śmieciem podziemi; poprzedzał mię mnich z zapaloną świecą woskową; uczułem stęchliznę i chłód przykry, pieczary rozchodziły się w lewo i w prawo, pod nogami tątniało jak gdyby tam próżnia była. Dla czego taki odgłos? zapytałem czernca. Zapewne tam są lochy i owe groby książęce, brzmiała odpowiedź — więc są, pomyślałem sobie. Szliśmy jeszcze nieco, dobrze pochylając głowy, aby nie zawadzić o nizkie sklepienia, aż wreszcie czerniec stanąwszy i wskazując na dwie trumny, stojące w okropném zapuszczeniu na kupie gruzów, wymówił półgłosem: „oto druga żona ks. Janusza, księżna Mołdawska i jéj syn“. Byłem zaniepokojony taką erudycyą mego cicerona na punkcie genealogii, atoli nie chcąc mu robić przykrości, przyjąłem fałszywą monetę za dobrą. Tę opowieść błędną wkładają mnisi, jak się dowiedziałem, w uszy wszystkich turystów i nawet podobno ją wydrukowano w przewodniku, objaśniającym pamiętniki Trojczan, z tego więc powodu należy tu zapisać parę uwag.

Już nadmieniłem z kim się ożenił poraz drugi wiarołomny ks. Janusz, spadkobierca księztwa Słuckiego; wszakże miał on rodzonego synowca, także Janusza, owego osławionego hetmana, ożenionego pierwszy raz z Potocką, a drugi z księżniczką wołoską, Maryą Lupulli; która istotnie pochowana w cerkwi na Trojczanach (ob. Kotłubaj str. 154); umarła jednak jakoby bezpotomnie; czyjażby więc była trumna podrostka mężczyzny w stroju polskim? Nie mogliśmy tego wyrozumieć. Rzecz ciekawa, a jednak naturalna, że o grobach Olelkowiczów w monasterze nie ma dokładnéj wiadomości; mnisi bowiem obecni, są to ludzie nowi, wszystko obcy i w dodatku bez należytego ukształcenia, groby zaś musia-

no zamurować dawniéj, wskutek rozporządzeń władzy, więc czerncy tradycyi przerwanéj już nie pochwycili [1]).

Ale groby niezawodnie istnieją w dolnéj kondygnacyi pieczar, i wyraźnie je czuć można po głuchym odgłosie podziemnego echa, kiedy się przechodzi po sklepach wierzchnich. Wyszliśmy z pieczar, doznając przykrego wrażenia, gdyż powtarzam, wnętrza onych przedstawiają zupełną sprzeczność z czystością saméj świątyni: — brudy i śmiecia wszelkie, jakby z umysłu tam nagromadzone, sprawiają oku widok wstrętny, bo nie uszanowano nawet pozostałych trumien potomków rodu, oczekujących darmo opiekuńczéj ręki żyjących, chociażby przez zakopanie wprost do ziemi.

Już nie wiele pozostawało do obejrzenia. Z grobów udałem się do zimowéj kaplicy monasteru, gdzie w zakrystyi przechowują się starożytne portrety Olelków. Zasługują one na największą uwagę, nie pod względem sztuki, lecz pod względem archeologicznym, więc o nich wspomnieć należy. Widzimy tu olejno wykonane podobizny Aleksandra, owego Olelki, protoplasty rodu, zmarłego 1455 r., Jurja III, ojca historycznéj Zofii; Aleksandra i Siemiona, rodzonych stryjów Zofii, z których Siemion zmarł 1597 r. i leży w Lublinie, tudzież saméj Zofii i jéj męża Janusza Radziwiłła. Nadpisy na tych malowidłach są po większéj części polskie i kilka tylko jest łacińskich, a ubiory charakteryzują wieki i położenie w świecie osób przedstawianych; kilka postaci jest wyobrażonych w strojach hiszpańskich, według zwyczaju panującego na dworze w XVI stuleciu.

Będąc pewnym o zachowanych starych archiwach monasteru, zapytałem o nie przełożonego, ale jakież było moje zdziwienie, gdy mi oświadczył, iż żadnych literalnie papierów starych monaster nie posiada, ponieważ najdawniejsze miały spłonąć w pożodze Trubeckiego, późniejsze zaś po roku 1863 zostały wywiezione do Wilna.

---

[1]) Jest wersya że Maryą Lupulli robią bezdzietną dla względów religijno-politycznych. Hospodar Lupulli miał położyć za warunek ks. Januszowi, aby syn jego był wyznania greckiego. Tak się stać miało, ale to przerażało Jezuitów, więc mieli otruć prawosławnego Radziwiłła z pomocą mamki, która podała młodemu ks. rozkrojone jabłko nożem zatrutym. Następnie sprawę całą zatarto, lecz legenda pozostała i przedarła się do pism rosyjskich. Drukował o tém w Rus. Wiestniku Katkow. Przekonani są o tém kalwini litewscy, a między innymi stanowczo przyznawał fakt znany superintendent białoruski, S. Lipiński. Dawał temu wiarę i Adam Kirkor, o czém wiem osobiście od niego. Zmarła ks. Marya 5-go stycznia 1660 r. Wiadomości o niéj poszukiwał w Nieświeżu w roku 1886 uczony mołdawski, pan Biance, aleśmy nie słyszeli, aby zwiedzał jéj smutny grób na Trojczanach w Słucku.

Wiem z ust luminarza, ks. Antoniego Moszyńskiego, że archiwum monasteru słuckiego, posiadało prawdziwe skarby do historyi krajowéj, i do rodowodów Czartoryskich, Czetwertyńskich, Wańkowiczów i innych domów naszych; zapewne wszystko to musi być w ręku archeograficznéj komisyi Wileńskiéj i bogdajby umiano zrobić z tych rzeczy publiczny użytek. Opuściłem Trojczany nie bez wzruszeń z powodu rozpamiętywania świetnéj, a teraz idącéj w zapomnienie przeszłości zasłużonego w ojczyźnie rodu Olelkowiczów.

Nie mając zbyt wiele czasu, musiałem prędko zwiedzać osobliwości Słucka, więc teraz była kolej na książnicę pastora Biergiela.

(*Dok. nast.*).

Z DEPESZĄ.

OPOWIADANIE STAREGO KAPITANA

PRZEZ

Kajetana Kraszewskiego.

O! nieszczęsny cnotliwych Polaków wysiłku,
Jeszcze sławą gorejesz, ach! na sławy schyłku.
J. P. Woronicz.

Nie wiem czy żyje dziś choć jeden z tych starych wojskowych, którzy uczestniczyli w początkowych kampaniach Napoleona I-go, kiedy ten się jeszcze skromnie tylko generałem Bonaparte nazywał. Dla młodszego pokolenia urwała się już nić bezpośredniéj z żywego słowa tradycyi; my, pamiętamy jeszcze kilku takich, jak naprzykład Pana Laskowskiego z Jaćwierza, majątku przy saméj puszczy Białowieskiéj leżącego; staruszek, pod Suworowem włoską kampanią odbywał i jeszcze około 1850 roku ubierał się w najosobliwszy swój wojskowy mundur z czasów Cesarzowéj Katarzyny. Pułkownika Chłusowicza legionistę, który najosobliwsze przechodził przygody, a w Hiszpanii ożenił się był z jąkąś ostatnią z rodu w prostéj linii praprawnuczką Krzysztofa Columba, owdowiał i wrócił do kraju z córką, przywożąc niezmiernie cenne i ciekawe po wielkim podróżniku pamiątki [1]). Znaliśmy P. Adamowicza z Gobiat w Wołkowyskiém, również z owych czasów żołnierza; mając on już lat ośmdziesiąt co dzień gospodarstwo objeżdżał na koniu i z chartami polował. Znany był z zacności i nieposzlakowanéj prawości charakteru, cieszył się téż największém poważaniem całéj okolicy i nie

[1]) Patrz opowiadanie nasze p. t. Od Szkolnéj Ławy. Wąrszawą. Gebethner i Wolff 1880.

było sprawy ani kompromisu, w którychby go na superarbitra nie proszono, lubo był, i do śmierci pozostał wyznawcą Koranu; pochodził bowiem z rodziny Tatarskiéj z czasów Witołdowych; nie wielkiego wzrostu, krzepki, rumiany, a włosy gęste i wąsy miał jak mleko białe. Staruszek wielkim był przyjacielem ojca naszego i w roku 1856-tym, mimo znacznego oddalenia, przyjeżdżał do nas na Podlasie, do Romanowa, gdzie kilkanaście dni bawił. Pamięć miał nadzwyczajną i niepospolity dar opowiadania, słuchaliśmy go przez ten cały czas z największém zajęciem.

W sąsiedztwie téż naszém na Litwie, koło Dołhego mieszkał stary kapitan Sobolewski, w Połonnym Hrudzie [1]). Ten, dostawszy się do Paryża w czasie wielkiéj rewolucyi zaczął od tego, że publicznie na placu spalił wszystkie swoje szlacheckie i legitymacyjne papiery, potém wstąpił do wojska, przechodził Alpy z Napoleonem i już wszystkie z nim kampanie, aż do końca odbywał. Bardzo często, stary kapitan dom naszych rodziców odwiedzał, że jednak między Dołhem a Połonnym Hrudem rozciągają się błota, więc w mokry czas lub na wiosnę przybywał tak zwaną „kałamaszką“ jedném koniem, gdy zaś było sucho, krótszą drogą przychodził najczęściéj piechotą; zawsze i nieodmiennie nosił długie buty „z wichlerzami“: szaraczkowy frak, biała grubo nawiązana chustka na szyi, kapciuch na guziku od fraka i w ustach nieodstępna fajeczka. Opowiadał wiele i pamięć miał téż zadziwiającą, nie tylko najdrobniejszych szczegółów z własnego życia i kampani, które sam przebywał, ale i tych zdarzeń, o jakich wiadomości jego doszły z relacyi towarzyszów broni. Zdarzało się, że opowiadania jego sprawdzano dla ciekawości z opisami historyi i nie trafiło się nigdy, żeby się czemkolwiek różniły.

Stary kapitan bardzo był wstrzemięźliwym i wzbraniał się zawsze od picia jakichkolwiek trunków, dał się przecie kiedyś namówić na stary miód.

Skosztował.

— Hm—mruknął—doskonały; tak ciemny i tłusty jak malaga, a nawet w smaku trochę podobny.

— To nie zawsze, widać Kapitanie, byłeś przeciwnikiem trunków — zauważył ktoś z obecnych — pewno piliście malagę w Hiszpanii?

— Ba, mój Panie — odparł stary pykając swoją fajeczkę— à la guerre, comme à la guerre, trudno pić wodę, kiedy jéj nie ma, a w Hiszpanii wina taka moc, że kto tego nie widział, trudnoby i uwierzył.

---

[1]) Wspomina o nim ś. p. brat Józef w „Nocach bezsennych“. Tygodnik Illustr: Nr. 263—z d. 14 stycznia 1888. *Przyp. Autora.*

Ot, opowiadali mi towarzysze z 7-go Pułku ułanów, Konopki, że w 1809 roku, kiedy przyszli na odpoczynek do Valdepenias, w Mancyi, na drodze do Sierra-Morena, zastali wieś zupełnie opuszczoną, ani żywéj duszy nie było, ale poczciwi Hiszpanie zostawili tak ogromne zapasy wszelkiéj żywności i wina, że choć tam stał cały pułk naszych ułanów i drugi pułk holenderskich huzarów, przez parę miesięcy nie byli w stanie tego ani zjeść ani wypić, a pewno sobie nie żałowali; wino stało w kamiennych cysternach i w skórzanych worach, które oni tam nazywają „la peleja del vine". Rachowano, że tam do dwóch milionów garncy być mogło, a jak które nie smakowało, to nasi żołnierze konie nim obmywali, to była codzienna rzecz. Ot! marnotrastwo, jak wiadomo na wojnie, a Kapitan Majewski, człowiek bardzo przemyślny, pędził tam na miejscu z tego wina doskonałą gorzałkę, którą téż późniéj u niego sam piłem.

— Piękny to kraj, Hiszpania—ciągnął staruszek—lud nawet dobry, tylko w obronie swojéj ziemi okrutnie zaciekły i już się przed żadném nawet okrucieństwem nie wstrzyma. Chytrzy i przebiegli, w pole ich wyprowadzić nie łatwo; czasu wojny, jak im się jaki francuz do rąk dostał, to się nad nim nie po ludzku pastwili. Dla tego téż, kiedy się partyzantka zaczęła, a za każdym krzakiem czy za skałą siedział jakiś gerilas, najsurowsze rozkazy wydawano, żeby się żaden żołnierz pojedyńczo nie ważył z obozu wychodzić.

Zamyślił się na chwilę kapitan—i ozwał się wreszcie jakby ożywiony wspomnieniem.

— No, a jednak znajdowali się tacy, co się na to ważyli—choć to było prawie iść na pewną śmierć!

Latem 1808 roku staliśmy w samym Madrycie, przyjechał był właśnie Murat, szwagier Napoleona—przez nieludzką srogość sam nawet przyśpieszył powstanie, cały naród się ruszył, partyzantów roiło się jak mrowia na każdym kroku, otaczali nas w koło, zajmowali wszystkie posterunki i przesmyki.

W Lisbonie tymczasem konsystował Junot ze swoim korpusem. Rossya na ten czas choć się trzymała niby neutralnie, była jednak w sojuszu z Napoleonem; w Madrycie zaś rezydował hrabia Strogonow ambasador, a w Lisbonie stał z flotą admirał Siniawin. Ale między Madrytem a Lisboną, oprócz setek gerilasów, przecinały wszelką komunikacyę wojska sławnego wodza partyzantów, Hiszpańskiego patryoty Castaniosa. Wszystkie gościńce, dróżki i górskie przesmyki tak były strzeżone, że ptak chyba tylko byłby przeleciał.

Muratowi koniecznie trzeba było się porozumieć z Junotem dla wspólnego działania, ale na to nie mógł wynaleść żadnego sposobu; radzili tam w sztabie, przemyśliwali, utyskiwali i nic wreszcie wymyśleć nie mogli.

Słyszał te narzekania hr. Strogonow po kilka razy, aż jednego wieczora rzekł do Murata:

— E, bo nie umiecie sobie radzić, sposób jest i niezawodny!

— Łatwo to Panu mówić—odparł Murat z niechęcią;—z miejscowych przecie nie można użyć nikogo, a z naszych któż to się odważy pójść na pewną śmierć? wszakże Pan wiesz, jak nas gerilasy pilnują, i wąż się między niemi nie prześliźnie!

Ambasador się uśmiechnął.

— A ja Panom zaręczam— rzekł z naciskiem—że nie ma w tém nic trudnego.

Murat zerwał się z krzesełka na równe nogi.

— Jakiż sposób? jaki?—zawołał żywo.

Było przy tém kilku starszych oficerów, otoczyli wszyscy ambasadora, z niedowierzaniem i ciekawością zasypując go pytaniami.

— Panowie nie znacie własnych ludzi—mówił powoli i z uśmiechem hrabia—wszakże macie w swojém wojsku Polaków?

— A no, mamy—mruknął Murat.

— Otóż ja ich znam lepiéj niż panowie—ciągnął ambasador —są między nimi ludzie niesłychanéj odwagi i wielkiéj ambicyi— każ pan ogłosić, że potrzebujesz posłać którego na ochotnika do Junota, a ja zaręczam, że się znajdzie takich dziesięciu; ja temu ochotnikowi dam swoje depesze do Admirała Siniawina do Lisbony, pan mu dasz do Junota zlecenie ustne, ubierzemy go w mundur rosyjski i pojedzie na pewno. A choćby go powstańcy sto razy złapali, nasza neutralność jest dla nich tak ważną, że mu nie będą śmieli zrobić nic złego.

— Ha — ozwał się Książe Bergu—myśl jest bardzo dobra. nie przeczę, ale nie wiem czy się znajdzie taki szaleniec, coby się na podobną drogę ważył, bo Pan hrabia znowu nie znasz Hiszpanów; oni jak go złapią wystawią na najcięższe indagacye i próby, żeby się przekonać, czy istotnie jest ruskim a nie francuzkim oficerem; żeby wytrwać i wytrzymać nie dość na to odwagi, trzeba—charakteru!

— Ja myślę — odparł hrabia — że kto się téj misyi podejmie, to już dowiedzie i odwagi i charakteru.

— A no — zakończył Murat — bardzo dziękuję za tę pomoc i radę, dla mnie to tak ważna rzecz, że muszę sprobować; poproszę generała Krasińskiego o ochotnika—zobaczymy!

Zaraz nazajutrz gruchnęła o tém wieść w naszém wojsku; na prawdę nie dziesięciu, jak zaręczał ambasador, ale mało nie wszyscy młodsi żołnierze i oficerowie rwali się, i chcieli się podawać na ochotników; głównie jednak napierało się trzech: Kamiński Prażmowski i Leszczyński; ten ostatni był może z całego pułku najmłodszym, bo i dziewiętnastu lat nie miał skończonych, ale chłopak był dzielny, odważny i bardzo nawet uzdolniony; umiał i po rusku, po niemiecku doskonale i po francuzku, i hiszpański język dobrze rozumiał, a przytém postawny i bardzo przystojny. Lubili go wszyscy, miał łaski i u generała Krasińskiego; zaraz go téż wybrał i za-

prowadził do Murata, ale ten, jak go zobaczył, zaczął się śmiać i rzekł, zwracając się do generała:

— Cóż mnie takiego dzieciaka, gołowąsa przyprowadziłeś; do takiéj sprawy potrzeba człowieka wytrwałego.

— Dzieciak nie dzieciak — odparł nasz generał—ale ja go znam, jestem pewnym i Księciu za niego zaręczam, że się sprawi jak należy.

Murat zwrócił się do Leszczyńskiego.

— Wiele masz lat?—spytał.

— Ośmnaście skończonych...

Książe z uśmiechem ruszył ramionami.

— Ale czy wiesz na co się narażasz?—rzekł znowu—tobie się zdaje, że to zabawka — a to rzeczy ważne i niebezpieczeństwa na każdym kroku.

— Wiem, proszę W. ks. Mości—odparł śmiało Leszczyński—że mogą mnie hiszpanie złapać i indagować i straszyć, ale jeśli mnie ten honor spotka, że będę posłany, to mam nadzieję, że dam sobie radę—zresztą—dodał—nie taka to straszna ani trudna rzecz, każdy z moich kolegów w pułku tak samo jak ja, chętnieby pojechał.

Ta odpowiedź Muratowi bardzo się podobała, widział w chłopcu determinacyą i śmiałość bez żadnéj fanfaronady, jaka się najczęściéj u francuzów spotyka. Pochwalił go więc i kazał mu być gotowym na dzień następny.

Natychmiast wiec kazano krawcom robić mundur Rosyjski według wskazówki ambasadora, przygotowano pasport i depesze do admirała Siniawina, wieczorem Murat wezwał Leszczyńskiego do gabinetu, wyłożył co ma powiedzieć Junotowi, dano mu dobrego konia i na drugi dzień rano Leszczyński wyjechał.

Podróż wiodła mu się z początku tak szczęśliwie, że przez dwa dni nikt go nie zaczepił; dopiero trzeciego dnia koło południa obskoczyli go i przytrzymali gerilasy.

Była tego ćma i powstańców uzbrojonych i chłopów z pałkami, chałas się wszczął okrutny, zarzucili go pytaniami; Leszczyński niby począł się dziwić i tłómaczyć im po niemiecku, jakoby wcale nie rozumiał co mówią i czego chcą od niego.

Castanias stał tu właśnie sam niedaleko z obozem, gerilasy dogadać się z nim nie mogli, nie wątpili jednak, że złapali francuza, a jeden chłop zaręczał, że go zna i widział w Madrycie tylko w innym mundurze.

Poprowadzili go wnet w tryumfie do głównéj kwatery; ale i tam po niemiecku sam tylko wódz trochę umiał. Zaczął go więc osobiście i dość łagodnie badać: kto jest z kąd i dokąd jedzie? Leszczyński przedstawił mu depesze do admirała Siniawina adresowane i pasport swój jako oficer rosyjski.

Byłby go Castanias nie zatrzymywał i natychmiast wypuścił, ale sztab jego, adjutanci i oficerowie, nienawidzący francuzów, po-

częli mu bardzo gorąco przekładać, że w tém niezawodnie musi być jakaś zdrada, że trzeba go lepiéj wybadać i zrewidować. Tymczasem tłum powstańców i chłopów hałasował i wykrzykiwał przed generalską kwaterą, dopominając się i domagając, żeby złapanego szpiega powiesić, rozstrzelać albo i rozćwiertować, jak to u nich było już rzeczą zwyczajną. Właśnie tak na kilkanaście dni przedtém zamordowali, pastwiąc się w okrutny sposób generała Réné, który także chciał się do Junota dostać.

Do małéj izdebki, gdzie się indagacya odbywała, natłoczyło się wojskowych i gawiedzi tak pełno, że już i jeden człowiek więcéj się nie zmieścił, a jeszcze w otwarych drzwiach pchali się od podwórza, zaglądając jedni drugim po nad głowami; Leszczyńskiego tak ścieśniono, że ruszyć się nie mógł.

Castanias, jako wódz powstańczy, musiał się trochę i ze swojém otoczeniem rachować, namyślał się, co ma uczynić, gdy nowy hałas podniósł się u drzwi; poczęto się rozpychać i wpadł jeden z adjutantów, najzaciętszy ze wszystkich, pieniąc się prawie ze złości i prowadząc za rękę chłopa postawił go przed Leszczyńskim.

— Przypatrz mu się dobrze—wołał—czy poznajesz?

— Ja go od razu poznałem—odparł chłop—trzy dni temu woziłem ciętą słomę do Madrytu dla kawaleryi francuzkiéj, za rekwizycyą; ten sam oficer odemnie furaż odbierał i wydawał kwit; przypatrywałem mu się więcéj niż godzinę—mogę przysiądz na Najświętszą Pannę i na Wszystkich Świętych, że to jest ten sam oficer francuzki; nie widząc poznałbym go i po głosie.

Chłop prawdę mówił, Leszczyński ledwie rzucił okiem na oskarżyciela poznał go także, ale nie dał po sobie najmniejszego znaku i na chwilę zimnéj krwi nie stracił. Cały ratunek jego był w tém właśnie, żeby nie pokazać po sobie, że rozumie, co koło niego mówiono, jakoby po hiszpańsku i po francuzku wcale nie umiał.

Więc téż i na tę scenę patrzał spokojnie, rozglądał się i nie odezwał się ani słowa. Na zapytanie dopiero uczynione przez Castaniasa uśmiechnął się tylko, odpowiadając, że to zapawne jakaś pomyłka, a może być, że chłop widział kogoś podobnego.

Pomimo jednak téj zimnéj krwi i spokojności Leszczyńskiego, oskarżenie to pogorszyło jego sprawę; do téj pory nie było nic do zarzucenia, teraz rodziła się już wątpliwość. Jego pogodna postawa i niczém nie wzruszona flegma, coraz bardziéj jeszcze drażniła i do wściekłości doprowadzała adjutantów Castaniasa; wiele było w koło tryskających jadem i iskrami źrenic, wszystkie wpatrzone były w jego postać, w twarz, wpijały się w jego oczy, nie folgując mu ani na jedno mgnienie.

Przytrzymanie więc Leszczyńskiego dla dalszych badań i ściśléj rewizyi, których pierwéj jeszcze domagali się oficerowie, teraz oka-

zało się konieczném; natychmiast więc, po krótkiéj naradzie, że już wieczór nadchodził—odebrano mu broń i zaprowadzono do więzienia.

Była to mała w grubych murach izdebka, o jednych silnych i zamczystych drzwiach z małém tylko w górze okratowaném okienkiem; w kącie stał tapczan przyrzucony słomą.

Mrok już zapadał, w krótce otoczyły go zupełne ciemności; od kilkunastu godzin nic w ustach nie miał, dokuczał mu głód, paliło pragnienie, trudy dwudniowéj podróży nie tyle go umęczyły, ile ten piekelny zamęt kilku godzin ostatnich. Osłabiony upadł na swoje nędzne posłanie, tysiączne myśli kołowały mu się po głowie; bądź co bądź trzeba było wytrwać do końca. Jedyne zbawienie leżało w zimnéj krwi i w przytomnéj na każdą chwilę pamięci o tém, że nie rozumiał nic, co koło niego mówiono po hiszpańsku albo po francuzku—drgnienie jednego muskułu mogło go zdradzić. Dla panowania nad sobą, postanowił skupić całą potęgę swéj woli, przejąć się jak aktor tą przybraną rolą tak, aby w jéj rzeczywistość prawie sam uwierzył.

Przymknął powieki, zaczęło mu się mącić w umyśle, znużenie i młodość przemogły—zasnął snem kamiennym.

Nie wiedział jak długo w tym śnie zostawał, kiedy uczuł, że go ktoś trąca po ramieniu.

Otworzył oczy.

Stała przed nim bardzo piękna młoda kobieta, światło latarki przysłonionéj zgrabną rączką, przedzierało się przez różowe paluszki.

— Levez-vous — szepnęła mu po francuzku z wdzięcznym uśmiechem — ja tu mieszkam na tym samym korytarzu, mam drugi klucz od téj izby, widziałam jak cię prowadzili ci oprawcy, ach! jak mi Cię żal! przybiegłam tu dowiedzieć się czyś nie głodny...

Leszczyński przetarł oczy; w pierwszéj chwili nie wiedział, ani gdzie jest, ani co się z nim dzieje—prędko jednak oprzytomniał i wnet przyszła mu myśl, że to być może jakieś podejście; podniósł się więc nieco na posłaniu i spytał po niemiecku.

— Was wollen Sie?

— Cha! cha!—zaśmiała się kobieta—po cóż niemca udajesz? ja jestem także francuzką, ot! wstań lepiej prędko, chodź do mego mieszkania; tam niema nikogo, tylko ja jedna; mam jedzenie i wino, a zamiast leżeć na tym barłogu, odpoczniesz sobie na mojém doskonałém i obszernem łóżku i nad ranem wrócisz do téj izby; nikt o tém wiedzieć nie będzie.

Na wspomnienie posiłku, więźniowi głód i pragnienie obudziły się na nowo; spojrzał na kobietę; była młoda, bardzo piękna, pełna ponęty i wdzięku. Wahał się, sam nie wiedział co począć; krew mu uderzyła do głowy, tentacya była tak silna, że ze wzruszenia prawie oniemiał, czuł jak go coś w gardle dusiło.

— No, wstawaj — nalegała wdzięcząc się sąsiadka, i zgrabną rączką klepała go po ramieniu—chodź, chodź do mnie, pogadamy, zabawimy się, może ja ci w czém będę mogła być nawet pomocną, bo mam znajomych w głównym sztabie...

Te ostatnie słowa zrobiły na Leszczyńskim takie wrażenie jakby kto nań wylał wiadro zimnéj wody; bystro spojrzał w jéj czarne oczy i zdawało mu się, że w nich migotał jakiś blask dziki i złowrogi; przyszły mu na myśl niedawno uczynione postanowienia, żeby w żadnym razie nie zdradzić się ze znajomością francuzkiego, albo hiszpańskiego języka, któż wie, co to był za szatanik, co go tak dźwięcznym głosem i urokiem kusił?

Zapanował jednak nad sobą; potrząsając głową dał znak, że nie rozumie o co chodzi.

Kobieta tupnęła nóżką niecierpliwie, a twarz jéj przybrała jakiś niemiły i namiętny wyraz.

— Venez!—mówiła, pociągając go jeszcze za ramię i usiłując znakami dać do zrozumienia, o co jéj chodziło.

Leszczyński wszelako już całkiem ochłonął; duch w nim i wrodzona moc charakteru wzięły górę nad ciałem; w jakich bądź okolicznościach, postanowił przy swéj roli wytrwać niezłomnie do końca.

Znowu więc okazał, że nic nie rozumie, machnął ręką niedbale i rzucił się na swoje posłanie.

Kobieta zaśmiała się szydersko, zamruczała coś niezrozumiale i zakręciwszy się jeszcze w izdebce, żywym krokiem wybiegła, drzwi zatrzaskając za sobą.

Więzień zmęczony walką wewnętrzną, lubo rad z odniesionego nad sobą samym zwycięztwa, czuł się znękanym i osłabionym; powoli jednak uspakajać się począł i dobroczynny sen skleił mu wreszcie powieki.

Rano zbudzono Leszczyńskiego, przyniesiono jakieś pożywienie, czterech żołnierzy i kilku wieśniaków stało nad nim, czekając aż skończy jeść.

Przypatrywali mu się z urąganiem i rozprawiali: czy go jako szpiega należy powiesić czy rozstrzelać, poczem poprowadzono go znów do kwatery komendanta, gdzie zebrani oficerowie widocznie złożyli jakiś sąd czy komissyą, w któréj głównie przewodził ów zaciekły adjutant, co poprzedniego wieczora odnalazł był świadczącego przeciw niemu wieśniaka. Castaniasa nie było. Rozpoczęto od najściślejszéj rewizyi, aż do koszuli, obuwia i ubrania, które obmacywano i pruto; oczywiście nic nie znaleziono. Nastąpiły potém badania do których sprowadzono na tłómacza jakiegoś kolonistę niemca; zarzucono go tysiącznemi pytaniami i podstępnemi zarzutami, patrząc w oczy, śledząc, czy się nie zaplącze w odpowiedziach. I to się jednak wszystko na nic nie zdało; Leszczyński z całym, silną wolą wyrobionym spokojem, choć w nim się krew burzyła, odpowiadał zawsze z flegmą, krótko i stanowczo.

Zniecierpliwili się wreszcie bezowocnym trudem i sami panowie sztabowcy, dodano więźniowi czterech żołnierzy i kazano dla pouczenia o czekającym go losie zaprowadzić na plac, gdzie tracono pojmanych francuzów. Na szubienicach wisiało kilku jeńców dawniejszych, nad którymi unosiły się sępy górskie i jastrzębie, na ziemi leżało dziewięciu świeżo rozstrzelanych lub pomordowanych, jeden z nich był prawie całkiem osmalony i nawpół zwęglony, widocznie pastwiono się nad nim bez miłosierdzia.

Leszczyński, choć młody żołnierz, obyty jednak nieco w twardéj szkole toczącéj się wojny, gdzie już nie jedno oglądał pobojowisko, z oburzeniem i zgrozą patrzał na te ohydnego barbarzyństwa ofiary; krew w nim się burzyła, ale nie chcąc okazać słabości, musiał uczucia swoje pokrywać obojętném milczeniem.

To proste już znęcanie się nad nim trwało godzin kilka.

Tymczasem w kancelaryi sztabu głównego wodza, odbywała się dziwna scena; oficerowie i adjutanci nie mogli nic zarzucić jeńcowi, ale stanowcze i nacechowane istotną prawdą zeznanie chłopa, a może i przesadny trochę, stucznie wyrobiony spokój Leszczyńskiego, utrwalały w nich uzasadnione podejrzenia; nie posiadali się ze złości i chcieli go już, bądź co bądź skazać na śmierć chociaż bez dowodów. Lecz gdy oficerowie byli ludźmi bez wykształcenia i bardzo mało oświeconymi, a zfanatyzowani dawali się porywać najniższym popędom, Castanias górował nad nimi nietylko wiedzą, nauką i ogładą zewnętrzną, ale przedewszystkiém charekterem istotnie wzniosłym i szlachetnym. Przykre mu już było to znęcanie się podkomędnych jego nad młodzieńcem, którego szlachetne zachowanie się, męstwo, poświęcenie i stoicki spokój wzbudzały w nim prawdziwy podziw i szacunek.

On Leszczyńskiego nie podejrzewał—owszem, odgadł go i pewnym był, że ma przed sobą— nie szpiega lub zdrajcę ale—bohatera! Krew jego zostawiłaby niezatartą plamę na czci i honorze szlachetnego obrońcy swojego kraju.

— Moi panowie—rzekł wreszcie do oficerów—trzeba raz skończyć z tym jeńcem ..

— Tak! tak!—zawołali sztabowcy—powiesić go albo rozstrzelać, nie ma co się dłużéj z nim bawić.

— O! nie — odparł Castanias—należy raczéj podziwiać istotnie nadludzką przytomność i moc charakteru tego człowieka; nie zapominajcie, panowie, że jesteśmy żołnierzami stającymi do boju w najwznioślejszym celu: — obrony naszéj ojczyzny, a nie żadnymi brygantami lub rozbójnikami, co się pastwią nad swoją ofiarą— hańbią nas te wszystkie morderstwa. Na tego jeńca żadnych poszlak niema—wieśniak może się mylić, a nadewszystko, kimkolwiek on jest, z wiarogodnych dowodów, jakie składa musimy go uważać za Rosyanina; najprostszy zaś rozum każe nam nie narazać się i nie drażnić tak potężnego państwa, które lubo jest w aliansie z Fran-

cyą, ale dotąd przez swoje zachowanie się zupełnie neutralne pozwala nam mieć nadzieję zwycięstwa — w przeciwnym razie bylibyśmy zgubieni.

Zapanowała chwilowa cisza:—oficerowie szeptali coś i naradzali się pomiędzy sobą.

Blady, z iskrzącemi oczyma adjutant ów główny oskarżyciel Leszczyńskiego, wysunął się naprzód.

— Panie Generale — rzekł śmiało, zdławionym namiętnością głosem — my nasze życie i krew niesiemy w ofierze, nie cofamy się przed nieprzyjacielem, ale cała ta wojna, napad na nasz kraj, jest podłym, zdradzieckim podstępem— wolno nam się bronić nie przebierając w sposobach—zresztą—dodał — stanie się jak pan generał każesz, tylko prosimy, żeby ten udany wysłannik rosyjski, pozostał choć... do jutra — rano, jeszcze raz go tu weźmiemy do indagacyi... a jeśli się nic nie okaże, stosownie do woli pana generała — będzie uwolniony.

Castanias zamyślił się chwilę.

— Ha—ozwał się wreszcie—późno już, niech przenocuje; proszę mu dać należyty posiłek i posłanie — ale jutro bezwarunkowo musi się to skończyć i—niech jedzie.

Leszczyńskiego, po owéj ohydnéj przechadzce na plac exekucyi, zaprowadzono więc znowu do więzienia, przyniesiono mu jedzenie, naścielono na tapczan nieco świeżéj słomy i zamknięto w zupełnéj prawie ciemności, bo już i noc nadchodziła.

Cięższą ona była daleko od poprzedniéj dla nieszczęśliwego jeńca.

Zmęczony, legł na posłaniu; czuł, że go obejmuje jakiś stan gorączkowy; chwilami dziwne blaski poczęły mu przebiegać przed oczyma; szary mrok wieczornéj zorzy, co się jeszcze przez górne okienko przedzierał, ukazywał przed nim plamiastą, porysowaną i ciemną pleśnią porastającą ścianę izdebki, ale zdawała się ona powoli coraz więcéj rozjaśniać, owiewać mgłą jakąś, oświecać, i wreszcie rozpływać się w dal nieskończoną, odkrywając widnokręgi pełne barw, świeżości i uroku...

I widział rodzinne swoje ciche, wiejskie ustronie, w którém najszczęśliwsze dziecęce przepędził lata—i ten dom biały, nad którym zwieszały się potężne opiekuńcze konary lip odwiecznych i czerniałą kapliczkę i obejście całe, otulone w bzach, czeremchach i jaśminach, których woń znaną radby był pochwycić; i matkę i siostry i ojca staruszka i siebie, zda się, jako pacholę, igrającego w ich gronie, pieszczonego i ukochanego... daléj: oto staroświecki ogród, podzielony na równe kwatery, poprzerzynany znanemi ścieżkami, po których tyle razy przebiegał... daléj staw otoczony sitowiem, którego modre fale, karbując się w drobniuchne marszczki pod lekkim wierzykiem, migotały tysiącami światełek jaskrawego pogodnego słońca i daléj... sioło i pola i lasy zamglone... Lecz mgła coraz ciem-

niejsza nabiera barwy brunatnéj, kłębi się odsłaniając nagie skały i przepaści, a wśród nich na wyżynie zalega tysiące trupów, ciał poszarpanych, zbroczonych krwią okrzepłą, pomordowanych, popalonych na węgiel, porozwieszanych na szubienicccb; obok dół świeżo wykopany, nad którym widzi samego siebie stojącego ze skrępowanemi w tył rękoma a cały szereg gerilasów podejmuje karabiny, wszystkie lufy ku piersiom jego zwracając... słyszy wyraźny suchy trzask odwodzonych kurków...

Wstrząsnął się i obudził.

Ciemno było w izdebce, tylko zamek brzęknął donośnie u drzwi, które się też powoli uchyliły; weszła po cichu z latarką taż sama co poprzedniéj nocy kobieta. Leszczyński przymrużył oczy, udając śpiącego; zbliżyła się do tapczana i jak pierwéj pociągnęła go za ramię, ale na ten raz więzień już był przygotowany, nie zaskoczyła go niespodzianie.

Odwrócił się, otworzył oczy i spytał jak przedtém.

— Was wollen Sie?

— A! mon Dieu! nie udawajże jeszcze niemca —rzekła — po francusku—dość tego, nie wierzyłeś mnie, ale teraz spodziewam się, że uwierzysz —wstawaj, udało mi się wydostać i twego konia i broń i mantelzak... chodź ze mną—nie ociągaj się —uciekaj... bo zginiesz ach! jak mi cię żal,.. chodź prędko...

Leszczyński słuchał spokojnie.

— Ich begreife nichts davon—odrzekł, potrząsając głową.

Kobieta poruszyła ramionami z niechęcią.

— Malheureux! — ozwała się żywo — gubisz się dobrowolnie! koń czeka—nikt nie zobaczy, możesz ujść póki czas jeszcze, jutro cię powieszą albo rozstrzelają, uchodź, uciekaj—szeptała pochylając się nad nim i przymilając.

Więzień zawahał się wreszcie w swém postanowieniu... może ta kobieta istotnie ze szczerego współczucia chciała go ocalić? spojrzał na nią uważnie, ale jak pierwéj uczuł wstręt jakiś; drgały jéj wargi w przymuszonym uśmiechu, w migocących ruchliwych oczach był jakiś nieokreślony, złowieszczy i zdradziecki wyraz; oprzytomniał. Nie—pomyślał sobie—trzeba wytrwać do końca—nie jestem szpiegiem, przeciw mnie dowodów żadnych nie mają —nic mi zrobić nie mogą.

Znowu więc potrząsnął głową.

— Ich verstehe gar nichts—mruknął...

Na ten raz, kobieta już się zniecierpliwiła, ze śmiechem szyderskim rzuciła się jak tygrysica:

— Zginiesz jak pies, kiedyś taki głupi i uparty —zawołała po hiszpańsku; z klątwą pogroziła mu jeszcze pięścią i wybiegła z więzienia.

Leszczyński odetchnął swobodniéj; nie wątpił już, że te nocne kuszenia były obmyślaném podejściem, ale szukanie jakiéjś uspra-

wiedliwionéj podstawy do przytrzymania go a zapewne i stracenia, gdy téj znaleść nie mogli, dawało mu otuchę, że jeszcze ocalonym być może—byle tylko niezłomnie i z całą przytomnością wytrwał w swéj roli.

Uspokoił się nieco i nawpół drzemiąc przepędził tak resztę nocy w niepewném oczekiwaniu tego jutra, które przynieść mu miało śmierć—lub ocalenie.

Dzień wreszcie zaświtał, dano mu jakiś posiłek i zaprowadzono niezwłocznie pod silną eskortą do znanéj mu kancelaryi sztabu, było tu już pełno osób i cywilnych i wojskowych, prócz głównego dowódcy; rej wodził ów blady zażarty adjutant. Wprost wejścia otwarte drzwi prowadziły do drugiéj izby, w któréj nie widać było nikogo.

Wywołano z kąta niemca kolonistę pierwéj już używanego na tłómacza.

Zaczęła się nowa indagacya, zadawano mnóstwo pytań najrozmaitszych zdających się nie mieć żadnego nawet związku ani z sobą ani z położeniem jeńca.

Leszczyński prawie ostatnich sił dobywając do panowania nad sobą, odpowiadał krótko z zimną krwią i spokojem, które najwięcéj może drażniły inkwizytorów.

Zdawało się, że już wyczerpano wszelkie zapytania; gdy nagle przewodniczący adjutant rzekł — zwracając się z szatańskim uśmiechem do tłómacza.

— Spytaj go czy nas hiszpanów lubi, kiedy nie jest francuzem, czy nam dobrze życzy?

Tłómacz powtórzył zapytanie dosłownie.

— Owszem—odparł Leszczyński—ja naród hiszpański bardzo szanuję, najlepiéj mu życzę i ubolewam nad tą nieszczęśliwą wojną, która, dałby Bóg, aby się jak najprędzéj skończyła.

Tu niemiec tłómacz zwrócił się do adjutanta.

— Panie pułkowniku—mówił—ten jeniec powiada, że nie może ani lubić, ani szanować hiszpanów; nienawidzi ich nawet, bo są tylko rozbójnikami i krwi chciwymi mordercami i życzy, żeby ich francuzi zgnietli i silną ręką trzymali.

Podczas tego osobliwego tłómaczenia odpowiedzi więźnia, wszystkie oczy przytomnych były zwrócone na jego osobę, na twarz, na postawę, śledząc ze tchem zapartym wrażenia, jakie na nim sprawia to kłamliwe i zdradzieckie oskarżenie.

Leszczyńskiego jednak i na ten raz jeszcze nie zawiodła ani krew zimna, ani przytomność umysłu; wszakże nie powinien był rozumieć tłómacza—stał więc uśmiechnięty i spokojny, jak posąg z kamienia.

Nastała chwila ciszy; na krótko jednak, gdyż w drzwiach od drugiéj izby ukazał się niebawem Castanias.

— Dość tego—ozwał się surowo do swych oficerów — proszę natychmiast oddać temu panu jego papiery, wygotować kartę wolne-

go przejazdu do Lisbony i dać mi ją do podpisania, a podchodząc do Leszczyńskiego podał mu rękę i dłoń jego uścisnął z wielką skwapliwością.

— Wybacz Pan—rzekł po niemiecku —przepraszam za wszelkie przykrości jakie tu wycierpiałeś —a wiedząc, że z jego otoczenia nikt tego języka nie rozumie dodał z gorzkim uśmiechem—przepraszam i za tę zbytnią gorliwość moich adjutantów... ale i moją władzę krępują niekiedy... okoliczności.

W niedługim czasie Leszczyński siedział już na swoim koniu, swobodnie dążąc w dalszą drogę i dziękując Bogu, że mu dał moc i przytomność do wytrwania aż do końca w tych podstępnych próbach, przez jakie był zmuszony przechodzić.

W dalszéj podróży raz go jeszcze obskoczyli gerilasy, ale karta wolnego przejazdu, wydana przez Castaniasa, była tak dobroczynnym talizmanem, że mu nie tylko nie zrobili nic złego, lecz go jeszcze przeprowadzili do najbliższéj gospody i ugościli uprzejmie.

Po przybyciu na miejsce, Junot nie mógł się wydziwić odwadze i wytrwałości młodzieńca, nie puścił go też zaraz z powrotem, ale zatrzymał jakiś czas przy sobie.

W kilka dni zaraz po wysłaniu Leszczyńskiego do Lisbony odjechał też nagle Murat z Madrytu a na miejsce jego, jako głównodowodzący przybył generał Savary, który także chciał się porozumieć z Junotem; korzystając więc z przykładu, wysłał Prażmowskiego do Lisbony i jednocześnie do Kadyxu Kamińskiego. I ci także przechodzili różne, wcale nieprzyjemne i niebardzo bezpieczne koleje; nie tak jednak ciężkie i straszne, w jakich prawdziwie po bohatersku wytrwał Leszczyński. Bo też i Hiszpanie po tym pierwszym wysłanniku i tak barbarzyńskich a bezskutecznych z nim próbach nie byli już tak zawzięci, a może też i uwierzyli, że istotnie zostawali oni w służbie rossyjskiéj.

W każdym razie pasporta i depesze Ambasadora stanowiły dla nich najważniejszą obronę; słusznie bowiem utrzymywał Castanias, że pod tym względem do największéj oględności zniewalały hiszpanów polityczne, tyczące się ich kraju, widoki.

Romanów d. 30 listopada 1889 r.

O miastach i mieszczaństwie

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM. [1])

III. Gubernia Piotrkowska.

Przemysł w gubernii Piotrkowskiéj reprezentuje gałąź tak poważną wytworczości ludzkiéj, że znaczenie jéj zwraca na siebie uwagę nietylko w naszym biednym kraju, ale i w szerszych kołach. Czy siła ta jest owocem naszéj pracy własnéj, czy szczycić się nią możemy jako rodzimym nabytkiem, zobaczymy to późniéj, obecnie przyznać trzeba, że przemysł w téj gubernii jest imponujący, a powstał i rozrósł się w czasie nadzwyczaj krótkim.

Ludność miast i osad gubernii Piotrkowskiéj wynosi 335,673 dusz, zajmuje więc drugie miejsce po gubernii Warszawskiéj, w czém mężczyzn 164,213, kobiet 171,460 osób.

Statystyczne dane dla téj gubernii nieco odmiennie podajemy, zwłaszcza co do fabryk i zakładów, których ilość robotników i produkcya bardziéj szczegółowo obliczoną, udało nam się zebrać [2]). Produkcya więc fabryk i zakładów tak się tu przedstawia:

---

[1]) Ciąg dalszy. Zob. zeszyt na mies. listopad 1889 r.

[2]) Dla objaśnienia czytelnika co do źródeł, z których czerpaliśmy statystyczne wykazy o miastach w Król. Polskiém nadmieniamy: Wszystkie dane czerpaliśmy ze źródeł urzędowych, mianowicie: a) „Wremiennik Statisticzeskij Rossijskoj Imperii". b) „Materyały dla statistiki". c) „Monografia gorodow." d) „Pamiatnyja kniżki". e) „Obszary gubernij". Wykazy te obejmują lata 1886 i 1887, a chociaż materyały statystyczne za rok 1888 teraz zostały ogłoszone nie mieliśmy ich do rozporządzenia w czasie, w którém pracę niniejszą przygotowywaliśmy do druku. Wprawdzie z niektórych gubernii mieliśmy późniejsze materyały, jak np. z gub. Kaliskiej, ale innych nie było. Podawać zaś dane z lat różnych byłoby błędem z tego względu, że przyrost naturalny produkcyi się zwiększa nawet w takiém położeniu ekonomicznem jak nasze; podając tedy cyfry późniejsze dla niektórych tylko miejscowości, w złém świetle przedstawiłyby się inne, również, jak przypuszczamy, zwiększenie wytwórczości wykazujące. Wreszcie jednoroczny przyrost produkcyi nie jest zbyt wielkim a tutaj, gdzie chodzi o ścisłość cyfr, z których mamy wyrobić sobie pojęcie o położeniu ekonomicznem, należy się opierać na materyałach o ile to być może, dokładnych i jednoczesnych.

Przedsiębiorstwa przemysłowe.

	Ilość fabryk i zakładów.	Produkcya roczna Rs.	Ilość robotników.
M. g. Piotrków.	22	472,866	139
Powiat Piotrkowski.	219	538,845	576
M. p. Łódź.	293	41,394,412	23,716
Zgierz	60	2,824,832	2,233
Powiat Łódzki.	175	3,404,513	2,890
M. p. Bendzin.	18	124,235	98
Powiat Bendziński (Sosnowice).	221	30,144,695	21,472
M. p. Brzeziny.	16	28,958	40
Tomaszów.	112	3,703,868	2,407
Powiat Brzeziński.	121	675,664	429
M. p. Częstochowa.	31	1,398,800	1,718
Powiat Częstochowski . . .	101	1,619,237	1,391
M. p. Łask.	3	3,012	6
Pabianice	11	3,880,811	2,105
Powiat Łaski.	87	933,786	270
M. p. Nowo-Radomsk. . . .	11	486,394	1,193
Powiat Nowo-Radomski. . . .	11	1,426,819	918
M. p. Rawa.	9	39,183	16
Powiat Rawski.	93	833,360	197
Ogółem	1752	93,933,282	62,614

Przedsiębiorstwa handlowe.

	Ilość przedsiębiorstw.	Obrót roczny Rs.	Dochód roczny Rs.	Normalny % dochodu
Powiat Bendziński. .	83	4,392,700	179,750	4,1
„ Brzeziński. . .	47	1,189,900	84,800	7,1
„ Łaski. . . .	41	190,000	19,300	10,1
„ Łódzki. . . .	198	22,539,300	573,940	2,5
„ Noworadomski	57	259,200	17,850	6,9
„ Częstochowski.	49	616,200	39,470	6,4
„ Piotrkowski. .	110	748,600	50,710	6,8
„ Rawski. . . .	20	48,500	3,750	7.7
Ogółem	605	29,984,400	979,570	6,3

Ogólna zatém suma obrotu przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych wynosi 123,917,682 rubli, a główną wytwórczością tego przemysłu jest wyrób towarów bawełnianych i wełnianych, produkowanych rocznie za 52 mil. rubli.

Piotrków, odgrywający tak ważną w dziejach krajowych rolę, założony przez Piotra Dunina za czasów Bolesława Krzywoustego, już w XII wieku był czasowym pobytem książąt. Kazimierz W. zamek tutejszy przebudował i miasto murem opasał; Władysław Jagiełło w 1404 nadaje Piotrkowowi prawo magdeburskie i wszystkie dawniejsze przywileje potwierdza. Nabiera jednak miasto znaczenia dopiero z chwilą, gdy walne sejmy zaczęto tu odprawiać. W 1453 Kazimierz Jagiellończyk zaprzysięga na sejmie piotrkowskim utrzymanie praw i swobód koronnych; w 1467 zaprzysiężono tutaj traktat w Toruniu z Krzyżakami zawarty, tu obrano królów Kazimierza Jagiellończyka, Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta I. W 1533 Zygmunt I uwolnił kupców piotrkowskich od opłat, ustanowił cechy i jarmarki, a pomyślność miasta, po tylu ulgach, trwa aż do 1567, w którym Piotrków przestał być miastem sejmowym. Częściowo poniesione ztąd straty wynagrodził Piotrkowowi Stefan Batory, gdy stanowiąc w 1578 r. najwyższe sądownictwo w kraju, tu umieścił Trybunał koronny, funkcyonujący aż do końca Rzeczypospolitéj; ostatni trybunał odbył się w 1792 r. Odtąd zaczyna się stopniowy upadek miasta, a prócz czasowych obrad, które tu odbywała Rada Stanu Ks. Warszawskiego, ważniejszych faktów w życiu Piotrkowa nie ma. Dopiero rok 1846, w którym koléj przeprowadzono, stanowi epokę dla miasta; chociaż bowiem warunki jego otoczenia nie zapowiadają zbytniego rozszerzenia się i pod względem ludności i pod względem przedsiębiorstw, to jednak Piotrków ma widoki średniego dobrobytu na długie czasy, który, kto wie, czy nie jest najpożądańszym stanem rzeczy.

Dziś Piotrków liczy ludności 24,866 osób, to jest, mężczyzn 12,430, kobiet 12,436, w czem żydów 9,846, czyli część trzecią, co tylko z Warszawą się równać może. Po otwarciu kolei w 1846 r., w lat cztery ludność podniosła się do 9,000 osób, w 1867 r. po mianowaniu Piotrkowa miastem gubernialnem, ludność liczyła 11,810, w 1871 r. 16,945, zatém w ciągu lat 43 prawie się potroiła.

Fabryk i zakładów choć nie o wielkiéj produkcyi miasto ma dosyć. Są tu fabryki syropu, młyn parowy, takiż tartak, fabryka narzędzi rolniczych, 2 gorzelnie, 4 browary, 3 garbarnie, 4 mydlarnie, 2 fabryki świec łojowych, 15 warsztatów stolarskich, 8 szewckich, 8 krawieckich, blacharskie, powroźnicze i t. p. razem 141. Prywatnie, istnieje 307 rozmaitych zakładów rzemieślniczych: bielizny, strojów damskich, szewckich, krawieckich i t. p. Handlem trudni się około 700 osób, w czem żydów 82%, katolików 14%, ewangielików i prawosławnych 4%. Przedsiębiorstwa te handlowe o niewielkim zakresie utrzymują się nie źle; celem ich operacyj jest dostar-

czanie przedmiotów codziennego użytku, a głównie artykułów spożywczych. Jarmarków dorocznych 4, o małym obrocie.

Z instytucyi finansowych i innych wymieniamy: Dyrekcyą Szczeg. Tow. Kred. Ziemskiego, filią Banku Państwa, 2 kasy oszczędności, 3 kasy dla urzędników, straż ogniową ochotniczą, komitet sanitarny i 9 cechów rzemieślniczych.

Piotrków ma konsystorz filialny Rzymsko-katolicki, Radę opiekuńczą gubernialną, szpitali 2, Dom schronienia starców i kalek, ochron dla dzieci 2.

Zakładów naukowych liczy Piotrków: gimnazyum filologiczne męzkie 1, progimnazyum żeńskie 1, dwuklasową szkołę miejską 1, szkół elementarnych 3, prywatnych, chederów żydowskich 30. Organem prasy jest „Tydzień“ troskliwie śledzący za sprawami ekonomicznemi gubernii.

Ponieważ opisowi Łodzi i Sosnowic osobne miejsce poświęcamy, wspomnieć tu jeszcze należy o niektórych innych przedsiębiorstwach przemysłowych gub. Piotrkowskiéj, z poważną produkcyą, z pomiędzy których wymieniamy: Zakłady Pabjanickie przędzy bawełnianéj, Tomaszów, przerabiający głównie produkty wełny, Zgierz, będący głównem ogniskiem fabryk sukna.

Ł ó d ź, miasto tak ogólną uwagę na siebie zwracające, wymaga, byśmy o nim nieco obszerniéj pomówili. Jako nędzna wioska istniała Łódź już w XIII w. i dopiero w XV w., stanowiąc własność biskupów kujawskich, do rzędu miast została zaliczoną. Był to tylko tytuł bez treści, gdyż do pierwszych dziesiątków lat obecnego stulecia, Łódź była miasteczkiem biedném, bez ruchu handlowego i przemysłowego, a rolnictwo stanowiło główne mieszkańców zajęcie. W 1806 r. Łódź przechodzi na własność rządu, ale aż do roku 1820, pomimo że ludność jéj wzrosła znacznie, pozostała nędzną mieściną. W roku tym jednak uchwalone ważne prawo o przesiedlaniu cudzoziemców i wyznaczaniu im osad fabrycznych, co dla Łodzi było prawdziwém szczęściem, bo główny napływ zagranicznych przemysłowców i robotników do téj napłynął mieściny. O przywilejach, których udzielano cudzoziemcom mówiliśmy już poprzednio, stosowano je w całéj rozciągłości do osiedlających się w Łodzi, a jednocześnie miasto to, uznane za fabryczne, zwróciło na siebie uwagę władz, które niebawem do jego regulacyi przystąpiły. Pierwszą regulacyą spostrzegamy w 1821, a w celu przygotowania odpowiednich pod budowę przyszłych fabryk gruntów, do Łodzi włączono znaczne przestrzenie gruntów prywatnych i rządowych, a regulacya ukończoną została w 1823 r. W 1838, na wniosek członka Rady Stanu, F. hr. Potockiego o nową regulacyą miasta, Ks. Namiestnik dodaje 28 włók lasu, z którego drzewo na budowę domów i budynków fabrycznych brali mieszkańcy darmo. Regulacye te były nietylko zatwierdzeniem i rozszerzeniem dotychczasowych przywilejów, ale przepowiednią przyszłości Łodzi. Niebawem rząd wynosi Łódź do rzędu miast

o prawach gubernialnych, a rozwijanie się jéj i wzbogacanie następuje nadzwyczaj szybko. W 1793 Łódź ma mieszkańców 190, w 1829—4,273, w 1840—20,000, w 1860—40,000, w 1878—100,000, dziś liczy 150,000, z których każdą trzecią część w jednakowéj ilości, zajmują polacy, niemcy i żydzi.

Dzieje przemysłu łódzkiego niemniéj zastanawiające dają nam cyfry. Epoka rozszerzania rękodzielni sukienniczych przypada między 1820—1823 r., fabryk bawełnianych w 1824, lnianych i konopnych w 1827. Produkcya bawełniana zwłaszcza ogromny robi postęp. W 1824 zgłaszają się zachęcone przywilejami tłumy rękodzielników wyrobów bawełnianych, pragnąc tę gałęź produkcyi z Czech i Saksonii przeszczepić. Rząd stawia na czele technika z Elberfeldu Thomasa; przedsiębiorca Ill prowadzi udoskonalony zakład bielnikowy, Langie otwiera farbiarnię do czerwieni tureckiéj, Wendisch wielką przędzalnię. W 1827 r. przybywa jeden z najgłówniejszych założycieli najstarszéj łódzkiéj firmy, towary bawełniane produkącéj, Ludwik Geyer z Zittau, którego jednak zaćmił przybyły w 1864 Karol Scheibler, a jego sukcesorowie obecnie są właścicielami największej w Rosyi fybryki, i jednéj z największych fabryk świata. Ogólna wartość produkcyi Łodzi w 1840 stanowiła 941,228 rs., w 1844 dosięgła 1,251,062 rs., był to jednak zawiązek dopiero téj siły produkcyjnéj i ekonomicznego znaczenia, które ma dzisiaj Łódź, jako główne ognisko przemysłu w Polsce.

Dzisiaj, zbliżając się do Łodzi, dość jest rzucić okiem na to miasto, aby po niezliczonéj ilości kominów zrozumieć z czego żyje i czém się zajmuje. Łódź to jedna wielka fabryka wyrobów wełnianych i bawełnianych i skład tych towarów. Fabryki bawełniane produkują towaru za 33,691,445 rs., przędzalnie wełny za 7,702,967 rs. W przemyśle bawełnianym króluje Akcyjne Tow. Scheiblerowskie, w którego warsztatach znajduje się wrzecion 250,000, krosien 3,900, produkcya wynosi około 15 mil. rubli, robotników zatrudnia fabryka 5,800. Specyalnością jéj jest towar biały do wysokiéj perfekcyi doprowadzony. Wielką zasługą Towarzystwa jest wzorowa organizacya robotników. Mieszkania i żywienie się robotników, poddane są kontroli Towarzystwa, prócz tego istnieje sklep spożywczy. Ze swéj strony założył zakład szpital; pomoc lekarska zawsze jest zapewnioną, a szkółki i ochronki specyalnie dla dzieci robotników tych zakładów istnieją. Prócz tego zebrany jest osobny fundusz na wydzielanie zapomóg i wsparć robotnikom w razie choroby, oraz fundusz żelazny, od którego odsetki obracane bywają na wsparcie dla inwalidów lub wysłużonych robotników. Drugim z kolei co do rozmiarów jest zakład J. K. Poznańskiego, o 80,000 wrzecionach i 2,500 krosnach, produkujący także towar biały na sumę 8,500,000 rubli. Tu również stosunki robotnicze prawidłowo są zorganizowane. Innych fabryk bawełnianych nie wymieniamy, nadmieniając tylko, że produkcya ich wynosi około 10 mil. rubli, przemysł zaś wełniany

produkujący na 7½ mil. rubli, zatrudnia 3,647 robotników. Wyroby z metali ograniczają się jedynie do fabrykowania rur ogrzewających fabryki parowe i szpulek blaszanych do fabryk sukna, kortów i t. p.

Z instytucyi finansowych Łódź posiada: Towarzystwo Kredytowe Miejskie, które na 771 nieruchomości, udzieliło 933 pożyczek w sumie 6,261,100 rs. Nieruchomości te ocenione zostały na 15,356,296 rs., pozostaje do umorzenia 5,334,231 rs. Dochody Towarzystwa w roku zeszłym wynosiły 38,937 rs., rozchody 34,844, zysku odpisanego na kapitał zapasowy 4,092 rs. Bank handlowy łódzki posiada kapitału zakładowego 1,500,000 rs., zapasowego 309,414, dywidenda uczestników 8½ %. W kasie przemysłowców łódzkich, wkłady członków wynoszą 182,753 rs., dochód czysty otrzymano w r. z. 6,514 rs., dywidenda 6%. Wreszcie jest tu filia Banku państwa.

Instytutycyj publicznych, jak na tak wielkie miasto ma Łódź nie wiele, bo tam, gdzie pieniądz tak olbrzymią odgrywa rolę, wszystkie dążenia ku niemu się zwracają. Istnieje w Łodzi oddział Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, o bardzo słabéj działalności, Tow. dobroczynności, stowarzyszenie lekarzy, straż ogniowa, rozmaite kluby niemieckie. Prasa jest reprezentowaną przez jeden organ polski „Dziennik Łódzki“, pismo dobrze redagowane i dwa niemieckie niejednokrotnie wrogo występujące przeciwko Polakom.

O społecznem i umysłowém stanowisku wspomnimy we właściwém miejscu, jak również o wpływie, który wywiera ludność w dwóch trzecich z elementów obcych złożona, na sprawy tego dużego miasta.

Osobny ustęp musimy tu jeszcze poświęcić Sosnowicom, konkurentowi Łodzi, jeszcze w szybszym stopniu jak ta ostatnia, podnoszącém się na pierwszorzędne stanowisko przemysłowe.

Sosnowice, tworzące całość z kilku wsi i osad złożoną, powstały niedawno i od razu przemysł ich przybrał charakter przedsiębiorstw, nie mających nic wspólnego z potrzebami kraju, a nawet przeciwnych jego interesom. Podczas gdy Łódź kilkadziesiąt lat pracowała nad zdobyciem obecnego stanowiska, gdy rozwojowi jéj dopomagał rząd, a stosunki narodościowe choć niezadawalające, jeszcze w pewnych kierunkach dopatrzyć dają strony korzystne, Sosnowice powstały jako siedlisko i najgłówniejszy etap, nienawidzącéj nas prusaczyzny. Doszło np. do tego, że podczas gdy w Łodzi procent robotników cudzoziemskich wynosi 8 %, (znaczną ilość ludności niemieckiéj w Łodzi, tworzą oficyaliści, mechanicy, urzędnicy fabryk, t. z. półinteligencya i inteligencya), to w Sosnowicach w niektórych fabrykach robotnicy cudzoziemcy stanowią ¾ ogólnéj liczby, a nigdzie mniéj nad 50 %. Rozrost gwałtowny Sosnowic wywołany został znaczném podniesieniem u nas ceł na wyroby gotowe w 1878 r.; zmusiło to wielu przedsiębiorców zagranicznych do przeniesienia swych fabryk i zakładów do Kr. Polskiego, ażeby w ten sposób mieć moż-

ność przewożenia z zagranicy materyałów surowych, mało oclonych, przerabiania ich na towary wysoko oclone i usuwania się w ten sposób od opłaty tych ceł. Mało która miejscowość tak się do tego rodzaju spekulacyj nadawała jak Sosnowice. Bogate kopalnie węgla, doskonałe połączenia komunikacyjne, obfitość wody, a przytém położenie nad samą granicą pruską, ułatwiały przywóz materyałów surowych i dozwalały tanim robotnikom zagranicznym, pracować w fabrykach Sosnowickich. Przemysł Sosnowicki prawie przed dziesięciu laty nie istniejący, dziś wyrobów bawełnianych produkuje na 8,333,874 rs., wełnianych na 4,000,000 rs., a dobywanie rud i węgla kamiennego przynosi przeszło 12 miljonów rubli dochodu rocznego. Rozrost ten cieszyć nas nie może, nie zdrowy on bowiem dla tego, że nie nasz, i żałować tylko przychodzi, że rozporządzenia rządowe, powstrzymującei ograniczające w niektórych wypadkach zakładanie fabryk i wznoszenie nowych budynków fabrycznych w okręgu sosnowickim, w swoim czasie nie były przestrzegane. Między innémi przepisy wzbraniają wznoszenia cudzoziemcom budynków w pasie 875 sażeni od granicy położonym; rozporządzenie to upoważniało władze— w razie nieposłuszeństwa—do burzenia budynków na koszt ich właścicieli. Pomimo tak jasnych i surowych przepisów, pas graniczny pokrył się budynkami fabrycznymi, a chociaż obecnie obostrzenia powyższe ściśle są przestrzegane, to co już zdobyli niemieccy spekulanci, odebranėm im być nie może.

GUBERNIA LUBELSKA.

Obszarem swém jedna z największych i najludniejsza, gub. Lubelska i pod względem zaludnienia miast i osad po Warszawskiéj i Piotrkowskiej trzecie miejsce zajmuje. Mianowicie w 65 miastach, miasteczkach i osadach, ludność wynosi 221,043 dusz, w czém mężczyzn 106,795, kobiet 114,248 dusz.

Obroty przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych następujące daje cyfry:

	Ilość przedsiębiorstw	Obrót roczny Rs.	Dochód roczny Rs.	Normalny % dochodu
I. Przedsiębior. handlowe.				
Powiat Biłgorajski . . .	16	88,500	11,620	13,1
„ Chełmski	84	330,300	41,290	12,5
„ Hrubieszowski . .	38	277,700	28,750	10,3
„ Janowski	27	100,300	14,650	14,6

	Ilość przedsiębiorstw	Obrót roczny Rs.	Dochód roczny Rs.	Normalny % dochodu
Powiat Krasnostawski . .	26	271,800	17,580	6,4
„ Lubartowski . . .	58	154,400	18,040	11,7
„ Lubelski	153	3,786,000	200,600	5,3
„ Nowo-Aleksandryjs.	91	851,900	90,760	10,6
„ Tomaszowski . . .	13	60,600	11,720	18
„ Zamojski	50	240,700	17,090	7,1
II. Przedsiębiorstwa przemysłowe.				
Powiat Biłgorajski . . .	1	3,000	500	16,6
„ Chełmski	9	123,800	16,400	13,2
„ Hrubieszowski . .	3	205,000	6,600	3,1
„ Janowski	23	308,100	14,070	4,5
„ Krasnostawski . .	2	375,500	13,140	3,5
„ Lubartowski . . .	6	29,700	7,410	24,9
„ Lubelski	31	1,093,000	41,250	3,8
„ Nowo-Aleksandryjs.	17	211,900	21,000	9,9
„ Tomaszowski. . .	1	14,000	1,800	12,9
„ Zamojski	8	187,000	13,260	7,1
Ogółem w całej gubernii	657	8,713,400	587,430	6,7

Miasto gubernialne *Lublin* bardzo odległéj sięga starożytności, ale data jego założenia ściśle oznaczyć się nie da. Już za Bolesława Chrobrego gród to był obronny, siła jego odporcza nie musiała być jednak wielka, skoro w 1241 r. Mongołowie spalili miasto, a w 1244 Litwini z Prusakami zniszczyli je do reszty. Lat kilkadziesiąt miasto podnieść się z upadku nie mogło i dopiero przyłączenie go do Korony w 1302 r. odżywczo na zaludnienie i dobrobyt wpłynęło. Już w 1474 r. Kazimierz Jagielończyk podnosi Lublin do godności miasta wojewódzkiego, a częste sejmy tutaj odbywane, zwłaszcza najgłówniejszy z 1569 r. nadały miastu niepoślednie znaczenie. Materyalny zaś wzrost, wywołało ustanowienie w Lublinie Trybunału Koronnego w 1578 r., w skutek czego miasto wielu dostojników i liczne rzesze interesantów w swe mury ściągnęło. Magnaci i szlachta zmuszeni na czas dłuższy tu przebywać, budują domy i pałace, a ruch ożywiony i zamożność

miasta ściągają licznych kupców ze Wschodu. W w. XVII ludność miasta dochodzi 40,000, mnożą się kościoły, sklepy, drukarnie i jak zwykle w Polsce, bogaci Żydzi dzierżą w swém ręku handel i ekonomiczny ruch miasta. Koniec XVII w. ciężkiemi klęskami zapisuje się w dziejach Lublina. Palą go Szwedzi, rabują Tatarzy, dziesiątkuje morowa zaraza, a wielki pożar w 1702 r. dopełnia zniszczenia. Nie prędko podniosło się miasto z pod tych klęsk ciężkich. Do politycznych swych dziejów przyrzuca wprawdzie Lublin pewne fakty, bo tu Karol XII odsądza od praw do tronu polskiego Augusta II, a w tymże 1703 r. sejm znacznemi przywilejami obdarzył mieszkańców lubelskich co jednak nie wpłynęło w niczém na dobrobyt miasta. Dopiero za Stanisława Augusta, niezapomniany w dziejach Lublina Kajetan Hryniewiecki, wojewoda lubelski, z energią i umiejętnością pracuje nad podniesieniem miasta.

Dziś Lublin widzimy trzecim miastem w kraju pod względem zaludnienia. Liczy on 39,908 mieszkańców, w czem 18,141 mężczyzn i 21,176 kobiet.

Kolej Nadwiślańska mająca tu jednę z swych głównych stacyi, ekonomiczny stan miasta znacznie podniosła.

Fabryk i zakładów posiada miasto na większą skalę 20-cia, w czem fabryki tytoniu, mydła, narzędzi rolniczych, dystylarni browarów, młyn parowy i t. p. z produkcyą 1,749,847 rs.

Instytucye publiczne licznie są tutaj reprezentowane. Prócz Dyrekcyi Szczeg. Tow. Kr. Ziemskiego, miasto ma swą własną instytucyą finansową, Towarzystwo Kredytowe m. Lublina, liczące już trzeci rok istnienia, a wykazujące w swym ostatnim bilansie stan taki: pożyczek udzielono 1,462,100 rs., dochód wynosił 10,642 rs., rozchód 5,662 rs., renament 4,979 rs., a kapitał zapasowy 25,740 rs. Kasa przemysłowców za 1887 r. taki stan finansowy przedstawia: wkłady uczestników rs. 25,023, dochód czysty 8,969 rs., dywidenda 10%, kapitał rezerwowy 6,046 rs. Obie te instytucye finansowe rozwijają się bardzo prawidłowo. Z innych instytucyj publicznych, wymieniamy, prócz szpitali, z których każdy ma oddzielnego opiekuna, Tow. Dobroczynności, pod którego zarządem jest dom starców i kalek. Sala sierot, dwie Ochrony, Dom na pomieszczenie wdów z zapisu ks. Leszczyńskiego i Kasa pożyczkowa dla rzemieślników. Towarzystwo dobroczynności posiada pięć większych nieruchomości miejskich, kapitałów lokowanych na hipotekach 18,344 rs. i kapitału zapasowego rs., 7,433. Ogólny dochód w r. 1888 wynosił rs., 7,472, wydatki rs. 8,801 niedobór więc stanowił 1,329 r. Komitet pomocy naukowej, rozporządzający funduszem, pozostałym po b. domu zleceń rolników Nadwiślańskich, rozporządza kapitałem rs. 12,000, od którego procenta w myśl uchwały ogólnego zebrania naczelników b. Domu Zleceń obracane są na wspomaganie uczącéj się młodzieży, za którą corocznie opłacają się wpisy do wysokości rozporządzalnego funduszu. Prócz tego istnieje Komitet mający do dyspozycji kapitał sty-

pendyalny z zapisu dr. Steina. Przed kilku laty zawiązaną została Spółka „Teatr Lubelski“, przez którą dostarczone fundusze, użyte zostały na wzniesienie teatru, w którym mieści się resursa. Nakoniec wymienić tu jeszcze należy Towarzystwo lekarskie i Dom przytułku S-go Ducha. Biblioteki publicznej i muzeów miasto nie posiada, co zaś do zakładów naukowych, te podajemy niżéj, dla wszystkich miast gubernii razem. Organem prasy jest „Gazeta Lubelska“, pomimo trudnych warunków dobrze spełniająca swe zadanie.

Co się tyczy przemysłu wielkiego, fabryki i zakłady przemysłowe gubernii, lubelskiej podzielić można na 5 grup: 1) fabryki i zakłady, wyrabiające przetwory artykułów pokarmowych 126, 2) przedmioty włókniste — fabryk 13; 3) przedmioty metaliczne i mineralne, fabryk 20; 4) materyały drzewne fabryk 18; 5-te) wyrabiających produkty organiczne—fabryk 33. Przemysł drobny, choć nie zbyt rozwinięty, nad niektóremi guberniami góruje. Miasta i osady Janów, Kraśnik, Końskowola, Opole na większą skalę zajmują się wyrobem sukna i innych tkanin z wełny; Pawłów wyrabia naczynia gliniane, Siedliszcze doskonałe bryczki i trwałe sieci do łowienia ryb, Kazimierz słynie z wyrobu obręczy, Biłgoraj z rzeszot i sit z włosienia, rozchodzących się po Cesarstwie i Królestwie za 25,000 rs. rocznie. Jarmarków rocznie odbywa się 105, lecz żaden z nich nie zasługuje na szczególniejszą uwagę pod względem obrotów handlowych, z wyjątkiem dwóch jarmarków na konie, głównie w Łęcznie.

Zakładów naukowych po miastach w całéj gubernii istnieje: Seminaryum Duchowne w Lublinie 1, Instytut agronomiczno-leśny w Nowo-Aleksandryi (Puławach) 1, gimnazya 3 (2 męzkie w Lublinie i w Chełmie, 1 żeńskie w Lublinie), 4 progimnazya (2 męzkie w Hrubieszowie i Zamościu, 2 żeńskie w Zamościu i Chełmie), seminaryum nauczycielskie 1, szkoła techniczna Dr. Żel. Nadwiślańskiej 1, szkół początkowych 97, niedzielno-rzemieślniczych 10, niedzielo-handlowych 1.

Instytucye dobroczynne, znajdujące się pod zarządem lubelskiéj rady gubernialnej opieki publicznej, posiadały w r. 1888 kapitałów lokowanych w warszawskim kantorze Banku Państwa i na hipotekach ogółem 395,318 rs. Z téj sumy przypada na szpitale, których jest 11 w gubernii, 206,660 rs., na 15 domów schronienia 125,673 rs., i na ochronę żydowską 2,984 rs. Ilościowy stosunek żydów po miastach, w gub. Lubelskiej nie jest w ścisłe cyfry ujęty. Z rozmaitych jednak danych, które nam się zebrać udało, widzimy, że procent żydów w ogóle ludności miejskiéj stanowi przeszło 60%. Są osady i miasta, liczące 40% żydów, są inne prawie tylko przez nich zamieszkałe, jak np. Nowo-Aleksandrya 82,% Józefów 90%! Żydzi osiedlają się najchętniej, w Lublinie, na-

stępnie w miejscowościach, leżących nad Wisłą, lub tam, gdzie panuje życie przemysłowe, mniej zaś w miasteczkach, obsiadłych przez drobnych rzemieślników, najmniej zaś cisną się do osad, pozbawionych ruchu handlowego i przemysłowego.

Ilość świadectw osobistych dla całéj gubernii wynosi: I-ej gil. 11, II-ej gil. 434, wszystkich innych dla handlu detalicznego, rzemiosł i t. p. 6,213; ilość biletów dla zakładów handlowych i przemysłowych: I-ej gil. 47, II-ej gil. 408, na drobny handel 3,288.

GUBERNIA RADOMSKA.

Gubernia Radomska należy z powodu przemysłu górniczego do rzędu miejscowości, pod względem bogactwa ekonomicznego ważniejszych. Powiaty Opatowski, Iłżecki, Opoczyński, w części Koński, odznaczają się dużą produkcyą fabryczną, a bardzo bogate pokłady rudy i wielkie lasy, ułatwiają prowadzenie przedsiębiorstw. Zakłady te jednak, istniejące na prowincyi, nie mają żadnéj łączności z miastami i nie oddziaływają w niczem na ich dobrobyt. Prócz Radomia, który rokuje dobrą przyszłość i Sandomierza, choćby dla samej tradycyi zasługującego na wyróżnienie, reszta miast zżydzonych i biednych, w bardzo ciężkiem znajduje się położeniu. Handel zbożowy mógłby być źródłem poważnego dochodu dla mieszkańców miast, bo dwa tylko powiaty sandomierski i opatowski, produkujące znaczne ilości zboża, sameby dały duży dochód kupcom, ale niestety zamożniejsi ziemianie, zrażeni wyzyskiem żydów, przeważnie sprzedają swój produkt na większych rynkach zbożowych. To też miasta gubernii Radomskiej dadzą się podciągnąć pod ogólny rys, charakteryzujący wszystkie mieszczańskie siedziby. Ludności miejskiéj liczy gubernia 160,293 osób w czem mężczyzn 78,638 kobiet 81,655 dusz; ludność ta zamieszkuje 52 miast i osad. Żydzi jak wszędzie, stanowią i tu większość zaludnienia.

Miasta te i osady w obrotach handlowych i przemysłowych wykazują:

	Ilość przedsiębiorstw	Obrót roczny Rs.	Dochód roczny Rs.	Normalny % dochodu
I. Przedsiębior. handlowe.				
Powiat Iłżecki	35	207,200	23,100	11,1
„ Koński	54	501,000	47,100	9,4
„ Kozienicki	38	231,500	15,950	6,9
„ Opatowski	69	573,000	48,400	8,4

	Ilość przedsiębiorstw	Obrót roczny Rs.	Dochód roczny Rs.	Normalny % dochodu
Powiat Opoczyński . . .	28	271,800	30,000	11
„ Radomski	104	1,634,800	146,200	8,9
„ Sandomierski . .	67	1,295,000	131,280	10,1
II. Przedsiębiorstwa przemysłowe.				
Powiat Iłżecki	15	193,000	20,000	10,4
„ Koński	13	777,000	36,550	4,7
„ Kozienicki . . .	5	97,900	7,700	7,9
„ Opatowski . . .	12	495,600	31,800	6,4
„ Opoczyński . . .	6	308,000	20,600	6,7
„ Radomski . . .	13	995,000	87,700	8,3
„ Sandomierski . .	15	218,000	22,870	1,05
Ogółem w całej gubernii	474	7,897,900	649,250	8,5

Miasto gubernialne *Radom* początkowe swe dzieje ma pomroką pokryte. Tu i owdzie któryś z kronikarzy wspomina o tym grodzie opolnym, gdzie radzą (ztąd i nazwa miasta); ale dopiero za czasów Kazimierza W.; lecz więcéj o Radomiu się nie słyszy. Król przebywał tu często i w ogromnych lasach polował, wzniósł zamek, opasał go murem i mieszczan z polskiego na niemieckie prawo przeniósł. Sejmy odbywały się tu niekiedy (najgłówniejszy 1505); w 1383 w Radomiu Jadwigę królową Polską obrano, w 1401 pierwszy akt Unii z Litwą spisano. Szczególniejszym opiekunem i dobrodziejem miasta był Kazimierz Jagiellończyk, przywilejami Radom obdarzający, z których najpoważniejszym był z 1456, potwierdzający wszystkie dawne przywileje, uwalniający od wszelkiéj zależności od sądów królewskich i wszelkie puste place nietylko w mieście, ale i na przedmieściu, oddający miastu. Zygmunt III zakłada tu trybunał, zwany Komisyą radomską, która od 1613 do 1766 trwała. W 1767 zawiązano tu pod laską ks. Radziwiłła, konfederacyą radomską. W 1815 Radom wyznaczony został na siedlisko władz wojewódzkich i stopniowo podnosząc się, po zamianowaniu go miastem gubernialném, należy dziś do większych miast Królestwa.

Radom liczy mieszkańców 12,402, w czém mężczyzn 5,838, kobiet 6,564. Miasto z każdym rokiem się podnosi, od chwili pobudo-

wania drogi żelaznéj ruch budowlany rozwija się bez przerwy z gorączkowym pośpiechem, tak że od 1884 pobudowano przeszło 70 okazałych gmachów i kamienic. W tym też stosunku wzrósł ruch na polu przemysłu i handlu. Obecnie w mieście i trzech wiorstowém jego promieniu istnieją wielkie warsztaty kolejowe, 4 browary, 3 wielkie młyny parowe, młyny wodne amerykańskie, 4 duże garbarnie, 3 dystylarnie spirytusów i t. p. Z instytucyi prócz Dyrekcyi Szczeg. Tow. Kr. Ziemskiego, funkcyonuje tu oddział Banku państwa, Kasa przemysłowców; prócz tego robią się starania o założenie Tow. Kr. Miejskiego, a chociaż początkowe projekty nie uzyskały zatwierdzenia, z czasem i ta instytucya pożyteczna wprowadzona będzie. Przed kilkunastoma laty założone Towarzystwo Dobroczyności nie zdołało jeszcze zgromadzić znaczniejszéj liczby zapisów dobroczynnych i żyje przeważnie ofiarnością mieszkańców. W roku ubiegłym dochód czynił 3,851 rs., który z dołączeniem remanentu roku poprzedzającego wyniósł 6,521 rs. Po odtrąceniu wydatków w sumie 4,212 rs., pozostało na rok bieżący 2,308 rs. Inne instytucye wymieniamy poniżéj, tu tylko wspomnieć zaszczytnie wypada o doskonale zorganizowanéj straży ochotniczéj radomskiéj i o stowarzyszeniu spożywczém „Oszczędność".

Miasta i osady gubernii źle zabudowane, słabo zaludnione, nie stanowią ważniejszego czynnika w życiu ekonomicznem téj części kraju. Jeden Sandomierz z powodu swego położenia nadgranicznego, stolicy biskupiéj, seminaryum, siedliska władz celnych i sądowych, jest pierwszém po Radomiu miastem, a przepływająca Wisła i port dla statków, czynią go dość ważnym punktem handlu zbożowego. Staszów także jest większém miastem i dobrze zabudowaném, ale przeważająca tu liczba żydów zatraca charakter, który w miastach polskich widzieć pragniemy.

Lekarzy liczą w gub.: rządowych i wolno praktykujących 85, felczerów 153, weterynarzy 6, akuszerek 30, magistrów farmacyi 3, prowizorów farmacyi 36, pomocników aptekarskich 2. Szpitali sześć: w Radomiu 2, w Sandomierzu, Opatowie, Opocznie, Staszowie po jednym, łóżek w nich 211. W 1887 r. leczono w nich chorych 2,436, wyzdrowiało 1,965, umarło 196; koszt utrzymania średnio dziennie 41 kop. Dochody szpitali 21,623 rs., rozchody 22,619 rs. wyniosły; kapitały ich, lokowane w Banku Państwa, tworzą sumę 81,856 rs., na hipotekach 5,929, w gotowiźnie 3,526, prócz tego najlepiéj uposażony i największy szpital sandomierski ma ładne dobra pod miastem. Domów schronienia jest w gubernii 5, z dochodem 2,935 i rozchodem 2,776 rs. Przytułki niemowląt 3, w nich dzieci 70.

Zakłady naukowe są następujące: gimnazyum męzkie 1, żeńskie 1, progimnazyum męzkie 1, żeńskie 1, seminaryum duchowne 1, nauczycielskie 1, dwuklasowych miejskich 2, jednoklasowych 15, niedzielno-rzemieślniczych 13; prywatnych 201, w czém żydowskich 193. Z liczby uczących się 15,473, na młodzież mieszczańskiego pochodzenia, wypada 9,046 uczniów i uczennic.

Handel znajduje się przeważnie jeśli nie wyłącznie w ręku żydów i nie ma wielkiego znaczenia. Jarmarków aż 31 rocznie się odbywa, lecz ograniczają się do tranzakcyj artykułów na potrzeby domowe ludności. Jeden tylko jarmark Skaryszewski, na miano jarmarku zasługuje, a głównym jego przedmiotem jest handel końmi.

Ilość świadectw osobistych I-éj gil. wynosi 8, II-éj gil. 350, wszystkich innych dla handlu detalicznego, rzemiosł i t. p. 5,622. Ilość biletów na zakłady handlowe i przemysłowe: I-éj gil. 27, II-éj 431; na drobny handel 3,617.

GUBERNIA KIELECKA.

Gubernia ta z szeroko rozwiniętym przemysłem górniczym, a chociaż posiada takie ziemie jak proszowskie np., w rozwoju ekonomicznym miast żadnego lub bardzo mały postęp zaznacza. Ludność miast i osad wynosi 119,906 osób, w czém mężczyzn 57,150, kobiet 61,898, ludności żydowskiéj 65 %.

Obroty handlowe i przemysłowe miast i osad przedstawiają:

	Ilość przedsiębiorstw	Obrót roczny Rs.	Dochód roczny Rs.	Normalny % dochodu
I. Przedsiębiorstwa handlowe.				
Powiat Jędrzejowski .	30	54,200	7,150	13,2
„ Kielecki . . .	70	553,000	55,300	10
„ Miechowski .	22	136,000	13,600	10
„ Olkuski . . .	32	87,900	15,390	17,5
„ Pińczowski . .	25	144,000	16,700	11,6
„ Stopnicki . .	18	119,500	6,250	5,2
„ Włoszczowski .	27	61,700	7,050	11,4
II. Przedsiębiorstwa przemysłowe.				
Powiat Jędrzejowski .	4	16,900	5,470	32,4
„ Kielecki . . .	19	93,000	9,300	10
„ Miechowski .	6	78,000	7,200	9,2
„ Olkuski . . .	21	238,300	28,700	12
„ Pińczowski . .	3	27,000	2,200	8,1
„ Stopnicki . .	6	18,600	3,350	18
„ Włoszczowski .	10	75,230	6,230	8,3
Ogółem w całej gubernii Kielckiéj.	293	1,703,300	183,890	10,8

Kielce, obecnie miasto gubernialne, mniéj głośną i mniéj burzliwą miało przeszłość, aniżeli inne miasta kraju. Miasto to było własnością biskupów krakowskich i częstą ich rezydencyą, a mimo to źle zabudowane, mało zaludnione i brudne, podrzędne bardzo zajmowało stanowisko. 1360 r. Kazimierz W. chcąc pomódz miastu, zwalnia je od dawania ludzi zbrojnych, nadaje prawo niemieckie, a Zygmunt I ustanawia przywiléj używania własnéj juryzdykcyi, co potwierdzili wszyscy jego następcy. Miastem w późniejszych czasach opiekowali się bardzo gorliwie biskupi krakowscy, nadając mieszczanom przywiléj na wolne wyrabianie piwa i wódki, nietylko w Kielcach, ale w całych dobrach biskupich; prócz tego wolny wręb we wszystkich lasach biskupich mieli mieszczanie. Powoli dźwigać się zaczęło miasto, zwłaszcza gdy biskup Sołtyk zakazał w nim mieszkać żydom, co do ostatnich czasów trwało. W 1794 Kielce przeszły pod panowanie austryackie, w 1818 po inkameracyi dóbr duchownych na własność skarbu. Pomieszczono tu władze wojewódzkie, następnie zostały Kielce miastem gubernialném, aż do połączenia ich z gub. Sandomierską. Ostatnia reforma administracyjna znów Kielce do rzędu miast gubernialnych powołała.

Kielce dziś liczą 11,633 mieszkańców, w czém mężczyzn 5,452, kobiet 6,181. Przeprowadzenie drogi żel. dąbrowskiéj pod względem handlowym żadnego wpływu nie wywarło, a nawet stosunki są gorsze od dawniejszych, gdyż nie ma tu źródeł dla handlu. Rolnictwo okoliczne mało produkuje, fabryk większych nie ma, stan ekonomiczny w ogóle niezadawalający. Przemysł w mieście nieco się podniósł; założono duży browar, młyn parowy z produkcyą 130,000 rs., młyn do mielenia gipsu, cegielnię cegły ogniotrwałéj; farbiarnie tkanin, fabrykę wyrobów z marmurów chęcińskich, a w okolicy miasta istnieją dwie garbarnie, produkujące na 80,000 rs. i trzy wielkie piece wapienne. Z instytucyj wymieniamy tu Dyrekcyą Szczeg. Tow. Kr. Ziemskiego, stowarzyszenie spożywcze mieszkańców Kielc i okolicy, straż ogniową. Kielce są siedliskiem biskupiem.

Dowodem ubóstwa miast gubernii kieleckiéj jest i to, że wiadomości statystycznych o nich niema, lub takie, na które powoływać się nie można, widocznie nie interesuje się niemi nikt, a i sami mieszkańcy bardzo mało starają się o to, by poznać samych siebie i dać się poznać innym. A jednak nie jedno może dałoby się powiedzieć. Marmury chęcińskie, kopalnie olkuskie, kopalnie siarki w Czarkowéj, mające bogate pokłady, produkujące jednak zaledwie 3,100 pudów rocznie, powinny zwrócić na siebie uwagę przedsiębiorców, gdyż eksploatacya tych przyrodzonych bogactw, leżących dziś odłogiem, przyczyniłaby się do zbogacenia gubernii kieleckiéj.

Ilość świadectw osobistch wynosi: I éj gil. 0, II-éj gil. 202, wszystkich innych dla handlu detalicznego 2,971. Biletów dla zakładów handlowych i przemysłowych: I-éj gil. 4, II-éj gil. 191, na drobny handel 2,571.

GUBERNIA PŁOCKA.

Licząca 30 miast i osad gub. Płocka, chociaż co do stanu ekonomicznego należy do produkcyjniejszych stron kraju, to ani zatrudnieniem miast, ani ich zamożnością, ani ruchliwością przemysłowo-handlową się nie odznacza. Ludność miejska wynosi 115,606 dusz, t. j. najmniej ze wszystkich gubernii, w czem mężczyzn 55,096, kobiet 60,510. Żydzi i tutaj przeważają, w niektórych miastach i osadach sięgając do 80% ludności ogólnej.

Przedsiębiorstwa handlowe i przemysłowe miast i osad tak się przedstawiają:

	Ilość przedsiębiorstw	Obrót roczny Rs.	Dochód roczny Rs.	Normalny % dochodu
I. Przedsiębior. handlowe.				
Powiat Ciechanowski . .	24	113,900	6,900	6,1
„ Lipnowski . . .	32	150,100	15,710	10,5
„ Mławski	68	2,175,000	71,900	3,3
„ Płocki	111	4,923,000	272,200	5,5
„ Płoński	45	1,583,500	72,700	4,6
„ Prasnyszski . . .	29	115,300	14,550	12,6
„ Rypiński	25	124,300	12,430	10
„ Sierpecki	24	104,800	9,750	9,3
II. Przedsiębiorstwa przemysłowe.				
Powiat Ciechanowski . .	3	22,600	1,600	7,3
„ Lipnowski . . .	4	104,500	17,950	17,2
„ Mławski	18	321,000	29,400	9,2
„ Płocki	12	105,400	8,300	7,9
„ Płoński	10	782,000	27,800	3,5
„ Prasnyszski . . .	—	—	—	—
„ Rypiński	4	54,000	5,400	10
„ Sierpecki	1	15,000	1,500	10
Ogółem w całej gubernii	410	10,693,800	568,090	5,3

Płock wielu wspomnieniami zapisany w dziejach naszego narodu, Mieczysław I stawia tu pierwszy kościół. Płock rozwinął

się, głównie gdy Władysław Herman i Bolesław Krzywousty sobie w nim rezydencyą obrali. W 1207 Płock staje sie stolicą odrębnego ks. Mazowieckiego, ale dostojeństwo to drogo go kosztuje. W 1235 zdobywają go Krzyżacy, w 1243 palą Pomorzanie, w 1260 i 1286 Litwini i dopiero Kazimierz Wielki odbudowuje miasto i zwolna je podnosi. Piękny zamek, który tutaj król postawił, przetrwał 350 lat, kilkokrotnie burzony przez nieprzyjaciół, ostatecznie spalony przez Szwedów w 1704 r. Począwszy od Kazimierza W. Królowie licznymi przywilejami obdarzali miasto; Kazimierz nadał mu prawo chełmińskie, Jan Albert rządy królewskie w Płocku wprowadził, Aleksander Jagiellończyk zapewnił kupcom płockim swobodną nawigacyą po Wiśle. Stan ekonomiczny miasta pomyślny w XVI wieku, doznał ciężkiego wstrząśnienia w XVII, gdy ustępujący z pod Warszawy Szwedzi, do tego stopnia Płock zniszczyli, że Jan Kazimierz, chcąc jakiemi-kolwiek środkami podnieść miasto, pozwolił w niem mieszkać i handlować żydom. Nie oddziałało to jednak dobrze, zwłaszcza że druga szwedzka wojna dała się znów miastu we znaki i dopiero po pierwszym rozbiorze, Prusacy dość energicznie wzięli się do podniesienia miasta.

Dziś Płock liczy 20,660 ludności, w czem mężczyzn 9,076, kobiet 11,584, żydzi zaś stanowią $^2/_5$ ogółu ludności. Miasto ładnie jest zabudowane, a chociaż przemysł nie rozwinięty ze względu na bliskość Warszawy i granicy, które konkurencyą pobudzają, handel jest dość ożywiony, Płock bowiem jako miasto portowe Wisły, robi znaczne tranzakcye zbożem. Fabryk i zakładów nie wiele, są tylko warsztaty rzemieślnicze; najwięcej produkują dystylarnia, fabryki mydła i świec, młyny i wiatraki pod miastem.

Najpoważniejszą choć najmłodszą z instytucyj, jest Tow. Kredytowe m. Płocka, trzeci rok funkcyonujące. Nominalny kapitał przez Towarzystwo wypożyczony wynosi 631,450 rs., zabezpieczony na 118 nieruchomościach, oszacowanych na 1,695,777 rs. W roku ubiegłym dyrekcya przyznała nowych pożyczek na nieruchomości na 184,050 rs. Dochody Towarzystwa w 1887 wyniosły 31,323 rs., rozchody 30,198 rs. Prócz tego istnieje tu Towarzystwo Dobroczynności, straż ochotnicza, Towarzystwo wioślarskie, Dyrekcya Szczeg. Tow. Kr. Ziemskiego, Stowarzyszenie spożywcze „Zgoda".

Zakładów naukowych, prócz szkół elementarnych wiejskich, posiada gubernia Płocka w miastach 50: 2 gimnazya męskie i żeńskie, 1 seminaryum duchowne, 1 seminaryum nauczycielskie, szkół niedzielno-rzemieślniczych 10, niedzielno-handlowych 1, elementarnych 35, kształci się w nich 3,251 dzieci mieszczańskich. Szpitale istnieją w Płocku 3, w Prasnyszu, Mławie, Lipnie po jednym. Domy schronienia w Płocku, Wyszogrodzie, Płońsku, Prasnyszu, Mławie, Lipnie, Dobrzyniu, Sierpcu.

Stosunek ilościowy żydów do ogółu ludności osad i miast, w niektórych z nich tak się przedstawia: w Ciechanowie 68% w Prasnyszu 66% w Sierpcu 51%, w Mławie 70%, w Lipnie 49% ogółu ludności i t. d.

Ilość świadectw osobistych I-ej gil. wynosi w Płockiej gub. 14, II-ej gil. 344, wszystkich innych na handel detaliczny, rzemiosła i t. p. 5,669. Ilość biletów dla zakładów handlowych i przemysłowych: I-ej gil. 27, II-ej 388, na drobny handel 2,919.

GUBERNIA SUWAŁKOSKA.

Spora przymieszka krwi litewskiej tętni w żyłach mieszkańców gubernii Suwałkoskiej. Na niekorzyść to wspomnianej okolicy nie wychodziłoby, gdyby jednocześnie niepomierny rozrost Żydów, nie poraliżował działalności ludności polsko-litewskiej, zwłaszcza w miastach. Co się tyczy wsi i rolnictwa to tutaj wpływ żydów nie tak bezwzględnie występuje, ale w miastach przemysł i handel rozwinąć się nie może, właśnie z przyczyny żywiołów, które lichwą i wyzyskiem niszczą ludność tuziemczą i pracy użytecznej podnieść się nie pozwalają. Ludność miejska wynosi 113,118 dusz, to jest mężczyzn 55,502, kobiet 75, 894, stosunek zaś procentowy żydów w niektórych miastach wymieniamy poniżej. Handel i przemysł miast przedstawia:

	Ilość przedsiębiorstw	Obrót roczny Rs.	Dochód roczny Rs.	Normalny % dochodu
I. Przedsiębior. handlowe.				
Powiat Augustowski . . .	31	80,800	11,370	14,1
„ Kalwaryjski . . .	48	301,400	25,420	8,4
„ Maryampolski . .	75	595,800	44,400	7,4
„ Sejneński	32	168.700	13,950	8,3
„ Suwałkoski . . .	62	1,039,700	72,570	6,9
„ Władysławowski .	51	338,900	32,290	9,5
„ Wołkowyski . . .	115	3,074,000		
II. Przedsiębior. przemysłow.				
Powiat Augustowski . . .	5	89,000	12,400	13,9
„ Kalwaryjski . . .	1	3.600	300	8,3
„ Maryampolski . .	5	73,000	7,000	9,6
„ Sejneński	1	5,300	600	11,4
„ Suwałkoski . . .	4	22,000	2,500	11,3
„ Władysławowski .	—	—	—	—
„ Wołkowyski . .	3	43,000	3,000	7.
Ogółem w całej gubernii	433	5,834,600	529,140	9,1

Suwałki do 1715 były wsią, należącą do dóbr ks. Kamedułów w Nigrach. W tym roku zwołana kapituła, postanowiła włościan suwałkoskich uwolnić od pańszczyzny, udzielić im wolność, nadać swobody miejskie, na co uzyskano przywilej Augusta w 1720 r. który nadał miastu prawo magdeburskie, ustanowił jarmarki i targi i uwolnił mieszczan na lat 18 od wszelkich podatków. W 1816 Suwałki przeznaczono na stolicę województwa, ale prefektura departamentu Łomżyńskiego, otrzymawszy nazwę komisyi województwa augustowskiego, w Łomży główną swą miała rezydencyę. Nie trwało to jednak długo, bo już w 1818 Suwałki ponownie zostały stolicą województwa, a w 1834 przemianowano je na miasto gubernialne.

Dziś Suwałki liczą 19,113 ludności, mężczyzn 9,184, kobiet 9,924, Żydów jest 12,040 czyli 62%. Gdyby nie ta przewaga żywiołu żydowskiego i gdyby nie brak drobnych komunikacyi, miasto mogłoby znaleść źródło dochodu w handlu rybami i przetworami leśnemi, które to przedsiębiorstwa stanowią jednę z ważniejszych gałęzi tamtejszego przemysłu. Jak wszystkie miasta gubernialne i Suwalki są siedliskiem Dyr. Szczegółowej Tow. Kr. Ziemskiego. Z zakładów przemysłowych wymienić tu należy młyn parowy pod miastem, z produkcyą 100,000 rocznie.

Zakładów naukowych liczą w guber. gimnazjów męzkich 2, żeńskich 1, szkół dwuklassowych miejskich 2, niedzielno-rzemieślniczych 6. Seminaryum duchowne w Sejnach, seminaryum nauczycielskie w Wejwerach. Sejny są siedliskiem duchownego zarządu dyecezyi, rezyduje w nich biskup i konsystoż duchowny. Stolica biskupia z Nigr przeniesioną została do Sejn w 1823 roku.

Wymieniamy przytem stosunek ludności żydowskiej w niektórych miastach. W Augustowie na 10,321 ludności, żydów 5,965; w Władysławowie 6,275 m. 5,200 żydów; Wołkowyski 10,080 m. 8,640 żydów, Kalwarya 9,950 m. 7,890 żydów; Maryampol 6,448 m. 5,006 żydów; Sejny 5,033 m. 3,800 żydów.

Ilość świadectw osobistych dla całej gubernii wynosi: I-ej gildy 16, drugiej gildy 565, wszystkich innych dla handlu detalicznego, rzemiosł, handli spożywczych i t. d. 3,162. Ilość biletów na zakłady handlowe i przemysłowe: I-ej gildy 54, II-ej gildy 562, na drobny handel 1,609.

GUBERNIA SIEDLECKA

Stosunkowo do przestrzeni, więcéj nad inne gubernie posiadająca miast i osad, gubernia Siedlecka, podzielona na 9 powiatów, w niezgorszych warunkach komunikacyjnych znajduje się, mimo to w przemyśle i handlu tylko nieco więcéj produkuje od miast gubernii Łomżyńskiéj, a dwu i ćwierć milionowa wytwórczość świadczy, że produkcya jednego mieszkańca sięga zaledwie 15-tu rubli

rocznie, podczas gdy w gubernii Warszawskiéj bez Warszawy wypada na jednego mieszkańca obrotów przemysłowo-handlowych po 70 rs., w Piotrkowskiéj bez Łodzi 48 rs., w lubelskiéj 40 rs., w Radomskiéj 45 rs.

Ekonomiczny ruch miast gubernii Siedleckiéj jest następujący:

	Ilość przedsiębiorstw	Obrót roczny Rs.	Dochód roczny Rs.	Normalny % dochodu
I. Przedsiębiors. handlowe.				
Powiat Bialski . . .	50	132,100	24,450	18,5
„ Garwoliński. .	83	190,700	27,100	14,2
„ Konstantynowski.	14	38,600	6,180	16
„ Łukowski . .	43	135,900	27,940	20,6
„ Radzyński . .	89	279,800	36,740	13,1
„ Siedlecki. . .	58	295,000	32,470	11
„ Sokołowski . .	23	104,300	12,700	12,2
„ Węgrowski . .	21	72,800	8,470	11.6
„ Włodawski . .	27	57,400	11,250	19,6
II. Przedsiębiorstwa przemysłowe.				
Powiat Bialski . . .	10	94,500	9,790	10,4
„ Garwoliński. .	12	68,800	40,720	59,2
„ Konstantynowski.	2	3,100	500	16,1
„ Łukowski . .	12	173,200	17,430	10,1
„ Radzyński. . .	12	530,700	78,600	14,8
„ Siedlecki. . .	6	12,000	3,420	28,5
„ Sokołowski . .	3	6,200	1,060	17,1
„ Węgrowski . .	6	31,400	7,330	23,3
„ Włodawski . .	8	71,600	10,830	15,1
Ogółem w całéj gubernii	479	2,298,100	356,980	15,5

Miasto gubernialne Siedlce nie dawną ma przeszłość. Jako wieś Nowo Siedlce do rodziny Siedleckich należąca, do roku 1547 była skromną siedzibą rolników i w tym dopiero czasie właściciele wyjednali od Zygmunta I-go przywilej na miasto, z prawem niemieckiém i zwolnieniem na lat 8 od wszelkich podatków. W 1630 r. Siedlce przechodzą na własność Wodzyńskich, w 1670 r. nabywają je ks. Czartoryscy. Aleksandra ks. Ogińska z domu Czartoryska w wianie posiadłszy Siedlce, stawia tu piękny pałac i otacza go dużym parkiem. Po podziale kraju Siedlce zabiera Austrya, robi miasto cyrkułowém i kupuje je w 1804 r. Za księztwa Warszawskiego

Siedlce widzimy jako miasto departamentowe; po utworzeniu zaś Królestwa Kongresowego zostaje stołecznem miastem województwa Podlaskiego, a w 1837 gubernialném. W 1844 gubernia Podlaska wchodzi w skład lubelskiéj i Siedlce przy nowym dopiero podziale administracyjnym do godności miasta gubernialnego powołane zostały.

Ludność Siedlec wynosi obecnie 13,607 osób, w czem mężczyzn 6,652, kobiet 6,954. Mieści się tu dyrekcya szczegółowa Tow. kr. ziemsk., Towarzystwo dobroczynności, straż ogniowa ochotnicza; w ogóle razi tu bardzo słabo rozwinięte życie społeczne, chociaż jeśli gdzie, to tutaj przedewszystkiém inaczéj być powinno.

Fabryczny przemysł i rękodzieła nie stanowią w znaczniejszych rozmiarach zajęcia mieszkańców, jak to z wykazów powyższych widzimy; w wielu zaś miastach i osadach rolnictwo jest przedmiotem zajęcia mieszczan, bo ziemi, będącéj ich własnością liczymy mr. 46,767. w czém ornéj 25,212, łąk 6,600 lasów 6,370 mr.

Zakładów naukowych w miastach wykazują: 2 gimnazya męzkie w Siedlcach i Białéj, 1 żeńskie w Siedlach, 1 seminaryum nauczycielskie w Białéj, 5 szkół dwuklasowych, 4 niedzielno-rzemieślnicze. Szpitali jest 9, w Siedlcach, Białéj, Lelowie, Radzyniu, w Maciejowicach, w Sterdyni, w Miedzyrzeczu i dwa po wsiach w Wyrożembach, sokołowskiego pow. i Milanawicach radzyńskiego powiatu. Domy przytułku w Siedlcach, Międzyrzecu i Żelechowie, przytułki dla dzieci w Siedlcach i Białéj.

Ilość świadectw osobistych I-éj gildy 5, II-éj gil. 221, na handel detaliczny, rzemiosła i t. p. świadectw 5,989. Ilość biletów na zakłady handlowe i przemysłowe I-éj gil. 4, II-éj 359; na drobny handel 1,792.

GUBERNIA ŁOMŻYŃSKA.

Nie tylko pod względem rolniczym, ale i pod względem przemysłowo-handlowym gubernia Łomżyńska w nie zbyt pomyślném znajduje się położeniu, co naturalnie oddziaływać musi ujemnie na dobrobyt miast i energią produkcyjną ich mieszkańców. W 35 miastach i osadach mieści się 128,508 ludności, w czém mężczyzn 62,625, kobiet 65,883. Z cyfr obrotów przedsiębiorstw handlowych i przemysłowych, których suma po gubernii kieleckiéj jest najniższą ze wszystkich gubernii, łatwo się przekonać jakim jest stan ekonomiczny stron opisywanych. Oto jak się przedstawia ruch handlowo-przemysłowy miast i osad gub. Łomżyńskiéj.

	Ilość przedsiębiorstw	Obrót roczny Rs.	Dochód roczny Rs.	Normalny % dochodu
I. Przedsiębiors. handlowe.				
Powiat Kolneński . .	20	42,200	4,000	9,5
„ Łomżyński . .	55	977,800	69,400	7,1
„ Makowski . .	17	30,100	3,400	11,2
„ Mazowiecki . .	12	36,200	5,800	16
„ Ostrołęcki . .	28	80,700	8,070	10
„ Ostrowski . .	23	39,400	4,910	12,5
„ Pułtuski . . .	57	302,700	19,010	6,3
„ Szczuczyński .	44	563,400	30,270	5,4
II. Przedsiębiorstwa przemysłowe.				
Powiat Kolneński . .	—	—	—	—
„ Łomżyński . .	4	6,000	1,700	11,7
„ Makowski . .	—	—	—	—
„ Mazowiecki . .	2	11,000	1,200	10,9
„ Ostrołęcki . .	1	1,000	100	10
„ Ostrowski . .	—	—	—	—
„ Pułtuski . . .	1	1,500	300	20
„ Szczuczyński .	3	72,000	11,100	15,4
Ogółem w całéj gubernii	267	2,164,000	159,260	7,4

Pierwsze dzieje Łomży nie są nam wiadome. Na historyczną widownię występuje Łomża w XV w., gdy w 1418 r. książęta mazowieccy, Janusz i Bolesław, nadali jéj przywileje. Pod władzą tych książąt dobrze się miastu działo, a w XV i XVI-ym wieku Łomża liczyła kilkanaście tysięcy ludności i dostarczała 1,000 zbrojnych. Mieszczanie mieli zapewnioną swobodną nawigacyą na Narwi, wręb i pastwiska w obszernych lasach otaczających miasto. Wielokrotnie odpierała Łomża napady Prusaków, Litwinów i Tatarów. W XVI wieku różne klęski nawiedzały miasto, jak wylewy, pożary, zaraza; a najcięższéj dotknięte zostało miasto w 1650 r. napadem kozaków z tatarami za Chmielnickiego, którzy zniszczyli je doszczętnie. Po nad temi klęskami górowała gospodarka starostów, która do tego doprowadziła, że gdy Łomżę zabrano do Prus, liczyła ona kilkadziesiąt chałup i parę kościołów. Wszedłszy w skład Ks. Warszawskiego została miastem departamentowém, a w 1815 stolicą województwa Augustowskiego, aż po 1818 rok, w którym siedlisko władz wojewódzkich przeniesiono do Suwałk. Od 1840 zaczyna się dźwigać

miasto, a po reformie administracyjnéj, zwiększającéj ilość gubernii w Królestwie, Łomża została miastem gubernialném.

Dziś Łomża liczy 14,405 mieszkańców, w czém 6,915 mężczyzn, 6,954 kobiet. Mało które z miast posiada tak skąpą liczbę instytucyi publicznych jak Łomża: jest tu tylko Dyr. Szczeg. Tow. Kred. Ziemsk., Tow. Dobroczynności z dochodem 1,676 rs. i rozchodem 1,287 rs., dające przytułek dwudziestu kilku biednym, jest straż ogniowa ochotnicza i na tém się ograniczają objawy działalności miasta gubernialnego. Przemysł Łomży również nie jest imponujący... 20-ia tak nazwanych fabryk produkuje towaru za 14,412 rs. i zatrudnia 33 robotników. W okolicy istnieją młyny parowe z obrotem 700,000 rubli.

Zakładów naukowych znajduje się: gimnazyum męzkie 1, żeńskie 1, progimnazyum 1, dwuklasowych miejskich szkół 2, niedzielno-rzemieślniczych 6, prywatnych 12. Szpitale cztery: w Łomży, Pułtusku, Szczuczynie, Ostrołęce z dochodem 32,421 rs. i rozchodem 32,277 rs. Leczyło się w nich w 1887 r. chorych 1546. zmarło 156, koszt utrzymania chorego 58 kop. dziennie. Lekarzy 33, weterynarzy 5, felczerów 88, akuszerek 31, aptek 24. Domów przytułku 3.

Przemysł miast, jak to już wspomnieliśmy, bez rozwoju, bo kapitałów niema i ludność ich wytworzyć nie umie, drobne zaś kapitały w rękach żydów na lichwę idą i na handel form najpierwotniejszych. Przedmiotem tego handlu jest zboże, drzewo, bydło, drób, artykuły pierwszych potrzeb, sklepy i magazyny różnych konfekcyi, przeważnie w ręku żydów będące. Łomżyńska gubernia, leżąc nad granicą, mogłaby z handlu dobre zyski ciągnąć, ale tam gdzie nie ma przemysłu nie ma i handlu.

Ilość świadectw osobistych dla całéj gubernii wynosi: I-éj gildy 10, II-éj 262; wszystkich innych dla handlu detalicznego, rzemiosł i t. d. 2,864. Ilość biletów na zakłady przemysłowe i handlowe: I-éj gild. 12, II-éj gild. 227, na drobny handel 1,699.

(*C. d. n.*).

Zarysy ruchu literackiego Słoweńców.

przez

Piotra Miklawca.

Ludy słowiańskie, na południowym wschodzie Europy zamieszkałe nigdy w dziejach nie występowały samodzielnie, chwilowego bowiem ich wyzwolenia z pod zwierzchnictwa Byzancyum, nie można nazywać samodzielnością narodową. Lata, czasem dziesiątki lat, Słowianie, korzystając z przejściowych kłopotów ciemiężycieli i przechylając się na stronę ich wrogów, odzyskiwali cień wolności, lecz rozwinąć jéj podstaw, umiejętnie wyzyskać ówczesnych pomyślnych okoliczności, nigdy nie umieli i dla tego też zawsze dostawali się na nowo pod obuch najezdnika.

Jakkolwiek położenie geograficzne sprzyjało w tych ziemiach wytworzeniu państewek samodzielnych—bo kraje przez słowian zamieszkiwane, przeważnie górzyste i skaliste, już z saméj natury rzeczy przedstawiały niezdobyte niemal zapory, — to brak inteligencyi w kraju i zbyt późne kształtowanie się owych społeczeństw na zachodnich wzorach, nie dozwolił im ani korzystać racyonalnie z nadarzających się sposobności, ani wytrwać w stawianiu czoła przeciwnościom.

Ze straszną była ta męczeńska epopea nieszczęśliwych naszych pobratymców, o tém wątpić nie można i cała brutalna dzikość cywilizowanego na pozór Byzancyum a potem turków, odbiła się na ich słowiańskich hołdownikach. W pierwszych szczególniéj czasach najazdu i zaboru, byli słowianie literalnie wyjęci z pod prawa i każdy gwałt, każde nadużycie były z góry usprawiedliwione. Czy to rządcy z ramienia chrześcijańskich Paleologów, czy potem tureccy baszowie władali słowiańskiemi ziemiami na południu, zawsze dla tych nędzarzów były w pogotowiu pale i szubienice, żyzne ich niwy broczyły się krwią, nieraz nawet nie dla jakiegoś celu, lecz prosto z fantazyi możnych—przelewaną.

Słoweńcy właściwi, Styryjczycy, Karyntyanie v. Korutanie, Kraińcy i t. d., posługujący się staro-serbskiém narzeczem, zmieniali panów jak my dziś rękawiczki i trafiali zawsze z deszczu pod rynnę, a to tak dalece, że podczas gdy Serbowie i Czarnogórcy, dzięki pomyślnym zewnętrznym okolicznościom, zdołali wyłamać się ostatecznie z pod wstrętnego jarzma wroga, oni od kilku wieków pod berłem Habsburgów upośledzani, zaledwo w czasach najnowszych zdobyli sobie stanowisko konstytucyjne, na którém otworzyła im się możność rozwoju indywidualności narodowéj.

Turcy nigdy nie zaprzeczali słowiańskości téj ziemi, którą rządzili;—dla austryaków zaś dawniejszego autoramentu była to ziemia nawskroś i od wieków niemiecka, a tylko przez owych słowian najechana; należało ją tedy odzyskać, zbłąkaną owieczkę zwrócić powszechnéj niemieckiéj ojczyźnie.

Omylono się jednak w rachubie. Z pewnego danego społeczeństwa można wytworzyć angielskie, francuzkie, bogdaj i tureckie społeczeństwo—niemieckiego żadną miarą. Już i pojedyncze jednostki, dla osobistych celów, rzadko tak dalece zatracają w sobie poczucie godności, aby się zaprzeć pochodzenia, a cóż tu mówić o całych ludach? Do dziś tedy nie zdołali Niemcy przeprowadzić dzieła zatracenia.

Rok 1866 stał się na zawsze pamiętny w dziejach ludów słowiańskich pod berłem Habsburgów i rzecz szczególna, że pewne ulgi, jakie dziś posiadają, pewną wewnętrzną autonomią, jaką ich obdarzono, zawdzięczają... Prusakom t. j. najzawziętszym wrogom już nietylko słowiańskiéj, ale w ogóle wszelkiéj narodowości nieteutońskiego pochodzenia. Sfery rządzące z Wiednia, stały się po nauce odebranéj pod Sodową tak potulne, że je do ran przyłożyć można było; a rany były ciężkie, przez wieki zajątrzane, potrzebowały balsamu nie na żarty.

To, co słowianom ofiarowano pod naciskiem tych okoliczności, było bardzo mało; zawsze jednak przyznano im narodowość i prawo do życia w tym dziwacznym związku niemców z węgrami, wytworzonym przez Deaka, a i to już coś znaczy. Dziś też o powrocie do dawnych czasów i mowy być nie może, a jeżeli niewszyscy słowianie umieli korzystać z rozluźnienia ogniw krępującego ich łańcucha, wina to nie wroga, lecz ich samych, że powodowani wspaniałomyślnością wcale nie na czasie, postanowili nieprzysparzać kłopotów rządzącym i zadowolili się okrawkami spadłemi z suto dla Madziarów zastawionego stołu.

Między ludami szczepu słowiańskiego, znajdującego się we wskazanych co tylko warunkach, pokaźne miejsce zajmują Słoweńcy, lud tworzący odrośl Illiro-Serbów i mówiący narzeczem zbliżonem, do ilirsko-serbskiego języka. Zamieszkali na słowiańskiém południu, licząc około 1,350,000 głów, stanowią pewną już siłę, z którą rachować się trzeba. Rozmieszczeni między narodowościami: niemiecką,

włoską i węgierską, z trzech stron bronić się muszą i wytrzymywać już to poważne szturmy trzech wrogów już też ich podstępne zalecanki.

Z dawnych, obszernych siedzib pozostały Słoweńcom dziś tylko część Karyntyi i dolnéj Styryi na prawym brzegu Drawy — Kraina czyli Korutania, większa część Adryatyckiego pomorza, okrawek Istryi i niewydarte jeszcze przez Węgrów i Włochów okrawki ziemi w teraźniejszych dziedzinach słowiańskich. Niegdyś, należały jeszcze do Słoweńców i Styrya średnia i górna, cała Karyntya (Korutania) i część Tyrolu, dziś zupełnie zniemczone—co nasuwa myśl, że po rozbiciu państwa Wielko-Morawskiego, przy któréj to katastrofie i niemieckim bandom najemnym dostało się nieźle po uchu, część tych band zajęła wspomniane wyżéj, a opuszczone przez słowian kraje.

Słoweńcy w granicach, w których ich dziś zastajemy, za dużo też mieli do czynienia z Turkami i Węgrami na wschodniéj swéj granicy, aby w owych czasach mogli pilniéj zwracać uwagę na ościenne, opuszczone przez ich pobratymców ziemie. Dlatego też osiedlili się tam niemcy z łatwością a zdoławszy w krótkim stosunkowo czasie, wytępić resztki krajowców na miejscu pozostałe, wytworzyli tu na wskroś giermańskie społeczeństwo.

Odtąd Słoweńcy, pozostawieni samym sobie, nieledwie na własne tylko siły liczyć musieli, aby się oprzeć germanom i trzeba przyznać, że choć powoli, ale wywiązali się z zadania znakomicie, nieledwie lepiéj niż najbliżsi ich krewniacy, serbowie i czarnogórcy. Dzięki nawet nie garstce ludzi dobréj woli, ale prosto pojedynczym indywiduom, zaczęli się budować literalnie z niczego i dziś doszli do pokaźnego zasobu ksiąg narodowych, poprawili i uregulowali ostatecznie mowę i pisownię, zakrzątnęli się około zakładów naukowych, w których dziś nauczanie odbywa sie w słoweńskiém narzeczu, mającém już prawo do nazwy odrębnego języka.

Poniżéj przytoczony rys dziejów literatury słoweńskiéj, wymownie świadczy o mrówczéj pracy tego dzielnego ludu,—dowodzi po raz setny może w dziejach ziemi, że łatwiéj przenosiś góry, niż wytępić naród, choćby tylko setki tysięcy jednostek liczący, j e ż e l i tleje w nim choćby jedna iskra świętego ognia miłości kraju oraz indywidualności narodowéj. Byle żywsze tchnienie, wystarczy do rozdmuchania popiołów, i z iskierski rozpalają się pożary, których już i całe rzeki krwi, przez ciemiężców przelewane, zagasić nie zdołają.

Mówiąc o tym nielicznym a dzielnym ludzie słoweńców, przeglądając miniaturowe skarby literatury słoweńskiéj, śmiało możemy powtórzyć z Asnykiem:

Wszystko powstało i wszystko ożyło;
Bo śmierć jest kłamstwem, w które nikt nie wierzy.

I.

Podobnie jak na Szlązku austryackim przechowała się idea polskości i języka polskiego pod wpływem t. zw. reformacyi, rozpoczętéj przez Husa, tak i Słoweńcy pierwsze rozbudzenie poczucia odrębności od niemców, zawdzięczają ówczesnéj propagandzie protestanckiéj, występującéj przeciwko kościołowi rzymskiemu, reprezentowanemu przez duchowieństwo wyłącznie niemieckie.

Aż po koniec wieku XV-go ślady indywidualnéj umysłowości Słoweńców, zamykały się w kilkunastu rękopisach treści nabożnéj i w pieśniach kościelnych, które lud przechowywał w pamięci. Moralny poziom tego ludu sprowadzony do zera—nieliczne jednostki, umiejące jako tako czytać i pisać, uważane były za mędrców, za istoty wyższe inteligencyą i rozumem.

W takich warunkach predykanci protestantyzmu znaleźli obszerne pole działania i gdy pierwsi pionierzy tego ruchu społeczno-politycznego weszli do kraju, lud, ciemiężony i przez wroga i przez swoich, skwapliwie chylił się ku zmianom i ku nowéj nauce, w któréj prawiono tyle o równości i braterstwie.

Jednym z pierwszych szerzycieli zasad Lutra w kraju Słoweńców, był Przywóź Trubar, ur. 8 czerwca 1508 r. na Raczycy, w parafii św. Kocyana w Krainie; uczył się on najpierw w m. Reka (Fiume); następnie w Solnogradzie (Salzburg), a ostatecznie w Wiedniu i w Tryeście. Skutkiem przyjęcia wiary protestanckiéj, został w r. 1548 wywołany z kraju. Mówiąc o protestantyzmie, mamy tu na myśli zasady Husa, które najpierw znalazły u Słoweńców zwolenników. Trubar, jako duchowny, z łatwością już w Lublanie szerzył nowe wyznanie; wyborny kaznodzieja i lubiany od ludu wywierał niezmierny wpływ do koła—co téż skłoniło rząd do skazania go na banicyą. Wygnaniec, schronił się do Wirtembergii, gdzie w Tübindze rozpoczął pierwszy działalność literacką w ojczystym swym języku.

Pierwsze jego prace treści czysto religijnéj, były tłoczone niemieckiemi czcionkami. Jedna z nich „Abezedarium und der kleine Catechismus“ po niemiecku, inne w narzeczu Wendów, przystępniejszém dla ogółu słowian. Wydawał je wszystkie w Tübindze u Ulr. Morharta w latach między 1550 a 1556. Przedwczesna śmierć zabrała go roku 1556-ym: pozostawił po sobie, jak na owe czasy, pokaźną spuściznę bo 18 ksiąg, wydanych w słoweńskim języku. Zwolennicy uczcili go nagrobkiem, na którym piękny wiersz łaciński umieszczono [1]).

---

[1]) „Vir tumulo hoc sanctus de Slava est gente sepultus
Primus, qui Christi praeco fidelis erat...
Transtulit in Patriam divina Volumina linguam;
Sparsit in eoas dogmata sancta plagas...“

Po śmierci Trubera propaganda miasto ustać wzmogła się jeszcze na Słoweńskiéj ziemi. Sebastyan Krelj ur. w Idryi w 1538 r.; po ukończeniu nauk w Jenie i w Tübindze, prowadził daléj dzieło poprzednika. Wykształceńszy od niego, władając wybornie językami hebrajskim, greckim i łacińskim, prócz naturalnie niemieckego i ojczystego, już za życia Trubera był jego pomocnikiem a potém pierwszym tolerowanym kaznodzieją protestanckim w Lublanie, gdzie w r. 1569 zakończył życie. On to przełożył na język słoweński z łacińskiego zasady nowéj wiary i wydał w Ratysbonie u J. Burgera w 1567 r. p. t. „Postilla slowenska, to ie karshanske evangelske predige vérhu vsaki nedélski evangelion skuzi letu, sa hishne gospodarie, shole mlade inu priproste lûdu; pérvi simski del, skusi Seb. Krella". Wspólnie z Truberem wydał jeszcze „Ta celi Katehismus, eni Psalmi inu Peisni od P. Trubara, S. Krellia inu drugich" (w Tübindze 1574, a potém w Lublanie 1579 r.).

Po nim Jerzy Dalmatin został w r. 1572 kaznodzieją protestanckim w Lublanie w parafii św. Koncyana, lecz prześladowanie zmusiło go do schronienia się na prowincyą, gdzie przez lat dwadzieścia błąkał się, nauczając, aż wrócił do Lublany, gdzie umarł 1589 r.

Dalmatin wydał w Lublańskiéj tłoczni kilka dziełek treści religijnéj; najważniejszą jednak z nich była reformatowska Biblia wydana w 1578 r., lecz nie w Lublanie, gdzie się jąć téj pracy obawiano, tylko Wittenberdze, p. t. „Biblia, tu ie vse svetu Pismu stariga Testamenta, slovenski talmazhene skusi Juria Dalmatina (1584) 40— 742 kar.)". Biblią tę drukowali spadkobiercy Hansa Kraffta w 1500 egzem., a jak wielu już protestantyzm zyskał zwolenników u Słoweńców, najlepiéj przekona fakt, że na pokrycie kosztów druku i cennych w tekscie miedziorytów, złożono w Krainie z ofiar dobrowolnych 6,100, w Styryi 1,000 a w Karyntyi 900 ówczesnych złotych reńskich.

Tymczasem nowe wyznanie zyskało już w kraju i u rządu prawo obywatelstwa i kraińczyk Adam Bohoricz, magister filozofii, doktoryzowany w Wittenberdze zajął (1566—1582) posadę rektora protestanckiéj szkoły w Lublanie, gdzie też i rozpoczął swą działalność literacką od napisania dzieła po łacinie, p. t. „Elementale Lubacense cum nomenclatura trium linguarum: latina, germanica et sclavonica", które wydał w Lublanie w 1575 r.

Wsławił się jednak A. Bohoricz dopiero wydaniem porównawczéj pracy lingwistycznéj, która go lata całe mozolnéj pracy kosztowała. Całkowity tytuł tego cennego dzieła brzmi jak następuje: Arcticae Horulae, succisivae de latino-carniolana literatura ad latinae analogiam accomodata, unde Moschoviticae, Rutenicae, Polonicae, Boemicae et Lusaticae linguae, cum Dalmatica et Croatica cognatio facile deprehenditur. Praemittuntur his omnibus tabellae aliquot moshoviticam orthographiam continentes. Adami Bohorizh

Vitenbergae, Anno 1584, 8-o 186 str. Ta gramatyka, w której pomieścił Bohoricz i zasady pisowni, przetrwała prawie do połowy b. stulecia. Temu uczonemu należy się wielkie u ziomków uznanie, że oczyścił jako tako język słoweński z obcych, przeważnie niemieckich naleciałości i względnie uprościł pisownią. Usunął też niewłaściwie używany przedimek t i t i g a, jako zbyteczny i niezgodny z duchem języka.

Tym sposobem krzewiono zamiłowanie do ojczystego języka, przekonywając lud, że w rodzimém narzeczu równie dobrze jak łaciną i niemczyzną posługiwać się było można. Rozrzucone po wsiach kancyonały, po słoweńsku drukowane, przechowywały lepiéj niż podania poufne słowo ojczyste a z przywiązaniem do nowego wyznania, w którém pierwszy raz z książek modlić się było można, rosło i przywiązanie do rodzinnéj mowy, wyradzał się opór przeciw zamachom na nią.

II.

Niedługo jednak trwały piękne dni téj względnéj pomyślności rozwoju piśmiennictwa narodowego; po kilku dziesiątkach lat względnego spokoju, surowsze niż poprzednio nastało prześladowanie. Palono ryczałtem wszystko, co drukowane, znęcając się głównie nad dziełkami w słoweńskim języku wydanemi. Pozbywano się w ten sposób drukowanéj propagandy. W r. 1600 d. 8 października spalono w jednym tylko Gracu (w Styryi) około 10,000 ksiąg na indeksie zapisanych.

Duchowieństwo katolickie, przeważnie z niemców lub poniemczonych słoweńców złożone, odprawiając nabożeństwo w niedostępnéj dla tłumów łacinie, lekceważyło ich duchowe potrzeby; gdy jednak słoweńskie kazania, mimo surowych zakazów miewano w zborach ciągle, a lud, chciwy żywego słowa w rodzinnym języku, bez względu na wyznanie zaczął się do nich garnąć—dla zaradzenia złemu zdecydowało się i katolickie duchowieństwo użyć przeciw nowéj wierze takich samych środków, jak poprzednio jéj głosiciele. Rzucono się żarliwie do pisania i drukowania. W r. 1612 Tomasz Chrön (Hren), biskup lubliański, pierwszy wydał słoweńską książkę dla potrzeby kapłanów swéj dyecyzyi p. t. „Evangelia inu listuve“. Książkę tę przedrukowywano cztery razy w latach: 1613, 1630, 1672 i 1674. Do jakiego stopnia ówczesne duchowieństwo niechętne było szerzeniu oświaty między ludem, dowodzi ta okoliczność, iż po wspomnianéj wyżéj książczynie dopiero w 1690 zdobyli się Michał Mikec i Jan Candik na wydanie zasad nauki chrześciańskiéj po słoweńsku. Dla ludu wyłącznie napisał później Maciéj Kostelec (8 tomików) i Jan Schoenleben oraz Jan Vipacensis kilka tomików kazań maksym moralnych. Później mnich Alazia da Sommaripa fra Gregorio (żyjący około 1604) ułożył słownik włosko-słoweński p. t. „Vocabulario italiano e schiavo“, a jedno-

cych się uczyć słoweńskiego języka. Wadą jednak ogromną obu tych prac było: że fra Gregorio używał w nich pisowni włoskiéj.

Kazania i inne księgi dla kapłanów wydali także P. Bazar, Fr. Paglovec, Szczepan Kemperle i inni.

Mimo téj chętnéj działalności, autorowie słoweńscy z epoki reformacyi właściwą niwę literacką zupełnie zaniedbali, ograniczając się do prac czysto religijnéj treści; kilka bowiem gramatyk i słowników wydano li-tylko w celu ułatwienia zrozumienia zawiłéj często treści tych ksiąg, przesyconych mistycyzmem i zacietą szermierką na słowa.

Dopiero ur. w r. 1641 Jan Wajkard Walwazor, bogaty szlachcic słoweński z Lublany, choć pisał tylko po łacinie i po niemiecku, dał się poznać całemu niemal ówczesnemu cywilizowanemu społeczeństwu, przez wydanie cennéj pracy p. t. „Ehre des Herzogthums Krain“. Dzieło to, w czterech księgach, w wielkiéj czwórce, którego egzemplarz w połowie b. stulecia kosztował przeszło 100 fl. opatrzone licznemi i kosztownemi drzeworytami przedrukowano r. 1876—1880 w Nowém Mieście, na Doleńsku. Walwazor kochał się w miedziorytach i wydawał na nie bajeczne kwoty; a prócz swéj: „Ehre des Herzogthums Krain“, drukował jeszcze „Passionsbüchlein“, „Topographia ducatus Carniolae modernae“ (300 miedziorytów), „Topographia arcium Lambergianorum“, „Metamorphosis Ovidiana“, „Topographia Carinthia Salisburgensis“, „Teatrum mortis humanae tripartitum“, „Carta geographica Carniolae“, „Satirischer Ovid“, „Lumen naturae“ i t. d. i wszystkie powyższe prace opatrzył licznemi miedziorytani.

Walwazor, człowiek wysokiéj nauki, zrobił wiele dla swego kraju, zaznajamiając obcych z jego zwyczajami, obyczajami, dziejami i sławą, którą za pomocą prac swych cennych szeroko rozniósł po świecie Wyczerpawszy swe zasoby, gdy całą prawie fortunę umieścił w wydawnictwach, które mu żadnych materyalnych nie przynosiły korzyści, zakończył życie w straszliwéj nędzy, prosto z głodu.

W ogóle jednak, w pierwszéj połowie XVIII stulecia pisano bardzo mało po słoweńsku; prócz Hipolita Nowomeskiego, który wydał gramatykę łacińsko-niemiecko-słoweńską w 1715 r. oraz dwóch prac: Słownika łać.-niem.-słow. i przekładu dziełka Jana Amosa Komeńskiego „Orbis pictus“, pozostałych w rękopisach— znalazło się jeszcze dwóch tylko pisarzy słoweńskich: wikary Szczepan Kuźmicz, który przełożył w narzeczu słoweńców węgierskich „Nowy Testament“, kilkakrotnie późniéj przedrukowywany i pater Marko Pohlin, syn lublańskiego mieszczanina ur. 13 kwietnia 1735 r. Wykształcony ten duchowny pisał w językach: łacińskim, włoskim, niemieckim i słoweńskim, którym to ostatnim, niestety nie władał poprawnie. Wszystkich dzieł Pohlina mamy około dwudziestu, z których znaczniejsze są: „Kraynska Grammatyka“ (1788), „Tu malo besedise, sive parvumdictionarium trilingue“ (1782)

„Bild und Wahrheit“ (1785) „Kmetam za potrzebo inu pomoc“ 1789 i t, d.

Wielka szkoda, że ci pisarze nie mieli pod ręką dawnych źródeł, z których mogliby brać wzory, lub wedle nich kształtować lepiéj formy językowe; brak ten nie dozwolił im działać na pewnych podstawach — usiłowania więc poprawienia języka, były wynikami badań wedle osobistych poglądów i żadnego prawie pożytku nie przyniosły. Pohlin np. zaprowadził w pisowni słoweńskiéj rzekome jakoby ulepszenia, na które większość piszących zgodzić się nie chciała; żeby jednak skutecznie zwalczać jego metodę, należało samemu pracować na tém polu.—Wywoławszy tedy zaciętą polemikę, pobudził Pohlin tym sposobem cały zastęp pracowników do pożytecznéj działalności na niwie językoznawstwa. Ztąd niepomierna dlań zasługa.

III.

Jak widzimy tedy, po epoce w któréj w Słowenii rzucono zasady reformacyi, tylko tu i owdzie jakiś gorliwy patryota zajmował się językoznawstwem ojczystém. Czasy reakcyi i wojen, które Austrya prowadziła w XVIII wieku, stawały ruchowi literackiemu na przeszkodzie. Niesłychane pobory przetrzebiały kraj i tak już słabo zaludniony—z drugiéj strony: możni, gnębiąc lud zniechęcali go ku wszystkiemu, co stan wyższy przedstawiało. Przytém biurokracya austryacka niemcząc gorliwie znęcała się nad tą biedną ziemią. Mieszczaństwo, zmuszone posługiwać się niemieckim językiem, przestało prawie używać słoweńskiego, gdy zaś austryacka c z y n o w n i k i e r y a (?) zaczęła ośmiewać go, doszło do tego, że wstydzono się mówić nim na ulicy. Szkoły przez rząd zakładane, obsadzone nauczycielami nieumiejącymi po słoweńsku, służyły do germanizowania ludu; duchowieństwo wiejskie także w połowie niemieckie, miewało kazania, których nikt nie rozumiał. Gdyby stan taki potrwał dłużéj, to nie ulega żadnéj wątpliwości, że i te resztki oświaty narodowéj, pozostałe z czasów reformacyi, byłyby zniknęły bez śladu. Znaleźli się jednak ludzie nauki i serca w téj niedoli, którzy przebojem zaczęli wywalczać słoweńskiemu językowi należne mu w kraju stanowisko.

Najznakomitszymi z nich byli: J a p e l j, K u m e r d e j, Z e l e n k o, G u t s m a n i D e v e b e c, później zaś K o p i t a r, S z m i g o w i e c, D a u j k o i inni.

J e r z y J a p e l j ur. 11 kwietnia 1744 r. w Kamniku w Krainie, po ukończeniu szkół ludowych udał się do Lublany, wyuczył kilku obcych języków; wstąpił do zakładu duchownego i wyświęcono go na księdza, przy czém otrzymał akademicki stopień doktora pisma św. Po dwunastoletniéj nauczycielce w Tryeście, powołany do Lublany przez tamecznego biskupa, poświęcił się odtąd wyłącznie prawie zawodowi literackiemu. Tam, łącznie z towarzyszem swym

Błażejem Kumerdejem, podjął się przekładu całego pisma św. W r. 1784 wydali obaj pierwszą i drugą część Now. Testamentu, w latach zaś 1791—1802 ukończono i Stary Testament. Prócz tego przygotowali do druku „większy katechizm“ (w Lublanie 1809), który był trzykroć przedrukowywany, oraz „Ewangelie inu Epistoly“ (1787) i inne.

Wyżéj wspomniany Błażéj Kumerdej ur. 1738 r. zmarły w 1805 r., prócz czynnego udziału w pracach Japelja, ułożył jeszcze 234 ark. słownika porównawczego języka słoweńskiego z rosyjskim, rusińskim, bulgarskim, serbskim, czeskim, polskim i słowackim i przy téj mozolnéj pracy śmierć go zaskoczyła.

Innym jeszcze poważnym pisarzem słoweńskim z téj epoki, był koruntanin Oswald Gutsman, ksiądz z Tow. Jez. ur. w 1727 r. umarł w Celowcu w 1790. Pierwszą jego pracą były „Christianske resnice“ (prawdy chrześciajanskie) wydane w 1770 r. W siedm lat późniéj wydał „Gramatykę słoweńską p. t. „Windische Sprachlehre“. Gramatyka ta była wymierzoną przeciw pisowni Pohlina i zalecała się dość słusznemi uwagami. W r. 1789, t. j. na rok przed śmiercią wydał „Deutsch-Windisches Wörterbuch, mit einer Sammlung der verdeutschten windischen Stammwörter und einiger vorzüglicheren, abstammenden Wörter“ (z godłem; quot linguas calles, tot homines vales). Słownik ten in 4-o zawierał 567 str. drobnego druku, co wymownie świadczy o mrówczéj pracy autora.

Współcześnie z Gutsmanem, pojawiło się jeszcze wielu innych autorów, zajmujących się słoweńskiem piśmiennictwem. Na polu religijném pracowali P. Paskval, Šterbina, Švab, Rauft Serf, podania ludowe, szczególniéj pieśni, wydał z dodatkiem swych własnych Leop. Volkmer, kapłan Tow. Jez. ur. 1741 r. zmarły w 1816 r. Pisał narzeczem słoweńców styryjskich.

Antoni Linhart nareszcie, pisał więcéj po niemiecku i przeważnie belletrystycznym pracom się poświęcał. Rzecz ciekawa, że autor ten był austryackim urzędnikiem (sekretarzem prezesa rządu krajowego w Lublanie) ur. w 1756 r. zmarły w 1795 r. napisał i wydał niezłą tragedyą „Miss Jenny“ „Blumen aus Krain“ „Poetisches Tagebuch“ i t. p. Najlepszą jednak z jego prac jest „Versuch einer Geschichte von Krain und der übrigen südlichen Slaven Oesterreichs (1788). Ze słoweńskich jego utworów wymieniamy wyborną tragedyą w III-ch akt. „Županowa Micilka“ i „Veseli dan, ali Maticzek se żeni, kom. w V aktach.

IV.

Istotny ruch literacki w Słowenii rozpoczął się dopiero z wystąpieniem na widownią Walentego Wodnika, którego liczne prace zyskały niezmierną popularność w kraju. Ur. w 1758 r.

ukończywszy wyższe nauki w Lublanie, bardzo młodo, bo w siédmnastym roku życia, został wyświęcony na kapłana. Choć już w r. 1798 został w gimnazym lublańskiem nauczycielem krasomówstwa, wydawać swe prace rozpoczął dopiero w b stuleciu małém tomikiem: „Pesnie na probe“. W r. 1860 Matica słoweńska w Lublanie zgromadziła wszystkie jego poezye i wydała w ośmiu tomach; między niemi piękny przekład Anakreonta i zebrane pieśni ludowe. Wydał jeszcze Wodnik „Naukę chrześciańską dla krajów Iliryjskich (1811)“, „Gramatykę dla szkół elementarnych (1811)“, „Początki gramatyki francuzkiéj“, podług Lhomond'a dla szkół łacińskich (1811) i zebrał materyały (przeszło 30,000 słów) do słownika niemiecko-słoweńsko-łacińskiego które potém, pod redakcyą M. Cigalet'a, spożytkowano do słownika niemiecko- słoweńskiego [1]).

Kiedy Napoleon I utworzył t. z. królestwo Iliryjskie, Wodnik napisał obszerny poemat p. t. „Ilirya odrodzona‘ (Illyria rediviva), w którym sławił potęgę i wojenne powodzenia głośnego zdobywcy. Poemat ten był bardzo wzięty w swym czasie, przedrukowany w założoném przez nowy rząd w Lublanie czasop. „Telegraph officiel“. Po powrocie Austryaków, Wodnik, podówczas dyrektor gimnazyum w Lublanie, z powodu wyżéj wspomnianego utworu został natychmiast usunięty z zajmowanéj posady.

Wodnikowi także zawdzięczać należy założenie pierwszego czasopisma w kraju; wychodziło przez trzy lata (1797—1800) p. t. „Lublanske Novice.“ Był to zbiorek wiadomości ze świata, wydawany po ½ ark. co tydzień.

Głośny i zasłużony ten pisarz słoweński umarł w 1819 r.

Jednocześnie z Wodnikiem, pojawiło się wielu jeszcze pisarzy, którymi Słowenia szczycić się może, pracowali bowiem z pożytkiem nad wykształceniem ojczystéj mowy. Tak np. Jan Smigowiec wydał w 1812 r. gramatykę języka słoweńskiego p. t. „Theoretisch-practische windische Sprachlehre, mit einem Radical-Wörterbuche versehen (319 str.), M. Ronikar, jakkolwiek jako duchowny przeważnie pisał dziełka religijnéj treści, zasługują one na uwagę ze względu na poprawność i czystość języka. Jego „Pismo święte dla młodzieży“ (1816), „Drobne powiastki dla szkół ludowych“ (1816), „Nauka chrześcijańska“ (1822) i inne, mogą być za wzór starannych wypracowań uważane. Zostawszy biskupem zostawił zapisy i fundacye w celu podniesienia i krzewienia oświaty w kraju. Urban Jarnik, także duchowny, ur. w 1784 r. zmarły w 1844 r. oddawał się wyłącznie słoweńskiemu językoznawstwu i wydał: „Gramatykę

---

[1]) Deutsch-slovenisches Wörterbuch, herausgegeben auf Kosten des hochw. Herrn Fürstbischofes von Leibach—(1860) 2 części 985 i 2012 str.

słoweńską“ (1829) „Versuch eines Etymoligikons der slovenischen Mundart in Inneroesterreich“ (1832) „Kleine Sammlung altslovenischer Wörter“ i „Słownik słoweńsko-łacińsko-niemiecki.

Do szeregu współczesnych Wodnikowi pracowników zaliczyć jeszcze trzeba Piotra Danjko (Dainko), styryjczyka, piszącego w krajowém swém narzeczu i Bartłomieja Kopitara, głośnego późniéj filologa i kustosza cesarskiéj biblioteki w Wiedniu.

Kopitar ur. 1780 r. († 1844 r.) z rodziców wieśniaków, pozostających w wielkiéj nędzy, dzięki tylko protekcyi barona Z. Zoisa, mógł uczęszczać do szkół i do uniwersytetu. Obdarzony wyjątkowemi zdolnościami, szczególniéj zaś łatwością uczenia się obcych języków, w młodości już władał biegle starożytnemi (greckim i łacińskim) a oprócz znajomości wszystkich słowiańskich, mówił wybornie po francuzku, po angielsku, po włosku i po niemiecku.

Już w r. 1808 wydał Kopitar najlepszą niemal ze swych prac „Grammatik der slawischen sprache in Krain, Kärnten, Steyermark (508 str.)“. O téj książce wyraził się jak najpochlebniéj jeden ze znanych niemieckich pisarzy Fr. Bopp i jest ona do dziś w użyciu [1]).

Prócz licznych prac, po niemiecku w Wiedniu dokonanych, które mu zjednały mienie i zaszczyty — był Kopitar stałym współpracownikiem wielu pism peryodycznych i do saméj śmierci nie ustawał w pracy swéj dla kraju. Dla tego téż pamięć o nim do dziś w sercach ziomków pozostała.

V.

Język słoweński, taki, jakiego używał Kopitar i w jakim wydał swą słynną gramatykę, zyskał nareszcie, ostatecznie dzięki usiłowaniom tego uczonego, zupełne prawo obywatelstwa. Różnolite narzecza i prowincyonalizmy znikać zaczęły powoli, naród przyzwyczajał się do jednéj pisowni i jednakowych zwrotów mowy.

Chociaż znakomity językoznawca sam pisał, że „Der Grammatiker soll treuen Bericht geben wie die Sprache ist, aber nicht dieselbe reformieren zu wollen“—i daléj „Die Lexikographen und Grammatiker sind nur Statistiker, nicht Gesetzgeber der Sprache; sie sollen treu intervenieren und beschreiben“ etc., to zmiany, jakie zaprowadził stały się wyrocznią i dziś w zawilszych kwestyach językowych zwykle cytują zdanie Kopitara i wedle jego poglądów rozstrzygają nowożytni uczeni.

---

[1]) Diese Grammatik gehört zu den einflussreichsten philologischen Arbeiten, die auf dem Gebiete der Slawischen Literatur erschienen sind. Sie ist ueberreich an hellen Blicken, ueberraschend neuen Ansichten und gesunden Urtheilen.

Z początkiem bieżącego stulecia zjawiało się wielu dobrych pisarzy, z których wspomnieć należy Jana Zalskara (autora licznych ksiąg do nabożeństwa), Jana Jeszenaka, Antona. Krempl ja, który, prócz dziełek treści religijnéj, napisał jeszcze „Dzieje ziemi styryjskiéj", J. Bedeuczyca, L. Dolinara, Fr. Baragę, Wal. Staniczа i innych

Rzeczą godną uwagi jest, że język słoweński wskrzeszono i kształcono głównie na pracach religijnéj treści, że najgorliwszymi działaczami na téj niwie byli duchowni obu obrządków i że nie znalazł się człowiek, któryby wpadł na myśl, że po za kościelnemi pismami jest jeszcze olbrzymie pole świeckiéj wiedzy, które w literaturze ojczystéj pozostało zupełnie odłogiem. Kto chciał umieć coś więcéj prócz modlitw, pieśni i pacierzy musiał najpierw uczyć się po niemiecku; znajomość rodzinnego języka nie dawała bowiem na żadném polu chleba—z nią kształcić się było można tylko na duchownego i to jeszcze wioskowéj miary. Później dopiero, gdy dla kraju pod względem politycznym zaszły korzystniejsze zmiany, rozszerzono program szkół ludowych, zaprowadzono w gimnazyach wykłady w miejscowym języku.

Tymczasem grono ludzi dobréj woli przemyśliwało nad sposobem stanowczego rozstrzygnięcia kwestyi pisowni słoweńskiéj, tak jak to uczynili poprzednio już Chorwaci, przyjmując czeskie akcentowanie liter u siebie. Językoznawca Fr. Serw. Metelko (ur. w 1789 zmarły w 1860 r.) pierwszy zaczął wydawać swe prace, akcentując z czeska litery łacińskie. I ten jeszcze, dla zapewnienia sobie stanowiska musiał zaciągnąć się w szeregi katolickiego duchowieństwa. W owym czasie (1810 r.) rządzili w kraju francuzi i naturalnie pozakładali tu natychmiast t. z. Centralne szkoły (les écoles centrales); do jednéj z nich wstąpił Metelko, następnie przeszedł na wydział teologiczny i wyświęcony na księdza napisał starannie opracowaną książkę p. t: „Lehrgebäude der slowenischen Sprache im Koenigreiche Illyrien und den benachbarten Provinzen. Leibach 1825 (str. 296)". Wyuczywszy się gruntownie, prócz greki i łaciny, także języków: francuzkiego, niemieckiego i włoskiego, przeniósł się z Gorje, gdzie był wikaryuszem, na stałe do Lublany. Podówczas lepszy wiatr powiał dla słoweńców ze sfer rządowych, założono w stolicy kraju katedrę języka słoweńskiego, którą to posadę otrzymał ks. Metelko. Jego „Lehrgebäude der slowenischen Sprache" stała się obowiązującą, i chociaż spotykał wielu jeszcze przeciwników, to—po napisaniu „Abecadła dla szkół ludowych" (1829), głównie zaś książki p. t. „Slovenische Sprachlehre, ein Auszug aus dem Lehrgebäude der slovenischen Sprache, für Anfänger, Lehramts-Praeparanden und Lehrer an den slovenischen Volksschulen". (Leibach 1830) — kwestya pisowni słoweńskiéj została stanowczo rozstrzygniętą i od nazwiska twórcy jéj „Metelicą" powszechnie nazywaną.

Zwycięztwo to kosztowało Metelkę wiele zdrowia i pracy, trafiał bowiem na zaciętych wrogów, którzy, pod pozorem rozumowanego zwalczania jego metody, radzi byli zburzyć tylko jedność językową słoweńców i wytworzyć na nowo wychodzącą już z użycia mieszaninę różnych południowych narzeczy.

VI.

Jak już wyżéj powiedzieliśmy, cały ruch literacki u Słoweńców, aż do początku b. stulecia ograniczał się, pod względem przedstawiających go osobistości, do duchowieństwa, odnośnie zaś do treści, do dziełek religijnych, gramatyk i słowników i czczéj poezyi, nie przynoszącéj w takich warunkach, nikomu korzyści. Dopiero około r. 1830, podjął M. Kastelec w Lublanie pewien rodzaj peryodycznego wydawnictwa p. t. „Kraińska pszczółka“ (Kranjska čbelica), zapełnianego utworami wierszowanemi ośmiu do dziesięciu autorów, uprawiających tę gałąź literetury, z większym już pożytkiem dla ogółu, bo odsłaniającą szlachetniejsze pragnienia i szersze niż poprzednio horyzonty.

Fr. Przeszern wyróżnia się, jako poeta, z całéj rzeszy dosiadającéj pegaza w Słowenii. Ur. w r. 1800 w Wierzbie, małej wiosczynie na Goreńsku, z rodziców ubogich, obarczonych siedmiorgiem dzieci, musiał wcześnie już myśleć o sobie,—wywalczać sobie przyszłość własnemi siłami, naturalnie że jeszcze w seminaryum. Gdy jednak przyszło do głębszych teologicznych studyów, opuścił szkołę duchowną i udał się w jesieni 1822 roku do uniwersytetu w Wiedniu, gdzie otrzymał późniéj stopień doktora praw. Poezye jego najpierw w „Pszczółce“ pomieszczono, późniéj w osobném wydaniu p. t. „Poezije doktorja Fr. Przeširna. Lubljana 1847“ zjednały mu w kołach wykształconych wielkie uznanie; liryzm w nich szczery, samodzielny. Ożywione duchem miłości ojczyzny, pełne marzeń o lepszéj doli dla ziomków, musiały przeniknąć w ich serca i Przeszern, za życia jeszcze został narodowym poetą słoweńców. Umarł młodo, bo w 1849 a 49 r. życia. Ziomkowie wystawili mu pomnik na grobie, na cmentarzu w Krani (Krainburg) z tym wymownym napisem:

„Jedno przynajmniéj z twych życzeń się spełniło:
Bo w ojczystéj spoczywasz ziemi“.

Z całego pocztu wierszujących w Słowenii na wzmiankę zasługuje dwóch zaledwie, choć i ci niedorośli Przeszernowéj miary: Błażéj Potocznik i Jan Ciglar, obaj należący do stanu duchownego. Pierwszy z nich, prócz wierszyków, wydał poważniejszą pracę „Grammatik der slovenisshen Sprache“ (1849)—drugi, ur. 1792 r. w Udmacie pod Lublaną, zajmował się literaturą przeszło lat 40 i pierwszy zaczął wydawać powieściowe prace, z których najlepszą jest „Szczęście w nieszęściu“, drukowana w 1836 r. Umarł w 1869 r.

Wyżéj wspomniani autorowie, pomieszczeni w zbiorowém wydawnictwie Krainskiéj Pszczółki, zwrócili swemi pracami uwagę ininnych słowian, głównie Czechów. Głośny też pisarz czeski Czelakowski, niejednokrotnie zachęcał ich, a mianowicie Przeszerna do nieustawania w pracy, co widać z wydanych późniéj ich wzajemnych korespondencyi. Po za specyalnemi jednak dziełkami słoweńskich pisarzy: słownikami, gramatykami i kilkoma ustępami z dziejów, opracowanymi dorywczo,— literatura słoweńska była jeszcze w pieluchach, raczéj zabawką, przyjemném przepędzaniem czasu dla ludzi zamożnych, niż rzeczywistą pracą, mającą ogółowi przynieść korzyści. Ale szczęściem, że zbliżały się burzliwe czasy; ludy słowiańskie, żądne swobód, których im odmawiano, marząc o zjednoczeniu, zaczęły znosić się za pomocą swéj inteligencyi, nawiązywać duchowe między sobą stosunki. Jednym z pierwszych na tém polu był znakomity czeski historyk Szafarzyk, który już w 1826 r. wydał tom pierwszy swéj cennéj pracy: „Geschichte der slavischen sprache und Literatur nach allen Mundarten". W dziale jednak dotyczącym słoweńców trudno mu było znaleźć odpowiednie źródła i dopiero przybrawszy do pomocy kraińczyka Macieja Czopa, współczesnego Przeszerna, posiadającego szeroką wiedzę, zdołał rozrzucone materyały, dotyczące ruchu literackiego Słoweńców, zebrać w jednę całość, przedstawiającą wierny obraz tego ruchu.

Tym sposobem, po raz pierwszy zostali Słoweńcy zaliczeni do rzędu narodów w wielkiéj słowiańskiéj rodzinie, prace ich na polu literackiém, nieliczne wrawdzie, znalazły miejsce i przychylne wspomnienie w dziele uczonego z nad Wełtawy.

Już jednak i w Słowenii zarzucono opracowywanie samych ksiąg do nabożeństwa i żywotów świętych: Jędrzej Swolć jako zbieracz podań ludowych, wydał kilka prac wyborowych,— rzeczywiste jednak zasługi około ludowéj literatury położył dopiero w Słowenii polak Emil Korytko, wychodźca z 1831 r., wydając 5 tomów pieśni i podań ludowych słoweńskich.

Stanko Wraz, ur. w 1810 r. poświecił się literaturze w chorwackim języku, marząc wraz z innemi, że mu wywalczy takie, jak słoweńskiemu, w całym kraju stanowisko. Mimo jednak usiłowań i mozolnéj pracy, oraz poparcia ze strony Ludwika Gaja w Zagrzebiu, zamożnego księgarza i nakładcy, który ogłaszał jego prace, a między innemi piękne „Narodne pešni ilirskie", język chorwacki pozostał narzeczem tylko i bardzo słusznie nie przyjęli go Słoweńcy. Wtedy Wraz przesiedlił się na stałe do Zagrzebia i tam wydawał nakładem Maticy iliryjskiéj swe utwory, nie narzucając ich wraz z pisownią i narzeczem chorwackiém swym wykształceńszym pobratymcom. W r.. 1842 założył Wraz, spólnie z towarzyszami czasopismo „Koło", którego, jako sekretarz Maticy, został i redaktorem. W almanachu „Iskra" umieścił w 1844 r. swe „Pesnie ostavljenoga" (pieśni opuszczonego) i „Put (podróż) u gornje strane", wyborny

opis podróży po krajach słoweńskich. Następnie, jego utwory wierszowane, były wydane przez Maticę chorwacką (1880). Mimo poprzednio wzmiankowanéj propagandy iliryjskiéj, szanują Słoweńcy dobrego pisarza i pełnego taktu człowieka.

VII.

Nim przejdziemy do skreślenia trzeciéj, ostatniéj epoki w literaturze słoweńskiéj, uważamy za obowiązek nasz osobno wspomnieć o pisarzu spółczesnym Przeszernowi, który jednak więcéj jeszcze niż on zdziałał dla krajowego piśmiennictwa i poświęcił mu cały swój żywot. Pisarzem tym był głośny w swoim czasie pedagog, biskup Ant. Mar. Słomszek.

Ur. 1800 r. w wiosce Słom, odbywał studya w Celju i Celowcu, gdzie otrzymał święcenia w 1824 r. Już zostawszy dodatkowym nauczycielem teologii w seminaryum celowieckiém, zachęcał młódź i kolegów do literackiéj działalności, poprawiał ich prace, często przerabiał sam słabsze i nie kładł na nich swego nazwiska. Tym sposobem wyszły za jego staraniem „Wesołe bajeczki dla dzieci“ (1835), „Przyjemne powiastki dla dzieci“ (1836), „Dwoje pięknych rzeczy dla pilnych dzieci“ (1838), „Trójga uprzejmych dzieci“ (1838), a także „Chrześciańskie dziewictwo“ (1834) i „Droga do szczęśliwego życia dla młodzieży“ (1837). Prace te wielokrotnie późniéj przedrukowywano. Zostawszy w 1838 r. dziekanem w uzenickim, nad Drawą, wydał „Mnemosynom slavicum“ w 1840 r. i potém pierwszą wyborną pracę pedagogiczną „Błażéj i Agnieszka“, którą do r. 1857-go trzykrotnie przedrukowywano. W r. 1844, już jako kanonik katedralny, po daremnych usiłowaniach utworzenia stowarzyszenia dla wydawnictw ludowych, zaczął wydawać „Drobtinice“ (Okruchy), co rok po jednym dużym tomie, w których umiał łączyć przyjemne z pożyteczném, poezye, powieści i nawet anegdoty.

Gdy w r. 1846 został biskupem dyecezyi lawantyńskiéj i otrzymał nadzór nad szkołami ludowemi—był pierwszym, który domagał się u władz wykładu w języku krajowym i gdy chciano się zasłonić brakiem potrzebnych książek słoweńskich, wielki ten patryota wziął się sam do pracy i w ciągu lat dwóch wydał: „Mały katechizm“, „Mała słow. niemiecka książka do czytania“, „Wielka słow. niem. książka do czytania“, „Powtarzanie nauki dla szkół niedzielnych“ i szkoła śpiewu (1853 i 1854). Tym sposobem opór władz został przełamany i odtąd dzieci słoweńskich kmiotków w ojczystym uczą się języku.

Gdy w r. 1851 założono w Lublanie stowarzyszenie św. Hermagora, czcigodny biskup Słomszek obdarzył je znacznym datkiem pieniężnym i popierał późniéj wszelkiemi siłami. Stowarzyszenie to

wydało później kilka roczników jego „Drobtinic“ a w nich liczne jego pióra artykuły pedagogiczne, powiastki dla młodzieży, pieśni ludowe, bajki dla dzieci i t. p. Po śmierci biskupa (1862 r.) zapowiedziało stowarzyszenie wydawnictwo wszystkich prac jego w 15-tu tomach, z których jednak wyszło dotąd tylko cztery: Poezye—Bajki i przypowieści—Życiorysy znakomitych patryotów— Rozmaitości.

Za życia Słomszeka pracował także na polu językoznawstwa krajowego styryjczyk Ant. Murko ur. w 1809 r. Napisał on dobrą gramatykę języka słoweńskiego, wydaną w Gracu w 1832 r. p. t. „Theoretisch — practische slovenische Sprachlehre für Deutsche“ następnego zaś roku jego „Deutsch-slovenisches Wörterbuch“ (część niem. słow.) a potém i część druga: „Slovensko-nemski rocni besednik i t. d.“ ukazały się na półkach księgarskich.

VIII.

W początku r. 1843 dr. med., Jan Bleiweis, uzyskał nareszcie pozwolenie wydawania czasopisma w języku słoweńskim p. t. „Novice“ (nowiny) którego Nr. 1 wyszedł 5 maja. Że jednak czasopismo to, z programem przeważnie rolniczym, zamieszczało w odcinkach artykuły literackie i powieściowe, stało się też zaraz ogniskiem ruchu umysłowego w kraju i zyskało obszerne koło przedpłacicieli.

Dr. Bleiweis, z pochodzenia niemiec, duszą i ciałem jednak oddał się na usługi ziemi, na której się urodził. Ur. w 1808 r. w Krani, uczęszczał do szkół najpierw w Lublanie, potem udał się do Wiednia na wydział medyczny, około r. 1826. W sześć lat później napisał piękną rozprawę łacińską „de hirundine medicinali“, za którą otrzymał dyplom lekarza z odznaczeniem. Niezmordowany ten pracownik, po ukończeniu wydziału lekarskiego, zapisał się jeszcze do szkoły weterynaryi. Niebawem też wydał pracę w tym kierunku „Practisches Heilverfahren bei den gewöhnlichen innerlichen Krankheiten des Pferdes, nach den Grundsätzen der praktischen Thierarzneikunde (1838).

W r. 1843, przeniosłszy się na stałe do Lublany, gdzie otrzymał posadę profesora, w miejscowéj medyko-hirurgicznéj szkole, poświęcił się zupełnie prawie wydawanéj gazecie. Prócz artykułów w „Novice“ umieszczonych — napisał w 1846 cenną książkę o obchodzeniu się ze zwierzętami domowemi: „Położnictwo bydła domowego“ „książki do czytania dla III i IV kl. gim.“ oraz „kalendarzyki słoweńskie“ (1852, 3, 4, 5 i 6 r.)

Dr. Jan Bleiweis, jako pisarz i obywatel, w Słowenii niespożytéj zasługi, umarł w r. 1881, otoczony szacunkiem klas inteligentnych i miłością ludu, dla którego był istotnym ojcem i dobroczyńcą.

IX.

Odtąd mnożyły się talenta pisarskie w Słowenii:— każdy autor rozpoczynał swą działalność od udziału w piśmie „Novice," zasilając je artykułami i powieściami. Łukasz Jeran, Maciéj Vertovec, M. Verné i Maciej Majar, autor kilku gramatyk słowiańskich, pracowali z wielkim pożytkiem na niwie słoweńskiego piśmiennictwa.

Poeta Jan Vesel-Koseski ur. jeszcze w 1798 r. drukował także w Novicach pierwsze swe utwory. Późniéj Matica słoweńska wydała je wszystkie w obszernym, około 50 ark. druku obejmującym tomie. Zarzucają mu jednak, że powprowadzał do języka zwroty i wyrazy nowe, na których używanie nie godzą się inni słoweńscy pisarze.

Stałym też spółpracownikiem „Novic" był Piotr Hitzinger (Znajemski) ur. w 1812. Zajmował się on przeważnie badaniem starożytności słowiańskich na południu a wynikiem prac swoich zasilał organ stowarzyszenia historycznego: „Mittheilungen des historischen Vereines für Krain", następnie wydawał „Kalendarz domowy" i pisywał w wolnych chwilach wcale udatne poezyjki.

Marcin Trstenjak, archeolog, wydawał od r. 1872 r. w Marzyborze pisemko belletrystyczne i po części naukowe „Zora" (zorza) —owoce zaś badań swych archeologicznych i filologicznych umieszczał w „Latopisie Maticy słoweńskiéj", któréj też był i członkiem honorowym. Następnie założył, dzięki poparciu znajomych i zamożniejszych towarzyszów po piórze, czasopismo „Kres" w Celowcu, które w ciągu sześciolecia swego istnienia (1881 do 1887) pomieszczało cenne jego wypracowania. Obecnie ks. Trstenjak, jest proboszczem w Starym Targu, gdzie pracuje nad pamiętnikiem, w którym zamieści dzieje kultury słoweńców.

Orosław Caf ur. 1814 r. pracował nad słownikami a w wolnych chwilach poświęcał się i beletrystyce. Choroba umysłowa, w któréj odebrał sobie życie, przerwała pożyteczną działalność tego literata.

Styryjczyk Fr. Miklosicz, po ukończeniu nauk w Gratzu, gdzie otrzymał dyplom d-ra filozofii, przeniósł się do Wiednia i jako jeden z sekretarzy cesarskiéj biblioteki, poświęcił się wyłącznie filologii słowiańskiéj. Był to pisarz nader płodny; obdarzony darem władania poprawnie obcemi językami, których uczył się z dziwną łatwością, ogłaszał w nich swe prace, których pozostawił bardzo wiele. Lepsze z nich są następujące: „Lexicon paleoslovenico-graeco—latinum, emendatum, auctum" (1171 str.) „Vergleichende Grammatik der slavischen Sprache" (4 tomy) „Chrestomatia paleoslovenica" „Beiträge zur altslovenischen Grammatik" „Altslovenische Formenlehre in Paradigmen und Texten aus Glagolitischen Quellen" Ueber die Mundarten und Wanderungen der Zigeuner" Etymologisches Wörterburch der Slavischen Sprachen", Dictionnaire abrége de six langues slaves, ainsi que français et allemand".

Zamieszczał też w rocznikach „Sitzungsberichte der phil.-histor. Klasse der K. Akademie der Wissenschaften“ w Wiedniu cenne artykuły, tyczące się językoznawstwa, a w języku słoweńskim wydał cztery szkolne książki do czytania, które wyszły między 1853 a 1856 rokiem.

W pierwszéj epoce wydawnictwa „Novice“ ruch literacki w Słowenii bardzo się ożywił; prócz Malavasicza (ur. 1818 zm. 1863 r.), który był spółpracownikiem „Carniolii“ i „Jordan's Jahrbücher“, a w r. 1849 redagował „Prawdziwego Słoweńca“ w Lublanie i wydał gramatykę słoweńską oraz kilka dobrych przekładów w pięknym, poprawnym języku—wymienić nam należy d-ra Józefa Murszeca i Karola Robidę, autora pierwszéj w kraju fizyki po słoweńsku, drukowanéj w Celowcu.

Szczepan Kocijanczyc, prof. teol. w Gorycy, przełożył „Powiastki naukowe Fr. Soave, dla młodzieży „26 powiastek dla młodzieży“ oraz Fleur'ego „Dzieje starego i nowego przymierza“ a także „Życie i śmierć Chrystusa“, wydane przez stow. św. Hermagora. Walenty Orożen, jako poeta, doszedł do pewnéj popularności. Zbiór jego utworów został wydany w Celowcu w 1879 r. i w nim to pomieszczono wzorowy przekład dramaciku ks. Schmidta „Die kleine Lautenspielerin“ p. t. „Mala Pevka“.

X.

Przy końcu pierwszéj połowy bieżącego stulecia, kwitło u słoweńców dziennikarstwo tak dalece, że w tym małym kraiku, między 1843 a 1848 rokiem, założono aż pięć nowych pisemek peryodycznych: „Ranny dennica“ „Vedež“ „Prawdziwy Slovenec“ „Slovenija“ w Lublanie; „Jadranski Slavjan“ „Slovenska bczela“ i „Szolski prijatelj“ w Celowcu. Pisemka te jednak dla braku poparcia a właściwie dla braku inteligencyi, któréj podówczas jeszcze ze świecą szukać było trzeba, jedne po drugich upadały. W kraiku tym, przeważnie rolniczym, gdzie lud stanowił najpokaźniejszy zastęp czytelników i przedpłacicieli—żadne inne poglądy ani nauki; prócz ściśle religijnych, utrzymać się nie zdołały. Ruch literacki, w rękach duchowieństwa pozostawiony, zwracał się li-tylko na usługi kościoła; kształcono, co prawda, i wyrabiano język usilnie, nauki jednak ścisłe pozostały zupełnie odłogiem dla téj prostéj przyczyny, że literaci i pisarze rekrutowani w szeregach wioskowego duchowieństwa, które nie miało i nie mogło mieć o nich wyobrażenia, lub niewystarczające dla wywołania twórczości na téj niwie. Nawet pisarz tak zasłużony i tak wysokie w hierarchii duchownéj zajmujący stanowisko, jak biskup Słomszek, założywszy stowarzyszenie św. Hermagora, mające na celu wydawnictwa i podniesienie piśmiennictwa krajowego—nie mógł płynąć przeciw powyższemu prądowi. Stowarzyszenie, podkopywane systematycznie

przez kler rządzący umysłami, upadać zaczęło i dopiero przekształcone w Towarzystwo św. Hermagora, opatrzone odpustami Ojca św. i oddane pod wyłączny kierunek duchowieństwa, zdołało się podnieść i stanąć na niezależném stanowisku. Pod protektoratem biskupa celowieckiego, gdy kapłani, obiecując odpusty, wezwali lud do zapisu i składek — Towarzystwo, liczące kilkuset członków poprzednio, zapisało ich 41,552 w swe księgi odrazu.

Zaznaczyć jednak trzeba, że przy tak pokierowaném i pieniężnie suto zasilonem Towarzystwie, wydawnictwo dzieł w naukach ścisłych zupełnie ze swego programu wykluczono; nie działa ono jednak ujemnie na rozwój oświaty w kraju, a tylko pewne, wedle własnych poglądów wyznaczyło jéj granice.

Wydane dotąd kosztem Towarzystwa dzieła, można podzielić wedle treści, jak następuje: 29 religijnych, 31 kalendarzy, 13 rolniczych, 26 dla nauki i rozrywki, 16 powiastek, 13 prac historycznych, 5 utworów poetycznych ludowych i religijnych, 6 życiorysów i jeden tom podróży. Brakujące do całości 48 tomików, rozpadają się na zeszyty w poprzednich liczbach nie wymienione.

Prawda, że dzięki temu Towarzystwu i przywiązaniu doń słoweńskiego ludu, dziś o jakimbądź zamachu na mowę ojczystą nikt marzyć nie może — niemniéj przeto, popularne wydawnictwa naukowe ludowi temu wielką korzyść przynieśćby mogły. O te wydawnictwa też i w myśl znanego „Więcéj światła“ w czasopismach słoweńskich i w sejmie narodowym w Lublanie wrą zacięte boje. Kto zwycięży—przyszłość i zapewne niedaleka, nam okaże.

XI.

Z wszystkiego, cośmy dotąd o ruchu literackim słoweńców napisali, widać dokładnie, że prócz językoznawstwa i prac religijnych, oraz drobiazgów dla młodzi, sztuki i nauki zupełnie są zaniedbane— przystępne tedy tylko tym krajowcom, którzy, prócz gruntownéj znajomości obcych języków, mają jeszcze odpowiednie materyalne zasoby. Nawet powieściopisarstwo nie znalazło prawa obywatelstwa w tym kraiku; kilka lichych prac oryginalnych i lichszych jeszcze przekładów—oto wszystko, co zdziałano na polu beletrystyki w Słowenji. Pewne ożywienie w tym kierunku pojawiło się dopiero około 1863 r. dzięki inicyatywie profesora języka słoweńskiego w Celowcu dr. Janeżyca, który założył tam i redagował słoweńską Pszczółkę, słoweński Głos i Biesiadę. Przez niego pobudzony, stanął zastęp powieściopisarzy średniej, prawda, miary, niemniej przeto wykazał, że, przy dobréj woli, i na tém polu w Słowenii coś zdziałać można. Jurczyc, Cegnar, Mencinger, Parapat, Gorenjec, Podmilszak, Valjavec, Ogriniec i inni, których prace w czasopismach, a późniéj w osobnym zbiorze

p. t. „Kwiaty z ojczystéj i obcéj ziemi“ pomieszczano, rzucili podwaliny, na których z czasem piękny gmach zbudować będzie można. W ostatniém tém zbiorowém wydawnictwie znalazły miejsce i przekłady: hiszpański „Rodzina Alvareda“, Czajkowskiego „Kirdżali“ i t. p. a także powieści Jurczyca, przekłady szylerowskiego Wallensteina i dramatu „Wilhelm Tell“, „Poezye“ Ant. Umeka i t. d.

Janežyc sam poświęcał się głównie filologii i wydał szereg prac wybornych w tym kierunku. „Liechtfassilicher Unterricht der slovennischen Sprache“, „Słownik kieszonkowy słoweńsko-niem.“, „Kwiaty ludu słoweńskiego“, „Katechizm dziejowy“ (przekład ze Schmidt'a), „Slovenska slovnica s kratkim berilom cirilskim inu glagoliskim“ almanach „Žarnica“ i „Kwiaty poezyi słoweńskiéj“ (1860). Od r. 1862 począł wydawać wzmiankowane zbiorowe pismo „Kwiaty z ojczystéj i obcéj ziemi“ a w r. 1864 napisał „Slovenisches Sprach- und Uebungsbuch“ potém I. II i III część „Cvetnika“.

Był to człowiek rzadkiéj dobroci i względności, popierający nietylko słowem i piórem, ale i własnemi funduszami narodowe piśmiennictwo. Tak np. Leop. Gorenjec za przekład Kirdżalego otrzymał od niego honoraryum w kwocie 100 zł. co w owych czasach pokaźną kwotę stanowiło. Dla tego też gdy umarł (1869) pozostawił żonę i dzieci w niedostatku.

Po śmierci Janežyca zrobił najwięcéj w tym kierunku redaktor i powieściopisarz Józ. Jurczyc, kończący nauki w Wiedniu, gdzie też rozpoczął swą działalność literacką. Jeszcze jako student uniwersytetu napisał piękną powieść: „Jerzy Kozjak“, wydaną w r. 1864; później zaś, jako redaktor dziennika „Slovenski narod“ dawał wyborne feljetony i nareszcie założył Bibliotekę słoweńską, któréj do r. 1881-go wyszło ośm dużych tomów, zawierających prace beletrystyczne Jurczyca, Kersnika, Jesenka, Tawczara i innych.

Obecnie najnowsze wydawnictwo powieściowe jest założona przez J. Krajca „Biblioteka ludowa“ w Nowém Mieście, któréj wydano dotąd 26 tomów. Tanie to wydawnictwo (15 ct. za tom), obok kilku przedruków lepszych prac słoweńskich pisarzy, daje wyborne przekłady z obcych języków, między niemi i polskich autorów: Sienkiewicza, Grabowskiego i t. d.

XII.

Dział poezyi najsłabiéj jest w Słowenii przedstawiony. Oprócz w szkicu tym wyżéj wspomnianych, wymienimy z współczesnych. Stritara i Gregorczyca z których pierwszy urodził się w 1836 a drugi w 1844 r. Obaj są bardzo wzięci i skwapliwie czytani a Gregorczyc za drugi tom swych poezyi bieżącego roku wydany u Józ. Garupa, otrzymał wysokie honoraryum w kwocie 3.000 złr.

cały zaś nakład pierwszego tomu, został w ciągu sześciu tygodni wyczerpany.

Wierszem piszą jeszcze w Słowenji Ant. Umek, Fr. Cegnar, Mirosław Vilhar, dr. Lowro Toman, prof. Valjawec, Józ. Pagliaruzzi-Krilan, Ant. Funtek i dwie kobiety: Józefa Turnogrodzka i L. Pesjakowa.

Sztuka dramatyczna bardzo słabo przedstawia się w Słowenii. Założone przed kilkunastu laty Towarzystwo dramatyczne w Lublanie, mające na celu pielęgnowanie sceny narodowéj, zaczęło wydawać utwory dramatyczne w zbiorze p. t. „Slovenska Talia“ (wyszło już 54 tomiki), lecz bardzo mało prac oryginalnych.

Najważniejszą z przeszkód, stojących tam na zawadzie sztuce dramatycznéj jest brak... sceny krajowéj. Rządowy teatr w Lublanie obsadzono, naturalnie, niemcami;—słoweńcy tedy, prócz rzadkich pozwoleń na występy w tym teatrze, muszą się ograniczać do urządzania teatrzyków amatorskich lub ogródkowych, — co nie wpływa na rozwój sceny zbyt pomyślnie.

Tow. dramatyczne, liczące zaledwie 380 czł. z wkładką po 2 złr. miewa dochodu rocznego najwyżéj 1800 lub 2,000 złr.

XIII.

Na zakończenie, kilka słów o Słoweńskiéj Macierzy założonéj w 1863 r. staraniem patryotów styryjskich, a głównie D-ra Lowro Tomana, w Lublanie.

Wydawnictwa Macierzy mają służyć nietylko dla szkół ludowych, ale i wyższych w kraju, w których teraz zaprowadzono słoweński język wykładowy. Ogłosiły téż pokaźny szereg dzieł w tym kierunku, bądź prac oryginalnych, bądź przekładów celniejszych obcych pedagogów [1]). Prócz tego Macierz słoweńska wydaje i przekłady celniejszych utworów powieściowych pisarzy krajowych i obcych, a między niemi ogłosiła drukiem: „Chatę za wsią“ J. I. Kraszewskiego — Zapiski łowieckie Turgeniewa — Martwe dusze Gogola i t. p. Corok zaś drukuje pamiętnik treści przeważnie naukowéj który zasilali lub zasilają pierwszorzędni pisarze słoweńscy.

---

1) „Dzieje narodu słoweńskiego, nap. prof. Trdin i dzieje Austryi, nap. Kersnik; księstwo Kraina i ks. Karyntya; przekłady z czeskiego; Słoweńska Styrya; Geografia naturalna, nap. prof. Jesento; Germaństwo i Słowiaństwo; Słowiaństwo (I część). Słowianie południowi; Atlas zawierający 18 kart; Gramatyka języka czeskiego; Gramatyka języka Chorwackiego, nap. prof. Fr. Marn; Terminologia naukowa; Zbiór pism Jana W. Koseskiego; Pieśni Walen. Wadnika; Cztery pory roku przeł. Tuszek; Księgę przyrody Szoedlera; Mineralogia Föllekara; Historya naturalna Pokornego; Pamiątkowa księga Kopitara; Gramatyka słoweńska Szumana; Pamiętnik 600 letniego przyłaczenia Krainy do Austryi i t. d.

Kapitału posiada już Macierz około 50,000 złr., lecz liczba członków jéj nieprzechodzi 2,000

Pisma peryodyczne wychodzące w Słowenii, w Lublanie, są następujące: „Slovenski Narod“ (liberalny; red. Dr. Józ. Wosznjak) wychodzi codziennie w Lublanie. „Slovenec“ (red. Ign. Żytnik) codź. (konserw.) Tygodniki: „Novice“ i „Zgodnja Danica“. Dwutygodniki: „Kmetovalec“ (roln.) i „Dom in svet“ (czasop. dla młodzieży) „Rogac“ (czp. humor.) „Uciteljski Tovarisz“. Misięczniki: „Vrtec“ (czp. illustr. dla młodź.) „Ljubljański Zvon“ „Cerkveni Glasbenik“ i „Slovenski Pravnik“. W Trieście wychodzi „Edinot“ (2 r. na tydź.) i „Jerzy z pszo“. W Gorycy „Socza“ (tyg.) „Gospodarski List“ (2 tyg.) i miesięcznik religijny z dziwacznym nagłówkiem: „Cvetje z vrtov sv. Franciszka“. W Celowcu dwutygodnik „Mir“ w Marzyborze tyg. „Slovenski Gospodar“ i 2 tyg. nauczycielski: „Popotnik“. W Celju zaś „Zadruga“ w Nowém Mieście „Dolenjskie Novice“.

Roku bieżącego wznowiono jeszcze w Lublanie „Slovenski Svet“ i „Obrtnik“.

Oto wedle naszych sił i możności, skreślony wierny obraz ruchu literackiego słoweńców, od początku jego powstania t. j. od czasów reformacyi, aż do bieżącéj chwili.

Z szeregu dziewięćdziesięciu kilku pisarzy słoweńskich, których prace tu wymieniliśmy—większa połowa należała do stanu duchownego; — nikt tedy dziwić się nie powinien, że w literaturze naszéj przeważały dotychczas dziełka treści religijnéj, a inne gałęzie wiedzy (prócz językoznawstwa) leżały odłogiem. Dziś z coraz wzrastającym rozwojem umysłowym w kraju i z szeregiem swobód obywatelskich, jakie Słowenja po r. 1866 uzyskała—stosunek ten nienormalny wiary do światła nauki, już wyrównywać się zaczyna, co téż i w znakomitém podniesieniu moralnego poziomu u ludu odczuwać się daje. Biorąc na uwagę, warunki dość twarde jeszcze w jakich żyjemy; ubóstwo kraju, przemysł i handel w ręku obcych i t. p.; obecny stan kwitnący naszego piśmiennictwa, wiele na przyszłość obiecuje. — Niepłonną téż żywimy nadzieję, że, jak Słowenja zdołała się oprzéć naciskowi Teutonów—tak i teraz, gdy jéj piśmiennictwo jest w pełni zdrowego rozwoju, palmy pierwszeństwa w gronie słowian południowych, wydrzéć już sobie nie pozwoli.

Kraik stosunkowo bardzo mały, którego ludność, przeważnie rolnicza, do półtora miliona jednostek nie dochodzi, złożywszy przez ciąg sześciu wieków dowody takiéj żywotności i moralnéj siły, nie wątpimy, że i daléj kroczyć będzie ku światłu, bez którego, niestety, polepszenie stosunków społecznych i politycznych jest wprost—niemożliwe.

KRONIKA WIEDEŃSKA.

Architektura.—Muzea cesarskie.—Weilen. Hamerling.—Teatr ludowy.—Anzengruber.—Skandal literacki.—P. Orth.

I.

Sławny archeolog francuzki Ampère w swéj „Histoire romaine à Rome“ zauważył, że tylko despotyzm w życiu narodów zapisuje się runami marmurowemi. W Rzymie tak było, bo najokazalsze „złote pałace“, świątynie, mauzolea, łaźnie, areny i łuki tryumfalne powstały tam za czasów cezarów. Że jednak reguła, którą podniósł Ampère, nie jest bez wyjątków, świadczą o tém rządy szczerze konstytucyjnego cesarza Franciszka Józefa. Jeżeli prawda, że saxa loquuntur, to cesarz ten w dziejach Austryi pozostawi nigdy niezatarte ślady spaniałomyślnego protektora sztuk pięknych, a mianowicie architektury.

We wszystkich miastach Austryi za 40 letnich rządów tego monarchy ruch budowniczy się rozwinął, jak nigdy przedtém. Hradec Styryjski, Insbruck, Kraków, Lwów i Praga uległy prawie zupełnemu przeistoczeniu, znacznie się rozszerzyły, upiększyły i wzbogaciły monumentalnemi gmachami. Na największe rozmiary przeobraził sie Wiedeń, chociaż wiedeńczycy ciągle dowodzą, że stolica pod prądami federalistycznemi upada. Z dawnych „dobrych“ czasów wesoła i „jedyna Kaiserstadt“ nad modrym dunajem [1]) posiadała tylko jeden pierwszorzędny utwor sztuki budowniczéj: starożytną katedrę świętego Szczepana. Kilka pałacyków w stylu wersalskim, jak Belweder, i kilka pomników w stylu rokokko, nie zdołały pokryć ubóstwa Wiednia pod względem monumentalnych gmachów.

---

[1]) Piosnka ludowa śpiewa: „Es giebt nur a (eine) Kaiserstadt, es giebt nur a Wien“.

W ciągu ostatnich lat 30 powstało ich tu takie mnóstwo, że dziś Wiedeń co do budowli jest niewątpliwie jedném z najciekawszych miast w świecie. Nie wytworzył się wprawdzie własny styl wiedeński, jak za Ludwika XIV powstał nowy francuzki styl architektoniczny, naśladowany gorliwie w całéj Europie, en gros i en miniature. Nowe te arcydzieła architektoniczne, jakiemi się wzbogacił Wiedeń, tworzą niejako zbiór wszystkich dawniejszych stylów, wystawę, przypominającą nam rue des nations wystawy paryzkiéj z r. 1878-go. Niesłychanie wykwintny kościół z votów (Votivkirche) i nowy, olbrzymi ratusz, teatr (dramat) i opera cesarska, uniwersytet i pałac rady państwa, giełda i muzeum przemysłowe — nie są to chłodne kopie dawnych wzorów greckich, gotyckich i wieku odrodzenia, lecz główne zasady tych różnych stylów w sposób najtrafniejszy zastosowano tu do potrzeb nowoczesnych i miejscowych.

Do najwspanialszych w rzędzie tych arcydzieł należą dwa równioteńkie pałace m u z e ó w cesarskich, w żargonie miejscowym przezwane: bliźniętami, istne par nobile fratrum, które stanęły naprzeciwko zamku cesarskiego. Rozdzielone pięknym skwerem, w którego środku sterczy ogromny pomnik Maryi Teresy, świecący daleko bronzowemi figurami na podstawie z ciemnego marmuru, muzea tworzą potężne czworoboki o trzech piętrach na wysokiéj suterenie. Środkowa część, tak zwany risalit, występuje po obu frontach o kilka łokci naprzód i jest nieco wyższa od skrzydeł. Na tym, wywyższonem środkowym korpusie wznosi się potężna, daleko widna kopuła, otoczona czterema niższemi kopułami na filarach, tak zwanemi t a b e r n a k l a m i. Kopułę stojącego po prawéj stronie (patrząc od Burgu) pałacu zdobi wykwintny posąg Apolla, jako ożywiającego przyrodę i życiodajnego słońca, kopułę drugiego pałacu posąg Ateny, bogini sztuk i nauk, bulstradę zaś skrzydeł pałaców cały szareg mniejszych posągów najsławniejszych mężów sztuki i nauk. Trzema potężnemi bramami w środkowéj fasadzie wchodzimy do przestronnego, błyszczącego od marmuru rzeźb i malowideł przysionka, z którego monumentalne, marmurowe wschody, wiodą środkiem na pierwsze piętro, gdy mniejszemi wschodami po prawéj i po lewéj stronie przysionka, dostajemy się do wywyższonego parteru. Na każdym kroku wykwintny przepych, odpowiedni okazałości fasad.

Stojący po prawéj stronie pałac mieści muzeum przyrodnicze: na parterze zbiory etnograficzne i mineralogiczne, na pierwszém piętrze zoologiczne, wreszcie botaniczne na drugiém piętrze, będącém trzeciém, gdy doliczemy parter, a czwartém, gdy doliczymy sutereny, gdzie się znajdują pomieszkania urzędników. Bogactwo tych zbiorów uwydatnia dobitnie nader praktyczna, systematyczna instalacya. To też wiedeńczycy, których przywykliśmy uważać za leaków, stroniących od rozkoszy umysłowych, tłumami od kilku

miesięcy zalegają sale muzeum przyrodniczego. W niedziele wchodzi tam przeszło 10,000 osób, nawet z najniższych warst, po których w przecięciu dopatrzysz się prawdziwego zajęcia temi naukowemi skarbami.

Drugi pałac, po lewéj stronie, obejmuje zbiory starożytności i sztuki. Na parterze złożone będą zbiory monet i starożytności, broni i część skarbca cesarskiego. Do pierwszego piętra przeniesie się z Belwederu sławna galerya obrazów. Na drugiém umieszczone będą szkoła kopii i odnowienia obrazów, tudzież zbiór portretów i akwareli. Instalecya zupełna ukończona będzie dopiero za rok. Tymczasem otwarto zbiory zbroi, umieszczone w 12 salach parterowych, mających liczby XXV do XXXVII.

Jest to jedna z najbogatszych galeryi broni i zbroi. Powstała ona już za rządów cesarza Fryderyka III, znaczna część zbiorów pochodzi ze spadku cesarza Maksymiljana I, i arcyksięcia Zygmunta tyrolskiego, który gorliwie zbierał zbroje sławnych wojowników 15-go i 16-go stulecia. Skarby te znajdowały się po części w arsenale, po części w znanéj Ambrasersamlung u wejścia do Belwederu, w innych pałacach cesarskich i w skarbcu rodowym. Dopiero teraz, obejmując wzrokiem zebrane tu na jedném miejscu, żywo odczuwamy bogactwo tych skarbów pod względem historycznym. Niemal bowiem każdy z tych pancerzy, hełmów, szyszaków, dzid i mieczy należał do wybitnéj w dziejach świata a przynajmniéj w dziejach wojennych osobistości; swoją drogą niektóre z tych zbroi, zwłaszcza z czasów odrodzenia, gdy w Włoszech zakwitła ta sztuka, gdy zamiast żelaza zaczęto używać kosztowniejszych kruszcy i zdobić pancerze wytworną rzeźbą i drogiemi kamieniami a hełmy wyrabiać z szczerego złota i srebra, mają też ogromną wartość materyalną.

W pierwszéj sali Maksymiliana I, jest kilka całkowitych zbroi tego cesarza, daléj Arcyksięcia Zygmunta tyrolskiego, Ferdynanda króla Aragonii, pogromcy Maurów, Filipa I pięknego, króla Kastylii, margrabiego Fryderyka Gonzagi, Ludwika II węgierskiego, Jerzego Castrioty, czyli sławnego Skanderbega, Karola V-go; są tam historyczne miecze, tarcze, młoty wojenne, motyki, łuki, bronzowa rura palna z r. 1486, mniejsze ręczne strzelby z końca 15-go stulecia, para zgrabnych ostróg żelaznych z napisem: „Pomny na mye ma myla wyerna pany“ (Pomniéj na mnie, ma miła, wierna pani), chorągiewka poległego w krwawéj bitwie pod Sempach 1386 rycerza Doeringa von Eptingen, miecz węgierskiego króla Maciéja Korwina, najrozmaitszego rodzaju sztylety, szpady, siodła i t. d. Podobne przedmioty zapełniają salę „landsknechtów“ i Karola V-go. W sali arcyksięcia Zygmunta tyrolskiego znajduje się całkowita zbroja Stefana Batorego z r. 1565 i spaniałe zbroje wymienionego arcyksięcia, kilku dożów weneckich, różnych sławnych swego czasu książąt włoskich. W sali Maksymiliana

II-go widzimy czarną, lekką zbroję wielkiego marszałka litewskiego Mikołaja Radziwiłła, w sali księcia Aleksandra Farnese bogate zbroje tegoż księcia, następnie don Juana d'Austria, Wespazyana Gonzagi, hrabiego Pico Mirandoli i t. d. i coraz już liczniejsze okazy najrozmaitszego rodzaju broni palnéj; w sali Rudolfa II, kosztowną zbroje tego cesarza, pancerz Mikołaja Krzysztofa i Mikołaja IV Radziwiłła, piękne pistolety, strzelby, siodła, chorągwie. W sali XXIV (epoka nowoczesna) nie widać już pancerzy, szyszaków i t. d., tém więcéj pistoletów, rusznic, sztandarów, pomiędzy niemi chorągiew pułku huzarów gwardyi nieszczęśliwego arcyks. Maksymiliana, cesarza meksykańskiego, po katastrofie w Queretaro przywieziony przez pułkownika księcia Khevenhuellera. Dalsze sale zawierają zbroje, używane na turniejach, broń wschodnią, po większéj części zdobytą po oswobodzeniu Wiednia, kilka karabeli naszych, wreszcie broń japońską, indyjską i zbiór broni nowoczesnéj, myśliwskiej.

Pobieżny ten rzut oka na zbrojownię ceserską pozwoli czytelnikom domyśleć się, jakie ona zawiera skarby historyczne. Pono jedna tylko armeria réal w Madrycie porównać się z nią może co do mnóstwa, starożytności i kosztowności przedmiotów. Zważywszy, że te 12 sal stanowią tylko szczupłą część zbiorów, które złożone będą w muzeum sztuk pięknych i starożytności, że, pominąwszy nader cenną galeryę obrazów, będzie można oglądać tam jeszcze osobliwości, stanowiące drugie drezdeńskie „Gruenes Gewoelbe“ i drugie paryzkie musé Cluny, a ukryte dotąd w różnych odległych i mało przystępnych pałacach cesarskich, możemy być pewni, że gmachy monumentalne przy Burgringu nie zawiodą oczekiwania, jakie obudzają uroczystą powagą i wykwintnością fasady.

* * *

Piśmiennictwo niemieckie w ubiegłym roku poniosło boleśne straty: śmierć Józefa Weilena, Roberta Hamerlinga i Anzengrubera pozbawiło Niemców austryackich swych najznakomitszych poetów.

Nie sięgając po wawrzyny historyka literatury niemieckiéj, ograniczę się co do Weilena na kilku uwagach, opartych na osobistych z nim stosunkach. Dnia 18 września 1869 r. w tutejszym teatrze cesarskim zjawił się nowy jego dramat: „Rozamunda“. Przebywając wtedy od niedawna w Wiedniu, prawie nic nie wiedziałem o autorze, o którym podręczniki literatury niemieckiéj wspominały tylko pobieżnie. Ale „Rozamunda“, odegrana świetnie przez najznakomitszych artystów Burg-theatru, panią Wolter, Sonnenthala, Lewińskiego i t. d. wprawiła mnie w zachwyt. Czytelnicy „Biblioteki“, którzy znają ten utwór Weilena z wybornego przekładu pani Seweryny Duchińskiej, łatwo zrozumieją głębsze powody tego zachwytu. Na tle znanego podania z czasów

wędrówki ludów. poeta wiedeński osnuł tragedyę, która nie jest wprawdzie alegoryą, ale dokładnie uwydatnia katastrofy, któremi dziś, jak przed tysiącem lat, nienawiść narodów druzgocze miłość kochanków:

„Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów:
Wszystko rozerwie. Lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach Wajdeloty.

Jak się złączyły serca Alfa i Aldony w pieśni Wajdeloty, tak serca pięknéj królowéj Gepidów Rozamundy i bohaterskiego króla Lombardów Alboina złączyły się w tragedyi Weilena. ktory naturalnie stanowczo odstąpił od strasznego podania, o ile dotyczy tych dwóch osób, ale z niepospolitym talentem nakreślił owo ciemne tło nienawiści narodów i wykazał, jak nawet najgorętsza miłość nie zdoła wypełnić otchłanii pomiędzy plemieniem zwycięzkiém a pokonaném.

Pod świeżém, bardzo silném wrażeniem jakiego doznałem, napisałem o nowym dramacie Weilena feljeton, który dnia następnego ukazał się w jednym z dzienników tutejszych. W ogóle Weilen ze strony prasy nie doznawał wtedy przyjaźni, Rozamunda tém mniéj się podobała, ponieważ krytycy żywili wstręt do wszelkich utworów historycznych, lubowali w nowoczesnym realiźmie dramatu francuzkiego, byli zasadniczemi przeciwnikami wszelkich tendencyi idealnych, zwłaszcza gdy występowały w szacie romantyzmu. Mniéj im téż chodziło o sprawiedliwy rozbiór nowego dramatu, niż o napisanie sprytnego fejletonu. Tak np. najsławniejszy pomiędzy tymi recenzentami p. Sp. wpadł na dowcip, że uchodzący przed Longobardami wódz Gepidów (Lewiński) wyglądał na żyda, uciekającego przed wierzycielami (rzeczywiście Lewińsky w téj roli przesadzał i dziwacznym ubiorem poniekąd usprawiedliwiał owe porównanie); ale p. Sp. wpadłszy na ten dowcip, nastroił do niego resztę feljetonu, jakoż w ogóle większa część tych krytyków byli przekonani, że, aby uchodzić za aristarchów nieomylnych, trzeba koniecznie szydzić i ganić, a szczędzić pochwał.

Feljeton mój stanowczo zatém odbijał od innych, ale choć go pisałem w pewném młodzieńczém uniesieniu, dziś, po 20 latach, w głównéj rzeczy nie zmieniłbym w nim niczego. Nazajutrz pan Weilen, naówczas wyższy urzędnik biblioteki cesarskiéj oraz profesor literatury niemieckiéj w szkole generalnego sztabu, w hierachii wojskowéj piastujący rangę pułkownika, przybył do redakzyi, a nie zastawszy mnie, przysłał list (który przechowałem) téj treści: „Czcigodny panie redaktorze. Chciałem Pana prosić, abyś wypowiedział nieznanemu mi sprawozdawcy o „Rozamundzie“ w numerze 262 Twego dziennika moje najgorętsze podziękowanie. i prosić, jeżeli wolno, o jego nazwisko. Pragnę mu sam oświadczyć, że jest dla mnie po prostu rzeczą niepojętą, że po jednorazowém

przesłuchaniu tak zupełnie wnikł w najgłębsze stosunki (in die intimsten Beziehungen) mojego utworu. Józef Weilen. Wiedeń 21 września r. 1869".

Tak się zawiązała nasza znajomość. Przeglądając dawne notatki, znajduje tam pod 25 września r. 1869 uwagę, że nowy znajomy nie uczynił na mnie bardzo korzystnego wrażenia. W ogóle pierwsze spotkanie z sławnymi poetami najczęściéj sprawia nam zawód, zwłaszcza młodym i entuzjastom. Są oczywiście wyjątki. Kiedy latem r. 1878-go odwiedziłem sędziwego Bohdana Zaleskiego w Villepreux, doznałem nadzwyczaj miléj niespodzianki, tak dokładnie ten serdeczny starzec odpowiadał wymarzonemu ideałowi autora uroczych pieśni, „Przenajświętszéj rodziny" i „ducha od stepu". Właśnie téj naturalności, ktorą do śmierci odznaczał się nasz śpiewak, nie dostawało Weilenowi. Mówił zawsze szumnie, z patosem, jakby deklamował wyuczone frazesy, stawał ciągle na koturnie. Nawet miłą i młodą jeszcze wtedy żonę, którą poznałem niebawem, pozbawił z czasem naturalności i zrobił z niéj jakoby fonograf, powtarzający zdania sławnego męża. Licząc wtedy dopiero 39 lat, zdawał się być starszym, dobréj tuszy, miał czarne włosy i gęstą czarną brodę; choć długo służył w wojsku, nie wyglądał na wojskowego, a w miarę jak postępował w latach, uwydatniał się w nim typ semicki (pochodził bowiem, jak się dowiedziałem późniéj, z ubogiéj rodziny żydowskiéj, ale przyjął chrzest w czasie, gdy uczęszczał do gimnazyum). Słowem, autora „Rozamundy" wyobrażałem sobie inaczéj. Talent do poezyi posiadał niewątpliwie, samą pracą nie byłby się wzniósł tak wysoko, widać jednak było po nim, jako też po większéj części dramatów jego [1]) zwłaszcza późniejszych, że więcéj zawdzięczał pracy, powiedzmy sztuce, niż natchnieniu. Badającemu Sokratesowi, jak poeci tworzą swe dzieła, będąc szczerym Weilen nie byłby odpowiedział, że nie wie, gdyż tworzy je bezwiednie, z natchnienia jakiegoś bóstwa.

Widując się odtąd często z Weilenem, pod koniec r. 1870-go zapoznałem go z państwem Duchińskimi, którzy od lipca bawili tutaj mieszkając w hotelu „Koenig von Ungarn". Pani Duchińska wtedy, często się znosząc z autorem, dokonała wybornego przekładu „Rozamundy" który tak samo, jak pisane naówczas „zwierzenia Ewunii", ukazały się pono najprzód w „Bibliotece Warszawskiéj". W kwietniu r. 1871 spędziłem kilka dni z Weilenem w Wenecyi. Przebywał tam wtedy także młody syn emigranta, osiedlonego w Szwecyi, Leski, daleki krewny państwa Duchińskich. Nie, czytałem żadnych poezyi Leskiego, choć wiem, że je pisał: w każ-

[1]) Wymienionych w każdéj encyklopedyi.

dym razie był to poeta, jak mówią Niemcy: „von Gottes Gnaden“ i swym przebijającem co chwila poczuciem poetycznem stanowił arcyciekawę antitezę do Weilena. Zawiedziony w miłości, w roku następnym Leski zastrzelił się w Wenecyi przed balkonem swéj bohdanki, namiętnéj włoszki, która nie zasługiwała na taką miłość. Weilen nigdyby nie był się dopuścił takiego, według pedantów, głupstwa. Jak doskonale znał się na sztuce, w któréj najmniéj celują poeci, tj. na arytmetyce, o tém pouczył mnie właśnie pod czas ówczesnego pobytu w Wenecyi drobny na pozór, ale dosyć wymowny szczegół. Weilen wracał przedemną do Wiednia. Załatwiwszy przed wyjazdem, który miał nastąpić o 10-téj w nocy, wszystkie rachunki w hotelu, z sumy, którą wyznaczył był na podróż, zostało mu się 20 franków czyli luidor. Już takie dokładne prawie co do grosza dotrzymanie preliminarza, odsłaniało po stronie sławnego poety niepospolite talenta rachunkowe. Pogodził nas z niemi, gdy, zawsze uroczyście i z patosem oświadczył, że ten zaoszczędzony luidor zamieni na podarunek z podróży dla żony. Wchodziliśmy zatem niemal do wszystkich składów jubilerskich pod arkadami przy placu św. Marka. Chociaż jednak, trybem wenecjańskim, kupcy z 60, czasem nawet z 80 lirów w licytacyi minuendo schodzili na owe wyznaczone na gościniec dla nadobnéj żony 20 franków, poeta nie wydobył ich z kieszeni, nie mógł się z niemi rozłączyć i zapewne przywiózł je ze sobą do Wiednia. Oszczędność jest bardzo piękną cnotą, nie można jéj dosyć zachwalać i praktykować, bo „tym ładem domy stoją i narody słyną, z jego upadkiem domy i narody giną“, jednakże przypominam sobie żywo, że ten katonizm w oszczędności poruszył wtedy we mnie żyłkę ironiczną, a wywołał istne oburzenie nieszczęśliwego Leskiego.

Długo też nie mogłem się pozbyć podejrzenia, że, choć pierwsze nasze zbliżenie nastąpiło niezawodnie wskutek prawdziwéj wdzięczności Weilena, który nie wiedząc przedtém, że Polak pisał krytykę „Rozamundy“, mógł istotnie nie pojmować, jak odrazu wniknąłem w tajemnice historycznego tła tragedyi, dalsze wyraźne awanse, które mi czynił sławny poeta, potroszę także pozostawały w związku z arytmetyką. Na początku r. 1870-go nastał gabinet Potockiego, w roku następnym gabinet Hohenwarta — federaliści byli górą, a pan Weilen, który bardzo pilnie uczęszczał na obiady do arcyksięcia Karola Ludwika, już wtenczas zapewne marzył o roli, aby się tak wyrazić, nadwornego poety, która mu też w kilkanaście lat później dostała się w udziale. To też, gdy pod koniec r. 1871-go upadła era federalistyczna i nastał gabinet centralistyczny ks. Auerspergra, rozumny poeta znowu więcéj się przechylił na stronę lewicy, został prezesem dziennikarskiego stowarzyszenia „Concordii“, umiał się zbliżyć do nieszczęśliwego cesarzewicza Rudolfa, został naczelnym redaktorem niemieckiego wydania znanego dzieła „Austro-Węgry w słowie i obrazie“, radcą

regencyjnym, „rycerzem“ i t. d. Że zaś w r. 1875 na dłuższy czas opuściłem Wiedeń, osobiste stosunki nasze przerwały się, choć raz po raz wymiana listów utrzymała dawną znajomość. Umarł na te samą chorobę, co cesarz Fryderyk niemiecki, wskutek nieszczęśliwéj tracheotomii.

Bądź jak bądź, tak dramatami swemi, pomiędzy któremi góruje historyczna tragedya „Rosamunda“ i także nibyto historyczna rzeczywiście jednak inspirowana dzikim tańcem około złotego cielca, który wyprzedził głośny „Krach“ giełdowy r. 1873-go, tragiedya „Hrabia Horn“, jako też licznemi przynajmniéj pod względem stylu świetnemi i uroczystemi prologami przy różnych zwłaszcza dworskich obchodach jubileuszowych, Józef Weilen zajmował tutaj jako poeta pierwszorzędne miejsce. Dawniéj dzielił tę sławę z Mosenthalem. Dyrekcya teatru cesarskiego z góry wiedziała, że otrzymawszy nowy dramat Mosenthala, za kilka miesięcy otrzyma też nowy utwór Weilena. Pomimo tego ostrego spółzawodnictwa dwaj poeci utrzymywali przyjazne ze sobą stosunki, choć Weilen skarżył się, że dyrekcya teatru ces. i krytyka wiedeńska okazują mu niechęć a faworyzują Mosenthala. Po śmierci tegoż zabrał się jednak do sumiennego wydania jego zebranych pism, i téj saméj usługi podjął się względem literackiéj spuścizny najznakomitszego dramatycznego pisarza niemców austryackich Grillparzera, który mu był szlachetnymi protektorem, gdy młody oficer Weilen, stawiający pierwsze krok na drodze do sławy literackiéj, protekcyi potrzebował. Po śmierci Grillparzera, który umarł dopiero 21 stycznia r. 1872, ale od r. 1838 nie wystąpił przed publicznością z żadnym dramatem, chociaż ich napisał jeszcze wiele, i po śmierci Mosenthala (1877) jako poeta specyalnie austryacki, wyznawający głośno gorący patryotyzm austryacki, Weilen nie miał poważnego konkurenta.

* * *

Całkiem innego ducha poetą był zmarły niedawno w Hradcu styryjskim Robert Hamerling, od dzieciństwa słabowity, przez kilkadziesiąt lat fizycznie tylko wegetujący, odludek, niezręczny w sprawach światowych, ale gorący zapałem, zawsze natchniony, obdarzony bujną wyobraźnią, posiadający niepospolitą zdolność do tworzenia najjaskrawszych, często zdumiewających kolorytem obrazów, wynoszony przez swych wielbicieli w niebiosa, namiętnie napadany i potępiany przez innych,—sławny śpiewak epopei: „Ahaswer w Rzymie“ i „Król Syonu“, około których grupuje się mnóstwo innych utworów epicznych, poezyi lirycznych i dramatów. Krótko przed śmiercią Hamerling wydał autobiografią. [1])

[1]) „Stationen meiner Lebenspilgerschaft“, Hamburg 1889 r.

Podpisując jéj przedmowę w dzień Bożego Narodzenia r. 1888 nie przewidywał wcale, że nie dożyje końca następnego roku. Choć nawiedzany od 30 lat chorobą, w ostatnich latach szybko podupadał na zdrowiu, i choć powierzchowni krytycy obwołali go za stanowczego pessymistę, Hamerling oburzał się, g dy w 50 rocznicę swych urodzin otrzymał list gratulacyjny, rozpoczynający się od słów: „Czcigodny starcze“, czuł się jeszcze w duchu młodym, układał plany do nowych dzieł, do ostatniéj chwili nie wierzył, że się w swéj pielgrzymce już zbliżył do kresu. W wymienionéj autobiografii nie dostrzedz ani śladu przeczucia śmierci. Napisał on te „stacye pielgrzymki swego życia“, jak sam kilkakrotnie zapewnia, jedynie w tym celu, aby sprostować mylne podania i zaznaczyć fakta, ale użył wygodnéj, jaka mu się nastręczała sposobności, do wyjaśnienia głównéj myśli swych utworów i swych filozoficznych i estetycznych poglądów.

Obszernie w pierwszym rozdziale opisuje swe lata dziecięce. Urodził się w ubogiéj chatce w Kirchbergu am Walde w dolnéj Austryi 24 marca r. 1830. Ojciec jego tkacz, niebawem biedą był zmuszony opuścić rodzinną wioskę, późniéj przyjął w Wiedniu służbę w pewnym majętnym domie. Młody Robert pozostał sam z matką; wzrastał śród ubogiéj dziatwy i uczęszczał do szkółki wiejskiéj. „Pierwszą oznakę, — zauważa dowcipnie — świadczącą o pewném wyższém uzdolnieniu, było, że mi łatwo szło z czytaniem, miernie z pisaniem, a nie nauczyłem się wcale rachować“. Od 10-go do 14-go roku życia (1840—44) przebywał w klasztorze w Zwettl, gdzie śpiewając z innymi ubogimi chłopcami na chórze, miał wolne utrzymanie, pobierał nauki gimnazyalne, i po kryjomu rozwijał swe zdolności poetyckie. Rodzice chłopca tymczasem przenieśli się do Wiednia. Robert podążył za nimi i dostał się do sławnego gimnazyum O. Benedyktynów szkockich (Schotten). W Zwettlu pisywał poezye liryczne, w Wiedniu zabrał się zaraz do dramatu („Kolumbus“, „Męczennicy“ i t. d.) i zapłonął miłością platoniczną do pięknéj i majętnéj dalekiéj kuzynki Regiswindy, a serdeczną przyjaźnią do spółucznia Antoniego Brucknera, obdarzonego także poetyckim talentem, ale większą znajomością życia. W r. 1847 zapisał się do wydziału filozoficznego wszechnicy wiedeńskiéj, chodząc równocześnie na fakultet medyczny, czytając dużo i pisząc dramaty.

Burzliwy epizod r. 1848-go młodego poetę powołał „pod broń w służbie wolności“, ale nie dostarczył mu sposobności do bohaterskich czynów. Skończyło się wszystko na tém, że wdział błękitny mundur legionu akademickiego, stawał na warcie, sypiał romantycznie na ławie w odwachu i pisywał pałające patrjotyzmem niemieckim wiersze i artykuliki do ówczesnych dzienników tutejszych. Tém pilniéj potém, gdy ks. Windischgraetz przywrócił „porządek“, oddawał się studjom fachowym. „Gorąca, oparta na szacunku i serdecznem przywiązaniu przyjaźń łączyła mnie wtedy

z Edwardem Hamerskim, [1]) młodym Polakiem z Galicyi, który w seminaryum historycznem przygotowywał się na urząd profesorski. Nie zachodziła pomiędzy nami spólność poetycznych, ani innych dążności, idealny jednak i gorący charakter młodzieńca tego stworzył węzeł miłego obcowania, które sobie chętnie przypominam". Poznał wtedy także nadobną Polkę. „Jadwiga była dziewicą w pełni wdzięków, która nauczyła się mówić po niemiecku, ale nie umiała pisać w tym języku. Ponieważ pragnęła nauczyć się tego, ofiarowałem więc usługi moje. Miała cudowne oczy i ręce, które uważałem za najpiękniejsze w świecie, aż później poznałem artystkę na harfie Maryą Moesner. Co dotyczy jéj stanu, żyła wprawdzie w wielkim świecie, choć nie należała do niego. Sądzę, iż przy dłuższém obcowaniu z tą istotą, byłaby się w sercu mojem rozwinęła prawdziwa, niebezpieczna namiętność. Stół, przy którym odbywaliśmy nasze ćwiczenia wieczorne, stał blisko rozpalonego pieca. Oddziaływało to na temperaturę mych uczuć, to też zawsze rozogniony opuszczałem pokój Jadwigi. Kto wie na jaki stopień Reaumura byłaby się podniosła przy niéj temperatura sercowa, gdyby piękna Polka nie była nagle opuściła domu, w którym przebywała. Obiecała napisać do mnie, ale daremnie czekałem na list". Sonet „an Jadwiga" w zbiorze „Sinnen und Minnen" świadczy o silném wrażeniu, jakie panna Jadwiga, zapewne nauczycielka, wywarła na młodym poecie niemieckim.

Od października r. 1853 do kwietnia r. 1855 był profesorem gimnazyalnym w Hradcu styryjskim, następnie przez lat 10 w Tryeście. Tutaj, nad brzegiem morza, śród różnobarwnego i wielce ożywionego tłumu, nad którym górowały „nadobne włoszki, greczynki i żydówki", podziwiane przez młodego i skromnego poetę z daleka, w teatrze włoskim, do którego pilnie uczęszczał, dojrzewał poetycki talent Hamerlinga i objawiwszy się publiczności niemieckiéj najprzód w zbiorze utworów lirycznych, które wyszły w r. 1857 pod tytułem „Ein Sangesgruss vom Strande der Adria", doszedł szczytu swego w epopei: „Ahaswer w Rzymie" (1865). Utwór ten, przypominający nam świetnym kolorytem „Iridiona", a więcéj jeszcze obrazy Siemiradzkiego, wywołał w Niemczech ogromne wrażenie, przez jednych był uważany za najznakomitszą epopeję niemiecką, przez innych stanowczo potępiany jako niemoralny, przez wszystkich czytany, bo w ciągu lat 20 doczekał się aż 15 wydań. Dokładny rozbiór „Ahaswera" nie wchodzi w ramy kroniki. Podniesiemy tylko, co poeta sam napisał w obronie utworu swego.

[1]) Obecnie profesor jednego z gimnazyów galicyjskich i wydawca podręczników szkolnych, zwłaszcza o literaturze niemieckiéj.

Na zarzut, że przeistoczył myt, ponieważ jego Ahaswer nie jest wiecznym żydem, lecz wiecznym człowiekiem, odpowiada, że to prawda: „ale poeta, posiadający prawo, przekształcać nawet historyczne postacie, tém bardziéj jest uprawniony do tego w obec mniéj wyraźnych postaci podania. Bohaterem epopei Ahaswer nie może być wieczny żyd, lecz tylko wieczny człowiek; żądza śmierci Ahaswera nie może znaczyć nic innego, jak żądzę spokoju całéj ludzkości, która boleśnie walczy i pragnie wiecznie, gdy indywiduum śmiercią dostępuje spoczynku. Aby wyobrażać nieśmiertelną ludzkość, Ahaswer musiał być tak stary, jak ona. Dla tego w poemacie moim dopuściłem się śmiałego nowatorstwa, identyfikując go z pierwszym synem człowieczym, z Kainem, którego śmierć za to, że ją wprowadził do świata, karze i wynagradza nieśmiertelnością". W obec Ahaswera Nero, który w eposie Hamerlinga zajmuje pierwsze miejsce, wyobraża energiczną wolę do życia, egoizm i chęć używania społeczeństwa rzymskiego. Trudno więc zaprzeczyć, że „Ahaswer w Rzymie", w swéj zasadniczéj podstawie jest alegoryą; poeta pragnie jednak ten zarzut ile możności osłabić. „Prawda, powiada, że Nero wyobraża wolę do życia (Lebensdrang, w pojęciu Schopenhauera), ale nie inaczéj, jak skąpiec Moliera wyobraża skąpstwo, Romeo Szekspira miłość. Zjawiają się wprawdzie w poezyi figury, które nie są niczém innem, tylko alegorycznym szablonem i nie mają nic w sobie, tylko znaczenie oderwane, — podobne do chudego kanonika Heinego, który ostatecznie składał się już tylko z ducha i plastrów. Ale dla żywych postaci poematu alegoryczne „znaczenie" nie jest upiorem, który im krew wysysa. Czyż w ogóle istnieje coś, co nic nie znaczy? Jakże ma się zachować żebrak, aby nie wyobrażać ubóstwa, Kroezus, aby nie wyobrażać bogactwa. Jesteśmy wszyscy chodzącemi alegoryami, chociaż to nie szkodzi zdrowiu naszemu. Sądzę zatém, że chciwy życia Nero, wyobrażający w obec Ahaswera prąd do życia, tak samo na rzeczywistości, nic nie traci, jakby bogaty bankier nie straciłby nic z swéj kwitnącéj tuszy, gdyby przypadkiem stawając obok żebraka, chcąc niechcąc wyobrażał grupę alegoryczną kontrastu bogactwa i ubóstwa. Tym, którzy mu zarzucają, że czytelnikom odsłania otchłanie zepsucia, Hamerling odpowiada: „Toć to było zamiarem moim pokazać wykoszlawienie moralnych stosunków, bezmierność sobkostwa na tym stopniu, aby wywołać trwogę i obrzydzenie. Okrutność była konieczną przyprawą mojego poematu! Nie należałoby też zapominać, że straszne tło „Ahaswera w Rzymie nie jest wcale moim wynalazkiem, lecz tematem historycznem, którego nigdzie nie wystawiłem jaskrawiéj, lecz wedle możności złagodziłem. Mojem zadaniem nie było zaprzeczać dziejom, lecz je tłomaczyć. Kto czyta ohydne dzieje cezarów w Swetoniuszu, pyta zatrwożony: Jak to było możliwém? Dziejopisarz nie daje odpowiedzi, ale daje ją poeta. Czyż potworność i anormal-

ność może być celem poezyi? Tak, jeżeli ta potworność pomimo swéj nadzwyczajności jest zjawiskiem typickiém. Wyrodzenie świata rzymskiego w znanych nam z dziejów kształtach, nie może się wprawdzie powtórzyć, atoli jest ono typem dla wszystkich epok najgłębszego upadku moralnego".

Słusznie zauważono, że Neronowi należało przeciwstawić nie mitycznego Ahaswera, lecz ascetyzm chrześcian w katakombach św. Piotra lub Pawła. Atoli Hamerling, który pierwsze lata młodzieńcze spędził w klasztorze, na wszechnicy utracił wiarę, chrześcjaństwo uważał jako fazę przechodnią. W jego wyobraźni krnąbrny opór Ahaswera przeciwko Mesyaszowi nabierał głębszego znaczenia „oporu tego co stałe, przeciwko temu, co zmienne, chwilowe, doczesne, oporu więc treści przeciwko formie". W tym duchu śpiewa poeta: „Götter kommen und schwinden, — ewig wandert Ahaswer".

Powodzenie, jakiego doznał „Ahaswer" (tłomaczony niebawem na wszystkie języki, najczęściéj na włoski, na polski przez Ordona we Lwowie 1877) utwierdziło Hamerlinga w dawnym zamiarze zaniechania zawodu nauczycielskiego i poświęcenia się wyłącznie pracom literackim. Przyspieszyło to wspaniałomyślny czyn mieszkającéj w Wiedniu pani Genowefy Mueller von Milborn, która nieznanemu sobie osobiście poecie (za wstawieniem się innego poety, Eberta, o czém Hamerling pono nic nie wiedział) darowała 6000 fl. Równocześnie otrzymawszy zażądaną dymisyę z urzędu profesora, z nadzwyczajnéj łaski cesarza dostał 600 fl. dożywotniéj pensyi, po czém osiadł stale z rodzicami w Hradcu (Graz), romantycznéj stolicy Styryi, gdzie sobie kupił domek.

Tu w marcu r: 1868 ukończył epos „Król Syonu", który sam uważa za swój najdoskonalszy utwór i który doznał w Niemczech, a co do zagranicy przedewszystkiem w Holandyi, równie wielkiego powodzenia, co „Ahaswer".

Król Syonu — to znany z dziejów reformacyi prorok anabaptystów Jan z Leodyum. I w jego piersi, jak we Fauście, „mieszkają dwie dusze", walczy idealny zapał wzniesienia się na wyżyny cnoty, prawa i czystości, z żądzą szczęścia i rozkoszy życia. Podłość motłochu, pozbawiająca proroka nadziei, urzeczywistnienia swych ideałów, rzuca go w wir rozkoszy, w któréj ginie. I w tym poemacie zanadto przeważa żywioł dramatyczny, filozofia i alegorya, słowem niezgodna z duchem poezyi epicznéj subjektywność. Spaniała jednak dykcya w uroczystym heksametrze, obrazy, pełne kipiącego życia i kolorów, tłomaczą i usprawiedliwiają zapał, z jakim „króla Syonu" przyjęły najszersze koła publiczności niemieckiéj a po części także nie zbyt łaskawi na Hamerlinga krytycy, z których jeden zawołał szumnie: „Teraz dopiero mamy znowu wielkiego wieszcza", a drugi porównał go z Homerem.

Pomijając dalsze zwierzania autora o swéj chorobie, o przyjaciołach i przeciwnikach, o rozpoczętych listami niewinnych romansach z różnemi wielbicielkami, powtórzymy tylko jeszcze, co mówi o swém stanowisku w obec politycznych i narodowych stronnictw. „Nic nie zabrania poecie przyłączyć się do pewnego stronnictwa i bronić jego zasad. Ale na tém nie kończy się jego zadanie, powinien spełnić wyższe. Jak już zauważyłem niejednokrotnie, potrzeba kogoś, coby w walkach codziennych wyobrażał sprawy wieczne, tak jak się ustanawia kapelanów wojskowych; którzy w wojnie starają się o zbawienie duszy walczących. Potrzeba kogoś, któryby od czasu do czasu stanął pomiędzy stronnictwami i wołał na nie: Nie prawda, aby w walce było wolno używać wszystkich środków, wyrzec się moralności i sprawiedliwości, aby należało naruszać prawdę, kłamać i oczerniać! A jeżeli domniemani mędrcy polityczni, poruszając ramionami, twierdzą, że w tak ciężkich i krytycznych czasach nie można zbyt skrupulatnie przestrzegać prawdy, trzeba im przypomnieć trafne słowa starego Szekspira: „żaden czas nie jest tak przewrotny, aby mąż nie miał wyznawać prawdy“ (there is no time so miserable, but a man may be true). Takie zdania, powiadają fanatycy stronnictwa, świadczą o idealnych poglądach, ale są całkiem nieużyteczne. Na to odpowiadam: Nie, niepraktycznemi my nie jesteśmy, lecz ci, którzy mniemają, że można poświęcić zupełnie trwałą równowagę odwiecznych idei, a z pożytkiem oddać się zupełnie chwiejnéj równowadze dążeń dziennych! W obec tych krótkowidzących zawsze odniesie zwycięztwo sięgający daléj wzrok poety i myśliciela. Przypominam sobie, że w r. 1848 jako 18 letni młodzieniec przy wprowadzeniu konstytucyi jasno przewidziałem, kto w austryackim parlamencie rychléj czy późniéj otrzyma większość [1]). I tak przypominam sobie, że zwykle długo przedtém przewidywałem, co się stać miało, mianowicie też zawsze przeczuwałem upadek stronnictw, w których taktyce stwierdza się dawne słowo: „Quem perdere vult deus, dementat“. Ludzie, zjednoczeni pod sztandarem stronnictwa, grubo się mylą, przypuszczając, że ktoś, co nie kroczy w szeregu, pozostaje koniecznie w tyle, a nie wyprzedza ich. Nie słusznie od tych (poetów, myślicieli), którzy się wznieśli do zupełnéj jasności i dojrzałości, żądają, aby się cofnęli na stanowisko niedojrzałości i niejasności“.

Tak niemal wszyscy wybitni poeci pojmowali swe stanowisko w obec stronnictw. Za to też najczęściéj nie mieli u nich miru. Już poczciwy, stary Montaigne wzdycha: „Je fus pelaudé a toutes mains; au Gibelin j'estois Guelfe; au Guelfe Gibelin“. I tak téż

[1]) Oczywiście, że raz w parlamencie austryackim musiała otrzymać większość głosów naturalna większość ludności, a zatém stronnictwo niemieckie musiało się tam znaleść w mniejszości, ale czyż dlatego należało nie wprowadzać wcale konstytucyi?

Hamerling, pomimo swego gorącego uczucia niemieckiego, nie był mężem zaufania stronnictwa niemiecko-narodowego w Austryi, które oddawna główną kwaterą założyło właśnie w Hradcu styryjskim.

* * *

W niniejszéj kronice przyjdzie nam nieraz zdawać sprawę z ważniejszych zjawisk w świecie teatralnym. Spieszymy więc zapoznać z nim czytelników. Teatr cesarski, który się dawniéj mieścił w niewygodnym i pozbawionym wszelkiego stylu architektonicznego, a wsuniętym pomiędzy dwa skrzydła zamku ces. (Burgu), gmachu, który na początku r. b. został zburzony, w jesieni zeszłego roku przeniósł się do niesłychanie wykwintnego nowego pałacu przy Ringstrasse, naprzeciwko nowego ratusza, i otrzymał nowego dyrektora w osobie byłego aktora d-ra Foerstera [1]); opera cesarska od lat dwudziestu i kilku mieści się w nowym poważniejszym i masywniejszym gmachu, także przy Ringstrasse, ale z drugiéj strony Burgu, i od lat kilku pozostaje pod dyrekcyą p. Jahna. Obaj dyrektorowie zależni są od generalnego intendanta barona Bezecnego, który jednak, jako finansier i były dyrektor banku, wyłącznéj niż poprzednik jego, bardzo znany w kołach dyplomatycznych i artystycznych ś. p. baron Hoffman, dogląda spraw administracyjnych, artystyczne zaś kierownictwo zupełnie oddaje wymienionêm dyrektorom. Oba te teatra cesarskie od dawna posiadają sławę nie tylko miejscową, lecz europejską, są zakładami wzorowêmi, nie potrzebujemy więc dopiero obznajmiać z niemi czytelników.

Jedynie w przeciwstawieniu do teatrów cesarskich, inne używają tytułu „ludowych", Volkstheater. Ktoby przypuszczał, że do teatrów cesarskich uczęszczają głównie koła arystokratyczne, urzędnicze, wojskowe i turyści, zaś do tych innych teatrów, szersze warstwy mieszczańskie, gruboby się mylił. Wystarczy z rana przejść koło nowego teatru ces., i spojrzyć na ten tłum, w gęstym i długim szeregu zimą i latem czekający cierpliwie na otwarcie kasy, aby zrozumieć, że ten teatr nie jest wcale świątynią tylko dla pewnych wyłącznych kół. Istotnie dzień w dzień, wyższe piętro teatrów ces. zapełnia publiczność „kat ex ohen" miejscowa, wiedeńska, gdy parter zajęty przez studentów i wojskowych, dla których zniżono ceny. Przeciwnie w teatrach „ludowych", a zwłaszcza w Królowym i w teatrze „an der Wien", roi się od turystów, bonwiwantów i giełdowiczów, którzy nie przyszli podziwiać sztuki, lecz aktorki a często téż przypatrzyć się toaletom, które ich... drogo kosztują.

Wszystkie te teatra nibyto ludowe powstały pod koniec zeszłego stulecia. Z początku grywano na przedmieściach w dre-

[1]) Który nagle umarł 23 grudnia r. b.

wnianéj budzie, na rynku lub w gościńcach. Dopiero w r. 1781 na mocy przywileju ces. Józefa, na tém samém miejscu, gdzie dziś stoi w Leopoldstadt (II cyrkuł) teatr Karolowy, powstał teatr stały pod dyrekcyą Karola Marinellego, otwarty 21 paźdz. komedyami: „Wszelki początek trudny“ i „Wdowiec z swemi córkami“. Niebawem teatr ten stał się ulubieńcem wiedeńczyków, których rozweselał zabawnémi krotochwilami Bauerlego, późniéj sentymentalnemi sztukami i grą znakomitą Rajmunda i Nestroya, jeszcze późniéj possami Berga i operetami Offenbacha, w których panna Gallmeyer, Blasel, Knaak i Matras zwabiały już nie „lud“, lecz śmietankę wiedeńskiego świata, w którym się bawią. Dziwnym trafem trzéj poeci, ktorzy najwięcéj rozśmieszali wiedeńczyków, skończyli życie w sposób tragiczny: Rajmund zastrzelił się 5 września r. 1836 we swéj wiosce Guttenstein, Nestroy, napisawszy przeszło 60 poss, pomiędzy któremi największego powodzenia doznał „Der boese Geist Lumpacivagabundus“ (1833), umarł w melancholii r. 1862, zabroniwszy w testamencie ogłoszenia znajdujących się po większéj części w rękopisach swych utworów; Berg skończył w zakładzie obłąkanych.

Pomimo wszelkiego powodzenia, teatr w Leopoldstadt upadał pod ciągłą zmianą właścicieli i dyrektorów. W długim ich opisie figuruje także warszawianin Rudolf Steinkeller, który kupił teatr w r. 1828, zamianował Rajmunda dyrektorem, ale po ustąpieniu tegoż, straciwszy dużo pieniędzy, w r. 1831 usunął się. Późniéj stał się właścicielem zbogacony na innych teatrach, sławny skąpiec Carl i w r. 1847 wystawił na miejscu dawnego nowy gmach, w którym dziś jeszcze mieści się teatr na 1824 osób. Po Ascherze, Jaunerze, Tewelem i różnych kombinacyach przechodnich, od wiosny r. b. dyrektorem jest p. Blasel, który 23 listop. obchodził 40-tą rocznicę swego zawodu aktorskiego i od 20 lat jako komik nie genialny wprawdzie, ale znający doskonale charakter publiczności miejscowéj rośmiesza wiedeńczyków. Podnieść teatr na wyższy stopień estetyczny, nie jest zadaniem, ani zamiarem jego, to téż już od trzech miesięcy bez przerwy zapełnia salę niedorzeczna, ale zabawna possa: „Nigerla podróż do Paryża“.

Drugi teatr ludowy na przedmieściu Wieden (tak nazwaném od strumyka Wideńki, który tędy dąży do Dunaju) powstał z nędznéj szopy, która stała w jednem z obszernych dziedzińców ogromnego domu Stahrembergów, w r. zaś 1787 przeniósł się do nowo wybudowanego nad Wideńką gmachu, na 1780 osób. Dzieje teatru „an der Wien“, który rozpoczął swój zawód possami, potém poważnemi operami Mozarta, spółzawodniczył z (włoską wtedy) operą cesarską, następnie próbował wszelkich rodzajów, nawet cyrkusowych, są „długą litanią zmian szczęścia i nieszczęścia, pstrokaciznę obfitych darów z rogu fortuny i z puszki Pandory, kaleidoskopem genialności i niedołęztwa w kierownictwie, rozrzut-

ności i brudnego skąpstwa, niepohamowanéj ambicii i płaskiéj apatyi". W ciągu niespełna 100 lat, zmienił 10 razy właściciela, przeszło 20 razy dyrekcyę, kilkanaście razy popadł w konkurs, chociaż niektórzy dyrektorowie, jak wymieniony powyżéj Carl, zarobili tam znaczny majątek. Obecnie właścicielką jest panna Aleksandryna Schoenerer, siostra znanego przywódcy antisemitów i prusofilów Jerzego, artystycznym zaś dyrektorem p. Janner, były dyrektor teatru Królowego, potém opery ces., wreszcie tragicznéj pamięci „opery komicznéj", przy któréj pożarze w grudniu r. 1880 zaginęło przeszło 600 osób.

Teatr w Jozefstadzie (VIII cyrkuł) otwarty został w r. 1788. Pierwszy dyrektor Mayer, z zawodu komik, w zbroi rycerskiéj (z papieru) stawał przed bramą, wzywając przechodniów, aby wstąpili, gdyż potrzeba koniecznie publiczności, przynajmniéj 50 osób, bo inaczéj nie podobna zaczynać. Nie trwało to długo. Po Mayerze, objął dyrekcyę handlarz żelazem Huber, wreszcie po nieustannych zmianach właścicieli oberżysta Reischl, który w r. 1822 zburzył dawny gmach i wystawił nowy, na 1080 osób, dyrekcyą zaś powierzył inteligentnemu Henslerowi. Po tegoż śmierci (r. 1825) rozpoczęła się znowu dawna nędza. Dopiero pod dyrekcyę Pokornego, od r. 1837, teatr stanowczo się podniósł, publiczności przybywało, kasa dyrektora zapełniała się, tak że w r. 1845 mógł kupić także teatr „an der Wien", gdzie na konkurencyi z operą ces. wkrótce stracił majątek. Znowu nastały stosunki chaotyczne, defilada najróżnorodniejszych dyrektorów, bankructwa, licytacye. Przed trzema laty objął dyrekcyę były komik Blasel, któremu pono wiodło się nieźle. Gdy się przeniósł jako dyrektor do teatru Karolowego, następcą jego w Jozefstadzie został Giesrau,—od kilku tygodni na repertuarze znajduje się—nomen omen!—niedorzeczna possa: „der dumme August".

Że pomimo tego wszystkiego obok dwóch zakładów ces., te trzy teatra „ludowe" utrzymały się dotąd, świadczy to o wielkim konserwatyzmie wiedeńczyków. Liczba 5 teatrów stała się niejako cyrografem dla tutejszego świata teatralnego. Wszelkie usiłowania przekroczenia téj liczby, zawiodły. Kiedy w r. 1872 nastał tak zwany „rozkwit ekonomiczny", co rana dziennik urzędowy ogłaszał koncesyę na nowe przedsiębiorstwo akcyjne, a Wiedeń marzył o milionach, które przyniesie wystawa powszechna, zajęto się także, po dawniejszych niefortunnych próbach, pomnożeniem teatrów. Powstała wtedy wykwintna „Komiczna opera", która późniéj przybrała tytuł „Ringtheater" przy Schottenringu-tudzież na przeciwległym końcu miasta „teatr miejski", pod dyrekcyą byłego dyrektora teatru ces. i znakomitego pisarza hofrata Laubego. Pierwszy z nich, właśnie kiedy się zaczęły eksperymenta i można było przewidzieć katastrofę, spłonął w grudniu r. 1880, drugi, po ustąpieniu Laubego, w kilku latach przechodził z ręki do

ręki i już był całkiem zrujnowany, gdy także stał się ofiarą pożaru. Obecnie zamienił się na café chantant Ronachera.

Świeżo powstał, otwarty w wrześniu r. b. „niemiecki teatr ludowy“ (deutsches Volkstheater), umieszczony w zgrabnym i przestronnym pałacu za muzeami cesarskiemi, odznaczający się nizkiemi cenami biletów wstępnych, i występujący z pretensyą zreformowania popsutego smaku. Operety więc i possy wykluczone z repertuaru. Dyrektorem tego 6-tego teatru par exellance „niemieckiego“ został węgier Bukowicz, były paryzki feljetonista „Lloydu“ peszteńskiego, zaś artystycznym doradcą najznakomitszy autor dramatyczny miejscowy—Anzengruber. Z wyjątkiem nowego dramatu ludowego Anzengrubera: „der Fleck auf der Ehr“, nie pojawił się jednak na deskach „niemieckiego“ teatru żaden utwór, któryby usprawiedliwiał górne jego pretensye. Grywają tam stare sztuki, znane z teatru miejskiego, fabryki berlińskiéj, nie mające żadnego związku z stosunkami austryackimi.

Zanim pomówimy obszerniéj o Anzengruberze, warto spomnieć o nowym projekcie teatralnym. Były dyrektor teatru preszburskiego p. Kment nabył przestronny grunt w Praterze, gdzie zamierza wystawić wielki teatr letni, — arenę na sposób brukselskiego Edenu, otoczony ogrodem, w którym podczas międzyaktów odbywać się będą koncerta. Już 1-go maja r. przyszłego teatr ten ma się stać przystępnym publiczności.

Na paryzkich polach elizejskich podobne ogródkowe zakłady cieszą się wielkiem powodzeniem „Café des ambassadeurs“, „Café de l'horloge“, aby wymienić tylko najznaczniejsze, ilekroć je zwiedziłem, zastałem przepełnione. Czy jednak podobna spekulacya dopisze w Wiedniu?—to inna kwestya. Ludy i miasta mają swoją własną tradycyę. Do Prateru publiczność miejscowa dąży, albo aby użyć świeżego powietrza na przechadzce w głównéj alei, albo na koncerta w trzech dawnych i sławnych kawiarniach, albo wreszcie, aby się zabawić w tak zwanym „Wurstel praterze“, który nie zawdzięcza swéj nazwy kiełbaskom, lecz „Hanswurstowi“, czyli miejscowemu, odwiecznemu typowi bufonerył, wesołości, blagi i t. d.; ten „Wurstelprater“, obecnie pusty, latem stanowi tak oryginalną i charakterystyczną osobliwość wiedeńską, że mu przy sposobności poświęcić wypadnie szczegółowy opis.

* * *

Teraz słów kilka o Anzengruberze!

Nową epokę jeżeli nie w kasach teatrów przedmiejskich, to jednak w ich repertuarze i w dziejach wiedeńskiego dramatu ludowego, zagaił odegrany w jesieni r. 1871 w teatrze na Wideniu dramat „Proboszcz Kirchfeldu“ („der Pfawer von Kirchfeld“) całkiem przedtém nieznanego autora, który się na afiszu ukrył po za pseudonimem Grubera. Ówczesny dyrektor wymienionego teatru Steiner długo nadaremnie szukał czegoś nowego, czemby zdołał zająć

znużoną operetemi Offenbacha i naiwnemi possami Berga publiczność. W pewnéj bezsennéj nocy wziął do ręki jeden z licznych, spoczywających w biórku rękopisów, odczytał go raz i drugi i trzeci, wreszcie w uniesieniu zawołał: „Znalazłem, czego szukałem, powstał reformator teatru ludowego, skończyły się czasy niedorzeczności“.

Istotnie dramat wywołał zapał w teatrze a większy jeszcze w dziennikach. Tłómaczy się to przedewszystkiém jego tendencyą. Wtedy w Wiedniu przeważały owe prądy, które w r. 1867 sprowadziły zerwanie konkordatu, interkonfesyjne ustawy z r. 1868, groziły „walką kultury“, jaka niebawem wybuchła w Niemczech, liberalizm identyfikowały z oporem przeciwko tak zwanemu „klerykalizmowi“. Prąd ten przywitał nieznanego poetę z zapałem jako sprzymierzeńca. Może nie całkiem słusznie. W „Proboszczu z Kirchfeldu“ autor nie zaczepia bowiem kościoła w imię liberalizmu. Główny bohater, młody proboszcz Hell (Jasny) nie przeniewierza się zasadom kościoła, nie występuje ani jako protestant, ani jako „starokatolik“, choć właśnie wtedy tutaj grasował tak zwany starokatolicyzm; zaleca tylko miłość bliźniego, która jest jedną z głównych podstaw nowego zakonu, kocha ojczyznę, odwodzi włościan od dysput o subtelnościach, których nie rozumieją, wprawdzie w pewnéj chwili żywo odczuwa ofiarę, jakiéj po nim wymaga celibat, ale nie upada; z drugiéj strony hrabia Finsterling (ciemny), który sprowadza katastrofę, nie występuje jako reprezentant prawowierności katolickiéj, ale jako uosobienie nadużywania spraw kościelnych w. widokach stronniczych. Wymieniony dramat więc nie dostarcza broni przeciwko katolicyzmowi. Atoli publiczność teatrów przedmiejskich nie umie tak dokładnie rozróżniać, krytycy prasy antikatolickiéj, nie chcieli rozróżniać, a zatém przywitano „Proboszcza z Kirchfeldu“ jako demonstracyę i dla tego w jednym obozie chwalono go więcéj, niż zasługiwał, co znowu w drugim obozie wywołało niepotrzebne oburzenie.

Nawet były dyrektor teatru cesarskiego i sławny pisarz dramatyczny Laube chwycił za pióro aby wypowiedzieć swe zdanie o „Proboszczu z Kirchfeldu“ i to w ten sposób: „Autor tego niepospolitego dramatu, nazwany na afiszu Gruberem, nazywa się pono Anzegruberem i napisał już dużo dramatów, których dyrekcye teatrów nie przyjęły. Nic i tém dziwnego, bo także niniejszy utwór pod względem formy ne zasługiwałby na całkowity sukces. Jest to drzewo, którego gałęzie nie rozrosły się. Akcya rozwija się w ciasnych i sztywnych granicach. Sztuka ludowa wymaga większego bogactwa szczegółów, bo i lud jest pojęciem szerokiém i różnobarwném. Jeżeli pomimo tego utwór ten stał się dramatem ludowym i to najlepszym, jaki się zjawił od lat wielu, zawdzięcza to swemu tematowi, ściśle związanemu z duszą ludu, szlachetnéj moralnéj powadze, która cechuje umysł poety, wreszcie zdolności jego w uwy-

datnieniu scen stanowczych. Gdzie oderwane myśli ustępują na bok, a działa humor świeżych, naturalnych ludzi, autor wywiera najmilsze wrażenie".

Bardzo słusznie Laube jako główną wadę „Proboszcza z Kirchfeldu" podniósł szczupłość tła dramatycznego i akcyi, która jest zaledwo naszkicowana i nie wystarczyłaby wcale na kilka aktów, gdyby nie te sceny, dialogi i monologi, które dodane są gwoli tendencyi. Powodowany zdrowym zmysłem poetycznym Anzengruber w późniejszych swych utworach wprawdzie nie wyrzekł się zupełnie tendencyjności, której tyle zawdzięczał, ale rozwinął też tło swych obrazów i ożywił akcyą dramatyczną. Zanim wspomnimy o tych późniejszych utworach, trzeba poświęcić kilka słów biografii autora.

Ludwik Anzengruber urodził się 29 listopada 1839 r. w Wiedniu, jako syn niższego urzędnika, po którego wczesnéj śmierci przerwał nauki, aby zapracować na życie. Był najprzód praktykantem w księgarni, od r. 1860—1867 występował jako aktor w podrzędnych teatrach na prowincyi, potém był reporterem dziennikarskim, wreszcie został kancelistą w dyrekcyi policyi tutejszéj. Powodzenie, jakiego doznał wymieniony powyżéj dramat, pozwoliło mu poświęcić się wyłącznie pracom literackim. W maju r. 1873 ożenił się z 17-to letnią panną, która mu potém powiła troje dzieci, ale z którą musiał się rozwieść latem roku bieżącego

Zaraz drugim swym dramatem „der Meineidbauer" 1872 (chłop krzywoprzysięzca) stanął o wiele wyżéj, niż w „Proboszczu z Kirchfeldu". Drugi ten utwór osnuty jest na bogatém tle, celuje wyrazistością charakterów i wielce ożywioną akcyą, w głównych scenach wznosi się na wyżyny poezyi dramatycznéj, często dreszczem przejmuje widzów. Przyprawki tendencyjnéj wprawdzie autor nie zaniechał: główna bowiem figura, włościanin, który krzywoprzysięztwem zagrabił zagrodę swych synowców, udaje potém pobożność, co jednak w niczém nie wpływa na bieg akcyi i jéj rozwój. Jak w „Proboszczu z Kirchfeldu", tak też w tym drugim dramacie i niemal we wszystkich innych utworach Anzengrubera bohaterki (Anna. Vroni, Jadwiga, Franzl) są istotami nader sympatycznemi, co nie mało przyczyniło się do powodzenia, jakiego doznają.

Podobnemi zaletami dramatycznemi odznacza się „das vierte Gebot" („czwarte przykazanie"), uważane przez wielu za najlepszy utwór Anzengrubera. Tło tu wzięte nie z stosunków włościańskich, lecz z życia niższych warstw wiedeńczyków,—tło bardzo ponure, naturalistyczno-pesymistyczne, od którego dodatnio odbija wyraźniéj tylko jedna postać staréj babki. Pod względem tendencyi, właśnie ten utwór Anzengrubera mógłby oddziałać najszkodliwiéj. Jedna albowiem z głównych figur, Jadwiga, staje się nieszczęśliwą, ponieważ słuchając rodziców, wychodzi za bogate-

go nicponia. Marcin i Józefa upadają moralnie coraz niżéj i giną z winy a nawet z przyczynienia głupich i niecnych rodziców, a przyzwoitym człowiekiem w tym zaścianku wiedeńskim, zostaje tylko Edward, którego rodzice przeznaczyli na prawnika, ale który, wskutek śmierci kochanki, z własnéj woli przyjmuje święcenie kapłańskie, na co wreszcie choć niechętnie rodzice przystawają. Oczywiście autor chciał tylko wykazać, że także czwarte przykazanie, zastosowane do życia w sposób fałszywy, może sprowadzić katastrofę; atoli płytki radykalizm mógłby z sztuki Anzengrubera wysnuć wniosek, że będzie najlepiéj, gdy nie dzieci będą słuchać rodziców, lecz odwrotnie!

Z kilkunastu innych dramatów tegoż autora, całkiem wolny od podobnych tendencyi, niejasno lub dwuznacznie nakreślonych, jest najnowszy utwór jego, „der Fleck auf der Ehre“, 1889 („Plama na honorze“), którym w wrześniu b. r. rozpoczęły się przedstawienia nowego „niemieckiego teatru ludowego“. Tutaj znowu główna rzecz odgrywa się pomiędzy włościanami, naszkicowanymi bardzo wyraźnie i z niepospolitym realizmem. W wiedeńskim dramacie ludowym od niepamiętnych czasów powtarzają się pewne steoretypowe figury, zmieniające tylko od czasu do czasu nazwę. Najstarsza z nich „Hanswurst“ albo „Wurstel“, przypominająca bufona dawnych melodramatów włoskich, wyniosła się powoli do Prateru, gdzie w szopkach figurowych bawi jeszcze dziatwę. W dramatach Anzengrubera dawny Wurstel stracił humor, stał się poważnym, zaciętym sceptykiem i pessymistą, przeklina świat i ludzi, nie wierzy w cnotę, wywołuje najniebezpieczniejsze zawikłania, w stanowczéj chwili jednak odkrywa swe serce, poprawia się i usiłuje rozwiązać węzeł, który zawikłał. W najnowszym dramacie rolę tę odgrywa łobuz Hubmayer, kość z kości Wurzelseppa z „Proboszcza z Kirchfeldu“. Figury takie dostarczają aktorom ról popisowych i widocznie podobają się publiczności, skoro ciągle się powtarzają, atoli dowodzą pewnych wad organicznych dramatu; przy akcyi rozwijającéj się normalnie, wszelki deus ex machina jest zbyteczny.

Bądź jak bądź, w utworach Anzengrubera, wiedeński dramat ludowy spoważniał i to głównie kosztem dawnego humoru wiedeńskiego. Czy jednak ztąd można wnioskować o podobném spoważnieniu ogółu tutejszego? Bardzo wątpię. Wprawdzie dramata tego pisarza doznały wielce zaszczytnego przyjęcia, jednakże nie zwabiają tyle widzów, co melodyjna opereta lub zabawna possa. To też „Czwarte przykazanie“ znalazło przytułek dopiero w najpodrzędniejszym z trzech teatrów ludowych, w Jozefstadzie, a „niemiecki teatr ludowy“, najnowszy utwór Anzengrubera, także odgrywa tylko sporadycznie, gdy tymczasem sztuki niedorzeczne, ale zabawne, jak „Nigerls Reise nach Paris“, albo „der dumme Au-

gust“ już od kilku miesięcy codziennie zapełniają teatra Królewy i Józefstadzki.

Właśnie kiedy Anzengruber zdawał się dosięgać zenitu swéj twórczości i kiedy po trudnych przejściach życie zaczęło mu się uśmiechać, kiedy coraz więcéj był uznawany jako poeta niepospolitych zdolności, a z samego „niemieckiego teatru ludowego“ w ciągu 3 miesięcy otrzymał przeszło 3000 M. tantiemy za odegrany 13 razy „der Fleck auf der Ehre“ i odegrany 7 razy „der Pfarrer von Kirchfeld“ — nagle śmierć zaskoczyła go w 50-tym roku życia. W pierwszych dniach zachorował na wrzód na łopatce. Pracował jeszcze w łóżku, i odpowiedział listami i wierszami w tygodniku „Figaro“, którego był redaktorem na podziękowanie nadesłane 29 listop. z powodu rocznicy urodzin. Tymczasem choroba wzmagała się. Po operacyi wrzodu nastąpiło zatrucie krwi i 10 grudnia z rana o godzinie 7-ej, poprawiając jeszcze arkusze korekty, nagle rzucił się w znak i skonał. Tegoż dnia miała się odbyć w „niemieckim teatrze ludowym“ pierwsza próba jego dramatu „Heimgefunden“, przeznaczonego na wilię. Wszystkie dzienniki tutejsze sławią Anzengrubera jako pierwszorzędnego poetę. Zamknięty w sobie, pochmurny, nie łatwy do zawierania nowych znajomości, Anzengruber w pożyciu domowem i towarzyskiem nie miał szczęścia. Po rozwodzie dwaj synowie 19-to letni Karol i 7-letni Jan pozostali u ojca, młoda córeczka u krewnych. W skutek rozwodu sprzedał mały domek w Penzingu, gdzie mieszkał kilkanaście lat i przeniósł się do tutejszego 6 Cyrkułu, gdzie w Gumpendorferstrasse osiadł w skromném pomieszkaniu z 2 pokojów i gabinetu na 4-tem piętrze.

* * *

Nader przykre wrażenie wywołały tu rewelacye, grożące zaćmić, jeżeli nie sławę literacką, to jednak charakter zmarłego przed kilku laty poety austryackiego Alfreda Meissnera.

Urodził on się w r. 1832 w Cieplicach, gdzie ojciec jego był lekarzem kąpielowym; do gimnazyum uczęszczał w Carlsbadzie, na uniwersytet w Pradze, uzyskał stopień doktorski w r. 1846 w Wiedniu; rozpoczął tam praktykę lekarską. Ogłosiwszy w tym samym roku epopeję: „Ziska“, przyjętą z wielkim zapałem, przerzucił się zupełnie na pole beletrystyki, osiadł najprzód w Lipsku, potem w Frankfurcie, Paryżu i Londynie, powróciwszy do Pragi ożenił się tam r. 1869 i przeniósł się do cichej Bregencyi nad jeziorem Lemanem, gdzie skonał w r. 1885. Że „Ziska“ Meissnera, jak „Vlast“ jego przyjaciela Eberta (+1882), doznał śród publiczności niemieckiej tak przychylnego przyjęcia, tłómaczy się tylko po

części poetycznemi zaletami tego utworu, w znacznej zaś części okolicznością, że Niemcy uważali wtedy starodawne dzieje czeskie, jako niepowrotnie pogrzebane, jako źródło, z którego czerpać może już tylko poeta i archeolog, nie zaś polityk. Teraz, gdy te dzieje stały się podstawą narodowych rewindykacyi czeskich, żaden poeta niemiecki nie mógłby wystąpić przed publicznością niemiecką z utworami podobnego tematu. Ustaliwszy swą sławę poety „Ziską“ i „Wierszami“, Meissner wydał jeszcze mnóstwo powieści i dramatów i był powszechnie uważany za jednego z najznakomitszych pisarzy tegoczesnych.

Nagle, w 4 lata po jego śmierci, zjawiła się w Berlinie pod tytułem „*Alfred Meissner — Franz Hedrich*“ broszura, straszna, zabójcza dla pamięci Meissnera. Autor broszury, Franciszek Hedrich, w szerszych kołach dotąd był nieznany. Starsi literaci przypominają sobie, że urodzony w Pradze, jako syn fagotysty w kapeli teatru niemieckiego, po śmierci ojca, (r. 1842) znajdował się w najtrudniejszém położeniu, że pracował wiele. Po roku 1848 wskutek udziału w zaburzeniach opuścił Austryą i osiadł w Niemczech, wydał kilka zapomnianych powieści a w r. 1862 „Nachtsstücke aus dem Hochgebirge“, w których się objawił potężny talent, ale które nie zdołały jednak zwrócić powszechnéj uwagi na autora. Z Meissnerem zaprzyjaźnił się w r. 1847. Teraz twierdzi że on sam napisał prawie wszystkie romanse, ogłoszone po r. 1854 pod nazwą Meissnera, że nie był tegoż spólpracownikiem, lecz i co do głównego pomysłu i co do wykonania, jedynym autorem. — Według tego wyjaśnienia nie było więc właściwie spółki literackiéj Meissner-Hedrich, jak istniały znane spółki francuzkich pisarzy Dumas-Magnet, Mery-Barthelemy. Erekman-Chatrian, braci Goncourt, lecz po prostu Hedrich tworzył, pracował, a Meissner użył albo nadużył swéj sławniejszej firmy, aby te pisma spieniężyć i zabrać połowę honoraryum.

W r. 1854 znany hamburski nakładca Campe zażądał od Meissnera dzieła o Heinem, z którym poeta austryacki obcował w Paryżu, i aby go zachęcić, dodał, że tymczasem przyjmie od niego także inny utwór. Wtedy właśnie Hedrich pisał romans: „Der Pfarrer von Grafenried.“ Dwaj przyjaciele rozważają, czyliby nie mogli go ofiarować Campemu jako spólną pracę. Ostatecznie romans pod zmienionym tytułem: „Zwischen Fuerst und Volk“ wychodzi pod nazwą samego Meissnera. Tak zawiązał się tragiczny węzeł. Wprawdzie Meissner usiłował stać się rzeczywistym spólpracownikiem; ale Hedrich twierdzi, że był zmuszony odrzucić niezdatne przyczynki Meissnera. To samo powtarzało się przy następujących romansach. Niebawem Hedrich napisał romans „Freiherr von Hostivin“, wydany w Pradze pod nazwą Meissnera, który w patetycznéj przedmowie dedykował go — Hedrichowi! Nienaturalny

stosunek dwóch spólników staje się coraz więcej ponurym. Hedrich wymaga, aby przynajmniéj był wymieniony jako spółpracownik. Niecierpliwi się i wzbrania skończyć romans „Zansara“, dalszy ciąg wymienionego powyżéj, dopóki nie otrzyma od nakładcy zapewnienia, że ów warunek będzie spełniony. Meissner więc sam napisał zakończynie, niedostateczne, w drugiem wydaniu zastąpione stosowniejszém pióra Hedricha, i ogłosił romans znowu tylko pod swojém nazwiskiem (1857). Oburzony do żywego Hedrich, zrywa stosunki z Meissnerem. Atoli niebawem nastaje zgoda. Meissner tłomaczy się obawą przed ojcem, dziwakiem i mizantropem, któryby go wydziedziczył, gdyby się wykryło spółpracownictwo Hedricha. Dwaj przyjaciele postanawiają czekać z odsłonięciem tajemnicy aż do śmierci 74-letniego ojca Meissnera. Stary Meissner żyje jednak jeszcze 10 lat, i w tym czasie zjawiają się, zawsze tylko pod nazwiskiem Alfreda Meissnera romanse: „Neuer Adel“, „Schwarzgelb“, „Babel“ i t. d. — napisane wyłącznie przez Hedricha.

Po śmierci Meissnera ojca, r. 1868, rozpoczynają się na nowo rokowania, pod jaką formą ma być odsłonięta tajemnica? Alfred tymczasem zaręczył się, żąda względów dla swéj rodziny. Hedrich oburza się, napomina, grozi, ostatecznie, zmuszony potrzebą, wraca pod dawne jarzmo, pisze powieści: „Die Kinder Roms“, „Norson“, które wychodzą pod nazwiskiem Meissnera — ale oburzenie jego gwałtownie się wzmaga, przyjaźń zamienia się w nienawiść i jedynie „tajemnica i solidarność literacka“ wiążę go jeszcze z dawnym towarzyszem. Wreszcie z powodu układów co do nowego romansu „Die Schaetze von Sennewald“, zjawia się jako nieubłagany karciciel i wierzyciel w pobliżu Meissnera, osiada w Lindau, skąd przez Bodensse widać Bregencją, i pomiędzy dwoma brzegami jeziora toczą się najprzykrzejsze układy. Dawniej tak uległy i potulny Hedrich, stał się twardym, upornym. Wszelkie propozycye ugodowe Meissnera rozbijają się o jego stalową energią. Dramat ten odgrywa się w kwietniu i maju roku 1885. Dnia 9 maja Meissner listownie udaje się do żony Hedricha, mieszkającej w Edinburgu, z prośbą o pomoc i zapośredniczenie, otrzymuje odpowiedź odmowną, a d. 29 maja umiera na zapalenie mózgu, jak opiewał protokół obdukcyi, rzeczywiście zaś śmiercią samobójczą.

Twierdzenia swe Hedrich popiera rękopismami, tajnym kluczem, za pomocą którego na różnych kartach swych romansów umieścił takie zdania, jak: „autor Hedrich“ i t. p.; przedewszystkiem zaś listami samego Meissnera. Zapewnia wprawdzie, że ich nie zbierał, że tylko szczęśliwy wypadek zachował je, że on sam najpewniejszej rękojmii dopatrywał się w osobie towarzysza, i że dopiero tegoż niespodziewana śmierć zmusiła go do wystąpienia z dowodami, które wyznanie Meissnera byłoby uczyniło zbytecznemi. Atoli z namiętnej nienawiści, która przebija na każdej stronie

broszury, wnosić trzeba, że aż nadto starannie jeszcze w czasach, gdy dwóch spólników łączyła na pozór serdeczna przyjaźń, te dowody zbierał. Istotnie listy te stanowią niezbity dowód. W nich to sławny poeta wobec Hedricha występuje bez wszelkiej samodzielności, jak wdzięczny uczeń, który się wyłącznie opiera na mistrzu swym. W najprzesadniejszych wyrazach uwielbienia wita każdą nową przesyłkę rękopisów, nie może się dosyć nachwalić przyjaciela, który go wyręcza w pomysłach i wykonaniu, nazywa go „wielkim mistrzem, organizatorem, czarodziejem", wprawdzie ciągle się ucieka do fikcyi swego spółpracownictwa, ale czyni to w sposób najpotulniejszy, mówi o swych przyczynkach z lekceważeniem, zawsze przystaje na ich odrzucenie. Tak, że listy stanowią przekonywający dowód, opowiadają wielkie nieszczęście nieznanego dotąd rodzaju, boleści duszy, graniczące z torturą śmiertelną.

Ale także ten drugi pisarz, który nagle z głębokiego cienia występuje w zbroi czystości, sprawiedliwości i wielkiego, długo zapoznanego talentu, nie jest bez wielkiej winy. Prawa jego będą uznane, nazwisko jego pojawi się na tytułach romansów, które napisał, ale wawrzyny czystej sławy nie spoczną na jego skroni. W tej strasznej spółce, choć wysila się na potępienie każdego kroku Meissnera, występuje on jako chłodniejszy, energiczniejszy, jako przywódca na drodze do otchłani. Dla czegoż się upokarzał? Dla czego przez lat tyle potwierdzał fałsz? Dla czego od samego początku przystał na te potworności? Pomyślność swych utworów oparł na wczesnej sławie Meissnera, był uczestnikiem przykrej spółki i jest spółwinnym. Nadaremnie tłomaczy się ciągłemi podszeptami przyjaźni, wysileniami ofiarności. Własne bowiem jego wywody sprawiają wrażenie, jak gdybyśmy czytali dzieje złego ducha, który miękkiego, uległego człowieka oczarował i obdarzył kłamliwemi skarbami, które się w stanowczej chwili zamieniają w przekleństwo. Jakby drugi Mefisto, w ciemni kroczy obok Meissnera, przynosi mu wielkie skarby, gromadzi winę i nienawiść i czeka na godzinę odwetu. Teraz zrywa wieniec wawrzynu z głowy Meissnera i kładzie go na swą własną; jest to wieniec splamiony, któremu nikt nie przywróci czystości.

W obronie Meissnera wystąpił szwagier jego, rotmistrz Bayer, znany w piśmiennictwie niemieckiem pod pseudonimem Roberta Byra, z broszurą „die Antwort Alfred Meissner" (Monachium 1890). Bayer, urodzony w Bregencyi, mieszkał tam i dowiedziawszy się o katastofie, [1]) spiesznie stanął u śmiertelnego łoża szwagra,

---

[1]) Wprawdzie zaraz po śmierci Meissnera obiegały pogłoski o samobójstwie, dopiero jednak broszura Byra sprawę tę w autentyczny sposób wyjaśniła. Byr opowiada: „dnia 21 maja r. 1885, około pół do 7-ej z rana, obudziła mnie

który mu powiedział: „Ciężka wina ciąży na mnie, — wdałem się z Hedrichem. Stoję przed flintą strzelca. Człowiek, któremu wyświadczałem same dobrodziejstwa, ściga mnie. Dłużéj tego znieść nie mogę. Zaprzyjaźniliśmy się przed 35 laty. Posiadał ostry rozum, dużo czasem pomysłów, ale pracował mało, nie mógł się wznieść. Podzielaliśmy ze sobą nasze pomysły, krytykowaliśmy, przyjmowaliśmy lub odrzucaliśmy projektowane zmiany, jak pomiędzy przyjaciołmi. Miałem mnóstwo pomysłów, planów, on znajdywał szczęśliwe zwroty. Dałem mu materyał do „Mokagamy“, „Clairsne“ i t. d. Był to sojusz. Ubogiemu i opuszczonemu dopomagałem, ile starczyły środki. Wspierałem go, jak mogłem, teraz chce mnie zniszczyć, grozi, obmyśla skargę lub coś podobnego. Jest to człowiek złowrogi, przywykły wykonać swe zamiary żelazną wolą. Jak mógłbym temu przeszkodzić? Nie zadowolniłby się największémi sumami, a nie mogę uszczuplać mienia moich dzieci. Zaczęło się to, gdy przebywałem z żoną w Dawos. Nadszedł wtedy list, w którym Hedrich twierdził, że to on dostarczył mi pomysłów do moich prac, że on jest ich autorem i że to światu odsłoni. Powiedziałem mu wtedy, co myślę o nim („wyciągnęłem cię kiedyś jak psa z wody, a teraz wściekle się rzucasz na mnie“). Pomimo tego zbliżył się ponownie do mnie, ale teraz zaczyna na nowo. Jest to szaleniec. Czyż po tylu latach mogę dowieść, co moje, co jego?

---

służąca Helena, wołając: „Panie rotmistrzu, proszę do p. doktora. Przybiegła tu Krystyna, zdaje się że p. doktór (Meissner) zasłabł, jest tam krew“. Zatrwożony wyskoczyłem z łóżka. Kilka dni przedtem Meissner z zamierzonej przez Insbruck, Monachium, Cieplice, dłuższej podróży do Berlina, nagle był powrócił. Mówił mi wtedy, że się nie czuje zdrowym, że obawia się choroby, że mu się iskrzy przed oczyma i że się boi paraliżu. Jednak jeszcze wieczorem 20 maja pojechał z nami do Lindau (na drugim brzegu jeziora) i nawet wesoło rozmawiał. Spiesznie udałem się do pomieszkania Meissnera i zastałem go w łóżku, kołdrą miał zakrytą dolną część twarzy.—Cóż ci się stało, drogi przyjacielu? zapytałem; ale skłaniając się po nad nim, zauważyłem krew na gardle.—Zraniłem się brzytwą, rzekł jąkając się i potem dodał z straszną powagą: nie mogę dłużéj żyć. Tymczasem nadszedł lekarz, owiązał ranę i zapewnił nas, że za kilka dni będzie zagojona“. Nazajutrz Meissner dał wyjaśnienia co do swego stosunku z Hedrichem, na których Byr oparł swe wywody. W następnych dniach kilka razy żądał pistoletu lub noża, aby skończyć z życiem. Dnia 28 maja miał być odwieziony do zakładu leczniczego Bellevue, w pobliżu Konstancyi, ale w wigilię wpadł w letargiczny sen, śród którego 29 maja nadeszła śmierć. Hedrich w swej broszurze twierdzi, że chodzi mu jedynie o zabezpieczenie swych praw autorskich. Natomiast Byr na mocy otrzymanych z Anglii listów krewnych żony Hedricha donosi, że tenże całą tę sprawę dla tego tylko wytoczył przed publiczność, aby, strwoniwszy posag żony, wyłudzić dalsze sumy od jej matki pod pretekstem, że spodziewać się może bardzo znacznych dochodów w Niemczech. Słowem sprawa ta ze wszech miar brzydka.

Co mi przysłał, nie mogłem tego wprost użyć, było twarde i szorstkie, jak on sam, musiałem wszystko zmienić, przerobić. Jestem zmęczony, nie mogę dłużéj walczyć".

Gdy następnie rotmistrz Bayer i pani Begg, matka zmarłéj wcześnie żony poety, starali go się pocieszać, dodał: „Podszedł mnie zdradziecko. Nie wiem, jak to mogłem uczynić, ale nie umiałem się oprzeć jego naleganiom. Przed kilku laty przybył tu z prośbą o temat. Dostarczyłem go i napisał romans. Że jednak prace jego nie miały pokupu, oskarżał mnie o intrygi. Aby mu pokazać, jak chętnie chciałem mu dopomódz, zgodziłem się na to, aby nakładcy posłać jego romans pod moją nazwą. Skoroby była nadeszła odpowiedź nakładcy, że go przyjął, chciałem mu napisać, że pragnąłem go jedynie skłonić do przeczytania rękopisu, że to jednak nie jest moje dzieło". Na mimowolny wykrzyk szwagra, jak to mógł uczynić, Meissner żałośnie spojrzał nań i dodał: „Otóż to, teraz mną pogardzasz, a jednak mówię tylko prawdę w obec zbliżającéj się śmierci. Umieram. Ty Karolu pogardzasz mną i ty mamo będziesz mną pogardzała".—„Tylko żałować i ubolewać nad tém, co nam niepojęte"—odpowiedzieli oboje. „I mnie samemu jest to teraz niepojęte, dodał konający. Wiesz co mi powiedział? Pan wiesz, posiadam rozum przenikliwy i żelazną wolę. Pańskie książki muszą się stać mojemi książkami — pańskie pieniądze mojemi. — Widzisz, muszę umrzéć, bo moim dzieciom powinien pozostać majątek. Nie mogę walczyć. Jestem na śmierć znękany. Tak to się stało".

Wszystko to nadzwyczaj smutne i często czytelników przejmuje zgrozą. Niestety te wynurzenia w głównéj rzeczy stwierdzają wywód Hedricha. Meissner też nie tylko nie napisał do nakładcy, że ów romans („Zwischen Fuerst und Volk") nie był jego utworem, nietylko także późniejsze romanse Hedricha wydawał pod swojem nazwiskiem, lecz co najgłówniejsza, pobierał za te cudze prace honorarya, a zatém niepodobna tłomaczyć owéj spółki jedynie przyjacielską usługą sławnego dla rzeczywistego autora. W liście do szwagra, Meissner zapewnia, że zawsze pragnął się zwrócić z téj drogi, że go jednak Hedrich nieustannie popychał naprzód; że go zmuszał groźbami: „Jeżeli poszedłeś tak daleko, musisz iść i daléj", że jest nieszczęściem, gdy się za młodu zawrze znajomość z czartem i t. d. Istotnie też domysł nieszczęsnego poety, że Hedrich który według twierdzenia Meissnera, jest czechem, od samego początku miał stały plan, że nie mogąc należycie zużytkować swych prac pod własném imieniem, użył nazwiska sławnego Meissnera, zrzekając się sławy i części zysku pod zastrzeżeniem, że to późniéj sobie wynagrodzi, domysł ten jest wielce uzasadniony. To wszystko wprawdzie rzuca gruby cień na Hedricha, ale nie zwalnia Meissnera od winy i ostatecznie cała ta ponura sprawa stwierdza na nowo słowa wieszcza: „Der Uebel groesstes ist die Schuld".

* * *

W ogóle schyłek 19-go stulecia obfituje w najrozmaitszego rodzaju wykolejenia. Obok licznych pretendentów, z których kilku dostarcza romansopisarzom obfitego materyału do utworów à la „Les rois en exile“, mnoży się zastęp tych, którzy z lekkiem sercem wyrzekają się monarszych i książęcych godności. Don Pedro brazylijski dawno przed swą detronizacyą stał się niemożliwym na tronie cesarskim tego dnia, kiedy oświadczył: „Jestem republikaninem“. Książę Aleksander nie tylko złożył koronę bułgarską, ale nadto wyrzekł się tytułu książęcego i aby dowieść ks. Bismarckowi, że się raz na zawsze wyrzeka wszelkich górnych planów, zawarł nagle pod nazwą hrabiego Hartenau mezalians. Król Milan serbski opuścił tron królewski. Arcyksiążę następca tronu Rudolf, w obec którego bardzo znaczna część prasy europejskiéj dopuściła się wielkiéj zbrodni, wmawiając weń, że będzie najgienialniejszym władcą, ponieważ opisał nie źle kilka podróży i polowań, w sposób arcyoryginalny, ale też gorszący, popełnił „dezercyą“, aby użyć wyrażenia Platona o samobójstwie. Także wykolejenie innego arcyksięcia przypomina nam co dr. Tavanne w „Ledr Rameau“ Ohneta twierdzi o dziennikach: „ce sont des agences d'empoisonement public“. Bo dzienniki tutejsze dopóty wygłaszały najprzesadniejsze hymny o gieniuszu arcyks. Jana Salvatora, aż wreszcie powstała w jego myśli przepaść pomiędzy rzeczywistością i obowiązkiem a ambicyą i ideałami, któréj nie umiał zapełnić inaczéj, jak odrzucając godność książęcą i znikając w tłumie pod nazwiskiem... pana Jana Ortha.

Jako najmłodszy brat ostatniego w. księcia toskańskiego Ferdynanda IV-go, arcyks. Jan Salvator urodził się w r. 1852 we Florencyi. W 7-ym roku życia, wygnany z swą rodziną, przeniósł się do Wiednia, tutaj otrzymał, jak się zdawało, staranne wychowanie, wcześnie wstąpił do wojska, i to do służby najcięższéj, w artyleryi, w r. 1876 został pułkownikiem, w r. 1878, licząc dopiero lat 26, dowodził już brygadą w kampanii bośniackiéj, od r. 1883 dowodził dywizyą w Linzu, zaś w r. 1887 nagle usunął się, rzeczywiście zaś został usunięty z szeregów wojskowych. Następnie na własnym parowcu pływał po morzu Śródziemném, na wiosnę r. b. w Riece przed odpowiednią komisyą złożył egzamin na kapitana okrętowego. wreszcie w październiku zrzekł się godności arcyksiążęcéj, nazwiska, złotego runa i wszelkich innych orderów, apanażu, który pobierał jako członek rodziny cesarskiéj, i przybrał od zamku swego pod Gmundenem nazwisko Orth, aby wstąpić do marynarki handlowéj angielskiéj.

Zawód czynów a zawód pisarski zdawają się stanowić sprzeczność bardzo trudną do pogodzenia. Pominąwszy Cezara i kilka podobnych wyjątków, pono najznakomitsi monarchowie nie kusili się o wawrzyny literackie, a przeciwnie ci, którzy ich dostępowali, nie odznaczali się sztuką rządzenia. W naszych czasach, jeżeli nie

ze strony samych monarchów, to jednak ze strony tych, co się urodzili blisko tronu. coraz częściéj czynią się usiłowania, aby pogodzić ową sprzeczność pomiędzy czynem a myślą, albo przynajmniéj słowem. Pokusie téj, niebezpiecznéj o tyle, że możni świata tego są narażeni na łatwość wydawania obcych myśli za swoje (à la Meissner), a na odwrót nie mogą się spodziewać krytyki zupełnie szczeréj, jak arcyks. Rudolf, uległ także jego przyjaciel arcyks. Jan Salvator. Wydał mnóstwo książek i broszur treści wojskowéj, do których materyału dostarczył mu pono świeżo zmarły major Laaba, sekretarz ks. Ferdynanda Koburskiego. Broszury wojskowe i tekst do baletu—to z pewnością wielce odmienne kierunki. Arcyks. Jan i tę sprzeczność umiał pogodzić, wydając balet „die Assasinen“, do którego może materyału dostarczył jaki nieznany jeszcze w szerszych kołach Hedrich. Nadto młody i rzutki arcyks. komponował, demaskował spirytystów, za co zasługiwał na wszelkie uznanie, ale niepotrzebnie pisał o spirytyźmie, który na to nie zasługuje i.t. d. Wszelki zaś podobny występ książęcego autora wywoływał w prasie tutejszéj najprzesadniejsze na jego gielnialność panegiryki, zdolne zatruć najrozumniejszy umysł.

Cóż mężowi, wysławianemu od lat 15 jako gieniusz pierwszorzędny, mogła znaczyć komenda nad dywizyą, albo nawet nad korpusem, któréj mógł się spodziewać? Może też w chwilach samotnych marzeń obrzydził sobie tę reklamę, o któréj przeczuwał, że zawdzięczał ją przeważnie, jeżeli nie wyłącznie, swym tytułom? Zrzekł ich się zatem i stał się pod skromném nazwiskiem p. Orth czém ostatecznie jesteśmy wszyscy: „synem człowieka“, hidalgo, jak mówią hiszpanie (z filius alicujus). Że przy teraźniejszym i historycznym ustroju społecznym urodzenie nakłada też na jednostki pewne obowiązki, których nie wolno zrzucać siebie, choćby ciężyły, o tém snać p. Orth nie pomyślał. Obowiązki są bardzo różne, ale brak poczucia się do nich, zdaje się być charakterystyczną cechą naszego czasu.

Wiedeń w grudniu 1889 r.

KONKURENCYA AMERYKAŃSKO-EUROPEJSKA

w handlu zbożowym.

PRZEZ

C. R.

Udział rolnictwa amerykańskiego w wystawie paryzkiéj, dostarczył bardzo wiele ważnego materyału do objaśnienia stosunków handlu zbożowego.

Przedewszystkiem zwrócić trzeba uwagę na rewolucyą ekonomiczną, kończącą wiek XIX. Produkcya zboża nie jest już monopolem Europy. Dziś największym krajem, produkującym pszenicę, są Stany Zjednoczone, ze swą wytworczością roczną 158,700,000 hektolitrów. Drugie miejsce zajmuje Francya ze swemi 100,726,675 hekt., które zbiera na dużo mniejszéj przestrzeni aniżeli Ameryka, ale otrzymuje 14 do 16 hektolitrów z hektara, przeciw 10—12 hekt., zbieranym w Stanach Zjednoczonych z tejże przestrzeni. Państwo Rosyjskie, niegdyś pierwszy producent pszenicy, zajmuje trzecie miejsce z 94,000,000 hektolitrami. Wreszcie zaznaczmy i ten fakt ważny, że Indye w produkcyi pszenicy dostarczają 80,000,000 hekt.

Statystyka urzędowa uczy nas, że od 1878 r. Stany Zjednoczone, Kanada, Indye Angielskie i Australia, przez to samo, że rozporządzają znaczną nadprodukcyą, wystąpiły jako kraje eksportujące nietylko pszenicę, ale i inne produkty rolnicze, które i my produkujemy. Nowy wynalazek komunikacyj pospiesznych, tanich i na wielkie odległości lądem i morzem, oddał się na usługi tych krajów. Nie są to już tylko produkty stref gorących: kawa, cukier, kakao, bawełna, zioła lekarskie, farby, heban, drogie metale, które nam przysyłają w zamian za nasze wyroby fabryczne, są to produkty e same, które do niedawna były podstawą główną naszéj ekonomii rolniczéj.

Wielki nacisk kłaść należy na to położenie ekonomiczne rolnictwa europejskiego. Dalecy byliśmy od przypuszczania w pier-

szym rozwoju kolonizacyi, jakie będą jéj następstwa; sądzono, że jest to doskonały środek zamiany produktów europejskich na produkty u nas nie wytwarzane. Za przykładem fabryk angielskich— i w innych krajch przedsiębiorstwa przemysłowe zorganizowały szeroki system eksportu do tych krajów, które natura obdarzyła produktami specyalnemi, w klimacie naszym nie rosnącymi. Był to pierwszy błąd, błąd tem ważniejszy, że dał podstawę nowemu systemowi ekonomii politycznéj. Przywozić dużo produktów, rolnych, by wywozić dużo produktów fabrycznych, taki był program, mający wówczas najwięcéj powodzenia, zwłaszcza w wyspiarskiéj Wielkiéj Brytanii. Francya równe błędy popełniła. Tak samo sądziła, że dla niéj najlepszym środkiem wzbogacenia rolnictwa, będzie przedewszystkiem wzbogacić przemysł. Państwo Rosyjskie, nie będąc dostatecznie przygotowaném do eksportu wyrobów przemysłowych, nie szukało dróg zbytu w tych nowych krajach, spoglądało z wielkim spokojem na budzące się za oceanem rolnictwo. Nie spodziewaliśmy się tego, co rok 1878 nagromadzi, gdy w pełném świetle przedstawiła się nam groza położenia.

Rok 1878, punkt wyjścia przesilenia trwającego i w 1889 r., powołał do walki dwa rolnictwa, bardzo wybitnie od siebie się różniące pod względem kosztów w sposobie eksploatacyi gruntów: — z jednéj strony rolnictwo typu europejskiego, które w swéj kulturze bardziéj posuniętéj nawozi grunt do maksimum, by otrzymać z niego zbiory maksymalne, przy kosztach minimalnych—z drugiéj strony, rolnictwo typu amerykańskiego, eksploatujące grunt bez dodawania mu nawozów sztucznych a małéj bardzo ilości nawozów naturalnych ze względu, że nie przeszło jeszcze peryodu nawozów przyrodzonych, nagromadzonych w ziemi nieuprawianéj przez całe wieki.

Które są tu strony dodatnie a które słabe każdego z tych dwóch gospodarstw? Co należy myśleć o przyszłości téj groźnéj koukurencyi amerykańskiéj, która dziś lub jutro, gdy nie będzie już mieć ziem dziewiczych do eksploatowania, musi zarzucić system beznawozowy i zorganizować się na wzór rolnictwa eurpejskiego, gdzie zwrot nawozów pobranych z gruntu jest głównym czynnikiem kosztów produkcyi?

Z wyjątkiem gruntów, na których rolnik amerykański zaczyna wprawdzie rolnictwo europejskie, gdyż jego kultura wyczerpująca, kultura koczująca nie jest już zyskowną, całe prawie rolnictwo Stanów Zjednoczonych ma to w sobie charakterystycznego, że zbiera bez dodawania obornika lub innych nawozów sztucznych, a z rozchodem 182 fr. zbiera 12 hektolitrów pszenicy z hektara. Czyli koszt produkcyi jednego hektolitra wynosi 11 fr., loco produkcya. Obliczono, że włączywszy wszystkie koszta z miejsca wysyłki aż do portów europejskich, pszenica ta wypada po 13, 14 i 16 fr. do czego należy dodać przypadający słusznie zysk producentowi. Ze wszystkiemi

dodatkami, jest to zatem poważna konkurencya dla naszéj pszenicy, przy któréj koszta produkcyi, nie licząc w tém kosztów transportu i zysku producenta, wynoszą więcéj aniżeli cena płacona za pszenicę amerykańską w portach europejskich. A ta konkurencya nie prędko się skończy, bo w kraju młodéj cywilizacyi, dużo jeszcze jes świeżych gruntów do uprawy. Ludność, chociaż raptownie się zwiększa, długo jeszcze nie zużyje całéj ilości produktów pokarmowych, które na miejscu rolnictwo wytwarza. Taki stan rzeczy jest rzeczywiście rewolucyą ekonomiczną i należy żałować, jeśli nie potępiać, obojętności, z którą si na tę sprawę zapatrujemy.

Utrzymują, że rolnictwo europejskie może się ocalić za pomocą nawozów. Jest w tém racya, nawóz, to jeden z wielkich środków ratunku, lecz jednocześnie należy to zawsze mieć na uwadze, że jest jednym z głównych czynników kosztów produkcyi. W saméj rzeczy nie można oceniać jak na 25 rubli kosztów nawozu na morgę, co przy wydajności 8 korcy z morgi, czyni na korcu 3 rs. przeszło, wliczając w to i słomę. Bez wątpienia, są chemicy nie uznający konieczności zwrotu gruntowi całéj sumy pierwiastków, którą analiza wykazuje w zbiorach. Innemi słowy, skład chemiczny plonu nie byłby bezwzględném określeniem składu chemicznego nawozu, potrzebnego dla utrzymania równowagi koniecznéj między wyczerpaniem a zwrotem. Raz należałoby zwracać więcéj, drugi raz mniéj, w miarę tego, o ile grunt posiada mniéj lub więcej dawnych zapasów nawozu, lub też stosownie do tego, że niektóre rośliny o głęboko sięgających korzeniach absorbują pokarmy przyswajane z podłoża, inne czerpią pokarm z warstw wyższych, wreszcie rośliny liściaste pobierają azot atmosferyczny, by go przyswoić swemu organizmowi. Poważne i rozumne rozprawy toczą się nad tym przedmiotem. Lecz pomiędzy najsławniejszemi doktrynami w téj kwestyi, niech nam wolno będzie powołać się przedewszystkiem na zdanie pp. Lawes i Gilbert z Rothamstad, opierające się na doświadczeniach czterdziestoletnich i które, biorąc pod uwagę straty nieuniknione, upoważniają do przyznania konieczności nawozu silniejszego nad zbiór. Utrzymujemy się więc przy 3 rs., jako wysokości kosztów nawozu na jeden korzec pszenicy.

Obliczamy tę cyfrę dla kultury amerykańskiéj tak samo jak i dla naszéj, choć intenzywniejszéj, nie ulega bowiem zaprzeczeniu, że korzec pszenicy amerykańskiéj, importowany do Europy, jest w rzeczywistości importem nawozu, wartującego 3 rs., tylko należy tu zauważyć, że dla rolnictwa amerykańskiego, mowa tu o nawozie przyrodzonym, którego nie kupiła za pieniądze, gdyż ziemia dostarcza mu darmo tego, co nas kosztuje 25 rs. Nawóz ten nie obciąża kosztów produkcyi amerykańskiéj pszenicy, zarówno jak i innych płodów podobnie wytwarzanych. Jeszcze raz powtarzamy: w obecnym stanie rzeczy, jest to nadpłata 25 rs., którą ponosi nasza kultura intenzywna. Jeśli nasz gospodarz otrzymuje za korzec pszenicy po 6 rubli,

te 3 ruble wydał na nawóz, na koszta zaś uprawy, siewu, zbioru, podatków, tyleż kosztów ogólnych, więc zysk producenta pozostaje 3 ruble, czyli suma nie pokrywająca tych wydatków. Tak uczy rachunkowość.

Oto jest pierwsza i wybitna różnica między temi dwoma rolnictwami, między rolnictwem amerykańskiém eksploatującém grunt bez posiłkowania się nawozami, i rolnictwem naszém, które nie może eksploatować gruntu, choćby w rozmiarach minimalnych; — bo czémże są 8 korcy z morga—bez ponoszenia kosztów na nawóz po 25 rs. na morgę. A różnica ta nie jest jedyną. Będziemy ją jeszcze długo odczuwać, na przekór przepowiedniom, które każą wierzyć, że za lat niewiele, Far—West za atlantycki bez nawozu nie będzie się mógł obejść.

Oceniliśmy już rolę nawozu w kulturze amerykańskiéj. Poznajmy teraz rolę drugiego ważnego czynnika produkcyi rolniczéj, t. j. rolę, grunt, który w Stanach Zjednoczonych nie liczy się prawie w kosztach produkcyi pszenicy. Powiedzieliśmy już wyżéj, że ogół rozchodu na hektar pszenicy w Ameryce nie przenosi 132 fr., przy zbiorze średnio 12 hektolitrów. Gdy więc amerykanin chce produkować 24 hektolitrów, uprawia dwa hektary, na które wydatkuje 264 fr., tak samo jak wydatkuje 396 fr. chcąc otrzymać 36 hektolitrów. W każdym z tych obsiewów, koszta produkcyi hektolitrów pszenicy, uprawianéj bez nawozu, czynią niezmiennie 11 fr. a wartości słomy nie można w tém umieszczać, gdyż palą ją na polu.

Tu zaznacza się jeden z faktów najbardziéj ważnych w ekonomii rolniczéj. Tu objawia się niezmierny wpływ ceny ziemi na rozmaite systematy kultury: téj równie, która daje korzyści przy zbiorze 30 do 35 hektolitrów z hektara, jak i téj co osiąga zysk dla tego tylko, że ogranicza się na zbiorach trzy razy mniejszych, na téj saméj przestrzeni.

O ile rolnictwo europejskie, z ziemią, wartującą 50 do 150 fr. hektar, ma racyą gospodarowania za pomocą skoncentrowania sił na gruntach eksploatowanych intenzywnie, o tyle rolnictwo na gruntach tanich, lecz dość żyznych, by otrzymywać z nich 10 do 12 hektolitrów z hektara, jest logicznem, stawiając wyżéj wielkie przestrzenie z małym kapitałem eksploatacyjnym, aniżeli małe fermy z wielkim kapitałem eksploatacyjnym. Czynsze dzierżawne w niektórych miejscowościach, gdzie ludność liczna, ruch handlowy ożywiony, są bardzo wysokie. W Ameryce czynsz jest prawie żaden, a przytem nie potrzeba budynków, rowów, drenowania, wapnowania, do prowadzenia gospodarstwa. Karczują więc i uprawiają coraz nowe przestrzenie a podczas, gdy kultura europejska, najbardziéj udoskonalona, wydaje z hektara 600 i 700 fr. by zebrać 36 hektolitrów pszenicy i otrzymać netto 14 do 15 fr., widzimy, że rolnictwo amerykańskie może otrzymać tę samę ilość produkcyi, 36 hekt., na 3 hektarach z wydatkiem tylko 396 fr.

Czy to nie jest dość przekonywającém? Czy nie mamy prawa powiedzieć, że, dzięki przyrodzonym bogactwom ziemi, gosdodarstwo amerykańskie o wiele taniéj od nas produkuje

A maszyny! czyż nie miały swego udziału w raptownym rozwoju tego rolnictwa, niegdyś ograniczonego z braku rąk roboczych, które pokonawszy trudności karczunku, zasiewa ogromne przestrzenie, gdyż maszyny zapewniają mu możność zebrania plonów w czasie właściwym. Czyż dla olbrzymich przedsiębiorstw Ameryki, żniwiarki nie były rozwiązaniem problematu nierozwiązalnego bez nich.

Dla uproszczenia porównania nie wprowadziliśmy ani z jednéj ani z drugiéj strony do rachunków bardzo zasadnych przecież zysków producenta. Co się tyczy kosztów transportu, które obciążają je na dalekich drogach, nie wymieniliśmy ich także. Powodem tego opuszczenia jest ta okoliczność, że koszta te były przedmiotem znacznych obniżeń, które, że tak powiemy, zniosły skutki wielkich odległości. Według p. O. Ronna, autora pracy wysoko cenionéj, o pszenicy Stanów Zjednoczonych, kompanie statków parowych z Towarzystwami kolei żelaznych New-Yorku, przyjmują każdy ładunek zboża, zobowiązując się dostawić do portu Liverpoolskiego, po cenie 5 fr. 60 cent. od hektolitra. Dzieło p. Ronna wyszło w 1880 r. nie zawiera więc, ostatnich wiadomości o przemyśle wielkich transportów morskich i lądowych. Zawsze jednak według obrachowań p. Ronna, pszenica z Minessoty, Dakoty, Jowy i t. d. wypada 16 fr. w Liverpoolu wraz z wszelkiemi kosztami, nawet nieprzewidzianemi. Przyjmując tę cenę 16 fr. jako koszt produkcyi hektolitra pszenicy, wyprodukowanéj w Far—West, wyniesie producentowi, po potrąceniu kosztów, około 15 fr.

Czy mamy mówić o różnicach ciężarów publicznych? Nasz stan pokoju zbrojnego, który się stał systemem europejskim rujnującym narody jedne przez drugie, stan ten wytwarza położenie finansowe, z którego korzystają inne narody, nasi przeciwnicy w rolnictwie. Podczas gdy my jesteśmy przeciążeni podatkami, Stany Zjednoczone np. mają budżet z wysokiemi przewyżkami dochodów, które im pozwalają spiesznie spłacać długi zaciągnięte w czasie wojny domowéj. Jest to korzyść ogromna w porównaniu z Europą, z jéj olbrzymim długiem publicznym, przenoszącym 120 miliardów, z czego wydatki na armią pochłonęły 100 miliardów. Procent i amortyzacya od tych 100 miliardów długu wojennego, wynosi 4 i pół miliarda rocznie, do czego dodać należy 3 i pół miliarda budżetów wojny i marynarki. Jest to więc suma 8 miliardów, którą Europa zabiera z dochodów każdego przedsiębiorstwa, każdéj pracy ludzkiéj, zamiast przyczyniać się do dzieł pożytecznych i owocnych pokoju.

Są to cyfry znaczące, a w Ameryce dobrze są znane. Zrozumiano tam doskonale, że nadeszła chwila stworzenia potężnéj marynarki handlowéj, budowania kolei żelaznych, wyrabiania wielu produkcyi, które dotąd w surowym stanie wysyłane były do Europy, zorganizowania nakoniec jak najszerszego wywozu zboża.

Jeszcze raz zwracamy uwagę na przewrot ekonomiczny, przygotowujący się po za Antlatykiem. Nieprzezorni byliby ci, którzyby go nie widzieli i którzyby nie zrozumieli, że przez swe szalone uzbrojenia i pomimo wspaniałych zdobyczy nauki, Europa coraz więcéj i więcéj oddala się od warunków produkcyi taniéj i skutkiem tego od warunków dających zwycięztwo w walce o interesy meteryalne. Zdawałoby się, że świat stary uważa swiat nowy za przeciwnika nie zasługującego na uwagę. A tymczasem pomyślność tego przeciwnika powinna nam dać dużo do myślenia. Za wiele liczyć na taryfy jest to zatem ułatwiać rozwiazanie, które bez wątpienia przeciwko nam się zwróci, chyba że pod szczęśliwszém natchnieniem zastosujemy inną politykę ekonomiczną, zasadzającą się przedewszystkiem na zmniejszeniu naszych kosztów produkcyi, przy pomocy nietylko inicyatywy prywatnéj, ale i inicyatywy rządu.

. . . . . .

Wyższość potęgi produkcyjnej Stanów Zjednoczonych można zrozumieć przez zestawienie momentów, gdzie są porównane z jednéj strony rolnictwo europejskie stopniu w swego najwyższego postępu, gdyż otrzymuje wysokie plony, wprowadzając w czyn wskazówki wiedzy najpożytyczniejszéj,—zdrugiéj strony rolnictwo amerykańskie ze swemi gruntami prawie darmemi, z małemi podatkami, ze środkami kredytowymi i komunikacyjnymi, z maszynami ulepszonemi, które działają na wielkich przestrzeniach doskonale, z możnością produkowania zboża bez komplikacyi płodozmiennych i bez nawozów, z łatwością opuszczania gruntów wyczerpanych z ludnością zwiększającą się wciąż napływem emigracji europejskiéj, która tu przynosi swoję energią, swą świadomość i wiarę w przyszłość.

Zestawienie poniższe obejmuje trzy kwestye. Jakie są rezultaty obustronne w Europie i w Ameryce, przy równych przestrzeniach ziemi, przy równości kapitałów, użytych w przedsiębiorstwie, przy równości produktów?

1-o *Równość przestrzeni.* Na 1 hektarze Amerykanin w Stanach Zjednoczonych zbiera średnio 12 hektolitrów. W Europie, doszli w kulturze najintenzywniejszéj do wydajności 36 hektolitrów z téj saméj przestrzeni. Zatem w Europie i w kulturze intenzywnéj potrzeba 33,33 arów, by otrzymać plon równy temu, który zbiera amerykanin z 1 hektara. Ale jest to dopiero jedna strona kwestyi: to samo nam już nie wypadnie, gdy weźmiemy pod rachunek nie wydajność brutto gruntu, lecz co jest bardziéj racyonalném, nakład

kapitału rolniczego. Rozważając rzecz z drugiéj strony, wyższość ma kultura ekstynzywna, typu amerykańskiego.

2-o *Równość kapitałów.* Idzie o umieszczenie 600 fr. Kultura intenzywna użyje tego kapitału na jeden hektar, z którego otrzyma 36 hektolitrów z kosztami produkcyi 14 do 15 fr., odtrącając 100 fr. za wartość słomy, zmniejszającéj koszta uprawy mające się rozłożyć na ziarno. Z drugiéj strony, kultura amerykańska ze słomy bardzo mały dochód osiąga, gdyż palą ją na polu, więc nie może wydać na hektar więcéj nad 132 fr., skutkiem czego kapitał 600 fr. będzie użyty na eksploatacyą 454 arów. Tymczasem pszenica amerykańska loco wypadnie 11 fr. za hektolitr i 132 fr. hektar, jaką by nie była przestrzeń gruntu poddannego uprawie. Zatem, przy jednakowych wydatkach, kultura amerykańska wyprodukuje większą ilość hektolitrów o niższych kosztach produkcyi. Na 454 arów wydatkuje 600 fr. i zbiera, licząc 12 hektolitra z hektara, razem 54½ hekt., podczas gdy intenzywna kultura europejska, w swem maksimum tylko 36 h. otrzymuje. Takim jest na cenę pszenicy wpływ ceny ziemi, zawierającéj nawozy naturalne.

Równość produktów ściśle jest złączona z dwoma poprzedniemi. Widocznem jest, że, ażeby otrzymać 36 hekt. w obu systemach tu porównanych, trzeba, ażeby rzeczy ułożyły się tak, jak to następująca tabelka przedstawia:

	Europa.	Stany Zjednoczone.
Zbiór	36 hektol.	36 hektol.
Przestrzeń uprawiana	100 arów	300 arów.
Koszta kultury	600 fr.	396 fr.
Koszta uprawy hektol.	14—15 fr.	11 fr.

Choćbyśmy zatem, pewne lokalne sprostowania w cyfrach tych mieli zrobić, nie zmieni to konkluzyi ostatecznéj, że odkąd koszta transportu do Europy znacznie się zmniejszyły, niska cena gruntów, wydających 12 hektolitrów pszenicy z hektara na ziemi nienawożonéj, jest jedną z głównych przyczyn wyższości rolnictwa Stanów Zjednoczonych nad rolnictwem europejskiém.

Ameryka Północna, jakeśmy już wspomnieli, nie jest jedynym przeciwnikiem groźnym dla naszych producentów pszenicy, musimy się rachować z pszenicami z Indyi, z Egiptu, z Argentyny, które również pochodzą z kultury bez nawozów i z gruntów tanich. Im więcéj środki komunikacyjne zwiększać się będą, tembardziéj zniżą się ceny pszenicy na rynkach europejskich. Nie wszystko to jeszcze: wiele z naszych gospodarstw pszenicznych hoduje owce, a jeśli cena wełny zniża się skutkiem konkurencyi wełny, australskiéj zwłaszcza, produkcya stąd wełny cienkiéj, była poważnym środkiem obniżenia kosztów produkcyi zboża.

Że kultura wyczerpująca nie jest kulturą przyszłości, że nawet zarzuconą została w Ameryce na gruntach dawniéj wykarczowanych

że gospodarstwa tu zwrócą się do hodowli, do produkcyi nabiałowéj, to nie ulega wątpliwości. Siłą rzeczy Ameryka wejdzie w peryod pastewny, który stał się koniecznością w staréj Europie z chwilą, gdy kultura wyczerpująca okazała się niemożliwą. Lecz takie zwroty są dziełami czasu, a tymczasem przez pewien przeciąg lat dużo jeszcze wycierpić musimy od konkurencyi zaoceanowéj.

Przedstawiwszy obecne położenie międzynarodowych stosunków rolniczych widzimy, że wpływ konkurencyi za oceanowéj u nas, chociaż jesteśmy krajem eksportującym, równie dotkliwie oddziałał jak w całéj Europie. Należy jednak zrozumieć, co też właściwie jest przyczyną strat naszych? Powierzchownie zapatrujący się na położenie utrzymują, że straty naszego rolnictwa są następstwem niepomiernego wzrostu produkcyi pszenicy amerykańskiéj, która zalewając rynki européjskie, ograniczyła zapotrzebowanie naszego produktu. Jest to zapatrywanie błędne, nieoceniające przyczyn istotnych. Jeśliby rzeczywiście tylko nadmiar podaży był powodem przesilenia, to nieuniknionem następstwem tego byłoby nagromadzanie się u nas zapasów zboża, nie znajdującego nabywcy na rynkach zagranicznych: tymczasem faktem jest, że cała nadprodukcya nasza — ponad potrzeby wewnętrzne — zawsze znajduje zbyt. W czémże więc spoczywa przyczyna straty? W cenie zboża, które w porównaniu z pszenicą amerykańską, kosztuje nas drogo, drogo jest produkowane. W całéj pracy naszéj kładliśmy nacisk na te koszta, w nich bowiem tkwi główne zło naszych systematów gospodarczych, w nich dowód naszéj nieumiejętności zaradzenia złemu, a jednocześnie świadectwo że środki, mogące zapewnić rolnictwu tańszą produkcyą, będące w mocy państwa, wcale nie są stosowane.

W kwestyi obniżenia kosztów produkcyi za mało zrozumieliśmy, zasadę za pomocą któréj zamierzonego celu dopiąć można. Streszcza się ona w tych słowach: im więcéj wyprodukujemy korcy pszenicy na mordze, tem koszt produkcyi każdego korca będzie mniejszy. Jest to zasada niewzruszona, bo jeśli otrzymujemy plon 7-iu korcy z morga przy koszcie produkcyi 35 rs. na mórg przy intenzywnéj kulturze, to zbierając choćby tylko 10 korcy, zwiększony w ten sposób dochód przyniesie 21 rs. (a 6 rs. korzec), przy tych samych kosztach uprawy, podatkach, kosztach zbioru, za strąceniem niewielkiéj sumy na młockę i asekuracyą. Nie możemy tu wskazywać, jakiemi środkami dochodzi się do zwiększenia produkcyi, powinny one być znane wszystkim rolnikom, a wszystkie mają na celu podniesienie kultury, za pomocą zwiększonéj produkcyi nawozów, pracy, wreszcie, gdzie można, i kapitału.

Zrozumiejmyż więc, że w czasach, gdy kapitał, praca, nawóz są nieodzownym warunkiem powodzenia i bytu rolnictwa, o nagromadzenie tych czynników starać się należy usilnie, co nam pozwoli zmienić obecne położenie ekonomiczne, opanowane konkurencyą, z którą nierówną walczymy bronią. Nie ulega zaprzeczeniu, że

kultura intenzywna u nas znajdzie środki do obniżenia kosztów produkcyi; wreszcie czas pozwoli nam się zorganizować w widokach walki, w któréj walczący lepiéj będą zaopatrzeni. Idzie tu o wielkie interesy naszego kraju, tak usposobionego do produkcyi pszenicy, jeśli tylko pracy rolników dopomoże państwo, jak się to dzieje w Ameryce, zwłaszcza gdy zorganizuje komunikacye na wzór amerykańskich.

Nie ma ważniejszego nad rolnicze przedsiębiorstwa, zwłaszcza u nas, więc i państwo i społeczeństwo starać się powinno, by rolnictwo nasze zostało pierwszym przemysłem narodowym nie w słowach tylko, ale i w czynie.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Prawa, konstytucye i przywileje Królestwa polskiego, W. ks. litewskiego i wszystkich prowincyi należących, na walnych sejmach koronnych od sejmu wiślickiego roku pańskiego 1347, aż do ostatniego sejmu uchwalone.—Volumina Legum. Volumen (IX) nonum ab anno 1782 ad annum 1792 Acta Reipublicae continens. Wydawnictwo Komisyi prawniczéj Akademii Umiejętności w Krakowie (Z funduszu ś. p. Ks. Adama Jakubowskiego). Kraków Nakładem Akademii Umiejętności 1889. 8-o m. str. 503.

Tytuł książki „Volumina legum“, wymieniony w całéj obszerności w nagłówku sprawozdania niniejszego, znanym jest w literaturze polskiéj od roku 1732-go, w którym ref. ks. bisk. Załuski i ks. St. Konarski, z zak. ks. ks. Pijarów, ogłosili w Warszawie w drukarni ks. ks. Pijarów 1-y tom nowego zbioru ksiąg prawa narodu polskiego, od czasów najdawniejszych aż do chwili im współczesnéj. Pod nazwą „Volumina legum“ znaną jest księga kilkotomowa, powtarzająca surowy materyał każdorazowych obrad sejmowych, ogłoszony już dawniéj drukiem podług aktów kancelaryi i podług oblat, zapisywanych w aktach grodu warszawskiego. Wobec coraz częstszego sejmowania, jakie w imię wolności prowincyonalnych poczęło natarczywie turbować organiczny, spokojny rozwój Rzptéj polskiéj w epoce jagiellońskiéj i następnych, według form zwyczajem ustalonych,—okazała się pod koniec wieku XV-go potrzeba ogólniejszego Zbioru praw narodu polskiego, potrzeba Ustawy czyli „Statutu“, jakim się Litwa cieszyła. Mimo usilnych starań królów polskich i mozolnych trudów najpierwszych dostojników Rptéj, przy pomocy uczonych prawników, nie zdołano jednak podczas samodzielnego panowania Rptéj zbudować świątyni praw narodowych, którąby była umiała pozyskać sankcyą

sejmujących stanów Rptéj, bo nawet najwspanialszą, na jaką się większość uprzywilejowanego narodu w r. 1791-ym zdobyła, „zelanci złotéj wolności“ z pomocą sił postronnych wywrócić i zburzyć potrafili.

Zasłużony wielostronnie w Rzeczypospolitéj polskiéj kanclerz Aleksandra Jagellończyka, arcybiskup gnieźnieński, Jan Łaski, zebrał pierwszy z pomocą, uczonego jurysty Jakóba z Zaborowa, z rozkazu króla Aleksandra i podług jego wskazania „Statuta, prawa i przywileje dawniejszych królów polskich“ i wydał je w Krakowie u Hallera 1506 r. pod tyt. „*Commune inclyti Polonie Regni privilegium constitutionum et indultuum publicitus decretorum approbatorumque cum nonnullis iuribus tam divinis quam humanis per Ser. principem et dominum Alexandrum, Dei gratia Regem Poloniae etc. etc.* [1]).

Zbiór Jana Łaskiego, obejmujący ustawy wiślickie Kazimierza W. i powiślickie, aż do chwili Łaskiemu współczesnéj, przyjął wprawdzie za naleganiem króla Aleksandra sejm radomski w r. 1506, przyznając mu przez to, jakkolwiek niechętnie, moc urzędową; ale aprobata sejmowa nie mogła obronić dzieła Łaskiego przed słusznemi zarzutami, które mu czyniono, dowodząc, że Zbiór ten nie obejmował wszystkiego, co na sejmach aż do jego czasu postanowiono, że nie opierał się na rękopisach autentycznych z kancelaryi królewskiéj, ale poprzestawał na ladajakich kopiach podręcznych.

Mimo to pozostało dzieło Łaskiego wzorem dla najbliższych jego następców (Jakóba Przyłuskiego, Jana Herborta, a nawet jeszcze Januszowskiego Jana 1600), ponieważ dopiero po sejmie koronacyjnym r. 1588-go za Zygmunta III-go zaczęto u nas pilniejszą uwagę zwracać na dokładniejszą redakcyą praw sejmowych, redagując je pod okiem osobnéj deputacyi, wybieranéj na każdym sejmie z koła senatorskiego i rycerskiego [2]), która wszakże nie brała

---

[1]) Statut ten, wydrukowany w 12 egzemplarzach na pargaminie, z których jeden posiada biblioteka kórnicka— i w 200 egzemplarzach na grubym papierze, był kilka razy bez żadnéj odmiany drukowany lubo zawsze z wymienieniem téj samej drukarni i tego samego roku.—Na czele czytamy tekst pieśni „Boga Rodzico, dziewico“, znany powszechnie i rozbierany krytycznie przez wszystkich literatów i lingwistów, którzy o tym naszym hymnie wojennym pisali. Nie pojmujemy tedy głoszonéj z takim naciskiem za relacyą „Kraju“ wiadomości o nowém jakoby odkryciu pierwszego druku téj pieśni w British Muzeum przez p. Naakę-Nakęskiego. Zachodzić tu musi jakieś łatwowierne nieporozumienie.

[2]) Vol. Legg. A-o 1588. Tyt. „O constituciach séymowych.—Constitucie na séymie zgodnie napisane, mają być podpisane przez Pany Senatory nato deputowane: także przez te osoby, które będą z koła poselskiego na to naznaczone: y tak po tym do kancellaryey mają być podane, a przy bytności ich przed nami czytane *cum interrogatione* przez pany Pieczętarze, jeśliże ie My, y pp. Rady y Posłowie pieczętować każemy“.

się sama dosyć pilnie do tak ważnego dzieła obywatelskiego, ale polegała na wyręczycielach.

Za przykładem J. Łaskiego zaniedbywano w „Voluminach legum“ całe prawodawstwo z epoki piastowskiéj, czego nie zastąpi „Jus polonicum“ J. Winc. Bandtkiego (1831), zaniedbywano prawodawstwo udzielnych z przed r. 1569-go prowincyi Rptéj, tak, że po rok 1569-ty składają „Volumina Legum“ właściwie tylko prawa koronne dopiero po sejmie unii lubelskiéj stanowią prawodawstwo Rzptéj, występujące pod nazwą konstytucyi Rzptéj, które przez długi jeszcze przeciąg czasu drukowano osobno po każdym sejmie w drukarni Mikołaja Szarffenbergiera i w „architypographiey Króla J-go M. y Kościelney Łazarzowey“. Oprócz tego ogłaszał już Mikołaj Szarffenbergier nawet i wydania zbiorowe, obéjmujące konstytucye kilku sejmów, jak np. *a*) w. 1587 pod tytułem: „Constitucie, Statuta y przywileje na wolnych seymiech koronnych od roku pańskiego 1550 do 1584-go uchwalone“ (fol. kart po jednéj stronie liczbowanych 230); *b*) bez wymienienia roku wydane: „Constitucie etc. etc. od r. p. 1550—1596; *c*) „Constitucie etc. etc. od r. p. 1550 do 1598 (kart 420). Z osobneni regestrami konstytucyi. Nie są to wszakże kompletnie nowe druki; ale dawniejsze wydania pomnażane przez dołączanie konstytucyi séjmów późniejszych do zebranych już dawniejszych, z dodaniem nowego tytułu i regestru i t. p.

Tą samą drogą postępował Andrzéj Piotrkowczyk (ur. 1595 + 1645), akademik i znakomity drukarz krakowski, wydając od roku 1613-go „Constitucie y Przywileje na walnych seymiech ustanowione“; dopiero uzyskawszy od Władysława IV-go przywiléj na drukowanie konstytucyi, jako sam biegły prawnik rozpoczął regularnie ogłaszać drukiem materyał obrad sejmowych pod tyt. „*Constitutiones et Statuta Regni Poloniae in Comitiis sancita ab anno 1550 ad annum 1637. Krak. 1637.*—Do wydrukowanych w latach poprzednich dołączał Piotrkowczyk „konstytucye“ sejmów następujących i w ten sposób tworzyły się nowe wydania dawniejszych publikacyi i nowe tomy ogólnego zbioru (Tom II-gi 1643), prowadzonego po jego śmierci przez spadkobierców i właścicieli drukarni. Z czasem jednak, wobec coraz bardziéj rosnącéj anarchii sejmikującego burzliwego społeczeństwa, zaprzestano zbierać konstytucye, które się rozpraszały a nawet ginęły bezpowrotnie. Wtedy to, za Augusta II-go, referendarz ks. Józef Jędrzéj Załuski, bisk. kijowski z ks. pijarem Stanisławem Konarskim, postanowili ogłosić drukiem jeszcze jeden zbiór praw polskich, to jest powtórzyć bez zmiany wydanie Piotrkowczyka i dopełnić je zbiorem konstytucyi sejmowych aż do chwili bieżącéj. Statuta najdawniejsze aż po r. 1550-ty zamknęli w tomie I-szym, który wyszedł 1732 roku. W tomie 2-im i następnych, będących prostym przedrukiem zbioru Jędrzeja Piotrkowczyka, mieszczą się konstytucye od r. 1550-go, z rozporządzenia Zygmunta Augusta już po polsku pisane. Ten Zbiór pra-

wodawstwa narodowego, zamykający się w 6 ciu tomach, z których 6-ty wyszedł w r. 1739-ym, zawierał ogłoszone drukiem konstytucye aż do r 1736-go, w którym odbył się sejm pacyfikacyjny Augusta III-go i został przez uczonych wydawców nazwany „Volumina legum“, księgą praw narodu polskiego.

Nazwisko to zagłuszyło pracę innych zbieraczów konstytucyi i uniemożliwiło przedruki dawniejszych wydawców, a gdy w r. 1780 pijarzy warszawscy, w których drukarni odbijało się wydanie Załuskiego i Konarskiego, postanowili wystąpić z nowym zbiorem najpóźniejszych konstytucyi, nie rozpoczynali już osobnego nowego dzieła, ale zbiór swój dodawali do poprzednich voluminów, jako ciąg dalszy. W ten sposób powstały tom 7-y i 8-y Voluminów, zawierające prawodawstwo sejmów od r. 1764 do 1780-go. Te 8 tomów „Veluminum Legum“, obejmowały prawodawstwo polskie od r. 1347 do 1780-o, lecz ten materyał jak najrozmaitszéj treści nie był powiązany żadną przewodnią ideą, któraby to mniemane Corpus juris polonici w jeden organizm łączyła.

Trudność a w rzeczy saméj niepodobieństwo zorientowania się w tym lesie, wywołało potrzebę opracowania i ogłoszenia drukiem rejestru alfabetycznego materyi, któremi się sejmy zajmowały, pod tytułem „Inwentarzy“, z których I-szy (regestrujący konstytucye koronne od r. 1550 do 1683) ułożył Maciéj Ładowski (Warsz. 1685). Prace Ładowskiego doprowadził uczony referendarz Załuski do r. 1726-go, a dalszy ciąg (do 1736) opracowali ks. Arnulf Żeglicki i ks. Teodor Waga (Warsz. 1782). Do dwóch wreszcie ostatnich tomów prawodawstwa Stanisławowskiego przygotował i wydał osobny inwentarz ks. Teodor Ostrowski (Warsz. 1782).

W trakcie czasu stawały się „Volumina legum“, będące niewyczerpaną skarbnicą materyału historyczno-statystycznego dla badaczów przeszłości naszéj, dziełem coraz rzadszém i coraz droższém, tak, że przemyśliwano kilkakrotnie o jego przedruku i uzupełnieniu przez dodanie konstytucyi 5-iu ostatnich sejmów, nie objętych dotychczasowemi 8-iu Voluminami. Tytus Działyński nosił się długo z tą myślą; ale znając ogromne braki, jakie wydawnictwo pijarskie, będące prostym przedrukiem wydań poprzednich, przedstawia, pragnął je uzupełnić, nie mniéj sam tekst konstytucyi pojedyńczych krytycznie skontrolować. Sprawa nie zachaczała się bynajmniéj o brak funduszu, którego wspaniałomyślny mecenas nie byłby poskąpił, ale o naukowe trudności opracowania krytycznego, zwłaszcza w owéj chwili, gdy doznał przykrego zawodu przy wydawnictwie „Tomicyanów“ oraz „Lites ac res gestae inter Polonos ordinemque Cruciferorum“, (Poznań 1855 — 1856), które przedrukować wypadało i rzeczywiście tom IX-ty „Tomicyanów“ przedrukowano.

Tymczasem wydał Jozafat Ohryzko w Petersburgu w r. 1859—1860 prosty przedruk wydania pijarskiego, razem z Inwentarzami

w 10-iu tomach, pod tyt. „Volumina legum. Przedruk zbioru praw staraniem Ks. Pijarów w Warszawie od 1732—1782 r. wydanego". Nie godzi się obniżać zasługi Ohryzki z tego powodu, że uskutecznił prosty tylko przedruk wydania pijarskiego, który nietylko wydawcy, ale i korektorowi tytuły naukowe zjednać potrafił, bo mimo to należy mu się prawdziwa wdzięczność za to, że przyczynił się znakomicie do rozpowszechnienia dzieła niezbędnego dla poważnych badaczów dziejów naszych. To zaznaczywszy, nie powinniśmy jednak z pobudek wdzięczności zamykać oczu na wielkie niedostatki, które dotychczasowemu wydawnictwu praw narodu polskiego ozdoby nie przynoszą.

Deputacye do redagowania konstytucyi sejmowych, ustanawiane regularnie na sejmach po r. 1588-go, zaniedbywały się bardzo często w sumiennem wypełnianiu tak ważnych obowiązków, jak tego dowodzą nie tylko różnice tekstów konstytucyi drukowanych z tekstami, znachodzącymi się w aktach grodzkich i Metryce koronnéj; ale i skargi, podnoszone na sejmach o to, że konstytucye drukiem ogłoszone różniły się od tych, które uchwalono,— tak dalece, że sejmy późniejsze nakazywały przedruk konstytucyi sejmów poprzednich, na co w samych voluminach dowody znachodzimy [1]). W „Aktach grodzkich", w „Metryce kor." nawet w „Tomicyanach" (np. Konstyt. Sejmu bydgoskiego z r. 1520 tyt. „Modus celebrandi generalia comitia regni"), znajdujemy wiele pojedyńczych konstytucyi, a nawet ustaw całych sejmów, których w „Voluminach legum" napróżno szukamy.

Wskazane co tylko okoliczności dowodzą, jak wiele jeszcze zrobić trzeba, abyśmy mogli powiedzieć, że mamy w „Voluminach legum" dokładny Zbiór praw narodu polskiego, odpowiadający potrzebom systematycznych badań naukowych, historycznych i prawniczych. Z tego powodu przyjęlibyśmy z wielką wdzięcznością trzecie wydanie „Voluminów legum", które jednak powinno być zupełniejsze i krytyczniejsze od dotychczasowych prostych, mechanicznych przedruków. Główną treść takiego wydania stanowiłyby wprawdzie dotychczasowe Volumina; ale prócz tego trzebaby je uzupełnić przez dodanie konstytucyi w wydaniu pijarskiém pominiętych a nadto trzebaby cały tekst konstytucyi pojedyńczych krytycznie za pomocą autentycznych dokumentów skontrolować. Dzisiejsze „Volumina legum" są materyałem zupełnie surowym, do naukowego użytku nieprzygotowanym, prywatny zaledwo interes lub szczególną ciekawość heraldyków, genealogów i t. p. zaspakającym, są zbiorem objaśniającym manipulacyą w załatwianiu interesów prowincyonalnych, lokalnych—a w znacznéj części są dokumentem, poświadczającym będące w użyciu zwyczaje i obyczaje razem z jawnemi politycznemi prawami narodu, prawami uchwalanemi w rozmaitych czasach i rozmaitéj treści, dyktowanéj przez posłów ziem i województw rozmaitych, przez posłów, skrępowanych instrukcyami rozlicznych sejmików, które stawiają swoje desiderata lokalne ponad interes ogólny całéj Rpltéj, nie

[1]) Vol. legg. A. 1690. pg. 371. sub 2.

krępując się wcale granicami przedmiotów, które komissoryum królewskie, sejm zwołujące, każdorazowo sejmikowi elekcyjnemu przedstawiało W ścisłém rozumieniu rzeczy tytuły pojedyńczych postanowień sejmowych nie są często wcale postanowieniami, którymby znaczenie prawa ogólniejszego przyznać można, ale przepisami okolicznościowemi w sprawach prywatnych, administracyjnych, sądowych, wojennych, ekonomicznych, kościelnych, filantropijnych i t. p. Ta chaotyczność przedmiotów, zatrudniających sześciotygodniowe prace „stanów sejmujących" nasuwała często myśl skodyfikowania tak różnorodnych przepisów w jednéj porządnie ułożonéj i podług zasadniczych materyi systematycznie rozdzielonéj Ustawie rządowéj; ale do tego nie przyszło z powodu lokalnych, odrębnych tendencyi pojedyńczych ziem i powiatów, których wyrazem było od samego początku sejmowania u nas osławione „Liberum Veto", nie opierające się wprawdzie na żadném postanowieniu prawném, nie wylegitymowane wyraźną zasadniczą konstytucyą sejmową; ale wszechpotężne praktyką życia publicznego w pojedyńczych ziemiach, cieszących się autonomią tak wszechwładną, że w miejsce jednolitéj Rzpltéj występowała federacya ziem, narodowi powiatów, uzbrojonych w samorząd, zwyczajami międzynarodowéj transakcyi niemal zawarowany. Nie tylko téż „Volumina legum", ale wszystkie poprzednie Zbiory naszego prawa miały tę samą cechę. I sam sześciotygodniowy przebieg obrad sejmowych nie postępował podług stale zakreślonego porządku; nie było tutaj bowiem (mimo konstytucyi z r. 1690-go pod tyt. „O porządku sejmowania" Vol. leg. V. str. 371. cf. Anno 1591, tyt. „O Seymie". Vol. II, pg. 331) tego, co dzisiejszy parlamentaryzm „porządkiem dziennym" nazywa; bo wpływy okolicznościowe regulowały, poza formalnością łączenia się izby poselskiéj z senatorską, przebieg obrad nad materyami przez reprezentantów prowincyi wnoszonemi i podczas szermierki sześciotygodniowéj decydowanemi w ten sposób, że, nie chodziło tam nigdy o liczbę głosów, ale o możliwie zgodną transakcyą między różniącemi się instrukcyami sejmikowemi lub o ugłaskanie rozsierdzonych z innych powodów „animuszów" delegatów braci prowincyonalnéj. Taką fizyognomią miały sejmy nasze równie za Zygmuntów, jak i za Jana Kazimierza, niemniéj i za Sobieskiego i za Sasów, bez żadnéj istotnéj różnicy epok, tak dalece, że nawet sejm 4-letni, chociaż pod węzłem konfederacyi, a zatém pod sztandarem *pluralitatis votorum* odprawiany, śladów tego ducha pozbyć się całkowicie nie zdołał.

Nie dziwimy się, że te wszystkie momenta stanowią dla dzisiejszych polityków i statystów przedmiot naigrawania się z takiéj procedury sejmowéj, nie dosyć w szczegółach swoich dotychczas objaśnionéj: ale historykowi, badającemu z pomocą wiarogodnych źródeł oblicze przeszłości narodowéj, dostarczają tego rodzaju fakta nader wiele pożądanego światła do gruntownego poznania przeszłości narodowéj w jéj pobudkach i jak najrozmaitszych objawach, których według dzisiejszych teoryi politycznych i parlamentarnych sądzić nauka nie pozwala.

W obec takiego położenia rzeczy, było zadanie „deputatów do konstytucyi“ nie tak łatwe, jakby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło. Sejm bowiem obradował nad wnoszonemi od pojedyńczych ziem materyami i najczęściéj „desideratami“ prowincyonalnemi: decydował każdą „sprawę“ nie za pomocą głosowania, ale za pomocą „turnus“ sejmujących prowincyi, które jako występujące zbiorowo i w zwyczajem uświęconym porządku ze swoją deklaracyą, ku powszechnéj „zgodzie“ nakłaniać trzeba było. Praktykujący się od początku naszego sejmowania wzmiankowany „turnus“, występuje wyraźnie jeszcze i na sejmie 4-letnim; wyręczał on wprawdzie dzisiejsze głosowanie; ale nie liczył osobno głosów, lecz poprzestawał na „szeregowaniu“ zgadzających się na wniesioną materyą i na odrzucających ją, na podstawie „limitatae potestatis“ instrukcyi swego sejmiku. W obec praktykującego się już i podczas obrad: „sisto activitatem sejmu“, w obec odnoszenia się kilku ziem z decyzyą do „braci“, w obec wywłóczonych „consvetudines terrarum“, w obec powoływanych „laudów sejmikowych“ ze sprawami natury lokalnéj, nie łatwą było rzeczą uformować sobie jasne, wyraźnie określone pojęcie ustawy, którą w każdym szczególnym wypadku jako postanowienie sejmowe uważać, określić i zredagować należało. Po 6-iu tygodniach obrad spisywano dopiero w końcu sesyi wszystkie uchwały, poprawiano ich redakcyą i razem odczytywano sejmowi w połączonych izbach w przytomności króla [1]). Ostateczna redakcya pojedyńczych uchwał zależała tedy przeważnie od „deputatów do konstytucyi“, którzy stanowili coś na kształt biura sejmowego parlamentów dzisiejszych. Kiedy ostateczny rezultat obrad sześciotygodniowych czytano razem, czyniono to już zazwyczaj w pośpiechu, aby uniknąć złowrogiéj prolongaty sejmu, tak że posłowie często niektórych szczegółów nie dostrzegli lub myśli głównéj naprędce nie zrozumieli, co stawało się powodem późniejszych skarg i zażaleń.

Według ustalonego wiekami zwyczaju, bez żadnego jednak wyraźnego postanowienia prawnego, można było dopiero w tém stadyum sejmu, dopiero przy „konkluzyi obrad“ posłowie jednéj lub kilku ziem, zasłonięci instrukcyami „braci“ sejmikowéj, mocni byli uciec się do osławionego „Nie pozwalam“, które niweczyło całą robotę sześciotygodniową, jeżeli oblatowanie „Liberum Veto“ w grodzie wyprzedziło oblatę odczytanych i przez pieczętarzy opieczętowanych konstytucyi.

Bartoszewicz radził przy nowém wydaniu „Voluminów legum“ zbierać także konstytucye sejmów zerwanych, bo one świadczą o kierunkach politycznego życia narodu w danéj chwili. Nie podzielamy jednak tego poglądu, bo w gruncie rzeczy rwała sejmy zazwyczaj prywata, zawiść i antagonizm przewodzących w kraju rodzin magnackich, a nadzwyczaj rzadko różnice zasad politycznych. Nie

[1]) Vol. Legg. V. Anni 1690. Tyt. „O porządku seymowania“.

Nie można też mówić o konstytucyach sejmu zerwanego, bo taki pogląd obraża pojęcie konstytucyi, będącéj wyrazem prawomocnéj uchwały posłów ziemskich w zgodzie z królem i senatem.. Dyaryusze sejmów, gdyby się udało wszystkie zebrać w porządku chronologicznym, dostarczyłyby historykowi pod tym względem nader cennego materyału; ale do zbioru konstytucyi, stanowiących uchwały, zatwierdzone przez wszystkie trzy stany sejmujące, nie można wprowadzać uchwał, które z granic projektów wyjść nie zdołały.

Wiele światła mogłyby rzucić na dzieje sejmowania w Polsce t. zw. kommissoria królewskie t. j. listy monarchy, w których król za pośrednictwem osobnych posłów na sejmikach wyborczych przedstawiał najszczegółowiéj wszystkie sprawy publiczne, wszystkie materye, któremi zapowiadany sejm zajmować się będzie, bo one malują zawsze jak najdokładniéj każdorazowy stan Rzeczypospolitéj nietylko pod względem stosunków wewnętrznych, ale i zewnętrznych. Kommissorya królewskie mogłyby stanowić wyborne zagajenie akcyi danego sejmu. Przy świetle tych „komissoryów" królewskich ujawniłaby się tém wyraźniéj treść konstytucyi postanowionych równie jak i karygodne zuchwalstwo prowincyonalizmu, rozrywającego zgodne działanie Rzeczypospolitéj.

Objaśniwszy w ten sposób dodatnie i ujemne strony dotychczasowych wydań „Voluminów legum", wskazawszy najgłówniejsze d e s i d e r a t a metodologii badań historycznych na tém polu, nie wiele już mamy do powiedzenia o wydaniu IX-o „Voluminu legum", uskutecznioném starannie przez Akademią Umiejętności w Krakowie, która jednak nie zeszła z drogi przez ref. Załuskiego i Stan. Konarskiego wskazanéj, pragnąc „opus hoc praestantissimum, quod universae Reipublicae Administrationem continet" w ich myśli do końca doprowadzić i książkę tę do formatu ostatniego wydania J. Ohryzki dla ujednostajnienia mniemanego *Corpus juris polonici* zastosować.

Wydany w roku zeszłym, po stuletniéj z górą przerwie tom IX-ty „Voluminów legum" zawiera w sobie: 1-o) Konstytucye sejmu walnego ordyn. warszawskiego szościo-niedzielnego r. 1782 dnia 30 września odprawującego się (str. 1—6).

2-o) Konstyt. sejmu walnego ordyn. grodzieńskiego sześcioniedzielnego r. 1784 dnia 4 października odprawującego się (str. 7—24). Z 2 anneksami, obejmującemi 1) notę ambasadora ross. hr. Stackelberga i 2) notę rezydenta pruskiego Buchholtza w sprawach natury prywatnéj wraz z odpowiedziami marszałka sejmowego X. Chomińskiego, posła Pińskiego. 3) Konstyt. sejmu walnego ordyn. Warsz. 6-cio-niedzielnego r. 1786-go dnia 2-go października odprawiającego się (str. 31— 41). Z 2 anneksami: a) nota Stackelberga. b) Buchholtza w sprawach osób prywatnych wraz z odpowiedzią marszałka sejmowego, Gadomskiego. 4) Konstytucye sej-

mu pod związkiem konfederaryi w Warszawie agitującego się od dnia 7 października w r. 1788, do dnia 31 maja r. 1792 (str. 46 — 471). Z indeksem alfabetycznym, regestrującym materye obrad wszystkich tych 4 ch sejmów (str. 473—503).

Wydany tedy przez Akademią w r. 1889-ym Tom IX-ty Voluminów nie zamyka jeszcze całkowicie działalności reprezentacyi republikanów polskich, bo wznoszące się na gruzach poczciwéj i rozumnéj pracy sejmu czteroletniego konfederacye pojedyńczych województw i ziem, niemniéj i tragiczna działalność ostatniego sejmu grodzieńskiego, przedstawia nader długie pasmo uchwał, postanowień odezw i konstytucyi, które doniosłością swych skutków weszły do stypulacyi międzynarodowych i stanowią dla interesowanych przedmiot prawa państwowego, mieszczącego w sobie materyał nadzwyczaj cenny dla historyka, statystyty i każdego poważnie myślącego człowieka.

Wydawcy tomu IX-go „Voluminów legum“ łożyli słusznie najwięcéj pracy na zgromadzenie konstytucyi sejmu czteroletniego, poprzestając przy wydaniu konstytucyi poprzednich trzech sejmów na przedruku luźnie w swoim czasie drukowanego materyału, który oprócz nominacyi licznych deputatów do różnych magistratur (Rada nieustająca, sędziowie sejmowi, komisya skarbu obojga narodów), ratyfikacyi dzieła komisyi granicznych, pokwitowań komisyi edukacyi narodowéj, mało zawierają postanowień konstytucyjnych. Na sejmie r. 1784 poświęcono dosyć czasu sprawom sądowniczym (O sposobie prowadzenia procesów (str. 17—23).

Przystępując do jaknajskrupulatniejszego wydania wszystkich aktów sejmu czteroletniego, nie zaniedbali sz. wydawcy (ks. rektor ś. p. Adam Jakubowski, prof. Michał Bobrzyński, Adolf Pawiński i ś. p. Michał Szymanowski) niczego, coby dzieło to najodpowiedniejszém dla pracy naukowéj uczynić mogło. Nie brakło wprawdzie i tutaj gotowego luźnego materyału drukowanego, który częścią w postaci projektów do praw, częścią też w postaci gotowych już uchwał nie tylko jako dodatek przy ówczesnych gazetach, kalendarzykach, ale i w osobnych broszurach drukowano. Nie brak też i projektów pisanych, rozrzuconych po bibliotekach publicznych lub znajdujących się w posiadaniu osób prywatnych. Wydawcy starali się przedewszystkiem materyał ten troskliwie przebrać, tekst pojedyńczych uchwał ustalić za pomocą porównania z oryginalnemi księgami oblat, zachowanemi w archiwach państwowych.

Niepodobna nam w tém miejscu w rozumowanym wywodzie regestrować następujących po sobie uchwał pojedyńczych z natychmiastowemi ich oblatami; chociaż żałujemy, że uczeni wydawcy, trzymając się zanadto niewolniczo swego pijarskiego wzoru, nie podali w odpowiednim wstępie krytycznego rozbioru ustaw tego sejmu, którego stronę historyczną nieodżałowany ks. Kalinka z takiem mi-

s rzowstwem był opisał, nadmieniamy tylko, że po wydrukowaniu 266-iu szczegółowych postanowień w pojedyńczych szerszych i ciaśniejszych materyach, z wskazaniem dnia oblaty każdego aktu, umieszczono (pod N-rem 267-ym (str. 220—226) z oblatą dnia 5-o maja 1791) „Ustawę rządową“ znaną pod ogólniejszym tytułem kostytucyi 3-o maja, składającą się z XI-tu artykułów pod szczególnemi tytułami. Ustawę tę zamyka „Deklaracya stanów zgromadzonych“, osobno pod tąże samą datą oblatowana, która opiewa: „Wszystkie prawa dawne i teraźniejsze, przeciwne niniejszéj konstytucyi lub któremukolwiek jéj artykułowi, znosimy; a opisy szczególne do artykułów i każdéj materyi w niniejszéj konstytucyi zamkniętych potrzebne, jako dokładniéj wyszczególniające obowiązki i układ rządu, za część składającą tęż konstytucyą deklarujemy. Władzy wykonawczéj zalecamy, aby Straż swe obowiązki natychmiast pod okiem sejmu rozpoczęła i ciągle utrzymywała. Bogu i ojczyźnie uroczyście przysięgamy na posłuszeństwo, na obronę“ i t. d. i t. d. Pod N-rem 294-ym (str. 233) rozpoczynają się opisy szczegółowe pojedyńczych artykułów konstytucyi, które tłómaczą jasno nie tylko motywa pojedyńczych uchwał, ale zawierają szczegółową instrukcyą postępowania dla władz wykonawczych w każdym wypadku. Wywód ten dosyć szczegółowy jest bardzo pouczającym, bo rzuca dużo światła nie tylko na pobudki postępowania stanów obradujących na tym sejmie, ale i na porządek obradowania sejmów dawniejszych, na nieśmiałość w pogrzebywaniu zasady prawomocnéj opozycyi prowincyonalnéj w „Libirum Veto“, na przezorne unikanie zbyt ostentacyjnych postanowień demokratycznych i t. p. o czém panują jeszcze u wielu dzisiejszych polityków niejasne wyobrażenia i pojęcia. Dokładny indeks alfabetyczny materyi konstytucyjnych, statystycznych i ekonomicznych ułatwia korzystanie z tego dzieła, które badacze dziejów naszych za prawdziwe zbogacenie autentycznego materyału źródłowego do historyi sejmu czteroletniego z wdzięcznością uważać będą.

J. K. Plebański.

Poezye J. I. Kraszewskiego. Lwów 1888.

Wszszechstronny umysł J. I. Kraszewskiego, opanowawszy prawie niepodzielnie rozległą sferę beletrystyki polskiéj i królując w niéj przez liczne lat dziesiątki, niby dla wytchnienia i urozmaicenia pracy głównéj uczuwał od czasu do czasu potrzebę oderwania się od powszedniego zajęcia, uczuwał potrzebę wstąpienia także choćby na chwilę w zaczarowaną krainę poezyi. A chociaż w téj pięknéj ojczyźnie natchnienia nie panował tak wspaniale, choć nie zdobył sobie najpiękniejszéj korony genialnego poety, to przecież

i w tym dziale prac umysłowych, nie pozostał powszednim pracownikiem, ale dowiódł, że i w mowie wiązanéj potrafi głosić jak najwznioślejsze myśli, które w szlachetnéj formie i szerokich poglądach na sprawy ludzkie i obywatelskie zniewalały czytelnika, budziły w jego piersi gorące pragnienia i unosiły go w niedościgłe sfery ideału.

Z tego powodu nie obojętną będzie rzeczą dla myślącego ogółu poznać bliżéj poetyczne utwory Kraszewskiego, zebrane osobno i wydane we Lwowie w książce zatytułowanéj „Poezye“ 1888 r. Zbiór ten mieści w sobie utwory nietylko wydane dawniéj ale i późniejsze z ostatnich lat życia tyle zasłużonego pisarza. Forma i wartość tych utworów poetycznych jest bardzo rozmaita, równie jak i treść, dotykająca przedmiotów nader różnorodnych, odnoszących się przeważnie do wspomnień osobistych. Najdawniejsze wiersze Kraszewskiego zawierają dużo pierwiastku egotycznego z obfitą domieszką pesymizmu i rozczarowania do świata. Pod wpływem rozgoryczenia poeta w r. 1837 nazywa się starym i zmordowanym życiem i skarży się, jak to my dziś w roku pańskim 1890-ym równie czynimy na „nerwy, przeklęte wrogi człowieka“ (str. 73). Nie wierzy w przyjaźń już w 26-ym roku życia (w r. 1838); narzeka na publiczność, mówiąc, że lepiéj być kucharzem, niż poetą, a w myślach swoich ogólnych o życiu wypowiadą wątpliwość co do rzeczywistego celu istnienia człowieka (str. 71 „Żal przeszłości“).

Najdaléj posunął się Kraszewski w tym pessymizmie w wierszu „Do nowonarodzonego“, pisanym w Dołhem w r. 1833. Piękny ten i z niepospolitą siłą napisany utwór podobał się powszechnie i przemówił do tysiąca serc młodych całą potęgą rozżalonéj duszy, bolejącéj nad rozdźwiękiem, panującym pomiędzy wypiastowanym ideałem a otaczającą poetę rzeczywistością. Nie zważano na to, że autor nie zadawalnia się parafrazą hamletowskiego „być, albo nie być“, ale nadto jak ów wieszcz pogański, Teognis z Megary, radzi nowonarodzonemu „umrzeć co prędzéj“; uczono się wiersza na pamięć i deklamowano go z entuzjazmem. W utworze tym odnajdowała bowiem młodzież ówczesna odzwierciedlenie własnych porywów i oddźwięk nastręczających się krewkim umysłom zagadek.

Nic dziwnego, że na tak wyciągniętą nutę nastrojony pessymizm z wiekiem poety zaczyna tracić na swojéj sile, bo późniejsze utwory Kraszewskiego lubo nie wolne od omawianego kierunku, pozbywają się go stopniowo i zdradzają już tylko smutek głęboki, rzewny, chwytający za serce. Takiemi są wylewy uczuć miłości, przenikającéj serce poety, jak „Cyknodyja“, (str. 108) „Pijany“ (str. 133), „Słońce“ (str. 285), „O mój aniele“ (str. 291), „Umieram“ i t. d, Śliczne są wiersze: „Kocham Ciebie“, „Umieram“, a w nim szczególniéj ustęp: „Dla Ciebie luba, ja nic nie zostawię; ty mnie zapomnij i bądź tak szczęśliwa, jakem ja biedny. U wrót grobu prawie jeszcze za tobą łza spływa“ i t. d.

Pod wpływem przeciwności i obowiązków życia oraz obserwacyi jego twardych stosunków, poeta mniéj stanowcze wydaje wyroki. Nie pozbywa on się pesymizmu, bo cień jego podobno był nieodstępnym towarzyszem Kraszewskiego do końca jego życia, ale nie miota już przekleństw i potępienia nawet wtedy, gdy zwraca się do kobiet, wołając w rozdrażnieniu: „anioły czy szatany, nikt was nie zrozumie", ale kończy wiersz pełną pogody apostrofą:

Szczęśliwy, kto anioła znalazł między niemi,
I z nim podzielił życie!

O miłość rzeczywistą trudno według poety. W wierszu „wczorajsza i dzisiejsza" tak mówi do kobiety:

. . . . . gdybym był nędzny, wzgardzony, odarty,
Gdybym w łachmanach żebrząc, wlókł się życia drogą,
Gdybym jęczał kaleka na kuli oparty,
Czy tybyś mnie robaka nie zdeptała nogą?
Powiedz, czybyś ceniła czystą miłość moją?
Czybyś ceniła duszę pod tak lichem ciałem? (str. 266).

Pod wpływem podobnego nastroju tęskni za przeszłą formą miłości, tym bardziéj, że dziewicę nieba można poznać tylko w niebie i wyrzec się ziemi (str. 272).

Rozpatrywane dotąd utwory Kraszewskiego, jakkolwiek niepozbawione zalet pod względem artystycznym, przecież ze względu na swój egotyczny nastrój, zabarwiony pessymizmem, mogą być raczéj zaliczone do płodów negatywnego, a nie dodatniego, twórczego kierunku. To też dopiero z czasem, powoli i stopniowo wierszopis przeradza się w poetę: pozbywa się on dotychczasowego kwilenia i narzekania na własne dolegliwości, porzuca jęki, wywołane osobistemi niepowodzeniami i chwyta za pióro, aby opiewać te bóle i cierpienia, które choć przez niego indywidualnie odczute, są przecież wyrazem uczuć tysiąca jego braci. Więc choć o kobiecie i o miłości prawić nam będzie, to jednak miłość ta będzie odzwierciedleniem miłości wielu, w niéj, jak w czystéj krynicy, ujrzysz odbity obraz najszlachetniejszych pragnień, najpodnioślejszych aspiracyi serca ludzkiego.

I oto pomiędzy rokiem 1843 a 1857 powstaje cały szereg pieśni, zatytułowanych „hymnami boleści", pięknych formą, a głębokich myślą, w których poeta błogosławi ból i wyznaje, że on go wskrzesił i ocucił, bo oto dawniéj z obawą patrzył na zachód życia, a teraz znowu czuje się silnym i krzepkim. Poeta opiewa ze wzruszeniem symbole męki Chrystusa:

Bądź pozdrowiona, korono cierniowa,
Opasz mi skronie, wpij się w czoło moje,

Opleć mi myśli, niech płyną krwi zdroje,
Chrztem jéj, skulana obmyje się głowa (str. 48).

Nazywając boleść królową świata, woli ją, niż życia zastygłą ruinę, bo ona przemawia do niego niedolą braci i ziomków, bo ona łamie tylko słabych, a dźwiga nieugiętych, wreszcie spowiada się za siebie i braci, mówiąc, że wielki ból, lecz większa wina i pod koniec nuci wspaniały hymn do Matki Boskiéj jako „Mater dolorosa".

Boleści, witam Ciebie, zstępująca z nieba,
Matko czynu, surowa dla ludów mistrzyni,
Posłanko Boża — dłoń twa z powszedniego chleba
Pokarm duszny wyciska, chleb niebieski czyni,
Sercom wielkim tyś matką, — mleka twego trzeba,
By wyrósł nim pojony wielki mąż wśród gminu,
Wieszcz do chwały, bohater do wieńców wawrzynu (str. 50).

Już to w ogóle boleść uważa poeta za środek podniesienia się duchowego, za jeden ze szczebłów owéj symbolicznéj drabiny Jakóbowéj i w jednem miejscu powiada: dusza kobiety jest wielką wtedy, gdy niesie wieniec cierpień (str. 295). Nie waham się nazwać Kraszewskiego prawdziwym poetą dla tego, że we wszystkich jego wierszach naczelną ideą, osią, około któréj wszystko się obraca jest miłość, ta miłość, co porusza słońce i gwiazdy, jak pięknie powiedział Dante. Twórcza ta potęga przenika wszystkie poezye Kraszewskiego, tchnie z każdego jego słowa, choć wyraża się w sposób nieraz bardzo prosty, jak np. wtedy, gdy mówi, że pragnie „pracą ruszyćchoć młynek maleńki, aby się trochę mąki dla ludzi ścierało (str. 73) lub gdy powiada, że mądrość świata całego mieści się w jednem słowie: „kochaj każdego jak brata" (str. 260). Niekiedy znowu spotykamy miłość rodzaju ludzkiego i współczucie dla cierpień społecznych, spowite w myśl głębszą, jak np. w fantazyi „kobieta", gdzie poeta woła:

Witam cię nędzną, ubogą, nieznaną,
Z dzieckiem u piersi, a w piersiach z rozpaczą,
Tutaj po tobie i łzy nie zostaną,
Lecz cierpień twoich anieli zapłaczą, (str. 233).

Poeta czci wszystko, co jest miłością: miłość choć grzeszna jest ofiarą i poświęceniem. (Marya Magdalena str. 262).

Miłość matki względem dziecięcia idealizuje poeta w „burzy", opowiadając, jak piorun zastrzelił matkę, stojącą pod szubienicą, na któréj wisiał trup jéj syna. Ona jedna nie bała się burzy, bo kochała dziecię swoje. (str. 255).

Nie tylko piękne, ale i trafne jest określenie ojczyzny „bo tam gdzie serce ucieka, za którą stroną łzy płyną, tam jest ojczyzna

człowieka, tamta jest jego kraina!“ str. 288. W innem miejscu odzywa się w tych słowach: Znaszli ten kraj, gdzie kwitną nad grobami piołuny? gdzie niebo twarz błękitną w szare kryje całuny? gdzie pola kośćmi siano, las szumi pieśń cmentarną: rzeki łzami wezbrane przez ziemię płyną czarną? (str. 315).

W związku z omawianym przedmiotem miłości pozostaje uczucie ujemne ku żywiołowi, opisanemu przez autora w powieści „Bez serca“, uczucie podzielane przez ziomków jego. W poemacie historycznym „Gerhard Ruda“ (str. 185) czytamy: Prędzejbyś z orłami pobratał robaka, prędzejbyś z aniołami pobratał gadzinę: niżbyś, kiedy ich strumień krwi rozlanéj dzieli, Litwę i Niemców z wrogów zmienił w przyjacieli“.

Ostatnią kategoryą utworów poety stanowią te, w których się zastanawia nad rozmaitemi sprawami żywota i w miarę rozbudzonego przez nie interesu, sąd swój o nich wydaje.

Przedewszystkiem poeta w szczęście ludzkie nie wierzy, bo widzi, że wszędzie ludzkość cierpi, a „szczęścia nie daje złoto, nauka, smutny zostaje, kto go tam szuka. Posłuchaj rady, mój panie, rozdaj na ubogich krocie, będziesz szczęśliwszy w sukmanie, niżeli byłeś nim w złocie“. (str. 287.

W tém ostatniém słowie wypowiedział poeta serdeczny swój pogląd na stosunki społeczne a lepiéj jeszcze stwierdza go w wierszu: „Pan i człowiek“, (str. 274).

Pojmiemy to dobrze, jeśli uprzytomnimy sobie, jaką rolę odgrywają w powieściach Kraszewskiego magnaci świeccy i duchowni, i jak korzystnie oświetla sylwetki drobnéj ubożséj szlachty, z jaką lubością kreśli wdzięczne postacie zacnych, acz prostych, plebanów naszych.

Do tego rodzaju utworów, uwzględniających pierwiastek społeczny należy śliczny wiersz „Biedny chłopiec“ (str. 279).

Miłość natury i ludu widzimy w bardzo wcześnie napisanym wierszu p. t. „Wioska“, gdzie poeta idealizuje stary związek natury z człowiekiem i zachwyca się tém, że wszystko się tu rozumie, bo wszystko jednoczy miłość.

Na miłości warstw ludowych oparty jest wiersz głębszy treścią p. t. „książka“ odnoszący się do r. 1877. Ten sam nastrój ludowy widzimy w „szopce“, będącéj zręcznem naśladowaniem kantyczek i oznaczonéj datą 1883 r.

Kraszewski jest poetą samodzielnym, reminiscencyj z innych autorów w nim nie ma, przewaga żywiołu lirycznego wszędzie widoczna, bo mówimy tylko o zbiorze zatytułowanym „Poezye“, z którego wykluczono utwory treści opisowéj, co się zaś tyczy formy, to jest ona zawsze ładną, częstokroć piękną, choć nie wykwintną. O przymiot ten Kraszewski wcale się nie ubiega, owszem, unikając wszelkich błyskotek, efektów i naciąganych porównań, jest wszędzie

prosty i szczery, a ta właśnie otwartość i łatwość obcowania z czytelnikiem chwyta za serce i przemawia bardzo silnie do duszy. W rozpatrywanym tutaj zbiorku Kraszewski nie wstąpił na wyżyny twórczości artystycznéj, ale postawił jasną lampę na ołtarzu, gdzie płonie nieustannie święty Znicz poezyi narodowéj. Jak wszędzie, tak i tutaj pozostał zawsze wierny ukochanym przez siebie ideałom, a ogarniając wzrokiem ducha przedewszystkiem ojczystą niwę i czerpiąc natchnienie wraz z powietrzem i wonią rodzinnych pól i lasów, nie zamykał nigdy oczu na sprawy ogólnie ludzkie, karcił złe z surowością, a na błędy, słabości i nędze téj ziemi spoglądał z pełném miłości i wyrozumiałości pobłażaniem.

Bronisław Bieńkowski.

„Podręcznik metryki łacińskiéj i greckiéj do użytku szkolnego“ ułożył Marcin Sas. Kraków. Nakładem autora. 1889. Str. 39.

Metryka cieszy się u nas w ostatnich czasach szczególniejszemi względami: oprócz poważnych studyów nad rytmiką sam prof. Sas, wydał niedawno sporą rozprawę: „o miarach M. K. Sarbiewskiego i o ich wzorach“, a nadto ogłosił „Podręcznik metryki łacińskiéj i greckiéj“, o którym zamierzamy kilka słów powiedzieć. Nie wielka ta książeczka zasługuje na naszę uwagę przedewszystkiém dla tego, że jest u nas pierwszym tego rodzaju podręcznikiem szkolnym, a nadto i dla tego, że jest to praca samodzielna i więcéj nawet oryginalna, niżby na pierwszy rzut oka przypuszczać można.

Szkolny podręcznik metryki literatur klasycznych musi naturalnie obejmować w sobie treściwy wykład prawideł i zasad, jakiemi się rządzili w swojéj wersyfikacyi starożytni Grecy i Rzymianie, a zarazem powinien zawierać objaśnienie właściwości metrycznych u tych autorów i w tych utworach poetycznych, które zwykle czytujemy po gimnazyach. Mamy tedy i w podręczniku pana S. jedenaście rozdziałów, z pomiędzy których pierwszy zawiera w sobie pojęcia wstępne (o rytmie, stopach, „szeregach“ i wierszach); drugi traktuje o heksametrze poetów łacińskich, trzeci o iloczasowych właściwościach wierszy łacińskich, w czwartym zaś jest mowa o strofach elegijnych, w piątym i szóstym rozbiera autor heksametry w poezyi homerycznéj, następne cztery rozdziały poświęcone są metryce Sofoklesa (trymetr jambiczny, wiersze anapestyczne, tetrametr trochaiczny), w ostatnim wreszcie autor poucza nas o miarach lirycznych Horacego.

Z całéj książki widać, że autor jest panem swojego przedmiotu, tak, iż sformułowanie tych wiadomości, które są potrzebne dla młodzieży szkolnéj, jest treściwe i systematyczne. Autor jest obeznany z terminologią metryków i rytmików klasycznych, twierdzenia swoje wypowiada zwięźle i dobitnie, a faktycznych pomyłek nie znajdujemy u wiele. Jeżeli przytém uwzględnimy zasługę autora, że ułożył

taki podręcznik w języku polskim i wydał go własnym nakładem, to możemy powiedzieć, żeśmy uwydatnili najważniejsze zalety téj skromnéj a pożytecznéj książki.

Przy tém wszystkiem nie możemy jednak powiedzieć, ażeby książka pana S. zupełnie nas zadowoliła. Autor nie wyjaśnił celu, do którego dążył, ani zasad,, jakiemi się wśród pracy swojéj kierował; dla tego musimy uważać stanowisko pana S. za zbyt oderwane. Metryka sama przez się jest przedmiotem suchym, szczególnie dla początkujących: tymczasem autor zrobił przedmiot ten jeszcze bardziéj suchym. Pytamy się też: jaki ma cel np. nagromadzenie tylu terminów technicznych, bez których początkowa nauka może się spokojnie obejść, a których wartość naukowa jest nawet czasami wątpliwą? Czy miejsce, które zabierają zbyteczne wyrażenia specyalne, podane w czterech językach (polskim, greckim, łacińskim i niemieckim), nie lepiéjby było zużytkować na bliższe i mniéj formułkowe wyjaśnienie zjawisk metrycznych? Przy dążeniu do wielkiéj ścisłości autor bywa czasami niedokładnym i zbyt dogmatycznym. W § 14 np. przy znaku „dw umorowéj“ pauzy ($\overline{\wedge}$) figuruje niewłaściwa i zbyteczna nazwa *πρόσθεσις*, a zato brak koniecznego terminu *λεῖμμα*. Heksametr autor przepoławia na dwie zupełnie równe części i powiada, że wiersz ten składa się z 2 trypodyj daktylicznych (§ 18): na podstawie czego i zkąd taki podział? Przy objaśnieniu strofy elegijnéj pan S. odrzuca zupełnie przekazaną nam przez pisarzy starożytnych i używaną po całym świecie nazwę „pentametr“ (może dla tego, że Christ nazywa ją „eine sehr ungeschickte Bezeichnung“?) i pisze natomiast: „hexametr daktyliczny katalektyczny w 3 i 6 stopie“. Wątpię, czy pan S. jest przekonany o bezwzględnéj prawdziwości matematycznych obliczeń, tyczących się tak zwanych stóp „niewymiernych“ (§§ 74—76). Przy objaśnieniu wierszy anapestycznych u Sofoklesa (rozdz. IX) autor ignoruje istnienie wiersza, zwanego „paroemiacus“ („przysłowiowy“), który przecież i Usenerowi („Altgriechischer Versbau“) służył za podstawę dociekań, tyczących się pierwotnéj formy wierszowéj u Greków. W tym samym rozdziale (§ 85) niezrozumiałém jest zdanie: „może on (t. j pozorny daktyl) zastępować każdy anapest wierszy anapestycznych z wyjątkiem dwóch ostatnich“. Jeżeli tu jest mowa o dwóch ostatnich wierszach, poprzedzających wspomniany „paroemiacus“, to twierdzenie to nie jest prawdziwém nawet w zastosowaniu do Sofoklesa; jeżeli zaś autor miał na myśli dwa ostatnie anapesty, to w takim razie stał on się sam ofiarą niedokładnéj analizy i fałszywego poglądu na wiersz „przysłowiowy“, który składa się nie z anapestów, jak dowodzi końcowa krótka zgłoska, chociażby w przytoczonym wierszu z „Antygony“ (*ξὺν δ' ἱπποκόμοις κορυθέσσιν*), lecz jest zapewne częścią heksametra, jak dowodził już G. Hermann (Elem. d. m. str. 378). Co do § 86, to już w starożytności wiedziano, że cezura (czyli podług auto-

ra „dyeresa") przypada nietylko po każdym „szeregu" wierszy anapestycznych, ale i po każdéj dypodyi,— przynajmniéj u Sofoklesa. W skutek nadzwyczajnéj treściwości, okazuje się pan S. zbyt pochopnym do ustanawiania zgłosek trój- i czteromorowych a zarazem pauz ściśle określonych; to go też doprowadziło do oryginalnego, ale niewłaściwego, określenia „szeregów" brachikatalektycznych (§ 105).— Nie mogę tutaj wykazywać wszystkich usterek książki, zauważę tylko, że sz. autor „Podręcznika metryki łacińskiéj i greckiéj" nie uwzględnił należycie żywiołu historycznego oraz i faktu zależności wierszowania łacińskiego od metryki greckiéj. Okoliczność ta objaśnia też pewien chaos w rozkładzie i obrobieniu materyału. Czyż np. właściwém jest takie zdanie (§ 51): heksametry Homera zgadzają się zupełnie z heksametrami poetów łacińskich...? W tym samym paragrafie powiedziane jest, że u Homera forma zewnętrzna heksametra nie bywa stosowaną do myśli w niéj zawartéj,— jak to widzimy u Wergilego (tak przynajmniéj rozumiem cytatę § 25): czyż autor nie wie, co mówią o „ethosie" wierszy Homera scholiaści lub Dyonizyusz z Halikarnassu? Przy uwzględnieniu żywiołu historycznego i „przejście" samogłosek *i* i *u* w spółgłoski (§ 37 nast.) autor byłby opracował trochę inaczéj. Nie uważam też za właściwe w wykładzie podobnego przedmiotu stałe używanie pierwszéj osoby liczby mnogiéj (nazywa m y, wymawia m y, zastąpi m y zgłoskę k r ó t k ą dwoma krótkimi): wszak młodzieży szkolnéj nie przyniosłoby szkody, gdyby w tonie podręcznika przebijała się myśl, że naprzód istnieli poeci klasyczni, potém przyszli teoretycy greccy i rzymscy, a m y— najczęściéj powtarzamy i musimy powtarzać twierdzenia i terminy metryków starożytnych — przynajmniéj w podręcznikach szkolnych: nasz „*pluralis majestatis*" występuje tu w nadzwyczaj skromnym płaszczyku! Uszykowanie pojedyńczych rozdziałów i ich części, w ogóle systematyczność układu metryki p. S. pozostawia nie jedno jeszcze do życzenia. Tłómaczenie greckiego *κῶλον* (membrum) przez polski (z madjarskiego?) wyraz „szereg" uważam za niezupełnie odpowiednie: przez „szereg" bowiem rozumiemy zwykle większą gromadę jednostek, niż ich się mieści w „*κῶλον*", a tu właśnie myślimy o cząstce, stanowiącéj w budowie wiersza wybitną, indywidualną jednostkę miarową—stopę. Za nieuzasadnioną uważać dotychczas trzeba pisownią niektórych wyrazów, np.: cesura, arsa, tesa, aferesa, synizesa; bo według analogii powinnibyśmy także pisać: pausa, filosof, posycya i t. d.?— Podręcznik prof. Sasa ma w sobie pewen właściwości, których nie godziło się zbyć ogólnikową pochwałą lub naganą — témbardziéj, że dziełko samo, pozbawione wyjaśniającéj przedmowy, dopomina się choćby najtreściwszego objaśnienia wątpliwych szczegółów. Niechże książka ta, przy pomocy doświadczonych nauczycieli, wyświadczy jak najlepsze usługi nauce naszéj młodzieży.

Wrocław, 5 listopada 1889. *M. Rowiński.*

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Pokojowe widoki na polu stosunków międzynarodowych.—Przyjazne zbliżenie Rosyi z Niemcami.—Rzpta francuzka umacnia instytucye republikańskie—Anormalne stosunki na półwyspie bałkańskim.— Wpływ ligi „pokojowéj" środkowo-europejskiéj na sprawy międzynarodowe: reminiscencye S-tego przymierza. — Stosunek polityki wewnętrznéj do kierunku polityki międzynarodowéj.—Nowa próba gabinetu hr. Taaffe wytworzenia pożądanego *modus vivendi* między Niemcami a Czechami w królestwie Św. Wacława.— Nieprzyjazne postępki rządu włoskiego względem interesów kościoła. Groźba bankructwa finansowego we Włoszech —Zatarg angielsko-portugalski w Afryce.—Przeciwności na kongresie antiniewolniczym w Brukselii.—Projekt E. Laveley'a.—Niepewność co do rozwoju stosunków w Rzpté brazylijskiéj.—Konkurs imienia ś. p. Kuryerowa rozstrzygnięty na korzyść dzieła p. Piotra Chmielowskiego p. tyt. „J. I. Kraszewski. Zarys literacko-biograficzny". —Stała wystawa prób i wzorów towarów eksportowych w Muzeum przemysłu i handlu w Warszawie.—Posiedzenie wydziału matematycznego Akad. Um. w Krakowie.—Posiedzenie komisyi antropologicznéj Akad. w Krakowie dnia 6 grudnia. —Odezwa drugiego Zjazdu historyków polskich do Lwowa.—Odezwa komisyi, wybranéj z grona drugiego Zjazdu prawników i ekonomistów polskich we Lwowie dla zbadania kwestyi emigracyi.—Ruch polskiéj własności ziemskiej podług „*Wileńskiego Wiestnika*" w gubernii wileńskiej, grodzieńskiej i kowieńskiéj oraz obraz stosunków agrarnych w gub. mińskiéj i podolskiéj.—Z archeologii: Wykopaliska w okolicach Gdańska,—pod Grimlingshausen w Niemczech, i w starożytnéj Babilonii.

W stosunkach międzynarodowych panowała w miesiącu grudniu stanowcza dawniejsza cisza, wśród któréj ujawniające się śmielsze polepszenie stosunków rosyjsko - niemieckich oddziałało nadzwyczaj korzystnie na resztę państw europejskich, pod względem pokojowym. Nic téż dziwnego, że przy sposobności oficyalnych manifestacyi noworocznych, widoki pokojowe nie tylko się utrzymały; ale się nawet rozszerzyły i umocniły, pomimo olbrzymich coraz energiczniejszych przygotowań wojowniczych we wszystkich państwach.

Rzeczpospolita francuzka, umocniona pod pewnym względem przez powodzenie zamkniętéj wystawy oraz przez ostatnie wybory, nie odwróciła wprawdzie ani na chwilę oka od uciskanéj przez cesarstwo niemieckie Alzacyi i Lotaryngii, uważanych za najniebezpieczniejszą prochownię w Europie dzisiejszéj, nie przestała wprawdzie doskonalić swoich sił zbrojnych; ale tymczasem zajmowała się przeważnie organizacyą wewnętrzną, naprawą instytucyi republikańskich, zdezorganizowanych przez ambitnych a krzykliwych doktrynerów.

Stosunki wschodnie rzucają wprawdzie pewien cień mglisty na pogodny lazur nieba obietnic dyplomatycznych, a to z powodu nieustalonych warunków na wyspie Krecie i anormalnego stanu rzeczy na półwyspie bałkańskim, gdzie nietylko finansowe operacye rządu bułgarskiego, oparte na zastawie dróg żelaznych, naruszają traktat berliński oraz zwierzchnie prawa wysokiéj Porty; ale i próba traktatu handlowego z Anglią, niemniéj wprowadzenie pożyczki bułgarskiéj na giełdę wiedeńską i peszteńską podnieca antagonizm tłumionych z taką przezornością zawiści międzynarodowych. Chociażby tedy wedle zapewnienia wiedeńskiéj „Politische Correspondenz", polityka austro-węgierska nie dążyła do rozszerzenia swego wpływu na półwyspie bałkańskim, lecz tylko do jego ustalenia i wzmocnienia, gdy groźba punslawizmu widocznie straciła na potędze i znaczeniu, to wątpić można o tém, żeby wszystkie mocarstwa z p. Kalnoky'm chciały uważać ostatnie roboty rządu bułgarskiego jedynie za sprawy wewnętrzne Bułgaryi. Może próba wywabienia na téj drodze Rosyi z jéj silnego, wytrwałą rezerwą swoją imponującego stanowiska, zawiedzie przewrotność zabiegów dyplomatycznych — i pokój, mimo drażliwych pozorów, zakłóconym z téj strony nie będzie, przy gorliwych staraniach ks. Bismarcka, przestrzegającego rzekomo z taką skwapliwością interesów rosyjskich na półwyspie bałkańskim.

Prasa europejska, stwierdzając fakt zbliżenia się większego Rosyi do Prus w ostatnim czasie, dowodzi, że przyczyniła się do tego zarówno inicyatywa osobista cesarza Wilhelma II, jak i gorliwe współdziałanie ks. Bismarcka. Wzmacniające się pod koniec roku 1889 widoki pokojowe zawdzięcza Europa w znacznéj części lidze państw środkowo-europejskiéj, przypominającéj pod wielu względami atmosferę epoki świętego przymierza, o którém historyk dzisiejszy nic korzystniejszego powiedzieć nie może nad to, że ono dało udręczonym zresztą ludom blizko czterdzieści lat ciężkiego pokoju, nie wchodząc bliżéj w rozbiór politycznéj i moralnéj, cywilizacyjnéj i ekonomicznéj wartości takiego pokoju.

Gdyby fakt zbliżenia się dwóch potężnych mocarstw sąsiedzkich znalazł wyraz poważniejszy, zapewniający jego trwałość (o ile w polityce może o tém być mowa), byłby to niézmiernie doniosły

zwrot w sytuacyi politycznéj całéj Europy, byłby to bowiem niejako powrót do tradycyi z przed laty kilkudziesięciu, zwrot pociągający koniecznie za sobą analogiczne „pokojowe“ skutki zarówno w polityce międzynarodowéj jak i w stosunkach wewnętrznych, które po różnych próbach szowinizmu narodowego pod hasłem liberalizmu, szerokoby się niebawem uczuć dać musiały. Tymczasem zachodzi tu jednak trudność, któréj lekceważyć nie można. Chwilowa plątanina wypadków powszednich nie stanowi idei twórczych rozwoju historycznego, który, mimo słabnących drobnych odcieni interesów uniwersalnych ścierających się z sobą potęg państwowych, nie zboczy z drogi, wskazanéj mu przez sprawy narodowe i ogólno-polityczne.

Z tego powodu przedstawia też każdorazowy przegląd ważniejszych momentów życia publicznego w pojedyńczych krajach materyał zasługujący na pilniejszą uwagę społeczeństw europejskich.

Według opinii *Timesa*, organu mieszczaństwa londyńskiego, Rosya od początku teraźniejszego panowania zmierzała wytrwale do zdobycia stanowiska, rozstrzygającego w ogólnem równoważeniu się interesów europejskich między pokojem a wojną, i cel ten osiągnęła w zupełności, bo w warunkach dzisiejszych ani Francya, dopominająca się u Niemców o zwrot Alzacyi i Lotaryngii, ani Niemcy, pragnące ubezpieczyć swoje świeże zabory w Europie środkowéj; tem mniéj zaś Austro-Węgry, patrzące pożądliwie ku wschodowi, ani wreszcie Włochy, czuwające nad równowagą sił na morzu Śródziemnem, nie odważą się wbrew woli Rossyi na żaden krok zaczepny. Nieprzypuszczając tedy akcyi szerszéj i donioślejszéj, nie brak jednak zajść i zatargów lużnych, drobniejszych, które z każdą chwilą mogą stać się powodem pewnego mniejszego lub większego zaniepokojenia.

W zakresie wewnętrznéj polityki państw europejskiéj budzi pewną ciekawość nowa próba gabinetu hr. Taaffe'go stworzenia w Czechach jeśli nie trwałego porozumienia między Niemcami a Czechami, to przynajmniéj ułożenia pewnego modus vivedi 2-óch plemion, czychających, jeżeli nie na swoję wolność, to w każdym razie na zdobyte już swobody konstytucyjne. Usiłowania na tém polu zaledwo rozpoczęte, dla tego ostatecznego rezultatu przesądzać jeszcze nie możemy.

We Włoszech nie ustaje gabinet Crispi'ego w prześladowaniu kościoła i jego zbawiennego wpływu na polu dobroczynności publicznéj, tak jak gdyby jaskrawością postępków w tym kierunku chciał odwrócić uwagę narodu od grożącego mu bankructwa finansowego.

Afryka, ta zaniedbana zbyt długo przez historyą czwarta część świata, stała się od pewnego czasu widownią gorszących scen pomiędzy państwami, współubiegającemi się o podział ojcowizny murzynów. Podnoszące się coraz groźniejsze zatargi międzynarodowe na gruncie interesów kolonizacyjnych kryją się dotychczas pod hasło idei filantropijnych, historyozoficznych; ale w gruncie rzeczy mieszczą one w sobie zamiary ściśle polityczne. Najnowsze nieporozumienie anglo-portugalskie w południowo-wschodniéj Afryce, wywołane zbyteczną gorliwością rządów kolonialnych, portugalskiego i angielskiego, reprezentowanego w tych stronach przez Johnstona nie mniéj niechętnemi aspiracyami Rptéj Transwalu — mamy nadzieję, że zakończy się sposobem pokojowym, chociaż rozdrażnienie anglików z powodu sponiewierania przez portugalskiego majora Serpa Pinto chorągwi angielskiéj jest bardzo wielkie. Przy zbyt hałaśliwych w ostatnich dniach groźbach lorda Salisbury — posiadamy dotychczas o całéj téj sprawie tak skąpe wiadomości autentyczne, że nie podobna zrobić żadnego wniosku co do najbliższéj nawet przyszłości.

Prace kongresu, obradującego w Brukseli nad wielką sprawą stłumienia handlu niewolnikami, spotykają się z coraz większemi trudnościami, bo nie tylko nieufność wzajemna pomiędzy państwami, biorącémi udział w kongresie; ale jawna niechęć Turcyi paraliżuje wszelką akcyą energiczniejszą. W obec takich warunków znany profesor ekonomiki uniwersytetu w Leodyum, Emil de Laveleye, ogłosił w jednym z dzienników brukselskich artykuł, w którym sprzeciwia się gwałtownym krokom przeciw handlowi murzynów. „Aby z tém złem walczyć skutecznie, musiałaby Europa utrzymywać ogromne armie afrykańskie i wydawać miliony; jeszcze i tak wynik byłby wątpliwy; słaby zaś opór może tylko złe pogorszyć, wywołując represye i większe okrucieństwo ze strony handlarzy towarem ludzkim. Zdaniem profesora, daleko więcéj zdziałać można, jeżeli się obróci kapitały, wydawane na armie w Afryce, raczéj na zbudowanie kolei, przerzynających środkową Afrykę—barki niewolników staną się zbyteczne, gdy towary kupieckie będą wagonami przewożone. Kolej prędzéj niż strzelba i armata rozniesie cywilizacyą po czarnym lądzie.“

Najmłodsza rzeczpospolita, rzeczpospolita brazylijska w Ameryce mało dotychczas daje o sobie wiedzieć ciekawym europejczykom. W kilku prowincyach miały się objawić niezadowolenia, częściowe powstania przeciw nowemu porządkowi rzeczy, a nawet wśród wojska miało dojść do czynów niesubordynacyi. W odpowiedzi na te rozruchy wydał rząd tymczasowy dekret, rozpisujący wybory reprezentantów sejmowych na dzień 15-o sierpnia 1890 r. i zwołujący konstytuantę na dzień 15-o listopada 1890 r. Najnowsze doniesienia o dekrecie rządu tymczasowego stanowiącego rozdział między państwem a kościołem z zapewnieniem każ-

demu brazylijczykowi swobody wyznania — nie mniéj o powołaniu nawet cudzoziemców do sprawowania praw politycznych obywateli brazylijskich, nie pozwalają jeszcze ocenić kierunku, w jakim Rzeczpospolita brazylijska rozwijać się zamierza.

Zmarły w Warszawie 1883 r. śp. p. Józef Kuryerow, testamentem prywatnie pod datą dnia 22-go marca 1874 r. sporządzonym i w zachowaniu Aleksandra Jałowickiego, notaryusza przy sądzie okręgowym warszawskim, będącym, między innemi zapisami na cele publiczne przeznaczył (§ 47) procent od sumy 3,000 rubli za dwa lata, na wynagrodzenie najlepszego utworu dramatycznego polskiego, według uznania komitetu, wskazanego wyraźnie przez testator. Ostatniej woli zapisodawcy stało się też zadość przez przyznanie w roku zeszłym nagrody autorowi czteroaktowego dramatu L e n y.

W dalszym ciągu tegoż (§ 47) czytamy: „Procent z roku następnego (użyty być ma) na wynagrodzenie najlepszego oryginalnego dzieła w języku polskim: naukowego, belletrystycznego albo ekonomicznego, podług uznania takiegoż jak wyżej komitetu, z przybraniem w miejsce reżyssera teatru, jednego z profesorów języka i litertury polskiéj. Przeznaczonym do ocenienia prac konkursowych komitetom, zostawiam swobodę co do sposobu urządzenia konkursów i rozdzielenia wynagrodzenia na główne i jedno accessitowe (w razie braku wybitniéj odznaczających się utworów); kładę tylko za warunek, ażeby wynagrodzone dzieło sztuki lub literatury było koniecznie oryginalne, nie naśladowane; głównie na tematach polskich oparte i przez Polaka odtworzone.

Zgodnie z tą wolą testatora, egzekutor testamentu, p. Karol Hube, wezwał na obrady w przedmiocie wspomnianego legatu wybranych przez zapisodawcę członków komitetu, mianowicie: 1) redaktora „Biblioteki Warszawskiéj“, Józefa Plebańskiego, 2) redaktora „Gazety Warszawskiéj“, Stanisława Lesznowskiego, 3) prof. języka i literatury polskiéj, Józefa Przyborowskiego, — którzy korzystając z nadanego sobie w testamencie prawa przybrania do komitetu dwóch poważnych literatów lub krytyków w Warszawie zamieszkałych, zaprosili ze swej strony pp. Kazimierza Kaszewskiego i Juliana Adolfa Swięcickiego.

Skompletowanemu w ten sposób komitetowi egzekutor testamentu, p. Karol Hube, oświadczył na posiedzeniu dnia 11-go grudnia 1889 r., że procent roczny od pomienionego legatu 3,000 rubli, lokowanych na hypotece domu w Warszawie, wynosi w téj chwili za rok 1889, rubli sto ośmdziesiąt (180 rub.), które w myśl zapisodawcy do rozporządzenia komitetowi przedstawia.

Przy zbyt ogólném brzmieniu testamentu, mogącém podlegać różnym tłómaczeniom, komitet jakkolwiek zaszczycony przez zapisodawcę szeroką swobodą, ujrzał się w obec zadania dosyć trudnego, bo nie miał przed sobą ściśle określonego sposobu udziele-

nia pomienionej nagrody. Niepewność taka nakazywała komitetowi przedewszystkiém stanąć na gruncie praktycznym.

Po przeprowadzeniu wszechstronnéj co do tego dyskusyi, zgodzono się jednomyślnie na wyłączenie drogi rozpisywania konkursu na dany temat, ponieważ w ostatnich czasach sposób ten kilkakrotnie zawodził. Idąc za intencyą testatora, postanowiono tedy nagrodzić „najlepsze oryginalne dzieło naukowe, belletrystyczne albo ekonomiczne“, w ostatnich latach ogłoszone. Przy skromnéj nagrodzie w obec szerokich dosyć wymagań zapisodawcy, nie godziło się jednak obniżać miary pierwszorzędnéj pracy naukowej.

Mając na uwadze powodzenie, jakiém pod materyalnym względem, cieszą się dzisiaj dobre prace belletrystyczne, przyszedł komitet do przekonania, że największéj zachęty i pomocy materyalnéj, potrzebują w literaturze naszéj oryginalne prace naukowe, do których i dzieła ekonomiczne zaliczyć należy. Gdy jednak zapisodawca wyraźnie je osobno odznaczył, należało to pole szczegółowo zlustrować. Z pomiędzy dwóch prac treści ekonomicznéj, które tutaj wyróżnić było można, jedna (Gumplowicza) nie opierała się na „tematach polskich“, chociaż pod względem naukowym mogłaby była zaspokoić wymagania zapisodawcy, drugą zaś (Szczepanowskiego), jakkolwiek wyłącznie na temacie interesów swojskich opartą, więcéj za pismo okolicznościowe, aniżeli za ściśle naukowe uważać trzeba.

W obec już zaszczytnie nagrodzonych w ostatnim czasie dzieł historycznych i matematycznych, zwrócił komitet uwagę swoję na zaniedbane pole historyczno-literackie, gdzie po starannym przeglądzie dzieł nowszych, niemniéj i po sumiennym rozbiorze naukowych zalet prac najważniejszych, postanowiono jednomyślnie przyznać tę skromną nagrodę 180 rubli z zapisu ś. p. Józefa Kuryerowa, którą komitet rozporządza, dziełu p. Piotra Chmielowskiego, ogłoszonemu drukiem w 1888 r. pod tytułem: „Józef Ignacy Kraszewski. Zarys bibliograficzno-literacki“. (8-o str. III. 534). Dzieło to bowiem w przekonaniu komitetu odznacza się nietylko obfitością sumiennie z najrozliczniejszych źródeł zebranych faktów biograficznych tak wielostronnego i wpływowego pisarza, jakim był J. I. Kraszewski; ale nadto naukowém onych ugrupowaniem, niemniéj gruntownym i krytycznym rozbiorem, przy szerokim poglądzie na sprawy krajowe i wzorowym wykładzie pod względem stylu i języka.

Zarząd oddziału warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, na skutek uchwały Rady Oddziału, zapadłéj na posiedzeniu z dnia 4 b. m. i po wyjednaniu odnośnego pozwolenia zamierza otworzyć w Warszawie Stałą Wystawę prób i wzorów towarów eksportowych. Dołączonym nadto do niéj zostanie dział biura informacyjnego, istniejącego obecnie przy Towarzystwie.

Wystawa zgromadzi na neutralnym gruncie we wzorach, próbach, fotografiach, albumach i t. d. wykaz produkcyi miejscowéj na wywóz, będzie współdziałać bezinteresownie w zawiązywaniu stosunków handlowych tutejszych producentów z odbiorcami zamiejscowymi, starając się za pomocą reklam, ogłoszeń, katalogów wystawowych, informatorów eksportowych i t. p. nadać jak największy rozgłos towarom tutejszym na rynkach ich zbytu. Firmy biorące udział w wystawie będą reklamowane bezpłatnie w katalogu wydawanym przez Zarząd Wystawy. Wszelkie informacje dotyczące warunków zbytu zamiejscowego, warunków wymiany z ogniskami przemysłowémi Cesarstwa, co do opłat przewozowych, ceł, warunków komunikacyjnych, zapotrzebowania tego lub innego towaru, na tym lub innym rynku, wiadomości co do ceł i t. d., będą udzielane przez Zarząd bezpłatnie, za zwrotem jedynie kosztów korespondencyi, jeżeli takowa okaże się potrzebną do pozyskania tych wiadomości.

Uczestnicy Wystawy opłacać będą rocznie rs. 20, za co korzystać mogą z 1 metra kw. powierzchni w szafach wystawowych i mają prawo do 6 wierszy ogłoszeń w katologu wystawy i nareszcie mogą korzystać z usług biura informacyjnego.

Wystawa otwartą zostanie bezwłocznie po zebraniu się ilości deklaracyi potrzebnej do pokrycia kosztów.

Prowadzenie spraw wystawy zostało powierzone p. Tadeuszowi Zaleskiemu, na jego też ręce pod adresem Zarządu Towarzystwa mogą być składane deklaracye osób pragnących wziąć udział w Stałej Wystawie prób i wzorów.

W obec niezaprzeczonych korzyści, jakie Wystawa Stałaprób i wzorów dla krajowego przemysłu i handlu przyniesie, Red. Bibl. Warsz. zwraca uwagę jak najszerszych kół społeczeństwa naszego na ważność tego prawdziwie obywatelskiego przedsięwzięcia, przeświadczona o tém, że dziełu takiéj doniosłości jak wystawa przemysłu krajowego, połączona z biurem informacyjnym przy Tow. przem. i handlu, poparcia w kraju naszym braknąć nie powinno.

Na posiedzeniu wydziału matematyczno-przyrodniczego Akademii umiejętności w Krakowie profesor Franke zdał sprawę z pracy p. Gosiewskiego: „O ciśnieniu kinetycznem w płynie nieściśliwym i jednorodnym“; profesor Godlewski wniósł rozprawę p. Prażmowskiego: „Brodawki korzeniowe grochu, I: etiologia i historya rozwoju brodawek“: następnie prof. G. przedstawił pracę Oleskowa: „Teoretyczne podstawy uszlachetniania drzew, I: budowa i sposób wzrostu pędów gruszy“, oraz wyłuszczył jéj wyniki; sekretarz odczytał opinie pp. Nowickiego i Kreutza o rozprawie p. Siemiradzkiego: „Fauna kopalna brunatnego jura w Popielanach“, część druga, oraz jéj treść: jako uzupełnienie ogłoszonéj monografii głowonogów z warstw popielańskich. Autor podaje listę mięczaków, do innych grup należących, a zebranych w tych-

że warstwach jurajskich. Wnioski dotyczące wieku pokładów popielańskich, wypowiedziane na podstawie fauny amonitowéj, znajdują najzupełniejsze potwierdzenie i w spisie obecnym, który mieści przytem wiele form z poziomów, poniżéj bathu leżących, niezawierających w Popielanach charakterystycznéj gdzieindziéj Parkinsonii. Jako cechę wybitną, odróżniającą utwór parkinsoniowy od wyżéj leżących warstw batońskich, zaznaczyć należy zupełny brak w nim ślimaków, które w warstwach batońskich i kellowejskich występują w dość wielkiéj liczbie, jeżeli nie form, to przynajmniéj okazów. Drugą cechą, odróżniającą wyraźnie amonitowe warstwy batońskie od warstw spodnich, jest niezmierna obfitość w nich ramionopławu rhynchonella varians var. popielanica, znajdującego się w Popielanach w każdéj niemal piędzi skały batońskiéj i kellowejskiéj, natomiast brak jego zupełny w poziomie parkinsoniowym. Obie cechy powyższe zauważył i w Królestwie Polskiem Michalski, któremu należy się zasługa wyróżnienia obu poziomów bathu wśród roemerowskich warstw parkinsoniowych. Rozprawy pp. Gosiewskiego, Prażmowskiego, Oleskowa i Siemiradzkiego uchwalono, na wnioski referentów: pp. Frankego, Godlewskiego, Nowickiego i Kreutza, przesłać komitetowi wydawniczemu dla ogłoszenia ich w pismach wydziału.

Dnia 6 grudnia r. z. pod przewodnictwem prezesa tejże Akademii d-ra J. Majera odbyło się posiedzenie Komisyi antropologicznéj Akademii Umiejętności w Krakowie, na którém sekretarz Komisyi, dr. J. Kopernicki, po skreśleniu stanu spraw bieżących, przedsawił Komisyi kilka nowo nadesłanych prac, a między niemi obszerną pracę d-ra J. Hryncewicza „O medycynie ludowéj w powiecie Zwinogródzkim (na Ukrainie)“, którą dla jéj ważności postanowiono ogłosić drukiem w wydaniu osobném. Następnie prof. K. zdawał sprawę z badań przez siebie dokonanych na cmentarzysku przedhistoryczném w Lipnicy, w powiecie Rohatyńskim. Cmentarzysko to należy do ciałopalnych. Tu prof. Kopernicki wydobył stąd około 46 naczyń grobowych, zawierających w sobie spalone kości ludzkie, między któremi były liczne współczesne grzebaniu wyroby gliniane, metalowe i szklane. Cmentarzysko to, w szeregu innych ciałopalnych cmentarzysk naszego kraju, należy do najpóźniejszych czasów pogańskich. Świadczy o tém wymownie nie tylko sam sposób wyrabiania znalezionych naczyń grobowych, które, z wyjątkiem zaledwo kilku, są już doskonale na kole garncarskiem toczone, ale i ich ornamentyka, przedstawiająca motywy rysunkowe, znane powszechnie w dzisiejszéj ceramice ludu miejscowego i ogólnie używane, jako też i znalezione pomiędzy kośćmi przedmioty metalowe, składające się z nożyków żelaznych, takichże sprzączek, oraz żelaznych i bronzowych fibul rzymskich, pomiędzy któremi występują kształty typu

La-Téne. Oprócz wymienionych przedmiotów, znajdowały się w urnach także najrozmaitsze paciorki, zausznice i t. p. ozdoby stroju. Niemniéj godnym uwagi jest oryginalny kształt mnóstwa urn tego cmentarzyska, z których jedne przypominają kształty naczyń greckich, a inne, całkiem odrębne, podobne są do głębokich i wypukłych mis, wznoszących się na jednéj, dość cienkiéj i wysokiéj podstawie środkowéj. Naczynia te, napełnione kośćmi, przykrywano nie pokrywami, osobno na ten cel wyrobionemi, jak to zwykle bywa w innych grobach ciałopalnych; lecz skorupami takich samych naczyń potłuczonych. Odkrycie to wzbudziło ożywioną dyskusyą, w któréj brali udział wszyscy obecni na posiedzeniu członkowie.

Komitet drugiego Zjazdu historyków polskich we Lwowie, powołując się na odezwę swoję z m. października 1889 r. (zob. Bibl. Warsz. 1889-o a. zeszyt grudniowy str. 482 i 483), w połowie grudnia rozesłał do pracujących na polu badań historycznych zaproszenie do wzięcia udziału w pracach i obradach tegoż zjazdu. Komitet objawia w swojéj odezwie do spodziewanych uczestników tych prac naukowych, że kto pragnie mieć odczyty lub referaty na zjeździe, powinien zgłosić się z tematem najpóźniéj do dnia 31 grudnia 1889 r. (termin ten przedłużono następnie do 10 stycznia 1890 r.). Najpóźniéj zaś do dnia 31 marca 1890 r. oczekuje komitet nadesłania piśmiennie zredagowanego, jeden arkusz druku nie przekraczającego referatu, który w pismach zjazdu ogłoszonym i pomiędzy wszystkich członków zjazdu wcześnie rozesłanym zostanie. — Porządek dzienny zjazdu, oznaczenie dni, w których się Zjazd odbędzie, jak niemniéj wysokość składki dla uczestników zjazdu ogłoszone zostaną w swoim czasie w dziennikach.—Zgłoszenie uczestnictwa tudzież wszelkie listy i przesyłki adresować należy na ręce sekretarza komitetu, prof. d-ra Oswalda Balzera, Lwów ulica Zimorowicza Nr. 7.

Drugi zjazd prawników i ekonomistów polskich, mając sobie przedstawiony referat d-ra Stanisława Kłobukowskiego, dotyczący wychodźctwa polaków, na posiedzeniu, 14 września 1889 roku, odbytém we Lwowie, uchwalił dla zbadania sprawy wychodźctwa wybór osobnéj komisyi, która wywiązując się z poruczonego jéj zadania, postanowiła poznać, o ile można, szczegółowo stosunki wychodźctwa, kraje, do których wychodźcy zdążają, powody i inne warunki, wśród których odbywa się u nas ten ruch emigracyjny. Wychodźctwo w niektórych okolicach kraju doszło już do znacznych rozmiarów, sprawa więc dotyczy ważnych i doniosłych interesów ludu naszego, tém więcéj, że do wychodźctwa włączono wszelkie stałe przemiany miejsca pobytu, równie wewnętrzne jak zewnętrzne i zamorskie. Emigracya stanowi dziś jedno

z żywotnych zagadnień życia szczególniéj mniéj zamożnych warstw ludności, a względy ekonomiczne i etnograficzne czynią niezbędném dokładne jéj zbadanie. Powodowana temi okolicznościami i mając na uwadze uchwałę drugiego zjazdu prawników i ekonomistów polskich, komisya umyśliła zwrócić się do ludzi dobréj woli, znających stosunki ludu i uprasza wszystkich, którzy posiadają znajomość rzeczy, aby zechcieli jéj dostarczyć szczegółów, dotyczących wychodźctwa ludności naszéj.

Do ułożenia odpowiedzi służyć mają załączone pytania, wskazujące główne dane, na których zebraniu przedewszystkiém zależy. W ten sposób zebrany materyał postara się komisya opracować i przedstawi go trzeciemu zjazdowi.

Odpowiedzi uprasza się nadsyłać pośpiesznie, o ile możności przed d. 1 kwietnia 1890 r. pod adresem: Dr. Józef Kleczyński, profesor umiwersytetu jagielońskiego w Krakowie.

Pytania, dotyczące wychodźctwa:

1) Czy w okolicy znanéj, powiecie, parafii, gminie (prosimy oznaczyć dokładnie granice, na jakie odpowiedź się rozciąga) panuje tendencya wysiedlania się? a to: *a*) bądź na wschód własnéj prowincyi? w okolice? *b*) bądź na zachód? *c*) bądź za morze i mianowicie: do Ameryki Północnéj, do krajów? stanów? do Ameryki Południowéj, do krajów? do innych części świata, do jakich okolic? Czy oprócz wysiedlania się zdarza się peryodyczne szukanie zarobku na dłuższy czas w odalonéj okolicy w kraju? po za krajem zamieszkania, w miejscu lub okolicy?

2) Jakie są rozmiary emigracyi w każdym z tych kierunków, mianowicie, jaka mniéj więcéj liczba osób rocznie emigruje? Kiedy emigracya zaczęła się w stronie, o któréj mowa? Czy wychodźctwo wzrasta czy zmniejsza się w ostatnich 10 latach? w jakim rozmiarze? Czemu należy przypisać zmiany w liczbie wychodźców? O ile można i należy wychodźców rozróżnić: według wyznania, rodzaju zajęcia, wykształcenia, stanu: wolni, żonaci, dzietni, bezdzietni? oraz podać, czy wychodźcy zabierają ze sobą rodzinę, czy ją pozostawiają na miejscu?

3) Czy wychodzą ludzie zamożni: gospodarze, rzemieślnicy, kupcy, czy téż biedni: chałupnicy, komornicy, czeladnicy, wyrobnicy? Jaką przeciętną kwotę pieniężną zwykli zabierać ze sobą wychodźcy?

4) Jakie są przyczyny wychodźctwa? np. niepowodzenie materyalne, niedostateczny zarobek, nadzieja polepszenia lssu, niezaspokojenie potrzeb moralnych, listy emigrantów.

5) Czy wychodźcy przeważnie nie troszczą się o los osób, pozostałych w kraju, czy téż zachowują z niemi stosunki? Czy

biorą pieniądze od krewnych z kraju, czy może przesyłają tymże część swego zarobku? czy te przesyłki są znaczne?

6) Czy wychodźcy zachęcają swoich blizkich do emigracyi, czy od niéj zrażają?

7) Czy istnieją jawne lub tajemne agitacye, zachęcające do emigracyi, biura miejscowe lub agentury zagraniczne?

8) Czy wychodźcy, opuszczając miejsce pobytu sprzedają posiadaną ziemię? komu? i czy niema przytém jakich specyalnych warunków?

9) Czy wychodźcy emigrują z zamiarem powrotu? Czy wracający zwykli powracać z pieniędzmi, czy téż w biedzie i jeśli przywożą zarobek, w jakim on zostaje stosunku do kwot wywiezionych z kraju przy emigrowaniu? Czy wracający z emigracyi wchodzą w dawny tryb życia, czy nie czują się w kraju nieszczęśliwymi, nawyknąwszy do innego życia, czy zachodzi różnica w ich życiu, sposobie bytu, gospodarowaniu, zapatrywaniach?

10) W jaki sposób pragnący emigrować przychodzą do wyboru miejsca osiedlenia? W jaki sposób doprowadzają swój zamiar do skutku, mianowicie jakie obierają drogi emigracyi i czyjéj używają pomocy?

Pytania dla osadników polskich na obczyźnie.

1) Ilu polaków znajduje się w najbliższéj okolicy (stanie, hrabstwie, prowincyi, parafii, gminie)?

2) Od jak dawna w danéj okolicy osiedlają się polacy i z jakiego pochodzą kraju polskiego? Czy tworzą oddzielne polskie osady? nazwy tych osad? Czy są rozproszeni lub pomieszani z innemi narodami i z jakiemi? Kiedy istniał największy prąd osiedlania się w danéj okolicy? Czy ten prąd obecnie zwiększa się czy zmniejsza?

3) Czém się ludność polska głównie zajmuje? Ilu jest rolników-właścicieli, wyrobników, rzemieślników, przemysłowców i w jakich zawodach: robotników w fabrykach, kopalniach, księży, lekarzy, inżenierów, nauczycieli i t. d. Stan moralny i ekonomiczny osadników i robotników polskich.

4) Jaką polacy tam żyjący wyznają religią? Czy oprócz katolików są innego wyznania chrześciańskiego lub mojżeszowego osoby, któreby się przyznawały do polskiéj narodowości?

5) Jaki obszar zajmują polskie osady i czy te osady są skupione lub rozrzucone?

6) Czy rolnicy pracują na własnych gruntach? czy jako dzierżawcy lub najemnicy?

7) Jakie produkty rolne produkują osadnicy polscy i jakie są warunki zbytu i komunikacyi? w jakich zawodach rękodzielniczych lub przemysłowych odznaczają się polacy?

8) Jaka jest cena (z wiktem, bez wiktu) robotnika: wiejskiego—z wiktem, bez wiktu? miejskiego—z wiktem, bez wiktu? fabrycznego—z wiktem, bez wiktu? rękodzielniczego — z wiktem, bez wiktu?

9) Jakie są koszta utrzymania pojedynczego robotnika i jaki sposób życia? jakość pożywienia? Czy osadnicy polscy żyją w rodzinie własnéj, albo przy obcéj rodzinie, albo też stołują się poza domem?

10) Czy wychodźcy polscy nie muszą walczyć z nadmiernemi trudnościami? z powodu niebezpieczeństwa oszukania, wyzyskiwania pracy i t. p., z powodu nieznajomości języka miejscowego, niedostatecznego wykształcenia zawodowego, z powodu konkurencyi?

11) Jaki jest stan zdrowia osadników, czy nie podlegają epidemiom i jakim? Warunki higieniczne i klimatyczne tych osadników?

12) Czy z przytoczonych wyżéj powodów wielu wychodźców polskich marnuje się w nędzy, i czy byłyby środki zapobieżenia temu?

13) Czy dzieci emigrantów przybyłych z Europy, urodzone i wychowane w kolonii, mówią po polsku z rodzicami i między sobą? W jakim języku mówią polacy między sobą w miejscach publicznych, np. w restauracyach, szynkach i t. p.? Czy nie mówią chętnie obcemi językami dla popisu, lub uważając je za coś wyższego? W jakim czasie po przybyciu spostrzegać można znikanie cech narodowych, to jest języka i obyczajów?

14) Czy zdarzają się często małżeństwa mieszane polaków z osobami innéj narodowości i jakim językiem mówią dzieci z tych małżeństw pochodzące?

15) Czy osadnicy polscy mają swój kościół i polskich kaznodziejów?

16) Czy istnieją polskie szkoły i jaki zakres nauki w nich wykładany? czy są polskie wydawnictwa (pisma peryodyczne), czytelnie, książki?

17) Czy istnieją i jakie stowarzyszenia polskie, ich ilość, liczba członków, cele i obroty finansowe. Jak dawno stowarzyszenia istnieją, czy rozwijają się, czy upadają? (O ile można, uprasza się o nadsyłanie statutów i ostatniego rocznego sprawozdania).

18) Czy emigranci polscy poczytują swój pobyt za stały, czy za czasowy, czy powracają do kraju lub przenoszą się w inne obce strony?

W 49-ym N-rze petersburskiego „Kraju“ z dnia 8 (20) grudnia 1889 r. czytamy w Korespondencyi z Wilna sprawozdanie

z N-ru 236 „Wileńskiego Wiestnika“, przedrukowanego w N-rze 45-ym „Kraju“, zawierające wymowny obraz upadku naszéj własności ziemskich na Litwie, które razem z wykazami statystycznemi, ogłoszonemi już poprzednio w „Bibl. Warsz.“ (Zob. Bibl. Warsz. z r. 1889, Zesz. grudniowy str. 478—480) nasuwają szerszym kołom społeczeństwa polskiego poważne uwagi o ruchu polskiéj własności ziemskiéj pod berłem dwóch mocarstw sąsiednich. Jest to bowiem historya upadku naszéj własności ziemskiéj, oparta na wyjętych z urzędowych źródeł cyfrach, a obejmująca epokę niecałych ostatnich lat 26 dla wileńskiéj i grodzieńskiéj gubernii; dla kowieńskiéj zaś—ostatnich lat 6. Najprzód więc w gubernii wileńskiéj ubyło w tym czasie właścicieli pochodzenia polskiego 444, czyli 12%, a że przy tém ubyło razem z nimi gruntów przeszło milion dziesięcin, t. j. 46 prc, zatém z konieczności musiało nastąpić rozdrobnienie się pozostałéj w polskich ręku własności ziemskiéj. Z obszarów straconéj przez szlachtę ziemi, 70 proc. nabyli włościanie, przeważnie w drodze kupna, parcelacyi i t. d.; pozostałe zaś 30 —osoby wszelkich innych narodowości. Ten fakt, nie potrzebujący komentarzy, wymaga tu, dla usunięcia wszelkich wątpliwości, wyjaśnienia, że data 1 maja 1863 roku, wzięta dla zestawienia ówczesnego stanu kraju z obecnym, jest właśnie tą datą, kiedy na mocy Najwyższego ukazu ustały nadal wszelkie służebne stosunki między dworem i poddanymi, którzy w tym dniu właśnie stali się prawnymi właścicielami nadanych im gruntów. Nie ulega więc wątpliwości, że w owych 70 prc. nie mogą się zawierać t. zw. „nadziały“ włościańskie, zawierają się jednak późniejsze dodatki i regulacye serwitutowe, dokonane przez komisye weryfikacyjne, jako też późniejsze nadanie gruntów starowiercom, wolnym ludziom i czynszownikom, aż do roku bieżącego. Środkowe trzyma miejsce gubernia wileńska pomiędzy Kowieńską i gubernią Grodzieńską, w któréj ruch własności ziemskiéj określa się w cyfrach następnych: ubyło właścicieli polskich 3,784, czyli 69 prc., a z nimi razem obszar straconéj ziemi wynosi prawie tyleż, t. j. 68 prc., czyli przeszło milion trzykroćstotysięcy dziesięcin. Z téj ostatniéj liczby nabyli włościanie, przeszło 69 proc. a nieco więcéj 30 proc.—osoby niepolskiéj narodowości. Co zaś do gubernii kowieńskiéj, to wolno przypuszczać, że początek wywłaszczania się szlachty datuje tam dopiero od lat 6. W ciągu tego 6-lecia własność polska poniosła straty następujące: liczba obywateli zmniejszyła się o 116, czyli 1,6 prc., gruntów, sprzedano zaś przeszło 60 tysięcy dziesięcin, t. j, 4,52 prc., z czego również możnaby już wnosić o poczynającéj się dążności do rozdrabniania fortun szlacheckich. Różnica między obszarem straconéj ziemi a nabytéj przez osoby niepolskiéj narodowości wynosi 51 tysięcy dziesięcin, czyli 84 prc., które przeszły w posiadanie włościan. Żałować tylko należy, że powyższy ar-

tykuł „Wil. Wiest.“, podając sumarycznie liczbę nowonabywców „niepolskiego“ pochodzenia i ich gruntów na Litwie, nie podzielił ich podług narodowości, coby już dowodnie wykazało na czyją stronę mianowicie przeważyły się korzyści edyktów grudniowych.

W N-rze 47-ym „Kraju“ znajdujemy analogiczne cyfry, dotyczące gub. mińskiéj i podolskiéj. Pozycye te odnośnie do gub. mińskiéj, wedle urzędowego wydawnictwa miejscowego komitetu statystycznego, przedstawiają się w ten sposób. Do właścicieli większych wyznania katolickiego należy przeszło 2,390 tys. dzies. (55,8% całego obszaru własności większéj), do prawosławnych — 994 tys. dzies. (23,3%), wyznania ewangelickiego—885 tys. dzies. (20,6%), reszta, t. j. 0,3%, należy do żydów i mahometan Oprócz wyszczególnionéj kategoryi, urzędowe wydawnictwo uwzględnia jeszcze mniejszą własność prywatną (t. j. osady, mniejsze do 50 dzies.), których do katolików należało około 38½ tys. dzies., do prawosławnych 58,7 tys. Zestawiając te cyfry z wykazem podobnym za r. 1876, przyjdziemy do przekonania, iż stosunki w ciągu tych lat 12 zmieniły się nieznacznie, obszar albowiem, należący do katolików, uszczuplił się o 349 tys. dzies., czyli w stosunku 1% rocznie. Ten sam objaw względnéj stałości w stosunkach agrarnych daje się zauważyć i w gubernii podolskiéj, gdzie do większych właścicieli pochodzenia polskiego należy jeszcze 1,695 tys. morgów, t. j. około 56 prct. ogółu własności prywatnéj. „Ruch własności ziemskiéj — jest według korespondenta „Słowa“ w gub. podolskiéj nieznaczny i sprzedają głównie nowi nabywcy, którym trudno się zastosować do miejscowych warunków gospodarczych“. Być może, że jedną z przyczyn tego małego ruchu w stosunkach hypotecznych jest nizka cena sprzedażna ziemi, jak np. oblicza korespondent „Słowa“, to przeciętna wysokość renty dzierżawnéj w stosunku do wartości ziemi wynosi przeszło 7½ prct. co jest stanowczo objawem nienormalnym. Wyjaśnienie jednak przyczyn tego znów nienormalnego sotsunku wymagałoby szczegółowego rozbioru.

W okolicach Gdańska znaleziono w ziemi dobrze zachowany szkielet dawno zaginionego zwierzęcia, znanego pod mianem „Bos priscus“, który żył tam współcześnie z mamutem, nosorożcem i renem. — Pod Grimlinghausen odkopano szczątki obozu rzymskiego.

Dzienniki angielskie donoszą, że jednemu z amerykanów, prowadzącemu poszukiwania zabytków w Babilonie, powiodło się odszukać starożytne miasto Nopur, które było niegdyś centralnym punktem najdawniejszéj chaldejskiéj kultury i posiadało wspaniałą świątynię Baala. Przypuszczano dawniéj, iż świą-

tynia ta zbudowana została na trzy tysiące lat przed Narodzeniem Chrystusa przez króla Ur Bau, lecz obecnie wyjaśniono, iż zarządził on tylko restauracyą świątyni, a napisy, odkryte na płytach, wskazują, iż świątynia zbudowana została przez króla Naram Sima na 3750 lat przed Chrystusem. Odkryto również bibliotekę świątyni, złożoną z więcéj aniżeli 2000 glinianych tablic, — większość z nich wszakże uszkodzona i napisy zatarte. Biblioteka obejmuje peryod czasu od 2000 lat przed Chrystusem do Artakserksesa Longimana. W liczbie zachowanych utworów są hymny religijne, ustawy, wiadomości z astronomii, umowy prywatne, chronologia królów, notaty historyczne, uwagi z dziedziny gramatyki i leksygografii i t. p.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Stein „les travaux bibliographiques de 1878—1888.—Katalog rękop. greckich we wrocławskiéj bibliotece miéjskiéj.— J. Korzeniowski „Katalog dokumentów do historyi polskiéj" z bibliotek włoskich. — Katalog bibliot. uniwersyt. peszteńskiego. „Zapiski archeologiczne Tow. Przyjac. Poznańskiego zesz. 5-ty. — Łuczkiewicz „Dwie księgi Hippokratesa".—J. Kowalczyk „Bieg ciał niebieskich".—D. Wierzbicki „J. Heweliusz"; „Herkules Dembowski".—J. Nep. Frank „Mechanika teoret."—M. Baraniecki „ks. T. Kłosa Algorithmus."—J. K. Plebański „Geografia, jej znaczenie w szkole i literaturze". —S. Dickstein „Geometrya elementarna."— „Prace matematyczne" T. II zesz. I-szy.—Dr. Ferd. Źródłowski „Reforma szkół w Austryi".—Łuczakowski „Nauka języka niemieckiego w szkołach galicyjskich". Fr. Pietzker i P. Treutlin „Natłok młodzieży do zawodów naukowych".—Fr. Paulsen „Gimnazyum realne i wykształcenie humanistyczne".—Fr. Pietzker „Humanizm i zadanie szkoły".—A. J. Wiśniakowski „Kolorowane tablice do nauki o rzeczach". „Rocznik Tow. Prz. Nauk. poznańskiego" T. XVI. — E. T. Breiter „Bartosz z Wissemburga".— ks. Pierling „Papes et tzars 1547— 1587". — G. Juritsch „Otto I, apostoł Pomorza."—G. Froehlich „Biskupstwo Chełmińskie i Zakon niemiecki".—„Słownik geograficzny" zesz. 119.

Z pomiędzy dzieł bibliograficznych ogólniejszéj treści zasługuje na szerszą uwagę praca uczonego francuzkiego Steina pod tyt. „Les travaux bibliographiques de 1878 à 1888. (Congres bibliographique international, tenu a Paris du 3 au 7 avril 1888)". Rennes. 1889 8-o m. 104.

„Catalogus codicum Graecorum qui in bibliotheca urbica Vratislaviensi asservantur. Accedit appendix, qua gymnasii regii Fridericiani codices describuntur." Wrocław 1889 8. VIII 90.

Korzeniowski Józef wydał w osobnéj odbitce pracę swoję, drukowaną w VI-ym tomie „Archiwum Komisyi histor."

nakładem Akad. Um. w Krakowie pod tyt. „Catalogus actorum et documentorum. res gestas Poloniae illustrantium, quae ex codicibus manuscriptis, in tabulariis et bibliothecis italicis servatis... deprompta sunt". Krak. 1889 8 o str. LXIV. Jest to spis rozmaitych dokumentów historycznych, znajdujących się w rękopisach archiwów i bibliotek włoskich, a zawierających wiadomości do dziejów naszych.

Catalogus librorum manuscriptorum bibliotecae Universitatis r. scientiarum Budapestinensis, pars I. Budapest. 1889. 8-o l + 303. Znachodzimy tu także rękopisy, odnoszące się do naszych dziejów: oprócz pomniejszych Batorianów (paszkwil na Batorego po sejmie koronacyjnym w Krak. rozrzucony) kilkanaście NN-rów z wieku XVII o (Krzyszt. Warszewickiego „de consilio et consiliariis principis"; Petri Myaskowsky, arcydyjak. Warszawsk. sekret. król. „Comoedia spei" a 1643 Grądzkiego „Historia belli cosacco-polon. conscripta a. d. 1676.

Komisya archeologiczna Tow. Przyjaciół Nauk Poznańskiego wydała V zeszyt prac swoich pod tyt. „Zapiski archeologiczne Poznańskie" (red. Wład. Jażdżewskiego i dr. B. Erzepkiego. Poznań 1890). Zeszyt ten, zamykający pierwszy tom (fol. str. 58) poważnego wydawnictwa archeologów naszych w W. Ks. poznańskiem, zawiera opisy 4-ch wykopalisk wielkopolskich, dokonanych w r. 1888-ym („Naczynie z szybkami z Nacławia" p. dr. Koehlera; „Wykopaliska denarów z w. X — XI w Poznańskiem" p. Wład. Jażdżewskiego; „Wykopalisko w Pogorzelicy" p. dr. Bol. Erzepki „Przedhistoryczne bronzy z Łuszczewa" p. tegoż) oraz pogląd na czynności sekcyi archeologicznéj Tow. Prz. N. w Poznaniu do grudnia 1888-go p. Dr. Koehlera. Do każdego z 22-óch N-rów, które się mieszczą w tym pierwszym tomie, dołączone są tablice, objaśniające dokładnie opisywane wykopaliska Wydawnictwo to stoi na stanowisku dzisiejszéj nauki archeologii i stanowi prawdziwe zbogacenie literatury téj ważnéj gałęzi badań historycznych.

Naukowa literatura polska, a mianowicie literatura sztuki lekarskiéj, zbogaconą została w ostatnim czasie nader cennym nabytkiem w pracy prof. Łuczkiewicza p. tyt. „Dwie księgi Hipokratesa, z greckiego wedle tekstu Littr'ego przełożył i przypisami objaśnił dr. Henryk Łuczkiewicz. Warsz. 1889. Hippokrates, żyjący w 2-iej połowie 5-go wieku przed Chrystusem, pierwszy z uczonych greków oddzielił sztukę lekarską od filozofii, podał pierwszy główne zasady sztuki lekarskiéj i dla tego zasłużył sobie na nazwę twórcy i ojca medycyny. Dwie księgi wy-

dane teraz p. prof. Łuczkiewicza w tłómaczeniu polskiém obejmują: 1) „Przykazanie“ czyli krótkie wskazówki, czego potrzeba, aby być lekarzem. 2) „O powietrzu, wodach i okolicach“ gdzie wykazuje wpływy klimatyczne i telluryczne pod względem hygieny i patologii. Rozbiera tu szczegółowo działanie wiatrów, deszczów, słońca, gór, nizin, wody, pokarmów i rodzajów zajęcia. Opisuje dalej sposób życia, zwyczaje i choroby współczesnych sobie Scytów, Sarmatów, ludów azyatyckich w porównaniu do greckich. 3) „O lecznictwie pierwotném“ jest polemiką o zasady, w której autor zbija jednostronną teoryą szkoły eleackiéj, przypisującéj powstawanie chorób jednéj i téj saméj przyczynie. Hippokrates wskazuje obserwacyą faktów a potępia wszelkie hypotezy teoretyczne zalecając metodę badań lekarskich, która zachowała dotąd swoję wartość niewzruszoną. Tłomaczenie pod względem stylu i języka nie nastręcza powodu do uwag szczególniejszych, chociaż wyraz „lecznictwo“ zamiast sztuka lekarska, ukuty przez naśladownictwo takich dziwotworów, jak „szkolnictwo“ „nauczycielstwo“ i t. p. za zbogacenie języka uważanym być nie może.

Dr. Jan Kowalczyk „O sposobach wyznaczania biegu ciał niebieskich. Praca uwieńczona w r. 1883 nagrodą z fundacyi im. Mik. Kopernika.“ Krak. 1889 r.

Dr. D. Wierzbicki. „Żywot i działalność Jana Heweliusza, Astronoma polskiego.“ Krak. 1888.

Dr. D. Wierzbicki. „Herkules Dembowski, Astronom. Szkic biograficzny“ Krak. 1889.

Jan Nep. Franke. „Mechanika teoretyczna.“ (Bibl. matem. fiz. Ser. IV t. X). Warsz. 1889.

Prof dr. Maryan A. Baraniecki wydał w Krakowie książkę uczonego akademika krakowskiego z w. XVI, Kłosa, pod tyt. „Algorithmus to jest nauka liczby, polską rzeczą wydana przez księdza Tomasza Kłosa 1538 r.“ (Krak. 1889), która w obec mało u nas rozpowszechnionych wiadomości z historyi matematyki, jest bardzo pożądanym nabytkiem dla dziejów szkół i oświaty w Polsce, zwłaszcza, że sz. wydawca w odpowiedniéj przedmowie starał się wszechstronnie objaśnić przedmiot, któremu pracę swoję poświęcił.

Prof. J. K. Plebański wydał w osobnéj odbitce z „Encyklop. wychowawczéj“ znacznie rozszerzony artykuł swój o nauczaniu

geografii pod tyt. „Geografia, jéj znaczenie w szkole i literaturze". Warsz. 1890. 8-o, m. str. 176. Praca p. Pl. składa z 3-ch części. W 1-éj części,(str. 5—100) po wyłożeniu ogólniejszych uwag wstępnych, określających pedagogiczne i dydaktyczne stanowisko geografii w szkole, rozbiera autor zasady metodologiczne oraz opisuje środki pomocnicze, do których programata szkół uciekać się każą. (Globusy, mapy, tellurya, podręczniki, ilustracye i t. p.). W części 2-éj (100—172) przedstawił autor szczegółowo koleje, jakie nauka geografii przechodziła od w. XV-go aż do chwili bieżącéj w szkole i literaturze polskiéj. Przedmiot ten, wskazany tylko bardzo treściwie w „Encyklopedyi wychow." (str. 479—491), rozwinął autor szczegółowo w odbitce, gdzie podał nam nietylko przegląd wszystkich dzieł geograficznych, które się w literaturze polskiéj pojawiły, ale na podstawie rękopisu niewydanych jeszcze tomów „Liber deligentiarum" zregestrował wykłady, które profesorowie akademii jagielońskiéj czytywali o geografii w wieku XVI-ym XVII-ym i XVIII-ym. W ten sposób znachodzimy w pracy p. Pl. najpełniejszy przegląd polskiéj literatury geograficznéj i żałujemy, że autor pracę swoję tylko w 50 egzemplarzach odbić kazał. W części 3-éj (str. 172—176) stanowiącéj zakończenie artykułu encyklopedycznego, podał autor nieco szerszy pogląd swój na znaczenie pedagogiczne gabinetów geograficznych ekskursyi po kraju, zjazdów i kongresów geograficznych, i t. p.

S. W.

S. Dickstein, „Geometrya elementarna" (Odbitka z „Encykl. wychow.") Warsz. 1889, 8-o, str. 1 nl. i 99. W pracy téj przedstawił prof. Dickstein tę gałąź nauki szkolnéj według rezultatów dotychczasowych badań, a uwzględniwszy także w sposób odpowiedni naukę geometryi w literaturze polskiéj, rozebrał zasady, któremi się rządzić każe dzisiejsza pedagogika i dydaktyka.

Pożytecznego wydawnictwa naukowego p. tyt. „Prace matematyczno-ficzyczne", wydawane w Warszawie przez S. Dicksteina, Wł. Gosiewskiego. Edw. i Wł. Natansonów wyszedł zeszyt I-szy tomu II-go. Warsz. 1890, str. 244. W zeszycie tym czytamy 14 rozpraw ściśle naukowych z zakresu matematyki i fizyki, odznaczających się systematycznością naukową i poprawnością wykładu, która podnosi znakomicie pożytek badań tak sumiennych.

Źródłowski Ferdynand dr. prof. „Das Schulwesen u. seine Verwaltung in Oesterriech". Leipzig 1889, str. 84. Autor rozwija w téj pracy swój program reformy szkół niższych, średnich i wyższych w Austryi. Uwagi jego, odnoszące się do zarządu

szkół w Austryi, dowodzą, że autor obznajmiony jest gruntownie z obecnym stanem nauki i dyskusyi na tém polu i dla tego nie można odmówić bystrości i trafności wielu jego spostrzeżeniom; lecz nieusprawiedliwione a namiętne wycieczki jego przeciwko kościołowi katolickiemu, przeciwko ministeryum oświaty w Austryi, oraz przeciwko uniwersytetom galicyjskim, zdradzają niezwykłe rozdrażnienie nerwowe, nie licujące wcale z charakterem poważnéj pracy naukowéj. *A. R.*

Łuczakowski „Die deutsche Sprache an den Mittel-Schulen Galiziens. Lemberg, 1889, str. 54. Jest to odpowiedź poważna na zbyt namiętną napaść dr. Wernera profosora uniwers. wiedeńskiego, głoszącego, że nauczyciele szkół średnich Galicyi zaniedbali naukę języka niemieckiego. Autor w tonie spokojnym i przedmiotowym okazuje bezzasadność czynionych szkołom galicyjskim zarzutów, porównywa dzisiejszy stan z dawniejszym, gdzie pod surową groźbą po niemiecku uczono a nie odnoszono tych rezultatów, które dziś sami ministrowie i różni komisarze ministeryalni uznają i chwalą wreszcie na pocieszenie, zdaje się, prof. Wernera, przytacza p. Łuczakowski fakt, że zwolennicy germanizacyi również nie są zadowoleni z postępów w nauce języka niemieckiego w szkołach wiedeńskich. *A. R.*

Wśród prac, zajmujących w żarliwéj dyskusyi, która się obecnie prowadzi co do pożądanych reform w organizacyi zakładów naukowych i wychowawczych, zasługują na piłniejszą uwagę: *a*) Fr. Pietzker und P. Treutlin „Der Zudrang zu den gelehrten Berufsarten, seine Ursachen und etwaigen Heilmittel“ (Natłok uczącéj się młodzieży do zawodów naukowych, jego przyczyny i środki zaradcze). Brunswik, 1889. *b*) Fryderyk Paulsen „Das Realgymnazium und die humanistische Bildung“. (Gimnazyum realne i wykształcenie humanistyczne) Berlin, 1889, str. 71. Poważny ten uczony, prof. uniwers. berlińskiego, autor znany na polu pedagogiki („Geschichte des gelehrten Unterricht, auf den deutschen Schulen und Universitaeten vom Ausgang des Mittelalters bis zur Gegenwart“ Lipsk, 1885) szuka sposobu racyonalnego porozumienia między szkołą realną, wymaganą przez najgwałtowniejsze potrzeby dzisiejszego społeczeństwa, nie mogącego lekceważyć warunków powszedniego bytu, a szkołą humanistyczną (gimnazyum), które nie przestaje być podstawą wychowania i wszelkich zawodów naukowych Praca prof. Paulsena, z którą się bardzo rachują władze edukacyjne w Niemczech, wywołała równie poważną odpowiedź w broszurze:

c) Fr. Pietzker „Humanismus und Schulzewck“ (Humanizm i zadanie szkoły) Brunświk, 1889 r.

A. J. Wiśniakowski, któremu nauka początkowa zawdzięcza cały szereg zajęć pedagogicznych, zabawek i gier towarzyskich rozpoczął wcale poważne wydawnictwo pedagogiczne pod tyt. „Kolorowane tablice poglądawe do nauki o rzeczach“. Warsz. 1889. Dobre chromolitograficzne tablice ułatwiają kształcenie młodocianych umysłów za pomocą unaoczniania przedmiotów z otaczającego nas świata. Najpierwszemu warunkowi pedagogicznemu, od którego cały pożytek prac takich zależy, mianowicie dokładności i czystości wykonania technicznego, odpowiada staranna praca p. Walkiewicza odbita w zakładzie p. Plewińskiego. Do rysunków na osobnych tablicach dołączone są nazwy przedmiotów aż w 5-ciu językach (polskim, ruskim, niemieckim, francuzkim i angielskim), co uważamy w zasadzie za niepraktyczne, bo taka „babilonia“ tworzy chaos w główkach téj młodzieży, dla któréj praca ta przeznaczona być może. Wydawnictwo pod względem pedagogicznym zostaje pod bystrém okiem znanego pedagoga p. Adolfa Dygasińskiego. Przy tytule: „tablice poglądowe“ uważalibyśmy przymiotnik za niewłaściwy. Czy możnaby sobie pomyśleć „tablice niepoglądowe“?

Oczekiwany dosyć długo „Rocznik Towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego“ Tom XVI-ty wyszedł z druku w Poznaniu 1889, str. XXV i 914 z portretem ś. p. K. Jarochowskiego. Większa część rozpraw, zamieszczonych w tym roczniku, była już znana czytelnikom dr. Ks. Surzyńskiego „Muzyka figuralna w kościołach polskich od XV—XVIII w.“, dr. Wład. Łebińskiego „Materyały do słownika histor. języka i starożytności polsk. I. Militaria“, dr. B. Erzepkiego „Merkuryusz nowy“, dr. Fr. Chłapowskiego „Pogląd na 30-letnią działalność wydz. przyr. Tow.“) Oprócz tego znajdujemy tu źródłową pracę samego Prezesa Tow. Aug. hr. Cieszkowskiego pod tyt. „Materyały do historyi Jagiellonów, czasy Władysława Warneńczyka z archiwów weneckich, Część II (str. 798—887) i Sprawozdanie za rok 1887, (str. 888—914).

Dr. Ernest T. Breiter wydał w osobnéj odbitce z „Przegl. powsz.“ pracę swoję pod tyt. „Bartosz z Wissemburga“ (Szkic historyczny) Kraków, 1889, str. 44. Monografia tego butnego możnowładcy szlązkiego, osiadłego szeroko w Wielkopolsce, popierającego po śmierci Kazimierza W. Piastowiczów mazowieckich przeciwko Ludwikowi, a potém spiracye możnowładcze Wielkopolan przeciwko Małopolanom, wprowadzającym

szczęśliwie Wład. Jagiełłę na tron, jest ważnym przyczynkiem do literatury historycznéj téj epoki, bo chociaż krytyka p. Breiter nie wnika głębiéj w istotne znaczenie podawanych faktów, to sumienny ich chronologiczny przegląd rzuca pewniejsze światło na zawichrzone po śmierci Kazimierza W. przez dłuższy przeciąg czasu stosunki państwa polskiego.

Ks. Pierling, S. J., któremu zawdzięczamy już kilka poważnych prac archiwalnych na polu naszych dziejów w. XVI, wydał w ostatnim czasie ważne dzieło pod tyt. „Papes et tsars 1547—1597, d'après de documents nouveaux". Paris 1889, 8-o, str. 519.

Niemniéj ważném dla gruntowniejszéj znajomości dziejów naszych w wiekach średnich jest dzieło niemieckie dr. G. Juritsch'a „Geschichte des Bischofs Otto I von Bamberg, des Pomern-Apostels, 1102—1139, ein Zeit- und Kulturbild aus der Epoche des Investiturkampfes und des beginnenden Streites der Staufer und Welfen, nach Quellen bearbeitet." Gotha 1889. str. XVI i 479. Dr. J., przedstawiając apostolskie prace Ottona I, bisk. bamberskiego, na Pomorzu ze stanowiska uniwersalnego imperyalizmu niemieckiego, nie uwzględnia dostatecznie zasług Bolesława Krzywoustego w tym kierunku; ale jako pierwsza obszerniejsza praca źródłowa nad tym przedmiotem jest dzieło to ważnym przyczynkiem do dziejów kultury ówczesnego pomorza baltyckiego.

Mniejszéj wartości jest dyssertacya p. G. Froehlicha pod tyt. „Das Bisthum Kulm u. d. deutsche Orden" (Berlin 1889 str. 44) chociaż zasługuje na uwagę przez to, że objaśnia polityczną organizacyą państwa zakonu krzyżackiego, jako „des deutschen Ordenstaates".

„Słownika Geograficznego" zeszyt 119 wyszedł z druku i zawiera, między innemi, artykuły: Słoboda, Słomniki, Słońsk, Słotwina, Słuck, Słucz, Słupca, Służewo, Smardzew.

Nekrologia.

Dnia 13-o grudnia 1889 r. umarł w Warszawie **Władysław Wiślicki**, długoletni sekretarz Warszawskiego Towarzystwa muzycznego, zdolny nauczyciel muzyki nie tylko w szkole, ale i w literaturze. Ś. p. Władysław urodził się w 1829 r. w Warszawie, gdzie, okazując od młodości zdolności muzykalne, kształcił się pod kierunkiem Krogulskiego, Wysockiego a następnie Freyera. W r. 1851 udał się do Paryża, gdzie po dwuletnich studyach z powodzeniem ukończył konserwatoryum muzyczne. Powróciwszy do kraju, rozwinął czynną działalność na polu pedagogiki i krytyki muzycznéj. Pisywał w tym zakresie studya, drukowane w „Bibliotece Warszawskiéj“ (,,O szkole muzycznéj. Studyum w r. 1877 t. 4. str. 76—92. 165—177. b) „Poezya ruchu w muzyce. Studyum estetyczne“. w r. 1878. t. 2. str. 349—375. c) „Wartość pedagogiczna muzyki“ r. 1886. T. 2 str. 342— 364) a doroczne jego sprawozdania z ruchu muzycznego w kraju i Europie, zamieszczane w Kalendarzu Jaworskiego odznaczały się gruntowną znajomością przedmiotu i bezstronnością sądu. Oprócz tego próbował sił swoich jako kompozytor („Polonez“ i „Walc fantastyczny“) i twórca pieśni. Ze szczególném zamiłowaniem oddawał się ś. p. W. nauce śpiewu chóralnego. Towarzystwo muzyczne traci w zmarłym zdolnego i sumiennego nauczyciela oraz jednego z ruchliwszych członków, który ustawicznie przemyśliwał nad rozwojem téj instytucyi; kraj zaś traci w zmarłym nader pożytecznego obywatela. Cześć jego pamięci.

Dnia 21-o grudnia 1889-o r. zmarł w San Remo hr. **Tomasz** Ordynat **Zamoyski**, zasłużony wielostronnie na polu ekonomicznéj i filantropijnéj pracy publicznéj obywatel, wspaniałomyślny opiekun nauk i literatury krajowéj, długoletni Członek-Redaktor Biblioteki Warszawskiéj, Prezes Dyrekcyi Towarzystwa Kred. m. Warszawy, którego imię spotykaliśmy zawsze związane ze sprawami naszego kraju. Ś. p. Tomasz Z. mieszkał stale w kraju i od prac publicznych nigdy się nie usuwał, ztąd długi byłby szereg instytucyi, w których zmarły czynny brał udział. — Ś. p. Tomasz Franciszek Saryusz hr. Zamoyski urodził się dnia 18 stycznia 1832-o; w r. 1869-ym poślubił hr. Maryą Potocką, córkę Maurycego i Ludwiki z Bobrów hr. Potockich. Pozostawił pięcioro dzieci najmłodszą z nich jest córka Natalia, następnie Maurycy Klemens, który przez śmierć ś. p. Tomasza zostaje ordynatem. W téj chwili, licząc zaledwo 18 lat wieku, odbywa studya swoje w Niemczech. Śmierć ś. p. Tomasza okryła grubą żałobą nietylko bliższą rodzinę, ale wszystkich tych, co tę zacną postać obywatelską bliżéj znali. Cześć pamięci szlachetnego człowieka i zacnego obywatela!

ZAPROSZENIE DO PRZEDPŁATY

NA ROK

1890.

Biblioteka Warszawska, pismo miesięczne, poświęcone naukom, literaturze, sztukom pięknym i sprawom społecznym, rozpoczyna z rokiem 1890-ym pięćdziesiąty rok swojéj działalności naukowo-literackiéj, i wychodzić będzie, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca w zeszytach 10-arkuszowych.

Półwiekowe usilne starania Redakcyi „Biblioteki Warszawskiéj“ o utrzymanie wszechstronnéj peryodyczności naukowéj w literaturze polskiéj, na gruncie cywilizacyi i oświaty narodowéj we wszystkich kierunkach pracy umysłu ludzkiego, uwalniają nas od szczegółowego rozbioru i zachwalania szerokiego i urozmaiconego programu pisma naukowego, który zresztą powszechnie jest znany. Redakcya „Biblioteki Warszawskiéj“, nie hołdując krańcowym teoryom, które miewają zwykle więcéj chwilowego rozgłosu, widzi podstawę rozumnego postępu we wszechstronném badaniu zarówno zjawisk świata duchowego jako i fizycznego, z uwzględnieniem przedewszystkiem potrzeb społeczeństwa naszego. Zasadom tym, począwszy od 1-o tomu, który wyszedł w 1-szym kwartale roku 1841-o, pozostała Redakcya „Bibl. Warsz.“ wierną wśród rozmaitych okoliczności i warunków pracy publicystycznéj.

Program „Biblioteki Warszawskiéj“ rozkłada się na działy następujące:

I. Z dziedziny **filozofii**: rozbiór nietylko systemów, ale i najnowszych kierunków badań filozoficznych.

II. W zakresie **historyi** i **geografii**: obok dziejów powszechnych, dzieje własnego narodu, oraz innych narodów słowiańskich, w ich indywidualnym rozwoju z uwzględnieniem warunków geograficznych.

III. Z nauki **statystyki**: ważniejsze kwestye społeczne i ekonomiczne.

IV. **Nauki przyrodzone** w ich rozwoju i praktycznem zastosowaniu.

V. **Pedagogia** i **filologia** wraz z **lingwistyką**, ze szczególną uwagą na sprawy szkolne.

VI. **Literatura** i **sztuki piękne**: historya literatury, utwory poetyczne i prozaiczne (powieść, dramat, poemata).

VII. Korespondencye w szczegółowych kwestyach naukowych.

VIII. Sprawozdania i **krytyki** z piśmiennictwa polskiego i zagranicznego.

IX. Kronika zagraniczna o ruchu umysłowym, artystycznym, społecznym i ekonomicznym w głównych ogniskach życia publicznego.
X. Kronika miesięczna o sprawach bieżących: politycznych, społecznych, naukowych, artystycznych i ekonomicznych.
XI. Wiadomości bibliograficzne z bieżącéj literatury polskiéj i zagranicznéj.
XII. Nekrologia.
XIII. Ogłoszenia.

☞ WARUNKI PRENUMERATY. ☜

„Biblioteka Warszawska“ kosztuje: W guberniach Królestwa i Cesarstwa, oraz we wszystkich krajach, należących do związku pocztowego:

Rocznie	rs.	10	kop. —
Półrocznie . . .	„	5	„ —

w Warszawie zaś:

Rocznie	„	9	„ —
Półrocznie . . .	„	4	„ 50
Kwartalnie . . .	„	2	„ 25

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o przesyłanie prenumeraty wprost do **Redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, Nowy-Świat Nr. 41**, gdyż to zapewnia najlepiéj akuratną ekspedycyą pisma. Równocześnie upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty, ponieważ do tego stosować będziemy ilość drukujących się egzemplarzy.

Przyjmują prenumeratę także wszystkie księgarnie w Królestwie i Cesarstwie.

Opłata za ogłoszenia w „Bibliotece Warszawskiéj“ wynosi:

Za ogłoszenie, zapełniające	1	całą stronicę	formatu Bibl. Warsz	rs.	5
„ „	1/2	stronicy	„	„	3
„ „	1/4	„	„	„	2

Redakcya „Biblioteki Warszawskiéj“, zamykając V-tą seryą wydawnictwa, dodawać będzie w ciągu roku bieżącego w osobnych arkuszach Systematyczne Zestawienie przedmiotów, zawartych w 60-iu tomach ostatniéj seryi Bibl. Warsz. z lat 1875-go do 1889-go t. j. w tomach 137-ym do 196-go włącznie. Spis zaś artykułów, które drukować będziemy w rozpoczynającym się Roczniku 50-ym, może być dołączony dopiero w grudniu r. b. do tomu 200-go ogólnego zbioru, jako dodatek uzupełniający bibliograficzny wykaz treści całéj seryi V-téj.

Praca ta razem z wydaném w r. 1875-ym w Krakowie przez P. Karola Estreichera „*Zestawieniem przedmiotów*“ z pierwszych 136-iu tomów z lat 1841-go do 1874-go włącznie, stanowić będzie dokładny Spis bibliograficzny zasobów naukowych, zawartych w tém półwiekowém wydawnictwie. **Redakcya.**

Wojna Rzeczypospolitéj polskiej z Turcyą

w latach 1672 i 1673-im

PRZEZ

Konstantego Górskiego.

Upadek Kamieńca.—Pogrom Tatarów.—Zwycięztwo pod Chocimem.

W pięćdziesiąt z górą lat, po straszliwym napadzie hord tureckich, które się rozbiły o mężną pierś rycerstwa polskiego i kozackiego pod Chocimem w r. 1621-im, przedsięwzięli Turcy drugą niemniej groźną wyprawę do Polski. Z potężną armią, którą w roku 1621 Polacy wyprowadzili w pole i z tak śmiałym wodzem, jakim był Chodkiewicz, mogli oni Turków na wszystkie wiatry rozproszyć i do nogi wytępić, ale gdy bohatera z pod Kirchholmu, jakby jakiego niedorostka, opatrzono w radę wojenną, walka musiała się skończyć na biernéj obronie. Zamiast świetnego zwycięztwa, które byłoby koniecznem następstwem wrodzonéj naczelnemu wodzowi śmiałéj inicyatywy, Polacy, odbijając jedynie razy nieprzyjaciela, odnieśli tryumf tylko połowiczny. Turcy ponieśli wprawdzie znaczne straty, ale jeśli nie zwyciężyli, to i zwyciężonymi nie zostali.

Od czasu ostatniéj wojny stosunek między Turcyą a Polską zmienił się znacznie na niekorzyść Polski.

Lubo Turcya w skutek swawoli janczarów, oraz buntu gubernatorów prowincyi, ulegała niekiedy okropnym wstrząśnieniom, a intrygi dworskie i zepsucie w sferach urzędniczych zapowiadały zbliżający się koniec jéj potęgi; to przygasający ten wulkan wybuchał jeszcze od czasu do czasu straszliwym żarzewiem, przejmującym śmiertelnym dreszczem sąsiednie narody. Skoro tylko wstąpił na tron

żądny sławy i przedsiębierczy Sułtan, lub też stanął u steru rządu zdolniejszy wezyr Wielki, wszystko wracało w karby porządku i posłuszeństwa a piekielna machina państwowa, do robienia podbojów utworzona, zaczynała funkcyonować na nowo, ciskając krocie tysięcy wojowników, którzy nieśli pożogę, śmierć i spustoszenie w ziemie sąsiednich narodów z zamiarem ich ujarzmienia i zagłady.

W chwili, o której mówić chcemy, lubo Mahomet IV. nie przenosił miary zwyczajnego człowieka, marzył jednak o podbojach wielki zaś wezyr jego, Achmet Kiepryli syn i następca mądrego Mahometa Kieprylego, nietylko wykazał wysokie zdolności administracyjne i niepospolitą bystrość polityczną, ale i w zawodzie wojskowym, przy zdobyciu Kandyi, złożył dowody wielkiéj zręczności, wytrwałości i energii. Po tém świeżém zwycięstwie nad kwiatem rycerstwa europejskiego, przyjęła znowu Porta Ottomańska groźną postawę i zaczęła marzyć o nowych zdobyczach, a Polska, osłabiona i omdlała po niedawnych burzach i wstrząśnieniach „potopu" wojennego, dręczona rozterkami wewnętrznemi, zdała się jéj dojrzałym owocem, po który dość było wyciągnąć rękę, aby go zerwać i spożyć [1]). Nie mówiąc o coraz większym upadku bohaterskiego ducha, miłości ojczyzny, gotowości do poświęceń, a nawet moralności w klasie rządzącéj, na któréj Rpta byt swój opierała, najważniejszą różnicę w obecném jéj położeniu, w stosunku do stanu przed poprzednią wojną stanowiły: panujący teraz rozdźwięk, niezgoda, brak jedności i partye, które od czasu wolnéj elekcyi tworzyły się przy każdym nowym obiorze króla. W chwili obecnéj, istniały w Rzptéj dwa stronnictwa. Do jednego z nich należała cała prawie szlachta z królem na czele, którego obrała i pokochała niezmiernie, znalazłszy w nim prawdziwego „Piasta", pana dostępnego i bez dumy, a przytém panującego, który nie będąc ani politykiem ani wojakiem, nie mógł myśléć o reformach i wojnie, a więc ani jéj wolnościom ani kieszeni nie zagrażał. Do drugiéj partyi, zwanéj malkontentami, zaliczali się ci, co popierając kandydata z ramienia rządu francuzkiego i nie osiągnąwszy zamierzonego celu, nie mogli się pogodzić z miernotą, jaką był król Michał na tronie. Partya ta była wprawdzie mniéj liczną, ale na jéj czele stały takie osobistości jak: Prymas Prażmowski, Marszałek i hetman w. k. Sobieski, wojewoda krakowski, Aleksander Lubomirski, wojewoda kijowski, Jędrzéj Potocki, podskarbi kor. Andrz. Morsztyn i w. i.

Walka między stronnictwami tamowała zupełnie bieg spraw

---

[1]) Kochowski Wespazyan „Roczników polskich, Klimakter IV (Z łac. tłómaczył 1-szą 2-gą ks. J. D. 3-ią do 5-téj Aug. Mosbach. Lipsk 1853. Wyd. J. N. Bobrowicza). Str. 74 opierając się na liście Panajota utrzymuje, że już od ukończenia wojny o wyspę Kandyą przygotowywali Turcy wojnę przeciwko Polsce.

publicznych. Chcąc dowieść monarsze niedołęstwa, oraz utrudnić mu i omierzić panowanie, malkontenci zrywali lub zabagniali sejmy, wprowadzając pod obrady exorbitancye publiczne, albo też sprawy prywatne a usuwając interesa najważniejsze, a nawet takie, od których zależało bezpieczeństwo i całość Rptéj. Ile razy przychodziła na porządek dzienny sprawa o obronie od Turków, to albo zakrzykiwano mówiącego, albo wszczynano jakieś kłótnie i zwady, lub też podnoszono kwestye drugorzędne i nawet natury zupełnie prywatnéj, a nareszcie sejm zrywano. Panowała też między rycerstwem jakaś obojętność i niewiara w możebność téj wojny z Turkami, krążyły o niéj rozmaite niedorzeczne wieści, a między innemi jakoby to był wymysł malkontentów dla postrachu króla i szlachty i dla wyciśnienia poborów. Że Porta już od kilku lat groziła wojną, ale jéj nie rozpoczynała, poczęto lekceważyć pogróżki i ostrzeżenia nawet i teraz, gdy już oczekiwania i obawy miały się urzeczywistnić, uparcie nie wierzono najpewniejszym relacyom i wiadomościom, nietylko przez hetmana W. K., ale nawet i od tronu podawanym.

Ważną też różnice stanowiło i to, że gdy podczas poprzedniéj wojny, kozacy stali po stronie polaków, dziś tylko niewielką ich część udało się pozyskać dla sprawy Rptéj. W nieuspokojonéj jeszcze należycie Ukrainie, po burzach i wstrząśnieniach, przez bunty Chmielnickiego spowodowanych, zjawił się nowy agitator w osobie Doroszenki. Idąc w ślady swego poprzednika, dążył on także do autonomii, a gdy téj osiągnąć nie mógł, do oderwania Ukrainy od Polski; niepolegając zaś na własnych siłach oddał się pod protekcyą Turcyi. Otrzymawszy z jéj rozkazu pomoc tatarów, wystąpił w r. 1667, w liczbie około 100,000 (80,000 tatarów i 24,000 kozaków) przeciw Polsce. Sobieski, hetman polny naówczas, bez zaciągów i pieniędzy, miał ratować Rptą. Nieszczędząc własnéj kieszeni, zaledwie w 8,000 wojska zajął stanowisko pod Podhajcami, a dokazując cudów waleczności i wytrzymawszy oblężenie ogromnych sił nieprzyjaciela od 4-go do 16-go października, gdy nieprzyjaźny Doroszence Sierko z Zaporożcami rzucił popłoch na Tatarów przez najazd Krymu, wymusił na ordzie i kozakach układ przyjaźnych na przyszłość stosunków. Sejm jednak z 1668 roku, ani tych układów nieutwierdził, ani podatku na wojsko nie uchwalił [1]).

Ukraina i znaczna część Podola pozostawały faktycznie w rękach Doroszenki. Sobieski radził ująć go sobie i postąpionemi według jego zamiaru kondycyami do poddania się królowi i Rptéj

---

[1]) Ambr. Grabowskiego „Ojczyste Spominki w pismach dziejów dawnéj Polski". Daryusze, relacye, pamiętniki i t. p. Krak. 1845 T. II str. 334

pociągnąć. Rada ta jednak nie zgadzała się z widokami dworu wiedeńskiego [1]), wywierającego przeważny wpływ na rządy króla Michała, bo i podkanclerzy Olszowski, który kierował polityką państwa w imieniu słabego króla, myślał, że postępuje arcyzręcznie stawiąc przeciwko Doroszeńce rywala w Haneńce [2]), człowieku małego znaczenia i wpływu. Mianowanię Haneńki hetmanem pobudziło Doroszeńkę do nowych nieprzyjaźnych przeciwko Rptéj kroków. Szczęście jednak tą razą przechyliło się na stronę polaków: Sobieski w r. 1671 odebrał kozakom częścią siłą, częścią przez dobrowolne poddanie się: Umań, Bracław, Winnicę, Mohylew, Raszków, Ściana, Stanisławów [3]), i byłby niezawodnie i pozostałą część Ukrainy do posłuszeństwa przywiódł; ale wojsko jego kor., przez wydzielenie załóg do miast i zamków znacznie uszczuplało, wojsko zaś litewskie, na którém nadzieję pokładał, zamiast przyjść w pomoc, zwinięte zostało [4]).

Porta Ottomańska, po poddaniu się Doroszeńki, uważała Ukrainę za swą własność a wkroczenie polaków na jéj terytoryum za obrazę swego majestatu. Ztąd wojna 1671 roku i powodzenie Sobieskiego zdecydowało ostatecznie Turków, do przyprowadzenia, już dawniéj powziętych względem Polski planów, do skutku [5]).

Dolewał téż oliwy do ognia pełniący wówczas obowiązki posła w Konstantynopolu, po śmierci Radziejowskiego, Wysocki, który przy każdéj zręczności stawiał się ostro i nawet z pogardą względem Porty i jéj pierwszego Wezyra [6]). Na posłuchaniu 30 maja 1671 r. oznajmił on Porcie o wstąpieniu na tron króla Michała a na audyjencyi 26 lipca tegoż roku wymagał, ażeby do nowéj kapitulacyi o pokoju wciągniętą była i Ukraina, jako prowincya Polska. W. Wezyr odpowiedział, że nie ma nic przeciwko pozostaniu Ukrainy przy Polsce; ale nie może odmówić pomocy Doroszeńce, który się oddał pod protekcyą Turcyi. Wysocki w uniesieniu wykrzyknął: że chociażby król i Rpta przystała na ustąpienie Ukrainy, to on, jako szlachcic polski, nigdy na to nie pozwoli [7]). Nie przestraszył jednak tą pogróżką, ani przekonał o konieczności pokoju Porty Ottomańskiéj, która już postanowiła wojnę i rozpoczęła przygotowania do niéj [8]).

---

[1]) Ambr. Grabowskiego „Ojczyste Spominki w pismach dziejów dawnéj Polski". Dyaryusze, relacye, pamiętniki i t. p. Krak. 1845 T. II str. 334.

[2]) Konfederacya gołąbska (X. L. Wyrwicza). Poznań 1853. Str. 52.

[3]) Ibid. str. 51.

[4]) Ojczyste Spom. T. II. 341.

[5]) Hammer „Histoire de l'Empire ottomana trad. d'Allem." p. Heller. Paris. 1838. T. LXI, str. 380.

[6]) Ojczyste Spom. II. 189.

[7]) Hammer l. c. 364.

[8]) Ib. 365.

Nastąpiła potém wymiana listów między sułtanem i królem. Lecz gdy sułtan wystawiał siebie za obrońcę uciśnionego narodu ruskiego i za protektora Doroszeńki, a król polski nazywał kozaków buntownikami i utrzymywał, że Ukraina jest jego ziemią dziedziczną, porozumienie i zgoda nastąpić nie mogły.

W radzie królewskiéj wieść o nieprzyjaźnych zamiarach Turków, zrodziła wielką trwogę i niepewność, co począć. Niektórzy radzili: Ukrainy, która tyle krwi kosztowała, ustąpić i tą ofiarą pokój i spokojność okupić [1]). Zważywszy jednak, że podobnego ustępstwa nigdyby naród nie przebaczył królowi, tudzież i to, że do wojny żadnéj gotowości nie było, postanowiono zwołać sejm na 24 stycznia 1672 roku [2]).

Posiedzenia izby poselskiéj rozpoczęły się na tym sejmie od wrzawy i kłótni, z powodu obioru marszałka, które kilka dni trwały. Gdy nareszcie zgodzono się na wybór Marcina Oborskiego, starosty liwskiego, rozpoczęły się zwady pomiędzy kanclerzem W. litewskim i podkanclerzym koronnym Olszowskim, o łaskę i względy króla, a nim się te swary uciszyły, powstał zacięty spór zupełnie prywatnéj natury pomiędzy Michałem Działyńskim, miecznikiem ziem pruskich, a Branickim marszałkiem nadwornym. W tych zwadach i kłótniach czas uchodził, a z ich powodu sprawa obmyślenia obrony Rptéj, dla któréj właśnie sejm zwołano, pod obrady trafić nie mogła. Zabierali wprawdzie głosy celniejsi senatorowie, atoli nie w kierunku, prowadzącym do jedności i zgody. Prymas wyrzucał w żywe oczy królowi jego nieudolność do rządów i radził mu zrzec się korony, a kanclerz W. litewski srożył się na podkanclerzego koronnego. Udało się nareszcie królowi uspokoić strony powaśnione i stan rycerski nakłonić do przedłużenia sejmu, który już dobiegał zakreślonego terminu sześciotygodniowego.

Przed uspokojoną w ten sposób izbą poselską odczytano votum Sobieskiego, który nie mogąc stanąć osobiście na sejmie z powodu choroby, wyłożył je na piśmie [3]). Z rad, w tém votum zawartych, okazuje się, że Sobieski mało liczył na oporność nieoprawionego i nieopatrzonego Kamieńca i wolał stawić czoło nieprzyjacielowi w otwartém polu, gdzieś za Dniestrem, podobnie jak to uczyniono w r. 1621. Stany przychylnie przyjęły votum Sobieskiego i zgodziły się na zaciąg 34,000 wojska, oraz na podatek, dla utrzymania tych żołnierzy niezbędny. Atoli przy wyznaczeniu stopy poborowéj, głosy się podzieliły i pierwej nim nastąpiła zgoda, Górzyński wojewodzic rawski sejm zerwał [4]), a gdy marszałek sejmowy umawiał izbę po-

---

[1]) Konf. gołąbska, str. 52.
[2]) Ibid. 55.
[3]) Ibid. pg. 64.
[4]) Konfed. gołąbska, str. 66.

selską, ażeby głos Górzyńskiego za nieważny uznała, oparł się temu starosta Bracławski, Piaseczyński, a posłowie podolscy podtrzymali go skutecznie t. j. ci właśnie, którzy najwięcéj na niebezpieczeństwo i zgubę narażeni, w kilka miesięcy późniéj pod jarzmo tureckie popadli [1]).

Po tym niedoszłym sejmie został zwołany jeszcze jeden na 18 maja. Na ten sejm przybył Sobieski, ale nie sam, lecz w orszaku 13 chorągwi jazdy. Przyjazd jego z takim pocztem napełnił trwogą posłów przeciwnéj partyi a nawet i samego króla, przy którym straże podwojono. Żołnierze hetmańscy, rozłożeni w okolicach Warszawy, dopuszczali się swawoli, a oficerowie i towarzystwo, mając zagrzane głowy, wdzierali się na posiedzenia sejmowe i przeciwnym wodza swego posłom mowę przerywali, słowa podchwytywali i z nich szydzili, a na innych odzywali się z pogróżkami [2]).

Wypadałoby tu obwinić hetmana o ciężkie przewinienie przeciwko dyscyplinie wojennéj, gdyby było rzeczą dowiedziono, że wojsko, którego użył, chociażby dla postrachu swych przeciwników, należało do Rptéj, ale w tym właśnie względzie zachodzi wątpliwość. Z awizów z Warszawy [3]) wypada atoli wnosić, że to były chorągwie jego własne i jego politycznych przyjaciół, mianowicie wdów: krakowskiego, ruskiego i kijowskiego. W Polsce zaś każdy szlachcic mógł utrzymywać poczty nadworne i używać ich do swych celów.

Ten drugi sejm 1672 r. został, podobnie jak pierwszy, zerwany, ale już przez stronnictwo królewskie, które będąc zniecierpliwione upartą opozycyą malkontentów, wymogło na królu zwołanie pospolitego ruszenia, jako jedynego środka ratowania ojczyzny, tronu utwierdzenia i niezgód wewnętrznych umorzenia [4]). Chociażby jednak ten sejm, który się skończył 30 czerwca, doszedł do pożądanego skutku i obronę uchwalił, byłaby ona już spóźnioną, albowiem przy powolném ściąganiu się żołnierstwa polskiego, a szczególnie w braku pieniędzy, które tak prędko zebrane być nie mogły, nie zdołałoby ono podążyć na spotkanie nieprzyjaciela, który już na wiosnę 1672 r. był zupełnie przygotowany do wojny, a 5-go czerwca wyruszył w pochód.

Mahomet IV, podobnie jak niegdyś Osman II-gi, zgromadził na tę wojnę siły z całego swego cesarstwa. Były tu lenne drużyny spahów Anatolii, Karamanii, Siwaszu, Diarbekiru, Mareszu, Halebu, Adany, Rumelii i Bośnii; byli też janczarowie i spahowie czerwonéj i żółtéj chorągwi, do których późniéj przyłączyły się zwykłe kontyngensy Mułtan i Wołoszy, oraz Chan Krymski i Doroszenko.

24-go marca odbyła się zwykła przed wojną ceremonia rozdawania wyższym urzędnikom Porty chałatów, szabel i jataganów.

---

[1]) Ibid. pg. 69.—[2]) Ib. pg. 105.—[3]) Akta histor. do objaśnienia rzeczy polsk. służące. T. 11 Pisma do wieku i Spraw Jana Sobieskiego. T. I Cz. 2-ga od 1672—1674. Krak 1881. l. c. pg. 982. — [4]) Konf. gołąbska pg. 201.

Potem 30 kwietnia, po wywieszeniu przed dworcem Cesarskim końskiego ogona, przeniósł się Sułtan do obozu, a 5-go czerwca udał się w pochód [1]) i kierując się na Jamboli, Aidos, Babadag, przybył do Isakczy. Tu zbudowano most na 700 szkutach, sprowadzanych z Gradyski i Pożegi, po którym armia turecka Dunaj przebyła [2]). Przeprawiwszy się przez rzekę, wyruszył cesarz do Jass, gdzie rozdał janczarom, spahom i topedżyjom zwykłe podarki, w ilości 1000 piastrów na każdego żołnierza dla zagrzania do gorliwości służebnéj i podniecenia męztwa, [3]) a w dalszéj ku Chocimiu drodze, odebrał przyjemną wiadomość o klęsce, zadanéj przez tatarów i kozaków Polakom pod Ładyżynem [4]).

Już w zimie z 1671 na 1672 r. zaczął dogrzewać Doroszenko załogom polskim, siedzącym po zamkach na Ukrainie i Podolu, a załogę truścianiecką prawie w pień wyciął. Trzymali się jednak Polacy, pomimo skąpego zaopatrzenia w żywność i potrzeby wojenne aż do lata. Gdy atoli cała horda tatarska wspólnie z Kozakami wystąpiła w pole, niepodobna było ze słabemi siłami pochodu jéj powstrzymać i należało jak najspieszniéj na Rusi i do Polski ustępować [5]). Zamiast tego—kasztelan podlaski Łużecki, naznaczony przez Sobieskiego, na żądanie króla, regimentarzem, pomimo ostrzeżeń Marszałka, ażeby się miał na baczności, bo to nie zagon a wyprawa, wdał się w bitwę [6]) i został 18 lipca pod Ładyżynem zniesiony [7]). Wojsko polskie poniosło znaczne straty. Zginął cały regiment pisarza polnego K-go i regiment Linkhauzow tudzież innych 20 rot z regimentów Dönhofa i Bokuma [8]).

---

[1]) Hammer l. c. pg. 376. [2]) Ibid. 381. [3]) Ibid. pg. 382. [4]) Ibid. 383. [5]) Ojcz. Spom. T. II. pg. 166. [6]) Akta l. c. pg. 1030. [7]) Ciekawy jest szyk bojowy, przyjęty przez wojsko polskie pod Ładyżynem.

Lewe skrzydło:	*Front*:	*Prawe skrzydło*:
Pułk K-cia JM. Ostrogskiego;	Tabor zaporożski;	Pułk JMP. W-dy Kijowskiego i JMP. W-dy Bracławskiego.
w posiłku:	*w rezerwie*:	*w posiłku*:
Pułk JMP. Marszał. W. k.; na 2 partye	Pułk króla Imci na 2 partye	Pułk k-cia JM. Hetm. Polnego na 2 partye
Tabor:		*Tabor*:
Dragoński regiment Pisarza polnego i regiment Starosty Dolińskiego.		Dragoński regiment P. generała Kątskiego i Regiment p. Markicza.

W porównaniu z szykiem, w którym stały wojska przed Bracławiem 26 sierpnia 1671 r. pod komendą Sobieskiego, ta zachodzi różnica, że rezerwa znajdująca się za frontem, nazywa się korpusem, za którym dopiero w trzeciej linii znajduje się rezerwa, nazwana odwodem i to jest właśnie normalny szyk polaków z właściwą terminologią. Kochowski l. c. str. 189 utrzymuje, że Łużecki był wielki gorączka, co nie przystało wodzowi i człowiek porywczy. [8]) Ojcz. Sp. T. II 166.

Gdy Turcy zbliżyli się do Chocimia i obozowali w odległości jednéj mili, nad jakimś strumykiem, załoga Zwaniecka opuściła zamek, który z rozkazu sułtana został natychmiast zajęty [1]).

Po przybyciu pod Chocim, przystąpiono do budowy mostu na Dniestrze. Dla osłony téj roboty przeprawiły się 7-go sierpnia na drugą stronę rzeki na promach oddziały Kalila baszy Oczakowskiego i Murada baszy Kungrskiego. Gotową już przeprawę zabezpieczono szańcem przedmostowym i bateryami, usypanemi na prawym brzegu Dniestru. A gdy to wszystko ukończono, przeszli janczarowie, a za niemi i sam sułtan przez rzekę i już na ziemi polskiéj, na polach Rudzkich i Chodorowskich stanął obozem [2]).

15 sierpnia kajmakan, wezyrowie, baszowie Bośnii i Halebu, w towarzystwie kilku alajbegów i komendanta artyleryi, rozpoznawali położenie twierdzy kamienieckiéj, a 18-go cała armia turecka, po dwu miesiącach i 11 dniach czasu i 38 dniach marszu przybyła pod Kamieniec.

Dawna twierdza kamieniecka stoi, na skalistym stożkowatym półwyspie [3]), utworzonym przez rzekę Smotrycz, która płynąc z północy na południe, wpada do Dniestru. Tylko wązki pasek ziemi, w kształcie przesmyku łączy Kamieniec z lądem, z innych zaś stron oblewa go woda rzeki Smotrycza, z niezmiernie stromemi, a niekiedy pionowo jak ściana podnoszącemi się brzegami. Brzegi te przedstawiają jakby naturalne szkarpy i przeciwszkarpy tak, że z zawierającém się między niemi łożyskiem rzeki, do 200 sążni szerokiém, tworzą kolosalną fossę, zabezpieczającą miasto od eskalady i szturmu.

Kamieniec był atoli nietylko twierdzą samorodną, przez dziwny cud natury utworzoną, opasywały go prócz tego dokoła potężne wieże, baszty i mury, przez które dwa tylko wejścia, z przesmyka i z za rzeki prowadziły do miasta. Za przysionki niejako do tych wejść służyły dwie bramy, zwane: ruską i lacką. Pierwsza z nich (E), znajdowała się w południowo-zachodnim kącie miasta; druga zaś (D) z zachodniéj równie strony, ale na północ od pierwszéj. Imieniem tych dwu bram nazywały się całe forty, czyli kompleksy wież i innych budowli, obok siebie stojących, o grubych murach, podnoszących się z łożyska rzeki i spojonych z urwistemi ścianami skał, podpierających twierdzę kamieniecką. Ogień z luk armatnich i strzelnic, w które były opatrzone te kasztele, mógł być skierowany, czy to do obrony przejścia przez rzekę, czy też do bokowego ostrzeliwania prze-

---

[1]) Hammer l. c. pg. 383. [2]) Ojcz. Sp. T. II, st. 167.

[3]) Załączony tu plan Kamieńca jest kopią z kopii, udzielonéj mi przez p. doktora Rollego. Oryginał był sporządzony przez Cypryana Tomaszewicza, radnego m. Kamieńca, podobno ormianina, w r. 1672, dla biskupa krakowskiego i kosztem jego wydany. W opisaniu Kamieńca korzystałem też z pracy p. Rollego pod tytułem „Zameczki Podolskie“, a prócz tego zwiedziłem osobiście szczegółowo miejscowość samą.

KAMIENIEC PODOLSKI

CAMENECVM Civitas Podoliae opere mirando naturae in alte lapide montis instar eminentis consilio sita primeruntq; proxi-
duque sed amoena valle flumine et inaccessibilibus a contravetris per circuitum munita a Constantino et Georgio Morsztatowicze Du-
cibus Podoliae ab annis circiter 300 condita, horum post decessum ad ditionem Poloniae Regno, incolis primo nativis Ruthenis post-
Polonis et Germanis ad extremum Armenis inhabitata ob eamque varietatem incolarum ritres seorsivas jurisdictiones
parit et Incendium praebuit Principibus, veritatis enim ne cives et loci naturale minime recalitrarent Arcem veterem
tum et novam, omnium judicio manifestum periculum eventus ipso probavit, quae reperierunt civibus cives nunquam justo destitue
praesidio potentiam Turcicam sustinere non volentes eam civitatem secum ad electionem traxerant.

Quam Turcae ingressi die 29 Augusti 1672

Notarum explicatio

A. Arx nova. B. Arx vetus. C. Fortalitium primis civile.
D. Porta Lechica. E. Porta Ruthenica. F. Ruthenorum et Sorum
G. Pratorium et Forum Armenicum
H. Ecclesia Cathedralis SS. Petri et Pauli Apost. nunc monasterium
I. Ecclesia Sti Nicolai Conv. PP. Patres. quae Mattheo Imperatoris
K. Convent. PP. Franciscanorum. M. Collegium. P. Jesuitarum nunc
L. Ecclesia S. Annae cum Hospitio, nunc Stabulum
M. Ecclesia S. Michaelis Archi. Comentus Ordinis. S. Dominici
nunc residentia Episcopi Camenecensis et Monasterium Basilia-
norum Ruthenorum. N. Ecclesia SS. Petri et Pauli ante
Ruthenorum nunc Catholicorum, ac quorundam haereticorum con-
ventus. O. Ecclesia S. Nicolai in vetera Arce nunc Mesita
P. Ecclesia Armenorum Schismaticorum S. Mariae Basilissae Virginis Mariae
sub protectione S. Joannis Baptistae — pro eorundem haereticorum
conventus
X. Ecclesia Ruthenorum SS. Trinitatis nunc Mesita
Y. Ecclesia Basilianorum Sanctorum Imperatorum
Z. Ecclesia Ruthenorum Archiepiscopalis Domini
1. Ecclesia Ruthenorum S. Nicolai
2. Ecclesia Ruthenor. Sanct. Mariae Virginis
3. Ecclesia Ruthenor. S. Michaelis
4. Ecclesia Ruthenor. Salvatoris in valle
5. Ecclesia Ruthenor. S. Cassiani in valle
6. Ecclesia Ruthenorum Nativitatis Dominicae in valle,
8. Ecclesia Ruth. S. Crucis in Carvasaray
9. Consistoriale Ecclesia S. Georgii nunc solum area
10. Molendinum Christianum. 11. Molendinum Ruthenorum
12. Molendinum Armenum. 13. Molendinum pro confectione de
pulvere tritato seu Prochonnia
14. Bracatoria. 16. Balneae
17. Turris vastae magnitudinis Stephani Regis vestigia Carnarium olim
18. Turris in quibus veteres arbis per Turcarum impetum pulvere naturali
diruta et statim post reparata
19. Vestigia Turris casualiter pulvere formidabili in caelum euchoctae
cum concussum et prodebonum Lapidum magnum veteri arce caeli
tam intus divisa, quae casu plus quam semianimi in urbe et militum
pernicie in ingressu Turcarum Stetum post occasum solis.
20. Superbissimum pulvere ingentis percussionis arcuum in quo fere
civitas 21. Imperatissima et ingentis compositae molere perficiente
vassum, et ambitus circuitus ut ja a vertice qui altera
22. Rupes naturalis pyramidum arte ornata
23. Pons lapideus civitatem cum veteri arce
24. Canalis sub ponte ductum aquarum in
25. Ingressus terrestris [illegible]
de muro valge cum [illegible]
& Signa excellentiam [illegible]

Kamieniec Podolski [illegible]

Дозволено цензурою. Одесса, 2-го Октября 1889 года. — Типо-литографія П. Францова, Пушкинская, № 20, въ Одессѣ.

smyku; mury bowiem bram złamane były w ten sposób, iż umożebniały rzucanie ognia w różne strony.

Brama lacka posiadała dwa wejścia: jedno ze strony przesmyku (przeciw D), a drugie z za rzeki, po moście, przez Smotrycz przerzuconym. Most ten miał kształt krytéj galeryi, z któréj przez otwory dla broni ręcznéj, można było ostrzeliwać ogniem bokowym przejście przez rzekę i sam przesmyk. Przez lacką bramę nie wchodziło się jednak bezpośrednio do miasta. Po przejściu przez nią, trzeba się było wspinać jeszcze wysoko w górę, żeby się dostać do drugiéj bramy, zwanéj bramą Batorego (17), która otwierała wstęp do miasta. Górną tę bramę podobnie jak dolną otaczała znowu cała grupa budowli, opatrzonych w strzelnice i luki działowe; ale ogień ztamtąd służył jedynie do ostrzeliwania miejscowości zarzecznéj. Podobnie druga górna brama odpowiadała wejściu przez ruską bramę.

Prócz krzyżowego ognia z bram broniła przesmyku znajdująca się na górze przeciwko niemu potężna baszta (C), z któréj za pomocą moździerzy można było działać po przykopach nieprzyjaciela, w razie gdyby się kusił postępować tą drogą; chociaż i bez tego napotykał on tu liczne przeszkody, a mianowicie: potężną wieżę (widoczną na planie), potém kanał (24), służący do upustu zbytniéj wody w czasie powodzi, a w końcu pionowo piętrzące się ściany skały kamienieckiéj.

Z tego opisu widzimy, z jaką to troskliwością starali się inżynierowie zabezpieczyć od napadu jedyny słabszy punkt w obronie Kamieńca. Ale i to nie wszystko. Dla utrudnienia nieprzyjacielowi dostępu z pola, zbudowano w widłach, utworzonych przez Smotrycz i małą rzeczułkę, do niego wpadającą, dwa zamki, zwane starym i nowym. Z tych stary zamek (B), cały z muru, składał się z ośmiu wież, połączonych blankami; nowym zaś zamkiem (A) nazywano dzieło fortyfikacyjne, znane w inżynieryi wojennéj pod imieniem hornwerka. Składało się ono z wału ziemnego, formującego dwa półnarożniki, połączone zasłoną, poprzedzonego fossą, opatrzoną w murowane szkarpy i przeciwszkarpy i służyło do wzmocnienia starego zamku. W rogaczu tym spotykamy na szkarpach, w wierzchołkach rogów wieżyczki, czyli strażnice zupełnie takie, jakie dają się widzieć na szkarpach Wawelskich. Czoło hornwerku zamykało zupełnie przystęp do przesmyku, przypierał on bowiem bokami swymi do urwistych brzegów rzek wspomnianych i był z tych stron zupełnie niedostępny.

Niepodobna tu pominąć jeszcze jednego sztucznego środka, który obronność Kamieńca znacznie podnosił, mianowicie: szluzów czyli batardów, z których jedna była urządzona u mostu, służącego dla komunikacyi lackiéj bramy z zarzeczem, a druga u ruskiéj bramy. Za pomocą tych szluzów poziom wody w Smotryczu mógł być podniesiony i całe zarzecze wodą zalane.

Z historyi powstawania twierdzy kamienieckiéj posiadamy kilka tylko wzmianek. Na początku miała ona, zdaje się, takie przeznaczenie jak cytadele warszawska i lwowska, oraz koszary na mogile Kościuszki. Poświadcza to napis, znajdujący się na planie, tudzież i ta okoliczność, że podczas rewizyi w r. 1494 [1]), niektóre działa w wieżach, przyległych do bramy starego zamku, stały obrócone w stronę miasta. W tym pierwotnym stanie jedna lub dwie wieże starego zamku, od przesmyka najbliższe, tworzyć mogły zamek. Atoli już w czasie wspomnianéj rewizyi większa część tego zamku była zbudowana, brakowało mu tylko przedniéj ściany, w pole obróconéj, która przed następną rewizyą w r. 1544, przez Starzechowskiego, kasztelana Bełzkiego, sporządzoną, już była gotowa [2]). Oprawiał wówczas stary zamek, jak widać ze szczegółowego opisu wszystkich robót, we wspomnianéj rewizyi zawartego, inżynier J o p, prusak. Nowy zamek został zbudowany za Zygmunta III; kiedy zaś powstały wieże, baszty i mury, otaczające miasto Kamieniec, których opis bardzo szczegółowy, umieścił w swych „Zameczkach Podolskich“ dr. A. J. Rolle, nie wiadomo.

Co do ruchomej obrony, — to w działa i amunicyą opatrzony był Kamieniec, za staraniem generała artyleryi Kąckiego, dość obficie; atoli puszkarzy, którzyby obsługę przy armatach należycie rozumieli, liczyło się ledwie czterech; zapewnie dla tego, że nająć ich, w tak krótkim czasie było trudno. Załoga składała się tylko z 1100 żołnierzy, mianowicie: biskupa krakowskiego Trzebickiego 500, załogi zwykłéj kamienieckiéj 200, pułk Łączyńskiego 200 i pułk referendarza koronnego 200, a do tego mieszczan i chłopów około 500. Prosił wprawdzie Sobieski króla, ażeby do twierdzy była wyprawiona piechota łanowa, pisał także do Łużeckiego, ażeby resztki swego wojska, zostawiwszy tylko załogi w Mohylewie i Bracławiu, sprowadził do Kamieńca; ale starania te nie odniosły pożądanego skutku.

Czego jednak Kamieńcowi najwięcéj brakowało, to dzielnego komendanta, któryby moc twierdzy i istotę jéj obrony rozumiał i znajdujących się w jego rękach środków użyć potrafił. Kto zaś podczas oblężenia pełnił obowiązki komendanta, z pewnością powiedzieć nie można. Znajdowali się podówczas w twierdzy następujący dygnitarze: biskup kamieniecki, Wawrzyniec Lanckoroński, stolnik podolski Rzewuski, sędzia Gruszecki, chorąży Humiecki, podkomorzy Maciéj Lanckoroński i podstarości Als, starszym nad armatą był major Hekling. Obowiązki komendanta w Kamieńcu, na mocy konstytucyi sejmowéj spoczywały na staroście [3]). Był nim wów-

---

[1]) Przegląd Bibliograficzno-archeologiczny T. III. 1882 r.

[2]) Ateneum T. III. 1886 s. 345.

[3]) Vol. leg. T. IV. f. 933.

czas Mikołaj Potocki, syn hetmana Mikołaja Potockiego; ale ten, lubo przyobiecał zostawać w Kamieńcu [1]), nie tylko że się na miejscu nie znajdował; lecz ani z królem, ani z hetmanem o opatrzeniu i oprawieniu fortecy wcale się nie znosił [2]), również i żywności, chociaż odebrał na zakup jéj 20000 złotych, przez biskupa Trzebickiego ofiarowanych, nie przysposobił. Dopiero w ostatniéj chwili, gdy już wróg był prawie na karku, lamentuje i błaga Sobieskiego, aby mu przysłał przynajmniéj 2000 piechoty i kilkanaście chorągwi jazdy, któreby śpieszyły dniem i nocą do Kamieńca, bo inaczéj powiada: „Strzeż Boże quid sinistrum, to nie moja wina“ [3]). Urząd tedy komendanta musiał pełnić tytularnie, w zastępstwie starosty, podstarości Als, który też przy poddaniu Kamieńca, klucze wezyrowi, oddawał. A że Als był prawdopodobnie człowiekiem małym i bez znaczenia, wypada wnosić, że obrona Kamieńca spoczywała w rękach rzeszy dostojników szlacheckich i istotnego kierownika nie miała. Do tegoż wniosku przychodzimy i ze słów biskupa Lanckorońskiego, w liście do Prusinowskiego: „ani głowy, ani praesidium nie masz“ [4]).

Miejscowość, otaczająca Kamieniec, znacznie nad nim górują i w skutek tego miasto przez dzisiejszą artyleryą mogłoby być łatwo zbombardowane i w gruzy obrócone. Czy mogli to uczynić Turcy, trudno powiedzieć, nie wiedząc ile i jakiéj artyleryi mieli. Sądząc jednak z tego, że zdobycie takich zamków jak: Buczacz i Jazłowiec szło im opornie, że nad Złoczowem 6 dni stracili i że nie mogli rozbić z bliskiéj odległości murów klasztoru bernardyńskiego, podczas oblężenia Lwowa, wypada wnosić, że artylerya turecka tak bardzo straszną dla Kamieńca nie była. Przypuściwszy jednak, że powiodłoby im się wyłamać breszę w murach miejskich, to wedrzeć się do miasta, po stromych ścianach skały, przy znacznéj ich wysokości, pewnieby nie zdołali. A że i minami, za pomocą których przeważnie opanowali Kandyą, trudno byłoby coś zdziałać przeciwko ogromnéj skalistéj massie, słusznie więc mógł być uważany Kamieniec za twierdzę, w owe czasy niezdobytą. Atoli i najmocniejsze warownie, przy niedołężnéj obronie, stają się łupem zwycięzcy, co też potwierdza i upadek Kamieńca.

Po przybyciu pod twierdzę kamieniecką, rozłożyła się armia turecka na ogromnéj przestrzeni, między Żabińcami i Ciołkowicami. W środku zajął stanowisko W. wezyr z janczarami i wojskiem rumelijskiém, a obok niego z prawéj strony: faworyt sułtański Mustafa basza z wojskiem anatolijskiém i Zagaradzibaszowie (naczelnicy janczarów), z lewéj zaś kajmakan Kara Mustafa basza i Samsondzilewszowie [5]) (także dowódcy janczarów). Tatarzy podzielili się na

---

[1]) Akta s. 1020. [2]) Tamże s. 1028. [3]) Tamże s. 1034. [4]) Oy. Sp. T. II, s. 164. [5]) Ham. 385.

dwa oddziały. Część jedna, przybyła z sułtanem, stanęła u huńskiéj studni, t. j. ku wschodowi, inna zaś z Doroszenkiem z Ukrainy sprowawadzona, jak równie Lipkowie, co przez Uście wpadli na Podole i uprzedzili wkroczenie Turków, rozłożyli się na stepie Orynińskim, jako osłona oblegającego wojska, ze strony nieprzyjaciela.

Podług szacunku Sobieskiego, opartego na porównaniu zeznań różnych języków, a szczególnie tych, co się dobrowolnie przedawały, wojsko Mahometa W. miało wynosić [1]):

Zaciężnych janczarów i spachów	100,000
Służałych, których każdy basza, wedle proporcyi powiatu, którym rządzi stawić powinien	30,000
Pospol. ruszenia (wojska lennego) z Azyi i Europy	60,000
Wołoszy i Mułtanów	8,000
Tatarów litewskich	2,000
Kozaków Doroszenki	12,000
Tatarów krymskich	50 000
Tatarów dobruckich i białogrodzkich . .	15,000
Razem .	277,000

Zdaje się, że w tym rachunku naliczono za wiele janczarów i spachów, a za mało tatarów krymskich. Na wyprawie Chocimskiéj znajdowało się janczarów 30,000 i spachów 25,000; tatarów zaś z chanem wychodziło zwykle 100,000. Sam Sobieski, na innym miejscu liczy ich 80,000 [2]).

Zaraz po obsaczeniu Kamieńca rozpoczęto przykopy, przeciwko nowemu zamkowi i w 5 dni przyszańcowano się do rowu. Nakazano potém zebranie worków, których każdy z lenników miał dostarczyć liczbę odpowiednią do swoich dochodów [3]). Zamyślano zapewnie budować baterye wyłomowe przeciw wałom, a zarazem pod szkarpy podłożono miny w miejscach (δ); lecz gdy załoga opuściła wały, szańcowano się daléj, po wnętrzu nowego zamku ku staremu i za pomocą min wysadzono w powietrze, już na 9-ty dzień oblężenia, bramę tego zamku [4]). Jednocześnie ostrzeliwano z dział zamek i miasto, a jeden granat, wpadłszy do kaplicy luterskiéj, znajdującéj się w jednéj z wież starego zamku (18), gdzie były złożone granaty, zapalił je, co sprawiło wielki łoskot i wstrząśnienie [5]). W mieście także wszczął się ogień, na dachu kościoła św. Katarzyny, a cerkiew św. Jerzego zupełnie spłonęła.

Tegoż dnia przypuścili Turcy szturm do wyłomu w bramie, ale

---

[1]) Akta s. 1051. [2]) Tamże s. 1067. [3]) Ham. s. 385. [4]) Grab. Oycz. Sp. T. II. s. 169. [5]) Ibid. s. 170.

zostali odparci, ze stratą 2000 ludzi. Z polskiéj strony padł chorąży Humiecki.

26 sierpnia wysadzili Turcy jeszcze kawał muru i podłożyli miny pod cztery wieże, co gdy oblężeni postrzegli, wywiesili natychmiast białą chorgiew i posłali parlamentarzy do obozu tureckiego, dla zawarcia kapitulacyi co do poddania miasta.

27 sierpnia, gdy już się kończyły namowy z nieprzyjacielem, wyleciała w powietrze z wielkim łoskotem, wieża starego zamku (19), w któréj prochy złożone były. Przyczynę téj katastrofy różnie tłómaczą, ale powszechnie uznawano za jéj sprawcę starszego nad harmatą, majora Heklinga. Biskup Lanckoroński podaje za pobudkę tego kroku dysgust p. majora za częste jego karcenie, z powodu nierządu i mankamentów w cekauzie; a komendant lwowski, Łącki, przypisuje jego postępek rozpaczy ztąd pochodzącéj, że w skutek nieładu między szlachtą, Kamieniec poddać się musiał. Zginęło przytém do 500 osób, w znaczniejszéj części żołnierzy, a w téj liczbie i rotmistrz Wołodyjowski, któregobiskup Hektotrem nazywa.

Warunki poddania twierdzy były bardzo łagodne. Żołnierzom pozwolono wyjść z bronią w ręku, pod warunkiem zostawienia dział na własność zwycięzcy. Mieszkańcom Kamieńca pozwolono wyjechać z dobytkiem, pozostałym zaś zapewniono bezpieczeństwo osobiste i własność majątków. Gwarantowano także wolność religijną, a domy szlachty miały zostać wolne od postoju.

Tak lekkie kondycye mogłyby być chyba wynikiem łaskawego usposobienia i wesołego humoru, w który wprawiło turków tak łatwe opanowanie twierdzy, uważanéj zapewnie przez nich samych za niezdobytą. Ledwie że poczynili pierwsze kroki i zagrozili zburzeniem starego zamku, gdy załoga już struchlała i prosiła o miłosierdzie. Rzecz oczywista, że w pośród rzeszy szlacheckiéj nie znalazło się ani jednego męża z inicyatywą i energią, któryby potrafił wlać otuchę i męztwo w żołnierzy i prowadzić obronę do końca. Możnaby myśleć, że ludność kamieniecka wątliła serca załogi. Że tak nie było, dowiadujemy się ze słów biskupa Lanckorońskiego, który mówi: „iż gdy chciał prosić Turków o armistitium, to pospólstwo, baby zwłaszcza, rozumiejąc, że to już o poddaniu zamyślają, bardzo go źle traktowało, jako zdrajcę".

Załoga widocznie przywiązywała za wielką wagę do starego zamku, który w istocie miał podrzędne znaczenie, służył bowiem tylko do obrony wejścia na przesmyk, o obronie zaś samego miasta, które właśnie przedstawiało największą siłę oporu, ani pomyślała. Niepotrzebnie też złożono w starym zamku znaczną ilość prochu, który powinien był znaleźć dla siebie miejsce w lochach i podziemiach miasta.

Po zdobyciu zamku, turcy musieliby prowadzić dalsze roboty po przesmyku, a że ten był wązki, przecięty kanałem i bronio-

ny prostym i krzyżowym ogniem z różnych stron, opłacaliby każdy krok krwią i śmiercią, a w końcu napotkaliby nieprzebytą skałę. Z listu biskupa Kamienieckiego widać, że turcy approsze i do bram prowadzili i że byli już bardzo blizko bramy ruskiéj. Zbudowali oni nawet tam bateryą, za pomocą któréj mogli popsuć szluzy. Atoli i przy zwykłym poziomie Smotrycza, szańcowanie się po jego łożysku było połączone z niezmiernémi trudnościami. Zdobycie nawet bram dolnych jeszcze nie oddawało nieprzyjacielowi w ręce Kamieńca, gdyż, jak widzieliśmy, do murów miasta ztamtąd było jeszcze daleko i trzeba było się do nich drapać wysoko w górę. Załoga, lubo była słaba tak dalece, że ledwie pojedynkiem brustwerki okryła, a na 6 strzelnic przypadał jeden tylko strzelec [1]), ale to przy obronie długiéj linii wału nowego zamku. Broniąc przesmyku musiałaby się skupić na jednym punkcie, na którym i nieprzyjaciel nie mógł znacznych sił rozwinąć. Niewiadomo czy były przedsiewzięte środki do gaszenia ognia, oraz w jakiéj ilości znajdowała sie żywność i na jak długo starczyć mogła, w każdym jednak razie, szlachta przodująca załodze, powinna była trzymać się do ostatecznego wyczerpania sił i środków; lecz jéj chodziło, jak się zdaje, więcéj o własne głowy i mienie, aniżeli o całość i honor ojczyzny; na tronie zaś siedział król niedołężny. Na niego też i jego doradców spada w znacznéj części odpowiedzialność za marną utratę Kamieńca. On bowiem powinien był dbać o jego stan należyty i opatrzenie, a co najmniéj powinien był wyznaczyć czujnego, zabiegliwego, energicznego i świadomego sztuki inżynierskiéj komendanta, któryby obroną kierować i porządek oraz dyscyplinę w twierdzy utrzymać potrafił. Dopominał się tego wielokrotnie Sobieski. W liście do kasztelana Podlaskiego pisze: „Wyjechałem z Warszawy nie mogąc się doprosić i biednego na Kamieniec komendanta, a dopiero o ludziach, prowiancie, municyi, fortyfikacyi i myśleć nietylko mówić darmo było“ [2]). Ale król, równie jak jego doradcy, ani o wojnie ani o twierdzach, ani o ich potrzebach pojęcia nie mieli, a prócz tego prawdopodobnie ani wojska ani wojskowych nie znali; powierzyć zaś wybór Sobieskiemu obawiali się, ztąd też i działalność jego częstokroć paraliżowali, wkraczając nawet w atrybucye władzy hetmańskiéj. Skarży się on na to w liście do podkanclerzego: „ale i bez tego nie byłoby po chrześciańsku, wszystko hetmanom z rąk wyjąwszy, same im tylko zostawić kłopoty“ [3]).

Takim sposobem, przez nieudolność króla i jego doradców, przez niesnaski i rozdwojenie między stanami, przez niedbalstwo starosty kamienieckiego, Potockiego, a w końcu przez słaboduszność szlachty, rezydującéj w Kamieńcu, dostała się prawie za darmo w ręce wroga ta groźna i niedostępna twierdza, którą jakby sama

---

[1]) Akta s. 1069. [2]) Ibid. s. 1028. [3]) Ojcz. Sp. T. II. s. 340.

natura przeznaczyła na strażnicę granic Rzpltéj. Turcy lepiéj umieli ocenić moc i znaczenie Kamieńca, bo dostawszy go w ręce, nie dali sobie wydrzeć, pomimo wszelkich usiłowań ze strony Polaków. Był to jednakże ostatni ich nabytek [1]). Odtąd gwiazda ich szczęścia wojennego blaknąć i granica niezmiernych podbojów w tył się usuwać zaczęła, co w dalszym następstwie trwa aż do naszych czasów.

Po zdobyciu Kamieńca, nakazał Mahomet dziękczynne modły po całém swém państwie za darowane mu zwycięztwo. W obozie tureckim panowała wielka radość. Strzelano z dział i broni ręcznéj, urządzano rzęsiste illuminacye a wyżsi dostojnicy udarowani zostali pięknemi złotogłowiami, futrami sobolowemi i chylatami.

Najbliższym po Kamieńcu łupem dla wojska cesarskiego mógł być Lwów. To też dla zdobycia tego miasta wyprawił sułtan, Selim Gireja i Kapłana baszę Haleba, z beglerbejami Rumelii, Anatolii i Karamanii, przydawszy im Doroszenkę z kozakami, tudzież Mułtan i Wołochów. Sam nie przyjął udziału w tym pochodzie, lecz udał się do Żwańca, gdzie w ciągu kilku dni bawił się łowami [2]) i dopiero w początkach września wyruszył do Kalandore (?) (może Kudryniec nad Zbruczem), a ztamtąd do Buczacza, w którego okolicach między wsiami: Nowostawce, Niedźwiedziowce, Pieszkowce i Trybuchowce rozłożył się obozem [3]). Zamek Buczacki z niemałym trudem zdobyty został przez defterdara baszę Achmeta, przy pomocy Abdibaszy, agi janczarów. W tymże czasie Hussein basza, gubernator Aduny, dobywał Jazłowca [4]). Pochodem tym zakreślił sobie monarcha turecki rejon posiadłości, który miał zatrzymać przy Kamieńcu od strony Rusi.

Chan tymczasem, minąwszy około 10 września Husiatyn [5]), posuwał się z Kapłanem baszą ku Lwowu, paląc i niszcząc wszystko po drodze. Niektóre miasta i zamki otwierały im swe bramy, inne zaś, które się poddać nie chciały, pomijano, w nadziei, że po zdobyciu Lwowa, same do rąk im przyjdą. Złoczów zatrzymał trochę Turków. Bronił go komendant Strym w ciągu 5 dni, ale w końcu musiał uledz przemocy [6]). Do Lwowa przybył Kapłan basza 24 września, chan zaś stanął tamże już 20-go września [7]).

Lwów, co do swego położenia nie może się równać z Kamieńcem. Gdy tamten stoi wysoko, na niedostępnéj skale, Lwów leży w głębokiéj kotlinie, otoczonéj zewsząd wzgórzami i ze wszystkich stron daje łatwy dostęp nieprzyjacielowi. Prócz tego obrona Kamieńca, na który zawsze zwrócona była uwaga, znajdowała się w dość dobrym stanie. Lwów zaś, jako leżący w głębi kraju, nie doznawał żadnéj prawie opieki i fortyfikacye jego zostawały w wiel-

---

[1]) Cantemir Demetr. „Histoire de l'Empire Ottomane". Paris. 1743. T. I. ks. III. pg. 52. [2]) Ham. 388. [3]) Akta l. c. 1105. [4]) Ham. 388. [5]) Akta 1074. [6]) Ojcz. Sp. T. II. s. 349. [7]) Ibidi. pg. 179.

kiém zapuszczeniu. Mury i wały były zrujnowane [1]), fossy zasypane śmieciami, domy i inne budowle przedmieści łączyły się prawie z miastem, prowiantu wcale nie przysposobiono i drożyzna chleba panowała okropna, gdyż z powodu opóźnionego roku żniwa jeszcze nie były skończone [2]). Załoga składała się z pułku Łąckiego, z pułku wojewody ruskiego, z suplementu pułku Morsztyna, z piechoty województwa ruskiego około 400 ludzi, z dwóch chorągwi jazdy, przez Sobieskiego przysłanych [3]) z 1000 mieszczan, w oręż należycie uzbrojonych i nieco chłopstwa z rozmaitém narzędziem [4]). Łącki, generał kwatermistrz wojska [5]), przeznaczony był na komendanta. On też zaraz gorliwie się zajął przyprowadzeniem twierdzy do obronnego stanu. Kazał oczyścić fossy, popoprawiać wały, przedmieścia spalić i jak tylko pokazali się i zaczęli się posuwać pod miasto tatarzy, kazał dać ognia, co ich zmusiło jak najprędzéj umykać i za góry się chować [6]).

W nocy z 20 na 21 września zrobiono wycieczkę, składającą się z milicyi miejskiéj i znajdujących się w twierdzy dwu chorągwi jazdy, pod dowództwem setnika Fryderyka Megelina. Ludzie ci, sprawiwszy alarm w obozie nieprzyjaciela, cofnęli się do miasta, jazda jednak już więcéj nie wróciła [7]). Nie jedyny to przykład braku dyscypliny w wojsku polskiém, szczególnie własnego narodowego zaciągu, składającego się z braci, a co najgorsza, że ta niesubordynacya uchodziła zwykle bezkarnie.

W ciągu 22 i 23 września, przybywało coraz więcéj tatarów, a 24 przyciągnęli i turcy ze sprzymierzeńcami. Armia oblężnicza rozłożyła się w ten sposób: turcy zajęli stanowisko od wschodu, mułtanie i wołosi od południa, tatarzy od zachodu, ze strony Gródka, a kozacy pomiędzy S-tym Łazarzem i Maryą Magdaleną [8]). Z tego rozstawienia sił nieprzyjacielskich pokazywało się, że największe niebezpieczeństwo groziło od Wschodu t. j. ze strony turków, którzy i działa burzące posiadali i umieli chodzić koło zdobywania fortec. Ztąd też przeciwko nim postawiono większe i wyborowe siły, pod dowództwem Ferdynanda Lechnera [9]), z innych zaś stron zajęli stanowiska: od południa oddział Urbana Czechowicza, a od zachodu i północy Jan Stadnicki ze swemi ludźmi, obaj ławnicy miejscy. Odwód, pod wodzą Andrzeja Szymonowicza, także ławnika, pozostawiono na rynku [10]).

25-go wódz turecki wezwał miasto do poddania się. Wysłano do niego poselstwo z podarunkami, których on przyjąć nie chciał, a żądał kluczy od twierdzy; gdy zaś posłowie wzbraniali się uczy-

---

[1]) Akta 1046. [2]) tamże. [3]) tamże 1051. [4]) Zubrzycki „Kronika miasta Lwowa“. Lwów 1844, str. 422. [5]) Ojcz. Sp. T. II. s. 336. [6]) Oj. Sp. T. II. s. 176. [7]) Zubrz. 422. [8]) Akta s. 1102. [9]) Koch. Klim. IV. s. 222. [10]) Zub. l. c. s. 422.

Дозволено цензурою: Одесса, 12-го Сентября 1889 г.—Лит П. Франдона, Пушкинская ул., № 20, въ Одессѣ.

Kopiowała Katarzyna Koronelli.

nić zadość temu żądaniu, wymawiając się, że na to potrzebują rozkazu króla swego i błagali o cierpliwość, nim posłowie Rzpltéj, do zawarcia pokoju przeznaczeni, nie przybędą, kazał się im oddalić i natychmiast z różnych, po okolicznych pagórkach rozmieszczonych bateryi, posypały się kule na miasto, co cały dzień i noc następną trwało.

W nocy z 25 na 26 podsunął nieprzyjaciel działa większego kalibru dla łamania murów, usypał baterye na górze Szembekowéj i pod S-ym Jurem, z których przez następne dnie strzelano do miasta.

Dnia 27 ciągnęli turcy daléj okropną kanonadę ze wszystkich bateryi, a tymczasem rozpoczęli dwa podziemne podkopy, z których jeden od klasztoru Karmelitów ku wałom miasta, a drugi z Gliniańskiéj ulicy ku Bernardynom. Janczarowie zdobyli klasztor panien Bernardynek, teraźniejszą komorę celną i ztamtąd razili broniących klasztor Bernardynów męzki.

W nocy z 27 na 28 zrobiła załoga wycieczkę, która sprawiła popłoch w obozie nieprzyjacielskim; lecz to nie polepszyło stanu miasta.

28-go turcy podsunęli działa burzące pod mury klasztoru Bernardynów i byliby w nim wyłom uczynili, gdyby trafiali w jedno miejsce. Tegoż dnia zajął nieprzyjaciel Wysoki zamek, zkąd nasi sprowadzili załogę miejską, składającą się z 20 ludzi; Turcy zaś, zaciągnąwszy tam dwa działa, bombardowali ztąd miasto.

Położenie Lwowa stawało się coraz drażliwsze, chociaż miasto mogło się jeszcze jakiś czas trzymać, gdyż nawet wyłom w klasztorze Bernardyńskim, o który tak się obawiano, nie otworzyłby nieprzyjacielowi drogi do twierdzy, była to bowiem wielka i trwała budowla, do kasztelu podobna, któréj zdobycie przedstawiałoby większe trudności, aniżeli jakiegoś innego punktu, bo prócz silnéj budowy znajdowała się ona jeszcze zewnątrz murów. Na szczęście jednak lwowian dnia następnego (29 września) przybyli do obozu nieprzyjacielskiego komisarze Rzpltéj, do traktowania o pokój w osobach: Jana Fraciszka Lubowickiego, kasztelana wołyńskiego i Jana Szumowskiego, podskarbiego nadwornego. Ci panowie, położywszy za warunek przystąpienia do pertraktacyi pokojowych, zaprzestanie kroków nieprzyjacielskich przeciwko Lwowu, wyjednali za pośrednictwem wezyra chańskiego u Chana i Kapłana baszy przerwanie działań wojennych, co też i Łącki ze swéj strony uczynił [1]).

Podczas następnych dni ciągnęły się daléj rokowania o warunki pokoju i chociaż barbarzyńcy srożyli się z początku, grożąc, że siłą Lwów zdobędą, a potém pójdą w głąb kraju, to w końcu przystali na okup w ilości 80,000 złotych. Gdy jednak z powodu ujścia z miasta bogatszych i wywiezienia kosztowności z kościołów, tak wielkiéj

[1]) Grab. Oycz. Sp. T. I. s. 186.

sumy zebrać było niepodobieństwem, zgodzili się na zapłacenie zaraz 5,000 złotych, za resztę zaś wydało miasto dwunastu zakładników [1]).

Z pierwszego wejrzenia dziwną zdaje się rzeczą, że nieprzyjaciel, mogąc tak łatwo Lwów zdobyć, wypuszcza go z rąk i jakby dobrowolnie zrzeka się swego niechybnego łupu; ale trzeba wziąść na uwagę, że w obozie pod Lwowem Chan był osobą decydującą, dla niego zaś Ruś była folwarkiem, z którego jego poddani ciągnęli zyski i dochody. Gdyby prowincya ta dostała się pod władzę Sułtana, dostęp do niéj tatarom zostałby zupełnie wzbroniony. Woleli tedy zachować ją dla siebie. Dziwném niemniéj zdaje się, że Sułtan, który po opanowaniu Lwowa, zostałby panem Rusi, nie tylko że nie żywi żadnéj urazy do Chana za niedojście oblężenia do skutku i za bezużyteczny spacer swego wojska; ale jeszcze zaleca komisarzom wdzięczność dla niego za to, że za jego pośrednictwem pokój sklejony został. Zapewnie ucieszył Selim Girej Sułtana znacznym, bo 75,000 zł. wynoszącym okupem ze Lwowa, którego zresztą Sułtan nie otrzymał; atoli głównym motywem do pobłaźliwości Sułtana było to, że chociaż Chan był lennikiem, to tak potężnym, że wyprowadzał na wojnę, czy to z polakami, czy też z cesarzem niemieckim 100,000 wojowników, a takiego lennika każdy monarcha musiałby cenić wysoko i na niektóre jego uchybienia przez szpary patrzeć.

W skutek takich stosunków, Lwów uniknął niewoli; ale za to Ruś musiała za niego ciężki okup tatarom zapłacić. Drapieżne te ptaki nie chciały opuścić nadającéj się wybornéj dla czambułu sposobności; tém więcéj, że poseł Chański, który do króla Michała, przebywającego naówczas w Janowcu jeździł, zapewnił tatarów, że wojska polskiego nigdzie nie widział [2]). W nadziei tedy, że rabunek ujdzie bezkarnie, gdy już namowy między komisarzami polskimi z jednéj a Chanem i Kapłanem baszą, z drugiéj strony, zbliżały się ku końcowi, sułtanowie, agowie i murzowie tatarscy zbiegli się tłumnie do chańskiego namiotu dla naradzenia się nad wycieczką na czambuł. Komisarze polscy, którzy to widzieli, nie wiedząc jaki był cel tego zbiegowiska, posłali przenajętych szpiegów, a dowiedziawszy się od nich o co rzecz chodziła, obrócili się zaraz do wezyra chańskiego, dopominając się o danie słowa, że więcéj zagonów rozpuszczać nie mieli. Atoli żadne prośby i obietnice nie zdołały ich powstrzymać od téj okrutnéj igraszki: zaraz 2 września, rozdzieliwszy wojsko na zagony, rozsypali się w różne strony: ku Wiśle, Sanowi, Dniestrowi i ku górom [3]).

---

[1]) Grab. Oycz. Sp. T. I. 186, 187 — Akta s. 1103. [2]) Akta 1103. [3]) Oycz. Sp. T. I. 189.

I znowu zapłonęły wsie i miasta, a powietrze napełniło się jękami nieszczęśliwego ludu, zabijanego i uprowadzanego w niewolę. Cóż robili rzekomi obrońcy ojczyzny, król i szlachta, gdy srogi wróg zadawał jéj cios po ciosie, gdy całe prowincye pod swe panowanie zagarniał, gdy ziemię rodzinną plondrował, palił, rabował?

Po otrzymaniu złowrogiéj wieści o nadciąganiu Turków i Tatarów powstała powszechna trwoga, płacz, lament i podnoszenie rąk do nieba. Wszystko co żywo opuszczało domy i uciekało, gdzie oczy niosły; a panowie wybierali się na Szlązk i do Gdańska [1]). Z tego powodu pisze do biskupa Krakowskiego, dn. 6 sierpnia Sobieski: „Appropinquavit tandem hora zguby naszéj... A to najcięższa, w tém nieszczęściu naszém, że nam oto jeszcze za złe miano, żeśmy przestrzegali i żeśmy się bali tego, czego się wcześnie bać było potrzeba. Tak bowiem wielcy ludzie i sławni wodzowie czynić powinni, aby się zdaleka bać, a zbliska lekceważyć nieprzyjaciela". [2]) Tu się działo zupełnie naodwrót.

Naznaczone było rycerstwu zebranie się na 15—20 sierpnia, w pospolitém ruszeniu [3]). Ale ono ani myślało gromadzić się na termin. Długo uważano wieści o Turkach za zmyślone „a znaleźli się nawet pułkownicy (?) (może kasztelanowie), którzy ważyli się okólnikami obwieszczać, że niebezpieczeństwo od Turków już minęło i potrzeba wsiadania na koń upadła" [4]).

Z Poznańskiego i Kaliskiego województw ściągnęło się było trochę szlachty pod Uniejów na 12 sierpnia, ale odłożywszy sobie termin zbioru do 3-go września, w którym mieli zebrać się pod Sędziszowem za Puławami, powrócili do domów. Sieradzianie umówili się stanąć w obozie 28 sierpnia, Krakowianie i Sandomierzanie zaczęli popis 25 sierpnia i wprędce potem mieli wyruszyć w drogę [5]).

Król Michał wyjechał z Warszawy 12 sierpnia [6]) w zamiarze udania się do Lublina, aby tam stanąć na czele pospolitego ruszenia; lecz dowiedziawszy się, że nikt z pospolitych jeszcze na miejsce nie przybył, zatrzymał się w Janowcu, zkąd rozpisał listy, nawołujące rycerstwo, aby się co rychléj pod Gołąb kwapiło. Wojsko koronne, rozrzucone po różnych miejscach, stało za Wisłą. Król nie śmiał go zgromadzić i stanąć na jego czele, otrzymał bowiem ostrzegające listy od pułkownika lekkich swych chorągwi, Kłodnickiego, tudzież od jakiegoś nieznajomego z Glinian, że i Swoi i Tatarzy czyhają na jego zgubę i chcą go korony pozbawić [7]). Przeceniając tedy znaczenie swéj osoby dla Rptéj, myślał już tylko o zachowaniu jéj dla szczęścia swych poddanych. W tym celu Łużeckiego i Hanenkę, zamiast skierować na Ruś i ku obronie Kamieńca, jak tego chciał Sobieski, powołał bliżéj ku sobie do Hrubieszowa [8]). Pie-

---

[1]) Oy. Sp. T. II. 172. [2]) Akta s. 1042. [3]) Akta s. 1028. [4]) Konf. Gol. s. 152. [5]) Akta 1057. [6]) Tamże 1050. [7]) Konf. Gol. s. 153. [8]) Akta 1072.

choty łanowéj niewiadomo jak użył, dość że do Kamieńca jéj nie puścił [1]). Proch, darowany przez Kurfirsta, który Sobieski kazał przewieść do Kamieńca, polecił zostawić w Warszawie, czy też odwieść do Zamościa [2]). Nareszcie utrzymywał przy sobie 3000 wojska, a w téj liczbie 500 dragonów przez Kurfirsta Brandemburskiego przysłanych [3]).

Wśród powszechnéj trwogi i odrętwienia, jeden tylko Sobieski za wszystkich czuje, myśli i działa. On to gorliwie i usilnie troszczył się o Kamieniec i byłby go należycie opatrzył w załogę, gdyby król, jakeśmy już widzieli, rozporządzeń jego niepokrzyżował. Dnia 10 go sierpnia znajdujemy Marszałka w Krasnobrodzie, ostrzegającego uniwersałem współobywateli, aby się mieli na baczności w obec nadciągającego w wielkiéj sile nieprzyjaciela [4]) Z Krasnobrodu jedzie do Lwowa i opatruje to miasto, ile było w jego mocy, w załogę [5]). Nareszcie, powróciwszy ztamtąd do swego Jaworowa, śledzi przez podjazdy za ruchami i działaniami Turków, a zatym jak sam powiada: „omni militari destitutus apparatu w pole wyjść, a resistere tak potężnemu nieprzyjacielowi, żadnego już nie widzę sposobu prócz saméj tylko opatrzności Bożéj“ [6]). Pod władzą Sobieskiego znajdowało się podówczas tylko 10 chorągwi husarzy i trochę kozaków [7]). Chorągwie te stały 4 sierpnia pod Husiatynem. Za zbliżeniem się nieprzyjaciela, musiały one ustąpić i odeszły naprzód do Trębowli, a potém i daléj w głąb kraju [8]).

Druga część wojska kwarcianego, pod Łużeckim, knem Podlaskim, wyruszyła z Hanenkiem 9 sierpnia z Ładyżyna i okolną drogą na Białącerkiew, przybyła do Hrubieszowa [9]). Wojsko to jednakże przez długą wojnę i konsystencyą w głodnym kraju zrujnowane i przez dwie porażki pod Truściańcem i Ładyżynem osłabione, było bardzo nieliczne i znajdowało się w opłakanym stanie.

U Hanenki, kwaterującego w Zamościu było niewięcéj nad 2000, część bowiem jego kozaków rozbiegła się [10]).

Znajdowało się jeszcze, jak wiemy, 3000 wojska przy królu, lecz to strzegło nietykalności jego osoby.

Właściwie na służbie Rzptéj powinny były znajdować się wyprawy powiatowe. Według konstytucyi 1670 roku „dla obwarowania Rptéj od wszelkich niebezpieczeństw, Województwa, ziemie i powiaty obowiązały się, za pieniądze tyle drugie, jakie wówczas płacili, wystawić najdaléj primis diebus Mai, chorągwie w pewnéj liczbie. In casu zaś pertractationis belli, zachowywały sobie województwa sposoby dalszego utrzymania, albo też, będzieli się zdało, wedle potrzeby przyczynienia tego żołnierza“ [11]).

---

[1]) Akta 1039. [2]) tamże 1042. [3]) tamże 1057. [4]) tamże s. 1046. [5]) tamże s. 1053. [6]) Ibid. 1040. [7]) Ibid. 1046. [8]) Akta 1038. [9]) Ibid. 1056. [10]) Ibid. s. 1063. [11]) Vol. leg. IV s. 55.

Mamy kilka świadectw, z których się pokazuje, że te wyprawy przyjmowały udział w wojnie Sobieskiego z kozakami i tatarami w r. 1671 [1]). Musiały one na zimę powrócić do domów, były bowiem pozbawione prawa do chlebów zimowych.

W r. 1673, w czasach najkrytyczniejszych od wtargnięcia nieprzyjaciela w granice Rptéj do zdjęcia oblężenia Lwowa nie spotykamy nigdzie chorągwi powiatowych. Trudno odgadnąć, czy województwa, zastrzegłszy sobie nie tylko utrzymanie, ale w potrzebie i przyczynienie tego żołnierza, nie uznawały obecnéj, tak krytycznéj chwili za odpowiednią do spełnienia swych zamierzeń, czy też nie chciały oddać wypraw swoich, w ręce Sobieskiego, dość że występują one w pole dopiero wtenczas, gdy rycerstwo wyrusza do obozu pod Gołąb. Współczesny powiada, że te chorągwie sprowadzili oni z sobą „aby tym prędzéj z pospolitego ruszenia wyfiglować się wyprawą mogli“ [2]). Niewiem jak to rozumieć, ale chyba tak, że dla tego sprowadzili z sobą chorągwie powiatowe, aby wyręczyć się niemi, w razie gdyby wypadło iść przeciw Turkom. Zaciągi te jednak nie weszły pod władzę hetmana W. koronnego, a miały osobnego regimentarza w osobie Stefana Czarnieckiego, pisarza polnego, który był Marszałkiem konfederacyi Gołąbskiéj. Wyrodny ten potomek Wielkiego bohatera chciał zagarnąć pod swą władzę i całe wojsko kwarciane, ale król na to nie pozwolił [3]).

C. d. n.

---

[1]) Oycz. Spom. T. II. str. 343 i 345. [2]) Akta str. 1126. [3]) Konf. Gołąbska str. 175.

STANLEY I EMIN.

Przez

Eugeniusza Lipnickiego.

„Przedewszystkiem jestem zupełnie zdrów i znajduję się w usposobieniu robotnika, który spełniwszy pracę całego tygodnia, w sobotę wieczorem powraca do domu, z zapłatą w kieszeni, szczęśliwy, że nazajutrz niedziela. Właśnie trzy lata temu, wygłaszając po drugiéj stronie oceanu, w nowej Anglii, wykłady, otrzymałem wezwanie, abym wyruszył do Wadelai, celem wyswobodzenia Emina. Jak na te poczciwe zwierzęta ładunkowe, obok głównego ciężaru, wkładają jeszcze mnóstwo mniejszych paczek i drobnostek, tak téż oprócz głównéj misyi, powierzono mi mnóstwo drobniejszych, z których jednak każda wymagała równych starań i zręczności. Dziś rzucając wzrokiem w stecz, czuję się zadowolnionym. Możemy sobie powiedzieć, że dzięki dobrej woli i wytrwałości, przemogliśmy, jak można było, trudności".

„Pominąwszy spełnienie naszego głównego zadanie, zrobiliśmy ważne odkrycia geograficzne. Bieg rzeki Aruwimi jest teraz znany; skonstatowaliśmy nad Kongo ogromne lasy, pokrywające przestrzeń tak rozległą, jak cała Francya i Hiszpania; góry księżycowe otrzymały na karcie właściwe swe miejsce; zbadaliśmy boki ich najwyższego szczytu, śnieżnego Ruwenzori, odkryliśmy łącznik jezior Alberta i Alberta-Edwarda; w skwarze równikowym chłodziliśmy się kryształową i lodową wodą z gór śnieżnych. Nasz przyrodnik opowie o różnych nowych gatunkach zwierząt, ptaków i roślin, które odkrył. Nigdy nie spodziewałem się tak obfitego plonu. Z wszystkich moich wypraw afrykańskich, ta ostatnia jest najnadzwyczajniejszą".

„Tylna straż wyprawy, zamiast w sierpniu wyruszyć w ślad za nami, zatrzymuje się w Jambudze, gdzie trzecia część załogi ginie od trucizny, dowódzca jest zabity, zastępca jego umiera z choroby i zgryzoty... W téj saméj chwili, o 150 mil na wschód, dowódzca przedniéj straży zabłąkał się w lasach i naraził swój oddział na zdziesiątkowanie od strzał zatrutych. Tego samego 17

sierpnia, ale w rok później (1888), spotykam jedynego pozostałego oficera tylnéj straży w Bonalyi i dowiaduję się od niego o samych katastrofach. I tegoż dnia, 600 mil na wschód, Emin, tudzież wysłaniec mój Jephson stawają się więźniami dzikich rokoszan. Ocaliwszy Boniego i powróciwszy po raz drugi nad jezioro Alberta, słyszymy, że Emin i Jephson przygotowują się na śmierć.

„Dopiero, gdyśmy wszyscy byli zebrani w obozie (nad jeziorem) i gdy zbiegowie egipscy stanęli pod naszą opieką, zrozumiałem, że byłem poprostu wykonawcą wyższego planu. Mój własny plan niweczyły zawsze nieszczęśliwe okoliczności. Usiłowałem przeprawić się najkrótszą drogą: wrogie żywioły sprzeciwiały się. Byłem przekonany, że czystość moich zamiarów zasługiwała na powodzenie, ale czułem, że koniec tego wszystkiego spoczywał w innem ręku. Ani jeden z oficerów nie zapomni strasznej nędzy, jaką przechodził, a jednak wszyscy ci, którzy wyruszyli zemną w przedniéj straży, są zdrowi. Porucznik Stairs, którego zatruta strzała ugodziła pod samo serce, jednak żyje. Jephsona, uwięzionego, przez cztery miesiący otaczali stróże o nabitych karabinach,— jeżeli żyje, nie zawdzięcza mnie tego. Oficerowie ci czasem jednego dnia przebywali 18 rzek, brodzili w błocie, żyli całemi miesiącami w atmosferze, którą medycyna uważa jako śmiertelną. Dla czego nie ulegli? Pospólstwo nazwie to szczęściem, niedowiarek przypakiem; ale w głębi wszystkich serc spoczywa uczucie, że naprawdę jest w niebie i na ziemi wiele więcej rzeczy, aniżeli myśli czcza filozofia pospolita"!

„Heroiczna rezygnacya naszych murzynów, męzkość, która się w nich ukrywa, czułość serca tych osób bezimiennych, poświęcenie, posłuszeństwo i szacunek tych wrzekomych barbarzyńców, ożywionych, jako my, żądzą spełnienia szlachetnie obowiązku i dumą przezwyciężenia wszystkich trudności,—wyższe są nad wszystkie pochwały..."

Temi słowami, przybijając prawie po trzech latach do zachodniego brzegu Afryki, dnia 28 listopada r. 1889, Stanley streścił owoce swej ostatniéj wyprawy, zaznaczając powszechnie znaną czytelnikom jego dawniejszych opisów, silną wiarę w opatrzność. Stanley jest mężem niepospolitego hartu, przykładnej wytrwałości, ścisłej konsekwencyi, dążącej zawsze wprost do celu, jest on ze swemi żelaznemi nerwami niejako Bismarckiem pomiędzy nowoczesnymi konkwistadorami afrykańskiemi, i z tego względu obudzałby tylko podziw i zdumienie, gdyby właśnie owa głośno i zawsze wyznawana wiara w opatrzność, nie łagodziła realizmu sławnego anglo-amerykanina, zapewniając mu nietylko podziw, lecz także sympatyę powszechną.

Istotnie ostatnią wyprawą zasłużył sobie ze wszech miar na te uczucia. Zanim z zapowiedzianego już dokładnego opisu, ogół

dowie się o wszystkich dramatycznych szczegółach tej nadzwyczajnéj wyprawy, na podstawie ogłoszonych dotąd listów i innych źródeł, podajemy poniżej treściwy obraz jéj celu i przebiegu.

I.

Celem podjętéj przy pomocy króla belgijskiego i kedywa w imieniu londyńskiego „Emin Pacha Relief Comitee“ wyprawy Stanleya było odszukanie odciętego od kilku lat od wszelkiej komunikacyi z Egiptem, a zatém też z Europą gubernatora prowincyi równikowej Emina baszy, czyli dr. Schnitzera.

Z tych wszystkich paladynów, którzy się grupują obok niesłychanie wybitnej postaci Gordona, z których każdy łączy w sobie wodza z uczonym albo misyonarzem i, nominalnie w imieniu Kedywa, rzeczywiście zaś w imię cywilizacyi europejskiéj, osiada nad górnym Nilem, w końcu jeden Emin utrzymał się na swem stanowisku, i jeżeli go nie zabierze choroba, która go nawiedziła już w chwili, gdy miał opuszczać brzegi Afryki, on jeden z nich wszystkich powróci do Europy.

Dopiero w r. 1874 wojsko Kedywa Izmaiła, zwyciężywszy hordy sułtana darfuru, utorowała Egipcyanom, względnie wpływom europejskim drogę na południe wzdłuż zachodniego ramiona życiodajnej arteryi Egiptu, tak zwanego Białego Nilu, czyli Bahr-el-Aliad, który powstaje z połączenia się Bahr-el-dżebel i Bahr-el-Gazal (mniej więcej na $9^1/_2$ stopnia półn. szer.) a pod Kartumem zlewa się z wschodniem, modrym Nilem (mniéj więcéj $15^1/_4$ stopnia półn. szer). Właśnie wtedy, w roku 1873, Karol Gordon, ur. 1833 roku, od r. 1852 oficer armii angielskiéj, ranny pod Sebastopolem, w roku 1860 wysłany do Chin, gdzie stanął na czele wojska chińskiego, które miało poskromić rokosz, następnie znowu oficer armii angielskiéj, z rangą podpułkownika — wstąpił do służby egipskiéj, w roku 1877 został mianowany gunernatorem Sudanu. Gdy w roku 1879 w skutek zatargów z rządem egipskim opuścił to stanowisko, w Sudanie niebawem nastały najgroźniejsze wypadki. Gordon przeniósł się ponownie do Chin, w roku 1882 przebywał jako misyonaryusz w Palestynie, w r. 1889 ponownie wysłany przez rząd angielski do Egiptu nie zdołał już naprawić nieszczęścia i dnia 26 stycznia r. 1885 ginie w Kartumie, zdobytym przez wojska Mahdiego.

Gordon jest najoryginalniejszym, najciekawszym i najszlachetniejszym prototypem tych konkwistadorów europejsko-egipskich, którzy z kolei zmarnieli w walce z odświeżonym fanatyzmem arabskim.

W r. bowiem 1881, generalny kontroler Sudanu Mohamed Achmed, wystąpił jako Mahdi, czyli obiecany mesyasz, który speł-

ni dzieło Mahometa, niewiernych nawróci albo wytępi i sprowadzi równy podział dóbr, w r. 1883 zdobył stolicę Kordofanu El Obeid, 3 listopada zniszczył wojsko Hiksa baszy pod Kaszgil, i posuwając się nieustannie naprzód, 26 stycznia 1885 r. zdobył Kartum, gdzie dopiero od niedawna dowodził Gordon, który, gdyby nie był opuścił w r. 1879 Egiptu, byłby może zdołał stłumić w zarodku rokosz Mahdiego. Wprawdzie, wkrótce po Gordonie umarł także Mahomed Achmed, ale miejsce jego zajął nowy prorok. Upadek Kartumu sprowadził także upadek innych osad egipsko-europejskich nad górnym Nilem i gubernatorów, mianowanych przez Gordona za pierwszéj epoki swego pobytu w Egipcie.

Jednym z najsławniejszych, wojownik i geograf, był Włoch Gressi, urodzony r. 1829 w Rawennie, oficer austryacki, potem powstaniec w Wenecyi (1848), który w r. 1876 z polecenia Gordona zmierzył dokładnie Nil (Bahr-el-dżebel) od stacyi Dufile aż do źródła, to znaczy do jeziora Alberta, w r. 1880 został mianowany gubernatorem prowincyi Bahr-el-Gazal, a umarł 1 maja r. 1881 w Suez na febrę. Miejsce jego zajął Lupton (o którym poniżéj).

Także Emin z woli Gordona został gubernatorem wysuniętéj najdaléj na południe prowincyi z stolicą Lado.

Emin czyli Schnitzer urodził się 28 marca 1840 r. w Opolu na Szląsku, z ojca kupca Ludwika Schnitzera, którego rodzice pono przenieśli się z Galicyi na Szląsk, z matki Pauliny z domu Schweitzer, która umarła w październiku r. z., właśnie gdy nadeszły wieści o wyswobodzeniu syna. Nauki gimnazyalne pobierał w Nisie, od r. 1858 studyował medycyny a z szczególném zamiłowaniem zoologii i ornitologii na wszechnicach wrocławskiéj, królewieckiéj i berlińskiéj, gdzie w r. 1864 uzyskał stopień doktora medycyny.

W tymże roku wstąpił do służby tureckiéj jako lekarz wojskowy i był kilka lat lekarzem portowym w Antiwari, gdzie oddawał się pilnie studyum botaniczném i orintologiczném. Że uczonym kołom nie znikł zupełnie z oczu, świadczy o tém fakt, iż w r. 1870 został mianowany członkiem korespondującym tutejszego stowarzyszenia ornitologicznego. W tymże roku przeniósł się do Skutari w Albanii, i w towarzystwie gubernatora Ismaiła Kalli, odbył podróż do Syryi i Arabii. Nauczył się tymczasem języków francuskiego, angielskiego, włoskiego, kilku słowiańskich, tureckiego, arabskiego i perskiego i tak się przejął wschodniemi zwyczajami, że nie było prawie poznać po nim europejczyka. Po śmierci swego protektora Ismaiła, który pod koniec r. 1874 umarł w Epirze, dr. Schnitzer w r. 1875 zwiedził po raz ostatni Europę (w ściślejszém znaczeniu wyrazu).

W roku następnym pod nazwą Emina efendego wstąpił jako lekarz do egipskiego wojska Gordona, był niebawem mianowany naczelnym lekarzem prowincyi równikowych i używany często do

missyi dyplomatycznych; wreszcie w r. 1878 otrzymał tytuł beya i urząd mudira, czyli gubernatora prowincyi równikowéj.

Już jako lekarz naczelny r. 1876, wybrał się z Gordonem do jeziora Ukerewe (Wiktoryi) i zbadał jezioro Alberta, udał się do Rubagi, stolicy potężnego cesarza murzynów Mtesy, który panował na północnym brzegu Wiktoryi (porównaj Stanleya: „Przez ciemny kontynent"). W r. 1879, zwiedził nieznany przedtém zachodni brzeg jeziora Mwutan (Alberta) i t. d.,—słowem rozwinął czynność naukową na największą skalę.

Tymczasem nie zaspał także swych obowiązków administratora. Zapewniają, że wkrótce prowincya jego była najlepiéj rządzoną w tych stronach, że się nawet zwiększała i że gubernator dbał sumiennie o dobro swych czarnych poddanych, strzegąc ich mianowicie od napaści arabskich handlarzy niewolnikami. Umiał także utrzymać w karbach posłuszeństwa urzędników i oficerów egipskich, co było rzeczą nie łatwą, zważywszy, że składali się oni po większéj części z przestępców, wysłanych na karę w te odległe strefy równikowe.

Kiedy Mahdi rozpoczął swój pochód zwycięzki ku północy, Emin wprawdzie, ponieważ prowincya równikowa była Mahdiemu z drogi, nie doznał losu sąsiednich gubernatorów, ale po ich upadku, został odcięty od wszelkiéj komunikacyi z Egiptem. W styczniu r. 1884, ostatni parowiec egipski, wyprawiony na jesień poprzedniego roku z Bahr-el-Gazal, dotarł do Kartumu; odtąd ta droga została przeciętą przez wojska Mahdiego. Niebawem także ustała komunikacya z Zanzybarem. Albowiem następca zmarłego w r. 1884 Mtesy, cesarz Ugandy Mwanga, tudzież inni kacykowie plemion, zamieszkujących północne i wschodnie brzegi jeziora Wiktoryi, zajęli wobec europejczyków wrogie stanowisko.

Ciekawy przyczynek do dziejów upadku panowania egipsko-europejskiego w Sudanie, stanowią trzy listy Luptona, gubernatora prowincyi Bahr-el-Gazal, a więc zachodniego sąsiada Emina, do tegoż z kwietnia r. 1884.

„12 Kwietnia r. 1884. Drogi Eminie! Wojska Mahdiego zbliżyły się na 6 mil. Dwóch derwiszów przybyło z żądaniem, abym im poddał zamek. Będę walczył do końca. Ustawiłem działa moje w forcie, i jeżeli zdobędą zamek (Mudireh czyli pałac gubernatora), wypędzę ich armatami. Jeżeli stracę bitwę, natychmiast wybiorę się do ciebie. Strzeż się więc i czuwaj. Może to ostatni list, który piszę do ciebie. Położenie moje jest rozpaczliwe. Znaczna część żołnierzy przeszła do nieprzyjaciela. Nazywają mnie teraz Abdullah. Zwyciężę, albo umrę. Bądź więc zdrów. Ukłony dla dr. Junkera. Gdyby parowiec dotarł do was, napiszcie do moich przyjaciół i donieście im, że umieram bez wyrzutu. F. Lupton. Adres ich: 58 Leadenhall street lub High House, Blakheath London".

„20 Kwietnia. Drogi Eminie beju! Większa część moich żołnierzy przeszła na stronę Mahdiego, zwłaszcza Nazir Bucho i Nazir Liffa ze swemi oddziałami, jako też mieszkańcy stacyi Gudja, gdzie są składy zboża rządowego. Jak to się skończy? Wysłałem Wazy Ullera do obozu Mahdiego, skoro powróci, napiszę do was. Nieprzyjaciel jest uzbrojony w karabiny Remingtona i liczy 4—5 kompanii regularnego wojska, tudzież 8 do 10.000 arabów z puszczy i kupców. Dokładniejsze szczegóły odkładam na później. Slatin (gubernator najdalej na zachód posuniętej prowincyi Darfuru) przysłał mi list, który nie zawiera nic nad słowa: „Posyłam ci nosiciela Hadżi Mustafa Kismllah“. Nazywa on się teraz emirem Abd'el Kader. Twój oddany F. Lupton“.

„25 Kwietnia. Kochany Eminie! Wszystko tu dla mnie skończone. Wszyscy moi żołnierze przeszli do Mahdiego, który pojutrze zajmie pałac. Nikt nie zdoła sobie wyobrazić, ile w tych ostatnich dniach wycierpiałem. Jestem opuszczony od wszystkich. Goniec ci to opowie. Dowiedziałem się, że nigdy wojsko nie doznało porażki tak strasznej jak Hiks. Z 16,000 żołnierzy pozostało tylko 52, a ci wszyscy są ranni. Co do was, miej się na baczności, 8 do 10,000 dobrze uzbrojonych żołnierzy pomszczą się na tobie. W nadziei, że się kiedyś zobaczymy, twój oddany F. Lupton“.

Przypuszczenie jednak Luptona co do zamiarów Mahdiego, nie ziściło się. Wojska bowiem proroka wyruszyły nie w południowym, lecz w północnym kierunku—do Kartumu.

Zdaje się w ogóle, że dopiero w jesieni r. 1888, już po nadejściu Stanleya i po rokoszu wojskowym przeciwko Eminowi, wojska Mahdiego zabrały się stanowczo do zdobycia prowincyi równikowej. Wódz nowego proroka, Omar Saleh: zbliżając się do Lado, północnej stacyi Emina, który już dawniej rezydencyą swą przeniósł więcej na południe do Wadelai, na wyspie Nilu, wysłał do Emina list, który zawiera także kilka ważnych szczegółów, dotyczących się Mahdismu. Generał przemawia w imieniu „najpotężniejszego Mahumed-el-Mahdi, syna Abdulli“, przypomina jego świetne zwycięztwa, bo „któżby się zdołał oprzeć wojownikom, którzy wiedzą, że ponosząc śmierć, składają Bogu ofiarę, a zwyciężając, czynią to w imię Boga?“ Omar dodaje, że o Eminie słyszał wiele dobrego, że „umie słuchać dobrych rad i jest rozumnym“, i zapewnia go łaski Makdiego. Wyliczywszy zwycięztwa Mahdiego, podnosi porażkę baszy Hiksa, „męża sławnego, który miał przy sobie generalnego gubernatora Sudanu Al-ed-dina, liczne wojsko i działa Kruppa“. W godzinę całe wojsko Hiksa było zniszczone, i wszystkie fortece egipskie aż do Kartumu dostały się pod władzę proroka. Następnie wylicza oficerów, którzy polegli z Gordonem w Kartumie, lub dostali się do niewoli, zastępca Gordona basza Stewart i kilku uwięzionych konsulów umarli w Wady-Kama. Były

gubernator Darfuru Slatin, gubernator Bahr-el-Gazal Lupton, gubernator Kordofanu Ibrahim, tudzież inni więźniowie Mahdiego są zdrowi.

Oto, jakoby epilog krwawych zapasów w Sudanie. Z sławnych 7 paladynów *). wszyscy polegli, albo dostali się do niewoli derwiszów — wyjąwszy jednego Emina, gubernatora prowincyi równikowéj.

Do stolicy jego Wadelai niebawem zawitali dwaj exploratorowie, odcięci także od Egiptu ruchem Mahdiego, dr. Junker i kapitatan Casati.

Urodzony r. 1840 w Moskwie Wilhelm Junker studyował medycyny w Berlinie i Getyndze. zwiedził Islandyę, potem wyruszywszy 1876 z Suakinu, odbył naukową podróż po modrym Nilu. W r. 1879 podjął się nowéj wyprawy, na której zbadał rzekę Nepoko, domyślając się słusznie, że wpada ona do Aruwimi. Wracającego w r. 1883 zaskoczyła wieść o powstaniu Mahdiego. Udał się zatem w styczniu r. 1884 do Emina do Wadelai. Tam spędził dwa lata; dopiero w styczniu r. 1886 wyruszył do Zanzybaru, dokąd dotarł w grudniu, pokonawszy szczęśliwie ciężkie niebezpieczeństwa, grożące od wrogich kacyków na brzegach jeziora Wiktoryi, na wiosnę r. 1887 przybył do Europy i opisami swemi przyczynił się nie mało do poparcia usiłowań, zmierzających do przesłania Eminowi posiłków, broni i t. d., względnie ułatwienia mu odwrotu.

W podobny sposób dostał się do Emina Gaetano Casati. Urodzony w Mayi w Włoszech, dosłużył się rangi kapitana w strzelcach, wreszcie zachorował na tę modnę, jak influencya febrę afrykańską. W r. 1879 stanął na czele ekspedycyi, która miała odszukać wymienionego powyżéj baszę Gessiego, gubernatora prowincyi Bahr-el-Gazal. Przybywszy do stolicy gubernatera Wau, odbył kilka podróży na zachód, zwłaszcza do kraju Niam-Niam i Mombutów (Wambuci Stanleya?), połączywszy się w r. 1882 z Junkerem, odkrył liczne przypływy rzeki Uelle, która wpada do Kongo, i dotarł aż do Itimbiri. Właśnie, gdy w r. 1883 zamierzał posunąć się daléj, dowiedział się o powstaniu Mahdiego i schronił się z Junkerem do Wadelai. Tutaj mąż czynny, odważny i wytrwały oddał wielkie przysługi Eminowi, u którego wytrwał także po odjeździe Junkera i który wielce polegał na jego radach.

Dzienniki włoskie ogłosiły niedawno list Casati'ego, datowany z Tunguru nad jeziorem Alberta 25 marca r. 1888, w którym donosi o zapowiedzianém przybyciu Stanleya. Daléj opisuje swe zatargi z kacykiem Kabaregą, hersztem rozbójników czarnych, nad którym czuwał z polecenia Emina. Kabarega zapłonął nienawiścią

*) Gordon, Gessi, Hiks, Baker, Slatin, Lupton, Emin.

do Casati'ego z powodu jego związków z cesarstwem Ugandą. Dnia 9 stycznia r. 1888 z nakazu Kabregi, Casati był schwytany, związany powrozami i odwleczony do kacyka Kokora nad jeziorem Wiktoryi. Kokoro otrzymał rozkaz ścięcia białego podróżnika. Przez tydzień Casati był trzymany w ścisłem więzieniu, 3 dni bez wszelkiéj strawy. Kupiec włoski Riri, który towarzyszył Casatemu, nie mogąc znieść dłużéj tych męczarni, popełnił samobójstwo. Wszystkie notatki, karty, zbiory Casatego, zostały zniszczone. Złożoną w Unjoro kość słoniową, (która w tych strefach jako pieniądz zastępuje złoto nasze), zrabowano. Na szczęście Casati za pośrednictwem gońca, który czółnem dotarł do Tunguru, zdołał uprzedzić Emina, który przybył parowcem jeszcze w sam czas, aby oswodzić dzielnego kapitana!

W obradach, które po nadejściu Stanleya odbywały się w Kawalli, nad jeziorem Alberta, a miały na celu skłonić Emina do opuszczenia prowincyi równikowéj, kapitan Casati utwierdzał gubernatora w zamiarze wytrwania (o czém poniżéj) i dla tego téż nie cieszy się łaską Stanleya.

Jeżeli autentycznym jest list Stanleya, wysłany 31 sierpnia r. 1889 z Msalali do p. Wintona, [1]) wódz ekspedycyi „Emin Pacha Relief Comitee“ dowiedział się od Jephsona, że „od blizko 5 lat Emin nie miał ani prowincyi, ani rządu, ani żołnierzy i jeżeli niektórzy słuchali go, to jedynie przez grzeczność i z braku pretekstu do wypowiedzenia mu posłuszeństwa. Skoro zaś, powodowany odżywającym optymizmem śmiał się pokazać żołnierzom, był natychmiast obrażany, znieważany i uwięziony“.

Z świadectw Casatego, Junkera, Emina samego, dowiemy się z czasem, ile w tém ponurym obrazie jest prawdy? Tymczasem zaznaczamy, że Jephson dostał się do Emina w maju r. 1888. W kilka miesięcy potem wybuchł rokosz wojskowy przeciwko gubernatorowi, ale pono głównie dla tego, ponieważ Egipcyanie nie dowierzali wysłańcowi Stanleya, zwłaszcza nie mogli pojąć, aby do Egiptu, zkąd przybyli Nilem od północy, można się dostać, wy-

---

[1]) Zastrzeżenie konieczne wobec niesumienności niektórych dzienników, które, aby bawić czytelników, ogłaszały zmyślone listy Stanleya, Emina i t. d. Tak np. powien dziennik wiedeński w wrzekomej depeszy londyńskiej ogłosił w listopadzie szczegółowy opis oblężenia Dufile przez mahdistów, przy czém chorego Emina jako wodza zastępowała bohaterska córka Ferida, i t. d., w innéj depeszy znowu zapewniał, że Emin w północnym kierunku dotarł, aż do Wadi Halfa, nad drugim Kataraktem, przeszło 20 stopni geograficznych na północ od Wadelai! To téż w niniejszéj pracy uwzględniliśmy tylko te listy Stanleya, które tak ze względu adresata (komitet londyński), jako téż z innych względów, mają wyraźną cechę autentyczności.

ruszając w kierunku południowym, t. j. przez jezioro Alberta, Wiktoryi i t. d. Nadto jeszcze rozeszła się wieść, że Stanley nie tylko nie ma żadnego zlecenia od Khedywa, lecz zamierza wszystkich Egipcyan „sprzedać w niewolę". Dopiero więc wskutek podobnych podszeptów, wybuchł rokosz, który wprawdzie mógł Jephsona pobudzić do pesymistycznego sądu, ale jednak nie znosi faktu, że od r. 1878-go a zatem od 10 lat, Emin, utrzymał się na stanowisku gubernatora. Oczywiście na zarząd w tych odległych prowincyach nie wolno zapatrywać się ze stanowiska funkcyonującéj z dokładnością i regularnością maszyny administracyi europejskiéj; tam władza i gubernatorstwo zasadza się na zajęciu kilkunastu ważniejszych punktów czyli stacyi i wymuszaniu najniezbędniejszych podatków, co najwięcéj na zakładaniu fabryk i bronienia tubylców od łowców na niewolników. Otóż niewątpliwie na takie rozmiary Emin, aż do rokoszu wojskowego w sierpniu r. 1888-ym dzierżył władzę gubernatora. To też Emin, bądź, że jako człowiek „sentymentalny", jak go nazwał Jephson, jest optymistą, bądź, że istotnie pomimo rokoszu wojskowego i napadu wojsk Mahdiego położenie jego nie było rozpaczliwe, bądź wreszcie, że, jak zauważył Stanley, cierpiał na ową „febrę afrykańską", która nawiedza wszystkich Europejczyków, skoro dotkną się ziemi środkowo-afrykańskiéj — właściwie pragnął tylko przywrócenia komunikacyi z Europą, może także posiłków, ale nie miał zamiaru opuszczać swéj gubernii.

W takim duchu odzywał się przed Junkerem i tak też w liście do d-ra Felkina w Edinburgu z 17-go kwietnia r. 1887-go, oświadczył, że nie myśli zaniechać swego cywilizacyjnego dzieła w Afryce, lecz pomimo ciągłych napaści ościennych plemion, pragnie wytrwać na swém stanowisku.

Wszystko to świadczy, że położenie Emina nie było tak rozpaczliwém i niepewném, jak to przedstawia adjutant Stanley'a p. Jephson, i tłómaczy, dla czego w obozie w Kawalli potrzeba było tak długich namów i przedstawień, aby go wreszcie skłonić do wymarszu.

Na odwrót, nie można czynić Stanley'owi żadnego zarzutu, że namawiał Emina do opuszczenia prowincyi równikowéj. Że odprowadził go do zbawczego brzegu, to nie mogło zwiększyć sławy wodza „Emin Pacha Relief Comitee". Świeża sława jego polega na tem, że pierwszy od zachodniéj strony, od Kongo, dotarł do źródeł Nilu, że przezwyciężywszy niesłychane trudności dwa, względnie trzy razy zawitał nad jezioro Alberta, spotkał się z Eminem, mógł mu oddać listy i posyłki — słowem, dokonał, o co przed nim i równocześnie inni, jak prof. Lenz, d-r Peters, daremnie się kusili. Reszta, t. j. czy Emin powróci z nim do brzegu lub nie? to nie mogło w niczem podnieść zasługi i sławy Stanleya. Owszem mąż tak bystry, musiał przewidzieć, że uprowadzając Emina naraz się

nowe wyrzuty, gdy zaopatrzywszy go w posiłki i wzmocniwszy na stanowisku gubernatora prowincyi równikowéj, zapewniał sobie jeszcze więcéj rozgłosu.

Jeżeli pomimo tego tak usilnie namawiał Emina do powrotu, czynił to oczywiście z głębokiego przekonania, że zagrożony napaścią wojsk Mahdiego, tudzież niesfornością załogi egipskiej, żadną miarą nie zdoła się utrzymać na swém stanowisku. Może Emin sam i Casati, trafniéj oceniali położenie, niż świeżo przybyły w te strefy Stanley, uprzedzony raportami Jephsona. Bądź jak bądź, co robił, to robił szczerze, z przekonania, stosownie do tego, co mu powiadał jego rozum, a gdyby Emin potrzebował uniewinnienia, że się wreszcie zdecydował do odwrotu, zdanie męża tak odważnego a dzielnego, jak Stanley, który ten odwrót uznał jako konieczny, całkiem go usprawiedliwia.

Nasuwa się jeszcze pytanie, czy i o ile wytrwanie Emina w prowincyi równikowéj mogło być pożądanem ze względów politycznych i cywilizacyjnych? Odcięta hordami Mahdiego od Egiptu prowincya Emina ani dla Egiptu, ani dla Anglii nie miała interesu politycznego. Khedyw też przez 4 laty od upadku Kartumu ani razu nie pomyślał o przesłaniu Eminowi posiłków, nadał mu tylko tytuł baszy a „Emin Pacha Relief Comitee“ wsparł 10,000 funtami szterlingów. Cywilizacyjnéj też missyi w danych warunkach, jakie się wyrobiły w ostatnich latach, zagrożony nieustannie napadami wojsk mahdistów, Emin na szerszą skalę spełnić nie mógł. Ku temu trzeba większych środków, przynajmniéj takich, jakiemi można było rozporządzać w Lado lub Wadelai, dopóki żegluga parowa na Nilu nie została przerwana.

Być może, iż najkrótsza, od Kongo do jeziora Alberta droga, odkryta przez Stanleya, na ostatniej wyprawie, z czasem wielce ułatwi komunikacyę z prowincyą równikową i stanie się głównym szlakiem prądów cywilizacyjnych. Ku temu jednak potrzeba kilka lat, założenia stacyi nad Aruwimi, urządzenia żeglugi parowéj, jak na Kongo, poskromienienia dzikich tubylców, którzy wprawdzie w teoryi stali się poddanémi wolnego państwa Kongo, ale o tém sami jeszcze nic nie wiedzą. Trudno zaś przypuścić, aby Emin był się jeszcze kilka lat utrzymał na swem gubernatorstwie.

Z jakiegokolwiek więc punktu widzenia, zapatrujemy się na tę kwestję, zawsze dochodzimy do wniosku, że wprawdzie Emin okazał się mężem szlachetnym, gdy się długo wzbraniał opuścić swe stanowisko, że jednak Stanley słusznie naglił do odwrotu.

II.

Wyjechawszy 26 stycznia r. 1887 z Angli. 29 Stanley przybył do Kairo, gdzie od Khedywa otrzymał listy dla Emina i spotkał się zwracającym od źródeł Nilu d-rem Junkerem, dnia 3 lutego wyje-

chał do Zancybaru, głównéj stacyi wszystkich swych wypraw afrykańskich. Tu ułożył się z znanym z dawniejszych jego wycieczek możnym kupcem arabskim Tibbo-Tibem, który już nieraz był mu wielką pomocą. Tibbo-Tib miał osiąść w stacyi Stanley-Falls nad rzeką Kongo i tam stanowić niejako tylną straż expedycyi. Zebrawszy tymczasem oddział 9 Europejczyków, pomiędzy którymi najwybitniejsi: Bartelot, Nelson, Jephson, Stairs, dr. Parke, tudzież 737 murzynów śród których znajdowało się kilkudziesięciu dawnych towarzyszy Stanleya przy odkryciu biegu Kongo w r. 1877, a potem przy zakładaniu stacyi nad tą rzeką w latach 1879—1884, dnia 24 lutego wyjechał z Zancybaru parowcem i okrążywszy południową Afrykę, 18 marca dotarł do ujścia rzeki Kongo do Atlantyku. Dzięki energji i zabiegłości rezydującego w Brukseli rządu wolnego państwa Kongo, rzeka ta jest zabezpieczona łańcuchem stacyi, czyli fortów to też odpocząwszy kilka dni w Leopoldville oddział Stanleya na czterech parowcach i kilkunastu wielkich czółnach dnia 28 maja dotarł do miejsca, gdzie płynący od wschodu Aruwimi wpada do Kongo, mniéj więcéj stopień geograficzny na północ od równika [1]). Postępując następnie nad Aruwimim na wschód, Stanley założył w osadzie Jambudze obóz, w którym pozostawił majora Edmunda Bartelota z załogą 257 ludzi, którzy mieli tworzyć tylną straż i przechować zabrane dla Emina towary, broń i t. d. Tibbo-Tib tymczasem na rzece Kongo popłynął do stacyi Stanley-Falls ale, jak się zdaje, tym razem nie spełnił nadziei Stanleya.

Dnia 28 czerwca Stanley w 388 żołnierzy i nosicieli wyruszył z Jambugi na wschód i odtąd... jakby przepadł w pomroku ciemnego kontynentu. Przez kilkanaście miesięcy nie było o nim autentycznéj wieści, co tem bardziéj ułatwiało rozszerzanie najśmielszych wymysłów o losie sławnego konkwistadora. Dopiero 21 grudnia 1888 r. przez stacyą Stanley-Falls i Zancybar dotarła do Europy wiadomość, że Stanley dokonał szczęśliwie przeprawy do jeziora Alberta, spotkał się tam z Eminem, powrócił po swą tylną straż i wybiera się ponownie do Emina. W kwietniu r. 1889 nadeszły wreszcie własnoręczne listy Stanleya, zawierające wzruszający opis téj pierwszéj jego przeprawy.

Opuściwszy osadę Jambugę oddział Stanley 160 dni maszerował przez ogromne lasy. „W Anglii, — oświadcza Stanley w liście do zięcia Liwingstona p. A. L. Bruce, — podobną przestrzeń jak ta, którą, pokrywa las pomiędzy rzeką Kongo a stepami przy jeziorze Alberta, byłbym przebył w dwóch tygodniach. Ale możesz sobie wyobrazić, jakie uczucia owładnęły nami, gdy miesiąc po miesiącu

---

[1]) Porówn. Wydaną nakładem Justusa Perthesa kartę „Emin Pascha und Stanley in Central Afrika 1889 r. d-ra R. Ludecko, Gotha 1889 r.

byliśmy zmuszeni przerąbywać się przez potworne gęstwiny. Dopiero po 160 dniach wydobyliśmy się z ciemności. Raz byliśmy wszyscy bliscy zgonu. Wrzesień, październik i pierwsza część listopada r. 1887 pozostawią niezatarte ślady w mojéj pamięci. Wyobraź sobie ogrom trudności i najszczelniejszą gęstwinę, osłoniętą cieniem 100 do 180 stóp wysokich drzew, pełną krzew i kolcy, szerokie bagna, niekiedy głęboką rzekę. Wyobraź sobie las ten i gęstwinę w wszystkich stadyach zgnilizny, mech rojący się od owadów wszelkiego rodzaju, koloru i wielkości na drzewach małpy, dziwaczne głowy zwierząt z bliska i z daleka, w zasadce karły z zatrutemi strzałami, i silni tubylcy z strasznie ostremi dzidami; codziennie deszcz i mokre sprowadzające febrę i dysenteryę powietrze; nigdy nie rozjaśniony słońcem cień za dnia, a zupełną ciemność w nocy; zbierz to wszystko razem, a może wyobrazisz sobie trudności, jakie musieliśmy przezwyciężyć pomiędzy 28 czerwca do 5 grudnia 1887 r. Najgorszymi były karły, zwane Wambutti; także zwierzęta są tu tak dzikie i nieprzystępne, że polowanie nie sprawia rozrywki".

Ogromne te lasy, których przestrzeń Stanley oblicza na 266,000 angielskich mil kwadratowych, rozpościerają się wzdłuż prawego brzegu rzeki Kongo od Nyangwy aż na północ rzeki Aruwimi, w szerz zaś od Kongo na wschód pomiędzy 29-tym a 40-tym stopniem wschodniej długości.

Śród tego lasu, oddział Stanleya postępował z Jambugi na wschód na południowym brzegu rzeki Aruwimi. Już drugiego dnia, za zbliżeniem się karawany, tubylcy podpalają swe sioła i z pod dymu napadają na tiraljerów Stanleya. Przez 5 dni następnych karawana przebywa niezmiernie zaludnione wsie, których mieszkańcy utrudniają ile możności przeprawę. Aż do 15 października Stanley maszeruje na południowym (lewym) brzegu Aruwimi; 24-go dnia po wyjściu z Jambugi, dwóch ludzi karawany uchodzi; przez cały miesiąc lipiec zatrzymuje się tylko cztery razy. Dnia 1 sierpnia umiera jeden z ludzi na dyssenteryę. Dotąd więc przeprawa odbywała się śród warunków pomyślnych.

Odtąd jednak w gęszczy lasów cierpienia zwiększają się, liczba chorych i umierających wzrasta. Chorych Stanley w pirogach wiezie rzeką i nieustannie postępuje naprzód. Dnia 13 sierpnia trzeba stoczyć krwawą walkę z mieszkańcami osady Avi-Sibba. Tu od zatrutych strzał ginie 5 ludzi, a porucznik Stairs, ciężko raniony w pierś, przez cały miesiąc znosi najsroższe boleści. Dnia 15 sierpnia p. Jephson, dowódzca oddziału, postępującego nad brzegiem rzeki, zabłąkał się i dopiero 21-go złączył się z Stanleyem, który 25 sierpnia dociera do osady Ave-Jeli, gdzie Nepoko wpada do Aruwimi. Dnia 31 sierpnia expedycya napotyka na karawanę arabów Ugarowy, która 26 murzynów Stanleya skłania do dezercyi. Dnia 14 września przybywa do osady tegoż Ugarowy, byłego to-

warzysza exploatora angielskiego Spekego. Arabowie, jak zwykle, spustoszyli okolice, nie dostaje żywności. Stanley przeto powierza Ugarowi 56 chorych Somalów i Sudańczyków, płacąc za ich utrzymanie 5 dolarów od głowy na miesiąc, i wyrusza dalej na wschód. W miesiąc później przybywa do obozu Kilonga Longi, Zancybaryty i niewolnika znanego z dawniejszych podróży Stanleya Araba Abed-ben-Salima. Ten październik najsroższej się zapisał w dziejach expedycyi. Opuszczając osadę Ugarowy karawana Stanleya liczyła już tylko 213 osób. Żywność stanowiły dzikie owoce, grzyby i orzechy. Niewolnicy arabów przyczynili się do zwiększenia kłopotów expedycyi, kupując od ludzi Stanleya broń, proch i odzienie, tak że opuszczając osadę Ugarowy, expedycya była całkiem wycieńczona. Trzeba było zostawić czółno stalowe (składane) i 70 paczek towaru, które w obozie Kilongi Longi pozostały pod strażą chorego kapitana Nelsona i d-ra Parkego. Przeprawiwszy się przez Aruwimi, czyli, jak się nazywa w tych stronach, Ituri, karawana odtąd postępowała po prawym, północnym brzegu.

Wreszcie 12-go listopada w osadzie Iwbiri, dokąd z 388 ludzi, z którymi Stanley w czerwcu był wyruszył z Jambugi, dotarło już tylko 174, expedycya natrafia na obfitą żywność, odpoczywa 13 dni, i o pokrzepionych siłach, 29-go listopada wyrusza w dalszą drogę. Jeszcze 126 kilometrów dzieliło ją od jeziora. Dopiero 5 grudnia karawana wydobywa się z ciemnego lasu na słoneczną równinę. „Po 160 dniach ciągłej ciemności widzimy wreszcie słońce, oświecające krajobraz, który się rozwija przed nami. Nigdy trawa nie wydawała się nam równie zieloną, krajobraz równie uśmiechniętym! Ludzie moi ryczą i podskakują z radości, zapominając o ciężarach, jakie noszą, rozpoczynają szalone tańce. Czuję w sobie uczucie entuzyasmu, nierozdzielnego od wszelkiego sukcesu. Biada tubylcowi, któryby nas był zaczepił. Ożywieni tym samym duchem, co ja, ludzie moi byliby się rzucili na niego jak wilki na jagnięta. Tylko wieczna noc z tych biednych ludzi zrobiła te istoty nędzne, traktowane brutalnie, przez niewolników Kilongi Longi!!“

Dnia 9 grudnia Stanley przybywa do kraju potężnego Kacyka Mozamboni, na samej wschodniej granicy wolnego państwa Kongo (tworzy ją tutaj, na północ od równika, 30 stopień dług.). Sioła tu tak liczne, że niema innej drogi, jak pomiędzy chatami lub przez otaczające je pola. Trzeba było stoczyć krwawą walkę z tłumami tubylców. Dnia 13 grudnia o 1-szej godzinie w południe karawana, zaczepiana ciągle przez oddziały tubylców, wyrusza w dalszą drogę na wschód. W kwadrans potem Stanley odzywa się do swoich towarzyszy: „Przygotujcie się ujrzeć fale jeziora!“ Odpowiadają mrucząc: „Dla czego Pan mówi nam nieustannie o jeziorze! czyliż nie znajdujemy się na równinie i czyż nie widzimy gór o 4 marsze dzienne przed nami!“

„O pół do drugiéj jezioro Alberta (albo Mwutan Nsige) rozpościera się u nóg naszych. Teraz przyszła na mnie kolej szydzić z sceptyków. Ale w chwili, gdy chciałem zapytać, co to widzą przed sobą, wszyscy rzucili się do mnie, aby mi całować ręce i przepraszać. To była nagroda moja"—dodaje Stanley. Wzgórze, z którego karawana ujrzała jezioro, było wyniesione 1,550 metrów nad powierzchnią wody. Postępując dalej w kierunku wschodnio-południowym, dnia 15-go grudnia 1887 karawana dotarła do Kawalli, na południowo-zachodnim brzegu jeziora Alberta. Przeprawa z Jambugi do jeziora trwała więc 5½ miesiąca.

Wysławszy w lutym 1887-ym r. z Zancybaru gońców do Emina, Stanley spodziewał się, że zastanie w Kawalii albo samego gubernatora, albo wysłańców jego. Atoli w Kawalli nie było żadnéj wieści o Eminie. Dostać się do niego lądem, na zachodnim brzegu jeziora, z powodu wojowniczych i dzikich plemion, zamieszkujących te strony, jako też bardzo już nielicznego oddziału, jakim rozporządzał Stanley, było niepodobieństwem. Postanawia więc powrócić po czółno, zostawione w osadzie Kilongi Longi.

Powziąść zamiar a wykonać go, to dla sławnego anglo-amerykanina jest tém samém. A zatem 16-go grudnia rozpoczyna się odwrót, 7 stycznia 1888 karawana staje w Ibwiri, gdzie Stanley zakłada obwarowany obóz Bodo. Tymczasem porucznik Stairs z 100 ludźmi udał się do osady Kilongi Longi, aby sprowadzić kapitana Nelsona, d-ra Parkego, czółno i załogę, z któréj pozostało tylko 11 żołnierzy. Ciężka febra gastryczna i wrzód na ramieniu powaliły Stanleya na łoże. Dopiero po miesiącu, dzięki staraniom d-ra Parkego odzyskał zdrowie i 2 kwietnia ponownie wyruszył w drogę do jeziora, wysławszy Stairse po ludzi, pozostawionych w osadzie Ugarowy, a zamianowawszy kapitana Nelsona dowódzcą fortu Bodo z załogą 43 ludzi. Dnia 29 kwietnia, wysławszy poprzednio Jephsona na czółnie do stacyi Emina Msua na północno-zachodnim brzegu jeziora, Stanley przybył do Kawalli, gdzie tegoż dnia wieczorem stanęli Emin, kapitan Casati i Jephson.

Pierwsza część zadania, spotkanie się z Eminem, była więc spełniona. Trudniej było z drugą, uprowadzeniem gubernatora z nader zagrożonej pozycyi w prowincyi równikowej. W owej chwili Emin miał pod swemi rozkazami dwa bataliony regularnego wojska egipskiego. Pierwszy, liczący około 750 karabinierów, zajmował stacye Dufilé, Labore, Redjaw i t.d. ku północy; drugi, liczący 640 żołnierzy, stacye Wadelai, Fatiko, Mahagi, Msua nad jeziorem Alberta. Stacye te tworzyły łańcuch długości około 330 kilometrów od jeziora wzdłuż Nilu. Nadto gubernator miał jeszcze wojsko nieregularne, majtków, rzemieślników, mnóstwo sług, razem z kobietami i dziećmi około 8,000 osób, które pragnął zabrać ze sobą, gdyby się zdecydował opuścić swe stanowisko.

— Gdybym był na twojem miejscu, zauważył Stanley, nie wahałbym się ani chwili.

— Prawda, odpowiadał Emin; ale zważ znaczną liczbę dzieci i kobiet. Jakim sposobem tych wszystkich przeprawić? Będzie nam potrzeba bardzo wielu nosicieli.

— Na co nosiciele?

— Dla kobiet i dzieci. Nie mogę ich opuścić, a niepodobna, aby odbyły podłóż pieszo.

— Kobiety, mówił Stanley, powinny iść pieszo, to im wyjdzie na dobre; co do małych dzieci, wsadzisz je na osły, których masz pono 200. W pierwszym miesiącu pójdziemy zwolna, potem przywykną do tego. Na mojéj drugiéj podróży kobiety z Zancybaru maszerowały przez całą Afrykę. Dla czegóż twoje murzynki nie miałyby uczynić tego? Nie obawiaj się niczego, wywiążą się lepiéj z zadania swego niż mężczyźni.

— Będzie nam jednak potrzeba dużo żywności na drogę, wtrącał Emin.

— Prawda, ależ posiadasz kilka tysięcy rogacizny, które dostarczą świeżego mięsa. Okolice, któremi się przeprawiemy, dostarczą nam jarzyny i zboża.

— Pomówiemy o tem jutro.

W dalszych rozmowach Emin oświadczył: „Może istotnie będzie lepiéj wydalić się! Egipcyanie wszyscy gotowi wyruszyć; będzie ich około 200 bez kobiet i dzieci. Choćbym nawet pozostał tutaj, chętnie bym się ich pozbył, bo wszelkie ich usiłowania zmierzają do tego, aby osłabić moją władzę i odciąć mi odwrót. Kiedy im obwieściłem upadek Kartumu i śmierć Gordona, dowodzili nubijczykom, że to bajka i że dnia pewnego parowce przybędą z północy Nilem!“

Emin nie był też wcale pewnym dwóch bataljonów regularnego wojska. „Przywykli tu do życia wolnego i szczęśliwego, oburzą się na myśl opuszczenia stref, gdzie życie jest o wiele przyjemniejsze, niż w ich własnym kraju. Niektórzy z nich posiadają haremy. Przypuśćmy, że nie zechcą towarzyszyć mi, wtedy moje położenie będzie bardzo trudnem. Czyżby to z mojéj strony było ludzkiem, gdybym ich opuścił? Znaczyłoby to narazić ich na śmierć pewną. Byłbym zmuszony pozostawić im broń i amunicyą, karność upadnie utworzą się stronnictwa, wywiąże się krwawa walka, rzeź kompletna“.

— Przypuściwszy, wtrącał Stanley, że postanowisz pozostać tutaj, co zamierzasz uczynić z Egipcyanami?

— Poproszę cię, abyś ich zabrał ze sobą.

— Teraz gubernatorze, bądź łaskaw zapytać kapitana Casatego, czy będę miał przyjemność towarzystwa jego w podróży do brzegu, bo byłem proszony dopomódz mu, gdybym go spotkał?

Kapitan Casati odpowiedział za pośrednictwem Emina:

— Zachowanie się gubernatora będzie dla mnie normą; jeżeli zostanie, i ja zostanę, jeżeli odejdzie, i ja odejdę.

— Widzę gubernatorze, wtrącił Stanley, że jeżeli pozostaniesz, odpowiedzialność twoja będzie bardzo wielką, — na co kapitan Casati odparł:

— Przepraszam, zwalniam gubernatora z wszelkiéj odpowiedzialności, radzę się tylko méj własnéj woli.

Narady te pomiędzy Stanleyem, zalecającém odwrót, a Eminem, wahającém się, trwały nad jeziorem Alberta aż do 25 maja (1888 r.) Tegoż dnia, pozostawiwszy u Emina swego pełnomocnika Jephsona i otrzymawszy od gubernatora 102 nosicieli tudzież trzech żołnierzy, Stanley opuścił brzeg jeziora, aby ściągnąć tylną straż, pozostawioną pod dowództwem majora Bartelota w Jambudze.

W dwa tygodnie potém stanął w forcie Bodo, który się rozwijał pomyślnie. Dnia 16 czerwca udał się w dalszą drogę, 24 czerwca przybył do osady Kilongi Longi, 19 lipca do opuszczonéj osady Ugarowy, wreszcie 17 sierpnia napotkał na resztki tylnéj straży w Bonalyi nad Aruwimim o 100 kilometrów na wschód od Jambugi. W bramie palisady stał mąż biały, dr. Bonny.

— A, kochany Bonny, gdzież jest major? zapytał Stanley.

— Zginął Panie, zabity przed miesiącem przez plemię Maniema.

— Wielki Boże! a p. Jamieson?

— Udał się do Stanley-Falls, aby zażądać ludzi od Tibbo-Tiba.

— A p. Trupp?

— Powrócił do Europy, chory.

— Gdzie jest Ward?

— W Pangali.

— A zatem jesteś tutaj sam?

— Tak panie.

Z 257 ludzi, pozostawionych w Jambudze pod dowództwem majora Bartelota, pozostawało 71, z których tylko 52 zdawało się być zdolnymi do służby.

Według planu Stanleya, major Bartelot miał czekać w Jambudze na resztę towarów i amunicyi, które powinny były przybyć z Stanley-Pool, następnie, pozostawiwszy załogę w obozie, udać się w drogę na wschód, postępując szlakiem, utorowanym oddziałem Stanleya. Otóż od chwili, kiedy Stanley opuścił Jambugę, zapanowało tam zamieszanie, sprowadzające dezercye, śmierć i wszelkie katastrofy. Przednia straż pod dowództwem Stanleya, pomimo nieprzyjaźni tubylców, z Jambugi do Banalyi przeprawiła się w ciągu 16 dni. Oddział majora Bartelota dokonał téj saméj przeprawy w ciągu 43 dni. Gdy wreszcie do Bonalyi przybiegli deserterzy przedniéj straży, rozgłaszając, że Stanley zginął, choć nie

przynieśli ze sobą żadnych dowodów, w obozie majora Bartelota powstał popłoch, który sprowadził katastrofę.

Wysławszy z obozu w Bonalyi 18-go sierpnia owe listy, które za pośrednictwem Tibbo-Tiba dostały się przez Zancybar do Europy i w grudniu r. 1888 przyniosły nam pierwszą autentyczną wiadomość o losach Stanleya, dnia 1-go września ponownie udał się w drogę na wschód. Przeprawa ta była jeszcze trudniejszą, niż poprzednie. Z 102 ludzi oddziału Stanleya zaledwo 50-ciu było zdolnych maszerować, a ci musieli staczać nieustannie walki z dzikiemi plemionami. W pobliżu osady Ugarowy, Stanley opuścił czółna a wiedząc z dawniejszych przepraw, jak niebezpieczną jest podróż na błotnym brzegu rzeki Ituri, przeprawił się przez nią i nową, krótszą drogą zdążał do fortu Bodo Ituri bowiem od fortu tego zbacza w południowo-zachodnim kierunku i dopiero od osady Kilongi-Longi znowu zwraca się w kierunku północno-zachodnim, tak że najkrótsza droga z fortu Bodo do osady Ugarowy tworzy prostą linię, czyli podstawę trójkąta, którego dwa drugie boki tworzą linie od fortu Bodo do osady Kilonga Longi i od téj do osady Ugarowy, (zob. kartę, wymienioną powyżéj).

Atoli choć krótsza, nowa droga, którą ruszył Stanley, nie była wygodniejszą. Dnia 30-go paźdz. 1888 r. karawana opuściła osadę Ugarowy na północnym brzegu Ituri. W dwa dni potem dotarła do bogatéj osady, gdzie zaopatrzyła się w żywność na tydzień, atoli murzyni natychmiast rozszarpali zapasy, narażając się później na straszny głód. Przez 10 dni nie napotkano na nową osadę. Głód i ospa dziesiątkowały szeregi. Po 14-tu dniach karawana dotarła do kraju Andikumu, gdzie się znowu zaopatrzyła w żywność. Nagle rzeka Ihuru, płynąca z północy do Ituri (Aruwimi) wstrzymała dalszy pochód. W braku czółen, trzeba było postępować nad brzegiem owéj rzeki w kierunku północno-wschodnim, a zatem zboczyć z prostéj drogi, wiodącéj do Bodo. Wtedy piąta część oddziału była chorą. W 6 dni po opuszczeniu Andikumu, expedycya przybyła do bogatego sioła Indeman, zamieszkałego przez dzikich, ludożerczych karłów, którzy nie chcieli ani dostarczyć czółen, ani wskazać brodu. Wtedy dr. Bonny z Zancybarczykami rzucili się do wody i wystawili most.

Przeprawiwszy się tym sposobem przez rzekę, trzeba było staczać krwawe walki z karłami, zwanymi Wambutti. Stanley wtedy wysłał kilkudziesięciu żołnierzy w tył po żywność. Przez 6 dni nie było o nich wieści. Tymczasem w obozie głód zapanował na nowo. Rozdano już resztę mąki i ostatnią kozę. Żołnierze popadli w zupełną, moralną i fizyczną apatyę. Przeto 6-go dnia Stanley postanowił cofnąć się celem odszukania owych furażerów. W obozie pozostał dr. Bonny z 10 stróżami. „Jowialnym i wesołem tonem“,—pisze Stanley w liście z 5 sierpnia r. 1889 do prezesa „Emin Pacha Relief Commity“ w Londynie, — choć nigdy nie czułem

w sercu większego smutku, wytłomaczyłem 43 wygłodniałym towarzyszom, którzy się zebrali koło mnie, że wracamy, aby odszukać naszych wysłańców i że, gdybyśmy ich nie znaleźli, sami postaramy się o żywność. Przez pół dnia przebiegliśmy 9 mil, napotykając na każdym kroku na umarłych ludzi. W dwa dni potem z rana spotkaliśmy naszych furażerów, maszerujących raźno, pomimo ciężaru żywności, jakie nieśli. Kłusem tedy wracaliśmy do obozu Stawahin (obóz głodu), dokąd powróciliśmy w 26 godzin po wyjściu naszem, zaopatrzeni hojnie w żywność. Na żadnéj dawniejszéj wycieczce afrykańskiéj głód tak nam nie dokuczył, jak na tém fatalném miejscu. Aż 27 ludzi umarło tu z głodu".

Wreszcie 20 grudnia oddział stanął w forcie Bodo, gdzie przebywał Stairs z 55 ludźmi. Według planu Stanleya, Jephson, pozostawiony u Emina, miał przysłać do Bodo gońców, albo też przybyć tam z gubernatorem i jego towarzyszami. Atoli nie było tu żadnéj wieści o Jephsonie. Zatém 23 grudnia, zabierając załogę fortu Bodo, Stanley wyruszył w dalszą podróż; dnia 9 stycznia 1889 r. wydobył się z lasów, wielce zaniepokojony brakiem listów Jephsona, dnia 11 stycznia tylną straż powierzył d-rowi Parkemu i kapitanowi Nelsonowi, sam zaś pośpiesznym marszem zdążał naprzód. Ludność tym razem przyjęła go uprzejmie. Przybywszy do jeziora Alberta, z wielkiem zdumieniem dowiedział się, że nienadeszli żadni gońcy od białych. Dopiero 16 stycznia w siole Jawirar spotkał wysłańców z Kawali, którzy mu wręczyli trzy na raz listy Jephsona, donoszące o rokoszu w prowincyi równikowéj.

Dotarłszy w dwa dni potém do Kawali, wysłał natychmiast list do Jephsona, wzywający gubernatora do zdecydowania się, czy zamierza pozostać lub opuścić prowincyą? Dnia 6-go lutego Jephson przybył do obozu Stanleya, wyłuszczał wahania się Emina i oświadczył: „Sentymentalność jest największem wrogiem baszy. On sam jest swoim największym nieprzyjacielem". Jednakże 17-go lutego Emin dwoma parowcami „Khedyw" i „Nyanza" z córką Feridą itd. przybywa do obozu Stanleya.

Zanim przystąpimy do drugiej części wyprawy Stanleya, do przeprawy od jeziora Alberta do brzegu wschodniego, trzeba nam streścić owoce naukowe jego kilkakrotnych przepraw pomiędzy Jambugą a Kawalli. Droga ta, najkrótsza od rzeki Kongo aż do jezior równikowych, na przyszłość niezawodnie stanie się jednym z najgłówniejszych szlaków afrykańskich. Przestrzeń od Jambugi do Kawalli wynosi 1091 kilometrów, a zatem mniej więcej tyle, co odległość Genui od Hamburga. Od jeziora Alberta do rzeki Kongo teren powoli spada z 1650 metrów do 420 metrów nad powierzchnią morza.

Rzeka Aruwimi w sto mil na zachód od Jambugi przybiera nazwę Suhali, w 300 mil od Kongo nazwę Itiri, potém Ituri aż do źródeł na północno-zachodnim brzegu jeziora Alberta. Jednak Aru-

wimi nie należy do największych rzek, wpływających do Kongo. Uelle, Kassai, Lubilacz znacznie go przewyższają. W odległości 680 angielskich mil przed ujściem do Kongo, szerokość Aruwimi wynosi 128 yardów, głębokość 9 stóp. Według obliczenia Stanleya, długość téj rzeki wynosi około 800 mil. Jeszcze przed wydaniem zapowiedzianego nowego dzieła Stanleya, niektórych bliższych szczegółów o górnym Ituri dowiemy się prawdopodobnie z wychodzącego obecnie tutaj w zeszytach dzieła Junkera, który w r. 1882 zbadał bieg rzeki Nepoko, płynącego z północy do Aruwimi czyli Ituri, a jak się zdaje, dotarł aż do téj głównéj rzeki.

Następnie ostatnia wyprawa Stanleya przyczyniła się do wyjaśnienia systemu jezior równikowych względnie źródeł Nilu. Sławny explorator bowiem skonstatował teraz, że odkryte przezeń w r. 1877 jezioro Muta Nsige czyli Alberta-Edwarda za pośrednictwem potężnéj 80 do 100 yardów szerokiej rzeki Semliki wpływa do jeziora Mwutan Nsige czyli Alberta, z którego wypływa Nil. Jezioro Alberta jest więc wielkim rezerwoarem Nilu, zasilane z zachodu przez rzekę Semliki i wody jeziora Alberta-Edwarda, a z wschodu upływem jeziora Victoria.

Na północno-wschodnim brzegu jeziora Alberta-Edwarda mniej więcej stopień geograficzny na północ od równika, wznoszą się potężne góry śnieżne wysokości około 18,000 stóp. których najwyższy wierzchołek tworzy Ruwenzori. Z rozkazu Stanleya porucznik Stairs zbadał tę górę aż do wysokości 10,600 stóp, wyżej wznieść się nie mógł, bo trzy przepaście dzieliły go od głównego śnieżnego szczytu. Cale te pasmo gór pokryte śniegiem. Cóżby na to powiedzieli geografowie średniowieczni, przekonani, że skwary równik czynią absolutnie nieprzystępnym? Aż do wysokości 8,000 stóp plemie Bakongów zamieszkuje boki tych gór. Kiedy rozbójnicze plemię Warasurów napada ich bardzo dobrze uprawiane pola, chronią się jeszcze wyżéj w góry, aż do stref śnieżnych.

Lodowy mróz tych gór tworzy rażącą sprzeczność z skwarem dolin. Tu roślinność rozwinięta w sposób najbogatszy. Porucznik Stairs zebrał mnóstwo okazów, które potém Emin, znakomity botanik, uporządkował. Według wszelkiego prawdopodobieństwa śniegi tego pasma gór żywią jeziora Alberta-Edwarda i Alberta a zatem pośrednio Nil, którego ciekawe tajemnice i mityczne źródła, dzięki niepospolitéj energii exploatorów nowoczesnych, wreszcie odsłaniają się jedno po drugiém.

Warto jednak zaznaczyć, że, jakkolwiek ani Herodot, ani Diodor, Strabo, Plinius, o źródłach Nilu nie mieli słusznych wyobrażeń, jednak najznakomitszy geograf starożytności Klaudyusz Ptolomeusz, żyjący w drugim wieku po Chrystusie, podaje właśnie te hipotezy, które się okazały trafnémi. Starożytny Egipt sięgał tylko do pierwszego kataraktu Nilu, t. j. mniéj więcéj do 24 stopnia półn. szerokości. Tymczasem Ptolomeusz umieścił źródła Nilu

o wiele daléj ku południowi, w szerokości wyspy Madagaskaru, a zatem prawie na należnem miejscu. Zdaniem jego, śniegi „gór księżycowych“ Σελήνης ὄρος, odkrytego przez Stanleya Ruwenzori, zasilają dwa jeziora, wschodnie (Ukerewe czyli Wiktorja), i zachodnie (Mwutan czyli Alberta), z których wypływają dwa ramiona Nilu. W głównéj zatem rzeczy Ptolomeusz zdołał zaczerpnąć o źródłach Nilu autentycznych wiadomości,choć trzeba było prawie 2000 lat, aby zostały sprawdzone na miejscu. Także o karłach, zamieszkujących brzegi jezior różnikowych, z któremi Stanley na ostatniéj wyprawie staczał krwawe bitwy, już w starożytności rozszerzyły się wieści. I tak Aristoteles w „dziejach zwierząt“ (T. VIII. 2), zaznacza: „Czaple wędrują aż do górnoegipskich jezior, gdzie się znajdują źródła Nilu, tam mieszkają pigmei, a nie jest to bajka lecz czysta prawda; ludzie i konie, jak opiewa podanie, są nader szczupli i przebywają w jamach.“ Tym sposobem wyjaśniają się liczne karły na pomnikach egipskich, np. w sławnéj świątyni Karnaku; bogaci egipcyanie otaczali się karłami centralnéj Afryki, jak w średnich wiekach królowie i książęta bufonami.

Jeżeli tak, co do gór śnieżnych — nad równikiem — Stanley zrehabilitował geografa starożytności, to co do rozległości jednego z dwóch jezior, stanowiących wielkie rezerwoary Nilu, jeziora Wiktoryi, sprostował mylne daty nowoczesnych podróżników. Na swéj drugiéj wyprawie afrykańskiéj, sławny anglo-amerykanin, wyruszywszy 17-go listopada 1874 r. z Bogomoya, 27 lutego r. 1875 przybył do południowego brzegu jeziora Wiktoryi a od 8 marca do 5 maja czółnem objechał je do koła. Nadzwyczaj zajmujący opis téj przejażdżki, jako też odwiedzin u młodego, potężnego cesarza Ugandy Mtesy (który już nie żyje) zawiera dzieło Stanleya: „Przez ciemny kontynent“, 1878, I-szy tom. Wówczas jednak co do rozległości jeziora Wiktoryi czyli Ukerewe, Stanley polegał na notatkach Spekego; teraz przybywając od zachodniej strony, skonstatował, że jezioro rozpościera się o wiele daléj w południowo-zachodnim kierunku, ani przypuszczano, i to aż do 2° 48′ południ. szerokości, tak, że odległość tego brzegu Wiktoryi od jeziora Tanganika wynosi tylko 155 angielskich mil, zaś całe jezioro Wiktoryi jest o 1000 mil kwadratowych rozleglejsze, niż dotąd obliczano.

III.

Przybywając w styczniu r. 1889 po raz trzeci do jeziora Alberta, Stanley nasamprzód z wymienionych powyżéj listów p. Mounteney-Jephsona dowiedział się o wypadkach, które od czasu swego powrotu do Jambugi względnie Bonalii, zaszły w prowincyi Emina, a powinny były wpłynąć przeważnie na decyzye gubernato-

ra na korzyść rad Stanleya. Listy te tak dramatycznie opisują *rokosz* wojskowy, że najlepiéj będzie przytoczyć je dosłownie.

„Dufilé, 7 listop. 1888 r. [1]) Kochany Panie, spodziewam się, że ten list przybędzie w czas do Kawali, abyś się miał na baczności. Dnia 18 sierpnia wybuchł tu rokosz. Basza i ja zostaliśmy uwięzieni. Baszę trzymają w zamknięciu, co do mnie, mogę się przechadzać po stacyi, ale jestem pod dozorem. Rokosz wszczęło kilku oficerów i podoficerów egipskich. Powoli przystąpili inni, głównie z trwogi. Wyjąwszy stacyę Labore, żołnierze nie wzięli udziału w rokoszu, lecz słuchali oficerów. Gdy basza i ja zamierzaliśmy wyruszyć do stacyi Redjaw, oficer Abdul Vaal i jeden z podoficerów, opowiedzieli ludowi, że ciebie poznali, że jesteś awanturnikiem, nie przybywasz z Egiptu, a rzekome listy, które ci miał wręczyć Khedyw i Nubar, są sfałszowane, że nieprawda, aby Kartum był się dostał w ręce Mahdiego, i że umówiłeś się z gubernatorem, wszystkich egipcyan jako niewolników oddać anglikom. W ten sposób sfanatyzowana ludność uwięziła nas. Rokoszanie wysłali gońców do innych stacyi i częścią namową, częścią groźbą, skłonili oficerów do przystąpienia do rokoszu.

„Emin i oficerowie, którzy mu pozostali wiernymi, zostali złożeni z urzędu. Ich miejsce zajęli rokoszanie. Postanowiono wysłać baszę jako więźnia do stacyi południowéj. Niektórzy nawet chcieli go okuć w kajdany, ale żołnierze oświadczyli, że na to nie pozwolą. Naradzano się także nad tém, aby ciebie za twoim powrotem uwięzić i złupić. Tymczasem nadeszła wiadomość, że wojsko Mahdiego na trzech parowcach i 9 czółnach przybyło do stacyi Lado i zdobyło ją. Dowódzca mahdistów Osnar Sali przysłał trzech dumnych derwiszów z listem dla baszy. W liście tym, którego odpis załączam, generał Mahdiego domaga się niezwłocznego poddania mu kraju. Naczelnicy rokoszu wtrącili derwiszów do więzienia i postanowili rozpocząć wojnę.

„W kilka dni potém wojsko Mahdiego napadło i wzięło Redjaw, zabiło 5 oficerów i wielu żołnierzy, kobiety i dzieci wzięto w niewolę, zabrano wszystką amunicyę i żywność. Mieszkańcy stacyi Bedden, Kirri i Muggi schronili się do Labore. Basza sądzi, że oddział mahdistów liczy 1500 żołnierzy. Oficerowie z znacznym oddziałem wyruszyli do Muggi, aby stawić opór. Położenie ich jest opłakane. Od początku rokoszu nastał chaotyczny zamęt. Nikt nie słucha

---

[1]) Wymienione w listach Jephsona stacye czyli obozy Emina, w następującym porządku tworzą łańcuch z południa ku północy: Msua na zachodnim brzegu jeziora Alberta, potém nad Nilem: Wadelai, Dufilé, Labore Muggi, Bedden, Redjab, wreszcie na 5-tym stopniu półn. długości Lado, dawniejsza stolica gubernatora przed upadkiem Kartumu i zanim fale Mahdiego poruszyły się ku południowi.

oficerów, codziennie krzyżują się najsprzeczniejsze rozkazy. Plemie Barisów połączyło się z mahdistami, którzy jeżeli dotrą do Dufilé, nic nas nie zdoła ocalić. Oficerowie są wielce zatrwożeni; niecierpliwie oczekują Twego przybycia i pragną z nami opuścić kraj. Są teraz przekonani, że Kartum upadł i że przybyłeś z polecenia Khedywa... Jesteśmy schwytani, jak szczury w łapce. Oficerowie nie pozwalają nam ani działać, ani się wydalić. Obawiam się, że nadejdziesz zapóźno. Spotka nas ten sam los, co wszystkie inne załogi Sudanu. Gdyby ten rokosz nie był wybuchł, basza byłby czas jakiś mógł się oprzeć mahdistom. Teraz to niepodobném... Proszę za przybyciem do Kawalli napisać list do Szukri-Agi, naczelnika stacyi Msua, aby mu oznajmić Twe przybycie i życzenie zobaczenia się z baszą i ze mną. Donieś nam także, ilu masz ludzi ze sobą. Ani basza, ani ja nie wierzymy, aby ci groziło niebezpieczeństwo więzienia, bo lud teraz przekonany, że przybywasz z Egiptu i liczy na to, że go ocalisz. W każdym razie miéj się na baczności. Jeżeli nie zdołamy wydobyć się ztąd, zechciéj mnie przypomnieć przyjaciołom i krewnym. Twój oddany A. I. Mounteney-Jephson."

„Wadelai 24 listopada 1888 r. Goniec nie wyruszył jeszcze, dołączam więc przypisek do pierwszego listu, który na życzenie Emina posyłam cały. Jak zauważyłem, rokoszanie zamierzali odzyskać Redjaw, ale pobici przez wojsko Mahdiego, stracili 6 oficerów i wielu żołnierzy. Najzaciętsi przeciwnicy baszy polegli w téj bitwie. Żołnierzy na wszystkich stacyach opanowała trwoga. Oświadczyli, że nie wyruszą w pole, dopóki basza znajdować się będzie w więzieniu. Naczelnicy rokoszu widzieli się zatém zmuszeni wrócić mu wolność. Odesłali nas do Wadelai. Basza jest wolnym, niezrzekł się jeszcze swéj władzy, ale sądzę, że pragnie to uczynić. Za dwa dni przybędziemy do Tunguru nad jeziorem i spodziewam się, że skoro otrzymamy wiadomość o Twojém przybyciu, basza uda się na spotkanie z Tobą... Niebezpieczeństwo, o ile grozi ze strony wojsk Mahdiego, zwiększyło się wskutek owéj klęski pod Redjaw, pod innem względem położenie nasze polepszyło się, bo znajdujemy się daléj od nich i możemy się cofnąć, gdybyśmy chcieli. Nadeszła tu wiadomość, że mahdiści wysłali parowce do Kartumu po posiłki. Mogą zatem stanąć tutaj za 6 tygodni. Jeżeli przybędą z posiłkami, zginiemy, bo nasi żołnierze nie zdołają stawić im oporu. Będzie to dla mahdistów prosta przechadzka (walk over)... Wszyscy wyglądają tu niecierpliwie Twego przybycia, bo zjawienie się wojsk Mahdiego wprawiło ich w rozpacz... Jeżeli przybędziesz przed końcem grudnia, zdołamy ujść, choć nie podobna przewidzieć, co się wydarzy. A. I. M. J."

„Tungura 18 grudnia 1888 r. Kochany Panie, goniec Mogo jeszcze nie wyruszył. Oto drugi dopisek. Znajdujemy się teraz w Tunguru. Dnia 25 listopada, wojsko Mahdiego stanęło przed Dufilé i oblegało te stacye przez 4 dni. Żołnierze Emina, w liczbie

500 odparli mahdistów, którzy się cofnęli do Redjaw, swéj głównéj kwatery. Oczekują posiłków z Kartumu, aby ponowić zaczepkę. Gdyśmy uchodzili z Wadelai, oficerowie żądali, abyśmy zniszczyli nasz skutek „Advance“. Wysadziłem go zatém w powietrze. Pracują pilnie nad obwarowaniem Dufilé... Basza nie może ruszyć ani ręką, ani nogą, bo istnieje silna opozycya, oficerowie zaś już się nie boją przybycia Mahdistów. Pod żadnym warunkiem nie maszeruj do Urate, mego dawnego obozu nad jeziorem, lecz do Kawalli na wyżynie. Przyszlij mi natychmiast list, po którego odebraniu, przybędę do was, z poddanemi baszy będziesz miał ciężką sprawę. Spodziewam się, że przybędziesz przed mahdistami, inaczéj położenie nasze będzie rozpaczliwe.“ [1])

Otrzymawszy te listy, Stanley natychmiast (18 stycznia 1889 roku: napisał do Jephsona, wzywając Emina, aby przybył do obozu w Kawalli. „Pragnę przyjść z pomocą baszy, mniejsza o to, jakim sposobem. Jeżeli życzy sobie wyjść z kłopotów, będę jego wiernym sługą i przyjacielem, ale gdyby się znowu wahał, pogrążyłby mnie w zdumienie i ambaras. Czuję się zdolnym ocalić tuzin baszów, byle chcieli być ocaleni. Chętnie na kolanach błagać go będę, aby zrozumiał swe położenie. Nie daj się wprowadzić w pokuszenie temu złowrogiemu urokowi, który w ostatnich latach Sudan wywierał na wszystkich europejczyków. Odkąd dotkną się téj ziemi, zdawają się być porwani wirem. Na to niema lekarstwa, jak ślepe posłuszeństwo dla każdego rozkazu, nadchodzącego z zewnątrz. Komitet (oswobodzenia Emina) oświadczył mi: Odkryj Emina i ocal go za pomocą środków, których ci dostarczamy. Jeżeli pragnie się wydalić, środki te ułatwią mu odwrot, a przydadzą mu się, jeżeli pragnie wytrwać“. Khedyw powiedział mi to samo, ale dodał: „Jeżeli basza i jego oficerowie pragną zostać, uczynią to na własnę odpowiedzialność“. Sir Evelyn Baryng (angielski minister w Egipcie) powiedział mi to samo w wyrazach jasnych i zwięzłych, i otóż przebywszy drogę 4100 mil, znajduję się tutaj z ostatnią gałęzią zbawienia. Oby, komu należy, chwycił się jéj. Przybywajcie, jestem gotów służyć mu całą siłą i inteligencyą. Teraz nie może być wahania. Trzeba pozytywnego *tak* albo nie, *and home we* go“.

---

[1]) W krótkim liście napisanym podczas odwrotu w stacyi misyi angielskiej Usambiro nad jeziorem Wiktorya 28 sierpnia 1889 r. do znanego podróżnika i geografa Schweinfurta, Emin stwierdza główne punkta w listach Jephsona: „W mojéj prowincyi wybuchło powstanie. W skutek tego zostałem uwięziony z Jephsonem w Dufilé. Tymczasem mahdiści przybyli do Lado nad Białym Nilem na 5-ym stopniu szerokości, 32 długości. Zdobyli i zburzyli stacyę naszą Redjaw. Oddział, któryśmy wysłali przeciwko nim, wycięli. Musieliśmy zatem cofnąć się do Wadelai i Tunguru. Mahdiści następnie usiłowali zdobyć Dufilé, ale doznali zupełnéj porażki. Po tych wypadkach połączyliśmy się z Stanleyem i wyruszyliśmy razem w drogę“.

Jak już wspomnieliśmy powyżéj, Jephson przybył do obozu Stanleya 6 lutego, Emin zaś z pierwszym oddziałem swych towarzyszy, 17-go lutego.

Z Eminem do obozu Stanleya w Kawalli przybyło 56 osób, pomiędzy niemi Selim bey i 7 oficerów Egipcyan i Nubijczyków, przysłanych jako deputacya od oficerów, którzy sobie przywłaszczyli władzę w prowincyi równikowej. Następnego dnia przybył także Stairs z tylną strażą i zebrano się zatem na radę wojenną. W imieniu deputacyi egipskiej przemawiał Selim bey, który był odniósł niedawno pod Dufilé zwycięztwo nad oddziałem wojsk Mahdiego, domagał się czasu, aby wojsko egipskie z kobietami i dziećmi mogło opuścić prowincyę i przybyć do obozu w Kawalli. Stanley zauważył: „Od roku czekam prostej odpowiedzi na prostę pytanie: chcecie pozostać w Sudanie czy wrócić zemną do Egiptu? Przyrzekam wam, że zaczekam dość długo, aby wszyscy, co pragną tego, mogli się zemną połączyć.“ Na tem stanęło. Dnia 21 lutego Emin z oficerami swemi opuścił obóz Stanleya, założony na wysokim wzgórzu, i powrócił do swego obozu bezpośrednio przy jeziorze. Dnia 25 lutego przybył tam parowiec wysłany do Msua, z drugim oddziałem ludzi Emina, ale równocześnie z doniesieniem, że w Wadelai wybuchł nowy rokosz i zastępcę Emina Selima beya złożono z urzędu. W skutek tych wieści Emin następnego dnia z córką Feridą z 144 ludźmi przybył do obozu Stanleya i postanowiono razem wyruszyć za miesiąc. Tymczasem wnoszono do stromego obozu niezliczone bagaże gubernatora i jego towarzyszy.

Trzydziestego dnia po odpłynięciu Selima beya z Kawalli, nadszedł tam od niego i od naczelników rokoszu list, w którym uznawali władzę „wysłańca naszego wielkiego rządu“ i oświadczali gotowość powrócić do Egiptu. W tych okolicznościach Emin sądził, że trzeba poczekać trzy miesiące. Stanley przeto zwołał swych oficerów Stairsa, Nelsona, D-ra Parkego, Jephsona i np. Williama Bonny na walną naradę, na której był obecny Emin. Na zapytanie Stanleya, czy można zaczekać dłużej, jak do 10 kwietnia? wszyscy jego oficerowie odpowiedzieli przecząco, po czem zwracając się do Emina oświadczył: „Baszo, oto moja odpowiedź: 10-go kwietnia wyruszymy w drogę.

— W waszej duszy i sumieniu zwalniacie mnie z wszelkiego zarzutu, gdyby moi ludzie nie zebrali się tutaj przed 10 kwietnia? zapytał Emin.

Wszyscy razem odpowiedzieli: tak.

W trzy czy cztery dni potem Emin, polegający chętnie na radzie kapitana Casatego zawiadomił Stanleya, że kapitan nie uważa podobnego opuszczenia poddanych jako usprawiedliwione. Stanley udał się przeto z Eminem do kapitana Casatego, który powoływał się na względy prawa, honoru, obowiązku, które jego zdaniem zmuszały Emina „moralmente“ wytrwać w swéj prowincyi (czy też tyl-

ko zaczekać na wszystkich tych swych towarzyszy, którzy byli gotowi połączyć się z nim!?)

„Zbijałem te złowrogie myśli, powiada Stanley, abecadłem pospolitego rozsądku. Porównywałem obowiązki Emina względem swych poddanych z kontraktem bilateralnym (? ależ Emin nie był naczelnikiem wybranym przez murzynów lub Egipcyan, lecz mianowanym przez rząd egipski). Skoro jedna strona nie dotrzymała swych obowiązków, druga tem samem została uwolniona z swoich (według tej teoryi, w razie rokoszu oficerów wszelka władza powinna czém prędzej wynieść się z kraju!). Gubernator wytrwał wiernie na swém stanowisku, aż do dnia, gdy go lud złożył z urzędu (właśnie nadeszły z Wadelai listy oficerów z oświadczeniem, że się poddawają Eminowi). Rząd (egipski) zgadzał się na ewakuacyą prowincyi równikowéj i przysyłał mu eskortę celem ułatwienia odwrotu. Honor nie wzbrania liczyć się z koniecznością. Basza względem swych poddanych jest zwolniony z wszelkich powinności i nie jest moralnie zobowiązanym pozostać z ludem, który go sobie nie życzy. — Sądzę, że ani Emin, ani Casati nie byli przekonani. Jakież to dziwne przywiązanie oficerów europejskich i egipskich, jako też żołnierzy sudańskich, do tych stref Afryki!“

Stanley ze swego stanowiska mógł szczerze tak rozumować i mówić. Rzeczywiście też przytoczone powyżej słowa Khedywa zwalniały Emina z obowiązku wytrwania w Wadelai. Atoli ze stanowiska politycznego i humanitarnego, na którém stał „sentymentalny“ Emin, ze stanowiska delikatnego honoru wojskowego, w imię którego odzywał się sympatyczny kapitan włoski Casati, nie można było poprzestać na spełnieniu ścisłego obowiązku w sensie prawniczym, lecz powstawały skrupuły i wahanie się.

Że Emin i Casati w obec ciągłych rokoszów oficerów egipskich wreszcie ulegli namowom Stanleya, nie zadziwi nikogo; tem, że się tak długo wahali, dowiedli uczuć prawdziwej szlachetności, która się nie zadawalnia spełnieniem ścisłego obowiązku, lecz pragnie, ile możności, uczynić zadość względom wyższej moralności, choćby nieparagrafowanej kodeksem służbowym.

Tymczasem nadeszły z Wadelai wieści o nowych zaburzeniach i zupełnej niemocy stronników Emina; na domiar w nocy z 5-go na 6-go kwietnia kilkunastu Egipcyan Emina napadło obóz Stanleya, aby zabrać Zancybarczykom broń. Stanley teraz rozwinął całą swą energią Anglo-amerykanina. Nazajutrz rano zwołał wszystkich towarzyszy Emina i wezwał tych, którzyby pragnęli wyruszyć do Zancybaru, stanąć po jednej, tych, co by pragnęli pozostać w Sudanie, po drugiej stronie. Gdy prawie wszyscy stanęli po pierwszéj, Stanley zwrócił się do Emina:

„Zechciéj baszo oświadczyć tym arabom, że tutaj muszą ustać wszelkie te zachcianki rokoszu, które popłacają w Wadelai i Dufilé,

i że przy najmniejszym nieporządku, którego się dopuszczą, wytnę ich wszystkich."

Gdy Emin przetłomaczył to, wszyscy arabowie ukłonili się i przysięgali, że święcie będą słuchać „ojca" swego. Następnie Stanley uczynił przegląd towarzyszy Emina i pokazało się, że było 134 mężczyzn, 184 kobiet zamężnych, 187 służebnic, 74 dzieci nad dwa lata i 35 niemowląt—ogółem 514 osób.

Dnia 10 kwietnia karawana, licząca z towarzyszami Stanleya i z 350 nosicielami bagaży Egipcyan 1500 osób opuściła Kawalli, w dwa dni potem, w kraju kacyka mozamboni, Stanley ciężko zachorował i przez 28 dni nie mógł opuścić łoża. Pomimo tej długiej zwłoki, z oficerów egipskich, którzy nibyto pragnęli towarzyszyć Eminowi, przybył tylko jeden Szukri-aga, naczelnik stacji Msua z 12 żołnierzami, którzy jednak niebawem zbiegli. W czasie choroby Stanleya były niewolnik majora Awasha uknuł spisek. Prawie umierający Stanley, cudem nadzwyczajnéj energii, powstał z łoża, kazał uwięzić herszta spisku, stawić go przed sąd wojenny i powiesić.

Dopiero 8 maja 1889 można było ruszyć w dalszą drogę. Codziennie trzeba było staczać krwawe walki z wojowniczemi plemionami Wanjorów i Wagandów. Wzdłuż jeziora Alberta-Edwarda walki te ustały, ale za to febra dziesiątkowała szeregi. Dziennie wydarzały się aż 150 wypadków febry. Emin, Casati i wszyscy Europejczycy byli wycieńczeni. Murzyni a zwłaszcza nieprzywykli do podobnych przepraw Egipcyanie, chowali się w trawie lub dołach i niespostrzeżeni przez tylną straż, stawali się ofiarą tubylców; tym sposobem w jednym miesiącu lipcu zginęło 140 Egipcyan.

Przywiedzeni głodem do rozpaczy nawet doświadczeni żołnierze Stanleya sprzedawali broń i proch, aby kupować żywność. Kapitan Nelson i dr. Parke, którzy dowodzili tylną strażą, byli narażeni na niesłychane cierpienia. Stanley był zmuszony kilkakrotnie cofnąć się, aby im przyjść w pomoc. Przez góry i rzeki śród nieustannej walki z dzikimi tubylcami trzeba było nieść kilkaset chorych.

Dopiero 3 sierpnia karawana dotarła do Kufuro, mniej więcej w środku pomiędzy jeziorami Alberta Edwarda i Wiktoryi. Z Kufuro dnia 5 sierpnia Stanley wysłał do p. Mackinnona, prezesa „Emin Relief Comitee" ów obszerny list, zawierający przytoczone powyżej szczegóły o trudnościach, jakie miał do zwalczenia, aż skłonił Emina do odwrotu.

Wyruszywszy 6-go sierpnia z Kufuro, w ostatnich dniach sierpnia karawana dotarła do jeziora Wiktoryi. Ztąd Emin wysłał do p. Mackinnona list, cechujący szlachetny charakter ex-gubernatora a zdolny zawstydzić tych zbyt gorliwych wielbicieli Stanleya, którzy zresztą całkiem niepotrzebnie usiłują wynieść swego

bohatera kosztem Emina. „Przybyłem tu—pisze—pod eskorta Stanleya i spieszę przesłać wam tych słów kilka, aby wam podziękować za szlachetną pomoc, jakiej mi udzielił komitet. W chwili nieszczęścia odezwałem się do świata o wsparcie dla mych towarzyszy. Wiedziałem wprawdzie, że nie będzie daremnem, ale nie spodziewałem się tyle dobroci. Nie podobna mi opowiedzieć wam, co się tu wydarzyło po nadejściu Stanleya. Jego wymowne pióro opowie wam to lepiej. Spodziewam się także, iż rząd egipski pozwoli mi kiedyś, przybyć do was osobiście i wyrazić wam uczucie mojej wdzięczności. Tymczasem proszę wszystkim subskrybentom komitetu wypowiedzieć szczere podziękowanie garstki ludzi opuszczonych, którzy dzięki wam, zostali ocaleni od zguby i mają teraz nadzieję uściskania swych rodzin. Na teraz nie starczy mi słów na pochwałę Stanleya i jego oficerów. Skoro przybędę do was, wypowiem całą wdzięczność, którą im jestem winien".

W Usambiro na południowym brzegu jeziora Wiktoryi, karawana gościnnie przyjęta została przez misyonarzy angielskich, którzy Stanleyowi oddali przysłane dla niego przez Zancybar towary i żywność. Dnia 3 września wzorowy reporter wysłał ztąd list do prezesa „Emin Relief Comitee", opisujący dokładnie dzieje niebezpiecznéj przeprawy od jeziora Alberta. Tu też dopiero dowiedział się o powstaniu w niemieckich koloniach nadbrzeżnych, jednak postanowił tędy dążyć do Zancybaru. Z Usambiro karawana w południowym kierunku przez kraj Uniamwesi dążyła do znanéj wielkiéj osady Tabory. Przedtém z osady Usukumai dokąd przybyła 10 września, Stanley i Emin wyprawili owych gońców, którzy 11 października dotarli do zburzonej niedawno przedtem przez Buszirego stacyi niewielkiéj Mpwapwy, tam nazajutrz spotkali się z majorem Wissmanem i donieśli mu o zbliżaniu się Stanleya i Emina. Już bez wszelkich przeszkód, ale harcowani głodem, maszerując od Tabory w wschodnio-południowym, potem w wschodnim kierunku przez Myongo, Mdabura, Mwami, dnia 10 listopada 1889 r. sławni konkwistadorowie przybyli do Mpwapwy.

Przeprawa od jeziora Alberta trwała 188 dni, od jeziora Wiktorya 55 dni. Przybywając do Mpwapwy, karawana liczyła 750 ludzi, z tych 294 towarzyszy Emina, pomiędzy któremi 50 dzieci. Z białych, oprócz Stanleya, Emina i córki jego Feridy, znajdowali się w orszaku Stairs, Nelson, Mounteney-Jephson, d-r Parke, a zatem wszyscy Europejczycy, którzy 28 czerwca 1887 r. wyruszyli z Stanleyem z Jambugi na wschód, daléj William Bonny, który tam był pozostał z majorem Bartelotem, następnie kapitan Casati, Marco Włoch i Vitu Hassan, aptekarz z Tunisu, którzy towarzyszyli Eminowi, nadto trzéj misyonarze Hofman, Girault i Schinze, o których nie wiadomo, gdzie się przyłączyli do karawany. Z oficerów egipskich Emin miał przy sobie Araba Awasha, majora 2-go batalionu, tudzież Wakeersa, rodowitego Sudańczyka.

Od jeziora Wiktoryi karawana utraciła już tylko 18 ludzi, zastrzelonych przez tubylców.

W dalszym pochodzie na wschód, dnia 29 listopada prawdopodobnie w stacyi Simba-mwera [1]), przyjmowali podróżników naczelnik okręgowy baron Gravenreuth i korespodent „New York-Herald“, — bezimienny na teraz, ale może drugi jaki Stanley in petto, wiadomo bowiem że tenże swój zawód konkwistadora afrykańskiego rozpoczął jako reporter tegoż dziennika amerykańskiego. „Stanley — opowiada jego następca — pomimo trudów i cierpień, jakie przebył, wygląda dobrze. Włosy jego posiwiały, wąs całkiem siwy, bardzo się zmienił. Miał na sobie surdut z prostéj materyi, ale wygodny, na głowie kaszkiet pruski, trzewiki z konopi. Sztandar amerykański, który mu miałem wręczyć, powiewa teraz nad jego namiotem. Herbata, kawa, tytoń, chinina, wino, słowem wszystko, co przysłał „New-York-Herald“ doznało najlepszego przyjęcia; w imieniu własném, jako też towarzyszy Stanley serdecznie dziękował za te przysmaki, których im tak długo niedostawało. Emin zniósł także mężnie ciężką przeprawę do brzegu. Jest to człowiek chudy, brunatnéj cery, nosi okulary i wygląda na profesora. Jest skromny w obejściu (jak zwykle ludzie sentymentalni), mówił mi, że nie żąda żadnéj nagrody i pragnie pozostać w służbie Khedywa. Kapitanowi Casatemu oddałem listę i ubiory, które mi dla niego wręczył konsul włoski w Zancybarze. Zdaje się, że kapitan więcéj ucierpiał od drugich. Wszyscy zresztą Europejczycy są zdrowi. Emin i ludzie jego z wdzięcznością przyjęli obfitą żywność jaką dla nich przywiózł baron Gravenreuth. Wieczorem odbyła się w namiocie naczelnika uczta, na któréj wygłoszono pełne zapału toasty“.

Dnia 1-go grudnia ekspedycya ruszyła w dalszą drogę i 4-go przybyła do Bogomojo nad brzegiem Oceanu indyjskiego. Miasteczko było przystrojone łukami tryumfalnemi z zielonych gałęzi, z wszystkich domów powiewały chorągwie, z okien witano odważnych podróżników palmami, okręty wojenne angielskie i niemieckie tudzież i wojsko Wissmanna salutowały wystrzałami armatniemi. Konsulowie włoski, angielski i niemiecki tudzież reprezentant „Emin Relief Comitee“ przybyli z Zancybaru. Stanley i Emin konno odbyli wjazd do Bogomojo. Wieczorem, na uczcie wydanéj na cześć gości, major Wissmann sławił ich odwagę i wytrwałość, Stanley w odpowiedzi swéj uronił łzę nad licznémi swemi żołnierzami „któ-

[1]) Depesze nazywają tę stacyę Msua albo Tsua. Na kilku dokładnych kartach, które mam przed sobą, ani na najnowszéj d-ra Lueddeckiego, takiej stacyi tam niema, jest tylko na wszystkich stacya powyżéj wymieniona i to właśnie w odległości 4 do 5 marszów dziennych od Bogonwojo.

rych kości bieleją w odwiecznym lesie nad brzegiem Kongo“,—ale niestety, po uczcie, Emin, którego wzrok bardzo osłabiony, spadł z balkonu z wysokości 20 stóp i tak ciężko się skaleczył, że zrazu powstały największe obawy. W pierwszych dniach stycznia rb. miał się już nieco lepiéj, jednak Stanley sam tylko przybył 6 grudnia do Zancybaru, zkąd był wyruszył na tę dramatyczną wyprawę w lutym r. 1887-go, i zastał tutaj cały stos depesz z powinszowaniami i zaproszeniami od monarchów, humanitarnych i uczonych stowarzyszeń, kongresu brukselskiego i t. d. — słowem doczekał się niezwykłego tryumfu.

Zasłużył go sobie, niespolitą odwagą i wzorową wytrwałością. Od 20 lat powoli, mozolnie dobijał się sławy. Kiedy wracał z pierwszéj wyprawy afrykańskiéj, po odnalezieniu Liwingstona 1871 r. wyjąwszy koła fachowe, nikt nie zwracał na niego uwagi. „W nagrodę za wszystkie mozoły — powiedział sam późniéj — traktowano mnie jako szarlatana, opis mój nazwano romansem, dowodzono nawet, że nie spotkałem się z Liwingstonem! Gdy wracał z drugiej wyprawy 1876—77 po odkryciu Kongo, przybijając do Europy spotkał wysłańca króla Leopolda i zdumiał nawet z powodu tego zaszczytu. Tym razem raczono uwierzyć w trzecią lub czwartę część tego, co opowiadał, i nie traktowano go już jako szarlatana. Trzecia wyprawa (1879—1889) miała na celu, założenie stacyi nad Kongo; za powrotem, został zaproszony jako doradca na konferencyą berlińskę, która utworzyła wolne państwo Kongo. Teraz wraca jako tryumfator i gdyby w Londynie był kapitol, wprowadzonoby go tam, aby uwieńczyć skroń jego koroną z wawrzynu. Tłómaczy się to po części dawniejszą zasługą, po części strasznemi trudnościami, jakie na téj ostatniéj wyprawie przezwyciężył, przedewszystkiem zaś tem, że szlachetna myśl dszukania odciętego od świata i otoczonego wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwami gubernatora prowincyi równikowéj, zasługuje na najżywszą sympatyę. Z tego względu pewien dziennik belgijski, podniółszy, że król Leopold nazwał Stanleya „swym przyjacielem“, słusznie zauważa: „Il mérite d'être l'ami des rois et celui de tous les gens de coeur“.

Wreszcie zapał, jaki powrót Stanleya z ostatniéj wyprawy obudził, jeżeli nie w całéj Europie, to przynajmniéj w niektórych wielkich krajach, tłómaczy się i tem, że w ciągu tych 20 lat, po części dzięki sławnym wyprawom jego, sprawy afrykańskie stanęły stanowczo na porządku dziennym, przestały zajmować wyłącznie koła uczonych specjalistów, a mocno zaciekawiły ogół przynajmniéj w Anglii, Niemczech i we Włoszech, we Francyi o tyle, że tam każdy nowy zakres Stanleya, który coraz więcéj okazuje się w czynach tém, czem Verne jest tylko w słowach i wyobraźni, wywołuje uczucia i słowa brzydkiej zazdrości. Wogóle jednak sprawy afrykańskie dziś znowu obudzają niemal tyle ciekawości powszechnéj,

jak w owych czasach, gdy senatorzy rzymscy witali się zapytaniem: „Quid novi ex Africa“?

Nieznużony Anglo-Amerykanin o nerwach żelaznych nie zamyśla zresztą odpoczywać długo po ostatniéj bohaterskiéj przeprawie. Kiedy 8 grudnia w porcie Zancybaru na pancerniku angielskim „Turquoise“, po nabożeństwie, majtkowie otoczyli Stanleya, wołając „niech żyje“ przemówił do nich:

„Płaszcz Liwingstona spadł na moje barki. Dzieło moje dopiero się rozpoczęło. Całe moje życie poświęcam jego dokonaniu“.

Świeżo listy Stanleya z ostatniéj wyprawy wydał w Londynie p. J. Scott Keltie, bibliotekarz królewsko-angielskiego stowarzyszenia geograficznego. Równocześnie ich wydanie niewielkie wyszło w Lipsku u Brockhausa pod tytułem: „Stanley's Briefe ueber Emin Pascha's Befreiung“ (1890). Są to te same listy, na których oparliśmy powyższy opis ostatniéj wyprawy Stanleya. — W Brukseli p. Wauters, naczelny redaktor czasopisma „Mouvement géographique“, wydał pod tytułem „Stanley an secours d'Emin pacha“ fantastyczny, ale bardzo ciekawy opis téj podróży.

Wiedeń, w styczniu r. 1890-go.

Najstarszy dom poprawy w Warszawie.

PRZEZ

Z. Z.

Znacznie wcześniéj aniżeli w innych miastach Europy, bo przed 1733 r. powstał w Warszawie staraniem i kosztem Ks. Adama Rostkowskiego, biskupa filadelfijskiego, sufragana łuckiego, archidyakona dobrzyńskiego, proboszcza kapituł warszawskiéj i pułtuskiéj—dom poprawy ludzi moralnie upadłych obojéj płci. O tym domu jest wzmianka w starożytnościach m. Warszawy Wajnerta, bliższych wszakże szczegółów o tym zakładzie, ani w tém dziele, ani w innych nie spotkałem [1]). O założycielu jego wiemy, iż rodził się w 1650 r., umarł zaś w 1738 r.; w późnym bardzo wieku i w parę lat po erekcyi domu poprawy. Kształcił się w Akademii krakowskiéj i odznaczał się cnotą i nauką, kiedy w r. 1695 wybrany był deputatem na Trybunał koronny i dostąpił tak wysokich i zyskownych godności duchownych. Z dzieł jego F. M. Sobieszczański podaje między innemi: „O elekcyi królów polskich“ (Warsz. 1733.) i „*Clypeus cleri poloni contra tela fori saecularis*“ (Warsz. 1728) tj. tarcza duchowieństwa polskiego przeciwko pociskom zwierzchności świeckiéj.

Przypadkiem znalazłem w posiadaniu prywatném autentyczne przywileje erekcyi tego domu, na pargaminie pisane, z trzema pieczęciami woskowemi w puszkach: jeden króla Augusta III-go z d. 24 Stycznia 1736 r. z własnoręcznym podpisem króla i Kazimierza Młockiego, stolnika wyszogrodzkiego, sekretarza większéj pieczęci, w łacińskim języku, wydany z wzmianką o zatwierdzeniu go przez Konstytucyą sejmu pacificationis, 1736 r. pod tytułem: „*domus correctionis*“, (Vol. legg. wyd. Ohryzki t. VI; str. 326) i drugi ks. biskupa Rostkowskiego z 15 Stycznia 1736 r.

---

[1]). F. M. Sobieszczański w „Encyklop. powsz. S. Orgelbranda“. T. 22. str. 342.

po polsku pisany z aprobatą ks. biskupa Andrzeja Załuskiego, kanclerza. Obok tych przywilejów są i inne akta, domu poprawy dotyczące. Zbyt wiele zajęłoby miejsca podanie całéj osnowy tych przywilejów, ograniczam się zatem na podaniu ich treści.

Owóż w akcie nadawczym ks. biskup wyjaśnia cel instytucyi, a mianowicie: że rodzice, panowie „i inni przełożeni, mając dzieci swe, poddane, czeladkę—złych, krnąbrnych, swawolnych, zalotnych, niewiernych, pijanice, próżniaków, także i mężowie złe żony, których w domu ukarać i naprawić nie mogą, radziby jakiemu miejscu, żeby ich tam na naprawę zadali... Także i sędziowie, mając hultajów, niespokojnych, ludziom się naprzykrzających, *tranquillitatem publicam* mieszających, których nie mogąc wedle prawa na śmierć skazać, życzyli podobnego miejsca na ukaranie i poskromienie onych. Więc że na to wszystko bardzo skuteczne podają sposoby *cuchthauzy* (*domus correctionis*), to jest domy umyślnie na ukaranie i poprawę złych wystawione, jako są w Gdańsku, w Warmiey i po cudzych krajach, w każdém prawie mieście, które takowych ludzi złe akcye i nałogi mających, w dobrych, poczciwych, skromnych, spokojnych, posłusznych i prawie z wilków w baranki przemieniać zwykły, gdy tam przez niejaki czas zabawili się z wielką pociechą i tych, którzy tam ich byli zadali, i onych samych, kiedy się obaczyli lepszymi i przez to łaskę, poszanowanie i respekta ludzi mającymi".

Głównem przeto zadaniem owego cuchthauzu było poskromienie i poprawa swywolnych: — aby z wilków stali się barankami i odzyskali szacunek ludzki: zadanie, które dziś i ekonomistów i prawników zajmuje, nad którego rozwiązaniem pracują i kongresy penitencyarne i rządy. Dla osiągnięcia tego celu ks. biskup następujące wskazuje sposoby: „plagi na wstępie i potem, gdy trzeba dyscypliny, zadając je sobie, dyby, kajdany, szczupły i gruby wikt, zimno, w ciemności jaki czas siedzieć, z nikim nie gadać", (system odosobnienia i milczenia w Stanach Zjednoczonych, w Pensylwanii następnie wprowadzony). Zastosowanie tych sposobów pozostawione jest dyrektorowi, według rozsądku swego i proporcyi ludzi i występków ich gdyż, „justa ira mater est disciplina, ubi rigor, ibi vigor", głaskać złych, jest to *dementia non clementia*. Jednak żeby i poprawa była pewniejsza i kary nie były tak gorzkie, zaleca fundator „osładzać je nabożeństwem, dla tego modlitwy poranne i wieczorne odprawiać, litanie i piesni nabożne, według opisania osobnego, śpiewać, czytać z książki pobożnéj przez godzinę codzień, a Mszy ś-téj w niedzielę i święta, katechizmu i kazania słuchać, raz na miesiąc spowiadać się i do stołu Bożego przystępować". Wzbronionem jest: odwiedzanie aresztantów, jako ten dom nie jest więzienie, nawiedzenia potrzebujące i aresztanci nie są więźniowie, ten dom jest szkołą dobrych obyczajów i postępków i oni są uczniowie, nie potrzebujący innych nauczycielów okrom

tych, którzy są podani, t. j. dyrektora i kapelana z zgromadzenia Ks. Franciszkanów, który jedynie mógł słuchać spowiedzi aresztantów, z wyłączeniem innych duchownych". Dyrektor „miał wikt rozrządzać, roboty, pokuty naznaczać i doglądać aresztantów, żeby pilnie i dobrze odprawiali, żeby z sobą i z nikim nie gadali, leniwych i krnąbrnych karać, jedném słowém starać się i przestrzegać, żeby i on sam i posługacze i aresztanci tak wszystko czynili, jako fundator postanowił i jeszcze postanowić może, ale chorych na jakąkolwiek chorobę, ani szalonych nie może przyjmować do tego domu". Do pomocy dyrektor miał przeznaczonych, oprócz kapelana, najmniéj dwóch ludzi z moderunkiem żołnierskim, gospodarza i kucharkę. Z powodu uwolnienia tego zakładu przez króla od wszelkich juryzdykcyi, wyjąwszy w sprawach duchownych i głównych oraz tyczących własności gruntu — juryzdykcya i dozór nad nim zlecony został gwardyanowi Franciszkanów konwentu warszawskiego i bractwa ś-go Benona, które do tego obierało przysięgłego brata. Gwardyan zatem z tym bratem mieli obowiązek przynajmniéj 2 razy do roku wizytować cuchthaus. „W razie dostrzeżenia jakowego *defektu* dyrektora napominać i napomnienie w książkę cuchthauzową wpisywać, a gdyby to nie skutkowało połowę pensyi mu aresztować i na inne potrzeby zachować. Gdyby się jednak nie poprawił, wizytatorowie za przybraniem jednego zakonnika i jednego członka z bractwa ś-go Benona — powinni dyrektora z urzędu złożyć, po odebraniu od niego rachunków i inwentarza, — nowego dyrektora większością głosów obrać z nacyi niemieckiéj, francuzkiéj, włoskiéj, albo z bractwa ś-go Benona, albo kogo inszego z mieszczan, sposobnego do téj funkcyi". Widać, że fundator do krajowców nie miał zaufania i nie upatrywał w nich odpowiednich zdolności do tego urzędu—skoro pierwszeństwo dawał wyraźnie cudzoziemcom, wymieniając swoich na ostatku. Uważał również urząd ten za niegodny stanu szlacheckiego, kiedy o szlachcie nie wspomniał tylko o mieszczanach, z których zapewnie i bractwo ś-go Benona złożoném było. Dlaczego właśnie to bractwo, składające się głównie z Niemców, a nie inne wybraném zostało do opieki nad zakładem— i jakiejego były statuta, dla braku odpowiednich materyałów pod ręką wyjaśnić nie umiem. W razie ciężkich jakich trudności fundator zaleca wizytatorom udawać się do króla przez pieczętarza duchownego (podkanclerzego), którego biskup uprasza, aby téj fundacyi osobliwym był protektorem. Na utrzymanie domu poprawy i jego oficyalistów, ks. Rostkowski przeznaczył prowizyą od sumy 24000 zł., którą odebrał z dóbr Wołczyńce na Podlasiu od Stanisława ks. Poniatowskiego (ojca późniejszego króla Stanisława Augusta), w 1737 r., a następnie na dobrach Kaleń w ziemi warszawskiéj zabezpieczył aktem z d. 7 Września 1737 r., jakto widać z dołączonéj do przywileju kopii dokumentu. Sumę powyższą wszakże dozwolił spłacić

z tych dóbr i na innych umieścić, za zgodą jednak dyrektora i wizytatora Z téj prowizyi dość wysokiéj, bo 7% czyli 1680 zł. wynoszącéj, kapelan dostawał 200 zł.; ostatek zaś dla siebie i na posługaczów oraz na inne potrzeby cuchthauzu dyrektor miał otrzymywać. Na wikt więźniów powinni byli płacić ci, co ich oddawali, najmniéj po trzy grosze dziennie. Czas zamknięcia nie mógł dwóch lat przenosić i przy oddawaniu aresztanta musiał być określonym, — a przed upływem oznaczonego terminu dyrektor nie miał prawa aresztanta wypuszczać. — (Prawdopodobnie jednak skrócenie terminu osadzenia nastąpić mogło za wolą osoby umieszczającéj aresztanta). Obowiązany był wreszcie dyrektor traktować aresztanta tak jako będzie deklarował ten, co go tam dał — a jeśliby ten żadnego nie uczynił postanowienia, to podług rozumienia swego ma się z nim obchodzić". Sposób zatem utrzymania więźnia, jego żywienia, obejścia się z nim, zależał od osoby pozbawiającéj go wolności, a w braku postanowienia w tym względzie od dyrektora. Różnie zatem z owemi aresztantami (stosownie do ich stanu, wieku, płci i rodzaju winy) obchodzić się musiano, jak to i w samym przywileju przewidziano. Zakład ten mieścił się w domu, wymurowanym kosztem ks. Rostkowskiego na Nalewkach, na gruncie, darowanym przez Krystynę z Wołczyńskich Szymanowską, starościnę Wyszogrodzką i jéj synów (na ulicy Pokornéj dzisiejszéj). Grunt ten, jak świadczą dołączone do przywileju kopie aktów, darowany był w 1698 r. przez Jana Wołczyńskiego, stolnika mielnickiego, pisarza skarbowego J. K. Mości i małżonkę jego Cecylią, kongregacyi Ks. Dominikanów ś go Ludwika Bertranda, (tak zwani Obserwanci), z tém wszakże zastrzeżeniem, iż jeżeliby ks. ks. Dominikanie z tego gruntu korzystać nie chcieli, grunt ma wracać do Wołczyńskich. Gdy zatem Dominikanie na gruncie tym klasztoru ani żadnego budynku nie wystawili, córka Wołczyńskich, Krystyna Szymanowska, grunt rzeczony przeznaczyła na dom poprawy ks. Rostkowskiego, aktem z d. 23 Kwietnia 1733 r. pod warunkien jedynie, aby co Niedziela za jéj życia, na jéj intencyą, i po śmierci za duszę jéj i rodziców jéj, kapelan zakładu Mszę ś-tą odprawiał, aresztanci zaś, aby co Niedzielę i Święta po mszy, wszyscy razem głośno po pięć pacierzy odmawiali i, upadłszy krzyżem, po trzy razy: Święty Boże! śpiewali. W akcie tym Szymanowska pochwala pobożną intencyą fundatora i przyznaje: „że na poprowę złych ludzi nie ma skuteczniejszego sposobu, jako ta szkoła, która, wykorzeniając wszelkie występki i grzechowe nałogi, przynos. Panu Bogu chwałę i pociechę, i dobru pospolitemu pokój, sławę i dobre przykłady i t. d". Akt ten prywatny przez tęż starościnę i syna jéj Macieja, starostę wyszogrodzkiego, w urzędzie wójtowskim Staréj Warszawy urzędownie 27 Czerwca 1736 r. potwierdzony został. Obok cuchthauzu, na części tegoż gruntu,

Antoni Szembek, biskup kujawski, założył dom sierot dla ćwiczeń w różnych kunsztach roboczych, i oddał pod dozór bractwa ś-go Benona; ks. Rostkowski przeto w swoim akcie wyraża życzenie, aby dyrektor cuchthauzu, jeśliby nim był jeden z tegoż bractwa, był jednocześnie zarządcą (prowizorem) i domu sierot, z tém jednak zastrzeżeniem, aby przychody jednéj instytucyi nie były obracane na potrzeby drugiéj." W każdym razie zaleca dyrektorowi, aby domowi sierocemu żadnéj nie czynił przykrości, owszem według możności dopomagał i sali (nad celami cuchthauzu) sierotom i majstrom ich do roboty nie bronił—a i warzywa z ogrodu sierotom udzielał. W końcu przywileju zastrzega fundator: „iż póki mu dobroć Boska użyczy zdrowia i życia na tym świecie, zostawuje sobie zupełną moc do rządów i wszelakiéj dyspozycyi cuchthauzu, nie dozwalając żadną miarą, aby ktokolwiek inszy miał się do tego interesować, albo jakkolwiek wdawać bez jego *consensu*. Nie długo wszakże cieszył się biskup swoją fundacyą, bo w parę lat późniéj życie zakończył. W przywileju, potwierdzającym akt nadawczy, w 9 dni po jego dacie wydanym, król August III, uznając gorliwość fundatora w wykorzenieniu występków i staraniu się o poprawę i przyprowadzenie do dobrych obyczajów i poczciwego życia ludzi złych, skażonych, przewrotnych, zepsutych, rozpustnych i krnąbrnych jakiéjbądź płci, stanu i kondycyi, dzieło to pobożne i wielce dla ogółu korzystne (pium et bono publico perutile opus), bierze pod swoję opiekę królewską, ustawy zatwierdza i takiemiż przywilejami, prawami, jakie podobnemu domowi w Gdańsku przez poprzednich królów nadane były, obdarza. Przy czém wyraźnie nadmienia, iż dom ten nie jest więzieniem, zniesławiającém (carcer inducens infamiam), ale domem uczciwym, poprawczym, (honesta, disciplinaria) i że wszyscy, którzy w nim poprawieni zostali lub popraweni będą — żadnéj ztąd niesławie podpadać nie będą — i za godnych do wszelkich obowiązków i urzędów uważanymi być mają." Nadto dom rzeczony i wszystkich jego mieszkańców, od wszelkiéj jurysdykcyi, krom ustanowionéj w akcie nadawczym uwolnił. W przywileju tym królewskim jest jeszcze wzmianka, iż z domu tego wielu już wyszło poprawionych (ex quo jam plures emmendati in nelius prodierunt). Z czego wnosić należy, iż w domu tym zanim akt nadawczy wydany i przez króla potwierdzony został — pomieszczani już byli poprawy potrzebujący. W każdym razie, w dacie donacyi przez Szymanowską 23 Kwietnia 1734 r., zakład ten jeszcze nie istniał, jak treść tego aktu wskazuje — a suma 24000 zł., od któréj prowizya na utrzymanie dyrektora i służby przeznaczoną została, dopiero w r. 1735 z Wołczyna podniesioną była, chociaż znowu przy protokułach komisarskich z r. 1745, o których zaraz dyrektor cuchthauzu żądał zaległéj pensyi za lat 13 czyli od r. 1732,—wcześniejszy rok fundacyi przyjąćby należało.

Pierwszym dyrektorem cuchthauzu był Karol *Ryhowey, także Rywo, i Rywoe*, raz honestus, później zaś nobilis nazywany, jak o tém intromissye jego, jako dyrektora tego zakładu, do dóbr Kaleń w r. 1735 i protokułów rewizyi komisarzy królewskich z r. 1745 przekonywają. Rewizyi tych dopełniali komisarze królewscy: Marcin Załuski, sufragan płocki i pisarz koronny, Jan Chryzostom Krajewski, podstoli ciechanowski, Franciszek Wołyński, na skutek skargi do króla przeciwko temu dyrektorowi *Rywoe* o zniszczenie dóbr i złą administracyą przez seniora bractwa ś-go Benona i wizytatora cuchthauzu, Augustyna Wymiento (?), zaniesionéj. Ciż komisarze królewscy wobec wyżéj wymienionego wizytatora i gwardyana Franciszkanów, ks. Stanisława Kaszubskiego, dopełnili obejrzenia zakładu i dóbr Kaleń, budynków, inwentarzy, przeglądali rejestra przychodów i wydatków, badali służbę, odebrali przysięgę od dyrektora i w końcu nader przychylną dlań wydali decyzyą. — Protokuł ten, jakkolwiek żadnych prawie nie obejmuje szczegółów — a tylko streszcza rezultat rewizyi — nie osobliwe rzuca światło na całe gospodarstwo zakładu. Dobra Kaleń nie były w stanie, jak to komisarze stwierdzają, płacić ustanowionéj prowizyi i dla tego, prawdopodobnie za zgodą właścicieli, oddane zostały w zarząd dyrektora cuchthauzu, a jakkolwiek ten i dodatkowe budynki wystawił i inwentarze wprowadził, przychody z dóbr nie wystarczały na opłatę jego i służby, skoro upominał się o zaległą za lat 13 swoję pensyą w ilości 100 tal. rocznie, oraz o pensyą kapelana za takiż przeciąg czasu, w kwocie 200 zł. rocznie. Wskutek tego komisarze wraz z wizytatorami postanowili: „sumę ciążącą, dobra do 30,000 zł. podniesioną odebrać, albo dobra sprzedać i sumę na innych dobrach umieścić. Coby wyżéj nad takową sumę 30,000 zł. osiągniętém być mogło, za melyoracye w dobrach przyznać, małżonkom Rywoe w zamian za ich pretensye jako usprawiedliwione, jako też za przychówek z inwentarza i stadniny". Jeżeliby wypłata sumy lub sprzedaż dóbr Kaleń nie nastąpiła, dyrektora Rywoe przy dalszym zarządzie domu poprawy i dóbr, dopóki żyć będzie, bez obowiązku zdawania jakichbądź rachunków utrzymać, w razie jego śmierci wdowę jego w dożywotniem użytkowaniu wystawionych przez nią budynków zachować i płacić jéj dożywotniéj pensyi 300 zł. rocznie. W zamian tego małżonkowie *Rywoe* w swojem i swoich następców imieniu, zrzekli się wszelkich pretensyi za budowle przez nich wystawione, jako też z innego źródła im przyznane, bądź w przyszłości wyniknąć mogące, zastrzegając jedynie własność ruchomości swoich". To wszystko niby nastąpić miało dla zapewnienia istnienia zakładu i na większą korzyść onego. Nadto „od umieszczanych w zakładzie osób oprócz zwykłéj opłaty za żywność, ustanowioną została jeszcze na korzyść cuchthauzu osobna opłata: dwa talary od osoby, z których jeden miał być opłacany przy wéjściu do domu, a dru-

gi przy wypuszczeniu. O sposobie prowadzenia zakładu, o ilości pomieszczanych w nim osób, w protokułach komisyi nie ma żadnéj wiadomości. — Podług ustawy nadawczéj, dyrektor cuchthauzu obowiązany był prowadzić książkę, w któréj miał zapisywać imię i nazwisko, wiek i stan aresztanta; przez kogo za jaką winę i na jak długi czas oddany, jak niemniéj sumę na wyżywienie przeznaczoną. Książki takie mogłyby rzucić światło na wewnętrzne dzieje zakładu, ale nie wiadomo, gdzieby ich szukać, czy w archiwach Ks. Franciszkanów, czy w b. komisyi Spraw Wewn. lub Sprawiedliwości.

Kiedy on zwinięty został, czy zamieniony w istniejący późniéj przy klasztorze Franciszkanów dom *kary i poprawy*, — co się stało z funduszami zakładu, i dobrami Kaleń, — które dziś w ręku prywatnem pozostają — po upływie półtorasta lat od założenia cuchthauzu — i po tylu zmianach, które kraj przechodził, odpowiedzieć trudno. Może kto inny szczęśliwszym będzie i podejmie się tego zadania .. Skorzystałem tylko z przypadku, który podał mi w ręce przytoczone dokumenta,—aby wskazać na zasługę światłego filantropa, który prawdziwém miłosierdziém powodowany chciał dźwignąć moralnie podupadłych i wrócić ich społeczeństwu odrodzonych. Może nie wszystkie sposoby wskazane przez ks. Rostkowskiego odpowiadają dzisiejszym pojęciom o poprawie przestępców; na plagi, dyscypliny zgodzić się trudno; ale niedawno jeszcze w wielu kodeksach kara ciężkiego więzienia obostrzoną była chłostą. Zato odosobnienie, milczenie, towarzyszące karze zamknięcia, roboty przymusowe — zaledwie w pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia w systemat karny wprowadzone zostały. Nie określił bliżéj fundator obowiązków dyrektora, któremu prowadzenie zakładu powierzył, pozostawiając jego uznaniu opiekę i zarząd nad aresztantami. Chciał im zapewnić pomoc religijną w osobie kapelana, którego tém więcéj zespolić pragnął z zakładem, że nawet do spowiedzi wstępu do zakładu innym kapłanom, prócz gwardyana, będącego wizytatorem, zabronił. Ale i dzisiaj żadne instrukcye więzienne celu nie osiągną, jeżeli ten urzędnik, co je ma spełniać, nie pojmuje swojego obowiązku i odpowiednio do niego przygotowanym i wykształconym nie jest. Wreszcie, cuchthauz nie był domem kary a domem poprawy, jakto wyraźnie i dobitnie w przywileju królewskim zaznaczone; — nie piętnował on znaczeniem hańby swoich wychowańców — nie więźniów i nie pozbawiał ich możności i godności służby publicznéj.

Czy myśl ks. Rostkowskiego udała się — zwłaszcza w ówczesném społeczeństwie, czy była nawet praktyczną, to inna rzecz — niestety powtarzam, nie mam faktycznych danych, aby dokładnie na te pytania odpowiedzieć. Zadaję sobie wszakże pytanie: kto mógł być pomieszczonym w zakładzie, i jakim spo-

sobem razem tam wychowywali i niewierne żony, i krnąbrnych i rozpustnych synów, i swywolnych hultajów. Dla kobiet zwykłém miejscem zamknięcia bywał klasztor, zwyczajnych przestępców osadzano w więzieniach, a nie było odpowiednich funduszów, żeby ich umieszczać w domu poprawy; tam więc chyba tylko zdrożnych młodzieńców przez ojców lub opiekunów, płacących na ich wikt, zamykano, a tych znowu w Warszawie i jéj okolicach tak wiele nie bywało, trudno bowiem przypuszczać, aby ich z odległych przywożono prowincyi, ze względu na trudność i koszta saméj podróży. Zapewne przeto zakład okazał się mniéj praktycznym, i dla braku kandydatów do osadzenia w nim, zwłaszcza w ostatnich burzliwych czasach Rpltéj, zwiniętym być musiał, lub zamienionym na zwykłe więzienie wbrew przewodniéj myśli fundatora.

WZMIANKA O BIBLIOTECE

Ś. P. JULIANA BIERGIELA,

pastora w Słucku.

Podał

Aleksander Jelski.

II [1]).

Biblioteka J. Biergiela.—Szkoły słuckie.—Leopold Wannowski.—Fara słucka.—Hieronim ks. Radziwiłł.—Ks. Stanisław Szantyr, eks-jezuita.

Czcigodny pastor Biergiel, właściciel cennego nader zbioru dawnych a rzadkich dzieł, z niezwykłą uprzejmością pokazał mi te skarby, zachowane w szafach wmurowanych w ścianach kruchty kościoła ewangelickiego. Przez kilka godzin z rzędu oko się moje lubowało widokiem starych białych kruków ojczystego piśmiennictwa, a wrażenie to ten tylko zrozumie, kto ma sam usposobienie szperacza i pracował w bibliotekach z zamiłowaniem. Co tu mówić o zbiorach pastora Biergiela, kiedy się nie można nadziwić, jak, gdzie i kiedy pojedyńczy człowiek mógł wynaleźć tyle bibliograficznych osobliwości. Druki lubczańskie, rakowskie, toruńskie, słuckie, nieświezkie, ostrogskie, brzeskie, zabłudowskie, jewskie, upitskie, supraślskie, knyszyńskie, łuckie, mińskie, wileńskie, kiejdańskie, poczajewskie i inne napełniają pułki kilku szaf, a musi być tego tomów około tysiąca. Jakiż skutek wspaniały nie głośnej pracy ks. Biergiela?—To też w ostatnich czasach wiadomość o niéj stała się powszechną w świecie uczonym, a wdzięczność za to zapisana na wieczne czasy w VIII t. pomnikowéj bibliografii Estrejchera (ob. przed-

---

[1]) Dokończenie. Zob. Zesz. na mieś. Styczeń r. b.

mowę str. IV). Nie mniej o zbiorach ks. Biergiela podał nieco szczegółów Pan „Józef Korwin“ w Nr. 314 „Tygodnika ilustrowanego“ za rok 1881, więc do tych pism odsyłamy czytelnika, dodając, że oprócz druków, biblioteka p B. zawiera kilka ciekawych rękopisów. I tak: oglądaliśmy Akta Synodalne wyznania helweckiego prowincyi litewskiej od roku 1544 do 1560, pisane po łacinie, a odtąd po polsku, ręką sławnych ministrów Sylwiusa i Węgierskiego.

Są tu także akta magistratu słuckiego z czasów oblężenia miasta przez Trubeckiego w r. 1655, jak niemniéj pamiętnik, dotyczący smutnéj sprawy spalenia Kazimierza Łyszczyńskiego za mniemany ateizm, w czasie panowania Jana III. Rękopis około r. 1848 został wynaleziony (podobno gdzieś w archiwum domowém w gubernii grodzińskiej) przez nauczyciela słuckiego, pana Warakomskiego, przez niego też skopijowany i doręczony ś. p. ks. Lipińskiemu, znanemu z zacności superintendentowi w Wilnie, po którego śmierci odszukany znowu w papierach ks. L. przez księdza Głowackiego, dostał się wreszcie do zbiorów ks. Biergiela. Nietylkośmy przeglądali tę pamiątkę, lecz mieliśmy ją dość długo w swej pracowni [1]) i wyznać musimy, że wydaje się nam arcyważnym materyałem do wyświetlenia tej zawiłéj i brzydkiej sprawy w dziejach naszych. Możnaby lekkomyślnie pomówić ten utwór o apokryf, lecz głębiéj roztrząsając treść jego, przychodzi się do przekonania, że chybabyśmy zarzucili językowi, nie wszędzie w wyrażeniach odpowiadającemu pisowni czasu, ale jak mnie objaśnił ks. B. przepisywacz, p. Warakomski, *proprio motu* wykreślił dużo makaronizmów i archaizmów, tłómacząc je polszczyzną naszą, dla lepszego rzeczy zrozumienia. Nim ten pamiętnik ujrzy światło dzienne, zaznaczamy, iż całą intrygę autor, teść Łyszczyńskiego, przypisuje Jezuitom w związku z głośnym Stanisławem Witwickim, biskupem poznańskim, którego ciemne sprawy i nawet rozpustę prawdomówny (i przytem jurysta) Łyszczyński wyjawiał publicznie, przez co naraził się zakonowi i dygnitarzowi kościoła; zresztą kwestya majątkowa również tu zamieszana jako precedens do zajścia z duchowieństwem. Przypomnijmy, iż współczesny biskup Załuski zostawił fatalne świadectwa o osobie Witwickiego, mianując go chciwym i nieobyczajnym; z drugiéj strony dokumenta w sprawie Łyszczyńskiego, drukowane w V-ym oddziale źródeł do dziejów Polski Malinowskiego za rok 1844, zupełnie inaczéj ją przedstawiają; gdy znowu uczony Jaroszewicz w III-cim tomie „Obrazu Litwy“ powiada, iż prawdopodobnie Łyszczyński stał się ofiarą intryg Jezuitów, z powodu, iż zakon ich lekkomyślnie porzucił (ob. str, 204—205). Są nadto o Łyszczyńskim monografie cudzoziemców i naszych autorów rozmaicie rzecz traktujące; lecz skoro wiadomo, że Papież Innocenty XI przyznał niewinność Łyszczyńskiego, przeto w tak

[1]) Posiadamy dziś w zbiorze swoim dokładną kopią tego rękopisu.

ciemnéj i nierozwikłanéj sprawie, sumienna krytyka tylko przez porównanie źródeł mogłaby dociec prawdy, jakoż w każdym razie ogłoszenie w cieniu zostającego materyału w imię zasady bezstronności, byłoby rzeczą pożądaną dla historycznéj literatury ojczystéj.

Po obejrzeniu biblioteki w kruchcie, zwiedziliśmy i samą świątynię, odznaczającą się wielką prostotą i schludnością. Na ołtarzu leży przepyszny, bogato oprawny egzemplarz Biblii brzeskiéj, prawdziwa rzadkość bibliograficzna, bo ją wytępiano ogniem. Srebra kościelne zasługują na uwagę pod względem pamiątkowym, gdyż kalwini słuccy egzystujący tu od czasów Olelków, doświadczali w wieku XVII opieki Radziwiłłów dyssydentów, a później względów magnackich Falcgrafów Reńskich, książąt Nowoburskich, którzy pomagali ich kościołowi, zakładali drukarnie i instytucye dobroczynne. Zbor dawny drewniany powstał w r. 1617 przez fundacyą Janusza Radziwiłła owego męża nieszczęsnej Zofii, i ten już nie istnieje. Teraźniejszą świątynia jest budowlą bieżącego wieku w stylu nowogotycko-romańskim, posiada nie złe organy, nabożeństwo zaś odbywa się według starodawnego porządku, przykładnie w języku polskim, więc nietylko protestanci, ale nie rzadko i katolicy, w braku świątyni swojego wyznania, uczęszczają tu na chwałą Bożą. Zwracając się ku lewéj stronie, spostrzegamy wmurowaną w ścianę czarną marmurową tablicę i ze czcią wyczytaliśmy na niéj nazwisko człowieka, który nietylko dla Słucka, lecz i dla kraju niezmierne, chociaż nie głośne, położył zasługi, wychowując kilka pokoleń w zasadach cnoty obywatelskiéj w ścisłem znaczeniu tego wyrazu. Jest to skromna pamiątka na cześć ś. p. *Leopolda Wannowskiego*, superintendenta białoruskiego, magistra nauk filozoficznych, rektora szkoły słuckiej, męża rzadkiej nauki i cnót publicznych, wytrawnego pedagoga, prawdziwego ojca młodzieży szkolnéj, poety, mówcy i autora. Urodził się ten znakomity obywatel w r. 1798, zmarł w Słucku 1849 r., spoczywa w pobliżu na cmentarzu kalwińskim.

Rzecz niepojęta, dla czego taki pod każdym względem wyjątkowy, zasłużony i niespracowany mąż nie doczekał się dotychczas osobnej monografii w druku i podobizna jego rodakom nie znana? [1]).

Kim był ś. p. Leopold Wannowski dla nauki niech poświadczą jeszcze żyjący wychowańcy jego: Antoni Pietkiewicz (Pług), Aleksander Oskierko, Aleksander Walicki i inni. Na wspomnienie tego męża, łzawo się jakoś robi w sercu, bo jakże nie podobni dzisiejsi pedagogowie do tak potężnego wzoru.

---

[1]) Ks. Biergiel posiadał artystycznie przez Hessego wykonany, portret L. Wannowskiego, który nasze pisma ilustrowane powinnyby reprodukować.

Szkoła słuckich kalwinów, fundacyi radziwiłowskiej z r. 1625, mając charakter zakładu wyższego, posiadała konwikt dla biednych uczniów, piękną bibliotekę, gabinety naukowe, uzdolnionych profesorów; następnie od r. 1827 zamieniona na gimnazyum, nabrawszy charakteru bardziéj świeckiego, zakwitła rzetelną nauką pod kierunkiem wzmiankowanego luminarza Wannowskiego i długo jeszcze po jego śmierci żyła tradycyą tego męża. Profesorowie: Głowacki, Ceraski, Wagner, Miładowski, Wojnowski, Kuncewicz, Herman Kołysza, Hesse, Karnatowski i wielu innych, aż do roku 1863 byli prawdziwą chlubą zakładu. W roku 1881 mury i place gimnazyalne zostały zakupione na własność rządu i udział gminy kalwińskiej ustał zupełnie.

Była chwila, w któréj wyznanie helweckie panowało w słuczczyźnie wszechwładnie i ściągało tu najznakomtszych swych ministrów jak: braci Budnych i innych. Protegowane przez Janusza i podtrzymywane przez syna jego, Bogusława Radziwiłła, następnie dziesiątkowane w najkrytyczniejszéj chwili prozelitycznéj gorliwości radziwiłłowskiej, po rewokacyi księcia „Sierotki", zaledwie się ostało w samym Słucku. Kalwini łatwo mogli się tu utwierdzić, bo chociaż sławna słucka fara katolicka została założoną w r. 1419 przez Michała Jagiełłowicza, syna Zygmunta W. X. L. i szerzyła wyznanie łacińskie, wyrobił się tu jednak grunt niejako neutralny dla wyznań, dzięki wysokiej tolerancyi książąt Olelkowiczów, którzy będąc greckiéj wiary i nie wdając się w propagandę, protegowali inne kulty, następnie zaś potężne ramie dysydenckich Radziwiłłów wspierało reformę całą mocą. Jezuici, fundowani tu dopiero w r. 1696 przez Czobora Leszczyńskiego, zawziętą rozpoczęli wojnę z kalwinami, a missye ich w Słucku i niedalekim Zamościu robiły dotkliwe szczerby wśród innowierców.

Odtąd Słuck był świadkiem ciągłych dysput i waśni wyznaniowych; namiętności się wzmagały i wreszcie przyczyniły się do smutnéj pamięci konfederacyi w r. 1767, na czele któréj stanął smutnej pamięci Jan z Konopnicy Grabowski, jenerał major wojsk litewskich, człowiek bez żadnych zasad i moralności, chciwy i tolerujący nawet miłostki króla, zwracane do jego żony, Elżbiety z Szydłowskich. Ta hańba ojca nie spada wszakże na potomków, gdyż synowie głośnego wichrzyciela, Paweł i Michał, zaszczytnie służyli krajowi; pierwszy bowiem jenerał, poległ bohatersko z całym oddziałem na Pradze 1794 r., a drugi, jak chce Niemcewicz, syn króla Stanisława Augusta, w stopniu też jenerała brygady, dokazując cudów męztwa, zginął w 1812 r. pod Smoleńskiem. Synowie więc rehabitowali godnie brudne sprawy ojca.

Oprócz fatalnéj konfederacyi w r. 1767, wywołanéj szeregiem niepolitycznych postępków antagonistów tolerancyi, żadna plama nie ciąży na desydentach słuckich; byli oni zawsze dobrymi obywatela-

mi kraju; najwybitniejszym zaś przedstawicielem tej zaszczytnéj zasady był i ks. Biergiel, któremu miło oddać cześć głośną [1]).

Teraz zkolei należało zwiedzić przynajmniéj miejsce owéj słuckiéj fary, co to, według utartego przysłowia z czasów polemicznych była starszą od kalwińskiéj wiary... Świątynię tę z modrzewia przed pół pięta wiekiem wzniesioną, z powodu starości rozebrano w r. 1852 i na jéj miejscu z części drzewa dobrego, zbudowano kaplicę, którą właśnie oglądać chciałem. Nie odważając się dla wielu względów, zgłosić się do miejscowego proboszcza... wolałem trafić do zakrystyana... pokłonić się nogom... Okazało się, iż był nim młody żołnierz urlopowany, rodem z królestwa, niedawno ożeniony z gospodynią proboszcza. Dzięki dobréj woli pana zakrystyana dostałem się do wzmiankowanéj kaplicy, znajdującéj się w pobliżu plebanii w ogrodzie cienistym. „*Tempora mutantur*“, więc anim poznał położenia. Przed trzydziestu parą laty widziałem farę, stojącą na szerokim placu, a teraz gęste w około drzewa jak w lesie. Chcąc mieć nieco pamiątkowego modrzewia ze świątyni, prosiłem zakrystyana o udzielenie mi onego; jakoż natychmiast, uzapasiwszy się w piłę, wlazł na poddasze i tam mi wypiłował spory kloc z belki; był to dla mnie nabytek ważny. Kaplica z resztek fary, jest budowlą zupełnie prostą, nie wielką; wewnątrz ubogo i pusto i niema nawet stosownego napisu, któryby przekazał przyszłości wiadomość, co ten przybytek oznacza. Jako jedyna pamiątka dawnéj świątyni, po środku ceglanéj już pogarbionéj posadzki, widnieje duża z brunatnego marmuru płyta, opisująca zasługi i zgon w r. 1684, Kazimierza Kłokockiego, chorążego województwa mińskiego, gubernatora księztwa słucko-kopylskiego, benefaktora fary. Pod płytą w sklepach znajdują się groby niektórych rodzin, a między innemi i Kłokockich, którzy istotnie grali tu ważną rolę i odznaczali się fundacyami. Z kaplicy ze zdobytym klocem modrzewia, ruszyliśmy do niedalekiego pobernardyńskiego kościoła. Fundowali go Oskierkowie około roku 1639. Obszerna dość świątynia z muru nie zaleca się smakiem architektury, a o jéj historyi nie ma nic godnego do zaznaczenia. Zakonnicy zostali usunięci ztąd po roku 1835, a w 1852, gdy zamknięto starą farę, wprowadzone zostało tutaj nabożeństwo parafialne. Obecnie kościół świeci przykrem dla oka zapuszczeniem. Co prawda, od lat paru dziesiątków, wszystkie kościoły nasze w mińszczyznie poszwankowały strasznie przez niedbałość rozprzężonego duchowieństwa, które rozmiłowawszy się w synekurze, zrobiło sobie smutną sławę i cała nadzieja w nowym arcy-pasterzu, iż zdoła zaprowadzić jakiś ład na tym szarym końcu swéj nieobjętéj dyecezyi...

---

[1]) Ks. Biergiel zmarł w Warszawie pod koniec marca 1885 roku a bibliotekę jego nabył od rodziny za 3,000 r. bukinista Igiel z Krakowa.

Kościoła parafialnego mógłbym nie zwiedzać, lecz zwabiła mnie ciekawość, bom wiedział, że tu przeniesiono z fary wszystkie pamiątki i fanty kościelne, a z niemi i serce sławnego Hieronima Floryana Radziwiłła, podczaszego litewskiego, który wcześnie polecił, aby ciało jego po śmierci złożono w grobach nieświeżskich, serce zaś w farze słuckiéj, lubił bowiem potworny, historyczny książe swą słucką stolicę... Zapytany o to serce zakrystyan, odpowiedział, że wie o niém; jakoż po krętych, ciemnych w murze schodach, wstąpiliśmy na lewy duży balkon presbyteryalny i tam wśród kupy bezładnéj wszelkiego poszarpanego rupiecia, pyłu, pajęczyn i śmiecia, przewodnik pokazał mi w kącie walające się jakieś metalowe naczynie w kształcie pacyfikału. Wziąłem je do rąk i na stronie głównéj wyczytałem napis łaciński, wyrażony skróceniami: „*Cor. Hier. Radz. P. S. R. Imp. Vexil. M. D. Lit. Ob. in Alba Dukali D. 17 Mai anno 1760*“. Co oznacza dosłownie: „Serce Hieronima Radziwiłła księcia Świętego Rzymskiego Imperium, Podczaszego Wielkiego księstwa Litewskiego, zmarłego w Białej książęcej dnia 17 maja 1760 r.“ Blacha na stronie odwrotnej, zapewne przez ciekawość czyjąś, była oddartą i ze środka metalicznéj puszki wyglądało naczynie szklanne, czworoboczne w rodzaju puszki, jakie się używają do herbaty, opatrzone niegdyś dużym korkiem opieczętowanym, a teraz do połowy przegryzionym na wskroś przez myszy, które widocznie miały apetyt do specyału schowanego tak starannie. Wyjąwszy z wewnątrz to szklanne naczynie, spostrzegłem na dnie onego zeschły, brunatny, zapleśniały, wielkości miernego kartofla, dobrze nadgryziony przez małe czworonogie, przedmiot. Było to serce największego w swoim czasie, najwyuzdańszéj pychy i próżności litewskiego pana—wstrętne za życia i teraz... Mój Boże! cóż za marność mniemanéj wielkości ludzkiéj! Ten człowiek, żyjąc, przerażał bliźnich swą potęgą, a wyniosłość jego i dziwactwa, nie mające granic, czekają jeszcze osobnych studyów i pióra, coby umiało skreślić dosadnie, okropne obrazy na świadectwo prawdzie historycznéj, ku przestrodze potomnych i szczególnie osób obdarzonych fortuną, które mogąc w narodzie odziedziczyć chwałę przez czyny szlachetne, zwykle gubią dar szczęścia w pysze i pochlebstwach; po śmierci zaś wzgarda rodaków—ich pomnikiem!...

Tak sobie rozmyślałem po schillerowsku, trzymając w ręku podjęte z brudnych kątów serce człowieka, przed którym kiedyś truchlało wszystko, co żyło. Nie mało szczegółów o tym istnym dziwotworze podali: Bartoszewicz w „Kalendarzu Ungra“ (za rok 1857, str. 44—50), Kotłubaj w „Galeryi Nieświeżskiéj“ (str. 423—431), Kraszewski w „Ateneum“ z r. 1845 (T. VI, str. 174—175) i Marcin Matuszewicz „Pamiętnikarz“ który, należąc do klienteli satrapy, płaszcząc się mu, padając do nóg i układając wiersze okolicznościowe, chociaż wiele przemilczał, jednak w tomie III na stonie 85 daje o nim świadectwo szkaradne.

Urodził się ks. Hieronim w Białéj 1715 r. i są dostateczne poszlaki, iż był synem naturalnym mocarza północy Piotra W. Przebiegła bowiem matka ks. Hieronima, kanclerzyna, Anna z Sanguszków, wcale nie zalecając się szkrupułami sumienia i modestyą niewieścią, okazywała podobno powolność na względy ówczesnego gościa w kraju. Okropny ks. Hieronim staje na jednéj linji z Michałem Brzostowskim, podskarbim litewskim i z Mikołajem Potockim, starostą Kaniowskim, ze Stadnickim „Dyabłem łancuckim", z Branickim hetmanem „Szaloną pałką", z Żabą Tadeuszem, wojewodą Połockim, z Krojerami czy Krogierami, Wołodkowiczami i innymi gwałtownikami i tyranami, jakowych pełno miewała Rzeczpospolita, zwłaszcza w dobie „Saturnalij" szlacheckich, zwiastujących blizką zgubę kraju. Ten którego serce oglądałem, człek duchem mizerny, nizkich instynktów, królując na Słucku, przez całe życie marzył o tronie dziedzicznym i dopuszczał się najbrudniejszych intryg w tym celu. Bziki jego przechodziły w zbrodnicze orgije, jakowe ze spokojem zupełnym wyprawiał. Niczem mu był kraj i władza królewska, bo miał swój kodeks u siebie i pozbawiał ludzi życia przez lada fantazyą. W Słucku i Białéj trzymał przeszło 10,000 wojska; tyranizując je w sposób niesłychany. Oficerowie szli na śmierć za najmniejsze przewinienia; wszelkich mniemanych winowajców brano na tortury i wtrącano do lochów na całe życie—jeszcze w r. 1791 widziano w Słucku wieżę tortur z czasów ks. Hieronima. W tych apartamentach powolnej śmierci męczył się długie lata ks. Marcin Mikołaj Radziwiłł, syn Jana XVII i Doroty z Przebendowskich, sławny ordynat klecki, krajczy litewski, pomięszany na mozaizmie, bo go ks. Hieronim z przyjemnością tu więził, niby dla honoru domu, w gruncie zaś przez nikczemną chciwość, chcąc zagarnąć dochody z dóbr kleckich. Ten ks. Marcin istotnie mógł zasługiwać na kuratelę, lecz znęcanie się nad nieszczęśliwym krewnym, okrywa wieczną hańbą bezecnego podczaszego i wzbudza niejakie współczucie dla dręczonego dziwaka, który życia dokonał w nędzy 1756 r. Książe podczaszy, wyłamawszy się całkiem z pod władzy Rzeczypospolitéj i zaniechawszy opłaty podatków na wojsko, jak prawdziwy tyran wysilał się na okrócieństwa w swém państwie: ściąć lub obwiesić kogo dla satysfakcyi czy urazy, nic mu nie znaczyło. Raz gdy najemni Kurlandczycy rang oficerskich, za jakieś uchybienia przewidując swą zgubę, zemknęli, tyran rozesłał za niemi przeszło 2000 kozaków, więc dognanych aż w ojczyznie zbiegów dostawiono na miejsce do Słucka i skarano. Dziki ks., bawiąc się w ostentacye królewskie, i okrucieństwa, bez żadnéj ceremonii hańbił szlachtę, nawet zamożną, batogami, a Niezabytowskiego, kasztelana Nowogrodzkiego, senatora Rzeczypospolitej, z dumną przechwałką trzymał na urzędzie marszałka dworu, drogo mu płacąc. Rodaków nie cierpiał, dla tego złożył nawet chorąstwo dla niemożności całkiem despotycznego rządzenia wojskiem

krajowém jak swojém i zamyślał o wyniesieniu się na zawsze z ojczyzny, pełen bojaźni, że wszyscy go nienawidzą i czyhają na jego życie:— zwyczajna monomanja tyranów. Kilka razy rzeczywiście miano odkryć zachcianki otrucia księcia, raz strzelano do niego na polowaniu i tylko szczęściem uszedł śmierci. Psiarnia książęca liczyła tysiące swor i smyczów, łowiectwo roiło się tłumem myśliwców, ale lud poddańczy jęczał w ucisku i gdy wybuchło powstanie włościan w starostwie Krzyczewskiem, trzymanem przez księcia, posłał tam wtedy swego pułkownika Piestrzeckiego z wojskiem, z armatami, który 1,000 bezbronnych chłopów wymordował. Poczem książe przybywszy osobiście, pastwił się jeszcze krwawo nad ludem, i całe życie chełpił się z tego bohaterstwa tak dalece, że aż podobno doszło do odlania zagranicą jakiegoś pamiątkowego posągu.

W archiwum swojém posiadam wiele oryginalnych listów ks. Hieronima, z których się okazuje, że sprawa Krzyczewska została wywołaną przez przedajność marszałka książęcego, Tchórzewskiego, i domierzane uciski biednemu poddaństwu przez źle kontrolowanych okrótnych dzierżawców; czemuż więc zemsta księcia wylała się tak wściekle na nieszczęśliwych?... Okropne, zaprawdę, były to czasy, gdy możni na własną rękę dopuszczali sie takich summarycznych okrucieństw i zbrodni! Najgorszy syn dla matki, brutalny dla rodzeństwa i dwóch żon, rozwięzły i zabobonny do ostatniego dziwactwa, podlegał jednak swemu spowiednikowi Jezuicie Riokurowi. Trudno pojąć dziś żyjącym, do jakiego stopnia dochodziły bezwstyd i awanturniczość panów, lecz ekscessa księcia podczaszego, przewyższyły bodaj wszystko, co tylko ohydny umysł i poczwarne serce wykonceptować mogły. Oto naprzykład zachciewa się księcu zabawy w wojnę, buduje tedy w Słowacinku pod Białą zamek obszerny i osadza tam ulubionego swego, z tytułem króla słowacińskiego; następnie zawiera z nim traktaty niby z ościennym jakim monarchą, wreszcie go zaczepia i wypowiada formalną wojnę; wojska niby nieprzyjacielskie staczają bitwę, krew się leje, król słowaciński szturmem zdobyty idzie do niewoli, skazany na śmierć, błaga przebaczenia, przychodzi łaska pańska, więzień powraca do swéj stolicy, aby znowu bawić dzikie serce swojego lennika, gdy mu przyjdzie ochota powtórzyć krwawą zabawę na seryo... Wobec takich faktów, mogłaż się ostać społeczność?!...

Polowania księcia były też historyczne, ze względu na wykonywane formalne rzezie nad biednemi stworzeniami. Raz książe wyprawił takie widowisko warszawiakom pod Wilanowem. W roku zaś 1752 urządzone polowanie w Słucku, na przyjazd królewicza Karola przechodziło wszelkie granice, gdyż mordowano ryczałtem spędzane do zwierzyńca różne dzikie zwierzęta i to miała być zabawa dla ucieszenia serc licznych gości!.. Rezydencya Słucka ks. podczaszego pomimo skąpstwa jego posiadała królewskie wygo-

dy, a balet i opera dawały się każdą razą w czasie urzędowych festynów. Dziś ani śladu tych pałaców, parków, zwierzyńców, bo właśnie na miejscu, gdzie wrzał przepych możnowładcy, szanowny doktór Fronckiewicz posiada swą skromną posiadłość i zarazem piękny ogród własnemi rękami urządzony, po którego ścieżkach chodząc, darmo szukałem coś z wielkości minionej, oprócz wspomnień przykrych. Dodajemy, że książe Hieronim uchodząc za gospodarza przemyślnego wsławił się założeniem w Słucku fabryki tych pasów, które szlachta popuszczała hulając za Sasów... i że miał być otrutym, chociaż doktór nadworny, Sildemenin, exzenterując ciało, jakoby trucizny nie znalazł. Inaczéj świadczy Matuszewicz, bo o nadmiernéj rozpuście, która lubieżnika o śmierć przyprawiła. (T. III str. 81). Jaki żywot, taka śmierć.— Mogłem zabrać serce podczaszego do zbiorku mego, jako rzecz walającą się w znieważeniu i nikomu nie potrzebną, zwłaszcza, że jednocześnie prawie odnajdywano serca: Kołłątaja i Konarskiego lub umieszczano serce Chopina u Ś-go Krzyża; atoli nie pilno mi było korzystać z takiej archeologicznej osobliwości... więc mogą ją znaleść interesowani w miejscu wskazaném przeze mnie.

Żaliż o takiém schronieniu dla serca swego myślał podczaszy równający się z najwyższymi majestatami? Co za ironia losu! Gdy teraz to serce zapleśniałe, napół zjedzone przez myszy leży w kącie wśród trudnych do opisania brudów. Niech więc pomyślą próżni nad tém i przekonają się, jakie właściwie skarby ludziom gromadzić należy, iżby nie ginęły marnie razem z ich marnemi zabiegi o nędzną chwałę!... Lecz zauważmy sine ira et studio, że pomimo smutnych przykładów w narodzie pokaranéj pychy i dziś nie wielu widzimy możnych, pojmujących cel życia. Umierają tysiące ludzi bogatych, nic zgoła nie poświęciwszy na potrzeby społeczne; przed śmiercią dają rozporządzenia, aby ich ciała pogrzebano na dalekiéj obczyźnie; jak niegdyś prali bieliznę w Paryżu, tak teraz ztamtąd sprowadzają całe weselne obiady, inni illuminują miasta zagraniczne, inni... nie powiem. Poczekajmy upamiętania według wskazówek „Nieczui".

Wracając do wspomnień o farze Słuckiéj wypada nadmienić, że pomimo tradycyi o niéj, zachowanéj aż w przysłowiu, nigdzie nie ma jéj podobizny, chociażby w drzeworycie, lecz my ją posiadamy jedyną, zdjętą z natury artystycznie i myślimy tę akwarelę w odbitce fotograficznéj rozpowszechnić na cel dobroczynny; nie mniéj, że z pamiątek po Farze znajdują się tabliczki modrzewiowe z naklejonemi drukowanemi kartkami: jedne z roku 1632, rozdawane zamiast żetonów z powodu konsekracyi świątyni przez biskupa Słupskiego; drugie z roku 1838, z powodu pięćdziesięcioletniéj rocznicy kapłaństwa sławnego proboszcza słuckiego, eks-jezuity Stanisława Szantyra. Obie te tabliczki stanowią dziś rzadkość archeologiczną.

Skorośmy już nadmienili o Szantyrze, to należy o nim podać obszerniejszą wiadomość, jako o człowieku w swoim rodzaju niepospolitym, który zarówno w dziejach porozbiorowych kościoła jak i Słucka odegrał wybitną rolę.

W roku 1780 pomimo sławnéj bulli Klemensa XIV „Dominus ac Redemptor noster“, gdy przebiegły polityk, rektor Czerniewicz, wyjednał pozwolenie cesarzowéj tudzież biskupa białoruskiego Siestrzencewicza na odkrycie nowicyatu Jezuitów w Połocku, zaczęła się cisnąć do tego zakonu co najzdolniejsza młodzież, między innymi wstąpił do nowicyatu i Szantyr. Syn sędziego ziemskiego powiatu połockiego, młodzieniec pięknéj powierzchowności, obdarzony wymową, bardzo bystrym, przebiegłym umysłem, silną wolą, nieugiętym, dumnym i śmiałym charakterem. Jezuici za kordonem, stanowąc dziwny wyjątek, zawdzięczali tu istnienie swoje tylko niezwykłym okolicznościom, niemogącym wszakże całkiem uspokoić subtelnych sumień.

Starsi i wytrawniejsi w gestykulacyach sofizmatycznych ojcowie uspakajali wahających się tém, że ponieważ bulla, kasująca ich zakon, nie była w państwie rosyjskiém prawem obwieszczoną, przeto nic nie wiedząc o niéj tą drogą, mogą pozostać spokojni, bez zagłębiania się w skrupuły. Trwała taka restrykcya w pojęciach Jezuitów białoruskich do roku 1783, lecz właśnie w tym czasie przejeżdżający do Petersburga nuncyusz Archetti, będąc w Olszy i Witebsku, zgromił osobiście zakon za jego nieprawowierność i nieposłuszeństwo stolicy rzymskiéj, co też obudziło poczucie koniecznego obowiązku posłuszeństwa i zakonnicy poczęli sumarycznie opuszczać mury klasztorne, rozchodząc się po świecie. Szantyr był w ich liczbie, jak sam powiada „nie mogąc znieść robaka bojaźliwego sumienia“... (!), a wyszedłszy na świeckiego księdza, zdolny i sprytny, szczęśliwie się posuwał wyżéj po stopniach hierarchii. Wkrótce widzimy go kanonikiem smoleńskim i mohylewskim, następnie zaś pewne zdarzenie postawiło go jeszcze świetniéj.

Wiadomo, że metropolita Siestrzencewicz, podkopany zręczną intrygą sławnego Grubera, następnie generała Jezuitów, straciwszy zaufanie cesarza Pawła, usunięty od wszystkich obowiązków, pędził jakiś czas życie samotne na ustroniu i zaledwo w r. 1801, ułaskowiony przez cesarza Aleksandra, powrócił na stanowisko. Otóż w skutek tego wypadku, nie posiadając się z radości, przed odjazdem do stolicy wyprawił w Mohylewie królewską ucztę. Wtedy to bratowa jego, szambelanowa, kobieta niepohamowana i brutalna, rządząca domem i osobą metropolity, w obecności zebranych dygnitarzy, zrobiła gorszącą scenę, ubliżającą godności metropolity, i tylko dzięki przytomnemu i taktownemu znalezieniu się Szantyra, koniec awantury wypadł z mniejszym dyshonorem dla gospodarza. Téj usługi Siestrzencewicz nie zapomniał; jakoż przypuściwszy Szantyra do naj-

bliższych stosunków ze sobą, zrobił go regensem swéj kancelaryi. Szantyr, będąc wtedy potęgą w hierarchii białoruskiéj, wreszcie otrzymawszy stopień prałata, zasiadł w kollegium. Był to punkt kulminacyjny w szczęściu Szantyra i przyjaźni jego z Siestrzencewiczem, odtąd bowiem mieli się stać dla siebie aż do śmierci zaciekłymi wrogami. Metropolita, nie posiadając przymiotów pasterskich, lekceważąc kanony i dążąc do władzy absolutnéj, podał w r. 1805 ministrowi justycyi, Łopuchinowi, projekt reformy duchownéj hierarchii, co niezmiernie zaniepokoiło członków kollegium, szukano więc sposobów odwrócenia zamiarów zwierzchnika. Tu po raz pierwszy występuje Szantyr na arenę walki, bo kiedy wszyscy, aczkolwiek oburzeni postępkiem Siestrzencewicza, umyli ręce, on jeden nieustraszony napisał prośbę do cesarza tak znakomicie ułożoną, iż monarcha natychmiast projekt metropolity umorzyć rozkazał. Był to krok odważny i maluje całkiem dokładnie charakter Szantyra, narażającego się na odwet znanego ze mściwości Siestrzencewicza. Ta zemsta nie kazała na siebie długo czekać. W roku następnym Szantyr usunięty z kollegium, wyzuty ze wszystkich beneficyów, cierpiał różne uciski. W r. 1808 wydalony do dyecezyi Wileńskiéj, pozostał tylko przy jednéj skromnéj parafii Milejczyckiéj, lecz i tam ścigała go niełaska Siestrzencewicza, bo mu zarzucał, iż posiada order polski świętego Stanisława i inne czynił przykrości. Apologia Szantyra nie tylko kursując w kraju, lecz przetłómaczona na obce języki czytana i chwalona za granicą, do żywego bodła metropolitę; wystosował więc ulubieniec jego, człek płaski, ks. Sierpiński refutacyą, która zrobiwszy przeciwne wrażenie, tém więcéj przyczyniła sławy Szantyrowi. Jakoż w r. 1811, po zawakowaniu biskupstwa Mohylewskiego przez śmierć biskupa Odyńca, cała Białoruś robiła staranie, aby je objął Szantyr, lecz Siestrzencewicz stanął oporem i nie dopuścił nominacyi. Znowu w r. 1815, gdy Szantyr pragnął otrzymać probostwo Słuckie w dyecezyi mińskiéj, Siestrzencewicz postarał się, aby go to ominęło i tylko protekcya księcia Adama Czartoryjskiego wsparła Szantyra, więc został przy Farze słuckiéj. W roku 1816 uniwersytet Wileński, czyniąc Szantyra doktorem obojga praw, wzywał go na swego honorowego członka; atoli Siestrzencewicz i tu zachodzi w drogę Szantyrowi i protestuje, wynalazłszy pretekstа; szukał więc prześladowany protekcyi u wpływowego wtedy hrabiego Razumowskiego, który, usuwając denuncyacye metropolity, Szantyra w godności uczonéj zostawił i zatwierdził. Nie robiło się to wszystko bez zabiegów; energiczny polityk i zestosunkowany wysoko, Szantyr, umiał zawsze wynaleźć drogi ratunku dla siebie i kompromitować tém swego mściwego zwierzchnika.

W Szantyrze wrzała natura walki chciwa, ambitna i ruchliwa; wierzący ślepo, rzadkim był typem w te czasy ogólnego wolnomyślenia. Kosmopolita do szpiku kości, nie dał się niczem przejednać gdy chodziło o wiarę i wtedy każdy środek był mu dobrym... Wszystkie

kwestye ówczesne, mogące wiarę obchodzić, zajmowały całą jaźń Szantyra, jakoż nie bacząc na pogróżki walczył zaciekle słowem i piórem, przeciwko Massonom i Towarzystwu biblijnemu; targnął się na „Filomatów i Filaretów“ wileńskich, nazywając ich „Szajką“ i twierdząc iż „Ostrze Chrześciańskiéj nauki wyciąć to powinno“... dawał na dobie energiczne rady ostatniemu Jenerałowi Jezuitów, Brzozowskiemu, aby uprzedzając skutki i z urzędu oskarżając tych niepotrzebnie gorliwych swych księży, którzy nawrócili w stolicy niektóre osoby wyznania panującego, ratował tém zakon od kasaty. Napadał na liberalną reformę uniwersytecką Czartoryskiego i system Hieronima Strojnowskiego; procesował się z kalwinami o wrzekome owieczki swoje, a głośna sprawa niejakiego Kołłątaja, narobiła wiele hałasu i przykrości Szantyrowi, gdy Siostrzeńcewicz wziął w niéj udział, pozwalając Kołłątajowi pozostać w wierze matki swéj protestantki. Żarliwość prawdziwie prozelityczna Szantyra wywierała w Słucku wpływ niezmierny; mając rozległe stosunki i nie cierpiąc kalwinów z zasady, a tém bardziéj przez antagonizm dla Siestrzeńcewicza, dosadzał im wprost i ubocznie tak dalece, iż w końcu doszło do sposobów podstępnych względem czcigodnego Wannowskiego, w celu zgubienia Rektora i kwitnącego zakładu w Słucku, pod przewodnictwem jego zostającego. Chociaż Szantyr stara się w swéj „Hist. Kość. Kat. w Ross.“ tę sprawę przedstawić wcale w inném świetle, w imię jednak bezstronności należy przyznać, iż tak było, jak mówimy. Wannowski, mąż nieposzlakowany, ostał się z chwałą w obec zesłanéj komisyi z Wilna, na Szantyra zaś padły ciemne poszlaki zawziętości...

Już co prawda umiał Szantyr z nadzwyczajnym sprytem zachować w Słucku powagę swego wyznania: okazały wymówny i dobroczynny, swietném nabożeństwem ściągał lud wszystkich obrządków do tradycyjnéj Fary, a kiedy bywało w wieczór paschalny z umysłu pośpieszył z resurekcyą i potrzykroć wyskakując teatralnie z wnętrza ambony z zapalonemi świecami, wielkim głosem zawołał w narzeczu gminném: „Chrystos woskros!“ wtedy lud padał na kolana rozradowany i po skończonéj celebrze rozchodził się wprost do domów, mówiąc: „poco nam czekać innéj resurekcyi, kiedy Szantyr opowiedział uroczyście w Farze Zmartwychwstanie Pańskie — „para rozhowiecsa“, to jest spożywać święcone. Duchowieństwo inne wiedziało tém i sarkało, lecz trudny był zarzut wpływowemu prałatowi.

Z drugiej znowu strony Szantyr, emulując z kalwinami, zamyślił walkę prawdziwie kulturną. Widząc, że kalwini mają konwikt dobroczynny i pociągają młodzież ku sobie, układa piękny projekt zorganizowania w Słucku towarzystwa dobroczynności. Napisany statut otrzymuje sankcyą rządu w r. 1817, a sama instytucya zostaje zaszczyconą darami pieniężnemi i pochwałą Monarchy

Aleksandra I. Odtąd wszystko poszło jak najpomyślniéj dla towarzystwa. Szantyr w piśmie wydawaném w Wilnie p. t. „Dzieje Dobroczynności“ i t. d. drukuje swoje pobudzające artykuły i sprawozdania, w których widzimy, że w r. 1823 towarzystwo posiadało 90,784 rub.

Jak wielki był pochop do dobroczynności świadczy fakt, iż w ciągu lat siedmiu, jeden tylko powiat słucki złożył przeszło 148,000 rubli—może asygnacyjnych (zob. Dz. Dobr. za 1824 r. Nr. 7 str. 656—657). Z tych znacznych sum, pod zarządem tak zwanego komitetu, którego Szantyr był prezesem, wychowywano biednych uczniów, założono w różnych miejscach powiatu 6 szpitali i 15 szkółek wiejskich, w których 300 pauprów pobierało naukę; świadczono ubogim na wszystkie stany, wyszukiwano nawet nieszczęśliwych.

Z tego więc względu instytucya Słucka zasługiwała na największą pochwałę, chociaż jéj początek wynikał z emulacyi prozelitycznéj Szantyra.

Miewał Szantyr i inne pomysły filantropijne, jak naprzykład: urządzając w r. 1818 „Kolonje Szlacheckie“ w dobrach Fary słuckiéj. Na wskroś przejęty ideą rodowitości, spostrzegłszy mizerny stan nieokrzesanéj, zwykle wyzyskiwanéj przez dziedziców drobnéj, zagonowéj szlachty i chcąc przyjść w pomoc swym herbowym charłakom, wyznaczył im na kolonije dwa folwarki Kiele w powiecie słuckim, w okolicach miasteczka Kopyla i Czabusy, w bobrujskim. Staraniem Prałata zrobiono pomiary, parcelacye, zbudowano zaścianki i zaludniono je ubogą szlachtą na warunkach bardzo dobroczynnych. Ustawę napisał sam założyciel, udzielił wszelkich pomocy kolonistom, zaprowadził obowiązkowe nauczanie w urządzonych szkółkach, utworzył kasę oszczędności, a stosunkowo małe arendy, bo tylko 25 złotych od włóki, wnosiły się jedynie na rzecz téjże kasy, na cel melioracyi kolonii przeznaczonéj. Koloniści mieli prawo tylko systematycznie wyzyskiwać wszystkie dary przyrody w obrębach wydzielonych, bez niszczenia lasu, wód, zwierzyny i t. d. Kontrakta wydawały się na piśmie dwunastoletnie i mogły być przedłużane po ekspiracyi, jeżeli dzierżawcy byli pracowici i moralni. Osiadająca szlachta musiała poddać się szczegółowemu opisowi mianowicie: co posiada, przyrost zaś dobrobytu osadników kontrolowano; marnotrawstwo pociągało za sobą wydalenie kolonisty, a wydział policyi założyciel zostawił całkiem sobie. W r. 1823 zajęto już osad 18, w dziewięciu zaściankach pozostawało pustych 7; obszar kolonii wynosił 61 włók, na urządzenie kolonii założyciel wydał z własnéj kieszeni, tytułem dobroczynności 4,000 złotych. Jednak ta instytucya, nie mając aprobaty władzy, nie mogła się rozwijać, bo kolonistów trapiły wojskowe kwaterunki i różne rozporządzenia policyi. Obmyśliwał więc Szantyr sposoby uprawnienia instytucyi, lecz nie przyszło do tego i wszystko musiało się zdezor-

ganizować, musiało przestać istnieć po śmierci jego, przypadłéj w r. 1840. Utrzymało się zaś tylko Towarzystwo Dobroczynności. Zachwiał je jednak r. 1863, lecz dzięki inicyatywie zacnych obywateli: Edwarda Wojniłłowicza, Jakóba Jodki, Marka Uzłowskiego i innych, od lat kilku znowu rozwija czynność swoję znakomicię tak, że uboga młodzież i nędzarze mają podtrzymanie gruntowne. Wiadomość o téj wznowionéj działalności dobroczyńców słuckich, podaliśmy w „Kraju“ (zob. Nr. z roku 1883); tam więc ciekawi mogą zajrzéć.

Człowiek jest dziwnie zagadkowém jestestwem z powodu powikłania w duchu jego dodatnich i ujemnych popędów. Tę paradoksalną dwoistość natury ludzkiéj obserwowali nie od dziś myśliciele i rzeczywiście trudno pojąć, jak można jednocześnie wypełniać cnoty i brnąć głęboko w błędy próżności, pychy, zawiści, chciwości lub zemsty, a jednak tak się dzieje z niestałą ludzką przyrodą i tylko wytrwała praca nad wyrobem własnego charakteru, wytwarza jednolitych prawdą Franklinów, Kraszewskich, Kościuszków. Odnośnie do Szantyra zauważmy, iż był właśnie prototypem owéj paradoksalności ducha; natura mu nie poskąpiła wad i darów swoich. Odważny, dobroczynny i poświęcający się dla idei często niewczesnéj, zachowywał głęboką zemstę dla swych przeciwników, a jednocześnie trawiła go niesłychana próżność w rzeczy wymarzonéj rodowitości. Uroiwszy wielkość pochodzenia, robiąc pustą paradę ze skromnego nazwiska, przezwał się wreszcie hrabią... W Nr. 15 Kuryera Wileńskiego za rok 1817 znajdujemy niezmiernie ciekawą odezwę Szantyra, wzywającą imienników do legitymacyi pod jego opieką; treść tego dokumentu stanowi non plus ultra niedorzeczności i obłędu kastowego; prałat bowiem, pozbawiony całkiem poczucia narodowego, gonił z zapałem mrzonkę szlachetczyzny i następnie ideał swój upamiętnił w drukowanym na 21 stronicach in folio, dziś rzadkim rodowodzie Szantyrów, w r. 1819 potwierdzonym przez dekret mińskiéj heroldyi. Tu się wywodząc hrabią od króla rzymskiego Ankusa-Martiusa, wykazał koligacye od niepamiętnych czasów, z wielu królewskiemi i książęcemi domami, do takiego stopnia, że nawet Cesarzową Katarzynę II nie omieszkał zrobić swą kuzynką (zob. str. 7). Osobliwszy ten rodowód zwyczajnego szlachcica, przeszedł pono wszystkie znane brednie Paprockich, Wielądków, Kuropatnickich, Okolskich, Swachów, Bobrowiczów, Zychlińskich i rzecz arcy dziwna, jakim sposobem w całéj swéj pociesznéj formie i treści mógł być zatwierdzonym przez areopag heraldyków mińskich. Oto czém się zaprzątały nawet umysły duchownych w owe smutne reakcyjne czasy! Jest to niezawodnie świadectwo głupstwa i kolosalnéj próżności, oszołomionego klejnotem szlachectwa, którego największe nieszczęścia społeczne nie zdołały opamiętać i przesądu wyparować z dziwnie ukształconych komórek mózgowia potomków herbownych... Najbardziéj zastanawia taka próżność szatana w umyśle duchownego, ogólna

choroba nasza kastowa niejako rozwiązuje tę psychologiczną zagadkę w Szantyrze. Bądź co bądź Siestrzeńcewicz nie opuścił i téj okoliczności, by dogryźć Szantyrowi, jakoż za jego inicyatywą, jako prokuratora, kollegium wypowiedziało proces Szantyrowi, za fałszywe wywody rodowe, więc musiał się bronić i martwić. Szantyr w swéj „Hist. kościelnéj w Ross.“ ośmiewając Siestrzeńcewicza za pretensyonalny tytuł, jakowy zwykł kłaść na dokumentach wydawanych, nie mniejszą okrył się śmiesznością, pisząc się hrabią i wyliczając wszelkie dostojeństwa.

W roku 1838 była litografowana w Wilnie przez Przybylskiego rycina, wyobrażająca Szantyra w całym majestacie i ofiarowana mu z powodu jubileuszu kapłaństwa przez członków Towarzystwa Dobroczynności; podobizna ta pod względem pomysłu jest bardzo ciekawą i odpowiada całkiem treści ducha przedstawionego pyszałka w sutannie.

Rok 1826 musiał ucieszyć Szantyra z powodu zejścia największego wroga jego, lecz chociaż nowy Metropolita Cieciszewski przedstawił go zaraz na biskupstwo mińskie, udało się jednak Mateuszowi Lipskiemu otrzymać to miejsce, pomimo zabiegów prałata. Szantyr jako autor zasłużył się przeważnie kreśląc dzieje kościoła katolickiego w Rosyi od r. 1773—1827. Ciekawa ta ze wszech miar praca, wyszła w Poznaniu już po śmierci autora i doskonale charakteryzuje klerykalno-kosmopolityczną dążność jego z zapoznaniem wszelkich dźwigni własnego społeczeństwa [1]). W dziele tém Szantyr wylewając moc zasadniczego jadu na swego przeciwnika Siestrzeńcewicza, zapewne nie sądził, iż sam ulegnie słusznéj krytyce potomnych. Jakkolwiek głośnym był Szantyr w swoim czasie, jednak dzisiejsze pokolenie mało wie o nim, dla tegośmy też i bodaj pierwsi zaznaczyli chociaż w streszczeniu najważniejsze szczegóły jego działalności publicznéj, dodając w końcu i to, że bluźnił Kościuszce!...

Lecz już trzeba zbliżać się do końca opowiadania, po obejrzeniu bowiem Fary pamiątek, nic mi nie pozostawało jak tylko myśléć o rejteradzie ze Słucka. Ostatnie jednak chwile poświęciłem miłemu towarzystwu czcigodnego ks. Biergiela, którego gościnność staropolska na zawsze pozostanie w pamięci mojéj. Widząc rzadką uprzejmość gospodarzy muszę wnosić, iż moja osoba nie zrobiła im przykrości, oprócz chyba przypadkowéj, wynikłéj nie z mojéj przyczyny. Oto, gdy mię strudzonego wycieczką po mieście niezależnie od innych przysmaków chciano ufetować pieczonym jarząbkiem, okazało się, że właśnie w téj chwili szkodnik kot ściągnął go z kuchni na swój pożytek. Kto zna naszych niewiast ambicyą,

---

[1]) Rękopism oryginalny znajduje się w ręku piszącego.

w rzeczy gościnności; ten łatwo pojmie, jak musiała być nie miłą niespodzianka z jarząbkiem szanownéj gospodyni domu; ale téż pokazano w sztuce kulinarnéj zdumiewającą biegłość, podając na stół upieczone kurcze, które najwyżéj przed kwadransem biegało rzeźwiuteńkie i szczęśliwe po podwórku. Biedne kurcze! Na świecie wszystko ma swój koniec, więc i my pełni wrażeń z doznanéj uprzejmości i oglądania pamiątkowego grodu, ruszyliśmy w odwrotną drogę. Na dworze był już wieczór cichy i ciepły, słońce ostatnie swe promienie powierzało lekkim obłokom zawieszonym nad horyzontem; rumieniące je, „wieczernice“ poczęły migotać w stronie wschodnio-północnéj nieboskłonu. Rumaki nasze, doznawszy miejskiéj dyety i rozumiejąc powrót do domowych sutszych żłobów, pędziły ochoczo po nieznośnym bruku i zaledwieśmy minęli ostatnią ulicę kopylską, świeże, czyste powietrze, niby balsam, wpłynęło do płuc zaalarmowanych nieco dwudniowém wdychaniem mijazmów słuckich. O! brudów tutejszych nie pozbędzie się pamięć nasza, bo takie rzeczy głęboko rażą zmysły wieśniaka, przywykłe do skromnéj czystości...

Panny moje widocznie dużo fertając się po miasteczku uczuwały znużenie, skoro rozmowa pierwéj ożywiona stawała się coraz słabszą. Zapewne wygodne siedzenie uspasabiało do spoczynku, to téż spostrzegłem jak od Siołka, przyjaciółka mojéj córki, wodząc błędnym wzrokiem po przedmiotach przyćmionych szarą godziną; spuściła wreszcie oczki i zasnęła, a za jéj przykładem i moja dziewczyna powoli drzemać poczęła. Teraz w bryce było już cicho— „jak mak posiał“. Jam zasiadłszy na koźle, trzymał pomiędzy nogami ów ciężki kloc medrzewiowy z Fary Słuckiéj, czemu się nie mógł dość nadziwić gapiowaty woźnica, twierdząc naiwnie, że Pan niewiedzieć po co ciągą ze sobą stare drewna, jak gdyby swojego lasu nie starczyło. — Śmiałem się. Pora nocna w lecie zwykle sprzyja podróży, jechaliśmy więc prędko i tak szczęśliwie jak nigdy bodaj. Drzemałem i ja trochę na koźle, po żołniersku — bom w młodości probował tego kunsztu—za to daleko bezpieczniéj pogrążał się we śnie nasz stangret, powierzając bezwiednie wehikuł tylko zmyślności wprzężonych w niego stworzeń—przypadku wszakże nie było. Noc letnia krótka, zarumieniło się niebo na wschodzie, gwiazdy przygasły na stropach niebieskich, poczęła się znowu natura budzić do życia; skowronek, czujna ptaszyna, pierwszy zanucił piosnkę poranną, zaświergotało inne ptactwo, a wspaniały orzeł pływał wysoko nad borami, wypatrując żeru; tu i owdzie staranni pasterze wyganiali już stada w pole; echo powtarzało po przestworach leśnych głosy donośnéj ich trąby i szczekanie psów, ryk bydła, dążącego na pokryte bujną rosą pastwiska.

A panny spały malowniczo w głębi siedzenia, przytulone wzajemnie do siebie, jak dwie białe koteczki, nie czując nawet turkotu

bryki; lecz w tém pierwszy promień cudownego słonka, przedarłszy się z za borów uderza je w same oczy, budzą się więc z uśmiechem, na raz zrobiło się gwarno, byliśmy znowu w Pereszewie. Po krótkim wypoczynku reszta drogi nie wydała się już długą, bośmy rozmawiając wesoło i układając treść do relacyi z odbytéj podróży, wcześnie jeszcze przed południem stanęli w domu, w tém przytulisku, w którém wśród rodziny i penatów ojczystych ćwierć wieku z okładem przeżyło się niby dzień jeden! Zaprawdę, dziś szczególnie stokroć błogosławiona i droga ta strzecha własna, pod którą wracać tak błogo o każdéj porze i witać ukochane sercem istoty, płacące wzajemnością bez granic! Kto takie szczęście posiadł, ten może w cichości i filozoficznie, poprzestać na swojém, chociażby małém i nie tęsknić do marnych błyskotek świata.

Pisałem w Zamościu, 20 grudnia 1883 roku.

O miastach i mieszczaństwie
W KRÓLESTWIE POLSKIÉM. [1])

III.

Zapoznawszy się z ekonomiczym stanem miast Kr. Polskiego, można dopiero ocenić warunki społeczne i moralne, czyli uzdolnienie obywatelskie ludności miejskiéj, warunki, stanowiące nietylko podstawę bytu materyalnego, ale, co ważniejsza, będęce probierzem, według którego kraj może utworzyć sobie pojęcie o obecném położeniu i o przyszłości téj ważnéj nadzwyczaj warstwy społecznéj. O ile wyrobienie intelektualne tego stanu na wyższym stanęło stopniu, a przynajmniéj im więcéj ma danych do osiągnięcia poważnéj sumy przymiotów moralnych, im wyraźniéj jego świadomość obowiązków społecznych i gorliwość w ich spełnianiu się objawia, tym nadzieje, pokładane powszechnie w stanie średnim, łatwiéj ziścić się mogą, a ludność miejska, która dotąd swego posłannictwa dziejowego u nas nie spełniła, przy rozbudzonych w niéj szlachetnych porywach ducha, zamiłowania obowiązków obywatelskich i rozumnéj pracy ekonomicznéj, wynagrodzi krajowi długie wieki bezczynności społecznéj, w któréj ją pogrążyły wiekowe stosunki historyczne. Jeśli się zaś przekonamy, że charakter naszego mieszczaństwa ku tym pożądanym reformom nie dąży, wtedy na długie czasy odroczyć musimy zorganizowanie się w społeczeństwie czynnika, będącego ogniwem warstw wyższych i niższych, obowiązanego do wspólnéj obywatelskiéj pracy w postępie, w szerzeniu cywilizacyjnych idei, czynnika, którego głównym celem działalności obywatelskiéj byćby powinno rozwijanie i podnoszenie trzech wielkich sił życia ekonomicznego: rękodzieł, przemysłu i handlu.

---

1) Ciąg dalszy. Zob. zeszyt za m. Styczeń r. b.

Nie przesądzając ostatecznych wniosków, które z dotychczasowego oświetlenia ekonomicznych stosunków mieszczaństwa naszego logicznie wyniknąć muszą, zwracamy uwagę czytelnika na te wyjątkowe—a zatem łagodzące okoliczności, które się składały i dotychczas składają na nieprawidłowe, nienormalne — powiedzielibyśmy— niemal sztuczne kształtowanie się stosunków mieszczaństwa u nas, nie wyrastającego w głównéj swojéj masie z rodzimej gleby, ale przeszczepianego z obcéj—często wrogiéj nam niwy. Prawda, że pod wpływem naszych dziejów, pod wpływem naszych zwyczajów i obyczajów, wyrosło po miastach naszych wiele bardzo szlachetnych drzew rozłożystych, których młodociane gałęzie nieraz zaciemniają obywatelskością swoją niektóre dawne, historyczne rody; ale nie brak i takich, którym trudno przychodzi zsolidaryzować się z powszechną dolą i niedolą kraju.

Główny cel naszych badań statystycznych moglibyśmy wtedy dopiero w zupełności osiągnąć, gdyby wespół z innemi kwestyami można było zadawalniająco rozwiązać pytanie: Jakie stanowisko w ogólném bogactwie kraju, w ogólnéj jego produkcyi zajmuje dana miejscowość? jaką jest wartość produkcyjna i pieniężna jéj mieszkańców? Naturalnie co do niektórych miejscowości i niektórych gałęzi przemysłu dane są dokładniejsze, ale tam, gdzie położenie ekonomiczne pozostawia wiele do życzenia, gdzie odzywa się dopiero potrzeba reform podnoszących dobrobyt, tam napotykamy taki brak materyałów, że trudno jest bardzo dojść do wniosków pewnych, trudniéj jeszcze obmyśleć, coby w danych warunkach należało przedsiębrać. Tak zwany np. okrąg zachodni Królestwa, siedlisko wielkiego przemysłu, Warszawa i parę większych miast gubernialnych dokładniejszą posiadają statystykę, ale cały szereg miast i osad, któremi zająć się należy, pozbawione są dokładnego materyału do sprawiedliwéj oceny położenia. Co się zaś tyczy t. z. „pamiatnych kniżek", które każdorocznie wydawane, stanowić mają rezultat urzędowych obliczeń statystycznych w guberniach, to nie można o tém zapominać, że wychodzą one nieregularnie, nie wszędzie, a wreszcie treść ich zupełnie nie zgadza się z tytułową kartą. Trzyczwarte „pamiatnych kniżek" zajmuje wyliczenie urzędów i urzędników władz rządowych w całéj gubernii, czwarta część wymienienie jarmarków, szpitali, czasem szkół i innych instytucyj, ale wszystko to niekompletne i bez żadnego poglądu krytycznego.

Z tych jednak danych, które z tego źródła zbieramy, można, przy pomocy źródeł prywatnych, zgromadzić wiele pouczających wiadomości o ekonomicznym stanie miast naszych. Na pierwszym planie stoi przemysł, który w krótkim stosunkowo czasie rozwinął się niepomiernie; wnikając jednak w istotę jego powstania, badając wpływy jego na żywotne interesa kraju, nie znajdziemy w nim tego, co w każdém przedsiębiorstwie stanowi podstawę jego powodzenia, to jest nie wytworzyły go czynniki, dla których przemysł byłby nie-

tylko przedmiotem indywidualnego zysku, ale i przedsiębiorstwem, pracującém dla dobra materyalnego równie jak i obywatelsskiego kraju. Przemysł nasz, prócz kierunków czysto exploatacyjnych, innych nie wykazuje; nie obchodzi go przyszłość kraju, nie posiłkuje się w wielu miejscach miejscową siłą roboczą, lecz ma charakter tymczasowości, gdyż na czele przemysłu stoją ludzie, których nic z krajem nie wiąże: wyzyskują go spekulanci. Trzy okręgi: Łódzki, Sosnowicki i Warszawski koncentrują w sobie cały przemysł kraju, a dwa pierwsze w znakomitéj większości stanowią ludność obcą, napływową, to są cudzoziemcy! Powstawanie fabryk cudzoziemskich w naszym zachodnim pasie granicznym i to fabryk, posługujących się pracą obcéj nam ludności, wszystkie ofiary narodu czyni bezowocnemi a znaczenie polityki ekonomicznéj państwa osłabia. Taryfa celna protekcyjna, ma na celu rozwój i rozkwit fabryk w państwie, rozkwit produkcyi wewnętrznéj a zagrodzenie wstępu towarom zagranicznym. Tymczasem, dzięki temu, że cudzoziemcy przenoszą swoje fabryki po za naszę linię celną, na terytoryum krajowe, osiągamy wręcz przeciwne rezultaty. Produkt obcy w znacznéj części uchyla się od podatku celnego, producent-cudzoziemiec zyskuje na swoję wyłącznie korzyść całą różnicę między podwyższoną ceną produktu i tą ceną, jakąby mógł zań otrzymać na wolnym rynku; producent zaś swojski u siebie, wewnątrz granic państwowych, spotyka się z tą samą konkurencyą, od któréj miał nadzieję choć czasowo się uchronić, a konsument na tym napływie przemysłu obcego, albo nic nie zyskuje, albo zyskuje bardzo mało.

Okrąg fabryczny Łódzki, najważniejszy z trzech okręgów, jako główne gałęzie przemysłu produkuje wyroby wełniane i bawełniane; fabryki tamtejsze zwłaszcza od 1870 znacznie podniosły swą wytwórczość, a chociaż przemysłu Łodzi nie możemy uważać za rodzimy, nie przedstawia on takiego niebezpieczeństwa jak okrąg fabryczny Sosnowicki, na kresach kraju powstały, a inwazyą niemiecką z całą grozą przedstawiający. Tu to, po połączeniu dr. żel. Warszawsko-Wiedeńskiej z drogami pruskiemi, większość wzdłuż téj linii położonych majątków ziemskich z rąk obywateli polskich przeszła do rąk bogatych i przedsiębiorczych prusaków; tu ogromnę kopalnie węgla dostały się w ręce niemieckie. Sosnowice wreszcie, położone przy samej granicy pruskiéj i przemysłowych miast takich, jak Katowice i Mysłowice, pozwalają tanim robotnikom zagranicznym pracowae w fabrykach, w granicach Królestwa położonych. Pod wpływem tych rozlicznych przyczyn, z krzywdą interesów kraju, przemysł niemiecki w Sosnowicach zwiększył swą produkcyą w ciągu ostatnich lat dziesięcu o 70 pr. Powstał on nietylko bez jakiegokolwiek udziału sił społecznych i sił rządu, jak to w części było w Łodzi; ale nawet pomimo ograniczeń, robionych rozwojowi przemysłu Sosnowickiego. Obecnie ograniczenia te ściśléj są wykonywane, co pozwala wnosić, że okrąg sosnowicki z powodu warunków otoczenia i bogactw natu-

ralnych, tak odpowiednich rozwojowi wielkiego przemysłu, z czasem ściągnie do siebie kapitały krajowe; w każdym jednak razie, to—co niemcy dotąd zdobyli, jest olbrzymią stratą majątku narodowego. Najdroższym, najbardziej naszym jest okrąg fabryczny warszawski, w którym udział cudzoziemców także w pewnym stosunku istnieje, ale większość przedsiębiorstw do krajowców należy. Przemysł tego okręgu całkowicie zajmuje się obrabianiem niewłóknistych materyałów, a znaczniejsi jego przedstawiciele posiadają fabryki żelazne i wogóle metaliczne, oraz fabryki maszyn. Wartość produkcyj okręgu warszawskiego, określa się cyfrą przeszło 50 mil. rubli. Posiada on jednę tylko wielką fabrykę płótna i wyrobów bawełnianych w Żyrardowie i jednę znaczniejszą przędzalnię wełny w Markach; po za temi ma wprawdzie kilka zakładów przemysłowych, przerabiających bawełnę, wełnę i jedwab', ale wszystkie te skromniejsze fabryki razem wzięte nie mają wielkiego znaczenia. Pierwsze natomiast miejsce w okręgu warszawskim należy się fabrykom metalicznym wszelkiego rodzaju, które obrabiają metale zagraniczne, używając w tym celu częścią miejscowego, częścią zaś zagranicznego węgla kamiennego i koksu również zagranicznego, gdyż zupełnie dobrego, przydatnego do takiego użytku węgla kamiennego dotąd w Królestwie nie znaleziono. W przeciągu lat ostatnich, w ciągu których powiększono cło od zagranicznych metalów, produkcya fabryk tych ograniczyła się, a jedna z największych w Warszawie, fabryka stali, przeniosła swoję działalność do gubernii Ekaterynosławskiej.

Jeśli spojrzymy poza granice tych trzech okręgów fabrycznych, na resztę kraju, to uderzy nas widok nader smutny, prawie przerażający. Wielkie pustkowie przemysłowe, brak handlu i ubóstwo ekonomiczne, oto co przedstawiają miasta nie zaludnione cudzoziemcami, nie posiłkowane ich kapitałami. Skoncentrowanie i zmonopolizowanie w Zachodnim okręgu przemysłu i handlu, sparaliżowało działalność innych miast i jeszcze jeden mamy tu dowód, że zapraszając cudzoziemców dla stworzenia nam przemysłu i handlu, doczekaliśmy się fabryk niemieckich i handlu żydowskiego. Czytając wiadomości z niektórych miejscowości, zdawałoby się, że ruch ekonomiczny żywszym bije tętnem, ale zsumowawszy rezultaty finansowe tego ruchu, łatwo się przekonamy, że bieda tam kompletna. Że w pewnych miastach gubernialnych lub powiatowych istnieje browar, dystylarnia, młyn lub garbarnia, przemysłem tego nazwać nie można, bo przeważną ilość artykułów koniecznych dla konsumcyi, ubrania i innych potrzeb ludności, owe pseudo-przemysłowe miejscowości sprowadzać muszą skąd inąd. Spojrzyjmy tylko na miasta i miasteczka gubernii Siedleckiéj, Łomżyńskiéj, Suwałkoskiéj, Kieleckiéj, Płockiéj, a przedstawi nam się widok takiego zastoju, takiéj nędzy ekonomicznéj, że porównaćby je można z takiemi miejscowościami, które klęski losowe do upadku przyprowadziły. Lubelska gu-

bernia również, prócz Lublina, w przemyśle i handlu niczém się nie odznacza; Radomska w ślad tamtéj podąża i jedynie Radom, po połączeniu go drogą żelazną z Warszawą i Dąbrową nieco się podnosi, a nie wymieniając w tym szeregu biedy — gubernii Warszawskiej i Piotrkowskiej, będących jedyném źródłem naszego przemysłu i handlu, pozostaje nam tylko gub. Kaliska, która szczęśliwszém swém położeniem nad granicą i dość rozwiniętym drobnym przemysłem, przyniesionym przez Niemców a niezupełnie przez nich opanowanym, stanowi podstawę, na któréj można stawiać pomyślniejsze widoki na przyszłość.

W guberniach, znajdujących się na średniéj stopie rozwoju ekonomicznego, jak np. Kaliska, Lubelska lub Radomska, gdzie nie zachodzą jakieś szczególne handlowo-przemysłowe okoliczności, średni czysty dochód z przedsiębiorstw stanowi 6—8% od sumy obrotów. Tymczasem w guberniach niżéj w rozwoju stojących procent dochodowy jest o wiele wyższy. Tak np. w Siedleckiéj 15.5% w Kieleckiéj 10%. Wysoki dochód czysty od obrotu w guberniach o słabym rozwoju ekonomicznym, łatwo wytłómaczyć. Trzeba wziąść pod uwagę różnicę istniejącą między pojęciem o dochodzie z obrotu i o dochodzie z kapitału. Przedsiębiorstwo, w które włożono np. 10,000 rs., może w ciągu roku dopełnić obrotów na 30,000 rs., z każdego obrotu otrzymując 5%; w drugim razie, gdy włożono 100,000 rs., zadawalnia 2½% z każdego obrotu; w pierwszym razie interes dał przedsiębiorcy zarobku 1,500 rs., w drugim 2,500. W ten sposób, przy małym rozwoju handlu i przemysłu w danéj miejscowości, suma rocznego obrotu jest nie wielka i dla tego od każdego obrotu procent musi być większy, inaczéj bowiem nie opłacałyby się włożone w interes praca i kapitał. Natomiast tam, gdzie przedsiębiorstwo wielkie, handel ożywiony, bankierskie operacye, komisowe interesy i obieg kapitałów znaczny, dochód czysty od sumy obrotów o wiele jest niższy. Tak np. stanowi on w gub. Warszawskiej 5%, w Piotrkowskiej 4,1%. Natomiast w dwóch tych guberniach stopień rozwoju działalności przemysłowéj w porównaniu do handlowej, bardzo wysokiemi cyframi się wyraża. Zestawiając np. tutejsze stosunki z takiemiż w Cesarstwie, widzimy że w wymienionych guberniach Królestwa, przedsiębiorstwa dosięgają 18% ogólnej ilości obrotów, w przemysłowych guberniach cesarstwa 9,5%; obroty ich w Królestwie wynoszą 37% sumy ogólnéj, w Cesarstwie 9,5%, czyli cztery razy mniéj, i dochód brutto w Królestwie 4,2%, w Cesarstwie 15,9%. Średni dochód czysty mniéj więcéj ten sam.

Przedsiębiorstwa z obrotem wyżéj 1,000,000 rubli, należą do bardzo rzadkich, jest ich wszystkiego w Królestwie 26 (przemysłowych:) i handlowych, z czego w gub. Piotrkowskiej 13, w Warszawskiéj 12, a jedno w ośmiu pozostałych guberniach.

W przedsiębiorstwach handlowych średni dochód od obrotu wynosi 3%, podczas gdy w przedsiębiorstwach przemysłowych 5,9%,

biorąc pod uwagę cyfry przeciętne dla całego kraju; jednocześnie atoli średni procent większości przedsiębiorstw handlowych, stanowi 5 i 6 pr. Objaw ten przez to się tłómaczy, że jeden z działów handlu, mianowicie gałąź „bankierskich interesów, komisowych kantorów i agentur" obejmująca prawie połowę ogólnych obrotów handlowych w kraju (47pr.), z samego charakteru prowadzonych przez te przedsiębiorstwa operacyj, daje procent bardzo mały, ledwie 1,2pr.

Ekonomiczne położenie miast ocenić również można z siły podatkowej mieszkańców, z budżetów miejskich, w których znajdujemy wyliczenie wydatków na koszta porządków miejskich, oświetlenia, zabrukowania, konserwacyi budynków rządowych, na oświatę, dobroczynność i t. p. Podaliśmy już budżety miast, średni dochód i rozchód z mieszkańca, ale nie zastanawialiśmy się nad niemi krytycznie, czego ominąć nie można ze względu na ciekawe bardzo warunki, które z cyfr tych o gospodarce miejskiej wyciągnąć można. Przedewszystkiem zasługuje na uwagę dziwna polityka finansowa zazarządów miejskich, nie rozumiejących tego, że im wydatki na ulepszenia sanitarnych urządzeń, na udogodnienia życia, na ułatwianie zakładania przedsiębiorstw pożytecznych—będą większe, w miarę posiadanych funduszów, tém dobrobyt mieszkańców spieszniéj wzrasta, skutkiem czego siła ich podatkowa zwiększa dochody kasy miejskiej i pozwala w coraz szerszym zakresie udoskonalać gospodarstwo miasta. Tymczasem administracya miast przesadzoną odznacza się oszczędnością, kapitalizując nadwyżkę dochodów, nie wiadomo w jakich celach. Roczne oszczędności budżetów wykazują 350,431 rs. i gdyby jeszcze osiągano ją w miastach bogatych, dobrze zagospodarowanych, nicby przeciwko temu mieć nie można. Ale oszczędności dotykają miast najbiedniejszych, brudnych, niezdrowych, niezabodowanych i tak np. w Siedlcach przewyżka dochodów wynosi 25,000 rs., w Płocku 19,000, w Lublinie 14,000 w Radomiu 11,000, w Kielcach 10,000 rs. Te tysiące rubli przewyżki—użyte rozumnie, krocieby niedługo przyniosły, a nadewszystko poprawiły moralne i fizyczne stosunki ludności. W tych warunkach siła podatkowa miast wzrastać nie może, a zwróćmy uwagę jeszcze i na to, że mowa tu tylko o miastach gubernialnych, bo gdybyśmy zeszli do miasteczek powiatowych, to z podziwienia wyjśćby nie można, jakim sposobom do tej pory nie zniszczył ich brud, choroby zaraźliwe i brak wszelkich wygód. Wprawdzie w miejscowościach tych króluje żywioł żydowski, zamiłowany w niechlujstwie, ale dla reszty mieszkańców jakież warunki się przedstawiają, jeśli suma rozchodów miasta na jednego mieszkańca wynosi: w Zgierzu 94 kop., w Kalwaryi 54, w Chmielniku 41, w Białéj 34, w Końskich 28, w Garwolinie 25, w Włodawie 20 kop. i t. p.

Głównem źródłem dochodów miast jest podatek od nieruchomości i pod tym względem ważne dają się wyciągnąć wnioski. Z ostatniego spisu domów w miastach Królestwa do opodatkowania, widzimy, że dochód brutto ze wszystkich domów wynosi 13,411,600 rs. Ze wszystkich domów było 29,837, otrzymujących mniéj aniżel

160 rs. dochodu z domu, a trafiają się dające po 80, 50, 30, 15, nawet 10 rs. Tu mamy wyjaśnienie niezadawalniających stosunków mieszkalnych, które we wszystkich miastach naszych panują. Warszawy, choć na pozór tak okazale zabudowanéj, wyłączać z pod tych zarzutów nie można. Nie ma gorszych i droższych mieszkań w całéj Europie niż w Warszawie; jest to następstwem kierunków, które kapitał u nas zwykł obierać. Kapitalista nie włoży swych funduszów w budowę domów, które mogą mu przynieść zysk umiarkowany ale pewny, lecz trzyma je albo w papierach publicznych lub też rzuca w giełdowe obroty. To też z wyjątkiem nielicznego grona zacnych i dbających o wygodę swych lokatorów, właścicieli domów, reszta kamieniczników, to rzesza spekulantów, którzy budowali po to, aby zamazaną tandetę sprzedać przy pomocy oszustwa. W miastach prowincyonalnych brak mieszkań i porządnych domów jeszcze dotkliwiéj się zaznacza, co wynika głównie z braku regularnego kredytu hypotecznego; wierzytelności obciążające domy po większéj części są lichwiarskie, procenta więc zabierają dochody, skutkiem czego na innowacye i ulepszenia funduszów nie ma. Chcąc temu zapobiedz, należałoby się wystarać o kredyt typu amortyzacyjnego. Przed kilkoma laty powstało kilka instytucyi kredytu hypotycznego dla miast prowincyonalnych, mianowicie: dla Kalisza, Lublina i Płocka. Instytucye te, powstały każda niemal o własnéj sile—i mimo bojaźni, z jaką przyjmowano emisje listów zastawnych—w krótkim czasie wyrobiły one sobie dobrą markę na giełdzie. Była to jednak dopiero cząsteczka zadania, zapomniano bowiem o miastach powiatowych, równie, jeżeli nie pilniéj domagających się pomocy kredytowéj. Błąd ten naprawia Tow. kred. miejskie kaliskie, przyjmując projekt dodatkowéj ustawy, rozciągającéj działalność Towarzystwa na niektóre miasta powiatowe. Za przykładem danym, poszło Tow. kredytowe miejskie płockie, i po zgłoszeniu się niektórych ważniejszych miast powiatowych téj gubernii z zapytaniem czy możebném jest dla nich i na jakich warunkach korzystanie z usług kredytowych instytucyi, odpowiedziało, że chociaż działalność Towarzystwa ogranicza się tylko do samego Płocka, radzi jednak wystąpić z podaniem o przyłączenie tych miast do Tow. płockiego, na zasadzie ustawy specyalnéj. Tak więc kwestya kredytu hypotecznego dla miast prowincyonalnych znajduje się na dobréj drodze i jeśli projekt zostanie zatwierdzony, będzie to epokowy fakt w rozwoju miast naszych.

Z kolei rozważyć nam należy położenie drobnych przemysłowców i rzemieślników w miastach. Jeśli w ogóle sprawozdania o położeniu różnych warstw społecznych są niedokładne, najbardziéj brak ten uderza w wiadomościach o położeniu rzemieślników i robotników fabrycznych. Mało bardzo wiemy o podziale robotników pod względem płci i wieku, nie obliczono ile kobiet i dzieci pracuje, niedokładne są wiadomości o warunkach hygie-

nicznych, o istnieniu kas przezorności i emerytalnych, o wynagrodzeniu robotników, o liczbie godzin pracy i t. p. Tyle tylko wiedzieć można, że średnia płaca robotnika w Warszawie wynosi 300 rs., w miastach gubernialnych i powiatowych 200—250 rs. rocznie. Zarobek taki przy skromnych potrzebach wystarcza, ale nie stanowi gwarancyi bytu robotnika, nie zabezpiecza go w razie choroby, kalectwa lub innych wypadków losowych. Nieliczne bardzo przedsiębiorstwa poczuły się w obowiązku ustanowieniain stytucyi zabezpieczających los robotników, ale tém mniéj pomyślano o uczynieniu ich pracy zyskowniejszą. Dopuszczanie u nas robotników do zysku, tak zwana tantyema, nie istnieje nigdzie, a jednak jakżeby się zmieniły warunki przemysłu, jaki wpływ wywarłoby na robotników zainteresowanie ich w przedsiębierstwie. Udział ich w zyskach przedsiębiorstwa zapewniłby porządek, zdwojoną pracę i t. p. Zniknęłaby głucha walka między pracodawcą i pracownikami, warunki moralne, w którychby się robotnicy znaleźli, miałyby bardzo szczęśliwe konsekwencye materyalne, bo suma produkcyi a więc i zyski z niéj znacznieby się zwiększyły. Ale do tego jeszcze daleko.

To też gdy ten rodzaj stowarzyszenia—praca i kapitał—na teraz przeprowadzić się nie da, pozostaje drugi rodzaj instytucyi wzajemnych, t. j. stowarzyszenie robotników pomiędzy sobą. Są to tak zwane stowarzyszenia współdzielcze, pod trojaką formą: *a*) Stowarzyszeń konsumcyjnych; *b*) Stowarzyszeń kredytu ruchomego i *c*) Stowarzyszeń produkcyjnych. Te ostatnie mają na celu przeróbkę materyi pierwotnych w produkt fabryczny, a zatrzymanie zysków, które osiąga fabrykant. Pierwszy z tych systemów rozszerzony jest w Anglii, drugi w Niemczech, trzeci we Francyi. Prócz rezultatów materyalnych, które stowarzyszenia współdzielcze dają, wielką ich zasługą jest rozwijanie w robotnikach zmysłu inicyatywy indywidualnéj, odzwyczajania ich od wyczekiwania w kwestyi reform socyalnych pomocy rządu i podnoszenie godności osobistéj klasy robotników.

Na razie byłyby to reformy najpożądańsze w obecném położeniu robotników, zwłaszcza, że jest to najzdrowszy, najsilniejszy żywioł miejski, który jedynie przeciwważy rozkładowe wpływy żydowstwa. Tymczasem pod jakimkolwiek względem zapatrywać się będziemy na życie robotnika miejskiego, wszędzie uderzyć nas muszą nierozumne urządzenia, przeszkadzające jego moralnemu i materyalnemu rozwojowi.

Również nie zadawalająco przedstawia się los rzemieślników czyli drobnych przemysłowców. Położenie ich w obec coraz groźniéj występującéj walki między kapitałem i pracą, jest bardzo ciężkie, zatem i oni starać się muszą legalnie bronić przeciwko wielkiéj produkcyi, przyjąć za zasadę skuteczną samopomoc, któréj ostatnim wyrazem jest spółka ekonomiczna. Otóż podczas gdy zagranicą panowanie kapitału spotyka się z pewném przeciwdziałaniem, dążącém

do utrzymania częściowéj choć równowagi między kapitałem a pracą, my pozostajemy w tym kierunku daleko w tyle po za naszemi zachodnimi sąsiadami.

Zagranicą znaleźli się ludzie, którzy zajęli się organizacyą kredytu dla drobnego przemysłu, i w stosunkowo krótkim czasie do olbrzymich sprawę tę doprowadzili rezultatów. Powstały stowarzyszenia kredytowe współdzielcze, polegające na solidarnéj odpowiedzialności uczestników, a rozwój ich w przeciągu lat kilkudziesięciu jest zdumiewający. U nas, odłączając Kasę przemysłowców warszawskich, jako niesłużącą wyłącznie celom drobnego kredytu, posiadamy wszystkich takich stowarzyszeń pięć, podczas gdy w W. ks. Poznańskiem, liczącem 2 miliony dusz, istnieje ich sto. Nie wliczamy tu bowiem dwóch towarzystw zaliczkowo-wkładowych, w Grójcu i Wiskitkach, przeważnie rolniczych i wymieniamy tylko stowarzyszenia dla drobnego kredytu w miastach istniejące, o charakterze handlowo przemysłowym i funkcyonujące pod mianem kas przemysłowców. Kasy te, założone w Kielcach, Lublinie, Łodzi, Łomży, Radomiu; w 1887 r. otrzymały czystego zysku 27,329 rs., udzieliły pożyczek na 1,214,626 rs. Ta cyfra obrotu rocznego najlepiéj przekonywa o rozmiarach działalności u nas instytucyj współdzielczych; wszak suma, wyrażająca wysokość obrotów całego kraju, nie przechodzi obrotu jednej kasy przemysłowców zagranicą. Na razie możnaby się pocieszać tém, że w dwóch latach ostatnich suma udzielonych pożyczek się podniosła z 573,164 rs. w 1886, na 1,214, 624 rs. w 1887 r., a nadewszystko, że suma kapitałów, złożonych na lokacyą, znacznie się zwiększyła, bo z 362,782 rs. na 895,429 rs. Postęp to widoczny, świadczący o pożyteczności tych instytucyi, oraz o istnieniu w średnich i niższych warstwach naszego społeczeństwa oszczędności, które czekają tylko korzystnéj lokacyi, jaką im zapewnia zupełnie pewne, bo polegające na solidarném poręczeniu wszystkich uczestników, stowarzyszenie. W każdym jednak razie daleko nam jeszcze do tego stanowiska, które zagranicą zajęły stowarzyszenia kredytowe, co jest tem dziwniejsze, że nie stoimy znów tak nisko ani moralnie, ani ekonomicznie, byśmy zdobyć się nie mogli na stworzenie instytucyj tak wielkiego pożytku. Na trudności, z któremiby potrzeba walczyć, narzekać nie możemy; jeśli zaś są, kłaść je należy na karb naszéj apatyi, naszéj zupełnéj prawie bezczynności na polu stowarzyszeń ekonomicznych.

Z drugiéj znów strony do trudności, z któremi walczy drobny przemysł, dwie się przyczyniają okoliczności. Kierownicy spraw miejskich, ojcowie miast naszych, nie rozumieją i nie widzą źródeł, któremiby przemysł drobny, rzemiosło i handel podnieść można. Te biedne nasze miasta, oszczędności budżetowych i różnych kapitałów miejskich, mają nagromadzone 4,000,000 rs. w kasie Banku Państwa, martwo — bo na małym bardzo procencie — leżących. Czyż najprostszy zmysł ekonomiczny nie nakazuje depozyty te w in-

ny sposób spożytkować? Urządzenie kas zaliczkowych dla przemysłowców i kupców, przeznaczanie pewnych odsetek na oświatę i inne cele użyteczności publicznéj, muszą się przyczynić do rozwoju wszelkich przedsiębiorstw i do ożywienia miast.

Wreszcie wielkiém dobrodziejstwem dla ludności miejskiéj, byłoby zorganizowanie na wzór istniejących we Francyi: „Towarzystw kredytu pracy“. Zadaniem ich jest: udzielanie kredytu istniejącym stowarzyszeniom, pomaganie w tworzeniu nowych stowarzyszeń współdzielczych konsumcyjnych, kredytu i produkcyjnych— popieranie rozwoju miast i propagowanie zasad solidarności, oraz załatwianie wszelkich operacyi finansowych za pomocą majątku stowarzyszeń. Towarzystwo nietylko kredytu ruchomego swym członkom udziela, lecz jest bankiem kredytowym stowarzyszeń współdzielczych. W rezultacie „Tow. kredytu pracy“ przez swe rady i przez swe kapitały, pomogło do założenia i rozwoju wielu stowarzyszeń produkcyjnych, a drobni handlarze i rzemieślnicy prędko zrozumieli korzyści téj instytucyi. Charakterystycznem jest to, że Towarzystwo wymienione działa w warunkach, którychby żaden bank za bezpieczne nie uznał; tymczasem Tow. tak jest zorganizowane, że znając moralność, środki i interesy stowarzyszeń, z któremi codzienne ma interesy, których powstanie w wielu razach wywołało, pierwsze kroki ułatwiało, ma najzupełniejszą z tych powodów gwarancyą. Straty są małoznaczne.

Obszernie przedstawiwszy położenie ekonomiczne i pracę jednéj połowy ludności miejskiéj, nie wspomnieliśmy nic o pracy kobiet, z tego względu, że znaczenie jéj nie jest i nie może być tego rodzaju, byśmy w niej widzieli czynniki, z któremi rachowaćby się należało w ocenianiu stosunków ogólnych, zwłaszcza ekonomicznych. Kobiety zadanie na polu moralném i społeczném olbrzymie zawiera obowiązki, ale w dziedzinie ekonomiki zajmuje ona stanowisko drugorzędne, wewnętrzne, domowe, ułatwia pracę mężczyźnie, ale jéj z nim nie dzieli. Nawoływania emancypacyjne są sztucznym manewrem wyegzaltowanych kobiet, które w razie zastosowania tej emancypacyi nie znalazłyby nawet sił już nie specyalnych, ale liczebnych, któreby maleńką choćby część prac im przeznaczonych wykonać mogły. Przesadne są również obliczenia cyfry kobiet bez zajęcia. W miastach np. liczba kobiet obowiązkowo pracy domowéj oddanych jest bardzo wielką; żony robotników, rzemieślników, przemysłowców, ludzi wszystkich profesyj wyzwolonych, czas cały ognisku rodzinnému oddać muszą, a kobiety bezżenne, z pracy rąk żyjące, cyfrę najwyżéj 20,000 osób stanowią i wiele z nich ma utrzymanie bardzo przyzwoite, prowadząc sklepy, magazyny mód, szwalnie i t. p. Wreszcie: że kobiety nie mają znów tak wielkich przed sobą dróg działania, świadczy fakt, że nikt im nie broni tworzyć zakładów, w którychby kształcić się mogły nie na adwokatów, przyrodników lub dyplomatów, ale na pożyteczne pracowniczki różnych przedsiębiorstw. Otóż

przypatrzywszy się kierunkom nadanym t. z. szkołom rzemiosł dla kobiet, widzimy, że w zakładaniu ich istniała jakaś mania. Istnieje takich zakładów bez liku, według jednych i tych samych wzorów, widocznie więc nie potrzeba dostarczać kobietom innych źródeł pracy. Możemy się mylić w zdaniu naszém, choć opieramy je na faktach, a jeśli tak jest, to ten fakt dowodzi praw natury, która, wyznaczywszy podział pracy i obowiązków obydwom rodzajom ludzkości, łamać ich nie pozwala. Nie ubliża to w niczém kobietom, nie osłabia ich apostolstwa społecznego, a wiemy przecież, jak szeroki widnokrąg na innych polach działalności mają one przed sobą.

Oceniliśmy więc siły materyalne ludności miejskiéj, przypatrzyliśmy się jéj siłom moralnym, nie w znaczeniu społeczném, bo o tém dopiero na końcu będzie mowa, lecz tylko pod względem ekonomicznego wyrobienia; zobaczmy téż mieszczaństwo nasze pod względem rozwoju intellektualnego.

(*C. d. n.*)

Z KRWAWYCH DNI.

NOWELA

przez K. G.

I.

Mroźny styczeń przykrywał białym całunem ziemię, a my, zaproszeni w listopadzie na zwykłe polowanie, bawiliśmy jeszcze w gościnnym zamku Ebersberg—wspaniałéj posiadłości p. Y... jednego ze znamienitszych niemieckich pisarzy i zarazem posiadacza znacznych obszarów ziemi.

Prócz mnie i mego dobrego znajomego, Bolesława S... także polaka, z radomskiego—towarzystwo zamkowe składało się: z pana Y... i jego małżonki, uprzejméj i miłéj gosposi, czyniącéj z nieopisanym wdziękiem honory domu, ich córki i wychowanicy, z dwóch sąsiadów i p. Emmy Brennér-Krohn, autorki nader w owym czasie głośnego niemieckiego dziełka p. t. „Laury i cyprysy“, w którém się niejednokrotnie i tak sympatycznie o kraju naszym wyraziła.

A prawdziwie po królewsku byliśmy w Ebersbergu podejmowani. Zupełną obdarzeni swobodą, pomieszczeni w osobnych apartamencikach téj wspaniałéj, średniowiecznéj budowli — mieliśmy prawo robić co nam się żywnie podobało. Dla zwolenników myślistwa była bogata, pełna różnorodnéj broni zbrojownia, rasowe psy i rasowe w stajniach konie; zaraz zaś za olbrzymim, starannie obmurowanym parkiem, kilkumilowe, odwieczne lasy, pełne najróżnorodniejszéj zwierzyny. Dwa bilardy skracały przyjemnie długie zimowe wieczory:— obszerna i starannie utrzymana biblioteka, dostarczała cennéj, umysłowéj rozrywki.

Uprzejmi nasi gospodarstwo wymagali tylko, aby każdodziennie z uderzeniem szóstéj i pół wieczorem, nikogo nie brakło przy obiedzie, w ozdobnéj, rzeźbionym dębem wyłożonéj, gotyckiéj sali; co zaś do śniadania, to mogliśmy je spożywać wspólnie lub w naszych pokojach, podług upodobania.

Z powodu śmierci matki p. Y... nasi gospodarstwo w żałobie, zaniechali zwykłéj pod ową porę podróży do Paryża — tak więc, pierwotnie na pożegnalne zaproszeni polowanie, przyjęliśmy w tajemniczych murach starego, niegdyś feudalnego zamczyska, gościnność na całą prawie zimę.

Po obiedzie towarzystwo nigdy się już nie rozłączało. Gdy podawano kawę—damy przechodziły do salonu, my zaś, podążaliśmy za niemi dopiero po wypaleniu urzędowego cygara i kilku kieliszków kirszu. Ja domięszywałem ten nektar (mówię o prawdziwym z okolic czarnego lasu) do kawy i nie mogę wstrzymać się od polecenia tego sposobu amatorom.

Palenie—nawet Marylandu – było z salonu wykluczone i czasem tylko, od święta, i to jeszcze dzięki pannie Matyldzie, córce gospodarzy, która niekiedy, litowała się nad moim towarzyszem, namiętnym papierosistą, a dla osłonięcia tych wybuchów dobrego serca, wszystkim nam palić dozwalano.

Bolesława S... poznajomiłem z domem szacownych Y..., przywożąc go bez ceremonii na owe polowanie w listopadzie.

Pełen delikatności młody człowiek, choć serdecznie przyjęty, chciał po dniach kilku wrócić do niezbyt oddalonego miasta, któreśmy zamieszkiwali. Pan Y... jednak, polubił odrazu mego milczącego o smutnych oczach towarzysza — a wzrok panny Matyldy, sądzę że także zaświecił serdeczną prośbą o pozostanie.

Co do mnie, poznałem Bolesława na placu boju, pod Artenay (1870), w „dymie pożarów" i wystrzałów ręcznéj broni—śród grzmotu dział pruskich, które nam dziesiątkowały szwadrony.

Wyświadczył mi przysługę, zabijając w samą porę, zręcznym strzałem z rewolweru, jednego z dwóch badeńskich dragonów, którzy widocznie mieli niewymowną ochotę, wyprawić mnie na łono przedwiecznego, na któréj to uciesze wcale mi nie zależało.

Od owéj chwili, staliśmy się braćmi prawie.

Burze żywota w krótce nas rozłączyły, — łatwo więc pojąć, z jaką radością, najmując mieszkanko w mieście X., dowiedziałem się, że podobno nademną Bolesław S. zamieszkuje.

Kto był mój zbawca pod Artenay — nie wiedziałem i do dziś nie wiem jeszcze. O sobie zwykle mówił bardzo mało, jeżeli zaś decydował się czasem opowiedzieć jaki epizod ze swéj długiéj po świecie pielgrzymki, to unikał starannie wszystkiego, co mogło odnosić się do okolicy, w któréj się rodził i do jego rodziny.

Ja badać go nigdy nie śmiałem.

W zamku p. Y., towarzysz mój pożądanym był gościem, gdyż posiadał wszystkie prawie talenty towarzyskie, a umiał ich używać właściwie i w porę. P. Matylda np. utrzymywała, że nikt tak zajmująco i wdzięcznie, obrazowo nie opowiada, jak mój towarzysz z wojny 1870—1871 r.; p. Marta, wychowanica pp. Y., iż nikt równie dobrze nie śpiewa Gounod'a i nie gra Chopina, jak sługa wasz,

czytelnicy. Tym sposobem, bratnio, nawet na tem ślizkiém godziliśmy się polu — i gdy Matylda wzrokiem goniła za każdym niemal ruchem mego zbawcy — ja nie spuszczałem oczu ze ślicznéj, blondwłoséj Hanoweranki, wymawiającéj *stil*, *Stumm*, *Staub*, *Stimme* i t. p. tak jak się piszą te wyrazy.

Zawsze wieczorem, po obiedzie, p. Y. z żoną, p. Emmą Brenner-Krohn i jednym z sąsiadów, siadali do urzędowego wiska; często przyjeżdżający dzierżawca blizkiéj fermy, do szachowego stolika z drugim, już także podżyłym sąsiadem, —my zaś, młodzi, układaliśmy kwartet w drugim kącie olbrzymiej sali. I nieraz ztamtąd, wesołe śmiechy na wrzawę zakrawające, sprowadzały nam uwagi graczów, lub karę zwijania włóczki albo bawełny, drugiego dnia, i to jeszcze od samego rano.

W chwili, w któréj zaczyna się niniejsze opowiadanie, wiska skończono przed północą jeszcze i p. Y. ze swym poprzednim vis-a-vis, assesorem sądowym z sąsiedniego miasta, zaczęli przy kominku nader poważną rozprawę o niedostatkach karnego prawa i o szkodach, jakie z tego powodu ludzkość ponosi.

Wciągu kwadransa, niewinna na pozór polemika, przybrała rozmiary gorącéj sprzeczki i już nawet osobiste przymówki gradem się sypać zaczęły.

Jeden tylko mój przyjaciel, oparty o blizką konsolę, patrzał bezmyślnie w żywe ognisko, rzucając szermierzom od czasu do czasu, pełne politowania spojrzenia.

— A pan czemu się do nich nie przyłączysz? — zawołał nagle partener owego sąsiada, przyparty przez trzech innych do muru.

Przelotny uśmiech pobłażania przebiegł po bladém licu Bolesława.

— Pan wiesz dobrze przecie, że ja nigdy i w żadnym towarzystwie, nie wdaję się w rozprawy potrącające o te rzeczy. Mów pan o pogodzie lub o deszczu.

— Ależ, wypowiedz przynajmniej twe zdanie! — zawołał na piękne rozgniewany tym żarcikiem.

— Moje skromne zdanie wypowiadam bardzo często, ale... w kole ludzi mających własne i którzy, przekonani, ustąpić mogą. Wy zaś, jako słudzy prawa, macie odrazu wytkniętą drogę pojęć i postępowania, cóż więc za korzyść ze sprzeczki, w któréj choćbyśmy i słuszność mieli, ustąpić nie możecie z zasady.

— Ale ja chcę i pana i ich przekonać—przekonać koniecznie!— dorzucił nieborak, do ostateczności doprowadzony. — Niewolno jest, pod pozorem, że prawo karne usterki posiada, samemu karcić nieprzewidziane ustawą przestępstwa... szerzyć daléj bezprawie.

— Szanowny sąsiedzie,—rzekłem spokojnie, chcąc wstrzymać nowy wybuch gorzkich, obustronnych przymówek — podobna gadanina do niczego prowadzi. Gdy się chce jeść, nie wolno kraść

ani zabijać dla kawałka chleba, niewolno żebrać — nie wolno też targnąć się na własne życie. Cóż tedy wolno w takim razie? Szukać pracy? prawda? Ale szukając jéj, jeść także trzeba...

— Ja sądzę...

— Nie, szanowny panie, żołądek nie sądzi, tylko kurczy się, i te kurcze oddziaływają na cały organizm, głównie na nerwy, mózg i t. p. Wtedy zdrowy sąd ustaje. Żołnierze, nakarmieni i napojeni idą naprzód—głodni rzucają karabiny i uciekają. W roku 1870 i 1871 zwyciężaliście, boście byli syci. Bywają wyjątki od téj reguły, ale rzadkie. We względzie ciosów moralnych, to samo się dzieje; człowiek zatraca poczucie tego, co godziwe a niegodziwe, i wtedy trudno mu prawić kazanie, lub utyskiwać, że brak w kodeksie tego lub owego paragrafu, że skutkiem tego łotr tryumfuje a motłoch opluwa ofiarę! Objaśnijmy rzecz na przykładzie: np. Piotr lub Paweł ma siostrę. Wraca do domu, zastaje pod cichą dotąd strzechą rozpacz i łzy, gorzej jeszcze... sromotę! Do sądu zwrócić się nie może, bo go pierwszy zaraz sędzia śledczy wyśmieje, bo nie ma paragrafu, odpowiednio surowo karzącego nędznika, bo sam p. sędzia do dziś podobne grzeszki miewa na sumieniu. Cóż więc Piotr lub Paweł uczynić powinien?

— Ja, ja myślę...

— Nie—niech pan nie myśli. Rozstrzygaj nam pan sprawę odrazu—teorya i uczone rozumowania zupełnie tu są nieużyteczne. Podjąłeś się bronić złéj i zawiłéj sprawy — broń-że jéj należycie.

— Cóż powiem—rzekł przeciwnik—złe wychowanie dziewczyny... strzedz ją należało...

— I oto, moralność wasza!—ozwał się dźwięczny głos Bolesława.—Daruj, pan, lecz ja byłbym zdania, aby inaczéj wyjaśnić tę sprawę, a mianowicie: Nietylko oświecać trzeba naród wszechstronnie, ale wychowywać go w zasadach moralności chrześciańskiéj, która najlekkomyślniejszą naturę wcześnie przestrzeże, że choćby nas litera karzącego prawa nie mogła dosięgnąć, to skarci każdego winnego sumienie. ten najsprawiedliwszy sędzia, którego żadne wybiegi wymowy adwokackiéj zmylić nie potrafią. Trzeba wychować naród we wszystkich jego warstwach w takim rygorze p o c z u c i a sprawiedliwości, aby każdy zawsze i wszędzie uszanował w każdym bliźnim godność człowieka bez różnicy stanu, powołania, sytuacyi towarzyskiéj. Równocześnie trzeba rozszerzyć i wzmocnić skutecznie opiekę kodeksu karnego do tego stopnia, aby każdy pokrzywdzony obywatel kraju, ufny w sprawiedliwość wyroku, znalazł w nim pożądaną podporę i zadosyćuczynienie swéj godności ludzkiéj. W tym celu należy jak najwcześniéj zaszczepiać w młodszych pokoleniach wszystkich stanów gruntowne zasady religijne i poszanowanie prawa, aby każdy — podobnie jak dziecko, pod matki opieką — z ufnością i żywą wiarą

w sprawiedliwość, niósł pod sąd ogółu — coram populo — wszelkie nadużycia, wszelkie uchybienia moralności i sprawiedliwości.

— To komunistyczne mrzonki!—szepnął jego przeciwnik zjadliwie: — w społeczeństwie muszą być zawsze szczęśliwsi i cierpiący.

— Powiedz pan, proszę, bez ogródek: kaci i ofiary. Ale mylisz się — ciągnął daléj, rzucając mu spojrzenie pełne politowania— tylko aby ludzkość doszła do tego stanu, trzeba najpierw usunąć odpowiedzialność niewinnych za przestępców, piętno hańby, które jedni za drugich noszą na czole, bo to upodla ludzkość wykształconą i właśnie obraża tę moralność, o któréj tak szeroko rozprawiacie. — Nareszcie uciąć palec wskazujący na bliźniego: to syn łotra! równie jak uciąć palec wskazujący: to syn sprawiedliwego. Cóż bowiem za zasługa dla mnie, że zacnych ludzi miałem w rodzie? cóż za rękojmia, że i ja takim będę? A cóż znowu za hańba, że mi ojca lub brata za rozbój powieszono, bylebym ja był człowiekiem dobrym i prawym.

Kamieniem probierczym cnoty ludzkiéj — to nie przodkowie zasłużeni ojczyznie, lecz własne nasze zacne czyny—uczciwe postępowanie. Ale... oto moralność wasza!

Wszystkich spojrzenia spoczęły na męzkiej twarzy mówiącego. Lecz już młody człowiek ochłódł z chwilowego uniesienia Oczy błyszczące dopiero, znów smutny wyraz przybrały—pobladło piękne, klasycznie zakreślone lice.

Przystąpił do przeciwnika, i biorąc go, mimo lekkiego oporu za rękę, rzekł zwykłym, półcichym swym głosem:

— Daruj pan, może poszedłem zadaleko — wiem, że inaczéj mówić wam nie wypada... nie miej więc do mnie urazy... Ach, i ja także... niedawno, tak jeszcze cierpiałem!— dodał ciszéj trochę.

Sąsiad, w gruncie widać niezłe człowieczysko, odparł na ucisk ręki serdecznie.

Oczy Matyldy spoczęły na Bolesławie z wyrazem nieopisanego spółczucia—całe zaś towarzystwo bliżéj do naszéj trójki przystąpiło.

— Powiedz pan! opowiedz!—wołano do koła, nie myśląc, że młody człowiek, przychylając się do życzenia towarzystwa, głęboką, nie zabliźnioną jeszcze, musiałby może poruszyć ranę.

— Jeżeli możesz, Bolku, to opowiedz—szepnąłem po polsku.

Chwilę podumał.

— Eh, co tam!—rzekł nagle.—Przed miesiącem, ostatni aktor dramatu zeszedł już do mogiły, sam pozostałem.. chcecie, to opowiem w jak dziwném, strasznem niemal znalazłem się położeniu. Los...

— Bóg!—wtrącił sąsiad ze sprzeczki przedchwilowéj.

Spojrzał nań Bolesław i nieznacznie ruszył ramionami.

— Nie, mylisz się się pan,—odparł chłodno. — Los... przypadek – Bóg za dobrym jest, aby siać po ziemi takie nędze i takie niedole—daremnie nam Go w tak złém świetle przedstawiacie. Los tedy wyznaczył mi rolę, po szyję we krwi prawie...

Chcecie, opowiem jaki węzeł gordyjski do rozwiązania mi przedłożono i czy słusznie postąpiłem, przecinając go, a właściwie: milcząc, gdy przecinano go wbrew prawu.

Wiska, szachów i rozmowy nikt już nie miał ochoty zaczynać na nowo.

Na zewnątrz zamku szumiał huragan śnieżny, bijąc białemi płatkami o wysokie, wązkie, gotyckie okna sali.

Dorzucono kilka bukowych polan w komin olbrzymi—rozstawiono zabezpieczające od żaru zasłonki, i otrzymaliśmy ponętne pozwolenie: zapalić cygara i papierosy, oraz wypróżnić kilka butelek znakomitego xeresu, który ze słynnemi biszkoptami z Reims, na tacy w téj chwili nam przyniesiono.

Damy, dla zbawienia pozorów, wzięły różne robótki do rąk i Bolesław zaczął opowiadać temi słowy:

II.

W roku 1869, zaraz po otrzymaniu prawa francuskiego obywatelstwa, przeszedłem w stopniu podoficera z cudziemskiego legionu, do 3-go pułku huzarów.

Majorem w naszym szwadronie był młody oficer, moich lat prawie; nazwę go wam baronem Gastonem de Crécy-Brissac. Ojciec jego hr. de Crécy, wraz z żoną i córką zamieszkiwał wspaniałą rodzinną posiadłość w okolicach Orleanu.

Gaston, w pierwszych już dniach przybycia mego z Orleanu do m. Algieru, gdzie wtedy cały pułk był na zimowych leżach,—dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, okazywał mi niezwykłe względy, często bardzo od uciążliwéj uwalniał służby, potém — w kolumnach—przy jego bywałem boku—gdy zaś został starszym majorem w pułku (administratorem zwanym we Francyi „le gros Major"), wystarał się o przydzielenie mnie do głównego sztabu i wziął potem za przybocznego sekretarza.

Znane są wszystkim istniejące we Francyi do ostatniej wojny ustawy, dozwalające prostemu żołnierzowi marzyć najwyższe wojskowe zaszczyty. Smutny one wpływ wywarły we wczorajszéj kampanii; więcéj bowiem inteligencya i wykształcenie Niemców, niż oręż ich nas pokonały. Nie rzadko, mnie samemu, zdarzało się widzieć wyższych nawet oficerów, którzy zaledwie czytać i pisać umieli, a o ziemiach obcych prawie żadnego nie posiadali wyobrażenia. Raz nawet, pamiętam, iż pułkownik Legii zapytywał mnie

z powodu jakiegoś sporu co do Polski — czy potrzeba koniecznie płynąć przez ocean do Warszawy i czy czerwone morze także do nas należy.

Otóż, Gaston de Crécy, w kole oficerów, spędzających czas na grze w bilard i w karty — był jednym z tych ludzi, dla których umysłowa rozrywka wszystkiem jest prawie. Znalazłszy, że i ja, choć na tak nizkim szczeblu hierarchii wojskowéj, jakie takie jednak posiadam wykształcenie — zaczął coraz częściéj poszukiwać zemną rozmowy; gdy zaś, po pamiętnéj wyprawie do Fuiguigu, zostałem podporucznikiem w pułku — łączące nas już węzły znajomości, w ścisłą się przyjaźń zamieniły.

Obrazowo pięknéj twarzy, Gaston posiadał wszelkie przymioty: szczere, dobre serce, łagodność usposobienia, co zaś głównie, nieposzlakowaną prawość charakteru. Mimo jednak takiéj, jak nasza zażyłości, prócz wspomnienia z dzieciństwa siostry — nigdy o swojéj nie wspominał mi rodzinie.

Raz tylko, otrzymawszy przy mnie list z Crécy — bo tak się posiadłość jego rodzinna nazywała—zerwał się z krzesła na równe nogi—on, tak zwykle spokojny i umiarkowany, zmiętosił otrzymane pismo i rzucając je w kominek, zaczął szarpać wąsy, gryźć wargi i szybkiemi krokami chodzić po pokoju.

— Widać niezbyt przyjemną nowinę otrzymałeś, Gastonie, rzekłem, patrząc z podziwieniem i niepokojem na zmienioną twarz przyjaciela.

— Ja myślę, odparł zgrzytając zębami. I powiedzieć, że temu zaradzić wcale nie można! dodał jakby do siebie.

— A czy wolno wiedzieć o co chodzi? szepnąłem, biorąc go za rękę.

Stanął przedemną, popatrzył mi w oczy i po chwili wahania:

— Au fait, odparł ze smutnym uśmiechem—dla czegoż miałbym ci taić moje zmartwienie?

— Lecz cóż się stało takiego, Gastonie?

— Co? Siostra moja, biedna Lucy —a ręczę, że przeciw swéj woli—ma zostać wkrótce żoną człowieka, który... który...

Znów chwila wahania.

— Który, podług mnie pod żadnym względem nie budzi zaufania i żadnéj na przyszłość rękojmi dać nie może.

— Sądzę, że jako brat, powinienbyś przecie...

— Właśnie, że się mylisz! ojciec mój, człowiek bardzo zacny, lecz ma swe słabostki i żelazną— niewzruszoną wolę. On właśnie zawiadamia mnie, iż ułożył to małżeństwo.

— A czy nie możnaby mu wytłómaczyć?

— P. de Nortonville, kilkunastoletni przyjaciel hr. de Crécy i od lat dawnych, codzienny gość w naszym domu.

— A ileż ma lat siostra twoja?

— Lucy za dwa miesiące skończy lat siedmnaście.

— A p. de Nortonville?

— Czterdzieści ośm, do pięćdziesięciu lat, może więcéj!

— Mais c'est une monstruosité, que ce mariage! szepnąłem zdumiony.

— Je le sais bien, parbleu! lecz znać mego ojca potrzeba. Co postanowił, to wypełni choćby z życia ofiarą.

— I poświęci córkę?

— Nie wiem... Lucy się zgodziła... dobrowolnie przystała na to małżeństwo.

Nic już nie rozumiałem.

— To właśnie zgodzenie się jéj bez wahania, wprawia mię w podziwienie i tak niepokoi...

— Dam ci dobrą radę Gastonie—rzekłem po chwili namysłu, widząc ciężką troskę na licu przyjaciela.

— Jaką?

— Podaj natychmiast o urlop, choćby miesięczny tylko.

— Tak—toby może i dobrém było.

— Ja jutro jadę do Algieru—postaraj się, żeby dziś podanie twoje w kancelaryi pułkownika odrobiono i sam je zawiozę...

Uścisnął mi rękę w odpowiedzi.

Obozowaliśmy wtedy o sto kilometrów na południe kolonialnéj stolicy i nazajutrz o świcie, miałem powieźć do dywizyi różne sprawozdania z ruchów dotychczasowych naszéj kolumny. Zabrałem więc z sobą i podanie, opatrzone przychylną uwagą pułkownika. Co zaś do rozmowy dotyczącéj rodziny Gastona — tyle tylko co wyżéj powiedziałem, powierzył mi ze swéj tajemnicy.

Może wtedy, a i teraz nawet, opowiadając wam ten smutny epizod mego życia, mylę się, przypuszczając, iż Gaston wiedział, lub przynajmniéj odgadywał rzeczywistą przyczynę zgodzenia się Lucy na połączenie z człowiekiem starszym od niéj o lat trzydzieści i kilka—to tylko pewne, że stosunki rodzinne zupełnie obce mu nie były.

„Pojedzie i może tam co zrobi. Jeżeli na ojca wpłynąć nie zdoła—może z p. de Nortonville, choćby ze szpadą w ręku wyjaśni ciemną sprawę.“

Tak myślałem, wracając w ośm dni późniéj z Algieru, już z urlopem Gastona w kieszeni.

Eskorta moja, złożona z dwunastu Spahisów, tak była znużona, iż ostatnich dwóch etapów w jednym dniu zrobić nie była w stanie; niecierpliwy więc, objawić co prędzéj radośną nowinę przyjacielowi — zostawiłem moich ludzi na ostatniéj leży a sam, korzystając ze świeżego konia, którego znalazłem na posterunku, zdałem dowództwo sierżantowi i puściłem się cwałem do Mifii — oazy, w któréj brygada nasza stała obozem.

Niedojeżdżając do przednich straży — uderzył mię niemile, dochodzący z wiatrem głuchy łoskot bębnów z reduty a potem,

gdy podjechałem bliżéj—dźwięki żałobnéj, kawaleryjskiéj fanfary.

„Cóż się tam stało?“ pomyślałem, dziwném przeczuciem tknięty i zmęczonego już konia spiąłem ostrogami, aby prędzéj być na miejscu przeznaczenia.

Droga kręta i kamienista, szła głębokim jarem, zamkniętym wzgórzem, po za którém była osada Mifia. Przy samém wyjściu z tego jaru, o kilometr od reduty, któréj jednak, z powodu małego, zasłaniającego ją lasku, i mocnego zakrętu wąwozu, jeszcze widać nie było — spotkałem się oko w oko z pikietą mego pułku, złożoną z sierżanta i dwóch brygadierów.

Mieli czarne krepy, powiewające na lewem ramieniu, gołe szable opuszczone ku ziemi. Na licach wiarusów smutna była powaga—kroczyli stępem, jakby poprzedzając większy oddział postępujący za niemi.

— Kto umarł w pułku? wyszeptałem zatrzymując tchnienie.

Stary sierżant popatrzył na mnie i otarł łzę co mu w oczach zaświeciła.

— Miéj odwagę, mój poruczniku! rzekł nie zatrzymując konia, to biednego majora de Crécy chowamy.

— Jego?.. ależ to niepodobna! krzyknąłem jak obłąkany; zostawiłem go zdrowego—urlop mu do Francyi przywożę!

— Onegdaj, na polowaniu, odłączył się od innych i... znaleźliśmy go pod palmą, przy Marabucie [1]), z arabską kulą między żebrami. Biedny major! Żył jeszcze! Zanieśliśmy go do obozu, pocieszając się nadzieją jego wyzdrowienia. Umieszczony wygodnie w namiocie generała, zabrał się gorączkowo do porządkowania swoich interesów familijnych. Pisał listy, pieczętował, gotując się do tego królestwa niebieskiego, które wszystkim troskom ostateczny kres kładzie!

I pikieta stępem pojechała daléj.

Lecz już i tony marsza pogrzebowego doleciały do mnie, a za chwilę spotkałem i kondukt cały.

Wiernego Midzę majora prowadzono za uzdę za trumną, daléj—wszyscy oficerowie i oddziały wszystkich broni.

Złamany tym widokiem, ze łzą w oku — podążyłem za innymi.

Tu, Bolesław, zatrzymał się chwilę w opowiadaniu.

— Ah, jaka to smutna historya! szepnęła Matylda, patrząc na chmurną wspomnieniem twarz mego towarzysza.

Wszyscy słuchaliśmy z zajęciem pana S... ten zaś zaczął opowiadać daléj.

---

[1]) Marabout, pomnik grobowy wodza plemienia; także Mułła (ksiądz) u Beduinów. *przyp. autora.*

„Gdy spuszczono trumnę do dołu i ksiądz brygady zaśpiewał „Salve Regina“—usłyszeliśmy nagły szum tuż za nami i sygnałowa rakieta, sypiąca potoki iskier, wzniosła się w górę, opisując łuk olbrzymi.

Nie wiedzieliśmy co to znaczy.

Opodal, odprzodkowywano dwa górskie granatniki, dla pożegnalnéj salwy nad mogiłą—nasze huzary nabijali karabinki.

Lecz w tejże chwili, przeciągły grzmot plutonowego ognia od strony reduty, sprawił nieopisane zamięszanie.

Rzuciliśmy się do koni—myśląc, że Arabi na obóz napadli.

— Uspokójcie się, panowie! zawołał generał D... główno komenderujący, biorąc właśnie grudkę ziemi, aby ją rzucić na trumnę Gastona—to ja kazałem rozstrzelać sześćdziesięciu jeńców wojennych z plemienia Beni-Afra, z którego był morderca pana de Crécy. Rakieta była hasłem wykonania wyroku; umarł zemszczony przynajmniéj! dodał z nerwowém skrzywieniem twarzy, które mu w chwilach gwałtownego wzruszenia, było właściwe.

Zadrżeliśmy wszyscy na te słowa, i niejeden z nas pomyślał, pewnie, że sześćdziesiąt ofiar za jedno życie — może trochę za wiele!

Lecz śród głuchéj ciszy przyjęto słowa pana D., znanego z nieubłaganéj nienawiści dla Beduinów, którzy mu przed rokiem brata, także podstępem, zamordowali. Prócz tego, Gaston był ulubieńcem generała.

— A wy, chłopcy, rzekł jeszcze główno dowodzący, przygotujcie się dobrze; pojutrze pojedziemy w odwiedziny do tego zbójeckiego plemienia, a biada z was temu, który mi jeńca, choćby jednego nie przyprowadzi! Razzia po wszystkiém, panowie!

* * *

Wieczorem, po pogrzebie pana de Crécy — pułkownik oddał mi dużego rozmiaru opieczętowaną kopertę z moim na wierzchu nazwiskiem, skreślonem ręką Gastona.

— Biedak, umarł dopiero nazajutrz po postrzeleniu; — a jakiego potrzebował wysilenia, aby dokonać tego aktu przyjaźni... w takiém położeniu! rzekł, patrząc jak drżącą ręką rozrywałem kopertę.

List ów pamiętam cały i każdy wyraz wrył się w pamięć moję—powtórzyć go wam mogę wiernie:

„Mój drogi Bolesławie!

„Już się nie zobaczymy.

„Nie mam czasu na opisywanie ci mojéj przygody—odrazu tedy przystępuję do prośby, którą mam do ciebie.

„Bolesławie, wierzę twéj przyjaźni — więcéj wierzę, że długo będzie ci mnie brakowało w życiu, a pewny jestem, że nikt i nigdy tak cię kochać nie będzie jak ja—rzecz dziwna zaiste—przywiązałem się do mego b. sekretarza jak do żony, jak do kochanki.

„Nie mam pierwszéj; druga pocieszy się z łatwością — zostawiam więc dwa tylko skarby po sobie: Lucy i... ciebie.

„Bolesławie! umierający, zaklinam cię, żebyś czuwał nad biedną siostrą moją i, wszelkiemi sposobami—słyszysz: wszelkiemi sposobami (każdy będzie godziwy), przeszkodził połączeniu się jéj z p. de Nortonville. W obliczu śmierci, ja, człowiek uczciwy, chłodno i bezstronnie sąd ci o nim wydaję: to nikczemnik w całém znaczeniu tego słowa.

„Doręcz z załączonych tu dwóch kartek: jednę rodzicom moim — wyrobi ci serdeczne przyjęcie w Crécy; drugą oddasz Lucy, lecz nie pierwéj, aż sam przekonasz się, że ona jest już lub ma być ofiarą i znajdziesz środek uwolnienia jéj od tego człowieka.

„Cóż więcéj napiszę? Czas mój policzony. Podaj zaraz o urlop i jedź do Orleanu. Czuję, że bolesną, krwawą może missyą zostawiam do spełnienia—powierzam honor méj rodziny — lecz wiem, Bolesławie, że wy, polacy, rycerscy jesteście i szlachetni.

„Pamiętaj o Lucy!

„Twój: Gaston de Crécy-Brissac".

„NB. Po mojéj śmierci, ojciec gotów zapisać całe nasze mienie i tytuły temu Nortonvillowi, aby rodzina nie wygasła... niedopuść! . czuję szum w głowie... lód w piersiach... przeklęty Beduin, strzelił do mnie z za kaktusa przy drodze... jakie szczęście, że nietrafił mię w piersi lub w głowę—biedna siostra byłaby zgubiona... żegnam raz..."

Ostatnich słów brakowało.

Noc całą rozmyślałem nad treścią tego zagadkowego listu — przeglądałem wręczone mi papiery Gastona, szukając bliższych wskazówek... lecz prócz zwykłych listów rodziców majora i naiwnych, tchnących pensyonarką listów Lucy i jéj fotografii — nic w nich o stanie rzeczy objaśnić mię nie mogło.

Nazajutrz rano, poszedłem do generała D..!

— Generale! rzekłem doń, po kilku chwilach rozmowy—generale, daruj, że zmuszony będę powierzyć ci część niemojéj tajemnicy—proszę tedy o słowo honoru francuzkiego oficera, że zapomnisz natychmiast co przeczytasz teraz.

Dobyłem z pugilaresu list majora.

Zacny D... bez wahania i nie obrażając się, dał żądane słowo— przeczytał list i rzekł poważnie:

Urlop pański natychmiast będzie gotów—za trzy dni będziesz mógł opuścić brygadę—a co przeczytałem—już nie pamiętam! dodał ze smutnym uśmiechem. Pozostaje mi tylko jeszcze jeden obowiązek do spełnienia:

Pan de Crécy, przed śmiercią, kazał sporządzić i podpisał przy świadkach testament, mocą którego osobisty swój majątek, spadły nań po ciotce, pani de Villedieu, w ilości dwudziestu pięciu

tysięcy fr. rocznéj renty, przechodzi na zupełną pańską własność, poruczniku.

Patrzyłem zdziwiony na generała.

— Nie powinieneś się wahać przyjąć téj pamiątki od przyjaciela, ciągnął daléj pan D... nikogo przecie tém nie skrzywdzisz — bo rodzina de Crécy-Brissac posiada miliony, a te pieniądze w walce, którą ci przedsięwziąć wypadnie, wierz mi, przydadzą się z pewnością.

Wyjął z szuflady biurka arkusik stemplowego papieru i wręczył mi go ze smutnym uśmiechem.

* * *

We dwa dni późniéj, pułk nasz, z pomocą batalionu lekkiéj afrykańskiéj piechoty i bateryi granatników — zdobył szturmem ogromny auł Beni-Afra.

Nasze huzary—z szablą w ręce, jak huragan wpadli do zajętéj Smohli.

Generał D... dotrzymał słowa — a wojsko przykaz pamiętało: gdy bowiem nazajutrz opuszczaliśmy dymiące zgliszcza — w gruzach i popiele walało się do półtora tysiąca arabskich trupów, między któremi kilkaset ciał kobiet i dzieci.

Wzięto jednego tylko jeńca — kaida Ben-Rugo — mordercę majora, którego nam pierwéj wydać nie chcieli arabscy naczelnicy, przenosząc szturm i rzeź nad ukaranie zbrodniarza.

Nieubłagany D... kazał go rozstrzelać na mogile pana de Crécy.

Tak skończył się pierwszy akt dramatu, który dziś jeszcze mam w całéj swéj grozie przed oczami.

W oznaczonym dniu urlop mi przysłano i niebawem, wolny na trzy miesiące od służby, wysiadałem na dworcu w Orleanie.

III.

Karol Amaury de Brissac, hr. de Crécy, ojciec biednego Gastona, był z tych coraz bardziéj zacierających się typów francuzkich magnatów, których przodkowie mordowali kobiety i dzieci w nocy Św. Bartłomieja, a ojcowie sprowadzili swym uciskiem tak straszną potém rewolucyą, sami zaś, przeszedłszy w szeregi wrogów ojczyzny, zalali ją bandami obcych najemników.

Żyjąc wśród państwa jako tako konstytucyjnego, był idealnym obrazem despotyzmu. Tylko że podobne nawyknienia hrabiego do rodziny, sług i farmerów ograniczyć się musiały: za młodu zaś, dzieckiem prawie będąc, należał już do wszystkich spisków, któ-

remi zatruwano panowanie malowanego króla i po raz wtóry skrwawiono biedną Wandeę.

Zaciekły jednak Burbonista, z ogłoszeniem drugiej rzeczypospolitéj, dał się chwycić na wędkę zręcznemu dowcipnisiowi: gdy mu bowiem publicznie zarzucano, że jeżeli algerska armia tak mało liczy arystokratów w swych szeregach—to więcéj spowodu drażliwości nerwów szlachetnego przedmieścia (Faubourg St. Germain) niż z jakich bądź innych względów—dobrém pchnięciem szpady, położył na miesiąc do łóżka impertynenta, a sam zapisał się do pułku wchodzącego w skład kolumny Lamoriciére'a.

Nieustraszoną odwagą, a poniekąd i niezaprzeczalnie gruntownėm wykształceniem, szybko przebiegał pierwsze szczeble wojenne—i gdy Napoleon posłał swe legiony do Krymu—Amaury de Brissac, już jako pułkownik, uczestniczył we wzięciu bastyonu Małachowa.

Śród nieopisanego zamieszania i zaciekłego ręcznego boju, spowodowanych nagłém pojawieniem się kolumny Mac-Mahona—dwóch rosyjskich gwardzistów, ściągnąwszy z konia rozbrojonego pułkownika, już go z sobą w odwrocie uwodzili—gdy niespodziewanie dwa wystrzały z rewolweru oswobodziły de Brissac'a tak, że ranny, okopcony dymem, ale już między swymi, znalazł się oko w oko z młodym jeszcze żuawskim oficerem, nabijającym śród gradu kul i kartaczy na nowo broń swoję.

— Jak się pan nazywasz, poruczniku? rzekł de Brissac, wyciągając rękę do swego zbawcy.

— August de Nortonville—odparł zapytany.

— Dobrze, szepnął pułkownik — w życiu téj usługi nie zapomnę.

I siadając na podprowadzonego wierzchowca, ranny w bok bagnetem, jak zawsze, nieustraszony, podniósł szablę do góry i wołając: „naprzód", rzucił się ze swoimi na ziejące ogniem działa obrońców bastyonu.

Po skończonéj kampanii, Amaury w stopniu generała uwolniony ze służby, zmusił prawie p. de Nortonville do podania się do uwolnienia i biednego oficera, mającego szpadę za całe mienie, przywiózł z sobą do Crécy.

W tajemnicy przed młodą swą żoną, kupił hrabia w okolicy prześliczną małą posiadłość, składającą się z pałacyku i tylko kawałka parku przy nim — lecz dołączył do tego dwanaście tysięcy franków renty i podarował swemu zbawcy.

W zamku, przedstawił go z całym ogniem wdzięcznego i gorącego serca i od téj pory, dwaj przyjaciele byli nierozdzieleni.

Towarzystwo ciągłe prawie pana de Nortonville tém pożądańszém było dla hrabiego—ile że stosunki domowe, nie zdawały się umilać mu nad miarę życia.

Około 1845 r. magnat ten, którego przodkowie zaliczani byli do najbogatszych właścicieli ziemskich w departamencie, licząc zaledwie trzydzieści i pięć lat wieku — był zupełnie zrujnowany. Olbrzymie dobra, wraz z zamkiem rodzinnym—hotel w Paryżu, urocze wille: nad Renem, pod Neapolem i nad jeziorem Como, aż do mebli i zaprzęgów—wszystkio stało się pastwą lichwiarzy; maleńkie tylko pied-á terre pod Lyonem, rodzaj myśliwskiego zameczku, zawieszonego na skale nad szumnemi falami Loary, ocalało z ogólnéj powodzi—i tam to potomek krzyżowników udał się z mocnym postanowieniem odebrania sobie życia.

Dla czego właśnie to, a nie inne wybrał na ten rozpaczliwy zamysł ustronie—historya nic nie wspomina. Hrabiemu jednak nie było przeznaczone umrzéć taką śmiercią. W wigilię fatalnego dniá, w którym postanowił rozstać się ze światem—stary sługa, jedyny, pozostały z licznych darmozjadów czeredy—zameldował mu dość oryginalnych gości. Byli nimi: p. Laurenceau, jeden z pierwszych rękodzielników Lyonu, i jego notaryusz Rémy.

De Brissac, wbrew usposobieniu samobójców, w przededniu śmierci, był w bardzo wesołém nastrojeniu umysłu.

— Wprowadź tych panów! odparł chłodno.

Nie opowiadam wam długiéj rozmowy między tą trójką szanowną; musiano jednak dobić jakiegoś targu, gdyż goście zostali na skromném śniadaniu, do którego wezwano i jakiegoś jeszcze sąsiada hrabiego.

Spisano zaraz potém akt kupna i sprzedaży, a nazajutrz de Brissac, zamiast na łonie przedwiecznego, ujrzał się za suto zastawionym stołem, u milionowego przemysłowca i... narzeczonym młodziutkiéj Maryi—jedynéj jego córki i dziedziczki.

Lecz rok 1845 był, że tak powiem, przedświtem trzeciéj rewolucyi i podówczas już nie można było wlec dziewcząt gwałtem do ołtarza.

Przystojny magnat, mimo swéj ogłady i świetnego tytułu,—może dla tego że tak nagle— narzucony—dla innych powodów może —lecz obudził w biedném dziecku wstręt nieopisany. Ale, jak powiedziałem, siłą wtedy nic tu zdziałać nie było można—użyto więc środków innych: wpływu pewnych osób na spaczone pojęcia dziecka i wpływu trwogi, wobec strasznéj, nieznanéj dokładnie wieczności i okropnéj kary za nieposłuszeństwo rozkazom rodzicielskim.

Ślub wyznaczono za trzy miesiące; wybrano podarki ślubne, odrysowano nowy krój liberyi—naradzano się jakim sposobem należy odnowić starą de Crécy'ch siedzibę—zapomniano tylko oddalić pana Galmain, młodego, przystojnego profesora angielskiego języka, który, po dawnemu, codzień udzielał lekcyi przyszłéj hrabinie de Brissac. A był to, jak sądzę, błąd nie do darowania.

W dniu oznaczonym pojechano do urzędu mera, a potém, po ślubie cywilnym, po błogosławieństwo do kościoła.

W siedm miesięcy później hrabina dała przyszłemu generałowi dziedzica, którego Gastonem nazwano, a w dziewięć lat dopiero córkę, Lucy.

Pożycie dwojga małżonków, od samego dnia ślubu, było ściśle arystokratyczne. Widywano się przy śniadaniu i przy obiedzie: czasem składano razem wizyty, jeżdżono do Włoch i do Paryża.

Hrabia, w gruncie niezły człowiek, był już z natury nader chłodnego usposobienia, a bierne zachowanie się żony, wyrobiło w nim rodzaj pochmurności charakteru, która z czasem w żelazną, niczém nie ugiętą wolę się przemieniła. Zapomniał roli męża, a nauczył się być panem.

Syna tylko kochał szalenie—może dla tego, że mu się zjawił tak niespodziewanie.

P. de Nortonville, po zamieszkaniu w sąsiedztwie zamku de Crécy, wobec rodziny hrabiego, trzymał się w biernéj zupełnie roli. Grzeczny w miarę i w miarę także rozmowny—większą część czasu spędzał z generałem na polowaniu, lub na czytaniu angielskich poetów wieczorami,—za którą to usłużność, Marya, mająca zawsze do tego języka sympatyą, przebaczała mu prawie nagłe wdarcie się w dom jéj i w serce męża.

Jedna tylko Lucy, prześliczne szesnastoletnie dziewczątko, o płowych włosach i jak południowe niebo szafirowych oczach, okazywała zbawcy ojca wstręt nieprzezwyciężony. Wstręt ten powstał z lat najrańszych: drobną dzieciną jeszcze, z rąk się mu wyrywała, drapiąc czasami jak rozdrażnione kociątko—czasem kąsając twarz nachyloną do pocałunku. Najczęściéj zaś, kryła się w kąt za przybyciem Nortonville'a, i żadne prośby wywieźć ją z ukrycia nie zdołały. Gdy wróciła z Sacre-ceur w Paryżu—kończąc szesnastą wiosnę, witającego ją ex-oficera, obrzuciła lodowatém spojrzeniem i nie przemówiła doń ani słowa. Od téj pory—nie byłaby złamała postanowienia za nic w świecie. Pan de Nortonville zrzec się więc musiał obcowania z dziewczyną, okazującą mu tyle jawnéj niechęci.

Na kilkanaście dni przed odebraniem przez Gastona listu od ojca, o którym wyżej sam wspomniałem—porucznik wyświeżony jak na bal jaki, z uczernionym szpakowatym wąsem i starannie okręconą napoleonką, wszedł niespodziewanie do solonu, w którym przy oknie z robótką siedziała Lucy, blada, z zapłakanemi oczami—śledząc z niezmiernem roztargnieniem gonitwę łabędzi po parkowym stawie.

Wszedł i przystępując prosto do dziewczęcia, wziął je za rękę i rzekł półgłosem:

— Mówiłem wczoraj z mamą pani... czy mogę tedy prosić dziś ojca o pani rękę?

Lucy, pierwszy raz może od roku, podniosła oczy w obecności tego człowieka i obrzucając mu twarz błyszczącem jeszcze od łez spojrzeniem:

— Więc pan jesteś nieubłagany? szepnęła zaledwie dosłyszanie.

— Kocham cię Lucy nadżycie.

Hrabianka drgnęła na całem ciele i znów spuściła główkę w ponuréj zadumie, lecz ręki mu nie wyrwała.

Porucznik znów powtórzył natarczywie pytanie.

— Ojciec w bibliotece i... pewno oczekuje... rzekła nareszcie.

— Lucy—ty jesteś aniołem! życie ci niebem szczęścia umilę... zawołał patetycznie de Nortonville, obrzucając płomiennym wzrokiem dziewicę.

Hrabianka powstała wtedy i odstępując krok w tył...

— Mama musiała panu powiedzieć moje warunki! będziesz miał mój majątek, ale więcéj nic! odparła chłodno, patrząc śmiało, tym razem w rozognioną twarz mówiącego.

Dobyła z kieszonki sukni mały, ślicznéj roboty rewolwer — na oko rzeczywiste pieścidełko, w istocie zaś, straszną broń dla umiejących nią władać—i dodała z męzką energją w głosie:

— Przysięgam panu na miłość moję dla matki, któréj miarę weź ze zrobionéj przezemnie ofiary, że w chwili, w któréj jako mąż, przestąpisz próg mych apartamentów — tą bronią cię zastrzelę! A wiesz przecie, że mi ani zręczności ani odwagi nie brakuje.

Po tych słowach, de Nortonville skłonił sie głęboko i wyszedł z salonu.

Nazajutrz uszczęśliwiony generał pisał list do syna, do Algieru, i rzecz dziwna — zaślepiony w swym zbawcy, nie widział bladości i rozpaczy córki – nie przypuszczał, żeby z jego ulubieńcem biedna Lucy mogła być prostą... ofiarą.

Oto, w kilku słowach dom, do którego przybyłem o świcie, i nie chcąc straszyć kobiet, kazałem się zaprowadzić prosto do sypialni hrabiego.

Moja dobra gwiazda, mająca wkrótce tak srogo zawieźć mię w życiu — przyświecała w tym dniu w pełni méj podróży i planom ocalenia Lucy.

De Nortonville, wezwany przed tygodniem jeszcze, telegraficznie do Nicy, do łoża cierpiącéj ciotki—przesłał w dniu przybycia mego do zamku list, zawiadamiający, że przeprowadza suchotnicę do Palermo i w żadnym razie, przed jéj skonem, obliczanym przez lekarzy na czas trwania jesieni, do Crécy nie powróci.

Hrabia przyjął mię w łóżku, blady, wzruszony, obrzucając pytającém spojrzeniem, jakby już przeczuwając nieszczęście, którego byłem zwiastunem.

— Co się stało z Gastonem... dla czego Gaston nie razem z panem... czy został w Orleanie... pan Bolesław S...? pisywał mi o panu... lecz co się z nim dzieje? czy chory?.. czy może ranny?

Takim szeregiem pytań zarzucił mię nieszczęśliwy. Milcząc, podałem mu list syna.

Nie dokończywszy go, krzyknął i upadł bez przytomności na poduszki.

Przy pomocy zwołanéj przezemnie służby, przywróciłem go do zmysłów.

Biedny ojciec—żelazna dusza—zalał się wtedy, jak dziecko, łzami. Potem, wyciągnął do mnie rękę... uścisnął moję serdecznie, i rzekł złamany:

— Syn mój pisze, że pan byłeś jedynym szczerym jego przyjacielem; że jeżeli żal mu życia—to równie dla nas, jak i dla ciebie —to wiele napisane... prawda? Uważaj więc mój zamek za własny... będziemy mówić często o nieszczęśliwym.

Prosił, żebym zadzwonił na służbę, która się znów oddaliła, i wydał rozkazy, aby mi przygotowano apartament zajmowany poprzednio przez pana de Nortonville.

— To jedyny, teraz pozostający mi przyjaciel na świecie! rzekł ze smutnym uśmiechem. Gaston, równie jak żona i córka moja, miał do niego niesłuszne uprzedzenie—a jednak ten człowiek ocalił mi życie z narażeniem własnego... Przyszły to mąż Lucy... teraz go tu nie ma, wróci dopiero za trzy lub cztery miesiące.

Lecz pan musisz być złamany podróżą tak daleką, poruczniku?

Skinąłem głową potwierdzająco.

— Ja żonę i córkę przygotuję do tego strasznego ciosu... zejdziemy się przy śniadaniu. A smutne będzie... prawda?

*

* *

Przybywszy do przeznaczonych mi pokojów, odprawiłem lokaja i zająłem się wyjmowaniem rzeczy z méj podróżnéj walizy.

Niewiem jakim wypadkiem, lecz koperta listu Gastona, dla Lucy przeznaczonego, widać na czémś wilgotnem położona, odkleiła się zupełnie.

Dla zachowania wierności w opowiadaniu, ze wstydem wyznać muszę, iż nie miałem siły oprzeć się pokusie... wyjąłem papier, rozwinąłem go i drżąc ze wzruszenia, wyczytałem zeń te słowa:

Miffia, 13 lipca 1870 r.

„Moja Biedna siostrzyczko.

Umierający mają przeczucia. W chwili, gdy ten list czytać będziesz, a przeczytasz go kiedyś z pewnością—wiem, że serce Twoje będzie należyć do Bolesława. Ufaj mu, nie miéj żadnej dla niego tajemnicy—on Cię wybawi. Głównie, kochaj go bardzo, jak na to zasługuje. Zdaje mi się, że lżej mi będzie spoczywać tu w obcéj, dalekiéj ziemi, z myślą, że moja Lucy w objęciach człowieka, którego sam kochałem jak brata.

„Wzrok mi słabnie—ubiegają siły.., moja siostrzyczko! pamiętaj, iż umieram spokojnie prawie, powierzając Cię Bolesławowi.

Twój brat Gaston".

Co czułem przeczytawszy te wyrazy—trudno Wam wypowiedzieć. Gaston w Algieryi, podczas długich, bezsennych nocy spędzanych w zasadzce, lub pod wystrzałem niepokojących nas do świtu Beduinów, często rozchmurzał mi czoło tysiącem opowiadań z życia swéj siostry, gdy dzieckiem jeszcze była. Z portretu i tych opowiadań znałem tak dobrze hrabiankę, jakbym z nią razem lata przebył całe. Czemu nie powiedzieć prawdy? nie widząc może lubiłem już tę piękną i dobrą dziewczynę. Czemuż to uczucie, oparte na świętych węzłach przyjaźni, łączących mię z jéj bratem, miało otrzymać tak krwawe zakończenie?

Z niecierpliwością oczekiwałem tedy chwili zobaczenia dziewicy, ciesząc się już niespodzianką, jaką jéj później, gdy żal po stracie trochę osłabnie, uczynię opowiadaniem naszych rozmów z Gastonem.

— I pan oddałeś kiedy pismo téj... Lucy? przerwała nagle opowiadanie Matylda.

Bolesław spojrzał na nią, lecz zbył pytanie milczeniem, co na twarz dziewczęcia mocny rumieniec wywołało.

— Twoje opowiadanie na straszny dramat zakrawa! rzekłem głośno, chcąc wybawić śliczną pannę Y... z kłopotliwego trochę położenia.

— Dalej, daléj! opowiadaj pan, odezwano się do koła. Sąsiad nawet, bliżéj przysunął krzesło—nie zapominając jednak, przy tym ruchu, pociągnąć za sobą i stoliczka, na którym jeszcze jedna butelka xeresu go nęciła.

Mój przyjaciel potarł ręką czoło i spojrzał na zegar pokazujący drugą ranną godzinę.

— Darujcie i zwolnijcie mię na dzisiaj! rzekł błagalnie prawie. Jestem cały pod wpływem przykrych wspomnień i zmęczenia. Wieczorem tedy... teraz nie mam już siły.

Usiadł w kącie sali, z cygarem w ustach, z głową ukrytą w dłoniach; nieśmieliśmy nalegać i niebawem, wszyscy téż udaliśmy się na spoczynek.

(*Dok. nast.*).

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA

„Lelewel w Brukselli“ przez Henryka Merzbacha. — „Pater“ (Ojcze nasz!) dramat Franciszka Coppée. — Joanna d'Arc, mysterjum Juliusza Barbier z muzyką Gounoda. — Pamiętniki Talleyranda. — Kwiaty zimowe, przez Ernesta Legouvé.

Otrzymaliśmy w tych dniach od pana Henryka Merzbacha ciekawą książeczkę, świeżo przez niego napisaną, pod tytułem „Joachim Lelewel w Brukselli.“ (Poznań, 1889, str. 49. Z ryciną). Nie jest to właściwy życiorys. Autor przebiega w kilku rzutach pióra początki zawodu historyka naszego, a zatrzymuje się głównie nad trzydziestoletnim pobytem jego w stołecznem mieście Belgii. Kiedy zamieszkał tam stale p. Merzbach, Lelewel już nie żył, ale imię jego przeszło tam do legendy. Rozproszone podania zebrał więc autor w jednę wiązkę, a co ważniejsza, dołączył do niéj wspomnienia z młodych lat swoich, kiedy przebywając czasowo w Brukselli, spotykał Lelewala i spędził z nim nie jednę, na zawsze pamiętną mu chwilę.

„Byłem bardzo młody, mówi autor, kiedym go poznał podczas pobytu mego w Brukselli. jako wolontaryusz w księgarni Maquarta. Dom nasz był w ciągłych z nim stosunkach, dostarczał mu materyału do prac, ułatwiał wydawnictwo „Jeografii średnich wieków“. Przychodził nieraz do księgarni, gdzie uczeni Brukselscy, albo przyjeżdżający się zbierali i prawdziwą czcią go otaczali. Zdumiewająca jego pamięć bibliograficzna, była źródłem nieocenioném, z którego czerpali uczeni wszelkich narodowości. Mówił dwunastu językami, a w pięćdziesięciu innych, nowych i starożytnych, umiał wyczytywać napisy, jako znakomity paleograf. Sławni orjentaliści, Carmoly w Brukselli, Pietraszewski w Berlinie, z całym zastępem innych znakomitości codziennie niemal udawali się do niego po radę w najzawilszych kwestyach językowych.

„Adwokat Lubliner i Sawaszkiewicz, schodzili się z nim w naszéj księgarni, i mieli dar szczególny ożywiania go i wpro-

wadzania w dobry humor. Wtedy ze wspomnień swych wydobywał prawdziwe skarby i opowiadał w malowniczych i oryginalnych zwrotkach swoje profesorowskie i późniejsze przygody. A znał wszystko i wszystkich: gdzie się tylko pokazał, otwierały się przed nim wrota na oścież, pomimo, że zwykle chodził w niebieskiéj bluzie jak robotnik, w czapce bardzo staréj, z daszkiem olbrzymich rozmiarów i wyglądał na dyogenesowskiego żebraka.

„Słuchając go z wytężoną uwagą, ciągnie autor, zrozumiałem odrazu, jaki wpływ przez pół wieku mąż ten wywierać musiał na młodzież nauką swoją, miłym organem głosu, łagodném obliczem, smutnym uśmiechem i okiem nie często rozpromienioném radością. Zwykle milczący, zatopiony w swych myślach i wspomnieniach, mało się udzielał, nie dbał o poklask ani uznanie. Mógł być niezrozumianym przez tych, którzy sądząc li tylko z powierzchowności, nie nurtują głębi duszy ludzkiéj; ale gdy jedném choćby słowem rozbudziłeś w nim młodzieńczy zapał, wtedy z jego warg zwykle zaciętych, płynęły całe strumienie wspomnień, całe poemata przeżytych wypadków, najdrobniejsze fakta jego długiego żywota, illustrowane misternie narysowanemi sylwetkami ludzi i społeczeństw, z któremi miał stosunki. A każde jego słowo odkrywało niemal uniwersalną wiedzę, pogląd filozofa i historyka".

Nie podobna lepiéj określić postaci Lelewela, jak to uczynił p. Merzbach. I my też mieliśmy szczęście poznać w tych czasach historyka naszego, przepędzić z nim kilka wieczorów, wsłuchiwać się pilnie w jego słowa, nacechowane dziwną oryginalnością. W słowach tych na pozór poszarpanych, przebiegających z przedmiotu na inny przedmiot, panowała ścisła loika, ale trzeba było pochwycić wątek i na chwilę nie spuszczać go z uwagi. Oblicze jego zmieniało się w zadziwiający sposób. W miarę jak mówił, cera pergaminowa ożywiała się nagle, czarne, zwykle zagasłe oko rzucało błyskawice, zgrzybiałe rysy rozpromieniały się jakimś młodzieńczym urokiem. Z żywém zajęciem wypytywał nas o znajomych w Warszawie, Wóycickiego, Maciejowskiego i kilku innych jeszcze. O jednych wyrażał się z najwyższém uznaniem, o drugich z wielką pobłażliwością.

Surowy tylko dla siebie, tę surowość posuwał czasem aż do przesady. Między innemi opowiada p. Merzbach, jak zaproszony do księżnéj de Ligne, z domu Lubomirskiéj, odwiedzał ją czasami. Jednego wieczoru, gdy stara czapka jego wisiała w przedpokoju, księżna kazała kapelusznikowi wziąść miarę i wykonać całkiem podobną. Znając drażliwość swego Dyogenesa i nie chcąc mu dokuczyć, pragnęła, aby nie dostrzegł téj strategii i przy następnéj wizycie, zmusiła go do wychylenia kilku kieliszków wina.

Trochę podochocony, wziął na wychodném nową czapkę, zawieszoną na zwykłém miejscu. Ale nazajutrz rano, otrzymuje księżna od gościa swego list z wyrzutami i z nową czapką, czyta w nim te gorzkie słowa: „Żebrakiem nie jestem, jałmużny nie potrzebuję".

Biegły lingwista, z właściwą sobie oryginalnością w listach do Pietraszewskiego wykazuje związek i analogią, zachodzącą pomiędzy językami wschodniemi, germańskiemi a słowiańskiemi. Dowcipnie zaś żartuje z pseudo lingwistów, wyciągających fantastyczne wnioski z przypadkowego przybliżenia. Te brednie i żarty jeograficzne przypomina p. Merzbach.

„Gdym przybył do Belgii, mawiał Lelewel, pierwsze miasto, którego nazwa mnie uderzyła, Bruksella, ma niewątpliwie Słowiańskie pochodzenie: to Brusiłow z przedmieściem Skarbek (Scharbeck). W wędrówce narodów, Słowianie natrafili na poczciwe plemię, zamieszkałe nad morzem, które, przyjęło ich po bratersku. Pobratali się z nim, to Bretania. Wsiedli na statki długo szukali przystani, nareszcie dobili do lądu, ztąd Londyn. Ja sam, jadąc nad Ren, zatrzymałam się w Düsseldorfie. Tu nie ma na nieszczęście nic słowiańskiego, myślę; ale idę zamyślony na przechadzkę: nagle mocny zapach torfu dochodzi mnie i dusi. Zakrztusiłem się: , dusił cię torf ztąd Düsseldorf. Oto czysto polska nomenklatura!"

Pokazawszy w Lelewelu dziwaka, unikającego ludzi, pełnego werwy humorystę, nowego Dyogenesa, jak go przezwali Belgijczycy, p. Merzbach przedstawia następnie niezmordowanego erudytę, którego prace rzuciły nowe światło nie tylko na dzieje własnego narodu, ale na historyą cywilizacyi europejskiéj. On pierwszy przełamał wstręt, jaki panował od czasów odrodzenia do badań nad historyą średnich wieków. Wielkiém dziełem „Numismatique du Moyen âge", przekonał świat naukowy, że te spotwarzone wieki, nie były epoką ciemnoty i barbarzyństwa, ale pozostawiły tysiące pomników, świadczących o ich żywotności. W lat kilka po téj pracy, puszcza w świat nową pod tytułem: „Etudes numismatiques et archeologiques: types Gaulois et Celtiques". Tém dziełem, pełném genialnych pomysłów, otwiera oczy francuzom na pierwotne dzieje ich narodu. Pokazuje monety galskie bite na 260 lat przed narodzeniem Chrystusa, określa ich miejscowy charakter, tłómaczy ich druidyczne symbole. W pierwszéj epoce daje poznać rozwój tych monet. Typy mnożą się i mieszają: „cała menażerya, mówi Lelewel wkrada się do nich, podobne nieraz do stodoły lub do ogrodu". Z tych zwierząt, koni w biegu, dzików i t. p., usiłuje rozróżnić rozmaite szczepy środkowéj Galii, widzi w nich ślady druidyzmu. Ślady te zacierają się z panowaniem rzymskiém, dłużéj od innych szczepów, zachowali je bretonowie, lecz i ci ulegli konieczności. Znikły monety

krajowe, zastąpiła je moneta kolonialna, z nazwiskami rzymskich gubernatorów.

W téj pomnikowéj pracy, poświęconéj badaniom ściśle archeologicznym, maluje się żywo cały Lelewel. Głęboki erudyta— jest zarazem poetą. Wstrętny mu obraz Cezara nakreślił po mistrzowsku. Rozmiłowany w ludzie galskim, wprowadza go w głąb starych lasów dębowych, do owych puszcz druidycznych, —gdzie według tradycyi ukrywają się dawni wodzowie.

Francuzi utyskują, że dzieło tak wielkiéj wagi dla ich dziejów, pisane stylem niepoprawnym, częstokroć niezrozumiałym. Tak je osądził ogół, który szuka przedewszystkiém ogłady, a przebacza ubóstwo myśli, gdy tylko pokryta piękną frazeologią. Inaczéj ocenili dzieło ludzie prawdziwéj nauki, że wymienimy tylko Jana Reynaud i Henri Martin. Dla tych Lelewel stał się prawdziwym inicyatorem studyów historycznych, odkrył przed nimi świat nowy. ową starożytną Gallią, nieprzebraną krynicę odwiecznych podań, skąd naród czerpał od wieków ducha ofiary, i całą żywotną siłę swoję, która, bądź co bądź, odrodzi go w przyszłości:

Przed Lelewelem świat galski zamknięty był szczelnie dla literackiéj Francyi. Przeszłość swoję historyczną wywodzili Francuzi od rzymskich najazdów, nie bacząc na to, że Cezar w komentarzach swoich oblicza sześć miljonów ludności galskiéj. Zaślepienie tak było powszechne, iż ogarnęło samychże nawet koryfeuszów nauki. Guizot w historyi cywilizacyi francuzkiéj, wyliczając żywioły, na których wyrabiała się tu cywilizacya, wymienia tylko żywioł rzymsko-pogański, germański i chrześciański, z przepomnieniem starożytnych tubylców, Gallów. Prąd ogólny, zbudzony przez Lelewela oddziałał i na samego Guizota. W ostatniém dziele swojém „Historyi Francyi opowiadanéj wnukom“, uznał nareszcie w Gallach pierwotnych budowników narodu.

Ciekawe wspomnienia zakończa p. Merzbach smutnym obrazem, mianowicie obrazem chwili, kiedy schorzały Lelewel, na żądanie dawnych przyjaciół, zmuszony był opuścić Bruksellę, 26 maja 1861 roku.

Gdy nadszedł przeddzień wyjazdu, mówi p. M.., prosił, aby mu przyprowadzono gospodynią domu, p. Peron, i córeczkę jéj, którą do chrztu trzymał. Skoro przyszły, zapłacił należytość, z hojnym naddatkiem. Rękoma przyczepił się do drzwi pokoju, pożegnał gospodynią, ucałował dzieweczkę ze łzami, nie miał siły oderwać się od nich. Kazał wydobyć z zapakowanych rzeczy mały krucyfiks, a dając go matce rzekł ze łkaniem: „oto krzyż, daję go dziewczęciu na pamiątkę, zawieś go nad jéj łóżkiem, niech ją strzeże, a ona niech się czasem za mnie pomodli!“

W tym dniu wieczorem przybył Lelewel do Paryża; w trzy dni potem już nie żył.

Rysunek, dodany do książeczki, przedstawia historyka w ubogiéj izdebce. Siedzi przed prostym stolikiem, odziany w bluzę, głęboko zadumany, z głową na piersi pochyloną. Na stoliku rozrzucone w bezładzie książki, kałamarz, pióra i okulary. Na półkach przybitych do ściany wśród książek widzimy trupią głowę. Litografia ta wykonana według rysunku Aleksandra Lessera.

W tutejszym świecie dramatycznym zdarzył się w tych dniach niezwykły wypadek. Znany poeta Franciszek Coppeé, napisał w roku zeszłym jednoaktowy dramat wierszem, pod tytułem „S u t a n n a“. Tytuł ten nie zadowolił autora, zamienił go na P a t e r, w znaczeniu modlitwy Pańskiéj (P a t e r n o s t e r). Dyrekcya Teatru Francuzkiego przyjęła utwór, pierwsi artyści wyuczyli się ról swoich, nastąpiły już próby. Za parę dni „Pater“ miał się ukazać na scenie. Nagle przychodzi zakaz z ministeryum: sztuka nie może być przedstawioną. Powodem tak surowego wyroku, że osnuta na zbyt świeżych, niezapomnianych jeszcze wypadkach. Te świeże wypadki, odnoszą się jednak do roku 1871, snać ministeryum trzyma się zasad wyszydzonych niegdyś przez Mickiewicza, że czekać należy — aż się figa ulukruje i tytoń uleży!

Oprócz względów politycznych były inne jeszcze względy. Jakże tu mogli pozwolić na uczczenie religii, ci co ją tak systematycznie prześladują? Ale sam fakt, że są dziś pisarze wpływowi, którzy uważają za gwałtowną potrzebę protestować przeciw zgubnemu kierunkowi, sam fakt ten, powtarzamy, nadzwyczaj jest wymowny. Pamiętajmy o tém, że Franciszek Coppée uważany dziś powszechnie za jednego z pierwszych poetów i dramaturgów we Francyi.

Treść poematu krótka i bardzo prosta. Rzecz odbywa się w Paryżu na przedmieściu Bellevile, w końcu maja r. 1871, w chwili kiedy Wersalczycy opanowali Paryż i wywierają zemstę na komunardach za łuny pożarne, unoszące się jeszcze nad miastem i za krew pomordowanych ofiar. Do tych ofiar, ujętych jakoby w zakład należy ksiądz Jan Morel, wikary przy kościele na Belleville. Jesteśmy w jego domu. Czém był ów kapłan, dowiadujemy się z rozmowy staréj sługi Bretonki z ubogą wyrobnicą z przedmieścia. Obie zalewają się łzami. Wyrobnica błogosławi jego pamięć, wysławia miłosierdzie.

Pierś mi z bólu pęka,
Gdy wspomnę twardą zimę przed kilkoma laty,
Plaga spadła na miasto, zamknięto warsztaty:
Brak pracy, widmo głodu, zagląda w poddaszu,

Ten poczciwy ksiądz Morel, to opatrzność nasza!
Sam głodny, niesie drugim chleb od ust odjęty.

Obie kobiety z głębokim żalem, mówią o pannie Róży, siostrze zamordowanego. Grom, który spadł na nią, zamącił niejako jéj zmysły. Dobra zwykle, pobożna, wpadła w szał, przeklina zabójców, wywołuje pomstę na ich głowy. Po gwałtownych wybuchach wyczerpana z sił, zasnęła na chwilę w przyległéj izdebce. Czém była ta siostra, pełna poświęcenia i miłości, niech opowie stara Bretonka.

Minęło lat piętnaście, jak jestem jéj sługą.
Rodzice ich z kmiecego pochodzili rodu,
Pomyślnie gospodarka poszła im za młodu;
Ale szczęście na ziemi długo trwać nie może,
Choroba po jednemu rzuciła na łoże,
Pomarli: dwie sieroty po nich pozostały,
Dziewcze dwudziestoletnie i chłopaczek mały.
Dla Rózi oczkiem w głowie, ukochany Janek,
Czuwa nad nim, do szkoły prowadzi co ranek,
Cieszy się, gdy z pochwałą co wieczór powraca.
Janek, to szczere złoto, nie trwoży go praca,
To też siostra mu szersze chce otworzyć pole.
Gdy podrósł, umieściła brata w miejskiéj szkole.
Z końcem roku, on pierwsze odbierał nagrody,
Wtedy sąsiad znęcony krasą jéj urody,
Chciałby zaślubić Rózię, lecz za skarby świata,
Rózia ukochanego nie opuści brata.
— Jam, rzecze, poprzysięgła, gdy księdzem zostanie,
Zająć się gospodarką przy bracie kapłanie.
Jakoż święcie przysięgi dotrzymała sobie!
Jedna myśl ożywiała te duszyczki obie.
Nagle burza zmąciła bieg życia spokojny,
Biedny ksiądz padł ofiarą téj domowej wojny.
Kiedy przed laty kilku, przy proboszczu starym,
Na belwilskiém przedmieściu on został wikarym,
Włos powstał mi od grozy... Wskroś trwogą przejęta,
Rzekłam do niéj: ci ludzie, to istne bydlęta!
Ale w dzielném jéj sercu nic trwogi nie budzi,
Tem lepiéj! rzecze, brat mój przemieni ich w ludzi.
Och! tę ufność krwawemi opłakuje łzami!

Słychać szmer w przyległym pokoju, budzi się panna Róża. Sługa oddala sąsiadkę, aby widok jéj nowego nie sprowadził wybuchu. Nieszczęśliwa, okryta żałobą wchodzi chwiejącym się krokiem, sługa bieży ku niéj, chwytając pod ramię, sadza na krześle, naprzeciw drzwi otwartych od ogrodu; panna Róża

patrzy z boleścią na błękit nie przyćmiony chmurą, na rozkwitłe drzewa i kwiaty, mówi z głębokim żalem:

Wnet, wszystko do ładu
Powróci!... Krwi stoczonéj nie będzie ni śladu,
Słońce tak jasno świeci na czystym lazurze,
W ogródku tak zielono,—kwitną bzy i róże.
Gdy my cierpim, przyroda jednako się toczy,
Szydzi z naszych męczarni, urąga nam w oczy,
Bezmyślny kwiat w powietrzu, bucha kłębem woni,
Ptastwo śpiewa, rój pszczółek po kwietnikach dzwoni,
I cóż ich to obchodzi, że cierpię, że płaczę!

Za chwilę przyjdzie stary proboszcz; panna Róża uwiadomiona o tém przez sługę, nie pragnie tych odwiedzin. „Alboż on ukoi boleść moję?“ rzecze rozpaczliwie.

Powie, że mi trzeba
Z całém ducha poddaniem przyjąć wyrok nieba!
Od téj ohydnéj zbrodni, jam inną kobietą·
Pobożność, co mi była do życia podnietą,
Zagasła do iskierki w méj piersi! Daremno
Mówić mi o nadziei—nic już... nic przedemną,
Tylko otchań bez granic, i boleść bez miary!
Nie wskrzesi we mnie proboszcz nadziei, ni wiary!

Otóż i on. Wchodzi kapłan, starzec z bieluchnym włosem, pragnie słowem religijnéj pociechy podnieść duszę zbolałéj. Panna Róża odpowie z goryczą.

Ojcze! widzisz go tylko wśród niebieskiej chwały,
Ja widzę śmiertelnemi przeszytego strzały,
Na ohydnym śmietniku ztąd o kilka kroków,
Oczy moje nie sięgną przez tuman obłoków
Tam, gdzie przed tronem Bożym, z palmą w dłoni świeżą,
Czuwają męczennicy; patrzę tu, gdzie leżą
Trupy zamordowanych, w ulicy, tuż blisko,
Widzę krwawą kałużę... straszne cmentarzysko.
Ja bluźnię, przywalona zbyt ciężką żałobą.
Przeklnij mnie sługo Boży!
Nie! ja płaczę z tobą! słodko odrzecze kapłan.
Twoich bluźnierstw, biedaczko Bóg nie zapamięta,
Ja także ich przepomnę—lecz ta dusza święta,
Co w majestacie chwały cała spromieniona,
Przyświeca u stóp Bożych, wśród aniołów grona,
Ani ta dusza boleje, bluźnierstwo ją rani,
Upamiętaj się, biedna!... milcz... przez miłość dla niéj!

Ale nieszczęśliwa upamiętać się nie chce. Życie, to straszna dla niéj męka, pragnie jedynie umrzeć. Kapłan, aby wzruszyć

do głębi zbolałe jéj serce, przemawia do niéj w imię brata, widzi go i słyszy, powtarza słowa téj niewinnéj ofiary.

Biedna ty siostro moja! odbiegłem cię wcześnie!
Dzięki ci za twą miłość, za łez strumień żywy,
Lecz porzuć to bluźnierstwo, ten szał rozpaczliwy,
Płacz, ale tą łzą cichą, co w odwagę zbroi.
Ja żyć będę w twém sercu i w pamięci twojéj,
Nie upadnij na duchu, czytaj księgę świętą,
Idzże śmiało do celu drogą w niej wytkniętą.
Czytaj w głos, czytaj pilnie, serce przytul do niej,
Może tam głosu mego echo ci zadzwoni,
Pod moim krucyfiksem, siostro ukochana,
Co dnia z głęboką skruchą padnij na kolana,
Módl się!... ja będę z tobą... złączym modły nasze,
A kiedy zakołaczesz w ubogie poddasze,
Gdy biedni dar odpłacą serdecznemi dzięki,
W ich uścisku odczujesz uścisk mojéj ręki.
Chrześcianko! idź naprzód, wytkniętą Ci drogą;
Ciężki twój krzyż, lecz barki twe dźwignąć go mogą,
Idź i walcz, ja ci będę przewodniczył wiernie,
Nie bacz na to, choć stopy pokrwawisz o ciernie,
Nie pytaj czy twa droga bliska, czy daleka,
Dojdziesz tam, gdzie brat doszedł, gdzie na ciebie czeka!

Panna Róża gotowa już ukorzyć się w duchu i przyjąć wyrok Boży; w tém strzały karabinowe dają się słyszyć w pobliżu. Wersal przemógł kumunę, to krwawy odwet za popełnione gwałty.

Strzały te przerażają kapłana, budzą w nim litość dla nowych ofiar. Inaczej słucha ich panna Róża. Woła zapalona zemstą i nienawiścią:

Ten huk mnie nie straszy.
Niech biją! to mściciele łez i krzywdy naszej!
— Takie słowa z ust kobiety! zawoła kapłan ze zgrozą.
— Mamże ja litować się nad nimi, powie nieszczęśliwa.
Niech przepadnie na wieki hałastra zbujecka!
Te wściekłe Belwilczyki, począwszy od dziecka,
Do starca, do kobiety, to wilki — nie ludzie,
Mój Janek, dusza święta, żył w słodkiej ułudzie,
Że dobrocią ich umysł ułagodzi hardy,
Karmił ich, przyodziewał, a te komunardy
Pięknie mu odpłaciły! On ich duszą całą
Umiłował i garnął; serce mu topniało.
Gdy posłyszał o nędzy, nie spoczął ni chwili,
Biegł z datkiem a nędznicy jak psa go zabili.

Ostatni kęsek chleba dzielił z tą hołotą,
Ileż to czynił dla nich!

Tu panna Róża biegnie do szafy — wydobyć starą sutannę i kapelusz.

Mój ojcze—patrz, oto
Sutanna połatana, kapelusz zszarzany,
Rzekłam raz: „Wstyd mi czynią, bracie, te łachmany,
Czas się tobie przyodziać... Mam trochę pieniędzy.
On na to: Duwalowie umierają z nędzy,
Biedaki do żywienia jest ich aż pięcioro,
Byłem tam, dzieci matkę otoczyły chorą,
Wołają na gwałt chleba, wczora im zajęto
Wszystkie sprzęty,... mamże się stroić jak na święto,
Kiedy oni półnadzy!... Szyj sutannę, Różo,
Wyprostuj mi kapelusz, boć jeszcze posłużą.
W parę dni potem Janka do lochu wtrącono,
Któryż z tych nikczemników wystąpił z obroną?
Kto wspomniał, ile swemu dobroczyńcy dłużny?
Ten lud, co od lat kilku żył z jego jałmużny,
Gdy krew strugą wytrysła z piersi męczennika,
Przyklaskiwał mordercom! Ach z oczu mi znika
Obraz, twojemi ojcze nakreślony usty!
Przyszłość moja, to otchłań, step głuchy i pusty,
W martwą pierś żadna siła nadziei nie wszczepi,
Niech sieką, niech mordują!—tym lepiej—tym lepiej!

Znieważasz mnie przekleństwem, zawoła kapłan, wnet porzucę te progi, wprzód jednak, rzucę ci jeszcze ostatnie słowo:

Bóg-Człowiek, co za grzesznych oddał w okup życie,
Chrystus ukrzyżowany na Golgoty szczycie,
Ten, którego ofiarę brat twój świątobliwy
Spełniał u stóp ołtarza, Bóg dobry, Bóg żywy,
On przebaczył przestępcom! I brat Twój przed skonem
Patrzał na swych morderców okiem rozżalonem,
A gdy czuł, że ostatnia chwila już się zbliża,
Podniósł rękę, nad niemi nakreślił znak krzyża!
A, ty niesyta pomsty, krwi i mordów głodna,
Przyklaskujesz mścicielom!... wiedz siostro niegodna,
Gdyby twój brat, ksiądz Morel, chrześcijanin prawy,
Sądzić miał dziś ofiary onej pomsty krwawej,
Przebaczyłby zbrodniarzom!...

Słowa te przeniknęły do głębi duszę biednej siostry: zawoła tedy żywo:

Prawdaż to? Drogi brat mój, na chwilę przed skonem,
Błogosławił swym katom! serce mi przeszywa

Twe słowo... mów co czynić?
— Módl się nieszczęśliwa!
Odrzecze kapłan i odchodzi.

Biedna siostra bierze w rękę różaniec, wymawia na głos początek modlitwy pańskiej;.. słowa jednak: „Bądź wola Twoja!“ wstrząsnęły nią do głębi. Wyrzekła je przecież z wysileniem, ale gdy przyszło wymówić: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy je naszym winowajcom“ modlitwa skonała na jéj ustach Odsuwa różaniec: te słowa byłyby kłamstwem.

— Ja przebaczyć nie mogę! zawoła rozpaczliwie.

W téj chwili wpada Jakób Leroux: to jeden z naczelników Komuny ucieka przed pogonią.

— Pani! ratuj mnie, woła, miéj litość nademną!
Życie moje w twem ręku, tyś nie głazem przecie,
Masz ojca, męża, syna, lub brata na świecie,
W imię ich, dobra pani, kark przed tobą chylę,
Ulituj się nad zbiegiem, ukryj mnie na chwilę.

Wspomnienie brata doprowadza siostrę do szału, zawoła z gniewem:

Pytasz mnie, czy mam brata? Słuchaj, ty potworze,
Miałam go, ale nie mam, zapytasz mnie może,
Kto był ten brat? On dobrze wam nędznikom znany.
Tym bratem był ksiądz Morel, przez was rozstrzelany!
— Zginąłem! wyszepcze komunard,
— Tak jest, odpowie Róża:
Zginąłeś, bandyto!
Już mi ztąd nie ucieczesz drożyną ukrytą,
Pomknę trop w trop za tobą, krzyknę, co tchu starczy:
Bierzcie go, to morderca! Pod cieniem mej tarczy,
Tyś szukał bezpieczeństwa, przeklęty nędzniku!

— Mylisz się pani, zawoła komunard, jam nie palił i nie mordował.

Ja jestem Jakób Leroux, jeden z naczelników
Komuny, nie należę do zgrai nędzników,
Co rostliła pożarne nad Paryżem łuny,
Co lała krew bezbronnych!—Działami komuny
Odpierałem Wersalskie bagnety i działa,
Posłuchaj mnie kobieto... Twe serce jak skała,
Czci w kościele Chrystusa, ale nie przebaczy
Jak On, co błogosławił z krzyża swych siepaczy.
Obłudnico!

Słowa to przebodły na wkroś sumienie panny Róży. W téj chwili wpada Bretonka: Oddział goni za zbiegiem, będzie tu za chwilę, przetrząśnie dom.

Jakób Leroux stoi jak skamieniały. Panna Róża oddala sługę.

— Brat mój byłby przebaczył; wyszepcze z cicha; bierze z krzesła sutannę i kapelusz, podaje komunardowi, drugą ręką ukazuje mu drzwi na prawo:

—Idź tam, włóż ten kapelusz, oblecz tę sutannę. Ledwie że wybiegł, wpada oficer z oddziałem żołnierzy, wzywa o wydanie zbiega. On wie, że jest tutaj straże poznały go w ulicy po galonie. Grozi zemstą.

Panna Róża odpowiada bez trwogi: „Rozpatrz się pan, gdzie jesteś!“ Podczas gdy oficer spogląda na krucyfiks i na obrazy świętych, Jakób Leroux ukazuje się we drzwiach.

— Mieszkam tu z bratem księdzem, przedstawiam go panu, rzecze spokojnie panna Róża.

Zmięszany oficer odkrywa głowę, przeprasza, woła za sobą żołnierzy.

Na znak panny Róży, Jakób Leroux wychodzi wolnym krokiem przez ogród. Ona, spełniwszy ofiarę, uświęcona w duchu, podejmuje różaniec, klęka przed krucyfiksem, woła z głęboką skruchą:

Z błogosławieństwem Twojém, bracie, jam gotowa,
Mej modlitwy ostatnie wypowiedzieć słowa.

Dramat nie ukazał się na scenie, ale ogłoszony niezwłocznie drukiem, ściągnął dla autora zasłużone oklaski?

Myśl do dramatycznego poematu podoła Coppemu przygoda jednego zgłośnych dowódców komuny, jenerała Cluzeret, który sam ją zapisał w pamiętniku drukowanym przed dwoma laty.

Kiedy Cluzeret delegowany był przez komunę do pełnienia obowiązków ministra wojny, odwiedził go ksiądz jeden, prosił, aby dopuścił go do więzienia arcybiskupa, który pragnął wyspowiadać się przed nim. Cluzeret uczynił zadosyć téj prośbie, przez ostrożność zapisał nazwisko owego kapłana.

Wkrótce potem, gdy wojska regularne pokonały komunę, Cluzeret szukał schronienia, gdzieby mógł czekać bezpiecznie, na chwilę sposobną do ucieczki za granicę Francyi. Napróżno kołatał do progu przyjaciela swego, korrespondenta Trybuny Nowojorskiej. Nie znalazłszy tu gościnnego przytułku, sam nie wiedział, co czynić. Nagle przychodzi mu na mysl imię owego księdza, znajduje adres, śpieszy do jego domu.

„Mieszkanie, pisze on, skromne było i szczupłe“. Nie miałem czasu usiąść, kiedy ksiądz ukazał się przedemną.

— Witaj księże proboszczu, rzekłem, powiedz czy mnie poznajesz?

— Poznaję wybornie.

— Zgadujesz zapewne, co mnie tu przyprowadza?

— Zgaduję: jesteś pan gościem moim, uważaj, żeś jak w własnym domu.

Wyrzekł to po prostu bez wahania.

Przywołał sługę, powiedział jéj kto jestem. Sługa przyjęła mnie gościnnie".

Gospodarz uczynił uwagę, że gość nie może przebywać u niego w ubraniu cywilném, bez zwrócenia na siebie uwagi. Zdaniem jego wypadałoby lepiej przyoblec sukienkę duchowną.

„Posłuchałem rady, mówi Cluzeret i przez pięć miesięcy przebywałem w Paryżu, jako kapłan z prowincyi, sposobiący się do egzaminów na doktorat, w fakultecie teologicznym".

Dalej jenerał komuny opisuje szczegółowe ucieczkę swoję do Belgii.

„W listopadzie, mówi on" gospodarz mój osądził, że nadeszła dla mnie pora do ucieczki. Ułatwił mi środki po temu. Z Belgii wyprawiono po mnie księdza; miał paszport umyślnie dla mnie przygotowany, poczem wszyscy trzej, mój gospodarz, przybyły ksiądz i ja, udaliśmy się na dworzec kolei północnéj, miałem na głowie kapelusz księży belgijskich, o trzech rogach, na oczach błękitne okulary, szyję obwinąłem chustką czarną wełnianą.

„Zamówiono dla nas cały wagon, a ponieważ dwaj towarzysze okazywali mi wielkie poszanowanie, obecni pochylali przed nami głowę, biorąc mnie za wysoką osobistość duchowną. Podróż odbyła się spokojnie. Na granicy komisarz policyi czekał przy fórtce; pilnie się w nas wpatrywał. Szliśmy jeden za drugim. Gdy nastąpiła moja kolej, towarzysz mój, przez szacunek usunął się zostawiając mi pierwszeństwo. Widząc to komisarz, zamiast mierzyć mnie wzrokiem, pochylił głowę z uroczystą powagą, i najspokojniej wstąpiłem na ziemię belgijską.

Dramat Coppego nie ukazał się na scenie, ale inny dramat religijny, „Porte Saint Martin", przyciąga dziś publiczność paryzką do innego teatru. Tu Jonnna d'Arc znalazła świetną przedstawicielkę w genialnej Sarze Bernard. Dramat ten Juliusza Barbier, napisany był po ostatnich klęskach Francyi, odegrany w r. 1873, dla podniesienia wiary i nadziei w upokorzonym narodzie.

Nie pierwszy to raz bohaterka ukazała się scenie francuzkiej. Jeszcze za życia Karola VII i zapaśników, którzy walczyli pod chorągwią słynnéj Dziewicy, przedstawiono „Misteryum Orleańskie", w pierwszéj połowie piętnastego wieku. O wiele później w r. 1581, odegrano sztukę z muzyką i chórami p. t. Dziewica z Domremy. Roczniki teatralne zapisały do dwunastu tragedyi, osnutych na bohaterskich czynach Joanny; jedne bezimiennych autorów, inne przyznawane różnym poetom, jak Mesna-

dière, Boiserade i t. d. W obecnym wreszcie wieku, odegrano dwie tragedye pod tytułem Joanna d'Arc. Jedna z nich przez d'Arivigny ukazała się w Teatrze francuskim r. 1819, druga Sonmeta, członka Akademii, w teatrze odeońskim o kilka lat później.

Dwaj ostatni poeci przewyższyli o wiele poprzedników: Juliusz Barbier przyćmił ich atoli obu, nie tylko pięknością formy, ale ogólnem pojęciem sztuki drammatycznéj. Połączył on historyą z legendą, okazał Joannę w trzech charakterach: jako prostą dziewczynę wiejską, jako bohaterkę i męczennicę. Trzy odrębne działy sztuki, połączone z sobą w tym utworze, sprawiają, że poemat Barbiera przypomina starożytne mysteryum, rodzaj dziś zapomniany, którym zachwycał się naród, przez całe średnie wieki, aż do czasu Henryka Walezyusza.

Mimo poklasku, jaki zdobył Juliusz Barbier w r. 1873, dziś po latach kilkunastu, przerobił on z gruntu swój dramat, streścił go, wiele rzeczy zostawił w cieniu, rzucił całe światło na trzy odrębne fazy z życia Joanny d'Arc. Utworzył, rzec można, wspaniały tryptyk, na wzór starodawnych mistrzów pędzla. W osobnych obrazach ukazał posłannictwo, tryumf i męczeństwo. Gounod ze swéj strony, w myśl autora, przeistoczył do gruntu dawną swą partycyą.

Zobaczmy teraz treść sztuki, jak dziś przedstawia się na scenie.

Introdukcya muzyczna ma zupełnie ludowy charakter: odzywają się kobzy i ligawki. Za podniesieniem zasłony, widzimy dom Joanny. Rodzina ukończyła wieczerzę, słońce jeszcze nie zaszło. Drogą, wiodącą przez wieś, widać tłumy włościan, niewiast i dzieci; wojna wypędziła ich z domów, uciekają przed najezdnikiem. Joanna błaga ojca, aby im dał przytułek do jutra. Biedacy śpiewają chórem pieśń żałosną, rodzaj lamentacyi biblijnej „super flumina Babilonis". Te smętne dźwięki przebodły na wskroś duszę Joanny; drży, z ust jéj tryskają palące słowa: marzeniem jéj wesprzeć oblężony Orlean; oswobodzić Francyą od Anglików. Rodzice słuchają przerażeni. Jakób d'Arc skłania córkę do związków małżeńskich; zgodnie z wolą ojca, młody wieśniak Thibold oświadcza jéj miłość, ale Joanna wstrzymuje go za pierwszem słowem, w nakazujący sposób.

Thibold pogląda jakby na obłąkaną. Wtedy Joanna powierza mu tajemnicę. Od trzynastego roku życia, słyszy cudowne głosy. Archanioł Michał, z dwoma świętemi, Katarzyną i Małgorzatą, nakazują jéj oswobodzić ojczyznę. Idź! idź! wołają bez ustanku.

Nagle wpada do chaty dziewczyna, żołnierz goni za nią w te tropy. Joanna chwyta sierp, staje pomiędzy nimi. Jednym zamachem rozbraja anglika, wytrąca mu z rąk oręż. Włościanie rzucają się na zgrają napastników.

Wybiegają wszyscy. Joanna zostaje sama w chacie; czuje, że godzina już uderzyła, musi posłuszną być głosom niebieskiem, pada na kolana: „Panie! zawoła, pozostaw mnie w cieniu i ciszy, złóż ciężar na inne godniejsze barki!“

Tu promień księżyca ogarnia ją swym blaskiem. Dwie święte ukazują się na złocistym obłoku... zabrzmiał chór niewidzialny:—próżno Joanna walczy przeciw wyrokom Bożym.

Pokonana odchodzi, woła do ojca z silnem postanowieniem: Bóg tego chce! Ojcze przebacz Joannie twojéj, uległa woli Bożej, musi być tobie nieposłuszną!

Zmienia się obraz: jesteśmy w zamku Chinon u Yzeulty Lore, ulubienicy królewskiéj. Zapowiadają przybycie Joanny, Dziewicy z Domremy, która ma oswobodzić Francyą. Yzeulta i poplecznik jéj Thuars, chcieliby utrzymać króla w bezczynności, by tam pewniéj nim rządzić. Dzielny La Hire przeciwnie, radby czemprędzej zmierzyć się z Anglikami; — podczas gdy toczą spór zacięty, ukazuje się Joanna, w błyszczącéj zbroi, w srebrnym hełmie: na piersiach jéj świeci wizerunek Boga-Rodzicy. Wiadomo z historyi, w jaki sposób król wystawił ją na próbę. Dziewica poznaje go wśród dworskich panów, mimo że dotąd nie widziała go nigdy na oczy. Klęka przed królem, odpowiada na myśl jego tajemną, mieni go prawym synem Karola VI. Zdumiony, pełen radości król nakazuje dworzanom pochylić głowę przed posłannicą Bożą.

Wszyscy powstają: Joanna wypowiada pełne zapału słowa: Bóg tego chce! Zapał ogarnia wszystkich.

Obraz trzeci przenosi nas pod warowne mury Orleanu, w dniu 7 maja 1429 roku. W głębi: wały najeżone w kusze i śmigownice, po za nimi błyszczą tu i owdzie wody Loary— daléj widać nieprzyjacielskie szańce.

Joanna wydaje rozkaz do ataku. w koło niéj klęczy rycerstwo, wzywa chórem Pana Zastępów. Geniusz religijny Gounoda utworzył arcydzieło: głos Sary Bernard góruje nad chorałem.

Czwarty obraz przechodzi wszystkie inne przepychem dekoracyi i wystawy. Nawa katedry w Reims, ukazuje się w całym blasku, gorejąca od świateł, jak było 17 lipca 1429 roku, w dniu koronacyi Karola VII. Przed ołtarzem otaczają królewską parę książęta krwi, parowie Francyi, wielcy dostojnicy koronni, opaci i biskupi, strojni pontyfikalnie. Daléj zapełniają nawy nieprzeliczone tłumy rycerstwa w błyszczących zbrojach i pióropuszach, dworzanie w bławatach, szamerowanych złotem, dworskie panie, w malowniczym stroju téj epoki; husarzy paziów i germków, lud wieśniaczy w odzieży świątecznéj. Takiego przepychu nie widziano w żadnym teatrze. Joanna cała w bieli, w kolczudze złotéj, z białym w ręku sztandarem, na

którym świeci Imię Jezusa i Maryi, przystępuje do ołtarza przy dźwięku marsza tryumfalnego, następuje Veni Creator i Arcybiskup dopełnia aktu koronacyi. Trwoga ogarnia bohaterską Dziewicę, czuje, że spełniła już posłannictwo, ale godziż się jéj teraz usunąć, skoro stopa angielska depcze jeszcze Francyą? Ona pójdzie do kresu: oczy wlepia w chorągiew, woła z najwyższem uniesieniem: „kiedy anioł śmierci dotknie mnie skrzydły swemi, ty obwiniesz mnie całą!“

Król wydobywa oręż z pochwy. Joanna klęka, odbiera z rąk pomazańca pasowanie rycerskie. Dzwony biją do taktu z chórem tryumfalnym.

Trzecia część dramatu obejmuje szereg coraz to smutniejszych obrazów. Widzimy Joannę w więzieniu, wystawioną na urągowisko wrogów niesytych pomsty. Nakoniec widzimy ją na stosie w Rouen. Bohaterka kona w płomieniach. Głosy 14-tu świętych, połączone z niewidzialnym chórem, przywołują męczenicę przed tron Boży.

Sztuka odniosła tryumf prawdziwy; zachwyt publiczności dochodził, rzec można, do szału. Juljusz Barbier, za pomocą zręcznego połączenia historyi z legendą, wykonał dzieło wielkiéj wartości literackiéj. Gounod prześcignął sam siebie, utworzył arcydzieło. Co do Sary Bernard, to znalazła ona tu odpowiednie pole do rozwiązania całéj potęgi dramatycznego geniuszu. W roli młodéj wieśniaczki pełna naiwności i wdzięku; w roli tryumfatorki natchniona, promienista nadziemskim żarem, w chwilach ucisku, staje się znów prostą dziewczyną wiejską, cierpi, płacze jak dziecię. Wszystkie te odcienia, artystka oddała po mistrzowsku.

Nie sami tylko Francuzi, ale co dziwniejsza Anglicy, również zachwyceni dramatem. Wkrótce, jak mówią, Joanna d'Arc wystąpi na scenie londyńskiéj w pełnéj apoteozie.

Pamiętniki Talleyranda, tak ważne dla dziejów bieżącego stulecia, dotąd spoczywające w ukryciu przeszły w tych czasach w ręce księcia de Broglie, członka Akademii francuzkiéj, historyka Maryi Teresy i Fryderyka II-go, można się spodziewać, że wielkie to dzieło doczeka się nakoniec publikacyi.

Talleyrand, zmarły w roku 1838, przekazał testamentem owe pamiętniki, bratance swojéj, księżnie Sagan i poufnemu sekretarzowi swemu p. Bacourt, który czynnie przyłożył do nich rękę, pod kierunkiem słynnego męża stanu. W testamencie zastrzegł warunek, że pamiętniki nie mogą być drukowane prędzéj, jak w trzydzieści lat po jego skonie, pozwalał nawet przedłużyć termin, w razie gdyby wymagał tego wzgląd na żyjące osoby, lub też na bieg spraw politycznych. Księżna Sagan przed śmiercią

przekazała prawa swoje panu Bacour, ten zaś testamentem oddał je w depozyt mężom, godnym zaufania; jednym z nich był Chatelain, notaryusz Talleyrandów, drugim Andral, były prezydent Rastanu, który usunąwszy się od służby publicznéj, zamieszkał w zamku Chatauvieux.

W tymto zamku złożony był drogocenny depozyt, w opieczętowanych skrzynkach. W roku 1868, po ułyywie zastrzeżonych lat trzydziestu, Andral, pomimo ogólnego nalegania, oparł się ich publikacyi, uważał bowiem, że nie przyszła na to pora. Odłożył termin na lat dwadzieścia, w roku 1888 też same zatrzymywały go skrypuły.

Przed laty kilku jeden z pierwszych wydawców z Lipska, udał się do zamku Chatauvieux, ofiarował p. Andral 50,000 franków, domagając się, aby pozwolił skopiować połowę pamiętników. Przyrzekł najściślejszą tajemnicę, pozwalał nawet, po wyjściu ich z druku protestować przeciw ich prawdziwości i ogłosić je jako sfałszownne. Andral odrzucił taką propozycyą.

Nie sam wzgląd na żyjące osobistości wstrzymywał go od publikacyi ważnego dzieła. Uczony prawnik, nie był z powołania pisarzem. Pamiętniki Talleyranda tymczasem wymagały historycznego wstępu, notat i komentarzy. Uląkł się odpowiedzialności, jaką zredagowanie ich pociągało

W tych czasach właśnie umarł p. Andral w zamku swoim. Depozyt przekazał testamentem księciu Broglie, jak tomówiliśmy powyżéj.

Jakkolwiek p. Andral trzymał w ukryciu pamiętniki Talleyranda, czasami przecież ukazywał je poufnym przyjaciołom. Ztąd treść ich mniéj więcéj wiadoma, lubo całość nieznana nikomu

Talleyrand opowiada nasamprzód przygody z lat młodych, początki zawodu politycznego, udział w zgromadzeniu narodowém, podróż do Ameryki, i pobyt tam aż do chwili, kiedy po upadku Robespierra, wolno mu było powrócić do Francyi. Spostrzeżenia jego nad społeczeństwem francuzkiém przed zwołaniem stanów Jeneralnych i po ich zebraniu, nadzwyczaj są ciekawe, działalność prawodawcza dwóch pierwszych Zgromadzeń narodowych wybornie określona. Wyrzuca sobie Talleyrand, że przyjął udział w ułożeniu cywilnéj kontystucyi dla duchowieństwa; był to, jak mówi, wielki błąd polityczny.

Następuje potem historya Talleyranda, jako ministra spraw zagranicznych, za Dyrektoryatu, za konsulatu i Cesarstwa od 1797 roku, do 1814. Jest to, jak mówią, najważniejsza część pamiętników. W ciągu tych siedmnastu lat Talleyrand był u władzy podczas najwyższéj chwały napoleońskiéj, późniéj stał na uboczu, kiedy chmury przyćmiły słońce nad Francyą, wreszcie wystąpił znowu na widownię. Przywiązał on się mocno do Na-

poleona, nawet do jego błędów; cieszył się chwałą bohatera, któréj promienie spadały na jego współpracowników. Nieraz chwalił się za życia, że mówił prawdę w oczy cesarzowi, kiedy ten chciał jeszcze jéj słuchać, a późniéj ostrzegał go wielokrotnie za pośrednictwem innych osób.

Wiadomo jak przeważną rolę odgrywał Talleyrand w roku 1814. Pamiętniki jego rzucą nowe światło na tę chwilę dziejową i pokażą, że jeśli monarchia Burbonów nastąpiła zaraz po cesaratwie, stało się to przez niego. Cesarz austryacki skłaniał się tajemnie na rzecz rejencyi cesarzowéj Maryi Ludwiki, Anglia, reprezentowana na stałym lądzie przez lorda Castelreagh, nie dbała wcale o Burbonów, król pruski małą rolę odgrywał w koalicyi, szło mu głównie o odebranie zajętych posiadłości. Jedyny monarcha. Aleksander 1-szy, miał stanowczy głos w téj sprawie. Otóż więc po jednéj nocy, spędzonéj sam na sam z cesarzem rosyjskim, Talleyrand przywrócił monarchią.

Niemniéj ważne w pamiętnikach rozdziały, dotyczą kongresu wiedeńskiego. Tajemne działania Talleyranda wyjaśnione już były w jego korespondencyi z Ludwikiem XVIII, od czerwca 1814 roku, do marca 1815. Te listy, oprawione w mały tomik, znajdowały się w archiwach ministerstwa spraw zagranicznych. Do czasu trzeciéj republiki nie pokazywano ich wcale, późniéj dopiero korzystał z nich Thiers, a po nim Mignet, Viel Castel i Haussonville; nakoniec Pallain przepisał je i wydał na widok publiczny.

Talleyrand pisał pamiętniki swoje zaraz po roku 1815, nie przeszkadzał mu do téj pracy urząd w-go szambelana z pensyą 100,000 franków. Ukończył je właśnie, kiedy w roku 1823 ukazały się w druku pamiętniki księcia Rovigo. Autor ich ściga Talleyranda na każdym kroku, stawia go pod pręgierzem opinii publicznéj. Oskarża go o czynny udział w egzekucyi księcia d'Enghien, i w późniejszym zamachu Maubreula. Oburzony Talleyrand pochwyca znów pióro; zarzuty księcia Rovigo odpiera z całą siłą.

Maubreul służył naprzód w intendenturze wojskowéj, późniéj wszedł w służbę króla westfalskiego, był nadwornym koniuszym w Kassel. Książę Rovigo opowiada, że ów Monbreul, w r. 1814 z upoważnienia Talleyranda, zobowiązał się zamordować Napoleona, za co przyrzeczono mu 200,000 franków renty. Urządzono wyprawę, lecz ta prędko się zakończyła. Dowódca jéj, (Monbreul), zrabował na publicznym gościncu srebra i kosztości byłéj królowéj westfalskiéj.

Talleyrand odpiera zarówno w pamiętnikach, zarzut dotyczący egzekucyi księcia, d'Enghien.

Dotknięty do żywego pamiętnikami księcia Rovigo, Talleyrand napisał do króla, domagając się śledzwa przed izbą parów. Ludwik XVIII nie uczynił zadosyć prośbie: osłonił jednak Talleyranda nakreśleniem kilku słów, powtórzonych w Monitorze: „możesz książę śmiało przybyć do dworu, bez obawy spotkania tu nieprzyjaciół“. Zaraz potem książe Rovigo opuścił Paryż i wyjechał do Rzymu.

Dokonawszy obrony swojéj w pamiętnikach, Talleyrand złożył pióro, zajął się wyłącznie pielęgnowaniem zdrowia, siły bowiem zaczęły, go opuszczać. W kilka lat potem rewolucya lipcowa, wyprowadziła go znów na widownię. Ludwik Filip wezwał go, by mu pomógł ustalić się na tronie, wobec nieufnéj Europy. Mianowany ambasadorem francuzkim w Londynie, pośpiesza do Anglii, załatwia tam zręcznie sprawę belgijską, wraca w tryumfie do Paryża. Ośmdziesięcioletni starzec, czuje, że dni jego już policzone, mimo to nie ustępuje z pola, nie zrzeka się działań politycznych. Król ceni go wysoko, rodzina królewska okazuje mu względy, słowem Talleyrand wyrocznią jest na dworze. Obrazem tych ostatnich tryumfów zakończył pamiętniki, wprzód jednak oświadcza stanowczo, że nie wziął udziału w utworzeniu monarchii 1830 roku.

Dzieło całe obejmie około piętnastu tomów. Wkrótce, jak mówią, książę de Broglie zabierze się do zredagowania téj pomnikowéj pracy. Nie wiedząc jeszcze o depozycie, historyk ten, rodzony wnuk pani de Stael, wydobył z rodzinnego archiwum i ogłosił drukiem zbiór listów Talleyranda, pisanych do babki z Anglii i z Ameryki od roku 1793 do 1795. Za czasów Dyrektoryatu pani de Stael wyjednała mu powrót do kraju, a następnie zabiegom jéj zawdzięczał Talleyrand tekę ministra spraw zagranicznych.

Najstarszy z akademików francuzkich, Ernest Legouvé, pełen życia mimo lat z górą ośmdziesięciu wydaje wspomnienia swoje, obmyślane w oryginalny sposób. Wyszły już dwa tomy téj ciekawej publikacyi. Z trzeciego tomu, który wkrótce się zapewne ukaże, autor drukuje po przeglądach, bardzo zajmujące ustępy. Wspomnienia te składają się z życiorysów ludzi współczesnych, z którymi Legouvé złączony był węzłem przyjaźni lub współpracownictwa, w długim pasmie dni swoich. O téj zajmuéj galeryi, mówiliśmy już w kronikach naszych. Spotkaliśmy tam wiele głośnych w swoim czasie osobistości, których zatarte rysy, autor ożywił z miłością, a zasługi ich przypomniał narodowi. Szereg ten rozpoczął wspomnieniem ojca swojego, głośnego niegdyś poety. Daléj ukazał nam ożywione postacie Lemerciera,

·pisarza tragedyi z epoki napoleońskiéj, Kazimierza Delavigne, śpiewaka Messenianek, apologisty dźwigających się ludów, Scriebégo, ulubieńca publiczności paryzkiéj, obsypywanego w teatrze poklaskami dwóch czy trzech pokoleń, Labiche'a, który umiał rozweselać społeczeństwo, dotknięte już chorobą pesymizmu. Legouvé mówiąc o drugich nie stawia się nigdy na pierwszym planie, wszędzie jednak czuć jego obecność, wszystko ożywia tchnieniem swéj ciepłéj piersi.

Mamy właśnie pod ręką nowy jego obrazek, pod tytułem k w i a t k i z i m o w e. Śliczną tę wiązkę posypał współczesnym na noworoczny upominek. Po raz pierwszy mówi tu przeważnie o sobie; odmalowawszy tylu innych, maluje własną postać, z włosem białym, pogodném czołem, słodko uśmiechniętemi usty, głębokim spokojem na obliczu.

Przytaczamy w głównych zarysach tę rozprawkę, pełną życia i poezyi.

„Co znaczą te kwiatki zimowe? zapyta mnie kto może, mówi autor; to kwiatki mojéj zimy, kilka uwag, kilka myśli, rozkwitłych we mnie, to na widok pięknéj rośliny, to przy spotkaniu z wieśniakiem, to w rozmowie z miłym przyjacielem, to wskutek odebranego listu. Posyłam je wam pomięszane bez związku, jedne smutne, drugie wesołe; wszystkie dały mi chwile pociechy, ukrzepiły mnie w duchu: dzielę je chętnie z wami".

Po tém wstępném słówku idzie szereg obrazków, na pozór luźnych a jednak ścisłym węzłem połączonych z sobą. W pierwszym autor pokazuje jakim ma być starzec, aby dla drugich nie stał się uprzykrzonym ciężarem.

„Dziś rano wracając z przechadzki ze starym przyjacielem, rzekłem do niego: chcesz, dam ci pożyteczną radę. Obierz sobie pokój od południa, otaczaj się młodzieżą. W naszym wieku, chłód to główny nieprzyjaciel. Ogrzewaj ciało słońcem, a serce stosunkiem z młodymi.

Wiesz-li czemu przebywanie z młodzieżą tak dla nas pożyteczne? bo nas przymusza do czuwania nad sobą. Wobec dwudziestoletnich towarzyszów, musisz bądź co bądź, schować jakie lat sześćdziesiąt do kieszeni! A naprzód: nie utyskuj nigdy na stan zdrowia. Gdy cię zagadną: „jak się masz"? odpowiedz: „bardzo dobrze"; nie mały ztąd pożytek. Skarżąc się, powiększamy cierpienia nasze, milcząc zapominamy o nich. Milczenie twoje nie zwiedzie kochających cię osób: chcesz, aby cię żałowano, nie uskarżaj się nigdy. Ale nie dosyć na tém: musisz zawsze ubierać się starannie, aby nie razić oczu; musisz wykrzesywać iskry z myśli twojéj, by nie zostać nudziarzem, musisz wydobywać płomień z serca, aby cię choć trochę kochano. Od lat sześćdziesięciu, k o k i e t e r y a koniecznym jest obowiązkiem. Sam widok śmiejącéj się młodzieży

rozwesela, napełnia cię radością; tracisz przy niéj część twego wieku, odmładzasz się widocznie".

Oto inny obrazek:

„Kilka dni temu przechadzałem się po ogrodzie z panią podeszłą w lata, dawną przyjaciółką. Dochodzimy do drzew brzoskwiniowych, rozpiętych na murze, pokrytych najpiękniejszym owocem.

„O! przepyszne brzoskwinie! wołam uradowany, spojrzyj pani tylko.

Ona patrzy, ogląda długo, nareszcie ukazuje mi jednę.

— Ta, rzecze, zupełnie zepsuta.

Słowa te utkwiły przykro w myśli mojéj, przez cały dzień pozbyć ich się nie mogłem. Duch zgryźliwy! oto główny nieprzyjaciel starości. Godziż się wśród tylu pięknych, widzieć tylko owoc zepsuty? wszystko ciemną pokrywać zasłoną w sobie i w koło siebie. Nie pozwolę nigdy, aby ten jadowity chwast krzewił się w duszy mojéj. To zgubny korzeń pessymizmu.

Pessymiści uczynili mnie optymistą. Głównym rysem ich charakteru, gorycz złączona z pychą. Jaka to w nich zarozumiałość, jaka pogarda względem nas biednych ludzi, którzy przechowaliśmy nadzieję! W ich oczach my niedołęgi, dotknięci ślepym obłędem. Oj nie tak bardzo ślepi, jak wam to się wydaje! My przynajmniéj cierpim tylko, jak w nas jaki pocisk ugodzi; wy cierpicie zanim przyjdzie złe, a nawet kiedy przeminęło. Wspomnienie zgryzoty usposabia was do przewidywania nowéj, która może nigdy nie nadejdzie!

Niech oto zdarzy się komu wywróżone przez nich nieszczęście, rzekną: „a co—czy nie mówiłem?" I cieszą się z biedy naszéj, bo usprawiedliwia ich przenikliwość. Mój Boże! jakże ja nienawidzę tych małych i wielkich Schopenhauerów, którzy na owocu widzą jedynie plamę, w kwiecie tylko truciznę, na niebie same chmury, w sercu ludzkiém tylko występek, w człowieku tylko zwierzę, a w walce o byt jedynie tylko zbrodnię!"

Zobaczmy inny rzewny ustęp:

„Po powrocie ze wsi odwiedziłem jednego z współczesnych moich, ślepego Jakóba. Widok jego przejął mnie głęboką litością. Cztery miesiące zimowe posunęły go o lat dziesięć. Nie chodzi już, ale powłoczy nogi. Do ślepoty dołączyła się i głuchota. Pamięć opuszcza go chwilowo, widzi to i wiele cierpi na tém. Chciałem go pocieszyć, lecz słowa konały mi na ustach. Gdy odszedłem, smutne myśli moje ułożyły się w formę wiersza:

Ach! śmierci się nie lękam, lecz trwoży mnie życie.
Gdy patrzę na te męki, na straszne rozbicie,
Jakie pociąga starość! Drodzy moi! biada
Czuć, jak się ciało nasze na szmaty rozpada!
I nim dębowe trumny wieko nas przytłoczy
Szpetną karykaturą przerażać wam oczy!

Nazajutrz, zawstydzony słabością moją, wróciłem do Jakóba. Zdobyłem się sam na odwagę, aby ją w nim rozbudzić. Przystępuję do cierpień, jakie biedak przetrwał przez zimę.

— O tak panie! cierpiałem bardzo, drżałem na myśl o śmierci.

— Drżałeś przed nią?—pytam zdumiony.

— O! tak panie, pomyśl tylko, gdybym umarł, pensyjka dożywotnia umarłaby razem ze mną, dzieci moje ucierpiałyby na tém.

Ta nauka poszła mi do serca. Tak jest, słusznie mówi biedny męczennik. Jakkolwiek ciężkiém życie, dopóki może przydać się na coś lub dla kogo, należy je przyjąć i błogosławić!"

Po tym smutnym obrazku następuje inny weselszy.

„Przyjaciel mój, artysta muzyk, przybył do mnie na wieś— w końcu sierpnia.

Jednego poranku rzeknę do niego: chodź, posłyszysz jak śpiewają moje gladyoluzy.

— Śpiewają? zapyta z uśmiechem, co chcesz przez to rozumieć?

— Chodź tylko...

I prowadzę go do prześlicznie rozkwitłéj grządki.

— A co? alboż to wszystko nie śpiewa? alboż z tego akordu kolorów, z téj rozmaitości form, nie wybiega cudna harmonia, przypominająca tony Mozarta i Webera?

— Więc to wszystko mówią ci twoje gladyoluzy?

— Wszystkie kwiaty powtarzają mi to samo i wiele innych rzeczy. Wiesz-li jakie co rano pierwsze moje zajęcie? Gdy wstanę, spieszę do ogrodu, szukam nowych kwiatów rozkwitłych podczas nocy, potém puszczam się na łąkę i okoliczne pola. Wieśniacy znają mnie dobrze, kiedy koło nich przechodzę z koszykiem, zatrzymują mnie, zaglądają com zebrał. Za powrotem dobywam moje plony, układam bukiet w wielki wazon, stawiam go na moim stoliku; gdy piszę, spoglądam na niego, on mi daje lekcyą stylu. Śmiejesz się a przecież to prawda. Mój bukiet nie błyszczy układem, szukam w nim tylko harmonii, mieszczę obok siebie kwiaty, odpowiednio do ich kolorytu, a gdy piszę, staram się zachować w słowach moich tęż samą harmonijną rozmaitość, pochodzącą ze sprzeczności tonów i wzajemnego ich oddziaływania. Woń kwiatów podnosi téż mój umysł lepiéj niż wasza zatruta tabaka, lub duszące cygaro.

— Liryzm, czysty liryzm! odpowie mój przyjaciel, ale to prawdziwa mania.

— Tak, m a n i a, mania, ale dobroczynna. Miłość kwiatów przynosi nie jednę korzyść; prowadzi do braterstwa, zaciera różnice społeczne, zbliża do siebie ludzi. Czy chcesz na to do-

wodu? Oto od pięćdziesięciu lat, jak mieszkam w téj wiosce, widzę z radością, jak rozwinęło się tu upodobanie w ogrodnictwie. W oknie najuboższéj chaty kwitną wiosną laki, gwoździki, geranie. Jeden z moich sąsiadów ma pysznego kaktusa, drugi piramidalne fuksye. Nieraz zachodzę do nich, rozmawiamy o chowaniu roślin, ja przynoszę im młode płonki, oni udzielają mi nasion. Miłość jednych przedmiotów pobudza nas do wzajemnéj życzliwości."

Inny znów ustęp Legouvé poświęca poezyi:

„Im daléj zachodzę w lata, mówi on, tém silniéj rozwijają się we mnie dwa upodobania, tém bardziéj kocham życie wiejskie i poezyą. Jedna miłość staje się podnietą dla drugiéj. Kiedy w maju wracam do mojéj wioski, zostaję na nowo studentem: uczę się na pamięć różnych wierszy, powtarzam je w głos, są to moi towarzysze w codziennéj przechadzce. Dzięki Bogu nie lękam się jeszcze i obszernych dzieł prozą, ale długie czytanie utrudza mi głowę i oczy. Poezya ma to w sobie dobrego, że wiele treści obejmuje w małym tomiku. W poezyi krystalizują się idee i uczucia wszystkich czasów. Słusznie wyrzekł Lamartine:

> Wszystko, co człowiek stworzył, nie ujdzie przemiany,
> Ale proza to glina, wiersz z brązu ulany.

Inna jeszcze wyższość poezyi nad prozą, że ją łatwo przenosić, mamy ją bowiem w głowie. Zresztą, dla miłośnika pięknéj dykcyi, jakim ja jestem, nic milszego jak badanie jéj rymów, rytmów i tysiącznych odcieni, i modulowanie głosu odpowiednio do wiersza. Dokaż-że tego w Paryżu, szukaj melodyi wśród zgiełku ulicznego; przechodnie wezmą cię za waryata. Inna rzecz w pełnym lesie, na pełném polu, pod pełném niebem, w zupełnéj samotności!

Kiedy trzecia wybije na zegarze, wybiegam z kijem w ręku, z czołem do góry podniesionem, z kieszenią pustą, ale pamięcią pełną wszystkich drogich mi poetów. Mówię wszystkich, bo nie mam wyłącznie uprzywilejowanych, a raczéj każdego wolę kolejno, zależy to od miejsca, od godziny, od dnia, od pory roku. Niektóre pieśni same spływają mi na usta w piękny majowy ranek, inne pogwizdują mi jak kosy, owiane mgłą jesieni. Dla tych przystał szeroki widnokrąg, pogodny błękit nieba, dla tamtych cisza głęboka wśród zielonéj dąbrowy. Mam nawet osobne, na długą noc bezsenną. Bezsenność to zwykła plaga starców Aby zasnąć kołyszę się piosenką. W szczególny sposób działa na mnie bajka Lafontaina, kiedy skowronek mówi do piskląt swoich: „Cieszcie się przynoszę wam ziarnka", wnet nasycone zasnęły obok matki. Gdy dochodzę do tych wierszy, czuję się jakby w gniazdku i zasypiam spokojnie.

Do snu nie biorę nigdy Wiktora Hugo, on zanadto błyszczący, ani Musseta, on podnieca zbyt gorączkowo, ani też Berengera, bo i tego się uczę a z nim i wielu innych. Kornel, Racine, Andrzéj Chenier, Lamartine, wszystko to żyje obok siebie w pamięci mojéj. Hugo zadrżałby od grozy, gdybym mu powiedział, że po wspaniałym ustępie z „Legendy wieków", powtarzam z rozkoszą ustęp z Ducisa, „O cichym domku z bieluchnemi ściany — Kędy sztuka nieznana, zkąd zbytek wygnany!"

Trzeba doprawdy urodzić się w roku 1807, aby pozwolić sobie tego. Żądaj-że od młodzieży podobnego polytheizmu? Zakrzyczy cię, nazwie świętokradcą! Uwielbienia jéj zbyt wyłączne, antypatye zbyt gwałtowne. Ona, jeśli buduje posąg, to na gruzach innego posągu; znieważyłaby Szekspira, gdyby Othellem nie powaliła Andromaki. Ale kto tak długo jak ja żyje na świecie, kto widział nie jednę sławę zmarłą i pogrzebaną, acz głoszono jéj nieśmiertelność, nie jednę błędną gwiazdę, którą mieniono słońcem, w tego oczach znikają drobne różnice, odnoszące się do rodzaju lub mody, ten ocenia to wszystko, co przetrwało. Ja rozgrzebuję popioły przeszłości, badam czy w nich połyska życie. Czasem wydobędę drobną tylko iskierkę, mniejsza o to, mam dla niéj miejsce obok promienistéj pochodni, obok gwiazdy świecącéj na widnokręgu. Jestem jak starożytny Druid, przechowuję święte ognisko w domu moim".

Przytaczamy wreszcie ostatni obraz, pełen głębokiego znaczenia,

„Jeden bogaty włościanin w wiosce naszéj, wydawał za mąż córkę, zaprosił mnie na świadka. Przebywał u mnie gość przesiąkły zasadami filozofii, zabrałem go z sobą na obrzęd do kościoła.

Z powrotem, towarzysz szedł obok mnie milczący i zamyślony.

— Co ci jest?—zapytałem. Odrzece na to szorstko:

— Czyż cię nie rażą te strupieszałe obrzędy katolickie? Możesz-li patrzyć spokojnie na tę mięszaninę materyalizmu z mistycyzmem, na tę zmianę odzieży, na te wszystkie obrzędy? mnie to okropnie razi...

— Mnie przeciwnie, to do głębi porusza! Znać w inny sposób poglądamy na rzeczy. Patrzałem pilnie na zgromadzonych, icóżem tam widział? Oto pannę młodą z czołem pochyloném, klęczącą w głębokiém ducha skupieniu; obok niéj modliła się matka, z twarzą rozweseloną, przecież zalana łzami, oczy podniosła w niebo, snać szuka tam wsparcia i otuchy. W koło niéj siostry, krewne, przyjaciółki, wszystkie połączone wspólnym węzłem pobożności i modlitwy. Widok ten dziwnie oddziałał na wyobraźnię moję. Patrząc na ten mały kościołek z trzynastego wieku, myślałem: ile te ubogie ściany, w ciągu tylu ubiegłych lat

widziały pokoleń, klęczących przed owym ołtarzem, z równém uczuciem radości, z jednakim żalem religijnym. Wspomniałem sobie, jak w chwilach żałoby i radości, w dni pogrzebu jak i wesela, te obrzędy rażące cię tak bardzo, przemawiały potężnie do wyobraźni, wnikały do głębi duszy ludzkiéj, pomyślałem: ile to katolicyzm od tysiąca ośmset lat, osuszył łez stroskanym, ile pocieszył zrozpaczonych, ile oświecił sumień, ile umocnił serc, uzbroił je w odwagę, usposobił do cnoty! I odszedłem przenikniony wielkością téj religii, która tyle dobrodziejstw rozsypała po świecie.

A chcesz-li zdać sobie sprawę z jéj wpływu na cywilizacyą. Wyobraź sobie na chwilę, że wcale nie istniała; zatrzyj myślą to wszystko, co pozostało z niej w troistéj dziedzinie dobra, piękna i prawdy? Zacznij od sztuk plastycznych: przebiegnij wszystkie muzea; zedrzyj ze ścian wizerunek Chrystusa jak to czynią edyle nasi, usuń wszystkie obrazy Bogarodzicy i Bożego dzieciątka, zniszcz płótna i posągi, przedstawiające świętych apostołów i męczenników. Od rzeźby i malarstwa przejdź do architektury. Obruć w gruzy wszystkie katedry! Po architekturze muzyka. Usuń z liczby kompozytorów Haendla, Palestrynę, Bacha i tylu innych; wyrzuć z utworów Mozarta, Pergoleza i Rossiniego—to wszystko, co im natchnął duch chrześciański! Wnikaj na ostatek w sferę myśli i poezyi. Zniszcz Bossueta, Paskala, Fenelona, Massiliona; odbierz Kornelowi Polyeucta, Rasynowi Atalią, Wolterowi Zairę i Alzyrę. Wyrzuć imię Chrystusa z utworów Lamartina, Musseta, Wiktora Hugo! Nie dosyć na tém, postąp krok jeszcze daléj, zamaż w historyi imiona świętych Wincentych à Paulo, świętych Salezyuszów, świętych Franciszków w Assyrzu! Zatrzyj nakoniec, zatrzyj na ziemi wszystkie ślady krwi, pociekłéj z ran Ukrzyżowanego! Spełniwszy to wszystko, obróć głowę, ogarnij wzrokiem tysiąc ośmset lat, pozostałych za tobą, i spojrzyj bez trwogi, jeśli możesz, na tę przerażającą próżnię w pasmie wieków, gdyby brakło krzyża na ziemi!

Przytoczę ci tu przykład człowieka, którego imię może mieć dla ciebie znaczenie—Litrego, tak Litrego! W dniu, kiedy przyszła mu na świat córka, rzekł te słowa do żony: „Wiem, że jesteś żarliwą i praktykującą katoliczką; wychowuj córkę w zasadach twoich, kładę tylko jeden warunek! W dniu, kiedy skończy rok piętnasty, przyprowadzisz ją do mnie. Przedstawię jéj idee moje, niechże sama wybiera. Matka przystała na układ, lata szybko ubiegły. Dnia jednego żona wchodzi do gabinetu męża.

— Przypomnij sobie, rzecze, com ci przyrzekła, chcę dziś dotrzymać obietnicy. Twoja córka jest już gotowa słuchać cię z całém poszanowaniem, z całą ufnością, jaką budzi w niéj ukochany ojciec. Czy chcesz, aby tu weszła?

— Tak jest, niech wnijdzie, ale po co? Abym jéj przedstawił moje idee? Nie, nigdy, nigdy! Jakto? wychowałaś dziecię nasze na istotę dobrą, prostą, kochającą i szczęśliwą! szczęśliwą mówię, a ten wyraz w duszy niewinnéj jednoczy w sobie wszystkie cnoty! Idee moje; ja poprzestaję na nich, kto mi powie, że będą dobre dla niéj? Mamże prawo, zniweczyć twoje dzieło? Nie, nigdy! Niech córka nasza wnijdzie, abym cię, droga żono, pobłogosławił w jéj obecności, za wszystko, coś dla niéj uczyniła!“

Ta wiązka zimowych kwiatów, to testament głębokiego myśliciela. Z miłością przekazuje Legouvé młodemu pokoleniu naukę życia, zdobytą długoletniém doświadczeniem; naucza, jaką bronią odganiać pessymizm, straszne widmo, grożące dzisiaj społeczeństwu.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Połączenie Rusi Czerwonéj z Polską przez Kazimierza Wielkiego. Napisał Kazimierz J. Górzycki. Lwów, nakładem Drukarni polskiéj 1889.

P. Górzycki rozdzielił pracę swoję na trzy części: w pierwszéj mówi o politycznych, w drugiéj o kościelnych, w trzeciéj zaś o wewnętrznych stosunkach Rusi Czerwonéj w epoce Kazimierza Wielkiego, czyli w okresie lat trzydziestu. Treściwe sprawozdanie z rozprawy p. G. nastręczy nam sposobność wskazania dodatnich i ujemnych stron pracy, dotyczącéj ważnego faktu w dziejach nie tylko wewnętrznéj organizacyi, ale i ustroju międzynarodowych stosunków państwa polskiego pod koniec epoki piastowskiéj i następnego Rptéj rozwoju.

Ród Daniłowiczów, panów na Rusi, wygasł, jak wiadomo, na Andrzeju Jurjewiczu i Danielu Mścisławowiczu. Po nich dostaje się Ruś Czerwona na krótki przeciąg czasu w ręce tatarów, którzy osadzili na tronie Bolesława, syna Troydena, ks. mazowieckiego. Bolesław przyjął wyznanie greckie i imię Jerzy. W początkach swego panowania utrzymywał najściślejszy sojusz z Mazowszem i Krzyżakami przeciw Litwie a pośrednio i przeciw Polsce. Po bitwie zaś pod Płowcami 1331 r. i zaślubieniu córki Giedymina r. 1332 zbliża się na czas krótki do Litwy i Polski. Po zawarciu pokoju Wyszohradzkiego a właściwie już nawet przedtem zbliża się ponownie do krzyżaków. Mając przeciwko sobie bojarów i kler grecki, popiera ks. Jerzy rozwój miast swego księztwa, lecz to właśnie sprowadza jego zgubę, ponieważ bojarowie, zagrożeni w swych interesach, usuwają go z drogi za pomocą trucizny około 9 kwietnia 1340 r. Wkrótce potem (20 t. m.) oblega już Kazimierz Lwów, by pomścić zabójstwo krewnego sobie księcia i przyłączyć kraj jego do korony polskiéj, na podstawie praw dynastycznych, które częściowo przelali na niego także i książęta mazowieccy.

Pierwsza wyprawa zamierzyła zdobycie insygniów książęcych „ażeby się pokazać z koroną i berłem kniaziów ruskich w Polsce i zyskać w narodzie własnym ufność do sprawy, którą rozpoczął“ (str. 23): zajęcie stolicy i wzięcie jeńców popierają te prawa. Kazi-

mierz nie koronował się jednak kniaziem ruskim, ponieważ postanowił ziemię tę wprost do państwa swego przyłączyć i to połączyć ją z Polską nie chwilową „unią personalną, jednorazową“ (str. 21), co przy braku następcy Piasta byłoby miało przechodnie tylko znaczenie, ale unią trwałą, nieprzerwalną.

Jeszcze tego samego roku wybiera się król polski po raz drugi na Ruś z 20,000-ém wojskiem: łamie, przy pomocy takiéj siły, enorgiczny opór bojarów i zdobywa liczne grody ruskie. Zupełny jednak i trwały zabor tego kraju, nie był bynajmniéj łatwy: fakt zajęcia grodów nie decydował jeszcze o zaborze. Prócz króla polskiego rościli sobie bowiem do Rusi Czerwonéj prawa zdobywców tatarzy, litwini a wreszcie i węgrzy—z nimi to wszystkimi należało się jeszcze rozprawić.

Już po drugiéj wyprawie Kazimierza, a właściwie w ciągu niéj, zbliżają się ruscy bojarowie, namówieni przez możnowładców Detka i Daniela z Ostrowa, do tatarów, którzy urządzają straszliwy najazd na Polskę i Węgry. Kraje te łączą się ze sobą, odpierają nawałę tatarską, Ruś Czerwona się poddaje, Detko się upokarza i zostaje namiestnikiem Kazimierza. Żyje on jeszcze do r. 1346, rządząc nie jako namiestnik króla polskiego; ale jako pan samoistny. Po jego śmierci zdobywają litwini Ruś Czerwoną r. 1347 i zamieniają ją w swoję prowincyą.

Od r. 1349—1360 widzimy tu walkę między Litwą a Polską, która utrzymuje się ostatecznie przy bezspornem panowaniu, posuwając granicę jeszcze daléj na wschód przez zajęcie (1360—1370) Włodzimierza, Chełma a po części i Podola.

Taką jest treść części pierwszéj. Druga zaś przedstawia obraz polityki kościelnéj Kazimierza Wielkiego w nowo nabytym kraju; trzecia zaś zastanawia się kolejno nad wszystkiemi warstwami społeczeństwa ruskiego przed zaborem i po jego nowém urządzeniu, ujawniając ostatecznie faktyczny rezultat zrównania społeczności ruskiéj z polską.

Rozprawa p. Górzyckiego nie przysparza nam wiele nowego światła do tych zamierzchłych dziejów; ponieważ pod wielu względami nie czyni zadość ścisłym wymaganiom naukowym.

Autor zaniedbał najważniejszéj rzeczy przy studyach historycznych t. j. krytycznego porównania ze sobą odnośnych źródeł, które nam są dzisiaj dostępne. Nie była to wcale ani tak wielka praca, jeżeli się zważy skromną ich ilość, ani też tak trudna w obec skromniejszéj jeszcze ich objętości. Brak metodologicznéj krytyki czujemy szczególniéj w pierwszéj części rozprawy, gdzie pojedyńcze fakta się z sobą wiklą, a nawet w rażącéj pozostają ze sobą sprzeczności.

Rozpatrzmy np. pierwszą wyprawę Kazimierza Wielkiego z r. 1340.

Janko mówi pod tym rokiem wyraźnie tylko o jednéj wiel-

kiéj wyprawie; rocznik Traski zna ich już dwie; Długosz, „Litopys ławrentjewskaja“ i „hustyńskaja“ również dwie.

W jakim tedy stosunku pozostają te źródła do siebie?

Janko jest sekretarzem a następnie podkanclerzem króla Kazimierza, nie odstępuje go na krok. Zdobycie Rusi nastąpiło za jego życia. Rocznik t. zw. Traski, dotychczas należycie zbadany nie jest, wiemy tylko o nim, że nie stanowi jednolitéj całości (Mon. Pol. T. II). Długosz zaś trawestuje tekst tego Rocznika, zabarwia zdarzenia, i jak sam autor zauważył, grzeszy często mylném przedstawianiem faktów. „Litopys ławrentjewskaja“ i „hustyńskaja“ dosłownie niemal powtarzają to, co Długosz podaje, bo widocznie z niego tylko korzystały. Faktycznie tedy mamy tylko jedno pierwszorzędne źródło, a jeżeli przyznamy to znaczenie pod pewnym względem i rocznikowi Traski, to otrzymamy dwa źródła ze sobą bądź co bądź w datach sprzeczne i zupełnie odrębne. Któremuż z nich przyznać wiarę?

Za Jankiem przemawia fakt, iż jest sumiennym w przedstawianiu zdarzeń; nie ulega też wątpliwości, że jest współczesny wypadkom, o których pisze.

Należało tu zwrócić uwagę jeszcze na jednę nader charakterystyczną okoliczność. Pan Górzycki przyjął jako datę otrucia ks. Jerzego „około 9 kwietnia 1340 r.“ a zatém 6, 7, 8, 10, 11 kwietnia 1340 r., a jako datę przybycia Kazimierza pod Lwów „około 20 kwietnia 1340 r.“ a zatém 17, 18, 19, 21 lub 22 kwietnia 1340 r. [1]). Przyjmując daty skrajne 6—22, nie zdaje nam się być możliwém, by w 17 dniach r. 1340-go, przy ówczesnych utrudniających środkach komunikacyjnych, król Kazimierz mógł odebrać wiadomość o śmierci krewnego, zebrać wojsko i obledz miasto, odległe od miejsca jego zwykłego pobytu, o mil 45.

Wręcz niefortunnym jest pomysł autora, że królowi zależało na tém, ażeby „pokazać się z koroną i berłem kniaziów ruskich w Polsce i zyskać w narodzie własnym ufność do sprawy, którą rozpoczął“; przecież sam autor przypuszczał dopiero, że krzyż ten prawdopodobnie stanowił berło kniaziów ruskich i nawet nie usiłuje niczém prawdopodobieństwa tego poprzeć.

Mojém zdaniem była tylko jedna wielka wyprawa Kazi-

---

[1]) Rocznik „ubi spolia multa in argento, auro et gemmis thesaurum ducum antiquorum tollens, inter quod (?—czy nie quae — sc. spolia?) erant aliquot cruces aureae, precipue unam, in qua magna quantitas de ligno crucis Domini fuit reperta et duo preciosissima dyadernata et una tunica valde preciosa... (Mon. Pol. T. II). Długosz zaś (Ks. IX, pg. 197) „plura antiquorum Russiae principum magni valoris in auro, argento, gemmis, lapidibusque clenodia et deposita illic reperiens, inter quae duas cruces aureas, notabili portione ligni Dominici insignes, duoque diadernata lapides et graves censu uniones habentia“ i t. d. Długosz wprost cały ustęp o wojnie z r. 1340 wziął z Rocznika Traski i tylko go nieco obrobił.

mierza na Ruś 1340 r.; nie było zaś żadnéj awanturniczéj wycieczki w kwietniu „w szczupłém gronie rycerzy". Również i co do dalszych wypraw należało w s z y s t k i e źródła rozebrać, a nie milczeniem niektóre z nich pokrywać. Do buntu Detka znajdujemy pod r. 1343 pewne wiadomości w „Prybawlenje ku ypatiewskoj litopysy" i „hustyńskoj litopysy" (Polnoje sobranje), obydwa źródła zawisłe od polskich; do najazdu zaś z r. 1349 podają opisy „Nowhorodskaja perwaja litopys" .,czetwertaja" „Sofijskaja perwaja" i „Woskresieńskaja" (Polnoe sobranje) tudzież „Kronika ruska Daniłowicza".

Ta sama wiadomość podana pięć razy, cztery razy zgodnie, u Daniłowicza odmiennie. Ostatni zna dwie wyprawy Kazimierza W. na Ruś 1348 i 1349. Na to autor winien był zwrócić uwagę.

Przyznaję chętnie, że latopisy nowogrodzkie, sofijski i woskreseński są nawskróś od polskich źródeł zawisłe, że wiadomości ich pochodzą z drugiéj, ba nawet z trzeciéj ręki—to jeszcze jednak nie usprawiedliwia autora, że ich nie przytoczył i tego nie zaznaczył w swéj rozprawie.

Nadto p. Górzycki nie zna „Kroniki Dubnickiéj" Endlichera i Florianusa, oraz następujących trzech dokumentów.

1) 24 stycznia 1355. Ludovicus Rex Hungarie etc. Casimiro Polonie Regi etc, promittimus ac spondemus, *quod debitum, quo nobis occasione Regni Ruthenorum tenemini*, quod ante recognovistis et super quo mediantibus litteris vestris nobis exististis obligati, a Vobis non repetemus, nec Vos impetere intendemus super ipso vel illud exigere, *donec possessionem pacificam seu dominium prout predecessores Vestri habuerunt obtinere valueritis Regni prenotati.* Sed cum illam obtinueritis Deo Duce, volumus, ut debitum ipsum plenarie, prout tenemini, persolvatis".

Z dokumentu tego okazuje się ten ciekawy szczegół, że między królem Ludwikiem a Kazimierzem nastąpił dotychczas nieznany układ co do Rusi między r. 1352—1355 i że Kazimierz opiera tytuł swój co do posiadania tego kraju na prawach przodków. Odpadają w ten sposób inne kombinacye w téj mierze podawane.

2) Pyzdry 1346. Poręczyciele Jana, króla czeskiego, Karola, margrab. morawskiego i Jana, ks. Karyntyi, zobowiązują się Kazimierzowi W. w razie wybuchu jakiegoś sporu w 14 dniach po upomnieniu jawić się w H a l i c z u.

Obydwa dokumenty znachodzimy u Dogiela (T. 1).

3) 3 grudnia 1340. Biskup chełmiński i inni piszą do kollegium kardynałów z usprawiedliwieniem, że mistrz Dietrich z Altenburga nie jawił się przed papieżem z powodu grożącego napadu Chana tatarskiego „una cum regibus Litwinorum et *Ruthenorum* suis tributariis" (Voigt, Cod. dipl. Prussiae. T. 3. N. 21).

Z dokumentu tego oraz z dokumentu, wystawionego w Wiślicy d. 6 maja 1341 przez króla Kazimierza (Monum. medii aevi T. 10

Nr. 214) da się mniéj więcéj oznaczyć, kiedy napad tatarów na Polskę nastąpił. Oto 3 grudnia 1340 roku kupcy donoszą krzyżakom, że taki napad zagraża, a 6 maja 1341 już król bawi po wyprawie w Wiślicy. W ten sposób nie będziemy odtąd mówić: wyprawa tatarów na Polskę r. 1341, lecz określimy ją ściśléj.

Nie tylko atoli autor w pracy swéj pomija, jak wykazałem, źródła, które winien był zużytkować, ale nadto jeszcze z tych, które zna mylne wyciąga wnioski i to zasadniczo mylne, lub téż wniosków żadnych wyciągnąć nie umie!

Mam tu na myśli dokument, który autor kilkakrotnie cytuje (Theiner Mon. Pol. T. I. N. 566). Pan Górzycki dochodzi do tego wniosku, że król Kazimierz miał zamiar najszczerszy dotrzymać układ zaprzysiężony Rusinom 1341 i przy religii greckiéj ich utrzymać. Dokument wspomniany przemawia przeciw temu twierdzeniu, papież bowiem zwalnia króla z téj przysięgi na jego własną prośbę, wniesioną bezpośrednio po zawartym pokoju. Prawda, że ostatecznie król był nader łagodnym i względnym—(tak przynajmniéj dotychczas znane nam źródła mówią) — dla wyznawców obrządku greckiego; ale w początku 1341 r. zawahał się widocznie.

Z dokumentu, drukowanego u Voigta l. c. T. II. pod r. 1334 okazuje się, że ów buntownik Demetrius Detko stał w bliższych stosunkach z otrutym księciem Jerzym i figuruje jako znakomity świadek.

W części drugiéj swéj rozprawy zdradził autor nieznajomość gruntownéj rozprawki Reifenkugla o stosunkach kościelnych na Rusi—w części trzeciéj zaś nie ruszył wcale nawet materyału drukowanego w Aktach grodzkich i ziemskich Liske'go i nie zaznajomił się z rezultatami rozprawy pan R. Hubego — ztąd téż część ta jest najsłabszą. Tak żywotnéj i niesłychanie ważnéj kwestyi historycznéj, jak wytworzenie się modus vivendi między dwoma narodowościami, nie można rozstrzygać w sposób zbyt pobieżny, i bądź co bądź wymaganiom dzisiejszéj nauki nieodpowiadający, zwłaszcza, gdy nagromadzony w ostatnich czasach materyał pozwalał i nakazywał rozbiór gruntowniejszy i wszechstronniejszy zdarzeń tak doniosłego znaczenia.

Dr. Zygmunt Lisiewicz.

Dr. Witold Załęski. Zasady Ekonomiki (nauki gospodarstwa narodowego). Dzieło wydane z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém imienia D-ra Józefa Mianowskiego. Warszawa, 1889 r. str. 389 i 16-o.

Objawy życia społecznego są tak trudne do zrozumienia i naukowego wyjaśnienia, tak zawiłe i nieuchwytne, tak spomplikowane i od tylu przyczyn, współcześnie działających zależne, że wszelkie poważne i sumienne badania, dążące do wyjaśnienia tych zjawisk są bardzo pożądane, ponieważ pożytek nauce i społeczeństwu przynieść mogą i powinny. Jeśli nie osiągną zamierzonego celu, jeśli pomimo wszelkich starań badacza, nie wszystko w daném zjawisku społeczném należycie wyjaśnioném zostanie, to sumienne nowe poszukiwania rzucą zawsze pewne światło na kwestye dotychczas nie rozstrzygnięte, lub nawet nieuwzględnione — i nauka na tém skorzysta. Prace poważne, skierowane ku wyjaśnieniu zagadek życia społecznego, dzisiaj bardziéj niż kiedykolwiek są na czasie. Współczesne narody cywilizowane przechodzą bardzo ważną fazę w swoim rozwoju—fazę krytycznego dociekania. Pytanie: co to jest, po co to istnieje, na co, do czego służyć ma ta lub owa nowopowstająca instytucya—dotykają wszelkich objawów życia społecznego, rozum ludzki ze wszystkiego pragnie zdać sobie sprawę,—a ponieważ człowieka najbardziéj zawsze człowiek obchodzi,—z tąd więc i nauki, badające objawy życia ludzkiego, tak wielkiéj nabrały doniosłości. A jeśli zwrócimy uwagę i na tę okoliczność, że nie tylko prosta, wrodzona umysłowi ludzkiemu ciekawość zmusza człowieka do głębszego badania objawów indywidualnego i społecznego życia ludzkiego, ale i nieprzeparta konieczność zaspokojenia istniejących i nieustannie wzrastających potrzeb codziennego życia, — to oczywiście ważność i doniosłość nauk społecznych tém jaśniéj i dotykalniéj nam się przedstawi. Trudno jednakże rozpoznać dokładnie zjawiska społeczne, ich przyczyny i prawa niemi rządzące, tak , że niektóre szkoły wyrzekły się możności ich badania—i ograniczyły swą działalność do regestrowania i grupowania faktów, unikając tłómaczenia i wyjaśnienia ich istoty. Nauka jednak zrzec się tego w zasadzie nie może, gdyż przestałaby być nauką. Dociekanie prawdy—istoty rzeczy—oto cel i zadanie wszelkiéj nauki. Dojrzały umysł zasadza poznanie na zrozumieniu danego faktu lub idei, nie zadowolniając się powierzchownem opisaniem zauważonegozjawiska.

Ta doniosłość nauk społecznych, czyni tém cenniejszemi prace, podjęte w celu zbadania zjawisk życia społecznego. Dla tego téż z żywą radością witamy nową oryginalną pracę d-ra Witolda Załęskiego, mającą na celu przedstawienie zasad Ekonomii politycznéj w obszernym i wszechstronnym wykładzie.

Praca d-ra Załęskiego dzieli się, oprócz wstępu, na siedm części; autor rozpoczyna od wyjaśnienia pojęć zasadniczych ekonomii politycznéj, a następnie, rozpatrzywszy w treściwym zarysie historyą systemów ekonomicznych, przechodzi do wykładu teoryi o wytwarzaniu dóbr, o ich obiegu, podziale i spożyciu. W ostatnim rozdziale autor przedstawia zasady zarządu ekonomicznego.

Autor obok własnych swych poglądów, przedstawia teorye innych ekonomistów, zestawia je i krytykuje. Wyczerpujący rozbiór zasad ekonomii politycznéj w obszernem dziele wyłuszczonych, jest niepodobieństwem w krótkiéj ocenie, mającéj na celu poinformowanie ogółu o treści i wartości dzieła. To też o niektórych tylko zasadniczych pomówimy kwestyach.

W przedmowie utrzymuje autor, że „zadaniem ekonomiki jest nauczać klasy nieposiadające, że tylko pracą i oszczędnością mogą przyjść do posiadania dóbr materyalnych"... i że „klasom posiadającym ma ekonomika przedstawić ich obowiązek przyczyniania się do podniesienia klas robotniczych i pomagania im do osiągnięcia celów ogólnie ludzkich".

Oczywiście autor miesza cel pedagogiczny z celem naukowym. Żadna nauka nie naucza jednych tego, innych owego; lecz zadaniem nauki jest zbadanie pewnéj grupy zjawisk i praw niemi rządzących, poznanie prawdy w pewnym właściwym jéj badaniom zakresie. Poza tym bezwzględnym celem, — nauka innych celów nie zna. Gdybyśmy wymagali od niéj, aby bez względu na rezultat swych badań i dociekań nauczała pewnych raz na zawsze ustalonych teoryi, to odebralibyśmy jéj to, co istotę nauki stanowi—prawo bezgranicznego rozwoju. Nauka musi i powinna zmieniać i udoskonalać swoje teorye bez względu na to, czy w danem stadyum swego rozwoju nie wywrze nawet szkodliwego wpływu na umysł ludzki. Mając zaś to na względzie, że prawda nie może stać w stosunku przeczenia do dobra i piękna, możemy śmiało twierdzić, że i poznanie prawdy tylko dobroczynny wpływ na umysł ludzki wywrzéć musi i powinno. Tylko zakresu i celów nauki w ogólności ani zacieśniać, ani rozpraszać nie podobna. Czy klasy posiadające lub nie posiadające do tego lub innego przyjdą wniosku,— teoryi ekonomii politycznéj krępować to nie powinno. Jéj zadaniem jedynem zawsze pozostanie poznanie prawdy w zakresie zjawisk ekonomicznych i praw niemi rządzących,—i nic innego. Cele pedagogiczne posiada tylko nauczanie i wychowanie.

Nie idzie zatém, abyśmy mijali się w dążnościach z autorem co do przekonań, które panować winny wśród klas posiadających i nieposiadających, przeciwnie, piszemy się na nie w zupełności; zaznaczyliśmy tu tylko konieczność zachowania ścisłości pojęcia nauki, pojęcia, wolnego od wszelkich praktycznych względów. Wy-

robienie w ludziach pojęć humanitarnych i sprzyjających rozwojowi cywilizacyi, jest zadaniem szkoły i wychowania. Cele pedagogiczne i cele ściśle naukowe odróżniać od siebie należy.

Nie godzimy się również na podział ekonomii politycznéj na trzy części: historyczną, dogmatyczną i praktyczną (str. 6). Szczególniéj ten ostatni dział jest dla nas zupełnie niezrozumiały. Nauka jest teoryą, a my teoryi praktycznéj, ani praktyki teoretycznéj pojąć nie jesteśmy w stanie. Praktyka i teorya—są to dwa logiczne zasadniczo różne pojęcia—mieszac więc ich w nauce nie podobna. Jest to tém dziwniejszy pogląd, że do części praktycznéj ekonomiki zalicza autor teorye polityki ekonomicznéj i nauki finansów. Nad bezzasadnością tych poglądów dłużéj zastanawiać się nie będziemy, zaznaczymy tylko, że w każdéj nauce rozróżniamy inne jeszcze oprócz historycznej i dogmatycznéj części, a mianowicie metodę badania i część krytyczną, zasadniczo różną od dogmatycznéj, o których autor nie wspomina. Oczywiście literaturę przedmiotu włączyć można do części historycznéj. Zastosowanie zaś w praktyce wyniku nauki — części składowéj nauki saméj nie stanowi.

Autor niepotrzebnie, zdaniem naszém, wdaje się w określanie pojęć filozofii moralności, etyki, prawa i tym podobnych, tém bardziéj, że w określeniach tych brak należytéj ścisłości. I tak na str. 1 autor utrzymuje, iż „przedmiotem filozofii moralności jest wola ludzka, urzeczywistniająca najwyższe dobro na ziemi, dobro moralne!“ Nieco daléj czytamy: „filozofia moralności jest nauką o najwyższych dobrach na ziemi i żąda ich bezwarunkowego urzeczywistnienia“. Co więc według autora stanowi przedmiot nauki filozofii moralności?—czy wola ludzka, czy dobro najwyższe? Nam się zdaje, że wolę i jéj objawy bada psychologia, a nie filozofia moralności. Lecz w obec sprzeczności poglądów autora na powyższą kwestyą, nie wiemy, które określenie autor za słuszne uznaje.

Daléj autor zaznacza, że „chociaż punktem wyjścia jest wolna wola człowieka, każdy jednak uczynek moralny przypuszcza zupełne jéj zaparcie się“. Zapewne użycie wyrazu „zaparcie się“ jest w powyższém zdaniu prostą omyłką. Zaprzeć się wolnéj woli człowiek, jeśli ją posiada, nie może. Może tylko, jak to się mówi pospolicie, zaprzeć się samego siebie, to jest, zrzec się zaspokojenia pewnych potrzeb ciała lub ducha, lecz właśnie przy tém zaparciu się własnego „ja“ dla wyższych etycznych celów, musi zachować całą swobodę wolnéj woli, która nadaje pewien kierunek jego działalności i daje mu możność utrzymania się przy tym kierunku wbrew tysiącznym przeszkodom i pokusom. I nie „pokonanie i przezwyciężenie naszéj woli“ stanowi drogę do osiągnięcia dobra najwyższego, lecz emancypacya téj woli od wszelkich ograniczeń i wpływów postronnych i zapanowania téj woli nad całym na-

szym organizmem. Z chwilą zaparcia się, inaczéj, z chwilą wyzucia się z téj wolnéj woli, wszelki czyn ludzki traci cechę moralności i odpowiedzialności — człowiek staje się mechanizmem. Zastosowanie czynów człowieka do pewnych z góry powziętych zasad i celów wymaga całéj niezależności téj właśnie wolnéj woli. W ogóle nie wiemy, po co w ekonomii politycznéj spotykamy tę metafizykę wolnéj woli.

Niepotrzebnie również autor zaznacza, że „człowiek, jako istota cielesna i materyalna, należy do świata zewnętrznego i potrzebuje środków zewnętrznych dla zaspokojenia swych potrzeb“ (str. 3). Jest to prawda oczywista jak to, że słońce we dnie świeci. Tylko niejasność pewną budzi wyrażenie „świat zewnętrzny“. A gdzie jest świat *wewnętrzny*? Rozróżnienie świata zewnętrznego od wewnętrznego subjektywnie odczuwa każdy człowiek, ale naukowo określić różnic tych dwóch światów i szafować wyrażeniami świat zewnętrzny i świat wewnętrzny — nie można. Niejasność jest tu wynikiem względności tych pojęć. To, co dla mego „ja“ stanowi świat wewnętrzny, dla innego człowieka należy do objawów świata zewnętrznego. Ekonomia polityczna, wbrew twierdzeniu autora, nie potrzebuje przed żadną inną nauką uchylać czoła, nawet przed etyką, gdyż równie jedna jak druga nauka ma swój specyalny zakres, a niezależność nauk jest konieczną zasadą ich rozwoju. Tymczasem autor tak wielką widzi spójnię między etyką i ekonomią polityczną, że zdumienie ogarnia czytelnika; mimowoli rodzi się pytanie, do czego też zejdzie w końcu przedmiot „ekonomii politycznéj“? Autor utrzymuje, że „zajęcia ekonomiczne są zastosowaniem praktycznem zasad moralności“ (str. 3). Polerowanie np. kamienia jest zajęciem ekonomicznem, otóż radzibyśmy wiedzieć z jakiéj zasady etycznéj wypływa polerowanie kamienia? Sądzimy, że etyka z tą czynnością nie ma nic wspólnego i że trudno w niéj dopatrzeć się cech moralności lub niemoralności.

Autor nie wskazuje dostatecznéj zasady dla zmiany dotychczas powszechnéj nazwy nauki ekonomii politycznéj; przekształcając tę nazwę na „ekonomikę“ z dopisaniem nawiasowo na tytule książki odpowiedniego komentarza. Że autor chce skrócić nazwę nauki, to dostatecznego powodu do zmiany utartéj nazwy nie stanowi, a rodowód nazwy téj z greckiego autor własném twierdzeniem osłabia (str. 6), przyznając, że wyraz grecki „*οἰκονομική*“ oznacza naukę gospodarstwa, pojętego jako gospodarstwo *domowe!!* Tymczasem nauka ekonomii politycznéj dotyczy zasad gospodarstwa narodowego lub społecznego, jak to autor sam zresztą przyznaje. Zmieniać moglibyśmy w razie nieuniknionéj konieczności nazwę nauki, lecz gdzie nie ma téj konieczności, tam wszelkie innowacye w nomenklaturze nauk są zbyteczne i wywołują niejasność, wymagającą następnie komentarzy.

Autor utrzymuje, że „potrzeby człowieka można podzielić na

potrzeby: przyrodzone, przyzwoitości, stanu i nakoniec potrzeby zbytku" (str. 10). Klasyfikacya ta, zdaniem naszém, nie jest ani ścisłą, ani wyczerpującą. Potrzeby ludzkie są tak nieskończone, ilość i różnorodność ich jest tak wielką, że kusić się o ujęcie ich w pewną klasyfikacyą jest niesłychanie trudno. Potrzeby i rodzaje tych potrzeb zmieniają się stosownie do rozwoju ludzkości, do postępu i uspołecznienia. Potrzeby te są mniéj lub więcéj naglące, różnie zaspokajane. Względność ich niemal zupełnie wyklucza możność klasyfikacyi, a jeśli już mamy je grupować, to według cech jak najogólniejszych. Tak naprzykład można podzielić potrzeby ludzkie na takie, których zaspokojenie koniecznem jest dla podtrzymania bytu i potrzeby, których zaspokojenie koniecznem jest dla rozwoju cywilizacyi. Możnaby również podzielić potrzeby ludzkie na potrzeby ducha i ciała, i tym podobnie. Klasyfikacya autora zdaniem naszém nie wytrzymuje krytyki. Co to są, naprzykład, potrzeby przyzwoitości? O jakiéj tu przyzwoitości mowa? Wszak etyki narodów są bardzo różne, a cóż dopiero konwencyonalne pojęcie przyzwoitości! To, co przyzwoitém jest według amerykanina, jest nieprzyzwoitém według europejczyka; to, co przyzwoitém zowie chrześcianin, za nieprzyzwoite uważa muzułmanin (np. zakwefienie kobiety wobec mężczyzn), i odwrotnie. Gdzież więc miara dla stałego naukowego pojęcia i określenia przyzwoitości?

A co to są potrzeby zbytku? Gdzie znowu miara dla stałego określenia tak zmiennego i względnego pojęcia, jak to autor sam poniżéj wykazuje? (str. 333 i nast.). Jakie potrzeby zalicza autor do potrzeb zbytku? Naprzykład kareta dla wziętego doktora pod względem ekonomicznym bynajmniéj nie jest zbytkiem, bo zaoszczędza mu czas i siły a powiększa jego produkcyę. Dla iluż jednak ludzi stanowi ona zbytek. Również niejasne są potrzeby stanu. Na jakie „stany" przedewszystkiém dzieli autor ludzkość, która dąży do uwolnienia się od podziału na stany? Dopóki autor nie przeprowadzi swego podziału na stany, jego „potrzeb stanu" zrozumieć nie możemy. Nie wiemy również, do jakich potrzeb według klasyfikacyi autora zaliczyć mamy potrzeby estetyczne. Czy do potrzeb zbytku czy do potrzeb przyrodzonych. Błąd w klasyfikacyi autora na tém polega, że wbrew wymaganiom logiki, klasyfikacya jego nie posiada jednéj i téj saméj podstawy.

Nie przeczymy bynajmniéj, że określanie pojęć ekonomicznych jest bardzo trudném, i wiemy dobrze, że jedno i toż samo pojęcie ekonomiczne różne śród szkół ekonomicznych znajduje określenie. To też żaden autor nie potrzebuje oglądać się na zdania sprzecznych szkół, lecz raz ustaliwszy swoje określenie, w stosowaniu i używaniu go powinien być konsekwentnym.

Na str. 14 autor utrzymuje, że od pojęcia użyteczności różném jest pojęcie *kosztowności* t. j. nakład trudu i czasu, połączony z nabyciem lub wytworzeniem danego przedmiotu. Kosztowność wyra-

ża trudności, które należy przezwyciężyć, chcąc otrzymać przedmiot. Na str. 15 czytamy: „kiedy użyteczność jest powszechnie uznaną i z nią się połączy kosztowność, powstaje *wartość*.“ Dalej po tych dwóch określeniach utrzymuje autor, iż (str. 16), „ponieważ znajduje się *wiele* osób, które czują gwałtowną *potrzebę przystrojenia się* w brylanty i ponieważ te kamienie, z przyczyny *rzadkości*, są bardzo *kosztowne*, koniecznością jest zatem, żeby posiadały wysoką wartość.“ Otóż przytoczony przez autora ostatni przykład (brylanty) zbija zdaniem naszem dwa pierwsze określenia.

Według tego poglądu brylanty posiadają wartość, ponieważ: 1) „znajduje się *wiele* osób, które czują gwałtowną potrzebę przystrojenia się w brylanty“ (a więc silny popyt, zapotrzebowanie); 2) rzadkość tych kamieni, (małą podaż w stosunku do zapotrzebowania), 3) wynikająca (?) z tej rzadkości kosztowność, 4) użyteczność tych kamieni. Widzimy więc, że na wywołanie wartości brylantów złożyły się cztery czynniki, gdy tymczasem wartość zdaniem autora wynika jedynie z połączenia kosztowności i użyteczności. Określenie zatem wartości przez autora jest niedokładne, gdyż nie uwzględnia prawa podaży i popytu.

Nie sądzimy również, aby rzadkość przedmiotu mogła być przyczyną kosztowności, w tém znaczeniu, jak to autor powyżéj zakreślił; nakład trudu i czasu dla uzyskania brylantów bynajmniéj nie jest tak wielkim, aby zaważył przy ocenianiu wartości. Gdyby wartość wynikała jedynie z użyteczności i kosztowności, to przy zwiększeniu się któregokolwiek z powyższych czynników i wartość wzrastać— by powinna. Tymczasem np. dwa domy, wzniesione z różnym nakładem trudu i czasu (co zależy od uzdolnienia robotników, pory budowania, nieprzewidzianych przeszkód i t. p.), a zatem różnéj kosztowności, lecz jednéj i téj saméj użyteczności, będą posiadały jednę i tę samą wartość, właśnie dla tego, że stosunek podaży i popytu pozostanie niezmienny.

Z tego wynika, że kosztowność obok téj saméj użyteczności nie zawsze znajduje się w stosunku prostym do wartości, — i w ogóle wartość od kosztowności nie zależy. Zdaniem autora powietrze nie posiada żadnéj wartości (str. 15). Przeczymy temu. Dla zdobycia powietrza zdrowego dla chorych płuc pacyent ponosi częstokroć wielkie nakłady (stacye klimatyczne), a wówczas to powietrze posiada wartość nawet według określeń autora, gdyż łączy w sobie i użyteczność i kosztowność. Dalej np. (str. 19) autor utrzymuje, iż „pamiątka po zmarłéj osobie może mieć dla krewnych i przyjaciół wielką użyteczność... i ten przedmiot jest nieskończenie k o s z t o w n y, albowiem w razie jego stracenia, żadna siła ludzka nie jest zdolną przywrócić go na powrót.“

Nie potrzebuję chyba nadmiernie silić się na dowiedzenie, iż zastosowanie pojęcia kosztowności do pamiątki po zmarłym jest pozbawione naukowéj podstawy. Pamiątka taka bezwątpienia

dla osób interesowanych posiada wartość, lecz gdzież ma być kosztowność. Wszak kosztowność, to jest nakład trudu i czasu, połączony z nabyciem lub wytworzeniem danego przedmiotu. A czyż posiadający pamiątkę ową zużytkował dla wytworzenia jéj choć chwilę czasu lub najmniejszy wysiłek trudu? Przecież nie ma żadnéj zasady naukowéj utożsamiania rządkości z kosztownością. Przytoczony powyżéj przez autora przykład jest oczywistym dowodem, że dany przedmiot może posiadać wielką wartość, jakkolwiek nie jest kosztownym.

Na str. 18 autor bardzo trafnie zaznacza, iż wysokość wartości będzie zależała od ilości osób posiadających żądany towar i od liczby, ile z nich ma chęć pozbycia się tego towaru—a daléj (str. 19), że „ostatecznie na wysokość cen wpływa rozstrzygająco stosunek zaofiarowania (podaży) do poszukiwania". Otóż tę zasadę należało uwzględnić przy oznaczeniu pojęcia wartości, które jest zupełnie względne.

Tak naprzykład słynna w swoim czasie zabawka cri - cri posiadała względnie wysoką cenę, obok żadnéj niemal kosztowności i żadnéj użyteczności. Jedynie zaofiarowanie i zapotrzebowanie, wynikające z bezmyślnéj chwilowéj mody decydowało o cenie i wartości zabawki.

Autor, rozpatrując kwestye istnienia praw w ekonomicznem życiu społeczeństw i kwestye postępu — chwiejne bardzo wypowiada poglądy, a właściwie unika wypowiedzenia stanowczego słowa. A jednak jest to kwestya pierwszéj wagi, od któréj rozstrzygnięcia zależy cały kierunek nauki (str. 33 i nast.).

Autor sądzi, iż uchyla wszelkie trudności, nazywając „prawami ekonomicznémi prawidła, podług których życie ekonomiczne narodów się urzeczywistnia." Czyżby autor uważał to omówienie swoje, nie dające dokładnego wyjaśnienia, za rozstrzygające kwestyą?

Zastrzegamy, iż prawem bynajmniéj nie nazywamy stałego stosunku zależności, zachodzącego między przyczyną i skutkiem (str. 33), lecz normę, regulującą i obejmującą całe grupy takich stosunków, co wcale nie na jedno wychodzi.

W uznaniu „stałych i niezmiennych" praw w zjawiskach ekonomicznych stoi autorowi na przeszkodzie wolna wola człowieka, a jednak p. Z. uznaje stałe prawidło rozwoju ekonomicznego. Trudna rada, Scylli i Charybdy w nauce ominąć nie można, gdyż brak takiego głównego fundamentu cały gmach o ruinę przyprawi.

Co do postępu, to autor przechyla się ku sceptycyzmowi, twierdząc, iż „w historyi nie znajdujemy nieprzerwanego postępu, można zatem powątpiewać, czy taki postęp na wielką skalę w ogóle istnieje." Przytaczając poglądy Volgera, Mill'a i Roscher'a, autor unika wypowiedzenia własnego, twierdząc raz, że jest postęp ogólny ludzkości, który tylko „przez falowanie życia historycznego... zakryty bywa przed oczami naszemi," to znów utrzymując, że „nie możemy jedno-

cześnie przyjmować postęp (u) trwały (ego) i ciągły (ego).“ Tymczasem na str. 314 i nast. autor trafnie przedstawia charakterystykę postępu ekonomicznego, a więc istnienie postępu kategorycznie przyznaje.

Na str. 31 autor przypuszcza istnienie postępu rzeczywistego i twierdzi, że „postęp czasów obecnych leży w kierunku interesu ogólnego.“ Po cóż więc ta chwiejność i sceptycyzm?

Przy rozbiorze pojęcia zbytku, autor twierdzi, zdaniem naszém, mylnie, iż „pojęcie zbytku jest zupełnie względne“ (str. 333), rozróżniając następnie zbytek rozumny i nierozumny. Jeśli pojęcie zbytku ścisłego określenia u p. Z. nie znalazło, to oczywiście jeszcze mniéj ścisłém, a nawet wprost niezrozumiałém będzie pojęcie złożone: „zbytek rozumny“ i „zbytek nierozumny“. Autor mówi np. o „zbytku czystości, z jego następstwami zbawiennemi dla ducha i ciała.“ Wyrażeniei to jest zdaniem naszem, sprzecznością samą w sobie. Zaspokojene potrzeby, stanowiącéj warunek zdrowia, jak potrzeba czystości ciała, do rzędu zbytków żadną miarą zaliczoném być nie może.

Również nie godzimy się na zdanie autora, iż użycie zdrowe, gustowne i prawdziwe dóbr tego świata jest zbytkiem (str. 336). Autor formalnie igra tém pojęciem, tak, że w głowie czytającego. nieobeznanego zkądinąd z kwestyami ekonomicznemi, może powstać kompletny chaos. Raz naprzykład autor twierdzi, iż „zbytek danego wieku, zwraca się zwykle do towarów najtańszych“ (str. 334), na co się godzić trudno, to znów, że „zbytek pogardza towarami, które produkowane są w wielkich ilościach“ (str. 338). Tymczasem nie potrzeba, zdaje się, dowodzić, iż towary produkowane w największych ilościach są najtańsze. W obec powyższych sprzeczności, nie wiemy, jakie istotnie jest zdanie autora, nie wiemy, na co ćię zgadzać mamy, tem bardziéj, że oba powyżej przytoczone poglądy są wypowiedziane bez żadnego uzasadnienia. W rozdziale o zarządzie ekonomicznym utrzymuje autor między innemi, że „społeczeństwo, doprowadzone do uznania swéj osobistości, do osobistéj woli i osobistego działania, nazywa się państwem“ (str. 348). Twierdzenie to mija się z istniejącemi stosunkami państwowemi. Społeczeństwo nie jest państwem i państwo nie jest społeczeństwem. Ponieważ teoretyczny rozbiór obu tych pojęć zająłby zbyt wiele miejsca, zwrócimy tylko uwagę autora na fakty świata rzeczywistego, które zaprzeczają jego poglądom. Rzym starożytny, tworzący jedno państwo, w pierwszych wiekach ery chrześcjańskiéj obejmował kilkanaście społeczeństw. Nowożytna historya składa bardzo dużo dowodów, iż pod jedném berłem łączy się kilka społeczeństw (Turcya, Austrya, Rosya) lub odwrotnie, że jedno społeczeństwo podzielono na części pod względem terytotyalnym i wcielono do państw różnych. W innych miejscach, nie krępując się powyższém określeniem, nazywa autor państwo „organizmem“ (str. 54). Taka

niejednostajność i chwiejność w określeniach przeszkadza wyrobieniu się jasnych pojęć w umyśle czytelnika.

Do wad książki zaliczyć trzeba styl w wielu ustępach ciężki, zawiły, nieswojski, utrudniający w wielu miejscach zrozumienie myśli autora. Z przykrością zaznaczyć też musimy, że język w pracy d-ra Załęskiego pod względem czystości i poprawności pozostawia nadzwyczaj wiele do życzenia a przecież i w dziele naukowém błędów językowych jak najstaranniéj wystrzegać się należy, jeżeli praca nasza ma społeczeństwu jakąkolwiek korzyść przynieść. Dla przykładu przytaczamy: „*w sześćdziesiątych latach* byli wszyscy pod wpływem...“ (str. 1); „i przedmioty muszą być wytwarzane *na zakaz*“ (ma być na zamówienie; str. 10); „trzy kategorye dóbr ekonomicznych powiększył Macleod *czwartą*“ (str. 12); „jeżeli przy tworzeniu się wartości *brakuje pierwiastek* uznania powszechnego“ (str. 19); „zasługą Roschera jest *pokazanie*, że wszystkie prawdy ekonomiczne są względne“ (str. 36); „ponieważ zbyt radykalnie wziął się do reform, nie zdołał *je* przeprowadzić“ (str. 44).—Przypadków czwartych przy słowach czynnych z przeczeniem w książce spotykamy bez liku: „brakuje mu *znajomość* historyi“ (str. 60); —„one... nie przedstawiają *tę samę* przypadkowość“ (str. 195). Rażą nadto takie dziwotwory: „polityka kolonialna, któréj się *przytrzymywał* rząd angielski“ (str. 50); „*pokupki* domowe na rachunek“ (str. 210—zapewne autor chciał powiedzieć „zakupy“?); „brak bezpieczeństwa publicznego i *nieswoboda* wymiany“ (str. 211); „Rodbertus nie odróżnia zatem czynności materyalne i ruchy naturalne od czynności ekonomiczno-technicznych“ (str. 278). i t. d. i t. d. Jest to, oprócz braku ścisłości w terminologii i w wielu razach konsekwencyi w zasadach naukowych—jedna z najbardziéj ujemnych, zaniedbanych stron książki autora, który w tylu pracach już dowiódł, że przy pilnéj uwadze lepiéj po polsku pisać umie.

J. K. Dworzaczek.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rzut oka na ważniejsze wypadki polityki międzynarodowéj. — Zatarg angielskojportugalski. — Polityka finansowa rządu bułgarskiego w obec dyplomacyi europejskiéj. — Fizyognomia republiki francuzkiéj. — Budząca się opozycya reprezentantów narodu w sejmie niemieckim. — Ugoda Czechów z Niemcami o konstytucyjny modus vivendi obydwóch narodowości w granicach korony Św Wacława. — Czeska Akademia Umiejętności w Pradze. — Włochy nieustające w walce z Kościołem katolickim: ustawa o fundacyach dobroczynnych. — Uniwersytety katolickie w państwach protestanckich. — Rossya zajęta sprawami wewnętrznemi: sprawą finansów, wojskowości, szkół. — Ósmy zjazd naturalistów i lekarzy w Petersburgu. — Zjazd w sprawie szkół technicznych i professyonalnych. — Uniwersytet Warszawski. Temata konkursowe na wydziale prawnym. — Objaśnienie ogłoszonego przez uniwersytet tematu konkursowego z zapisu Ad. Chojnackiego („Warunki urodzajności roli"). — Posiedzenie Wydziału historyczno-filoz. Akad. Um. w Krakowie. — Posiedzenie Wydziału filologicznego tejże Akademii. — Walne zebranie Tow. Mickiewiczowskiego we Lwowie. — Sprawa ujednostajnienia pisowni polskiéj. — Wystawa konkursowa architektury, zapowiedziana przez Komitet Tow. Zach. Sztuk pięknych w Warszawie na styczeń 1891-o roku. — Likwidacya Spółki sprzedaży owoców w Warszawie.

Na horyzoncie stosunków międzynarodowych, zabarwionym od kilku miesięcy bardzo pokojowo, zatrworzyły w ostatnim czasie opinią publiczną dwa obłoki czarniejsze, które chwilowo zdawały się grozić niespodziewanym wybuchem, mianowicie: zatarg angielsko-portugalski w sprawie kolonizacyi południowéj części wybrzeża wschodnio - afrykańskiego i finansowa polityka rządu bułgarskiego na półwyspie bałkańskim.

Spór, wszczęty z niezwykłą żarliwością nad rzeką Zambezą przez gorliwych urzędników portugalskich i angielskich ma w téj chwili dwojakie znaczenie. Wobec współzawodnictwa państw europejskich, ubiegających się o zawładnięcie jak największemi terytoryami afrykańskiemi, porusza zatarg angielsko-portugalski jednę

z zawilszych kwestyi prawa międzynarodowego, mianowicie kwestyą znaczenia prawnego t. zw. *jus primi occupantis*. Czy zatknięcie chorągwi na terytoryum nieurządzonego jeszcze państwa stanowi prawny tytuł *własności*, czy też użytkowanie rzeczywiste z terytoryum, które wśród barbarzyńców zajęto? Prócz tego zatarg ten nastręcza republikanom portugalskim i hiszpańskim sposobność do podżegania umysłów ludowych w kierunku aspiracyi republikańskich, które pobudzone rewolucyą brazylijską, zechcą wyzyskać niezadowolenie masy ludowéj z przezornéj, umiarkowanéj polityki gabinetu lizbońskiego wobec przemożnego napastnika, obrażającego groźbami swemi godność narodową słabszéj Portugalii.

Portugalia, nie mając od początku w. XVI-go współzawodnika w afrykańskich krajach nad rzeką Zambezą, poczytywała siebie za bezsporną panią i władczynią tych przestrzeni, nie przedsiębiorąc jednak nic, coby świadczyć mogło, o jéj działalności kolonizacyjnéj i cywilizacyjnéj. Dopiero gdy Anglia, posuwając się od przylądka Dobréj Nadziei ku północnemu wschodowi, zagroziła pod pewnym względem interesom Rzeczypospolitéj trans-waalskiéj i zetknęła się z okolicami, które Portugalczycy, siedzący na wybrzeżu wschodnio afrykańskiém, poczytywali faktycznie za swoje, chociaż nic nie uczynili dla uspołecznienia ludności miejscowéj — powstał spór o granicę nie tylko wpływów, ale i posiadania. Spór ten z początku czysto dyplomatyczny, zaognił się nie lada, gdy Portugalczycy pobili w końcu roku zeszłego nad Zambezą plemię Makololów, osłaniające się chorągwią angielską, która jako łup dostała się w ręce zwycięzkich portugalczyków. Sprawa nabrała groźniejszego jeszcze znaczenia, gdy wyprawa portugalska poczęła się obwarowywać na punktach przez siebie zajętych, które Anglia poczytywała za niezajęte i dla siebie przeznaczone.

To dało powód gabinetowi londyńskiemu do nadzwyczaj groźnego, gwałtownego wystąpienia w Lizbonie z żądaniem natychmiastowego opuszczenia terytoryów spornych przez Portugalczyków, pod zagrożeniem zerwania stosunków dyplomatycznych, popartém demonstrancyą floty angielskiéj na wodach portugalskich. Gabinet portugalski ugiął się pod taką groźbą, nakazał wycofanie wojsk z terytoryów spornych; ale zarazem podał się do dymissy, zostawiając następcom rozwikłanie lub rozcięcie tego nowożytnego węzła gordyjskiego. Postąpienia gabinetu londyńskiego oburzyło w najwyższym stopniu opinią publiczną nietylko w masach narodu portugalskiego, złorzeczących małoduszności ministrów młodego monarchy, który niedawno dopiero objął rządy królestwa po śmierci ojca, ale i w całéj prasie europejskiéj. Z powodu zawiłości sporu nie można liczyć na to, aby którekolwiek z państw pierwszorzędnych zechciało nakłonić Anglików do uszanowania postanowień konferencyi berlińskiéj w sprawie Państwa Kongo, przekazującéj tego rodzaju spory rozpoznaniu sądu polubownego; najprawdopo-

dobniéj nastąpi porozumienie między stronami interesowanemi na podstawie ustępstw wzajemnych, które jednak ostatecznie wypadną na korzyść mocniejszego, co nie przyczyni się do wzmocnienia idei monarchicznych na półwyspie iberyjskim.

Kwestya finansowéj polityki rządu bułgarskiego, która, po uwagach dyplomacyi rossyjskiéj, zdawała się całą kwestyą wschodnią popychać na zbyt niebezpieczne drogi, została ostatecznie zredukowaną do znaczenia „zastrzeżenia prawnego“, ponieważ wystąpienia gabinetu petersburskiego nie poparła Turcya analogicznem wystąpieniem, bo jak dowodzą organa wiedeńskie, tylko jedna W. Porta mogłaby tę sprawę wprowadzić na pole poważnéj dyskussyi dyplomatycznéj. Porta zaś zadowoliła się objaśnieniem agenta bułgarskiego, Wulkowicza, który dowodził, że nie ma tu żadnego naruszenia traktatu berlińskiego, bo oddana na zastaw pożyczki droga żelazna Carybrod—Wakarel nie leży w Rumelii, ale w Bułgaryi, droga zaś żelazna Jamboli — Burgas znajduje się wprawdzie w Rumelii, ale ona nie istniała jeszcze podczas zawierania traktatu berlińskiego i nie mogła służyć za podstawę, na któréj oparto wynagrodzenie okupacyjne.

Francya osamotniona w dziedzinie polityki międzynarodowéj, czepiała się kwestyi konwersyi długu egipskiego, słuchała chętnie nawracających się do niéj polityków włoskich w zakresie polityki handlowéj—odtrącała z oburzeniem podsuwany prezydentowi Carnotowi zamiar spotkania się z cesarzem Wilhelmem II w Brukseli; ale ciekawsze oko zwracała na działalność nowéj Izby reprezentantów narodu, która się 15-go stycznia zgromadziła. Stronnictwa monarchiczne, skompromitowane podczas ostatnich wyborów, nie potrafiły się jeszcze zorientować w sytuacyi dosyć kłopotliwéj, którą sobie zgotowały. Skrajna lewica, zwątpiwszy o skuteczności przedsiębranych dotychczas środków radykalnych, próbowała zorganizować się w ściślejszą grupę reformistów. Bulanżyści, znużeni bezskutecznemi napaściami na dotychczasowy parlamentaryzm, ucichli nieco z propagandą reprezentacyi prawdziwie narodowéj pod chorągwią „wyższego“ patryotyzmu, okazywali gotowość zaciągnięcia się pod sztandary antisemityzmu; lecz idea ta spowodowała dalszy rozkład stronnictwa. Gorszące szamotanie się przywódzców tego stronnictwa w Izbie podczas sprawdzania wyborów, a mianowicie Joffrina, antagonisty Boulangera w Paryżu, oraz junackie ich wystąpienie podczas rozpraw nad usunięciem uchwały rady municypalnéj Paryża, przyznającéj zasiłek robotnikom, którzy porzuciwszy dotychczasowe zarobki za pomocą zmowy pragnęli wycisnąć wyższą płacę od swoich chlebodawców—przybrało formy tak gorszące, iż zostali siłą usunięci z Izby. Sceny tego rodzaju obezwładniają rząd republikański, a nie podnosząc w kraju powagi skompromitowanego tylokrotnie stronnictwa szkodzą stanowisku międzynarodowemu Rptéj.

Prace parlamentarne w Berlinie — zaniedbane przez ks. Bismarcka, nie wychylającego się ze swojego Tusculum pomorskiego nie dawały powodu do niepokojenia sytuacyi europejskiéj, chociaż dawniejsi służbiści, nie słysząc gromkiego głosu swego Jowisza, zapominali niekiedy o najpierwszym obowiązku obywatela pruskiego, nawykłego do ślepego posłuszeństwa skinieniu żelaznego swego rozkazodawcy. Parlament niemiecki nie zgodził się na rządowy projekt nowéj ustawy przeciw socyalistom, bo wykreślił paragraf o wydalaniu z kraju obywateli podejrzanych bez wyroku sądowego drogą administracyjną. Zniósł karę banicyi, wiszącą nad księdzem katolickim za spełnianie obowiązków kapłańskich bez upoważnienia rządowego. Nareszcie uchwalił zwolnienie seminarzystów, kształcących się na kapłanów od poboru wojskowego przez czas odbywania studyów teologicznych. Zjawiska tego rodzaju nie są pożądane dla rządów ks. Bismarcka, zwłaszcza w chwili tak bliskiéj nowych wyborów do sejmu Rzeszy.

Donioślejsze jeszcze znaczenie mogą mieć dla Austryi narady między przywódzcami Czechów i Niemców czeskich, prowadzone w miesiącu styczniu w Wiedniu przy czynnym współudziale gabinetu hr. Taaffego. Podejmowana już tylokrotnie od czasów hr. Alfr. Potockiego próba wytworzenia w Czechach konstytucyjnego modus vivendi między nienawidzącemi się dwiema narodowościami, została nareszcie szczęśliwie dokonana—w teoryi. Konferencya, złożona z przywódców stronnictwa niemieckiego, historycznéj szlachty czeskiéj i klubu staroczeskiego, porozumiała się co do używania dwóch języków narodowych w sądownictwie, co do podziału sejmu czeskiego na 3 kurye: czeską, niemiecką i szlachty historycznéj. Jedna kurya ma mieć prawo *Veta* w zakresie postanowień interesu ogólnego. Układ, zawarty w Wiedniu, komunikowany już klubom w Pradze, został jednomyślnie przyjęty przez Niemców i przez staroczechów; młodo—czesi zażądali 8 dni namysłu, aby mogli rozebrać gruntownie punkt po punkcie umówione wzajemne koncessye. Pamiętając o wypróbowanéj karności narodu czeskiego wszędzie tam, gdzie chodzi o dobro publiczne, można miéć nadzieję, że i Młodoczesi zrozumieją doniosłość konieczności interesów międzynarodowych, które tę zgodę w téj chwili podpisać każą — i nie podepczą legalnéj podstawy narodowego swego odrodzenia i dalszego rozwoju, chociaż ją ich antagoniści, t. j. Staroczesi z Niemcami zbudowali. Będzie to próba rozumu politycznego wśród ostentacyjnie krzykliwéj falangi szowinistów husyckich i słowiańskich. Z tego co dotychczas wiadomo w téj sprawie, widzimy, że chodziło Czechom i Niemcom zarówno jak i rządowi głównie o to, aby wytworzyć w kraju taki stan legalny, na którymby obiedwie narodowości obok siebie konstytucyjnie żyć i rozwijać się mogły. Na posiedzeniu klubu niemieckiego w Wiedniu oświadczył jednak poseł Plener, że „Niemcy mogą z uczuciem pewnego zadowolenia zapatrywać się na

ugodę z Czechami. Podział rady szkolnéj w Czechach, podział okręgów sądowych, zorganizowanie kuryj narodowych w sejmie czeskim z prawem do *Veto* w kwestyi zmian wewnętrznych urządzeń w kraju i w sprawie wyborów do sejmu, a wreszcie w kwestyi języka, wszystko to, wedle słów Plenera, jest stanowczą wygraną po stronie Niemców. Dzięki téj umowie, mówił Plener, przy dalszéj rewizyi paragrafów o języku państwowym, stronnictwo niemieckie pozostanie przy swoich zapatrywaniach na rolę, jaką powinien odgrywać w Austryi język niemiecki".

Praktyka dopiero pokaże, o ile zawarta co tylko tranzakcya, stanie się podstawą pożytecznego normalnego rozwoju społeczeństwa czeskiego, bo nie brak w tym nowego rodzaju dualismie materyału, który dawniejsze waśnie podżegać może.

Tymczasem z radością witamy zatwierdzoną przez cesarza austryackiego czeską Akademią Umiejętności w Pradze, z protektorem arcyks. Karolem Ludwikiem, którego opiece i Akademia Krakowska poruczona; spodziewamy się bowiem po licznym zastępie gruntownie uczonych Czechów, odznaczających się systematyczną wytrwałością w pracy, że nowa ta w świecie słowiańskim instytucya naukowa obfite owoce i po za granicami Czech przyniesie.

We Włoszech nie słabnie prąd wrogi kościołowi oraz instytucyom katolickim. Po nowym włoskim kodeksie karnym, który z 1-ym stycznia wszedł już w życie, naruszając wolność duchowieństwa i przeszkadzając mu w swobodném spełnianiu obowiązków powołania swego, ustawa o fundacyach dobroczynnych zadała Kościołowi nową ranę. Ustawa ta znosi lub zmienia cel fundacyj, które mają źródło w duchu miłosierdzia chrześciańskiego. Prawie wszystkie fundacye na cele pogrzebowe i na korzyść dziewic, udających się do klasztorów, zostały zniesione i na inne cele przekazane. Jestto naruszeniem ostatniéj woli testatorów, którzy na te, a nie inne cele, mienie swoje przeznaczyli, wiedząc, iż o ile cele te dotyczą religii, są wieczne, tak jak prawa, łączące Boga z człowiekiem. Jako kontrast do wrogiego postępowania rządu włoskiego przeciwko Kościołowi i Papieżowi można przytoczyć powstawanie uniwersytetów katolickich w państwach protestanckich, które w ostatnich czasach otwarto w Waszyngtonie, Ottawie (w angielskim związku Kanady w Ameryce) i Fryburgu w Szwajcarcyi, co świadczy korzystnie o swobodnym rozwoju katolicyzmu w krajach protestanckich, słynących nie tak dawno z wrogiego nader fanatyzmu przeciw Kościołowi i Papieżowi.

W Rosyi zajmują się władze zwierzchnie z niesłabnącą energią w dalszym ciągu doskonaleniem spraw wewnętrznych, mianowicie: gospodarstwa finansowego, reformą szkół i edukacyi publicznéj, nie mniéj i udoskonaleniem siły zbrojnéj, bo rozsiewane w publicystyce europejskiéj pogłoski, jakoby Rosya miała protestować

przeciwko ewentualnemu zawarciu traktatu handlowego między Anglią a Bułgaryą, są według petersburskiego korespondenta „Norda“ potwarzą. „Rosya ma zawsze żywe sympatye dla Bułgaryi, jak zresztą i dla wszystkich ludów słowiańskich i nie chce bynajmniéj szkodzić jéj materyalnym interesom. Jedynie tylko wobec rządu Koburga, jako nielegalnego, Rosya zajmuje wrogie stanowisko“.

Dnia 9-o stycznia r. b. zebrał się 8-y Zjazd naturalistów i lekarzy w Petersburgu. Przemawiał najprzód prof. Beketow, jako organizator, Lichaczew jako głowa Petersburga; Dokuczajew o robotach przedwstępnych. Ponieważ prof. Mendelejew nie przyjął prezesostwa, wybrano prof. Bekctowa. Prof. Mendelejew wygłosił odczyt „O zastosowaniu nauk przyrodniczych przy badaniu cen“, a prof. Sklifasowski „O potrzebach wykształcenia lekarskiego“. Zjazd rozdzielił się na sekcye: matematyki, astronomii, fizyki, chemii, mineralogii, botaniki, anatomii, geografii, agronomii, medycyny i hygieny, które rozbierały specyalne kwestye z przynależnéj gałęzi wiedzy.

Oprócz tego zajmował prasę drugi zjazd uczonych w Petersburgu, mianowicie zjazd w sprawie technicznego i profesyjnego wykształcenia, który miał tym większe znaczenie przez to, że poprzedza bezpośrednio zaprowadzenie w całém państwie szkół technicznych i rzemieślniczych. Nie brak tu było przeciwników szkół profesyonalnych, dowodzących, że najlepszym środkiem wykształcenia dobrych czeladników i majstrów jest dawny system terminowania. W ogóle zauważyć można było dwa prądy, z których jeden pragnął szkół specyalnych, któreby odpowiadały potrzebom kraju, a więc rolniczych, górniczych i kolejowych; drugi zaś dopominał się przedewszystkiem szkół dobrych w ogóle, wychodząc słusznie z téj zasady, że Szkoła wychować powinna przedewszystkiem człowieka, a następnie dopiero zrobić z niego specyalistę. W ogólności nadmienić trzeba, że w obec żywego zainteresowania się ogółu potrzebną reformą wychowania publicznego, pojawia się w publicystyce równie rosyjskiéj jak i polskiéj wiele głosów powierzchownych, niekompetentnych w rzeczach pedagogicznych, które prowadzą opinią na liczne bezdroża, dla tego należy krytycznie rozbierać podnoszono codziennie projekty nowych systemów pedagogicznych.

Etat uniwersytetu warszawskiego wynosi na rok bieżący 252,148 rs. Wydział prawny uniwersytetu warszawskiego ogłosił następujące temata do rozpraw studenckich w celu uzyskania medalów: 1-o z prawa rzymskiego: „Znaczenie juris gentium i wpływ tego prawa na rozwój prawa cywilnego rzymskiego“, 2-o z prawa karnego: „O oszustwie podług teoryi prawodawstw cudzoziemskich i prawa ruskiego“, 3-o z procedury cywilnej: „O wybieralności i nie-

rugowalności sędziów“ i 4-o z prawa państwowego: „O znaczeniu ministeryów w szeregu innych instytucyi państwowych ze szczególném uwzględnieniem prawa ruskiego.“

Wskutek wynikłych w prasie nieporozumień co do treści konkursowego tematu z zapisu Adama Chojnackiego, Cesarski warszawski uniwersytet poczytuje sobie za obowiązek rzeczony temat powtórnie ogłosić, a mianowicie: „Temat podany przez fakultet fizykomatematyczny dla ubiegania się o nagrodę Adama Chojnackiego w latach 1889—1891, jest za dzieło popularne, mające na celu oświatę ludu, a za treść „Warunki urodzajności roli“. Praca przedstawiona na powyższy temat, zawierać powinna, w formie przystępnéj dla ludu prostego, odpowiedź na następujące kwestye: 1) rola pod względem geologicznym (mineralogicznym i fizycznym); 2) uprawa i użyźnianie roli; 3) jaki klimat i jaki grunt sprzyjają uprawie rozmaitych roślin pastewnych i zbożowych i 4) roślinność ziemi, jako wskazówka, że dany grunt odpowiedni jest do uprawy tych lub owych roślin pastewnych, albo zbożowych. Nagroda przyznaną będzie w ilości 900 rs. Dzieło powinno być nadesłane nie późniéj, jak 30 kwietnia 1891 r. Powinno być napisane w języku ruskim i przez ruskiego poddanego, bądź to już drukowane, bądź też w rękopisie, napisane porządnie i wyraźnie. Wydanie nagrodzonego dzieła w języku ruskim lub polskim, pozostawia się uznaniu autora“.

Na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie, odczytał dr. Wł. Ostrożyński pracę p. t: „Ostatni projekt reformy prawa i procesu karnego w Polsce“, dr. St. Krzyżanowski mówił: „O dyplomach Bolesława Wstydliwego dla katedry krakowskiéj“. Na posiedzeniu komisyi historyi sztuki, przedłożył jéj przewodniczący, prof. Łuszczkiewicz, zeszyt 3 tomu IV „Sprawozdań komisyi“ następnie przedstawił p. Alfred Römer zdjęty przez siebie widok rysunkowy cerkwi św. Trójcy w Wilnie. Prof. M. Sokołowski zawiadomił, że p. Ptaszyckiemu w bibliotece Ces. w Petersburgu powiodło się znaleźć bardzo ważne księgi rachunkowe dworu polskiego z czasów Zygmunta Augusta, oraz inwentarze, odnoszące się do spraw majątkowych Decyusza młodszego i jego żony. — Na zebraniu miesięcznem Tow. historycznego we Lwowie odczytał dr. Al. Czołowski ciekawą rozprawę: „Wyprawa Kazimierza Wielkiego na Mołdawię r. 1359“.

Na ostatniém posiedzeniu wydziału filologicznego Akad. umiejętności w Krakowie przedstawił prof. dr. A. Kalina materyały do „Historyi języka bułgarskiego“, prof. dr. Morawski mówił o „Przekładach komedyi Arystofanesa, dokonanych przez zm. Ulricha“.

Dnia 18 stycznia odbyło się we Lwowie walne zebranie członków Towarzystwa im. Adama Mickiewicza, zawiązane przed trzema

laty w celu rozjaśnienia dzieł i żywota wielkiego naszego wieszcza. Nowe wybory na kierowników téj sympatycznéj instytucyi, przeprowadzone na tém zgromadzeniu, były wymownym dowodem zaufania, jakiém się cieszy dzisiejszy prezes Towarzystwa, dr. Roman Pilat, i członkowie wydziału, gdyż z jedną tylko zmianą wszyscy wybrani zostali ponownie na dalsze trzechlecie do przewodniczenia pracom Towarzystwa. Ze sprawozdania zarządu za ubiegłe trzechlecie, przekonywamy się o sumiennéj pracy Towarzystwa, któréj owoce widzimy w trzech sporych tomach „Pamiętnika Mickiewiczowskiego“, omawiającego źródłowo i wyczerpująco wszystko to, co tylko dotyczy tego olbrzyma naszéj poezyi, którego imieniem nazwano cały okres literatury polskiéj między 1830 a 1850 rokiem. Towarzystwo rozwija się powoli, lecz prawidłowo, a nie wątpimy, że i publiczność polska, dla któréj chwała wieszcza nie jest obojętną, da mu należne i skuteczne poparcie, aby mogło i inne swoje cele, objęte statutem, w czyn wprowadzić, czego bez poparcia, o którém mówimy, osiągnąćby nie zdołało. Niechże więc jego „Pamiętnik“ jak najszerzéj się rozchodzi, niech liczba jego członków nieustannie wzrasta, boć publicznym to jest obowiązkiem popierać takie cele, jakim właśnie służy Towarzystwo Mickiewiczowskie.

Sprawa uproszczenia używanéj dzisiaj p i s o w n i w literaturach najóświeceńszych narodów, nie przestaje od lat kilkunastu zaprzątać umysłów powołanych i niepowołanych reformatorów. (Zob. Bibl. Warsz. 1880. T. 4 str. 321; 1882. T. 2 str. 502—604; R. 1883. T. 2. str. 327; T. 3-ci str. 467—469; R. 1884. T. 1 str. 488. 489; R, 1884. T. 2. str. 126—133; R. 1889. T. 1, str. 144—147(—Z Niemiec. gdzie sprawę o r t o g r a f i i najskuteczniéj rozstrzygnął reskrypt ks, Bismarcka, bez pomocy jałowéj dyalektyki lingwistów i gramatyków. przeniosła się ta sprawa do Anglii, a w ostatnim czasie nawet i do Francyi, popierana żarliwie przez prof. Havet'a (Zob. rozprawę p. Bréal'a w „Revue des deux Mondes 1889-o r. Zesz. 1-go grudnia). U nas zaś nie przestaje kwestya ulepszenia ortografii niepokoić umysłów od czasów „Mówni“ Żochowskiego (pomijając spory dawniejsze). W czasach najnowszych, najniesposobniejszych do tego rodzaju zawichrzeń w nauce języka i pisania w tym języku, wystąpiła ta od wielu lat nieposkromiona ambicya poprawienia pisowni z nowym zapałem, grożącym pożałowania godną anarchią piśmiennictwu polskiemu wśród stosunków nadzwyczaj utrudnionych.

Wobec nowego projektu ustalenia pisowni, według zasad, objętych referatem, podpisanym przez pp. A. G. Bema, J. Karłowicza i Ad. Ant. Kryńskiego, a ogłoszonym w Nr. 1 i 2 „Przeglądu Pedagogicznego“ i uprzednio przesłanym do Akademii Um. w Krakowie, liczne grono osób zainteresowanych tą sprawą, obchodzącą tak żywo prawidłowy, przyrodzony rozwój języka naszego, zwróciło się do Akademii Umiejętności z odezwą téj osnowy: „Podejmowane od lat przeszło 30 badania nad językiem ojczystym, według zasad nowoczesnéj lingwistyki, z jednéj strony wyjaśniły w nim wiele zja-

wisk nierozwikłanych dla dawniejszych gramatyków; ale z drugiej wpłynęły na zmianę metody przy wykładzie jego strony formalnéj w szkole.

Im więcéj wszakże wykład języka ojczystego zaczęto opierać na nowo zdobytych naukowych podstawach; tym więcéj dla uczących ujawniała się konieczność zaprowadzenia pewnych zmian w przyjętéj dotąd pisowni, nie zawsze zgodnéj z zasadami fonetyki. W tym celu już w roku 1879, niektórzy nauczyciele języka polskiego w Warszawie, zamierzyli po wspólném porozumieniu się, przyjąć konieczne pod tym względem zmiany i wprowadzić je do nauki szkolnéj. Jeszcze większego znaczenia nabrała sprawa pisowni, gdy z żądaniem jéj ustalenia wystąpiła w roku 1880 Redakcya Biblioteki Warszawskiéj, powołując do rozpraw nad tym przedmiotem szersze koło ludzi fachowych, z tym zamiarem, aby wyniki obrad przedstawić do uznania Akademii Umiejętności w Krakowie i od niej oczekiwać dla wszystkich obowiązującéj decyzyi.

Jakoż odpowiedni co do tego elaborat, skreślony i uzasadniony przez p. Ad. Ant. Kryńskiego, przesłany był do Akademii w miesiącu sierpniu 1883-go roku.

Wiadomo jednak jaką decyzyą, co do przesłanego elaboratu powzięła komisya językowa na posiedzeniu, w końcu 1883-go roku, odbytém. Pozostając na stanowisku Dr. A. Małeckiego i oświadczając, iż swoje na pisownią poglądy przyjmuje tylko za normę, któréj Akademia w publikacyach swoich nadal trzymać się będzie, tym samym nie rozstrzygnęła zasadniczo stawionéj kwestyi. Elaborat p. Ad. Ant. Kryńskiego, rozpowszechniony w odbitkach, zrobił atoli swoje i jeżeli nie przekonał nikogo o potrzebie jotowania samogłoski *i* na początku wyrazów, to znaczną większość objaśnił o potrzebie przyjęcia w wyrazach cudzoziemskich rodzaju żeńskiego zakończeń *ija*, *yja*, oraz utrzymania *j*, jako spółgłoski tematowéj w odmianie rzeczowników, zaimków i niektórych słów, jak szyji, mojich, stojisz, i t. p.

Można téż twierdzić z pewnością, iż ten sposób pisania, wprowadzony do nauki szkolnéj zarówno w zakładach rządowych, jak i prywatnych, zaszczepił się i przyjął w obecnie uczącém się pokoleniu, tak, że dziś z trudnością tylko i wielką dla uczących się szkodą, dałby się ze szkoły usunąć.

Tymczasem wiadomość podana w pismach, iż Akademia Um· w Krakowie otrzymała od ministeryum Oświaty wezwanie, by zajęła się ustaleniem pisowni w celu ujednostajnienia jéj w podręcznikach szkolnych w Galicyi, pobudziła Redaktorów „Prac filologicznych“, a głównie pp. Jana Karłowicza i Ad. A. Kryńskiego do przedstawienia Akademii nowego projektu pisowni, który, utrzymując w pierwotnéj sile wszystkie zasady, wyłożone w elaboracie z roku 1882, odstępuje stanowczo od używania w rzeczownikach cudzoziemskich zakończeń *ija*, *yja*, projektując natomiast użycie saméj *j*, czyli form:

Francja, Austrja, racja i t. d. i motywując tę pisownią najprzód tém, że ona jest upowszechnioną przez wiele pism codziennych, a powtóre, że jako prostsza tém samém jest dogodniejszą. Jeżeli wszakże idzie o uproszczenie, to lepiéj już wrócić do dawnego sposobu pisania tych imion przez *ia*, *ya*, gdyż choć równie z wymawianiem i prawami głosowni niezgodny, ma on przynajmniéj za sobą świetne tradycye pisarzów dawnych, wnioski deputacyi do ortografii b. Towarzystwa Przyjaciół nauk w Warszaszawie, utwierdzone tyloletnią praktyką szkolną i świetny stan literatury całéj epoki Mickiewiczowskiéj.

To niczém nie usprawiedliwione odstąpienie p. Ad. Ant. Kryńskiego od zasady naukowo motywowanéj w elaboracie z roku 1882. jest tym smutniejsze, że zasada, do któréj się obecnie przechyla, a wśród niektórych kół pedagogicznych, po większej części z młodszego pokolenia złożonych, szerzona, może wywołać jeszcze większy zamęt w pisowni i na naukę języka w sposób szkodliwy oddziałać.

Wobec takiego położenia, nie ma, według powołanéj opinii, innego punktu wyjścia z tego ortograficznego chaosu, wytworzonego bez gwałtownéj potrzeby w tak niekorzystnych warunkach, nad odwołanie się do Prezesa Akademii z prośbą, aby raczył przyspieczyć ostateczną decyzyą co do ustalenia pisowni, a oraz swą powagą i wpływem przeprowadził uchwałę według zasad, skreślonych w rozprawie „O pisowni *ija*, *yja*“ z powodu uchwały komisyi językowéj wydanéj“ (Krak. 1884). Akademia Umiejętności zapewne usłucha odezwy ministra Gautsza odnośnie do szkół galicyjskich, ale co do wydania przepisów ogólnych, zajmie prawdopodobnie stanowisko Akademii francuzkiéj, która żądanie reformatorów pisowni francuzkiéj co do zadekretowania prawideł ortografii—odsunęła od siebie dla téj zasady, że uważa za swoje zadanie troskliwe śledzenie za rozwojem języka; ale władzy prawodawczéj na polu ortografii przyjąć nie może, bo nie posiada dostatecznéj w téj sprawie eksekutywy.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiém podaje do wiadomości pp. budowniczych, iż w miesiącu styczniu 1891 r. odbędzie się w lokalu Towarzystwa Wystawa konkursowa architektury, a mianowicie wszelkiego rodzaju kompozycyi w zakres budownictwa wchodzących. Nie kwalifikują się na wystawę kopie i kompozycye autorów zmarłych na trzy lata przed otwarciem wystawy. Na wystawę konkursową przyjmowane będą kompozycye, wykonane w ciągu lat trzech ostatnich, które nie znajdowały się poprzednio na Wystawie stałéj Towarzystwa, ani téż na innej wystawie w Warszawie. Objaśniono równocześnie, iż przez nazwę kompozycyi rozumieć trzeba projekta architektoniczne w rysunku i fotografie z natury z dzieł architektonicznych już wykonanych. Deklaracye w formie listów Komitet Towarzystwa przyjmo-

wać będzie do dnia 15 grudnia 1890 r. W deklaracyi wymienić należy tytuł kompozycyi, imię i nazwisko i dokładny adres autora, oraz krótką wiadomość o miejscu urodzenia i o tém, w jakiéj szkole otrzymał specyalne wykształcenie. Kompozycye zaś winny być dostarczone do lokalu Towarzystwa przed 31 grudnia 1890 roku. Komitet wyznaczył dla téj Wystawy trzy nagrody pieniężne z funduszów Towarzystwa po rs. 600, 300 i 200, za kompozycye bezwarunkowo się odznaczające. Regulamin, czyli instrukcyą szczegółową konkursu powyższego, kancelarya Towarzystwa wydaje lub wysyła na żądanie, bezpłatnie.

Spółka sprzedaży owoców, zawiązana przed dwoma laty w Warszawie, upadła dla braku odpowiedniego kapitału obrotowego, tudzież dla tego, że właściciele egrodów z dalszych okolic, jéj pośrednictwa mało używali. Na zgromadzeniu odbytém w końcu r. 1889-o uczestnicy spółki uchwalili przedsiębiorstwo zlikwidować; skłoniła ich do tego ta okoliczność, że od dnia 13 stycznia spółka była obowiązaną wykupić patent I-éj gildyi, co wraz z innemi opłatami, pociągnęłoby za sobą koszt 1,500 rs.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

Archiwum konsystorskie w Wilnie. — Archiwum lubelskie przewiezione do Wilna i wcielone do tamtejszego Archiwum akt starożytnych.— W. Czermak „O archiwach galicyjskich“.—Ks. A. Arndt. S. J. „O bibliotece pisarzów jezuickich“.— „Zbiór dokumentów histor. z XVI-go do końca XVIII-go wieku“ E. Korwin-Piotrowskiego, złożony w bibliotece Jagiellońskiéj. — Dokumenta do historyi Rumunii z bibliotek polskich, zebrane staraniem Akad. rumuńskiéj, przygotowane do druku przez p. Józefa Skupiewskiego — „Ekonomista Polski“ z Tygodnikiem ekonomicznym“. Lwów 1890. Zesz. 1.

„Wileński Wiestnik“ w N rze 230-ym z dnia 25 października 1889 r. podał wiadomość, że Archiwum konsystorskie w Wilnie, które się mieściło na strychach wileńskiego kościoła katedralnego, zostało wcielone do zbiorów tamtejszéj Komisyi archeograficznéj. Archiwum pomienione, obliczone przez Red. Wil. Wiestnika na 400 pudów dawnych ksiąg i rękopisów, ma obéjmować około 10,000 dokumentów z w. XVI-go i następnych.

Wileńskie archiwum akt starożytnych pomnożone zostało przez przewiezienie do niego całego archiwum lubeskiego obejmującego N-rów 4890, a mianowicie: 1) lubelskiego ziemskiego i grodzkiego sądów—ksiąg 1459; 2) krasnostawskiego ks. 303; 3) parczewskiego ks. 4; 4) chełmskiego ks. 596; 5) szczebrzeszyńskiego ks. 32; 6) urzędowskiego ks. 39; 7) horodelskiego ks. 156; 8) grabowieckiego ks. 595; 9) plik mieszanych różnych sądów 301; 10) kancelaryi hypotecznéj N-rów 59 i 11) różnych miejskich magistratów N-rów 1276; 12) Dwie księgi przywilejów—kopii: jedna dla Lublina na pergaminie i druga dla Turobina na papierze; oprócz tego 76 listów nadawczych. Najstarszym z nich jest list Jagiełły z r. 1420, nadający Turobinowi prawo magdeburskie.

„Gazeta lwowska“ w N-rze 283-im z 8-go grudnia 1889 r. ogłosiła dłuższy artykuł pióra W. Czermaka: „O archiwach galicyjskich“. Jest to objaśnienie broszury p. J. A. Linniczenki p. t. „Archiwy w Galicyi‘, wydanéj przed dwoma laty w Kijowie i może być pożyteczne dla badaczy stosunków rosyjsko-polskich.

Ks. Soc. Jes. prof. krakowski O. Augustyn Arndt wydrukował w czasop. lipskim „Centralblatt fuer Bibliothekswesen“ ciekawy artykuł „O bibliotece pisarzów jezuickich“ wyd. przez Ka-

rola Sommervogel. Ks. Arndt przechodzi tu wszystkie od w. XVII na tém polu podejmowane prace (od dzieł Ribadeneiry i Allegambego z r. 1602 i 1608 począwszy aż do 2-go wydania trzytomowego dzieła in fol. „Bibliothèque des écrivains de la comp. de Jésus“ O. Augustyna Backera z r. 1867 do 1876. Ks. A. Arndt oddaje przy téj sposobności sprawiedliwość książce ks. O. Brown'a, „Biblioteka pisarzów assystencyi polskiéj“ z r. 1862 i zapowiada 3-cie wydanie dzieła ks. Backera, którego druk w opracowaniu Sommervogla się rozpoczął i prawdopodobnie 10 do 12 tomów w 8-ce obejmować będzie.

Biblioteka Jagiellońska otrzymała w depozyt od p. Eligiego Korwin-Piotrowskiego, prezesa b. sądu głównego wołyńskiego, zamieszkałego w Motowidłówce, będącéj własnością córki Stanisławy z Piotrowskich Malinowskiéj, księgę rękopiśmienną, która jak pisze p. Wł. Wisłocki („Przewodnik bibliogr.“ Nr. 1, 1890) zawiera: 1) Dyaryusze sejmów 1552, 1563, 1573, 1587, 1596, 1606, 1623, 1628; 2) Akta i protokuły kancelaryi koronnéj z lat 1715—1728, 1732—1735, 1741—1744, 1746—1757, 1760—61, 1786—1793. Na tomie 28 tego zbioru protokułów napisano: „z manuskryptu, co sesya spisywanego dla kanclerza Hiacynta Małachowskiego“.

Rumuńska akademia nauk sporządziła w ostatnich latach kopie dokumentów historycznych, dotyczących Rumunii, a znajdujących się w bibliotekach, muzeach i zbiorach polskich, czy to publicznych, czyli też prywatnych. Obecnie postanowiono dokumenty te wydać i to w tekście polskim i francuzkim. W tym celu akademia zawarła umowę kontraktową z p. Józefem Skupiewskim, magistrem prawa warszawskiéj Szkoły Głównéj, który przed kilku laty z redakcyi brukselskiéj „Independance Belge“ wezwany był do Bukaresztu na redaktora organu ministeryum spraw zagranicznych „Etoile Rumaine. P. Skupiewski ma sporządzić tłómaczenie francuzkie wspomnianych dokumentów, oraz kierować będzie całém wydawnictwem, którego druk powierzono pierwszorzędnemu zakładowi typograficznemu Socka i Tekla w Bukareszcie.

Dnia 15-go stycznia r. b. ukazał się we Lwowie pierwszy zeszyt czyli numer poważnego czasopisma naukowego pod tyt. „Ekonomista Polski“, obejmujący 8 arkuszy druku 8-o major. z treścią ściśle naukową, rozbierającą krytycznie ważniejsze zjawiska ekonomiczne Galicyi i reszty cywilizowanego świata. Jako dodatek tygodniowy do miesięcznika „Ekonomista Polski“ wychodzi co sobota „Tygodnik ekonomiczny“ objętości 1 arkusza, omawiający w sposób informacyjny ważniejsze sprawy bieżące z zakresu ruchu ekonomicznego, z działem „Ogłoszeń“, płatnych od wiersza. Cena prenumeracyjna „Ekonomisty“ z „Tygodnikiem“ we Lwowie i na prowincyi wynosi rocznie złr. 18, półrocznie złr. 9, kwartalnie złr. 4 cent.

50, miesięcznie złr. 1 cent. 50, bez dodatku zaś „Tygodnika“ rocznie złr. 15, półrocznie 7—50, kwartalnie 3— 75, mies. 1—25. Nr. pojedynczy „Ekonomisty“ 1 złr. 25 cent., „Tygodnika“ zaś 13 cent.— Prenumeratę przyjmuje Administracya „Ekonomisty polskiego“ we Lwowie, plac Bernardyński 7 (w drukarni Ludowéj). Adres Redakcyi: Ul. Teatralna 5.—Pojawienie się poważnego, naukowego pisma peryodycznego z zakresu nauk ekonomiczno-społecznych we Lwowie było oddawna rzeczą nader pożądaną i niezbędnie potrzebną. Pomijając bowiem reporterskie, zwykle nader powierzchowne poglądy na stosunki ekonomiczne w Galicyi, które pod wrogiém i nienawistném zwykle hasłem odzywały się w doniesieniach przeróżnych korespondentów do „Gazet“ i „Tygodników“ w języku polskim wychodzących, ogromne bogactwa przyrodzonetego przez tyle lat poniewieranego kraju zasługiwały na sumienne zbadanie i ekonomiczny obrachunek w celu bezstronnéj kontroli produkcyjnéj pracy ludzi i opieki władz autonomicznych. Będzie to nie małą zasługą względem społeczeństwa polskiego, jeśli „Ekonomista Polski“ stanie się w najdłuższe lata poważnym organem téj pracy obywatelskiéj. Komitet redakcyjny, który taki organ w Galicyi stworzyć potrafił, daje pod tym względem wszelką rękojmią, należą do niego bowiem mężowie znani na polu pracy publicznéj, mianowicie: dr. Witold Lewicki, Teofil Merunowicz, Tadeusz Romanowicz, dr. Tadeusz Rutowski, Stanisław Szczepanowski, Franciszek Zima.

Nie mogąc w téj kronikarskiéj wzmiance zapuszczać się w krytyczny rozbiór poważnych studyów, które znajdujemy w 1-szym zeszycie, musimy poprzestać na zregestrowaniu chociaż tytułów rozpraw pojedyńczych, bo one wskażą czytelnikom charakter czasopisma, obiecującego trwałemi pracami zbogacić naszę literaturę peryodyczną. Zeszyt I-szy „Ekonomisty Polskiego“ zawiera następujące studya: 1) Gospodarstwo skarbowe ministerstwa Taaffe-Dunajewski“ przez Stan. Szczepanowskiego, str. 1 — 38. Autor nie skąpi uznania zasługom dzielnego ministra skarbu. 2) Klęski elementarne Galicyi“ p. dr. Tad. Rutowskiego (str. 39—93). 3) Sprawy przemysłowe w Sejmie galicyjskim“ p. Teofila Merunowicza (str. 94 — 103). 4) „Roczna emigracya polska“ p. dr. St. Kłobukowskiego (początek) (str. 104—111). 5) „Parcelacya w Galicyi, jako objaw społeczny“ p. Witolda Lewickiego (Cz. I-sza) (str. 112—121). 6) „Przegląd literacki“ zawiera krytyczny rozbiór dzieła Leona Paszkowskiego: „Statystyczno-ekonomiczne studya o drogach żelaznych w związku z rozwojem ekonomicznym“. (Wiedeń 1889). Krytyk, podpisany literą W., oddaje sprawiedliwość gruntownéj osnowie dzieła; ale karci w sposób zasłużony zaniedbanie autora pod względem stylu i języka [1]).

---

[1]) Dla braku miejsca w tym zeszycie musimy resztę obfitego najnowszego materyału bibliograficznego odłożyć do następnego zeszytu. *Red.*

Nekrologia.

Dnia 17 stycznia r. b. umarł w Warszawie ś. p. **Władysław Taczanowski**, zasłużony wielce ornitolog, kustosz gabinetu zoologicznego Uniwersytetu warszawskiego. Ś. p. Wł. urodził się d. 17 marca we wsi Jabłonua pod Lublinem, 1819 r., a po ukończeniu gimnazyum w Lublinie, oddał się badaniu świata zwierzęcego i przyrody w ogólności, żarliwą pracą nagradzając brak studyów uniwersyteckich. Owoce jego badań, od r. 1842 ogłaszała najwpierw „Biblioteka Warszawska", podówczas jedyna prawie piastunka polskich rozpraw naukowych. Tytuły tych rozpraw są: „Spis ptaków w gub. Lubelskiéj". „Tabela ruchu ptactwa w latach 1845—1848". „Wiadomość o nietoperzach w dolinie Ojcowskiéj", „Spis zwierząt ssących w gub. Lubelskiéj" i t. d. Wszedłszy do służby rządowéj w roku 1853, w rok potem został konserwatorem gabinetu ornitologicznego przy wydziale leśnictwa rządu gubernialnego w Radomiu, a jednocześnie zawiadował podobnym zbiorem w Lublinie. W roku 1855 powołano go do Warszawy na wicedyrektora gabinetów przyrodniczych. Niedługo potém, w r. 1862, kiedy otwarto Szkołę Główną, mianowano Taczanowskiego kustoszem gabinetu zoologicznego. Na tém stanowisku wytrwał nasz ornitolog długie lata z ogromnym dla gabinetu pożytkiem. Posiadając dużo ze światem naukowym stosunków i związany przyjaźnią z podróżnikami naszymi: Wagą, Kubarym, Dybowskim, Sztolcmanem i w in., pomnażał nieustannie zbiory zoologiczne rzadkiemi egzemplarzami. W tymże celu, w jesieni 1866 roku odbył podróż po Europie południowo-zachodniéj i Afryce, i plon naukowy przywiózł niemały. Obok wszakże klasyfikowania i opisywania gromadzonych okazów, ogłaszał drukiem w dalszym ciągu prace swoje. Wyszły więc: „O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskiém pod względem wpływu, jaki wywierają na gospodarstwo ogólne" (Warszawa 1860 r.). Tekst do 170 tablic ptaków polskich Konstantego Tyzenhauza (Warszawa, 1862), „Spis pająków, zebranych w okolicach Warszawy w r. 1865" (w wykazach Szkoły Głównéj). Umieszczał też wyniki poszukiwań w rocznikach „Societatis Entomologicae Rossicae", w „Proceedings of the Zoological Society of London", w „Bulletins de la Société Zoologique de France", w organie międzynarodowego Towarzystwa Ornitologicznego, wychodzącego w Wiedniu p. t. „Ornis", a na mocy uchwały zjazdu przyrodników państwa rosyjskiego, ogłoszono drukiem dokonane przez Taczanowskiego porównanie fauny Europy środkowéj z fauną Syberyi południowo-wschodniéj (Kijów

1872 roku). Wreszcie w r. 1882, Akademia Umiejętności w Krakowie, wydała pomnikowe, dwutomowe dzieło Taczanowskiego p. t.: „Ptaki krajowe“. Ten wynik czterdziestoletnich spostrzeżeń i poszukiwań na rozległym obszarze jest ścisłym, systematycznym i biograficznym opisem 320 gatunków ptaków krajowych, do których włączył też 20 gatunków obserwowanych na ciągu. Źródłowe to dzieło, najzupełniejsze w swoim zakresie, uwieczni w nauce imię Władysława Taczanowskiego. Żeby zaś ułatwić następcom prowadzenie dalszych poszukiwań, na podstawie obszernego dzieła swojego ułożył „Spis ptaków Królestwa Polskiego“ (VIII tom „Pamiętnika Fizyograficznego“). W ostatnich latach, obok czuwania nad zbiorami uniwersyteckiemi, urządził Taczanowski gabinet zoologiczny hr. Branickich we Fraskati w Warszawie i troskliwie uzupełniał go obficie nadsyłanemi okazami fauny południowo-amerykańskiéj, zakaspijskiéj i wschodnio-syberyjskiéj. — „Pamiętnika Fizyograficznego“, jak niemniéj „Wszechwiata“, znakomity ornitolog był gorącym przyjacielem i współpracownikiem. Jeszcze w końcu grudnia r. z. skreślił we „Wszechświecie“ wspomnienie pośmiertne o Kazimierzu Wodzickim, o trzy lata młodszym od siebie koledze ornitologu, gdy śmierć zamknęła niebawem powieki jego samego, najpracowitszego u nas ornitologa.

Cześć jego pamięci!

O konieczności odróżniania uczuć wyższych od niższych.

(Studyum psychologiczne).

Napisał

Zdzisław Dębski.

Według rozwielmożnionéj dziś w dziedzinie filozofii szkoły pozytywistów, wszelkie uczucia moralne, w zasadniczych swoich podstawach, gruntują się na pragnieniu przyjemności, szczęścia, dobrobytu, a z takiego kiełkując źródła, urabiają się pod wpływem koniecznych warunków społeczno-życiowych. Dla usprawiedliwienia swojego poglądu, pozytywiści posiłkują się już to rozumowaniem, rozpatrującém ogólne właściwości natury ludzkiéj, już też powołują się na fakta antropologiczne, poczerpnięte ze spostrzeżeń nad ludami, które jeszcze nie zaznały cywilizacyi lub znajdują się dopiero na pierwotnych jéj szczeblach. Sama zasada pozytywistów nie jest nowa, znana ona była już w starożytności, a Epikur przez jéj psychologiczne rozwinięcie, zyskał sobie dobrze zasłużoną sławę, nie dla tego, ażeby miał słuszność, ale że potrafił okazać przytém nie pospolitą siłę rozumowania i znajomość głębin natury ludzkiéj. Na szczęście znaleźli się myśliciele, którzy zdołali w świecie uczuć naszych dostrzedz pewne właściwości, wyraźnie zdradzające odmienne od źródła egoistycznego pochodzenie, — a nawet jeden z znajznakomitszych pozytywistów, Stuart Mill, nie może się obronić od wypowiedzenia tego, co mu do świadomości własna jego zawartość moralna przynosi. „Przyjemności, mówi on, różnią się nietylko ilościowo, ale i jakościowo, a to, co najlepiéj zdradza wstręt do uczuć nizkich, możnaby najtrafniéj nazwać poczuciem–godności.“ Gdy badawczo my-

ślimy, gdy się napawamy pięknem, gdy jesteśmy usposobieni moralnie, gdy się staramy zbliżyć do ideału etycznego — doznajemy tego poczucia. Wypełnia ono to, co się nazywa szlachetnością, nadobnością charakteru i stanowi rzeczywisty cel każdéj jednostki, prawdziwy probierz praktyczny każdego czynu. Żaden mędrzec nie zgodziłby się zostać głupcem, żaden człowiek wielkiego serca i prawdziwie olśniewającego czystością sumienia nie przeobraziłby się w niegodziwca, gdyby im nawet obiecano wszelkie życia rozkosze, wszystkich pragnień zaspokojenie—a nie pozwala im na to, owo poczucie godności, niewątpliwie [1]). Przedstawiciel wręcz przeciwnego w filozofii kierunku, bo Emmanuel Kant, utożsamia to poczucie moralnego dostojeństwa z człowieczeństwem, ulegającém prawom obyczajowości [2]). Hartmann czyni tedy zarzut królewieckiemu mędrcowi, że on bierze za jedno istotę rzeczy i zjawisko: samo poczucie moralne i jego zewnętrzne oddziaływanie; to pierwsze natomiast — samoistne, pierwotne (poczucie) — stanowi świadomościowe odzwierciedlenie człowieka, jako istoty moralnéj, — odruch obyczajowości w samopoznaniu. Gdy człowiek samego siebie, jako obyczajową osobistość uznaje, gdy swój etyczny charakter za najczystszy i najbezwzględniejszy probierz swojej osobistéj wartości uważać poczyna, przebudza się w nim chwalebne pragnienie strzeżenia i rozprzestrzeniania téj najwyższéj godności człowieczéj wśród wszelkich życia okoliczności [3]). „Godności natury ludzkiéj—mówi francuzki filozof Paweł Janet — o ile się ją posiada, i o ile się ma świadomość jej posiadania, towarzyszy uczucie przyjemności, najczystsze i najdoskonalsze“. Moralność—twierdzi ten sam myśliciel podobnie jak Stuart Mill — rozróżnia przyjemności nie tylko, ze względu na ich ilość, ale na ich jakość, i w ten sposób wznosi się ona po nad przyjemność i dosięga saméj idei bezwzględnego dobra.“

Zdolności ludzkie różnią się między sobą stopniem doskonałości, która powinna służyć za podstawę przy szacowaniu stanów duchowych przyjemnych. „Niedorzecznością byłoby utrzymywać— są słowa Pawła Janeta,—że czyn heroiczny nie jest lepszy od postąpienia samolubnego; nie można nie zgodzić się na to, że umysł, wolność moralna, dobroć, stanowią to, co może być najlepszego, działalność zaś zmysłów o tyle nabiera blasku wyższości, o ile je przenika świadomość“ [4]). Jakoż istotnie pozytywiści za naj-

---

[1]) O utylitaryzmie —rozdział II-gi.

[2]) „Grundlegung zur Metaphysik der Sitten“, rozdział II-gi, stron. 56, 61, wydanie Kirchmana 1870 r.

[3]) „Phänomenologie des sittlichen Bewusstseins“ stron. 171—182 wydanie 1877 r.

[4]) „La Morale“ stron. 58, i w ogóle od stron. 55 do 85 i od str. 151 do 169.

wyższe zmysły uważają słuch i wzrok, gdyż są one najbardziéj odtwarzające, co w języku pozytywistów znaczy — idealne, duchowe, bo najsilniéj posiłkujące się świadomością, największe w jéj życiu przyjmujące udział, najbliższe jéj.

Nasuwa się jednak obecnie pytanie, skąd pochodzi owo poczucie g o d n o ś c i w ł a s n é j, jak wytłomaczyć jego istnienie w ustroju świadomościowym człowieka? Stuart Mill chcąc pozostać wiernym swojéj zasadzie użyteczności owéj, stara się przypisać owo poczucie, już to dumie, już też pragnieniu wolności, niezależności osobistéj, władzy lub wzruszeń—okazuje jednak przytem autor „Logiki“ widoczną niepewność siebie i źle tajone przeświadczenie o konieczności wyższego ideału, — tak, że wreszcie wyrywa się angielskiemu myślicielowi wyznanie,—iż jakość uczuć wyższych, którym towarzyszy owo poczucie godności, wynika z saméj istoty działalności władz duchowych [1]). Jakoż rzeczywiście, możliwie najdokładniejszy rozbiór uczuć pychy, próżności, nawet szlachetnéj dumy, dopełniony przez Baina [2]) i Hartmanna wykazuje dostatecznie, że powyższe stany psychologiczne nie wyczerpują poczucia godności własnéj, wyrastającego na podścielisku uczuć wyższych. Według Janeta też, samo istnienie tak zrozumianéj g o d n o ś c i nie potrzebuje przyczynowego wytłomaczenia, stanowi ono bowiem fakt p i e r w s z y, mówiący sam za siebie, bezpośrednio udzielający się świadomości. Poznaliśmy już odnośne pod tym względem tłomaczenie Hartmanna, a pośrednio i Kanta, który tyle razy omawiane przez nas poczucie g o d n o ś c i uważa za uzewnętrznienie najczystszéj osnowy ducha, niezależnie od treści pojęć i uczuć, zapożyczonych ze świata zewnętrznego, byle treść owa właśnie ze względu, że tak powiem, na bezcielesność, niematerialność, idealność swoję, dawała możność d u c h o w o ś c i przejawiania się w n a j b a r d z i é j z a s a d n i c z y c h j é j f o r m a c h. Kto się na podobny pogląd zgadza, to jest na zupełną odrębność, niezależność, pierwotność „ducha“ w całokształcie bytu, temu łatwo będzie zrozumieć istotę i niepochodność poczucia g o d n o ś c i w ł a s n é j, jako prze-

---

[1]) O utylitaryzmie. rozdział III.

[2]) W dziele „Uczucia i Wola.“ („Emotions and Will“ stron. 200—214 wydanie 1870 r.) Psycholog angielski rozważa tu poczucie, „poszanowania dla samego siebie“ (Self-estimation) „samo — wartości“ (Self-Wortty), sprowadzając je do pierwiastku samolubnego, ale też cechy tych uczuć, jak je podaje Bain, są zupełnie różne od poczucia „godności własnéj“, pojętego w znaczeniu powyżéj wyłuszczoném. Przeciwnie Hartmann w dziele, poprzednio powołaném, z wielką plastycznością przeprowadza linią rozgraniczającą te zbliżone, na pozór, co do sposobu swojego powstawania, stany psychologiczne.

jawu psychologicznie samoistnego. Zresztą, z tego stanowiska rzecz biorąc, nie przedstawiałoby to zbyt wiele trudności i dla Milla, który, jak wiadomo, uważa duchowość za siłę pierwszą, ale ujawniającą się zawsze w przyrodzie w zupełnéj zależności od materyalnéj strony danych form bytu [1]). Bain, rozpatrując proces wytwarzania się pojęć i uczuć pod wpływem oddziaływań zewnętrznych, nie dwóznacznie się wyraża, że pomiędzy materyalnym a duchowym tego procesu momentem, istnieje łącznia tylko w czasie, to jest, że bezpośredniego przeobrażania się niema, lecz tylko uwarunkowanie powstawania zjawisk psychologicznych, istotowo różnych od pobudek zewnętrznych [2]). W ogóle pozytywiści, w zapatrywaniach swoich na istotę świadomości, znacznie się różnią od materyalistów, nie mniéj jednak i oni, a szczególniéj wyznawcy Darwina jak np. Spencer, najpodnioślejsze stany psychologiczne uważają za pochodzące od najpierwotniejszych, nacechowanych zupełnym materyalizmem i fizycznością instynktów ogólnie — zwierzęcych. Słusznie wszakże sądzą: Paweł Janet i znakomity angielski historyk — moralista — Lecky [3]), że zwolennicy zasady rozwoju (ewolucyoniści) nie są w możności wytłomaczyć ani stopnia natężenia uczuć wyższych, ani zupełnéj istotowéj odrębności, jaką się uczucia te odznaczają w ostatecznem swém ukształtowaniu;—przy rozstrząsaniu zaś odnośnych zjawisk, pozytywiści ograniczają się na łatwém orzeczeniu: „uczucie to może dojść do takiéj skali rozwinięcia, jaką obecnie spostrzegamy“ i t.p. Współczucie np. według Spencera, wytworzyło się z egoizmu, dzięki pamięci przebytych cierpień,— ale dla czego ono w tém swojém przetwarzaniu tak rdzennie się różni od samolubstwa i jednocześnie nabiera owéj cechy szlachetnéj jakości — wytłomaczenia tego zjawiska nie znajdujemy. Gdyby nawet można było zgodzić się na teoryą Spencera, należałoby przypuścić, że przy takiém przeobrażeniu dane uczucie

---

[1]) „System Logiki“. Tom I stron. 438 (w przekładzie rosyjskim).

[2]) W dziełku „Umysł i ciało“. Zresztą ta strona zapatrywań pozytywistów została uwzględnioną przez naszych swojskich wyznawców tego kierunku z ostatnich czasów; przekonywają nas o tém artykuły filozoficzne, pojawiające się w pismach odnośnego obozu. Jako na typowy przykład takiego zwrotu możemy wskazać na pracę p. Henryka Silbersztejna, „Zmartwychwstały witalizm“, pomieszczoną w dodatku miesięcznym do „Przeglądu Tygodniowego“ (Za drugie półrocze 1887 r.), w której autor wyraźnie zaznacza niemożliwość wytłomaczenia zjawiska „świadomości“ „mechaniką atomów“.

[3]) W dziele „Historya Moralności w Europie“. Ocena téj pracy, pomieszczona w „Historyi pojęć moralnych“ P. Świętochowskiego nie daje przybliżonego nawet pojęcia o całéj wartości powyższego studyum.

istotowo się zmienia, to jest, że powstaje zupełnie odrębne psychologiczne zjawisko. Jeżeli zaś Bain z całą stanowczością wskazuje na pierwotność, niepochodność poświęcenia, jako stanu moralnego, [1]) to nie rozumiemy dla czegoby, nawet ze stanowiska pozytywnego, nie można się zgodzić na taką samą pierwotność jakości uczuć, która w odbiciu świadomościowém daje się poznać jako poczucie godności. Rzecz tę gruntownie tłómaczy przenikliwy angielski myśliciel Murphy, w dziele swojem „Zwyczaj i Inteligencya“ (rozdział XXXII). „W jaki sposób“, mówi on, nabralibyśmy świadomości, że pewne przyjemności niezależnie od ich natężenia, są podnioślejsze, niż inne, i bardziéj godne tego, aby ich poszukiwać. W jaki sposób nauczyliśmy się uznawać cele obowiązku za tak wysokie, że nawet najżywsze przyjemności obecne i przyszłe, w porównaniu z tamtemi, okazują się niższemi? Sądzę, że to poczucie świętości, że ten zmysł moralny, nie może być przypisany pierwiastkowi materyalnemu życiowemu, lub zmysłowemu, lecz jedynie może być wytłomaczony jako moment samowiedzy, samowiedzy nie praktycznéj jednak, ale przeciwnie—czysto duchowéj“. Wprawdzie historya badań etycznych zna myślicieli, którzy utrzymują, że to uczucie „Świętości“, a jak my nazywamy „wyższéj jakości“, nie istnieje w całokształcie duchowéj istoty człowieka, a z pomiędzy tak sądzących, w ostatnich czasach wyróżnia się niepospolitą siłą argumentacyi, angielski moralista Sigdwick; metoda jednak logiczna, przez Milla dla tego rodzaju badań wskazana, osłabia jak najzupełniéj zdanie powyższe wyznawców bezwzględnego egoizmu, czy to indywidualnego, czy też nawet ogólnie—społecznego. „Gdy idzie o to—orzeka autor „Utylitaryzmu“—jak poznać, która z dwóch przyjemności jest lepsza i bardziéj pożądana, lub jaki z dwóch rodzai istnienia przedstawia więcéj uroku, bez względu na ich właściwości moralne i skutki, — sąd o rzeczy — tych, którzy się znają na obu rodzajach, a w razie niezgodności zdań, większości z pomiędzy nich—powinien być uważany za rozstrzygający“. Zresztą i sam Sigdwick przyznaje, że „uczucia moralne, w jakikolwiek bądź one powstały sposób, stanowią w obecnéj naszéj świadomości czynniki niezależne, sięgające po palmę pierwszeństwa, wyższości—nad témi pragnieniami i niechęciami pierwotnemi, od których jakoby pochodzą“. Wreszcie tenże sam myśliciel utrzymuje, że teorya stopniowego rozwoju (ewolucyonizmu) bardzo łatwo da się pogodzić z zasadami szkoły „intuicyjnéj“ a badania antropologiczne, według Sigdwicka, w niczém nie przyczyniają się do rozwiązania zagadnień etycznych [2]).

---

[1]) W dziele powyżéj wspomnianem „Uczucia i Wola“ stron. 294, 295, 296.

[2]) „O metodach w badaniu moralności“ stron. 387.

Zdanie podobne już znacznie wcześniéj wygłosił Emmanuel Kant, [1]) wyjaśnienie wszakże tego poglądu przechodziłoby zakres niniéjszéj pracy naszéj.

Przedstawiciele francuzkiego pozytywizmu August Comte i Littré, nie zastanawiali się pilniéj nad obchodzącém nas tu zagadnieniem, niewątpliwie z powodu zupełnego w ich badaniach braku pierwiastku psychologicznego [2]). Niemniéj jednak, w fantastycznym zresztą systemacie religijnym Comta, ujawnia się widocznie konieczność czci dla wielkości człowieka, dla ludzkości, a przez ludzkość jeden z uczniów „mistrza [3]) rozumie całość wszystkich myśli wzniosłych, wszystkich uczuć szlachetnych, wszystkich usiłowań wielkich".

Doniosłe zaś słowa Littrégo „nieprzystępne, nie znaczy to samo, co nie lub nie istniejące", wybornie dopełnia głęboką uwagą swoją zasłużony nasz badacz na niwie filozoficznéj [4]), że „jeżeli metoda psychologiczna odsłoni substancyą jakąkolwiek, pozytywizm okaże się mistyfikacyą smutną, opierającą się na dogmacie niedowiedzionym" zupełnéj nie przystępności istoty rzeczy dla umysłu ludzkiego. — Filozofowie niemieccy, wyznający w zakresie etyki zasady naturalistyczno-antropologiczne, podobnie jak angielscy pozytywiści, zmuszeni są również uznać różnice wartości, jakie zachodzą pomiędzy rozmaitemi czynnościami psychicznemi. I tak np. Ueberweg wyraża zdanie że „przez rozkosz i boleść objawia się różnica pomiędzy tém, co korzystne, a tém, co szkodliwe, przez uczucie poważania i wstydu, różnica pomiędzy niższemi a wyższemi funkcyami". Albert Lange, znany autor „Historyi filozofii materyalistycznéj", z któréj powyższe autentyczne słowa czerpiemy [5]), dodaje do nich ze swéj strony uwagę, że „jeśli istnieje takie pierwotne uczucie różnicy pomiędzy funkcyami niższemi a wyższemi, tedy istnieje także naturalne sumienie, i łatwo nastręczy się zapytanie, czyli nie dałby się upatrzyć jakiś związek pomiędzy podmiotowém źródłem sumienia a pewnym zasadnikiem przedmiotowym". W ten sposób, według tegoż autora, „nie tylko samolubstwo, ale i naturalna miłość bliźniego, jako zasadniki etycz-

---

[1]) Grundlegung zur Metaphysik der Sitten, Vorrede stron. od 1—9.

[2]) Brak taki zaznacza Mill w swojej pracy „August Comte i pozytywiści".

[3]) Lonchampt. „Essai sur la prière" powołane w poniżéj wskazaném dziele d-ra Pawlickiego stron. 49.

[4]) Dr. Stefan Pawlicki w swoich „Studyach nad pozytywizmem", stanowiących prawdziwą ozdobę naszej literatury filozoficznéj.

[5]) Stron. 463, 464.

ne, bez uwzględnienia wyższego ideału, nie wytrzymują krytyki“ [1]). I stąd to historyk „filozofii materyalistycznéj“ podobnie jak Sigdwick, lecz już z całą świadomością nawraca do teoryi apryorystycznych Kanta, z zastrzeżeniami naturalnie, które łatwo zrozumieć, w obec całokształtu poglądów Lange'go.

Strauss wreszcie, który w przybytku Boga tęsknił za świątynią „Rozumu“ a w téj ostatniéj wzdychał do opowiadań biblijnych, Strauss, powtarzamy, zanurzając się w materyalizmie, szuka podniety dla ducha i serca „w poznaniu natury, w pismach wielkich poetów, w wykonaniu dzieł znakomitych muzyków“. Gdyby się jednak myśliciel ten zapytał sam siebie dla czego w podniosłéj apoteozie uczuć i umysłu, orle odzyskuje skrzydła, i był zdolny na to bezstronnie odpowiedzieć, musiałby niewątpliwie, śladem Milla i innych głębszych angielskich i niemieckich pozytywistów, uchylić czoła przed ideałem [2]).

---

[1]) Tamże stron. 477.

[2]) Taką właśnie konieczność ukorzenia się przed ideałem, wykazał Seweryn Smolikowski w starannéj swéj charakterystyce etyczno-religijnych wierzeń Milla, pomieszczonéj w dziele „Filozofia wyzwolenia“ (str. 156 do 166).

SERPA PINTO.

Przyczynek do dziejów kolonizacyi portugalskiéj)

PRZEZ

Eugeniusza Lipnickiego.

„Nieprzemienne obowiązki,
Odziedziczone z pamiętnéj
Krwi przodków i utwierdzone
Przez boskie i ludzkie prawa,
Wzywają mię w ową stronę,
Gdzie w pokoju gnuśnym leży
I więdnie dziedziczna sława“...
Kalderon: „Tajna krzywda — skryta [zemsta“.

Powyższe słowa, które w jednéj z najbardziéj wzruszających tragedyi Kalderona wypowiada Portugalczyk Almeida, zamierzający opuścić nadobną żonę, aby towarzyszyć młodemu królowi Sebastyanowi na wojennéj wyprawie do Afryki, stosują się ze wszech miar na motto, gdy mamy opowiedzieć dzieje majora Serpa Pinty. Dziedziczna sława Luzytanów, zdobyta odkryciem Indyi i brzegów Afryki, sięgnąwszy do najwyższych szczytów w czynach takich bohaterów, jak Vasco de Gama, Almeida i Albuquerque, obniża się, blednie i więdnie od kilku wieków. Nie tylko Portugalczycy stracili Indyą, ale nawet w Afryce, choć tam długo nie byli narażeni na żadną prawie konkurencyą, nie umieli rozszerzyć swoich dzierżaw, które dziś niemal w tych samych zamykają się granicach, co na początku XVI-go stulecia. Inne mocarstwa, które zaledwo w ostatnich kilkunastu latach wstąpiły na drogę kolo-

nizacyi w Afryce, już wyprzedziły Portugalczyków, osiedlonych tam od 4 wieków.

Dopiero przed kilku laty przypomnieli sobie „nieprzemienne obowiązki“, odziedziczone po sławnych przodkach, dopiero teraz zabierają się do naprawienia niedbałości i błędów wiekowych. Najświetniéj na tém polu patryotycznéj pracy, zajaśniał dzielny major Serpa Pinto. Pomiędzy tymi licznymi konkwistadorami nowoczesnymi, którzy, jakby błędni rycerze Ariosta, przebiegają ciemny kontynent afrykański na wszystkie strony, w szerz i w dłuż, od brzegu do brzegu, major portugalski odznacza się powagą, bezinteresownością, czystością zamiarów i tym gorącym patryotyzmem, tą dokładną świadomością narodowych celów, która dopiero uświęca podobne „awantury“. Z narodowym sztandarem w ręku, przebiegał Afrykę od morza do morza; z żołnierza podróżnik, z podróżnika znowu żołnierz, na czele wojska portugalskiego prowincyi Mozambiku staczał w roku zeszłym krwawe walki, aby zabezpieczyć zagrożone chciwością sąsiadów dzierżawy narodowe. Veto przemożnego Albionu wprawdzie mężnego majora zatrzymało w zwycięzkim pochodzie, ale zapewne nie zakończy patryotycznego zawodu męża, który stał się najpopularniejszym śród narodu swego.

I.

Gdyby sam fakt odkrycia dzikiego kraju zabezpieczał prawo jego posiadania, to cały zachodni, południowy i wschodni brzeg Afryki, byłby dziś własnością Portugalczyków. Oni bowiem pierwsi, szukając drogi do Indyi, w XV-tém stuleciu zwiedzili te brzegi afrykańskie. Już w r. 1445 Dyonizy Diaz, okrążywszy przylądek zielony, „Cabo verde“, na którym zastał najbujniejszą roślinność, przez co od razu obalił całą teoryą starożytnych geografów, według któréj w miarę zbliżania się do równika wszelka wegetacya ustawała: „w cieniu wysmukłych palm przylądku zielonego jest pochowana geografia średniowieczna“.

W 40 lat późniéj Diego Cao, w którego orszaku znajdował się sławny kosmograf Marcin Behaim, wyruszył celem odkrycia i zajęcia dalszego brzegu zachodniego; przy ujściu rzeki Kongo wzniósł jeden z zabranych z Portugalii słupów kamiennych z napisem łacińskim i portugalskim, drugi zaś taki kamień ustawił u przylądka Agostino, trzeci u przylądka Negro (w styczniu r. 1485-go). Ta część zachodniego brzegu Afryki na północ od ujścia rzeki Kongo do Atlantyku należy dziś do Francyi.

Daléj ku południowi posunął się niebawem Bartłomiéj Diaz, który zbadał brzeg zachodni od Kongo, aż do przylądka „Dobréj nadziei“. To jest początek dzisiejszéj prowincyi portugalskiéj An-

goli, która się rozpościera od ujścia Kongo (6-ty stopień połud. szerokości) aż do przylądka Trio (18-ty stopień połud. szerokości) i obejmuje 3 gubernie, Angolę w ściślejszém znaczeniu, Benguelę i Mossamedes. Stolicą całéj prowincyi Angoli jest Loanda przy ujściu rzeki Kwanzy do Atlantyku. To miasto powstało na początku XVI-go wieku, w r. zaś 1578 zostało zabezpieczone szeregiem fortów, które dotąd istnieją. Europejski cyrkuł, wystawiony na skale, do któréj wiodą szerokie kamienne wschody, mieści pałace gubernatora i biskupa, kilka kościołów, wielki szpital, domy władz portugalskich, konsulów i kupców. Na wschodniéj stronie przytyka doń cyrkuł murzynów, ozdobiony szerokiemi alejami, ale przy nędznych chatach z gliny. Ponieważ Loanda na zachodnim brzegu, jak Zanzybar na wschodnim, jest główną stacyą wszystkich podróżników po Afryce, posiadamy mnóstwo opisów tego miasta. Ostatni, majora Wissmana [1]) opiewa: „Miasto, otoczone półkolem portu, spoczywa częścią na płaskim brzegu, częścią amfiteatralnie na skalistéj wyżynie. Portu bronią dwa nowe forty, gdy dawne na dwóch wyspach, przy zachodnim i południowym krańcu zatoki, zapadają się w gruzy. Ulice prawie wszystkie są brukowane, atoli bruk pokrywają grube zaspy piasku, który deszcze zmywają z wyżyn, otaczających miasto. Deportowani tu przestępcy portugalscy wprawdzie ciągle wywożą piasek z ulic, ale nie znać skutków téj pracy. W ulicach wałęsa się mnóstwo kaleków, mianowicie niewidomych; zresztą murzyni sprawiają wrażenie dobre, zwłaszcza plemię Kabindów odznacza się czystością białéj koszuli, stanowiącéj cały ubiór. Nowo wybudowany szpital odpowiada wszelkim wymaganiom europejskim“...

W najnowszych czasach Portugalczycy usilnie starają się naprawić, czego zaniedbali przez wieki. Jeszcze w r. 1877, gdy Serpa Pinto przybył do Bengueli, tamtejszy gubernator Pereira de Mello tak był ogołocony z wszelkich środków i wygód, że nie mógł zaprosić nikogo na obiad, ponieważ mu nie dostawało najpotrzebniejszych naczyń. Trzy listy do rządu, w których prosił o pewne reformy, pozostały bez odpowiedzi. Przeglądając dokumenta w archiwie rządowym, Serpa Pinto znalazł kopie listów z r. 1790, w których ówczesny gubernator Bengueli upominał się o lafety dla dwóch swych dział. Wreszcie nadszedł rozkaz odpowiedniéj reparacyi; ale w r. 1877 armaty jeszcze stały przed pałacem rządowym bez lafet!

Północna i południowa granica prowincyi Angoli jest ściśle określona, bo tam posiadłości portugalskie przytykają do wolnego państwa Kongo, tutaj do posiadłości niemieckich. Nie tak wyraźną jest granica wschodnia, w głąb Afryki. Stanowi ją mniej więcéj płynący ku północy Kwango, niżej kraj Bihé, a jeszcze daléj

---

[1]) „Im Jnneren Afrika's“ von H. Wissmann, Lipsk 1888.

na południe kraj Owampo. W tych granicach prowincya Angola, zajmuje obszar 14,000 mil kwadratowych, t. j. więcéj niż cesarstwo niemieckie, a liczy około dwóch milionów ludności.

Na przeciwległym, wschodnim brzegu Afryki leży druga główna prowincya portugalska Mozambik, pomiędzy 10½ a 26 stopniem południowéj szerokości. W styczniu r. 1498 na pierwszej wyprawie do Indyi Vasco de Gama dotarł do ujścia rzeki Zambezy, którą nazwał Rio dos bonos sinaes—rzeką dobréj wróżby, ponieważ spotkał tu mieszkańców jaśniejszéj cery, niż tubylcy afrykańscy, i utrzymujących związki handlowe z Arabami. Tu sławny konkwistador zabawił miesiąc, wzniósł kamień z herbem portugalskim i napisem: „Do Senhorio de Portugal Reino de Christaos"; następnie odpłynął do Mozambiku, którego szeik był lennikiem arabskiego władzcy Kiloi. W Mozambiku rozpoczęło się pasmo zdrady, krwawych walk i trudów, od których opisu rozpoczyna się epopea Camoensa: „Luizyady". Wracając w roku następnym (1499) z Indyi, Vasco de Gama zatrzymał się ponownie przy wyspie Mozambik i 2 lutego wystawił tam ostatni z zabranych z domu słupów kamiennych, które miały oznaczać okupacyą portugalską.

Na drugiéj wyprawie, którą Vasco de Gama podjął w lutym roku 1502, na wyspie Mozambik założono faktoryą i do jéj obrony, jako też do utrzymania komunikacyi z stałym lądem wybudowano na miejscu z zabranego z domu materyału karawelę, ochrzczoną „Pompoza". W czasie gdy Gama płynął daléj do Indyi, jeden z oficerów Pero Affonso d'Aguiar udał się na stały ląd i z kacykiem plemienia Zofala zawarł braterstwo i ugodę handlową. Odtąd Mozambik był główną stacyą wszystkich wypraw portugalskich do Indyi. Na ciasnéj, koralowéj wysepce, zaledwo 7 kilometrów długiéj, od stałego lądu oddzielonéj wązkim kanałem, w roku 1506 dowódzca portugalski Tristan de Cunha założył miasto,— stolicę dzisiejszéj prowincyi Mozambik. W r. 1508 za rządów sławnego wicekróla Albuquerqua na północnym krańcu wyspy wystawiono ogromnym kosztem warownię San Sebastian; kamienie numerowane przywieziono z Portugalii.

Dziś stolica Mozambiku liczy około 6,000 mieszkańców, z tych 150 białych, którzy mieszkają w wązkich i krętych, ale czystych ulicach, tudzież około 5,500 murzynów plemienia Makwa, Arabów, i Chińczyków. Spaniały pałac generalnego gubernatora, starożytna katedra, rozległy arsenał, faktorye handlowe różnych narodów i domy konsulów świadczą o ważności miejsca; cała prowincya Mozambik obejmuje 18,000 mil kwadratowych i liczy około 2 milionów ludności.

Od samego początku XVI-go stulecia Portugalczycy usiłowali osiedlić się w górę rz. Zambezy, zakładając stacye w Kwilimanie nad ujściem jednego z ramion wymienionéj rzeki, daléj w Senna,

w Tete a nawet w odległym Zumbo. Ta ostatnia stacya nad Zambezą znajduje się w pobliżu 30 stopnia wschodniéj długości. a zatém Portugalczycy wówczas posunęli się bardzo śmiało w głąb stałego lądu. Równocześnie mnożyły się misye portugalskie, zawierano traktaty z ościennemi plemionami; nabyte dobra korony, tak zwane p r a z o s, wydzierżawiano przedsiębiorcom portugalskim, którzy osiadając nad rz. Zambezą, szerzyli tam wpływ portugalski i cywilizacyą europejską.

Pracując w ten sposób zarówno w Angoli, jako téż i w Mozambiku, Portugalczycy byliby niezawodnie opanowali całą południową Afrykę. Niestety połączenie Portugalii z Hiszpanią (1580 - 1668) nie tylko naraziło Luzytanów na utratę najważniejszych kolonii, ale nadto zwichnęło na bardzo długo ich dawną przedsiębiorczość, tak że nie umieli zużytkować i ubezpieczyć należycie nawet tych osad, które im z dawniejszych czasów pozostały jeszcze w Afryce.

Połączenie kolonii na zachodnim i wschodnim brzegu Afryki, czyli Angoli z Mozambikiem, a przynajmniéj utorowanie drogi z jednéj do drugiéj prowincyi, był to cel, który sam się narzucał. Z początku, t. j. w XVI-tém stuleciu zmuszała Portugalczyków pomyśléć o tém ogromna długość podróży z Portugalii w koło Afryki do Indyi. Odszukania Indyi podjęli się byli jedynie w rozpowszechnioném wówczas mniemaniu, że Afryka kończy się u równika. Gdyby nie ten błąd w geografii średniowiecznéj, może nie byliby się nigdy odważyli na tak ogromne dzieło. Powoli dopiero odsłaniała im się odmienna rzeczywistość. Na długiéj podróży do koła Afryki, po morzach „po których przedtém nie przesunął się żadeu statek“, co chwila rozbijały się słabe „karawele i galiony“, ścieląc bezdenną drogę trupami odważnych żeglarzy i skarbami Indyi. Już z tego względu trzeba było gorąco pragnąć skrócenia niebezpiecznéj drogi do Indyi. Istotnie téż już za króla Jana II dwaj odważni eksploratorowie Covilha i Paiva podjęli się odszukania drogi w poprzek Afryki, ale nie zdołali dokonać dzieła. Również nie dopisała, wysłana w r. 1520 przez króla Emanuela ekspedycya pod dowództwem Grzegorza de Quadra, który miał płynąć rzeką Kongo na wschód, aby przez kraj „sławnego króla Jana Abisynii“ dotrzeć do przeciwległego brzegu Afryki.

Późniejsze wyprawy w celu odszukania drogi lądowéj do wschodniego brzegu, wyruszały najczęściéj z Bengueli i usiłowały korzystać z biegu rzeki Zambezy; wówczas bowiem wystawiano sobie południową Afrykę znacznie węższą. niż jest rzeczywiście, jakoż jeszcze sławny explorator Franciszek de Lacerda e Almeida przypuszczał, że Angola na wschodzie przytyka do Mozambiku, a nadto mniemano, że rzeka Kunewe, wpadająca do Atlantyku, pozostaje w związku z Zambezą. że zatém drogą wodną będzie można dotrzeć aż do drugiego brzegu. Z Bengueli zatém wyruszył na czele nowéj wyprawy Baltazar Rebello de Aragao, który jednak

dotarł tylko do kraju Malów. Tak samo nie dopisała wyprawa, podjęta w r. 1676 przez Ayresa de Saldanhę, ani też różne, sporadyczne wyprawy XVIII-go stulecia.

Wystarczy porównać te niedołężne usiłowania z bohaterskiemi czynami Diaza, Vasco de Gamy, Cabrala i t. d., aby zrozumieć przepaść, dzielącą słabowitych potomków od sławnych i dzielnych przodków. Do ostatnich lat pracowano daremnie nad rozwiązaniem zagadki, stosunkowo tak prostéj, jak przeprawa z Bengueli do Mozambiku. Na nowszych kartach afrykańskich spotykamy naznaczoną w poprzek Afryki podróż Antoniego Franciszka Fereira de Silva Porto, który z Bengueli wyruszył 20 marca 1852 roku. Rzeczywiście Silva Porto, kupiec osiadły w Bengueli, dotarł tylko do Bihé, gdzie spotkał się z Livingstonem i założył stacyą handlową. W dalszą podróż na wschód nie wybrał się sam, lecz wysłał swych niewolników, którzy istotnie w sierpniu r. 1853 dotarli do Delgado na wschodnim brzegu Afryki. Taka wyprawa murzynów, nie mających żadnego pojęcia czasu, przestrzeni, ani geografii, co najwięcéj świadczy, że można przebiedz Afrykę od jednego brzegu do drugiego, o czém i tak nikt nie wątpił; nie wzbogaciła przecie nauki

Czarny dowódzca téj expedycyi Domingos Charabanga, w r. 1877 był naczelnikiem sioła Kakwenka w kraju Bihenów, kiedy tam dotarł major Serpa Pinto. Oczywiście młody explorator usiłował wybadać starca, który jeden przeżył swych towarzyszy podróży, nie zdołał się jednak dowiedzieć żadnych ważnych szczegółów, jak chyba tylko, że owa podróż odbyła się więcéj w kierunku północnym, aniżeli nakreślona jest na kartach.

Rzeczywiście więc od początku XVI-go wieku aż do r. 1878 wszystkie usiłowania portugalskie, zmierzające do odszukania komunikacyi lądowéj pomiędzy zachodniemi a wschodniemi portugalskiemi prowincyami afrykańskiemi, spełzły na niczém. Podjęte o środkach niedostatecznych, bez systemu, dorywczo i w zbyt długich przestankach, świadczyły tylko, że polityczna myśl nie wygasła, ale że nie dostawało dawniejszéj energii i wytrwałości w dobijaniu się do zamierzonego celu. Rząd portugalski raz po raz przypomina swym gubernatorom Angoli konieczność odszukania drogi lądowéj do Mozambiku; niektórzy też gubernatorowie zapalają się tą myślą, ale każdy zawód odstrasza ich, zamiast skłonić do podwojenia pracy. Działo się z temi wyprawami tak, jak z owemi armatami w Bengueli, dla których lafet domagał się guberuator w r. 1790, a które w r. 1878 były dopiero—zamówione!

Tymczasem metodyczna, anglo-germańska wytrwałość, powoli od południa klinem się wbijała pomiędzy portugalskie posiadłości pomiędzy dwoma brzegami Afryki. Od przylądka dobrej nadziei Anglicy systematycznie, powoli, ale ustawicznie postępują na północ. Odkąd zajęli rzeczpospolitą Transwalu, stali się sąsiadami

wielkiego państwa Matabellów [1]), które na południu rozdzielone od Transwalu przez rzekę Limpopo, ku północy sięga aż do rzeki Zambezy. Pomiędzy srogim władzcą Matabellów, Lobengulą, a rządem angielskim dnia 11 lutego r. 1888 stanął układ, na mocy którego władzca ten odstąpił prawa exploatacyi wszystkich, pono bardzo bogatych, min swego kraju nowo utworzonemu Towarzystwu „South African Company“. Zważywszy, że w dyrekcyi nowego towarzystwa angielskiego zasiadają lord Fife, zięć księcia Wallii, tudzież inne bardzo wybitne osobistości, łatwo się domyśleć, że ten układ handlowy ma być tylko wstępem do aneksyi. Rząd portugalski, skoro mu ów układ został urzędownie zakomunikowany, stanowczo zaprotestował, wykazując, że wschodnia część kraju Matabellów, czyli tak zwane przez Anglików „Maczonaland“, gdzie właśnie znajdują się owe kopalnie, od dawna należy do kolonii portugalskich. O ile w tych stronach panuje Lobengula, władza jego opiera się jedynie na przemocy—a to wykonywanéj w sposób tak okrutny, że nawet (angielski) biskup Bloemfonteinu niedawno wniósł protest, gdy się dowiedział, że pomimo blokady Zanzybaru i Mozambiku,

---

[1]) Plemię Matabellów ze szczepu Zulów, uchodząc przed srogim naciskiem kacyka Chaki w dzisiejszym Transwalu, przeprawiło się około r. 1840 przez rzekę Limpopo, pod wodzą dzielnego Mosilikacego, podbiło plemiona Maczona i Makalaka i utworzyło ogromne państwo pomiędzy Limpopo (północna granica Transwalu) a rz. Zambezą. Po śmierci Mosilikacego (r. 1869) wybranym został królem syn jego Lobengula i zwyciężywszy w marcu r. 1870 spółzawodnika Umbiga, zasiadł na tronie, przeniósłszy stolicę do Gubulawajo. Przebywający wówczas w kraju Matabellów podróżnik niemiecki Edward Mohr zapisał kilka szlachetnych rysów charakteru Lobenguli. Tak np. gdy pewien łowca słoniów, który przedtém doznał był przyjaznego przyjęcia ze strony kacyka Umbiga, ofiarował Lobenguli walczyć po jego stronie przeciwko pierwszemu, młody władzca Matabellów odparł: „Czy mięso i piwo u mego przeciwnika nie smakowało ci tak dobrze, jak u mnie? Ponieważ ci nie wyrządził krzywdy, zostań tutaj i czekaj, aż powrócę; ludzie moi też powinni poznać, że jak ojciec, o własnych siłach zdołam pokonać wrogów moich“. Na koronacyę Lobenguli przybyło do Gubulawajo 50,000 Matabelów, 10,000 wojowników defilowało przed nowym królem, zabawy i uczty, na które zabito 100 wołów, trwały kilka dni. (Edward Mohr: „Nach den Wiktoria-Faellen des Zambezi“, Lipsk 1875 t. II.). Kiedy w r. 1878 major Serpa Pinto przybył do Szoshong, stolicy przytykającego na zachodzie do Matabelów państwa Bamangwato, opinia o Lobenguli była mniej korzystną, aniżeli w czasie podróży Mohra. W roku 1877 udał się do władzcy Matabelów kapitan Paterson w missyi od władz angielskich w Pretorii. Załatwiwszy swą missyą, kapitan angielski wyruszył z stolicy Lobenguli celem zwiedzenia kataraktów Wiktoryi. Na tej wyprawie z całą świtą znikł bez śladu. Powszechnie w Szoshong i w Transwalu przypuszczano, że zginął z rozkazu Lobenguli. Pomimo tego rząd angielski nie wahał się w 10 lat potém zawrzeć z nim traktat handlowy.

Lobengula otrzymał z Cape-Town 1,000 wydoskonalonych karabinów i odpowiednią amunicyą. Zresztą pomimo przemocy Lobenguli, nie wszystkie plemiona kraju Maczona uznają jego władzę. Stwierdza to nawet angielski podróżnik Selous (z którym się spotkał także Serpa Pinto w centralnéj Afryce) i który powiada, że jest błędem przypuszczać, aby całe plemie Maczonów było podwładne Matabellom. Niektóre gminy Maczonów płacą wprawdzie Lobenguli haracz i strzegą jego trzód, ale wiele innych gmin wcale nie uznaje jego władzy, nie płaci mu podatków; a napadnięte przez jego żołnierzy, kryje się do jam lub na wierzchołki gór i jak może, broni i życia i własności przeciwko napastnikom. „Domniemanym prawom, które sobie Anglia przypisuje na podstawie układu z Lobengulą, Portugalia przeciwstawia odkrycie, okupacyą rzeczywistą przez kilka wieków, missye, zabiegi handlowe, stacye wojskowe, których ślady widne w tym kraju na każdym kroku. Prawo historyczne Portugalii względem tych stref opiera się mianowicie na układach z cesarstwem Monomotapą, które zostały zawarte w r. 1630 za rządów generalnego gubernatara Mozambiku Alvareza Pereiry“...

W ten sposób minister portugalski Barros Gomez w depeszy z 29 listopada r. 1889 uzasadnia pretensye Portugalii do zagrożonego aneksyą angielską kraju na południowym (prawém) brzegu Zambezy. Równocześnie Anglicy zagnieździli się na północnym brzegu téj rzeki. Za misyonarzami, osiedli na brzegu jeziora Nyassy, w Blantyrze, w pobliżu rzeki Szyre kupcy angielcy. Ztąd podburzają osiedlone pomiędzy Zambezą a jeziorem Nyassą plemię Makololów, które od dawna uznawało zwierzchnictwo Portugalii. Rzeczywiście Portugalczycy już w XVII-tym wieku dotarli aż do Zumbo na północnym brzegu Zambezy (w pobliżu 30 stopnia dług.), Oni też już bardzo dawno przed missyonarzami angielskiemi, bo w r. 1624 odkryli jezioro Nyassę i od końca zeszłego wieku przebiegali często przestrzeń pomiędzy tém jeziorem a rz. Zambezą. Stwierdzają to nawet angielscy misyonarze i podróżnicy. Livingston przyznał, że pierwszych wiadomości o jeziorze zaczerpnął od Portugalczyka Cardozo de Costa, i że równie od władz, jako też od osadników portugalskich w tych stronach doznał wszelkiéj pomocy. Znany podróżnik angielski Montagu Kerr opowiada, że straciwszy w tych strefach pomiędzy Nyassą a rz. Zambezą już wszelką nadzieję, odżył dopiero, gdy go Portugalczyk, polujący na słonie, Eustaquio de Costa przywitał wyrazem „ami“ i wyzwolił z rąk kacyka Szykussa. Istotnie żadnéj nie ulega wątpliwości, że Portugalczycy pierwsi osiedli w tych stronach.

Aby osłabić te argumenta, któremi Portugalia uzasadnia swe tytuły własności w tych stronach, rząd angielski starannie rozróżnia pomiędzy okupacyą rzeczywistą a pozorną, i powołuje się na konferencyą berlińską (r. 1885), która wygłosiła zasadę, że tylko rzeczy-

wista (efektywna) okupacya tworzy międzynarodowy tytuł własności. Zasada ta odnosi się jednak tylko do brzegów Afryki i nie może żadną miarą być zastosowaną do głębi kraju [1]). Tak np. na mocy uchwał owej konferencyi berlińskiéj, powstało ogromne państwo Kongo, sięgające od Atlantyku, aż do jezior równikowych, chociaż o rzeczywistéj okupacyi téj olbrzymiéj przestrzeni, ani mowy być nie może. W środkowej Afryce zasadę okupacyi rzeczywistéj zastępuje zasada tak zwanéj „sfery interesów“, a na mocy téj zasady, którą się posługują zarówno Anglicy, jak Niemcy i inni, kraj pomiędzy jeziorem Nyassą a rz. Zambezą, tworzący zachodni bok prowincyi Mozambiku, niezawodnie należy do Portugalczyków.

Osiadając na południowej stronie rzeki Zambezi w kraju Matabellów, a na północnéj w kraju Makalolów, Anglicy odcinają Mozambik od wszelkiego związku z środkową Afryką i udaremniają raz na zawsze wszelkie zabiegi Portugalczyków, zmierzające do połączenia z czasem wschodnich i zachodnich swych prowincyi Afrykańskich.

Niebezpieczeństwo to, grożące od inwazyi angielskiéj, pojął natychmiast najdzielniejszy z nowoczesnych konkwistadorów portugalskich, gorący patryota major Serpa Pinto. On to pierwszy w głównéj rzeczy dokonał dzieła, nad którém daremnie pracowali przez trzy wieki poprzednicy jego, odkrył najkrótszą komunikacyą pomiędzy Benguelą a Mozambikiem, choć zdrada i przemoc nie pozwoliły mu odbyć całéj téj drogi. On téż, skoro się zaznaczyły nieco wyraźniéj owe dążenia Anglików do usadowienia się na zachodniéj granicy Mozambiku, z niepospolitą energią zabrał się do pokrzyżowania tych zabójczych dla posiadłości portugalskich w Afryce planów, i to wybudowaniem kolei żelaznéj od Chibisy nad rzeką Szyre do Tete nad rzeką Zambezą. Właśnie kiedy, w lipcu roku zeszłego inżynierowie majora Serpa Pinty byli zajęci trasowaniem odpowiedniéj linii, zostali napadnięci przez podburzonych przez konsula angielskiego Johnstona, Makololów. Dzielny wódz portugalski natychmiast zebrał w porcie Kwilimanie oddział 900 żołnierzy, popłynął w górę rzeką Szyre i ukarał plemię Makololów, które od dawna pozostawało pod zwierzchnictwem portugalskim, choć teraz Anglicy twierdzą, że to plemię uznało protektorat angielski.

To energiczne wystąpienie majora Serpa Pinta sprowadziło znany zatarg, którego pierwszy akt skończył się 11-go stycznia ultimatum angielskim i zmianą gabinetu w Lizbonie. Oczywiście, maleńki kraj, jak Portugalia, nie może się oprzeć przemocy potężnéj Anglii; zachodzi jednak jeszcze pytanie, czy Anglia zechce

[1]) Zob. Bibl. Warsz. 1886. T. I. str. 329—352. („Kongo“ p. E. Naganowskiego).

istotnie nadużyć swéj przemocy wobec dawnego, wiernego sprzymierzeńca portugalskiego? Tymczasem zaś zatarg ten poświadcza, że wreszcie za inicyatywą ludzi przezornych i światłych, jak major Serpa Pinto, Portugalia budzi się z długiego uśpienia i pragnie naprawić w swych posiadłościach afrykańskich, czego zaniedbała przez 3 wieki.

II.

Aleksander Wojciech de la Roche de Serpa Pinto urodził się 20 kwietnia r. 1846 w zamku Polchras nad Duero, w r. 1848 z ojcem przeniósł się do nowego świata, gdzie spędził lat 10. W roku 1858 powrócił do Portugalii. Ojciec sławnego podróżnika, z zawodu lekarz, w chwilach wolnych oddawał się namiętnie pracom mechanicznym i także z syna zrobił zdolnego ślusarza i puszkarza. Major skorzystał z tego w jednej z najgroźniejszych chwil niebezpiecznéj przeprawy w poprzek Afryki i przy téj sposobności przypomniał sobie następujące zajście z swéj młodości: „Dnia pewnego — opowiada [1]) — obcy gość przybył do ojca w odwiedziny do naszej willi nad Duero, a słysząc z ościennego budynku huk młota, wstąpił, aby się zapytać o właściciela. W obszernej kuźni ujrzał dwóch mężów o podkasanych rękawach, w trzewikach drewnianych i czerwonych czapkach, z długiemi skórzanemi fartuchami, z twarzami poczernionemi od pyłu węgli i żelaza, potężnie tłuczących młotami rozpalone żelazo. We drzwiach gość zapytał: „Czy doktór jest u siebie?“, na co ojciec mój, jeden z dwóch kowali, odparł: „Proszę, czegóż pan życzysz sobie od niego?“ Oburzony tą poufałością domniemanego robotnika, gość szorstko oświadczył, że przybył, aby złożyć jego Excelencyi [2]) wizytę, ale nie pozwoli służbie obrażać siebie. Gdy ojciec oświadczył, że doktór a kowal jest jedną osobą, porywczy gość uważał to jako nową obrazę; ztąd wywiązała się namiętna sprzeczka, aż czeladnik, którym byłem ja skonstatował identyczność właściciela domu“. Już J. I. Rousseau w „Emilu“ radzi, aby dzieci, choć przeznaczone do wyższych zawodów, nauczyć pewnego rzemiosła; majorowi naszemu znajomość puszkarstwa wielce się przydała.

Od powrotu do ojczyzny uczęszczał do szkoły wojskowéj, w r. 1864 jako porucznik wstąpił do wojska i został wysłany do

[1]) „W poprzek Afryki“, t. I.
[2]) Zapewne był tajnym radzcą.

Mozambiku, gdzie odbywał liczne, mniejsze wycieczki naukowe i wziął udział w kampanii przeciwko plemieniu Massangano (1869). Gdy się ta krwawa wojna skończyła, minister marynarki Coelho zalecił gubernatorowi Mozambiku zaopatrzyć porucznika Serpa Pintę w środki, celem zbadania górnego biegu rzeki Zambezy. Podobnie jak tyle innych rozkazów rządu centralnego, tak i ten nie został wykonany. Napróżno dopominał się chciwy czynów oficer, wreszcie zniecierpliwiony powrócił do Europy, ale nie przestał gorąco pragnąć zbadania nieznanych dotąd, a ważnych dla Portugalii stref afrykańskiego kontynentu. Jako kapitan, stojąc załogą w małych miasteczkach, wszystkie wolne chwile poświęcał studyom Afryki, astronomii, meteorologii i innych nauk, potrzebnych exploratorom. W r. 1875 z swą kompanią przebywał na wyspie Madeirze, gdzie wypracował projekt dokładnego zmierzenia kolonii afrykańskich. Projekt ten przesłał rządowi; później dowiedział się, że nie dotarł do rąk ministra marynarki. Jakkolwiek już żonaty, i ojciec nadobnéj córeczki, młody kapitan nie przestał marzyć o wyprawie afrykańskiéj. Gdy w r. 1876 nowo utworzona „centralna komisya geograficzna“ poruszyła myśl zbadania południowej Afryki, kapitan Serpa Pinto wystarał się o posłuchanie u ministra kolonii, Jana d'Andrada Corvo. „Jeżeli nie jest bardzo łatwo zbadać Afrykę, to jeszcze trudniéj, uzyskać audiencyą u ministra Corvo; jego Excelencya piastował dwie teki spraw zagranicznych i marynarki, a zatém można sobie wyobrazić, że nie miał wolnego czasu dla byle kogo. Przez cały tydzień daremnie dobijałem się do sali ministra, dopiero 8-go dnia, w wigilią mego wyjazdu z Lizbony dostąpiłem posłuchania“. Minister przyjął gościa bardzo chłodno, ale natychmiast stał się uprzejmym, skoro się dowiedział, że kapitan pragnie wziąć udział w wyprawie do Afryki; oświadczył tedy, że zamierza wysłać wielką ekspedycyą i że nie zapomni o kapitanie. Z tą odpowiedzią odjechał Serpa Pinto do prowincyi Algarbii, gdzie wtedy stał jego pułk 4-ty strzelców.

Znowu mijały miesiące bez żadnej wieści o zamierzonej ekspedycyi. Wreszcie dnia pewnego zniecierpliwiony kapitan wyczytał w gazetach, że minister Corvo zażądał od parlamentu kredytu 30 kontos (około 135,000 marek) na wyprawę do południowéj Afryki. Wprawdzie w kilka dni potém nastąpiła zmiana gabinetu, atoli nowy minister kolonii de Mello Gouvea ponowił projekt poprzednika swego i uzyskał odnośny kredyt od parlamentu. Było to już na początku r. 1877. Przebywając jako dowódzca kompanii w uroczém, otoczonem palmami, m. Faxa, przy boku kochanéj żony i nadobnéj córeczki, utrzymując nader miłe stosunki towarzyskie, kapitan, z nadejściem gorącego maja, przemyśliwał o usunięciu się w chłodne góry, gdy dnia pewnego otrzymał depeszę, wzywającą go do stawienia się przed ministrem kolonii. W 4 dni potém 25 maja, kapitanowie Serpa Pinto i Capello byli obecni na zwołanej do mi-

nisteryum spraw kolonialnych konferencyi, na której ułożono plan ekspedycyi, i zobowiązali się, wyruszyć już 5 lipca. Tyle trzeba było czasu i pracy, zanim rząd portugalski zdobył się na wyprawienie ekspedycyi afrykańskiéj!

Odnośna instrukcya zalecała podróżnikom zbadanie hydrografii pomiędzy rzekami Kongo a Zambeza, względnie krajów pomiędzy zachodniemi a wschodniemi koloniami portugalskiemi; dodatkowa zaś instrukcya odnosiła się do zbadania Kuango i Kongo.

Zakupiwszy w Paryżu i Londynie potrzebne instrumenta, czółna z gutaperchy, br n. konserwy i t. d., dnia 5-go lipca dwaj podróżnicy na parowcu „Zaira“ odpłynęli z Lizbony do Loandy, dokąd przybyli 6 sierpnia r. 1877.

Zanim streścimy ważniejsze wypadki pamiętnéj pogróży majora Serpa Pinto, trzeba nieco uwydatnić sympatyczny charakter tego konkwistadora, różniącego się od niektórych innych przez swój gorący patryotyzm i całkiem bezinteresowny zapał. W przedmowie do dzieła swego oświadcza: „Nie podjąłem się wyprawy do Afryki, aby się zbogacić; poprzestawałem na mojej skromnéj pensyi oficerskiéj. Opuściłem drogą rodzinę, ojczyste strony z wszelkiemi wygodami i przyjemnościami, aby dokonać ciężkiej pracy i przyczynić się według sił do wyjaśnienia tajemnic afrykańskich. Sumienie powiada mi, że spełniłem obowiązek... Jedyném życzeniem mojém jest, aby to dzieło także innych zachęciło do wzniosłéj krucyaty XIX-go wieku, - krucyaty cywilizacyi i postępu na czarnym kontynencie“.

Istotnie na każdéj stronie zajmującego opowiadania dzielnego majora przebija gorąca miłość ojczyzny, tęsknota za żoną i córeczką tudzież silne przekonanie o ważności swego zadania, które w najtrudniejszych chwilach pokrzepia go i nie pozwala mu upaść pod brzemieniem trudów i niebezpieczeństw.

Nie ten zasługuje na sławę szlachetnego syna narodu, który zawsze gotów tłómaczyć i uniewinniać wszystkie błędy i wady, lecz ten, co z szczeréj miłości ojczyzny pragnie i zaleca naprawę złego. Do rzędu takich prawdziwych i światłych patryotów należy major Serpa Pinto. I tak, wyłuszczając stosunki w prowincyi Bengueli opowiada [1]: „Handel znajduje się w ręku Europejczyków i Kreolów. Miałem sposobność zaznajomić się z kilku takimi odważnymi ludźmi, którzy przybyli w te odległe strefy, aby szukać szczęścia. Także niektórzy przestępcy, wysłani za mniéj ciężkie winy do tych stron, zajmują się handlem. Ale także najcięższych zbrodniarzy, skazanych na dożywotnią deportacyą, przysyłają do Bengueli. Skutkiem czego spotyka się tutaj wielu tych wyrzutków

[1]) Tom I-szy, str. 34.

społeczeństwa, jednakże trzeba się wystrzegać pomieszania ich z wielu zacnymi i honorowymi ludźmi, którzy tu mieszkają. Policyą wykonywają żołnierze, odkomenderowani od pułków z Portugalii, ponieważ zaś z załogi miejscowéj licznych żołnierzy wysyłają w głąb kraju, załoga Bengueli jest bardzo szczupła. Liczymy podwójne wojsko; jedno w Portugalii, drugie w koloniach, pomiędzy któremi nie ma żadnego związku. Wojsko w kraju jest dobre, bo portugalczyk jest dzielnym żołnierzem; wojsko kolonialne jest nędzne, ponieważ murzyni nie są zdatni na żołnierza, a nieliczni biali, którzy się znajdują w szeregach, w podłości przewyższają nawet murzynów. Degradados, t. j. ludzie deportowani z powodu przestępstw, które ich w Europie wykluczyły z społeczeństwa i pozbawiły praw obywatelskich, poświęcają się rzemiosłu wojskowemu. Wskutek tego autonomia i bezpieczeństwo naszych kolonistów zależy od ludzi, których jedyną rękojmią jest... życie pełne przestępstw i zbrodni. To jest powodem bezwstydnych scen, które się tam odgrywają. Za mego pobytu w Bengueli zrabowano kasę w pałacu wojskowym. Nadzwyczajnéj energii gubernatora udało się odkryć łupiezców i to w osobie podoficera, który należał do straży kasy, tudzież kilku żołnierzy, których skłonił do udziału w zbrodni.

„Jeżeli nasze wojsko domowe nie wywoła nagany nawet najsurowszego krytyka, to wojsko nasze kolonialne wyzywa po prostu szyderstwo wszystkich cudzoziemców, którzy się z niém spotkali. Im więcéj nad tém rozmyślam, tém mniéj pojmuję cel utrzymania wojska kolonialnego, jak nasze, niezdolnego ani do służby policyjnéj, ani do wojny; oddział ochotników portugalskich w wojnie więcéj dokaże, niż cały pułk tak zwanego wojska regularnego w koloniach".

Uwagi te znakomitego podróżnika i gorącego patryoty wyjaśniają jednę z głównych przyczyn, które przez całe wieki wstrzymały należyty rozwój kolonialnéj polityki Luzytanów.

Inną nie mniéj ważną przyczynę stanowią niecne rywalizacye i intrygi, z któremi także dzielny major musiał walczyć od samego przybycia do Bengueli, intrygi, które prześladowały go i narażały na straty jeszcze w samym środku Afryki. Że w Lialui wszyscy nosiciele opuścili Serpa Pintę, zabrawszy broń i towary i tym sposobem zwichnęli właściwy zamiar majora wyruszenia z tego miejsca wprost na wschód (o czém poniżéj), to pono całkiem słusznie przypisuje intrygom rodaków. Jako herszt spisku wystąpił zabrany w drodze murzyn, czarodziej i „doktór" Czajumbuko. Nie działał jednak z własnego popędu, bo takiém zachowaniem się nie mógł odnieść żadnych korzyści.

„Nie, otrzymał oczywiście instrukcye w Bihé a murzyni Silva Porty byli tylko emisaryuszami, którzy przywieźli owe rozkazy z Bengueli, wykonane przez Czajumbukę. Na Silvę Portę nie pa-

da ani cień podejrzenia. Jestem przekonany, że główny autor intrygi znajdował się bardzo daleko, i że powodem jéj było moje energiczne występowanie przeciwko handlowi niewolnikami. Niektórzy podróżnicy, zwłaszcza Livingston i Kameron opowiedzieli straszliwe szczegóły o portugalskich handlarzach niewolnikami. Opinia publiczna w Portugalii głośno protestowała przeciwko tym wywodom obcych, które się zdawały zbyt ohydnemi, aby można w nie uwierzyć. Niestety w głównéj rzeczy te opisy, choć niekiedy grzeszą przesadą, odpowiadają rzeczywistości. Jednakże ztąd nie ciąży żadna wina na Portugalii, bo handlarze, docierający do środka Afryki, przestają być portugalczykami. Są to zbrodniarze, którzy się wyłamali z więzień osad naszych, zabójcy i łupiezcy, nacechowani znakiem Kaina, którzy się schronili pomiędzy dzikich, aby tam rozpocząć na nowo życie zbrodnicze. Tacy ludzie nie mogą zniesławić ojczyzny, bo jéj nie mają. Czynić odpowiedzialną Portugalią za zbrodnie tych afrykańskich handlarzy, byłoby równie niesłuszną, jak zrzucać odpowiedzialność za komunę na Francyą, za zabójstwo Linkolna na Amerykę, za bandytów w Abruzzach na Włochy. We wszystkich częściach świata są ludzie podli, ale nie mogą zohydzić społeczeństwa, które ich wyrzuciło z pomiędzy siebie. Pomiędzy europejskimi handlarzami, którzy osiedli w Bihé, znam tylko dwóch, którzy się stanowczo różnią od téj klasy niecnéj: jednym jest Silva Porto, drugim Guilherme José Gonzalves, powszechnie szanowani przez europejczyków i tubylców i zasługujący na szacunek swą szczerością i uczciwością. Imię Silva Porty jest znane w całej centralnéj Afryce i nieraz za pomocą tego imienia udało mi się usunąć największe trudności.

„W Kasandze i w Tete, dwóch innych ważnych stacyach, skąd wiedzie droga w głąb Afryki, mieszkają inni szlachetni portugalczycy, którzy uczciwym handlem przyczyniają się do rozszerzenia cywilizacyi śród murzynów. Trzeba starannie rozróżniać pomiędzy tymi ludźmi zacnymi a podłymi katorznikami, i niewolno też zapomnieć, że Portugalia pierwsza porozumiała się z Anglią względem usunięcia handlu niewolnikami, że jako jeden z najwolniejszych narodów, wszystkie swobody obywatelskie nadała także swym osadom. Portugalia nie potrzebuje żadnéj obrony, broni się bowiem swemi czynami i prawami, jako też energią (?), którą rozwinęła w dziele cywilizacyjném. José Alver, Coinbros i t p., choć z urodzenia portugalczycy, nie mają przymiotów portugalczyka, są to ludzie bez wychowania i obyczajów, barbarzyńcy w ubiorze europejskim.

„Proszę mi wierzyć, że trudniéj zwiedzać strefy Afryki, w których przebywają ci ludzie, niż kraje, zamieszkałe przez ludożerców, którzy nigdy jeszcze nie ujrzeli cudzoziemca. Chociaż

ci nienawidzą przybysza, pokazują to otwarcie, gdy ze strony tamtych zawsze wślad za podróżnikiem postępuje podstęp i zdrada“ [1]).

Względem zadania misyonarzy, major Serpa Pinto innego jest zdania, niż Stanley. Gdy Stanley zaleca przedewszystkiem nawracanie możnych naczelników miejscowych, major portugalski przeciwnie sądzi, że skuteczniéj pracować będą, nawracając głównie mniejszych kacyków. „W wielkim kraju Matabellów od 25 lat pracują misyonarze, ale nie ma tam chrześcian. Po nawróceniu władcy poddani idą za jego przykładem i pozornie spełniają przepisy chrześciańskie, skoro jednak umrze a następca jego pragnie powrócić do słodyczy haremu, cały mozolnie wzniesiony gmach zapada się, cywilizacya upada—a wczoraj jeszcze tłumnie zwiedzany kościół, świeci pustkami. Natomiast wielcy potentaci murzynów zwykle sprzyjają handlowi, ponieważ ciągną z niego korzyści. To też w kraju Matabellów usiłowania misyonarzy były daremne, ale kupcom udało się poniekąd rozszerzyć cywilizacyą.

„Może, aby zbić moję teoryą, przytoczą przykład Bamangwato. Atoli jestem przekonany, że skoro umrze nawrócony król Kama, a następca jego będzie przeciwny chrześciaństwu, wszyscy nawróceni nagle znikną, jak mgła przed słońcem; kupcy i nadal będą tam prowadzili handel, a kościoły misyonarzy wypróżnią się. Natomiast pomiędzy drobniejszymi kacykami Transwalu znajdują się niektórzy, co wyznawają wiarę chrześciańskę, w kraju Basutów są nawróceni chrześcianie, choć ich kacykowie wytrwali w pogaństwie.

„Nie jestem bynajmniej przeciwnikiem misyi. Mojém zdaniem nie tylko misya sama przez się, lecz także każdy misyonarz, żyjący niejako na wygnaniu pomiędzy barbarzyńskiemi plemionami, zasługuje na najwyższy szacunek, jednakże często po stronie misyonarzy spostrzegałem skłonność do wejścia na fałszywą drogę. Starają się oni przedewszystkiém o to, aby nawrócić jak najwięcéj osób, nie badając należycie gruntu, w który zasiewają słowo Boże. Mojém przekonaniem rozum murzyna nie jest dosyć rozwiniętym, aby pojąć pewne rzeczy, przystępne ludom, stojącym na wyższym szczeblu oświaty. Teoryi oderwanych murzyn nie rozumie, wykładać mu teologią, byłoby równie daremném, jak tłómaczyć zebraniu chłopów rachunek różniczkowy. Nie zdolny zrozumieć wielkich prawd religii chrześciańskiéj, murzyn, posiada jednak poczucie tego, co dobre a co złe, i pojmuje zasady zwykłéj moralności. Misjonarze zatém powinni z początku zaniechać wszystkich abstrakcyi, a poprzestać na wpajaniu w murzynów moralności i to przedewszystkiem za pomocą przykładu, powinni śród murzynów obudzać potrzeby,

---

[1]) „W poprzek Afryki“ T. II str. 86.

które są główną dźwignią postępu; słowem, zanim go nawrócą do chrześciaństwa, powinni go zrobić człowiekiem, inaczéj dom swój zbudują na piasku [1])".

Oczywiście, aby murzynów nawracać przykładem, misyonarze powinni przedewszystkiem pozbyć się sami wszelkich zdrożnych namiętności. Pod tym względem dotąd nie ze wszystkiem odpowiadają zadaniu swemu. „Niektórzy protestanscy misyonarze opowiadają murzynom, że ich koledzy katoliccy są tak ubogimi, że ani sobie nie mogą kupić żony; w ten sposób usiłują ich zniesławić, bo w Afryce tak samo, jak w Europie, ubóstwo jest wielką zbrodnią. Na odwrót misyonarze katoliccy nie wzdrygają się także przed zdyskredytowaniem kolegów protestanckich (?). Ta ustawiczna walka pomiędzy misyonarzami różnych wyznań jest jedną z głównych przyczyn udaremnienia ich pracy".

Wypowiadając bez odródki podobne zdania, dzielny major mógł się tu i owdzie narazić na niechęć. Kiedy przebywszy Afrykę, w stolicy Transwalu, Pretorii, spotkał się z przebywającym tam przypadkiem biskupem Natalu, ks. Jolivetem, tenże twierdził, że portugalczycy nie są gorliwymi katolikami, a nawet w końcu oświadczył, że są najgorszymi w świecie frank-masonami. Major Serpa Pinto przypomniał sobie, że stara ciotka jego po zniesieniu kongregacyi, twierdziła to samo i dodaje:

„W rzeczywistości Portugalia jest krajem najbardziéj religijnym, który znam, jest gorliwie katolicką; sądzimy jednak, że religia a polityka są różne rzeczy i od czasu margrabiego Pombala zawsze doznaje porażki, kto usiłuje zatrzeć tę różnicę. Ks. Jolivet przebaczy, gdy powtórzę, że należymy do najlepszych katolików w świecie, choć opieramy się stanowczo tym kapłanom, którzy rozwijają propagandę na korzyść obcych i na ujmę własnego kraju".

Gdy odważny podróżnik, ogołocony z wszystkiego, dotarł do pierwszéj kolonii angielskiéj Szoshong w kraju Mangwato, doznał tam najserdeczniejszego przyjęcia i wszelkiego poparcia, aby się mógł dostać do brzegu. Równie gościnnie przyjęli go anglicy w Pretorii, stolicy Transwalu. Każdy tu chciał zobaczyć sławnego podróżnika. Co go najbardziéj gniewało, a jako gorący choleryk major Serpa Pinto często się gniewa, to właśnie to, że wszyscy dziwili się jego niskiemu wzrostowi i delikatności członków.

„To samo przytrafiło mi się niejednokrotnie w Europie, słyszałem w Lizbonie, Paryżu i Londynie wyrazy rozczarowania z powodu postawy mojéj, jak gdyby byli spodziewali się ujrzeć Goliata lub jakiego innego olbrzyma". Że potężny duch, niepospolita odwaga i wytrwałość mieszkają czasem w drobném ciele, świadczą

---

[1]) „W poprzek Afryki" T. II str. 96.

o tém dostatecznie nadludzkie trudy, jakie przezwyciężył mały major portugalski. Sądząc zresztą z fotografii, twarz jego wyrazista o dystyngowanych rysach odznacza się białą cerą, którą uwydatnia tem więcéj czarny włos i zarost.

Bądź jak bądź, ze strony anglików, zarówno władz cywilnych, jak zwłaszcza i wojskowych, przyszły wróg zaborczéj polityki angielskiéj doznał wówczas najserdeczniejszego przyjęcia. Dnia 19 lutego r. 1879-go oficerowie stojącego w Pretorii 80-go pułku wydali na cześć jego ucztę. „Byłem w wybornem usposobieniu i bawiłem się opowiadanemi anegdotami, gdy huk korków zapowiedział szampana. Skoro złoty płyn zaszumiał w wysmukłych kielichach, powstał major Tyler i zawołał: Panowie! Za zdrowie króla Portugalii! Wszyscy z zapałem zawołali: „Niech żyje!“ po czém wuroczystém milczeniu wysłuchali narodowego hymnu portugalskiego „El Rei Dom Luiz“. Nie jestem zdolnym opisać uczucia, które mną owładnęło, gdy w tych dalekich strefach usłyszałem ten hymn ojczysty. Majorowi Tylerowi za wiele przysług jestem zobowiązany do wdzięczności, ale tą niespodzianką zgotował mi największą radość. Codziennie potem zwiedzałem obóz angielski. Wszyscy oficerowie odznaczali się względem mnie tą samą grzecznością i serdecznością, z jednym, kapitanem Allanem Saundersem, zawiązałem najściślejszą przyjaźń.

I znowu w obec tych dowodów przyjaźni ze strony obcych, dzielny major z smutkiem przypomina sobie odmienne zachowanie się własnych rodaków w Kakondzie i Bihé. „Porównanie pomocy, jakiéj doznałem w tych dalekich strefach ze strony anglików i portugalczyków, z przeszkodami, które mi stawiali w środku Afryki własni rodacy, utwierdziło sąd mój o téj klasie ludzi, którzy z Portugalii udają się w głąb Afryki. Podróżowałem wiele i stykałem się z wszystkiemi narodami, ale nie poznałem grzeczniejszego i gościnniejszego nad portugalczyków. Często na polowaniach w górach ojczystych byłem zmuszony zastukać do chat ubogich, które zawsze otwierały się przed gościem. Ubogi włościanin dzieli swą wieczerzę z przybyszem, oddając mu lepszą połowę, z staréj skrzyni rodzinnéj wydobywa kołdrę, aby usłać łoże dla gościa. Czy wejdziesz pod ubogą strzechę wyrobnika, czy do chaty zamożnego włościanina, czy do pałacu magnata, wszędzie spotkają cię te same dowody gościnności portugalskiéj. Kiedy portugalczyk buduje dom, nie poprzestaje nigdy na izbach dla rodziny, pamięta o gościach, którzyby mogli potrzebować schronienia, i do tego się stosuje. Przychodzień doznaje serdecznego przyjęcia w każdej rodzinie portugalskiéj. To też twierdzę, że to nie byli prawi portugalczycy, którzy się obeszli ze mną tak brzydko w Kakondzie i w Bihé. I protestuję uroczyście przeciwko systemowi wysyłania do kolonii najgorszych i najpodlejszych okazów stołecznego motłochu. Właśnie ten system zawinił upadek naszych najbogatszych kolonii

i stał się szkopułem, o który nieraz rozbijała się nasza łódź państwowa.

„W Kakondzie napotkałem na znaczne trudności i przeszkody, które miały udaremnić moję wycieczkę; w Bihé zwiększyły się jeszcze i towarzyszyły mi aż do rzeki Zambezy. Natomiast w Mangwato (kraj przytykający od północy do Transwalu) byłem przyjęty po przyjacielsku, każdy pragnął mi dopomódz i wszyscy spółzawodniczyli w chęci usłużenia mi. Podobne sprzeczności nie potrzebują komentarza".

Rzeczywiście nie potrzebują go, tłómaczą zaś po części, dla czego żadna z dawniejszych ekspedycyi portugalskich w głąb Afryki nie dopisała, ale też tém wyżéj podnoszą zasługę majora Serpa Pinty, który zdołał przezwyciężyć nie tylko grozę klimatu i dzikość tubylców, lecz nadto podłe intrygi występnych rodaków, towarzyszących mu w podróży.

III.

Przybywszy 6 sierpnia r. 1877 do Loandy, major Serpa Pinto nazajutrz przedstawił się generalnemu gubernatorowi Albuquerque, który go przyjął łaskawie, zapewnił, że mu dostarczy wszelkiego poparcia, ale w końcu oświadczył, że mu niepodobna wystarać się o nosicieli. Major wyjechał przeto na parowcu „Tamega" do Kongo, aby się tam o nich wystarać. Właśnie wtedy Stanley, odbywszy sławną przeprawę po rzece Kongo, zbliżał się, wycieńczony i ogołocony z wszelkich zasobów, do brzegu Atlantyku. W Kabenda przyjmował go Serpa Pinto i następnie odwiózł do Loandy, gdzie Stanley z karawaną swą, liczącą 114 osób, miał poczekać na parowiec, wracający do Europy. W Loandzie Stanley mieszkał w domu Serpa Pinty i ze strony władz portugalskich doznał najlepszego przyjęcia.

Nie znalazłszy nosicieli ani w Loandzie, ani nad rzeką Kongo, Serpa Pinto dnia 6 września wyjechał do południowej prowincyi Bengueli, aby ich tam wyszukać. Więcéj niż 2 miesiące upłynęło na tych zabiegach. Rozłożona na brzegu morza u podnóża góry i otoczona gęstym lasem, Benguela, stolica prowincyi tejże nazwy, odznacza się malowniczością położenia. Domy europejczyków, otoczone przestronnemi ogrodami i chatami służby czarnéj, pokrywają bardzo wielką przestrzeń. Obszerne p a t i o s czyli dziedzińce w środku pokrytych galeryi służą ku umieszczeniu przybywających z zachodu karawan handlowych. Proste, szerokie ulice zdobią dwa rzędy sykomorów, rynki targowe odznaczają się przestronnością i czystością. Głównemi przedmiotami handlu są tutaj wosk, kość słoniowa, gutaperka, roślina Orchila, przywożone przez karawany bądź to agentów portugalskich handlarzy, bądź tubyl-

ców. Ci ostatni płody swe sprzedają za różnego koloru bawełnę, którą potem znowu zamieniają na inne wyroby europejskie. I tak tubylcy np. za kość słoniową biorą tyle a tyle bawełny, którą potém płacą za broń, proch, arak, perły i t. d. Materye bawełniane zastępuje więc w tych stronach brzęczącą monetę.

Czekając ciągle na nosicieli, trzej naczelnicy wyprawy w ten sposób rozdzielili pomiędzy siebie role, że porucznik Ivens miał objąć departament geograficzny, kapitan Capello meteorologiczny i przyrodniczy, zaś major Serpa Pinto dowodzić oddziałem w marszu. Układ ten nie dopisał, bo wkrótce wyprawa rozpadła się na dwie: w inną stronę poszedł major Serpa Pinto, w inną Capello z Ivensem. Był to nowy błąd rządu portugalskiego, że nie wyznaczył z góry jedynego wodza ekspedycyi, lecz Serpa Pintę i Capello postawił na równi. Błąd ten mógł łatwo zwichnąć całą wyprawę, chociaż dzięki energii majora i przezorności kapitana ostatecznie obie ekspedycye wydały poważne owoce.

Dopiero 12 listopada karawana z 80 nosicielami wyruszyła z Bengueli, resztę ładunków Silva Porto miał wysłać wprost do kraju Bihé, gdzie w Belmonte posiadał stacyą. Postępując w kierunku południowo-zachodnim, nazajutrz przybyła ta karawana do Dombe. Tu znowu z powodu zatargów z nosicielami trzeba było zatrzymać się aż do 4 grudnia. Tegoż dnia karawana w południowo-wschodnim kierunku wyruszyła do Kwilenger, dokąd po ciężkiéj przeprawie przez pustynię, przybyła 11 grudnia. Tamtejsza stacya portugalska, którą dowodził wtedy porucznik Rosa, tworzy rozległy czworobok, ogrodzony palisadami i obwarowany czterema, do połowy murowanemi basztami. Ościenni kacykowie nominalnie uznają zwierzchnictwo Portugalii, ale pomimo tego ustawicznie walczą pomiędzy sobą. Tubylcy, mieszkający w okrągłych chatach z drzewa i gliny, odznaczają się wysoką, mężną postawą i wojowniczym charakterem, chodują wielkie trzody bydła, uprawiają maniok, ale nader są skłonni do pijaństwa.

Odesławszy starych nosicieli do Dombe i nająwszy nowych, zaopatrzona hojnie w żywność karawana 1 stycznia r. 1878 wyruszyła z Kwilenges w kierunku wschodnim, 2 stycznia dotarła do Ugoli, potem przebywszy wysokie góry i liczne strumienia, maszerując w kierunku północno-zachodnim do Kakondy (7 stycznia). Jest to najdaléj posunięta na wschód rządowa stacya portugalska, obwarowana głębokim rowem i palisadami a zabezpieczona kilku mosiężnemi działami. W chwili przybycia Serpa Pinty naczelnikiem stacyi był porucznik Agujar. Wszelkie usiłowania wystarania się o nosicieli okazały się daremnemi, jak przypuszcza major Serpa Pinta, wskutek intryg kilku handlarzy portugalskich i złożonego niedawno z urzędu naczelnika stacyi. Zniecierpliwiony wreszcie podróżnik sam z 8 murzynami dnia 8 lutego wyruszył w dalszą drogę, pozostawiwszy kolegów i towary w Kakondzie, i 13-go dotarł do sioła kacyka Kapoko. Tu od Capella i Iwensa

otrzymał Serpa Pinto doniesienie, że zamierzają dalszą drogę odbyć sami i że z ładunków wydzielili dla niego trzecią część. Bądź, że ich do tego pobudziły, jak się domyślał dzielny major, intrygi handlarzy portugalskich, bądź też, że przyczyną była tylko ambicya, dość że położenie majora stawało się teraz nader trudném. Czy o tak słabych siłach mógł ruszyć naprzód? W trzech dniach mógł wrócić do Kakondy i ztamtąd łatwo dostać się do Bengueli; natomiast do Bihé było 20 dni marszu i groziło nieustanne niebezpieczeństwo. Ale czyż dla tego podjął się wyprawy afrykańskiéj, aby ją przerwać na samym wstępie? „Audaces fortuna juvat", zawołał śmiały konkwistador i postanowił iść naprzód, aby odszukać prostéj drogi do wschodnich dzierżaw portugalskich.

Skoro nadszedł z Kakondy wysłaniec Capella i Ivensa z 40 ładunkami, major Serpa Pinto, nająwszy za pośrednictwem kacyka Kapoka 40 nosicieli, wyruszył 21 lutego w dalszą drogę na wschód. Wysławszy naprzód towary, pomimo gwałtownéj febry postępował za karawaną, ale już pierwszego dnia nosiciele, złożywszy ładunki w siole kacyka Kwimburga, pierzchli. Ponieważ kacyk ten zdołał dostarczyć majorowi tylko kilkunastu nosicieli, trzeba było pozostawić część towaru pod strażą murzyna Barroza w Kwimburgo. Odtąd, walcząc ciągle ze zdradą i niesfornością nosicieli, z podstępem kacyków, ulewnym deszczem i gwałtowną febrą, major Serpa Pinto maszerował w północno wschodnim kierunku przez kraje Sambo, Moma, Kakwinga, zamieszkałe przez szczep Gangwelów, przebywając góry i wezbrane rzeki, aż wreszcie 17 marca stanął w Belmonte, osadzie Silva Porta w kraju Bihé, gdzie się raz jeszcze spotkał z dawnymi towarzyszami swymi Capellem i Ivensem, i dokąd niebawem przybyły pozostawione w drodze towary.

Podróż z osady Dombe, która znajduje się blisko brzegu zachodniego, do Belmonte w kraju Bihé trwała więc blisko 3½ miesiąca, od 4 grudnia r. 1877 do 17-go marca r. 1878. Znaczna część tego czasu spełzła jednak na przymusowych przystankach, spowodowanych koniecznością starania się o nosicieli: rzeczywisty marsz trwał 42 dni, a w korzystniejszych warunkach wystarczałoby na tę przeprawę dni 30.

Przebywszy ciężką chorobę, dzielny major zabrał się z zwykłą energią do złożenia oddziału, z którym zamierzał dotrzeć do wschodniego brzegu Afryki, i zapisywał sumiennie każdego dnia swe spostrzeżenia meteorologiczne, astronomiczne, jako też dotyczące kraju i ludzi. Według obliczeń majora państwo Bihé obejmuje około 2500 angielskich mil kwadratowych i liczy około 100,000 ludności, czyli około 38 mieszkańców na milę kwadratową, co na Afrykę oznacza gęste zaludnienie. Nazwę swą kraj wywodzi od syna kacyka Humby, dzielnego Bihégo, który osiadłszy w tych stronach, założył obwarowane sioło Kabongo, dzisiejszą stolicę, i powoli podbił ościenne plemiona Gangwellów. W chwili przyby-

cia mojora Serpa Pinty panował w Bihé wnuk założyciela Kwilemo. Bihenowie uprawę roli zdają na kobiety, sami zaś podejmują dalekie wyprawy handlowe zarówno w głąb kraju, jako też i do Bengueli. Major zapoznał się z niektórymi kupcami czarnymi, którzy rozporządzali kapitałami około 25,000 marek, a były niewolnik Silvo Porto Szakwinqunde dorobił się nawet pokaźnéj sumki 70,000 marek; zdolni, odważni i wytrwali w podróży, Bihenowie przewyższają inne plemiona okrucieństwem i obłudą.

Dopiero 6 czerwca, po nadejściu reszty ładunków z Bengueli i zebraniu potrzebnéj liczby nosicieli, Serpa Pinto mógł wyruszyć w dalszą podróż na wschód i 9 czerwca stanął nad brzegiem płynącéj ku północy rzeki Kwanzy, która tworzy wschodnią granicę kraju Bihé. Czekając tutaj na obiecanych nosicieli, dnia 12 czerwca rozbroił karawanę niewolników. Związawszy naczelnika i stróżów, podróżnik oświadczył niewolnikom, że są wolni. W mgnieniu oka wszyscy znikli, tylko młoda dziewczyna prosiła majora, aby jéj pozwolił pozostać u niego, ponieważ nie wie, dokąd się udać. Dziewczę to, Mariana, w dalszéj podróży wyświadczyło majorowi wielkie przysługi i była jedną z tych 9 osób, które dotarły z nim do brzegu wschodniego i do Lizbony.

Przeprawiwszy się 14 czerwca przez rzekę Kwanza i maszerując w wschodnim kierunku przez kraje Kwimbandów i Luchazów, dnia 25 lipca karawana stanęła nad rzeką Kuhibi, w kraju gościnnych Ambuelów, i postępując daléj nad brzegiem téj rzeki dnia 29 lipca zatrzymała się przy siole kacyka Kahu-heu-ue. Kacyk ten natychmiast przysłał dużo żywności mianowicie kukurydzy, nazajutrz zaś przybył do obozu majora. Mąż podeszłego wieku o sympatycznych rysach twarzy, kacyk Kahu-heu-ue, miał na sobie stary mundur portugalski, szyję obwiniętą chustką, na głowie czerwoną czapkę, w ręku gitarę, z któréj wydobywał szkaradne jęki. Po wymianie podarków, kacyk oświadczył majorowi, że jest wasalem państwa Barozy nad rz. Zambezą, dokąd dążył nasz podróżnik; atoli o świeżo zaszłéj tam rewolucyi, o któréj major dowiedział się od wracających z Barozy Bihenów, kacyk nie miał żadnych wiadomości. Kiedy wieczorem major Serpa Pinto wracał z polowania do obozu, zastał swych murzynów wesoło tańczących ze zgrabnemi dziewczętami Ambuelów. Jest tam zwyczaj przysyłać kobiety i córki do obozu przybywającej karawany, gdzie po tańcach i po oddaleniu się mężów i ojców, pozostają przez noc. W imię tego zwyczaju sędziwy kacyk przysłał też majorowi dwie córki, z których młodsza 16-sto letnia, Kapeu, odznaczała się przyjemnemi rysami twarzy i niepospolitą zgrabnością. Jednak dzielny major, stały i wierny żonie, oparł się pokusie, po czém pomiędzy nim a królewnami wywiązał się stosunek szczeréj przyjaźni, tak że mu towarzyszyły w dalszéj podróży przez kraj Ambuelów.

Dnia 4 sierpnia karawana ruszyła z miejsca i 24-go, przeprawiwszy się przez rzekę Zambezę, która się tutaj nazywa Liambai, dotarła do Lialui, stolicy państwa Barozy. Nowy król, 20 letni, Lobossi, który jednak, jak się pokazało później, zasługiwał na nazwisko Łobuza, przygotował podróżnikowi uroczyste przyjęcie. Szpalerem, utworzonym przez 1200 żołnierzy i otoczony dostojnikami króla, major Serpa Pinto udał się do wyznaczonego mu domu. Pod baldachimem, umieszczonym przed domem, major przyjmował ministrów i wysłańców króla, przy czém wymieniano komplimenta i zapewnienia przyjaźni. Nazajutrz odbyła się recepcya u króla Lobossi, który zapewnił majora, iż mu dostarczy wszelkiéj pomocy do odbycia dalszéj podróży. Serpa Pinto zamierzał bowiem wyruszyć z Lialui wprost na wschód do Kainzo nad rzekę Loengiem (138 mil angielskich, czyli 7 do 10 dni drogi), ztamtąd wymienioną co tylko rzeką popłynąć do rzeki Zambezy, na téj rzece płynąć aż do Tete, ztamtąd lądem dotrzeć do Chibisy nad rzekę Szyre (5 dni drogi), wreszcie rzeką tą do brzegu wschodniego. Jest to najkrótsza droga pomiędzy Angolą a Mozambikiem i najwygodniejsza, ponieważ 792 mil można przebyć drogą wodną. Że jednak, przybywając do Lialui, Serpa Pinto był już ogołocony z wszelkich środków dalszéj podróży, jedynie energiczne poparcie ze strony króla Barozy byłoby umożebniło wykonanie tego planu.

Zanim zobaczymy, o ile król Lobossi spełnił nadzieję podróżnika, trzeba nam przytoczyć kilka szczegółów o kraju Barozy. Państwo to założył Chibitano, który przybył w te strony z południa z wojskiem Basutów i Beczwanów, do którego wcielał młodzież podbitych plemion. Wojsko to nazwał Kololos, z skąd powstała więcéj znana dziś w centralnéj Afryce nazwa Makololo. W Barozy jednak z czasem nad tą wojskową kastą Makololów uzyskało przewagę miejscowe plemię Luina. Już za rządów Szykreta wielkie państwo, utworzone żelazną wolą ojca jego Chibitana, zaczęło podupadać. Po jego śmierci rozpoczęły się krwawe wojny domowe i rewolucye pałacowe. Ostatnia taka rewolucya w r. 1878, krótko przed przybyciem majora Serpa Pinty, wyniosła na tron 20 letniego Lobossiego, który z kolei w rok potem stracił koronę i życie. Zamiast dzielnego narodu, utworzonego przez Chibitana, podróżnik nasz zastał w Barozy mieszańców, osłabionych moralnie i fizycznie pijaństwem, nadmiarem w użyciu tytoniu (konopi) i chorobami wenerycznemi. W żadnym innym kraju afrykańskim wielożeństwo nie jest tak rozwinięte, jak tutaj. Tak np. minister Gambella miał 70 żon. Majątek Luinów oblicza się według ilości żon i wołów, żywią się głównie mlekiem, serem i słodkiemi ziemniakami, z kukurydzy wyrabiają piwo, zwane kapata. Jakkolwiek nie mają noży, z nadzwyczajną zręcznością dokonywają robót snycerskich na ławach i naczyniach; odzienie ich składa się z skóry, przymocowanej do pasa i sięgającéj aż do kolan, tudzież z długiego kożucha,

który pokrywa barki i sięga aż do łydek; kobiety noszą spódnice ze skóry, sięgające za kolana, biodra opasują rzemieniem, ozdobionym muszlami, rzędy pereł na szyi, naramienniki i futerko na plecach, zastępując te miejscowe wyroby często materyami europejskiemi. Niewiasty wyższych stanów nacierają ciało tłuszczem wołowym, zmięszanym z prochem lakowym, co nadaje ciału czerwoną cerę, ale razi brzydkim zapachem. Oprócz miejscowych dzid i motyk, Luinowie używają wprowadzanych z południowych kolonii angielskich karabinów. Kraj ten, 30 do 35 mil szeroki, 180 do 200 mil długi, pierwszy jeszcze przed inwazyą Chibitana, zwiedził wymieniony już kilkakrotnie kupiec portugalski Silva Porto; za rządów drugiego władzcy Szykreta. W r. 1855 sławny Livingstone dotarł do Lialui i od tego króla otrzymał środki do kontynuowania podróży ku północy.

Król Lobossi, którego na tronie Barozy zastał Serpa Pinto, liczył około 20 lat, był wysokiéj postawy i dobréj tuszy. Na kolorowéj koszuli miał płaszcz z bawełny, zamiast krawatu mnóstwo amuletów, pantalony z różnobarwnéj materyi, białe długie pończochy, połyskujące trzewiki i mięki kapelusz, przyozdobiony strusiemi piórami, w ręku trzymał narzędzie drewniane z grzywą, którego używał jako wachlarza przeciwko natrętnym muchom. Przyjmując podróżnika, król Lobossi siedział na wysokim krześle; na niższych krzesłach do koła zasiedli ministrowie i doradcy. Ministeryum w Barozie składało się z dwóch wydziałów wojny i spraw zagranicznych, które znowu dzieliło się na dwie sekcye, zachodnią, przeznaczoną do traktowania z portugalczykami w Bengueli, i południową do traktowania z anglikami w Kaplandzie. W chwili przybycia Serpa Pinty ministrem spraw zagranicznych był Malagja, ministrem wojny a zarazem kierownikiem sekcyi dla spraw południowych Gambella. Pomiędzy doradcami młodego króla znajdował się także jako komenderujący generał sędziwy Maczawana, który towarzyszył Livingstonowi w podróży od rz. Zambezy do Loandy i opiekował się też majorem portugalskim.

Jak wspomnieliśmy powyżéj, doznał on zrazu ze strony króla Barozy wielce przyjaznego a nawet uroczystego przyjęcia. Ale niebawem nastała stanowcza zmiana w zachowaniu się króla. Stawiał naprzód wymagania, o których doskonale wiedział, że ogołocony z towarów major spełnić ich nie mógł, wreszcie coraz wyraźniéj zdradzał zamiary nieprzyjazne. Serpa Pinto domyśla się, że zmianę w postępowaniu króla sprowadziły intrygi portugalczyków, którzy się posługiwali należącym do orszaku majora czarodziéjem, wróżbitą i „doktorem“ Czakojombą. Tym samym intrygom przypisuje dezercyą Bihenów, którzy 30 sierpnia opuścili Lialui. Przy majorze pozostało jeszcze 58 osób, pomiędzy nimi wymieniony Czakojomba. W dwa dni potem zjawił się u majora minister Gambella z rozkazem króla, aby natychmiast opuścił Lialui i to w zachod-

nim kierunku (do Bihé). Major odpowiedział, że tego rozkazu nie spełni, wojsk króla się nie boi, napadnięty będzie się bronił, a gdyby poległ, król portugalski pomści śmierci jego. W nocy po téj rozmowie Maczawana przybył do majora i ostrzegł go, że Gambella radził królowi, sprzątnąć go potajemnie. Dnia 4-go września, wracając od króla do domu, Serpa Pinto stał się celem zamachu pewnego murzyna, który rzucił za nim dzidą; dzielny major, dobywszy rewolweru, zranił uciekającego mordercę i zaprowadził go następnie do króla, który naturalnie udał wielkie oburzenie i przyrzekł surowo ukarać więźnia. Gdy major powrócił w nocy do domu, zbliżyła się ostrożnie do chaty jego wymieniona powyżéj Mariana i szepnęła: „Bądź ostrożnym. Czakojomba zdradza, powróciwszy z Tobą udał się znowu na rozmowę z Gambellą; wróciwszy zwołał ludzi Silva Porta do swéj chaty, podsłuchałam, że się naradzali, jakby cię zabić. Także Verissimo był tam. Bądź więc ostrożny, bo wszyscy oni źli, bardzo źli“.

Dnia 6-go września wieczorem kilkotysięczny tłum murzynów napadł obóz majora. Stanął on z sztandarem narodowym w ręku w środku obozu, i rozpoczęła się krwawa walka. Ale czyż garstka 50 ludzi mogła się oprzeć tysiącom napastnikom? Już zbliżali się oni coraz więcéj do środka obozu. W tém najwierniejszy z sług majora, Augusto, nadbiegł zrozpaczony, pokazując pęknięty karabin. Major chłopcu swemu Pepikowi rozkazał przynieść dla Augusta flintę, którą strzelał na słonie. Natychmiast Augusto wystrzelił w najgęstszy tłum napastników. W téj saméj chwili śród murzynów zagrzmiało piekielne wycie i wszyscy pierzchli. Dopiero następnego dnia major dowiedział się od króla, co sprowadziło ten nagły zwrot. W paczce nabojów, wręczonéj Augustowi, znajdowały się kule napełnione nitroglicerynem, których się używa do strzelania słoni. Straszliwy efekt tych kul eksplodujących, w czém murzyni widzieli potężne czarodziejstwo, wywołał ich ucieczkę. W pół godziny potem nadszedł Maczawana z oddziałem żołnierzy i z zapewnieniem króla, że nie ma żadnej winy w nocnym napadzie, atoli nazajutrz przestał dostarczać majorowi żywności.

Otoczony zewsząd zdradą i zagrożony śmiercią z głodu, Serpa Pinto opuścił Lialui i udał się w pobliskie góry, gdzie osiadł opodal sioła Katonga, zamierzając żywić się rybami jeziora i zwierzyną z lasów. Nie skończyły się przecież gorzkie zawody podróżnika. W nocy z dnia 10 na 11 września pierzchła reszta ludzi jego. Tylko trzej wierni murzyni: Augusto, Werissimo i Kamutombo, trzéj chłopcy Katrajo, Moero i Pepika, tudzież Mariana i żona Augusta, Markolina, wytrwali przy wodzu. Co gorsza, zbiegowie zabrali wszystkie ładunki, broń, amunicyą. Pozostały majorowi tylko dwa karabiny, nieużyteczne, ponieważ nie było kul. Całe mienie majora stanowiły dwa kuferki, na których sypiał. Ale — w jednym z tych kuferków znajdowała się flinta, którą mu przed

wyjazdem z Lizbony darował król Luiz, starannie przechowana w futerale skórzanym, 500 kapiszonów, dwie paczki prochu, których major użył w Benguelі celem przymocowania pudełka z sekstantem, tudzież narzędzie do lania kul. Zkąd wziąść kule? Nad jeziorem wisiała ogromna, zabrana z Londynu sieć, któréj wielkie ołowiane ciężary dostarczyły materyału potrzebnego na kilkaset nabojów. Natychmiast major zabrał się do lania kul i sporządzenia 300 nabojów. Nie było to wiele, ale przynajmniéj—nie był zupełnie bezbronnym.

Katastrofa ta zwichnęła plan przeprawy w kierunku wschodnim przez więcéj jeszcze niż połowę Afryki. Zambeza od Lialui płynie w kierunku południowym aż do porogów Wiktoryi (około 26-o stopnia długości); dopiero ztamtąd zwraca się w kierunku północno-wschodnim aż do Semalembe, gdzie się z nim łączy Loengwe czyli Kafuce i skąd dopiero płynie na wschód. Lialui, Semalembe i porogi Wiktoryi tworzą więc ogromny trójkąt; na linii Lialui-Semalembe major Serpa Pinta zamierzał lądem ruszyć na wschód. Teraz stało się to niemożliwém. Dowiedziawszy się zatém, że nad dorogami Wiktoryi przebywa misjonarz, z 8 swymi towarzyszami i kilku przewodnikami, których wreszcie dostarczył król Labossi, dnia 24 września odpłynął na maleńkich czółenkach po Zambezie w kierunku południowym i dnia 19 paźdz. dotarł do Embarira nad ujściem rzeki Kuando do Zambezy, w pobliżu porogów Wiktoryi. Przeprawę pomiędzy Lialui a Embarirą utrudniają powtarzające się co kilkanaście mil ogromne porogi, których ostatni, najdaléj na wschód tworzy niesłychanie gwałtowny i ponury wodospad Wiktoryi, niejako Niagarę afrykańską. Przy każdym z tych porogów trzeba było czółno przenosić po brzegu, wycinając drogę w odwiecznych lasach, przytykających do rzeki. Ogołocony z wszelkich zasobów, za któreby był mógł zamienić żywność, major Serpa Pinto jedynie „strzelbie króla“ zawdzięczał wyżywienie swéj szczupłej karawany; jako niepospolity strzelec, umiał zawsze dostarczyć swym wiernym żywności. Jako zawołany badacz nie zaniechał zapisywać sumiennie każdego dnia swych cennych spostrzeżeń meteorologicznych i topograficznych, które stanowią obfity naukowy owoc téj pamiętnéj wycieczki. Jeżeli dodamy, że w zabójczym klimacie, sypiając miesiącami pod gołem niebem, pozbawiony wszelkiéj strawy europejskiéj, nawet soli i kawy, co chwila zapadał na gwałtowną febrę—będziemy sobie mogli poniekąd wyobrazić trudności téj bohaterskiéj przeprawy w poprzek Afryki.

Ostatnia nadzieja, że Europejczyk, z którym miał się spotkać w sercu Afryki, dostarczy mu środków na wykonanie pierwotnego planu podróży, zawiodła. Zacny pan Coillard, protestancki misyonarz francuski, podróżujący w ogromnym wozie z żoną i siostrzenicą, przyjął dzielnego majora jaknajserdeczniéj i dzielił się z nim po bratersku, czém mógł, nie był jednak w stanie, dostarczyć mu po-

trzebnych na dalszą podróż w poprzek Afryki i wzdłuż rzeki Zambezy znacznych środków. W towarzystwie więc rodziny Coillard, któréj obok „strzelby króla“ major przypisuje swe ocalenie, udał się przez daleką puszczę do Szoshong, stolicy Bamangwato, gdzie wymieniony misyonarz od kilku lat mieszkał. Zarówno ze strony króla Khamy, nawróconego na chrześciaństwo, jako też ze strony kolonii europejskiéj w Szoshong podróżnik nasz doznał najserdeczniejszego przyjęcia, tudzież za pomocą weksli otrzymał środki dotarcia do południowo-wschodniego brzegu.

Zabawiwszy w stolicy Bamangwato od 31 grudnia r. 1878 do 14-go stycznia r. 1879-go, podróżnik nasz przez znaną rzeczpospolitę Transwaal, gdzie w drodze 9-go lutego umarła żona Augusta, Markolina, dnia 12 lutego dotarł do stolicy Pretorii. I tu ze strony kolonii europejskiéj, jako też ze strony załogi angielskiéj był przyjęty z wielką serdecznością, nawet z zapałem. Dnia 8 marca opuścił gościnną Pretoryą i spotkawszy się w drodze z przybyłym właśnie na wojnę z Zulami młodym księciem Ludwikiem Napoleonem, dnia 19 kwietnia z 7 wiernymi murzynami z portu Durban (w Natalu) na parowcu „Danubio“ odpłynął do Zanzybaru, i przez Aleksandryą, Neapol i Bordeaux, wszędzie witany z zapałem, udał się do Lizbony, dokąd przybył 5 czerwca r. 1879-go.

Opis téj podróży, przełożony natychmiast na język angielski, niemiecki i t. d., nie tylko majora Serpa Pintę postawił od razu w pierwszym rzędzie tegoczesnych eksploratorów i konkwistadorów europejskich, ale nadto w Portugalii obudził uśpioną przez kilka wieków żądzę sławy i bohaterskich czynów. Serpa Pinto stał się najpopularniejszym mężem śród narodu swego. Tem silniejsze też wrażenie musiał wywołać w Portugalii zatarg z Anglią, który się wywiązał właśnie z powodu nowej, tym razem już czysto politycznéj wyprawy dzielnego majora. Ultimatum angielskie w Lizbonie przyjęto nie tylko z namiętnemi protestacyami, lecz także z jednomyślnym okrzykiem: „Niech żyje Serpa Pinto! Niech żyje nietykalność ojczyzny!“ [1])

Wiedeń w lutym r. 1890

---

[1]) W lutowym zeszycie „Biblioteki“ w artykule o Stanley'u i Eminie, na str. 213 ostatni ustęp, zaczynający się od słów: „Świeżo listy“ i t. d., mylnie został umieszczony w tekście, zamiast w przypisku; a prócz tego wiersz 12 od góry zamiast: wydanie „niewielkie“ należy tamże czytać: „niemieckie“.

Red.

WYSTAWA SZTUKI

STAROŻYTNÉJ I NOWOŻYTNÉJ

stosowanéj do przemysłu,

urządzona w Muzeum rolnictwa i przemysłu w Warszawie

1889-go roku.

OPISAŁ

Tadeusz Dowgird.

Z wielu wystaw, urządzanych w lokalu Muzeum rolnictwa i przemysłu w Warszawie, najbogatszą i najciekawszą była ostatnia wystawa sztuki stosowanéj starożytnéj i nowożytnéj a już bezwarunkowo najliczniejszą z wystaw starożytnych dotychczas urządzanych w Warszawie; do tego bowiem rzędu wystawę tę zaliczyć należy, gdyż dział nowożytny w porównaniu z starożytnym nadzwyczaj ubogo jest reprezentowany.

Dość jest wziąść do ręki katalog wystawy, by się o tém przekonać.

W dziale starożytnym katalog wykazuje 1431 pozycyi; pod połową z nich zapisano po kilka lub kilkanaście przedmiotów, że zaś spotykamy pozycye obejmujące po kilkadziesiąt i po sto przedmiotów, oraz kilka mających po tysiąc okazów, jak np. kolekcyą p. Samokwasowa i moję, więc nie przesadzimy, gdy w dziale starożytnym liczymy sztuk do 10,000 co najmniéj.

W dziale nowożytnym znajdujemy tylko 157 pozycyi a pominąwszy to, że żadna nie zawiera tak wielkiéj ilości okazów, przyjmiemy liczbę nadesłanych przedmiotów koło 1,000; ilościowe zatém bogactwo tego działu będzie mniejsze o dziesięć razy.

Czy się tego spodziewano, czy téż dla innych pobudek, rozdzielono tylko dział starożytny na oddziałów siedm, a okazów sztuki nowożytnéj wcale nie rozklasyfikowano.

Dział starożytny rozdzielono na: starożytności z czasów przedhistorycznych, stanowiące oddział pierwszy;—w oddziale drugim umieszczono numizmatykę, heraldykę i sfragistykę; w trzecim, rękopisma, druki i oprawy książek; w czwartym, sprzęty i naczynia kościelne; w piątym, ozdoby stroju kobiecego i męzkiego; w szóstym, uzbrojenia i narzędzia; w siódmym, sprzęty domowe.

Podział taki byłby doskonały dla wystawy tego rodzaju, gdyby była możebność ściśle go przeprowadzić, lecz tym razem to się nie dało zrobić i wątpię, by z chwilą, gdy się przyjmują na wystawę gotowe kolekcye, można o tém marzyć—chyba gdyby wszyscy kolekcyoniści porządkowali swe zbiory systematem z góry określonym, co jest rzeczą nie podobną. Wada taka choć jest wadą lecz jeszcze nie zbyt doniosłą i nie dającą się nigdy usunąć, a szczególniéj w tak krótkim czasie, jak w dwumiesięcznym terminie, który to czas został przez muzeum naznaczony do urządzenia wystawy. Zaiste trzeba podziwiać ofiarność naszego ogółu, który w tak krótkim czasie nadesłał tyle okazów bez najmniejszego osobistego interesu, ale nawet po części z własnym uszczerbkiem, bo każde przenoszenie lub przesyłanie przedmiotów starożytnych nie może się obejść bez ich uszkodzenia.

Znacznie donioślejszą wadą téj wystawy jest katalog, który zadaniu swemu zupełnie nie odpowiadał. Przedewszystkiém numeracya ogólna, jaką przyjęto, bez względu na sale i oddziały jest nadzwyczaj utrudniająca odszukanie danego przedmiotu.

Następnie zupełna bezzasadność nierównomiernego opisu okazów, bo spotykająca się tak dobrze nietylko w tym samym oddziale, ale często na przedmiotach zupełnie jednakowego użytku i jednakowéj wartości archeologicznéj, jest całkowicie nie zrozumiałą.

Dla dokładniejszego usprawiedliwienia wyżéj wypowiedzianego zdania, pozwalam sobie zestawienia kilku objaśnień z katalogu.

W oddziale II na stronie 11 czytamy:

28.—409 sztuk monet i medali polskich, od Zygmunta Starego do czasów Stanisława Augusta, stanowiących część jednego z najpiękniejszych i najbogatszych zbiorów w kraju, tak pod względem doboru jako też ilości sztuk. Zbiór ten znany jest w całéj Europie, własność hr. Emeryka Czapskiego.

na str. 15 w tymże oddziale:

66.—14 pieczęci od dokumentów od XIII do XVIII-go wieku, wł. Edw. Diehla.

zaś na stronach 13 i 14 od numeru 43 począwszy do 64 przy znakach masońskich, będących wł. p. G. Soubise-Bisier, przy każdym okazie znajdujemy stosunkowo dokładniejsze opisanie mniéj więcéj takie: „Nr. 54.—2 znaki loży kamienieckiéj „Oziris“; jeden ofiarowany Gagarinowi“.

Albo w oddziale IV na stronie 28 czytamy:

160 —„Monstrancya złota w stylu gotyckim, ozdobiona wieloma kamieniami. Na wierzchu krzyżyk z emaliowanym wizerunkiem Chrystusa Pana, na podstawie herb „Pomian“ emaliowany, a w pośrodku zawieszony klejnot w stylu renesansowym.

Monstrancya z XV w., dodatki atoli późniejsze. Wł. katedry włocławskiéj;

a niżéj przy numerze 162 mamy tylko taki krótki opis:

„Krucyfiks z zegarem (Empir) wł. p. Trzebińskiéj“.

Zestawiwszy te kilka przykładów, pytam się: przez co gorszy jest i mniéj zasługujący na dokładny opis, zbiór monet i medali hr. Czapskiego, o którym już sam katalog wspomina, iż jest najbogatszym w kraju, ba nawet znanym w Europie od zbioru znaków masońskich p. Soubis-Bisier. Albo pieczęcie p. Edw. Diehla czy mniéj mają budzić interesu od tychże znaków; lub jeden sprzęt kościelny w porównaniu z podobnym drugim jest godzien szczegółowszego określenia, że przy jednym znajdujemy najdrobniejszą cechę zanotowaną, a przy drugim tylko dwa, trzy słowa ogólnikowe.

Zestawiając zaś różne oddziały znajdujemy jeszcze wyraźniejsze różnice i tak przy jakiéj drobnostce toaletowéj znajdujemy nie tylko jak najdokładniejszy opis przedmiotu, lecz czyjéj było roboty oraz całą jego historyą, albo przy wachlarzu mamy najdokładniejszy opis z czego jest zrobiony i jaki obrazek oraz treść tego obrazku; wymieniono wszystkie właścicielki, a niemal iż nie wymieniono na jakich zabawach był używany, a przy przedmiotach innych tak jak wyżéj wskazałem przy monetach, medalach i pieczęciach,—nic nad to, co można byłoby wiedzieć i bez katalogu.

Jaki był powód dawania takich nierównomiernych opisów okazów, trudno się domyślić. Bo nie można tego złożyć na wystawców, gdyż najczęściéj spotykamy ubogie, bo równające się prawie żadnym opisom przy większych kolekcyach albo przy przedmiotach, pochodzących z większych zbiorów, a właściciele onych nie tylko, sądzę, mogliby dać odpowiednie opisy, lecz takowe muszą mieć gotowe.

Choćby przy jakim okazie zbywało dokładnego opisu to przejrzawszy listę osób komitetu wystawy, komisyi odbiorczéj i komisii redakcyjnéj (umieszczonych na wstępie katalogu) trudno wątpić, żeby brakło ludzi uzdolnionych i chętnych do wypełnienia braków.

A tak jak jest obecnie z opisem w katalogu to wygląda, iż za miejsce w katalogu wystawcy płacili i ztąd powstała ta nierównomierność w opisach okazów;—tymczasem będąc wystawcą i należąc do komitetu wystawy o żadnéj opłacie za miejsce ani w katalogu ani też na wystawie nie słyszałem.

Sądzę zaś, że wadliwość katologu (bo jeszcze trzeba dodać, iż spotykamy bardzo często wielkie błędy oraz wysokę cenę katalogu) pochodzi ztąd iż, zarząd czy téż komitet muzeum raz na zawsze

wydawnictwo katalogów wszystkich wystaw, odbywających się w lokalu muzeum, oddał na ryzyko sekretarza tegoż muzeum, który ma się rozumieć, musi przedewszystkiém myśleć o swéj kieszeni, aby na katalogu nie stracić,—ba nawet i choć trochę zarobić.

Poznawszy się ze sposobem urządzenia wystawy i jéj katalogu, przyjrzyjmy się bliżéj okazom na niéj się znajdującym, postępując porządkiem oddziałów.

W przedsionku, przy schodach na pierwsze piętro prowadzących, znajdujemy grupę nie odznaczającą się wdziękami estetycznemi, ułożoną z kości zwierzęcych.

Znajdujemy tu szkielet żubra oraz dwie pary rogów z częściami czaszek, które katalog uważa za rogi żubrów, lecz porównawszy je z rogami u czaszki przy szkielecie, najmniéj obeznany z zoologią musi dostrzedz, iż niemożebną jest rzeczą, by wszystkie te rogi były żubrów i sądzę, że rogi bez szkieletu są turze a nie żubra. To jest pierwszy błąd katalogu a tuż i drugi spotykamy. Katalog zapowiada czaszkę niedźwiedzia, ale jéj tu dojrzeć nie podobna, jest co prawda jakaś mała czaszka, ale sądzę, że nawet za mała, aby mogła być niedźwiedzia dziś żyjącego, nie już jaskiniowego, który był potężném zwierzęciem, i którego kości miałyby racyą bytu na tego rodzaju wystawie równie jak i szczątki innych zwierząt dziś nie egzystujących, i to tylko w razie gdyby na nich były widoczne oznaki ręki ludzkiéj, już jeśli nie jako wyrobiony przedmiot, to jako okaz, noszący ślad broni, którą dany egzemplarz został zabity.

Przedmioty tu znajdujące się mają być wł. p. M. Zawiszyny i pochodzić ze zbioru po ś. p. Janie Zawiszy, który tyle lat badał nasze jaskinie ojcowskie.

Czy też to nie jest tylko omyłką w katalogu, bo czyżby tak bogaty zbiór jak zbiór po ś. p. Zawiszy z taką błachostką brał udział w wystawie, na któréj znacznie uboższe zbiory tak pięknie wystąpiły. Temi przedmiotami katalog rozpoczyna oddział pierwszy, który się mieści w jednéj osobnéj sali na pierwszym piętrze Tu przedewszystkiém zwraca uwagę widza ogromny i bardzo bogaty zbiór pr. D. J Samokwasowa (który po 1 stycznia został już odebrany z wystawy). Kolekcya ta zajmowała dwa ogromne kioski, ustawione na środku sali i trzy duże gabloty, a to, co się znajdowało na wystawie jest zaledwie część bogatéj kolekcyi, którą pr. S. zebrał przeważnie własnoręcznie, w południowo-wschodnich guberniach Rosyi.

Kolekcya porządkowana gniazdami t. j. iż przedmioty, pochodzące z jednéj mogiły lub jednéj miejscowości leżą razem i jeśli nawet w danéj mogile spotkało się kilka lub kilkadziesiąt okazów zupełnie jednakowych to i te są zachowane razem i nie brak ani jednéj sztuki.

Część zbioru, umieszczonego na wystawie dobrał prof. Sa-

mokwasow w ten sposób, iż dał obraz rozwoju sztuki stosowanéj prawie od chwili, gdy człowiek poznał użytek metali, to jest, gdy do swych wyrobów zaczął używać bronzu, aż do XVI stulecia naszéj ery i to u plemion nam najwięcéj pokrewnych. Wystawione okazy rozdzielił na cztery grupy, z których pierwsza zawiera przedmioty z grobów najwięcéj odległéj epoki, w których spotykają się tylko wyroby z gliny, kości, kamienia i bronzu; a z żelaza brak zupełny. Groby te zalicza do epoki najdawniejszéj Cymeryjskiéj, któréj koniec odnosi do VII wieku przed Chrystusem.

W grupie téj spotykamy okazy bardzo ładne, szczególniéj wykonane z kamienia oraz bronzu, z którego wyrabiano wówczas równie narzędzia domowego użytku, broń, jako też i różne ozdoby, służące niekiedy zarazem jako oręż obronny np. bransolety duże wężowate, które doskonale mogły zastępować tarczę.

Przedstawione w téj grupie okazy nie są najdawniejszemi śladami wyrobów człowieka, bo uczeni uważają, iż przedmioty wyrabiane z kamienia a nie gładzone i wyroby z kości, znajdowane w najgłębszych warstwach namulisk jaskiniowych musiały je uprzedzić.

W drugiéj grupie znajdują się okazy, pochodzące z mogił, które pr. S. zalicza do epoki Scytyjsko-Sarmackiéj; ich cechą charakterystyczną jest to, iż tu znajdują się przedmioty z żelaza i wyroby greków i rzymian oraz monety greckie i rzymskie jako też niekiedy i dzieła sztuki.

Tu już bronzowe wyroby są prześliczne i nadzwyczaj liczne; z żelaza zaś bardzo skąpe, występujące tylko jako ozdoby; np. na bronzowych bransoletach widzimy małe żelazne pierścienie, gdzie niegdzie porozmieszczane oraz spotykamy się z pięknemi naczyniami glinianemi, ozdobionemi malowidłem i naczyniami ze szkła.

Oprócz tego rozwój cywilizacyi wyraża się równie w ozdobach jak i w przyrządach toaletowych, bo mamy lustra metalowe, szpilki do włosów, grzebyki z kości i bardzo liczne z kamieni drogich, z metalu oraz szkła i bursztynu, paciorki przeróżnych kształtów. W końcu nadmienić trzeba, iż bardzo wyraźnie widać tu wpływ Grecyi, Rzymu i trochę Egiptu. W trzeciéj grupie znajdują się przedmioty z mogił, które prof. S. zalicza do epoki Anto-Słowiańskiéj a któréj okres naznacza od V wieku po Chrystusie do przyjęcia chrześciaństwa przez Słowian ruskich. Charakterystyką tych mogił jest to, iż spotykamy w nich równie monety jak i wyroby bizantyjskie i arabskie od V do X wieku po Chr.

Przedmioty tu umieszczone pochodzą z Kurhanów z gub. czernihowskiéj, połtawskiéj i kijowskiéj. Spotykamy się tu ze srebrem, złotem, bronzem, żelazem, pięknymi wyrobami z kości i ma się rozumieć z naczyniami gliniannemi oraz i szklannemi. Niepodobieństwem byłoby wyliczać wszystkie nawet wybitniejsze okazy tak czę-

sto spotykane w tym zbiorze, bo gdybym wspomniał o jednym przedmiocie, nie możnaby zamilczeć o drugim, na co rozmiar pisma nie pozwala.

W czwartéj grupie umieścił pr. S. przedmioty z mogił pogańskich, z czasów panowania mongołów i tatarów w Rosyi, gdzie oprócz monet tatarskich, znalezionych w grobach, znajdujemy bardzo ładne przedmioty, wśród których najciekawszemi są szczątki tkanin przetykanych złotem. Przedmioty zawarte w téj grupie pochodzą z kurhanów, badanych w gub. jekaterynosławskiéj i północnego Kaukazu.

Oprócz wyżéj wymienionych grup czterech, należą do tego zbioru przedmioty z Czarnéj mogiły w Czernichowie, wystawione w osobnéj gablocie i objaśnionéj trzema fotografiami zrobionemi w czasie badania téj mogiły. Gablota z naczyniami, glinianemi i gablota z historyą grotów i strzał, która się rozpoczyna od prześlicznych okazów z krzemienia, znalezionych na piaskach pod Warszawą, przedstawiając w dalszym ciągu bronzowe rogowe i żelazne, pochodzące z kurhanu z gub. jekaterynosławskiéj.

Takiéj rozmaitości form oraz stopniowego przejścia z jednego typu do drugiego, jaki w téj kolekcyi strzałek dojrzeć możemy, sądzę, że nie posiada żaden zbiór dotychczasowy. Całość tego zbioru jest imponującą pod każdym względem nawet dokładne a treściwe objaśnienie dane i umieszczone w katalogu jest nadzwyczaj dobre i gdyby przy składaniu téj części katalogu wyraźniéj oznaczono numera tablic i numera przedmiotów, na nich się znajdujące, nie byłoby nic do zarzucenia i każdy zwiedzający wystawę z łatwością mógłby się zapoznać z tym tak ciekawym zbiorem, ale przez niedostateczne odznaczenie numerów w katalogu bardzo dużo widz czasu tracił i nie raz czegoś nie odszukawszy, odchodził zniecierpliwiony, nie poznawszy zbioru.

Prof. J. Przyborowski dał bardzo bogaty zbiór przedmiotów z krzemienia, pochodzący głównie z cmentarzysk przedhistorycznych z nad Wisły, Bzury, Świdra, Tyśmienicy. Lwią część tego zbioru stanowi kolekcya strzałek krzemiennych, która swą ilością oraz rzadkiemi i ładnemi okazami bardzo się wyróżnia i zalicza się do pierwszorzędnych kolekcyi tego rodzaju w Europie. Kolekcya ta jest nadzwyczaj ciekawą, bo zaznajamia nas z okazami epoki, gdy człowiek nie znał użytku żadnych metali; wszelkie narzędzia mu potrzebne, jako też broń, wyrabiał z kamienia, przy pomocy najpierwotniejszych narzędzi. Pomimo to uwydatnia się już wyraźnie gust do ładnych kształtów i linij symetrycznych.

Przypatrując się tym drobniutkim strzałeczkom wykonanym z tak twardego i nie sposobnego do wyrobu materyału trudno nie uwielbiać pracowitości, zręczności i cierpliwości naszych praszczurów. Mamy tu jeszcze z téjże epoki i przedmioty większe rozmiarami,

jak np. śliczne dwa groty krzemienne od dzid, noże duże krzemienne, będące wielką rzadkością, dłuta, kliny, toporki i siekiery z kamienia już gładzonego oraz kilkanaście naczyń grobowych glinianych, między któremi wyróżnia się bardzo ładna urna z cmentarzyska z Grochowa pod Warszawą. Urna ta dość duża o ładnych kształtach z czarnéj gliny i gładkiéj powierzchni, opatrzona zgrabnemi uszami i ozdobiona wklęsłym ornamentem, który i dziś bardzo często na przedmiotach przez lud nasz wyrabianych i ozdobionych spotykamy, nie tylko na domach (na okienicach, szczytach, odrzwiach i ramach okien), ale i na pisankach.

Oprócz wyżéj wymienionych przedmiotów w zbiorze tym spotykamy i przedmioty z bronzu w naszym kraju znalezione, nie liczne, ale bardzo ładne, z nich zaś najciekawszemi są bronzowe zauszнice, w liczbie kilku sztuk, ozdobiajace jedno ucho, i parę ładnie ornamentowanych bransolet.

Po wycofaniu zbioru prof. Samokwasowa, prof. Przyborowski wraz z ordynacyą Zamoyskich nadesłał na wystawę większą ilość okazów z tychże czasów równie z bronzu jak i kamienia; ordynacya zaś sama przysłała mumię egipską bardzo dobrze zachowaną. Z rzeczy krajowych, wówczas przybyłych, wyróżniają się duże szpilki bronzowe i bronzowe ozdoby, które się zdają być ozdobami pochodzącemi z jakiegoś rzędu końskiego lub może z jakiéj wspaniałéj uprzęży.

W szafie, częściowo zajętéj przez zbiory pr. Przyborowskiego, pomieściły się przedmioty nadesłane przez wystawców w mniejszéj ilości.

Z pomiędzy tych przedmiotów na szczególną uwagę zasługują: hełm bronzowy z wsi Krzemiennéj i miecz takiż z Zawadyńców, wykopane przez pana Kazimierza Pułaskiego i będące jego własnością, odznaczające się oryginalnemi formami nadto śliczna patyna. Miecz ten ma wszelkie cechy rzymskiego pochodzenia. Naczynia greckie i rzymskie, na miejscu znalezione, nadesłali p. H. Grant, p. St. Cybulski i K. hr. Przeździecki.

Państwo Wolibner nadesłali dobrze zachowane przedmioty z krzemienia, bronzu i żelaza; z żelaza: dwie bardzo ciekawe „fibuale“ (zapinki); wielka szkoda, iż nie oznaczono miejsca pochodzenia tych przedmiotów. Pan Wojciechowski, p. Sokołowski, p. St. Kłossowski nadesłali po kilka okazów znalezionych w kraju.

Pan G. Saubise-Bisier dał bardzo ładne naczynie bronzowe, prawdopodobnie ofiarne, znalezione pod Koninem i względnie dobrze zachowane, ozdobione wyobrażeniami zwierząt.

K. Hr. Przezdziecki dał jeszcze ładne bronzy, umieszczone na tablicy, oraz dwa pasy ze srebra, znalezione na cmentarzysku we wsi Kupiszkach, w gub. Kowieńskiéj. Oprócz wyżéj wymienionych przedmiotów w tym oddziale mieści się mój własny zbiór przedmiotów z cmentarzysk przedhistorycznych ze Żmujdzi i Litwy, przeważ-

nie zdobytych w czasie badań i uporządkowany gniazdami t. j. grobami. Większość przedmiotów tego zbioru pochodzi z początku żelaznéj epoki w północnéj Europie, oprócz wyrobów z krzemienia i kamiennych toporków, które prawdopodobnie są z epoki, dawniejszéj. Oddziałowi temu poświęciłem więcéj daleko miejsca aniżeli następnym z dwóch pobudek, raz, iż sprawozdania oddział ten najpobieżniej omawiały a powtóre i dla tego, że archeologia przedhistoryczna jest mi najwięcéj znaną i najmocniéj nią się interesuję.

W oddziale drugim spotykamy nadzwyczaj ciekawe kolekcye hr. Emeryka Czapskiego, dr. Rewolińskiego, p. Wiktora Szaniawskiego, p. Ed. Diehla, senatora K. Stronczyńskiego, p. Soubise Bisier i innych.

Numizmatyka zawiera część zbioru hr. E. Czapskiego, który dostarczył kilkaset bardzo rzadkich i ciekawych monet oraz piękne okazy medali polskich od Zygmunta Starego do Stanisława Augusta.

Pan Szaniawski dał 55 sztuk najrzadszych srebrnych monet polskich od Zygmunta Starego do Stanisława Augusta, p. Soubise-Bisier kolekcyą miedzianéj monety polskiéj od Jana Kazimierza (t. j. od chwili, gdy w Polsce zaczęto bić miedzianą monetę) aż do zamknięcia mennicy warszawskiéj.

P. J. Weyssenhoff ruble litewskie, oraz monetki z końca XIV wieku, znalezione pod Wilnem z temi rublami — rzecz bardzo rzadka i ciekawa.

Wreszcie p. N. Miński wystawił calutki „skarb" monet rzymskich który został znaleziony nie daleko Warszawy, składający się z 183 sztuk monet, z czasów Adryana, Antoniusza, Nerona, Vespasiana, Galby, Trajana, Sabiny, Lucilli i Faustyny.—Zdaje mi się, iż jest to jedyny skarb w kraju, który został w takiéj całości jak był odkopany zachowany przez co jest bardzo szacowny dla nauki.

Medale, ordery i znaki masońskie wystawili dr. Rewoliński, hr. E. Czapski, p. Soubise-Bisier i kilku jeszcze wystawców, dających po kilka lub pojedyńcze okazy, zwracają tu szczególniéj uwagę: kolekcya medali od początku panowania Zygmunta Starego do czasów cesarza Aleksandra II. dr. Rewolińskiego, oraz jego kolekcya medali i medalików religijnych, dotyczących kościoła katolickiego w dawnéj Polsce i kolekcya znaków masońskich p. G. Soubise-Bisier.

Sfragistykę przedstawili głównie senator Stronczyński i p. Ed. Diehl, dając na wystawę liczną kolekcyą pieczęci tak równie dyplomach jak i luźne, a obejmujące czas od 1222 do 1800 roku.

Tu się spotykamy z rzeczą bardzo dobrą mianowicie, iż przy każdym okazie, umieszczono kartkę z objaśnieniem czyją jest dana

pieczęć, oraz z jakich lat, co znakomicie dopełnia katalog, w którym sfragistyka jest najsłabiéj traktowana. W tym oddziale znajduje się kolekcya pieczęci i medali, tyczących się ks. Radziwiłłów z Nieborowa, wystawiona przez ks. Michała Radziwiłła.

Oddział III zawierający rękopisma, druki i oprawy książek, mieści się w niewielkiéj salce i został obesłany przez niewielu wystawców, głównie zaś przez ordyn. hr. Zamoyskiego, K. hr. Przezdzieckiego, prof. J. Przyborowskiego i p. Jakóba Giejsztora. Pomimo że oddział ten nie odznacza się ilością okazów (względnie innych oddziałów) w każdym razie posiadał bardzo ciekawe i ładne rzeczy, a przeważnie składał się z nadzwyczaj rzadkich okazów. Spotykamy tu druki polskie 1522 a łacińskie z 1475 roku, drukowane w Krakowie. Śliczne stare oprawy książek i choć nie wiele, lecz bardzo ładne i ciekawe próbki pism staroświeckich z pięknie ozdobionemi pierwszemi literami wystawione przez K. hr. Przezdzieckiego. Piękne były drzeworyty z XVI, XVII, XVIII i klisze drzeworytnicze z w. XVIII, wystawione przez pp. Soubise-Bisier i J. Kossakowskiego.

Oddział IV obejmujący sprzęty i naczynia kościelne przedstawiał się wspaniale i zawierał bardzo ładne i bogate okazy. Widzieliśmy tu prześliczne ornaty, chorągwie, kielichy, relikwiarze, lichtarze, monstracye pastorały i trochę obrazów. Wszystko bardzo ładnéj roboty i o ciekawych formach. A nie rzadko się spotyka z przedmiotem z XV wieku. Najdawniejszym zabytkiem w tym oddziale była rzeźba w drzewie, wyobrażająca Chrystusa, jadącego na osiołku, a umieszczona na wózku o czterech kołach, na którym była wożony podczas procesyi. Ma to być zabytek z XIV. Szkoda tylko, iż ten wóz, który jest bardzo ciekawy i który bardzo charakteryzuje epokę, został przykryty całkowicie makatą a osiołka pomalowano na nowo. Dużo na tem ucierpiał przedmiot.

Począwszy od tego oddziału wszystkie następne zmuszony jestem bardzo ogólnikowo traktować, bo przedmioty oddziałami temi objęte są mi mniéj znane. Interesującym się więcéj przedmiotami znajdującemi się w tych oddziałach, mogę wskazać jako dobrze rzecz przedstawiające sprawozdania pana J. K—g. drukowane w „Tygodniku Illustrowanym“ i takież p. Soubise - Bisser'go w „Przeglądzie Tygodniowym“; sobie zaś zostawiam ogólny rzut oka na pozostałe oddziały.

Oddział V-ty strojów, równający się prawie co do ilości okazów oddziałowi poprzedniemu, nie zawiera przedmiotów z tak odległéj epoki jak tamten, lecz za to znajdujemy tu daleko więcéj przedmiotów misternéj roboty oraz jeszcze większe bogactwo w samym materyale.

Pod względem zaś ilościowym w tym oddziale wyróżniają się kolekcye miniatur, których ks. M. Radziwił wystawił 21 sztuk, pani M. Zawiszyna około 30, pan A. Rosen 12 i wielu jeszcze innych. Oprócz tego widzimy ładne okazy koronek i wszelkiego rodzaju biżuteryi.

Oddział VI, jeden z najobficiéj obesłanych oddziałów, rozmieszczony częściowo, zatrzymuje dłużéj widza nawet najobojętniejszego, bo widzimy tu 30 pasów litych ślicznie zachowanych, a przy zabytkach broni ma amator co oglądać przez dni kilka. Znajdujemy tu zbroje od XV wieku aż do początku naszego stulecia i nie tylko cząstki, lecz i kilka całkowitych. Główniejszymi wystawcami w dziale tym są: hr. Zamoyski, hr. Krasiński panowie Kolasiński tudzież Antoni i Jan Strzałeccy. Gdy dodamy jeszcze że w katalogu dział ten jest najwięcéj szczegółowo opisany, to dział ten można bezwarunkowo uważać za najlepszą część téj wystawy.

Oprócz uzbrojenia i rzędów na konie, znajdujemy tu trochę wyrobów ślusarskich, jako to: zamki i okucia drzwi, które dał p. St. J. Siennicki umieściwszy je na dwóch tablicach oraz trochę pomocniczych przyrządów naukowych jak lunety, kompasy, globusy i t. p.

Oddział VII, obejmujący sprzęty domowe, jest najliczniejszy do niego, zaliczono też i kolekcye osobno wystawione. Z mebli najwięcéj zwracają uwagę: meble z pałaców cesarskich w Warszawie, przeważnie z XVIII wieku; meble z Wilanowa z końca XVII i początku XVIII. Ładne meble, będące własnością ks. M. Radziwiłła oraz okazy wystawione przez panią F. Gebethnerową i br. Kaphera zasługują także na zaznaczenie.

Zegary i bronzy obficie nadesłano a między niemi nie trudno napotkać rzeczy prawdziwie artystycznéj wartości. Nie mniéj dobrze przedstawiają się zastawy stołowe, jako też porcelana, fajans i inne rodzaje glin palonych. Instrumenta muzyczne są najskromniéj reprezentowane, a wśród nich wyróżniają się tylko: fortepian (giraffe) zbronzami Empire, ks. Seroczyńskiego i lira z brzegami inkrustowanemi perłową massą i emaljami wł. ord. hr. Zamoyskich. Makat, gobelinów i dywanów spotykamy mniéj aniżeli innych przedmiotów. Kolekcye tego oddziału należą do: szambel. Lachnickiego państwa M. i M. Bersohnów p. M. Urbańskiego, oraz Muzeum przemysłu i rolnictwa wraz z przedmiotami należącemi do ordynacyi hr. Krasińskich i Ludwika hr. Krasińskiego.

Oto jest ogólny przegląd, oddziałów starożytnéj sztuki, która zajmowała całe pierwsze piętro Muzeum rolnictwa i przemysłu, oraz część piętra drugiego i wschody.

Przy tak bogatym dziale starożytnym wygląda dział nowożytny bardzo ubogo i smutne daje wyobrażenie o produkcyi naszéj

w tym rodzaju przemysłu; najgorsza, że obraz ten zdaje się być prawdziwym. Nie jest to jednak rzeczą anormalną, bo kraj nasz tak dużo sztuki stosowanéj nie potrzebuje, a jeśli ktoś wyjątkowo zapragnie zaopatrzeć się w tego rodzaju przedmiot, to zagranica mu dostarcza rzeczy i pięknych i stosunkowo nie drogich; mimo to wzięło kilka wybitniejszych fabryk udział w tym popisie, przedstawiając próbki swoich wyrobów.

Najpoważniéj wyglądają tu fabryki wyrobów glinianych. Widzieliśmy tu okazy z fabryki Ćmielów ks. A. Drucko-Lubeckiego; piece majolikowe, takież wazony i puhary, trochę porcelany malowanéj. Fabryka pieców w Mszczonowie wystawiła dwa piece i różne gatunki kafli. W końcu wskazać trzeba wyroby majolikowe z fabryki Nieborowskiéj ks. M. Radziwiłła oraz kilka wyrobów z drzewa, wykonanych w Nieborowie w stylach dawnych.

Fabryka Z. Floryanowicz i S-ka dała figurki terrakotowe malowane i niemalowane, bardzo dobrze wypalone oraz z pewnym wdziękiem wykonane

T. Werner i S-ka dał kilka bardzo ładnych okazów w srebrze i bronzie, wykonanych miejscowemi siłami. Widzimy dalej wyroby srebrne, wykonane w fabryce S. Klimowicza. Wreszcie oprócz wyrobów obcokrajowych, które są bardzo ładne, lecz nie tyle nas interesują co wyroby krajowe, znajdujemy tu wystawców a głównie wystawczynie, które są już doskonale znane publiczności warszawskiéj, bo okazujące swe dzieła na wszystkich wystawach, które się urządzają w Warszawie, mówię tu o paniach malujących na porcelanie, atłasach, aksamitach, skórach, i t. d. i t. d. słowem wszędzie i zawsze na powierzchniach płaskich lub wypukłych, bez względu czy taki malunek upiększa lub oszpeca przedmiot. Zapewne pracowitość i dobre chęci tych pań są godne podziwu, ale toż to nie jest sztuką nawet stosowaną kopiować na wszelki możebny sposób wzorki zagraniczne nie najlepszego smaku.

W ogóle smutne myśli nasuwa dział nowożytny, bo nic w nim nie spotykamy oryginalnego i ani cienia pomysłowości, tylko zawsze lepsze lub gorsze naśladownictwo czegoś. Tem smutniéj iż nie brak materyału to powoduje, bo dość jest spojrzeć na rzeczy ozdobione przez naszych Wojtków, Bartków, Kaśki i Marysie, by mieć oryginalne i charakterystyczne a całkiem nie zużyte moty wydeseni i form, które w wielkiéj liczbie oczekują tylko artystycznego wykonania. Sądzę, iż wyżéj zaznaczony objaw powoduje niewiara w dobroć i piękno tego co swojskie z zupełną nieznajomością tego, co nasze.

Kończę ten opis wystawy życzeniem ażeby przyszła, jeśli kiedy jeszcze będzie, nie tak pospiesznie była urządzana, aby katalog był więcéj pouczający oraz aby była przystępna jak najszerszemu ogółowi t. j. aby bilet wejścia nie był tak drogi.

Warszawa 25 stycznia 1890 r.

Wojna Rzeczypospolitéj polskiej z Turcyą *)

w latach 1672 i 1673-im

przez

Konstantego Górskiego.

Sobieski przebywał w Jaworowie do 14 września, śledząc ciągle za ruchami nieprzyjaciela [1]), któremu, gdy się już blisko podsunął, musiał z drogi ustąpić. Wyjechał tedy 15-go przez Potylicz do Rzeczycy, gdzie go już czekało wojsko, zapewne usarze, z którymi udał się do Hrubieszowa dla połączenia się z resztą kwarcianych [2]). Dn. 29-go wrz. zajął z rozkazu króla, stanowisko, pod Krasnostawem [3]), zdaje się dla zasłonienia osoby monarchy przed nieprzyjacielem [4]). Tu doniosły mu „języki“ jakoby kilkadziesiąt tysięcy Ordy miało wkrótce podpaść pod obóz, w celu wyszukania wojska polskiego. Wiadomość ta zdała się uzasadnioną, gdyż 4-go października napadli tatarzy na chorągiew, stojącą na straży w Krynicy pod Zamościem i gnali ją aż pod sam obóz. Być może, że tatarzy przez rozsiewanie mylnych wieści i przez ten napad na chorągiew polską chcieli nastraszyć Polaków i powstrzymać ich w miejscu nim swéj igraszki nie skończą. Pomylili się jednak mocno; Sobieski bowiem nie należał do tych wodzów, coby się dali lada wiadomością w błąd wprowadzić, wolał on iść prosto w oczy nieprzyjacielowi. To też, odprawiwszy obóz na miejsce bezpieczne pod Krupą, wyruszył zaraz nazajutrz t. j. 5-go października komunikiem ku Zamościowi [5]). Nie dochodząc jednak téj fortecy, zatrzymał się

---

*) Ciąg dalszy. Zob. zesz. za mies. luty r. b.

[1]) Ambr. Grab. Oycz. Spom. T. II. s. 345 i 347. [2]) Akta s. 1071. i 1074. [3]) Tamże str. 1078. [4]) Tamże s. 1081. [5]) Tamże s. 1090.

dla wytchnienia koniom w Sitańcu, gdzie dowiedział się „od języków", których mu Zawisza z podjazdu przyprowadził całéj prawdy, a mianowicie: że tatarzy czambułem sie bawią [1]).

Istotnie, podzieliwszy się na trzy wielkie partye i założywszy „kosze" w Niemirowie, Komarnie i jeszcze gdzieś za Dniestrem, rozsypali się tatarzy na rabunek w kształcie wachlarza po całéj Rusi. „Kosze" stanowiły niejako miejsca zbioru zagonów i jassyru t. j. łupu. Były też zwykle przez osobne wyborowe oddziały tatarskich junaków strzeżone [2]). Z Niemirowa rozbiegły się zagony do Krasnobrodu, Ulanowa, Krzeszowa, Jarosławia i Przemyśla [3]); z Komarna, w okolice Sanoka, Liska, Kraśna i Bieczec [4]); z kosza zaś zadniestrzańskiego w góry, których ludność, uważając siebie za zabezpieczoną przez miejscowość, siedziała w domu i wskutek tego dostarczyła wrogowi najobfitszego plonu. Podział tak foremny i prawidłowy tatarów na partye i zagony świadczy, że znali doskonale geografią Rusi.

Sobieski zajmował względem nieprzyjaciela stanowisko bokowe; idąc więc z północy na południe, przerzynał mimowolnie ich szlaki i natrafiał na kosze. Oryentować się mógł podług ognisk, które tatarzy rozpalali w tych wioskach, gdzie się rabunek odbywał. „Kosze" zaś znajdywały się zwykle za tą linią ognisk, gdzieś w tyle. Atoli i kosze tatarskie przedstawiały jeszcze siłę imponującą (od 10—15 tysięcy głów) i trzeba było bohaterskiéj odwagi, ażeby z garścią żołnierzy, jaką miał Sobieski, nieprzenoszącą półtrzecia tysiąca pokusić się o walkę z sześć razy liczniejszym nieprzyjacielem, który mógł go łatwo otoczyć i znieść do szczętu. Z drugiéj znowu strony: zwyciężyć tatarów było to maczugą w powietrze uderzyć; gdyż po porażce rozbiegali się ci rabusie w różne strony, i to nietylko wtył, po za siebie, ale i w boki i naprzód przed siebie uciekali. Niedarmo też mówił Żółkiewski, że z tatarami bić się jest to to samo, co ptaki niebieskie wojować; zabijesz jednego, dwóch, reszta się rozleci. Łatwiéj było z jassyrem, gdyż w razie trwogi i niebezpieczeństwa, tatarzy go porzucali, dla ułatwienia sobie ucieczki; ale niełatwo było wyłowić wszystkie zagony. Gdy Polacy na kosz napadali, inne spóźnione zagony mogły uchodzić po za plecami, zboku i t. p. Trzeba więc było wydzielać od głównych sił podjazdy, dla wyszukiwania i przéjmowania pojedyńczych zagonów: chlubą jednak dla wodza już i to było, gdy zdziałał, chociażby i nie tyle, ile chciał dokonać, to przynajmniéj to, co się dało w danych warunkach i okolicznościach.

Z tą zapewne myślą wyruszył Sobieski [5]), z 5-go na 6-ty paź-

---

[1]) A. Grabowski: Oycz. Spom. T. I. s. 191. [2]) Akta s. 1084. Patrz mapkę. [3]) Oycz. Sp. T. I. s. 192. [4]) Tamże s. 193. Patrz mapę. [5]) Ustęp o pogromie tatarów ułożyłem na podstawie listów Sobieskiego do króla z dn. 6-go października

dziernika, na całą noc, w deszcz ulewny, ku Krasnobrodowi, dokąd go powoływała łuna pożarów. Zastał tu istotnie grasujących tatarów, ale nim doczekał dnia, aby na nich napaść, uprzedził go Haneńko, który przypadłszy od Zamościa, nie tyle ich zniósł, ile spłoszył, tak że żołnierzom hetmańskim pozostało bić i zabierać do niewoli tylko resztki rozpierzchłych po chałupach i lasach. Rozesłał też hetman podjazdy, dla przejmowania mniejszych partyi, z jednéj strony pod Turobin i Zwierzyniec, a w drugą, w województwo Bełzkie. Tymczasem tylko ten ostatni podjazd natrafił na nieprzyjaciela i kilkaset głów jassyru u niego odbił.

Występując 6-go października z Krasnobrodu, wezwał Sobieski do towarzystwa Haneńkę; lecz chytry kozak, który siętylko przechwalał, wiele obiecywał, mołojców swoich królowi powielekroć prezentował, żołd i podarki odbierał, nie usłuchał wezwania. Sam tedy hetman obrócił się ku Narolowi, zkąd ujrzał łunę pożarów, ciągnących się po nad Sanem, od Jarosławia aż ku Przemyślowi. W Narolu trafił na dwa powracające zagony i posłał za niemi Łaska z pułkiem ks. Ostrogskiego, który ich pędził i siekł do saméj nocy. Wielu tatarów potonęło w Tanwi, wielu po szlakach trupem padło. Żołnierzom dostało się bydła i bachmatów niemało. Jassyru odbito na 2000.

Wytchnąwszy kilka godzin pod Narolem, ruszył hetman przed północą ku Cieszanowu, który podobnie jak Lubaczow, w płomieniach zastał. W drodze dowiedział się od języków przez pierwszą straż pojmanych, że przodem uchodzi do Lwowa z jassyrem, pod Tarnogrodem zebranym, Dziambet Girej sułtan. Posławszy tedy ku Lubaczowu rotmistrza Łaznickiego, sam z wojskiem poszedł na Radruż ku Niemirowu, z zamiarem zabieżenia drogi Dziambet Girejowi. Pod Bruśnią natrafił na koczowisko tatarów, gdzie znaleziono mnóstwo porzuconych dzieci i bydła. Idąc daléj przez Horyniec do Radruża, postrzegli polacy odwod tatarski, ale nie pokazując się jemu, pędzili daléj i nareszcie nagonili tatarów. Ażeby ich od Niemirowa odciąć, posłał hetman z téj strony Linkowicza, w oczy zaś im komenderował kilkaset towarzystwa, za którymi kazał następować w posiłku Strainikowi i chorążemu koronnemu, tudzież Kozubskiemu i Borzuchowskiemu. Temi z różnych stron skierowanemi siłami napędzono tatarów na bezdroża i trudne przeprawy, w skutek czego tatarzy, porzuciwszy jassyr, sami gdzie ich oczy niosły, na

---

z Krasnobrodu, z dn. 8-go t. m. z pod Niemirowa, z dn. 10-go z pod Komarna i z dn. 14-go z pod Kałuszy, a także, opierając się na „Dzienniku pogromu tatarów, od Krasnobrodu do Kałuszy", zamieszczonym w aktach od str. 1082 — 1096, tudzież posiłkowałem się: „Dyaryuszem ekspedycyi wojska koronnego przeciwko tatarom grasującym i zagonom powracającym od 8 do 19 października 1672 roku". Ambr. Grabowskiego Oycz. Spom. str. 190 do 197 str.

pięć szlaków wprzód, wzad i w strony, konno i pieszo w lasy uchodzić poczęli, konie zaś nietylko zdobyte, ale i własne bachmaty porzucali. Wielką klęskę ponieśli tu tatarzy. Dzieci, kobiet i różnego ludu na 12000 odbito. Sam Dziambet Girej ledwie że życie uniósł. Łaźnicki też kilkaset jassyru odebrał. Na jeden z oddziałów naszych, ścigających nieprzyjaciela, rzucił się zagon tatarski, stroną powracający, ale Strożnik i Chorąży koronni, przypadłszy złamali tatarów i w lasy rozproszyli. Resztę niedobitków, uciekających ku Lwowu, komendant Jaworowski, wypadłszy z zamku, rozgromił i kilkaset pozostałego przy nich ludu odebrał.

8-go października stanął Sobieski pod Kochanówką, a ztamtąd 9-go ruszył na Bruchnal ku Gródkowi. Tu dowiedziawszy się od pojmanego tatara, że jeden z zagonów, świeżo Gródek minąwszy, uchodził z plonem ku Lwowu, posłał za nim we 20 koni Pukoszewskiego, który dogoniwszy go pomiędzy Gródkiem a Zimnąwodą pogromił i jassyr odebrał. Sam hetman ku Komarnu spieszył, gdzie, sądząc z doniesień, spodziewał się zastać kosz Naraddyna sułtana, który miał tamże oczekiwać powrotu swych zagonów dla rozdzielenia zdobyczy. Naraddyn miał w swoim oddziale około 10,000 tatarów krymskich, 4000 tatarów litewskich i około tysiąca kozaków, semenów i janczarów. Wojsko zaś polskie, zrobiwszy 8 mil po najokropniejszych drogach i przeprawach, było niezmiernie strudzone. Pomimo to, wezwawszy Boga na pomoc, uszykował Sobieski wojsko i poszedł na nieprzyjaciela dwoma skrzydłami. Na czele lewego biegło kilkaset wybranego towarzystwa, a za niemi w posiłku strażnik koronny ze swoim i ks. Ostrogskiego pułkiem. Sam hetman z prawym skrzydłem zachodził tatarom z boku. Już z bliskich wsi wypłoszeni barbarzyńcy jassyr rzucali i do kosza uchodzili. Sam sułtan, widząc idących wprzodzie nielicznych polaków, myślał, że to wycieczka z Komarna; postrzegłszy jednak swój błąd, gdy usłyszał odgłos muzyki marsowéj, wyprawił jassyr przodem i zamierzał się bronić; ale mu już nie pozostawiono czasu dostatecznego. Widząc tedy rezolucyą żołnierza polskiego, starłszy się z lekka, rzucił się szybko do ucieczki i to nie w tył, a naprzód przez Rudkę ku Przemyślu, krążąc błotami; lasami i nieprzebytemi drogami, a w końcu przebywszy nawet Dniestr, po za Samborem przebrał się do Adży Gireja, który w tamtéj stronie czambułował. Ludzie jego rozsypali się po błotach i lasach, zkąd ich chłopi wywlekali i zabijali. Trupów po szlakach tamże było pełno. Uwolniono dnia tego do 20,000 szlachty, szlachcianek, księży, a co najwięcéj kobiét i dzieci. Wzięto tu dwie chorągwie, z których jedna sułtańska. W ten sam czas, gdy sułtan uciekał, 500 ordy, swój kosz na stronie mającéj, porzuciwszy koło tysiąca jassyru, poczęło uchodzić; wpadłszy atoli na bardzo złą przeprawę, przez staw Komarzyński, większa część tamże potonęła.

Sobieski, powziąwszy 10-go października wiadomość, że Adżi Girej, którego oddział za Dniestrem rabował, jak tego dowodziły ognie po tamtéj stronie widziane, a sądząc, że oddział ten będzie musiał przez Dniestr przechodzić, dla połączenia się z Chanem pod Lwowem, chciał mu przegrodzić drogę na przeprawie pod Rozdołem. W tym celu kazał most Komarzyński naprawić. Robota ta ukończoną została w nocy z 10-go na 11-ty października. Lecz gdy 11-go część wojska już się przeprawiła za stawy, przybiegł nagle chłop, zbiegły zręcznie z kosza tatarskiego w Hruszowéj, i oznajmił hetmanowi, że Adżi Girej niezliczony plon ludzi, bydła i koni z Podgórza prowadzi. Zaraz tedy Sobieski kazał przeprawionemu wojsku nazad powracać, sam zaś z kilku chorągwiami udał się ku Dniestrowi, który zdawał się nieprzebytym, gdyż na dwie prawie rozlał się mile a most na nim zupełnie wskutek tego był zrujnowany. Gdy jednak już zwątpił prawie o możności dostania się na drugą stronę, chłop jakiś z Łąki obiecał za dobre wynagrodzenie potrzebny bród wskazać. Lubo bród wskazany tak był głęboki, że w wielu miejscach płynąć wypadało, udało się jednak przebyć szczęśliwie tę trudną przeprawę.

Nazajutrz tedy (12 go października do południa), wszystko wojsko już na drugiéj stronie Dniestru się znalazło. Na tém jednak miejscu, na które chłop wskazywał t. j. w Hruszowéj, nie znaleziono już tatarów; poszedł tedy hetman za nimi ku Drohobyczy, a powziąwszy wiadomość, że Adżi Girej pominął to miasto i zmierza dalej na Bolechów i Dolinę, puścił się za nim na całą noc w pogoń. Minął Stryj przededniem, w Bolechowie był w południe, a na noc stanął w Dolinie. Z tych wszystkich zameczków strzelano do wojska, uważając je za tatarskie, a w Stańkowie, gdy tę wieś polacy mijali wysypało się kilkuset chłopów w pole, srodze strzelając. Przenocowawszy za Doliną, o pół mili od Rozniatowa i o 1½ mili od Kałusza, dowiedział się Sobieski, że Nuraddyn tylko we 2000 koni połączył się z Adżi Girejem pod Bolechowem, z ognisk zaś widać było, że obydwaj zmierzali ku Haliczowi, mimo Bednarowskich lasów, sławnych już dawniejszémi klęskami tatarów. Posłał tedy hetman zaraz do bliższych zameczków: Kałuszy, Rożniatowa i Nowicy, aby chłopi na gwałt z orężem, jaki kto mieć mógł, w lasy Bednarowskie na całą noc ruszali, sam zaś, jak tylko księżyc zeszedł, udał się w pochód po bardzo złych drogach i przeprawach, tak dalece, że prawie trzecia część wojska, nie mogąc za nim podążyć, w tyle pozostała. Zbliżywszy się na godzinę przed wschodem słońca do tatarów, ordynował Boruchowskiego z jednéj, a Kozubskiego z drugiéj strony, aby boków pilnowali, z przodu zaś posłał pułk wojewody ruskiego. Zmieszali się tatarzy, obaczywszy wojsko polskie, ale jassyru puścić się im nie chciało, aż kiedy postrzegli pułk Strażnika koronnego, a za nim i samego hetmana z husarzami i gdy muzyka marsowa zagrała, zaczęli się chwiać. Wprawdzie sami sułtanowie,

murzowie wszyscy i dwór ich na odwodzie stali i chcieli na jakiś opór się zdobyć, ale wojsko nie dało im czasu, a lubo tatarów co najmniej 8000 było, a u hetmana ledwie półtora tysiąca, tatarowie poczęli uciekać ku Bednerowskim lasom, gdzie wojsko nasze na głowę ich pogromiło. Zabrano im wszystkie chorągwie, drogi i lasy trupem zasłano. Koniuszy, podskarbi i inni prawie wszyscy dworscy od boku obu sułtanów żywcem wzięci. Ostatek chłopi tudzież dragoni i pachołkowie z lasów wywłóczyli i zabijali. Jassyru do 10,000 odbito.

Na miejscu odniesionego zwycięztwa dał Sobieski dwudniowy odpoczynek wojsku, które długą pogonią za lotnym nieprzyjacielem tak dalece wynędzniało, że ledwie połowa koni mogła służyć do dalszéj drogi i wielu towarzystwa musiało iść piechotą. W ludziach szkody prawie że niebyło, prócz kilku rannych towarzyszy i czeladzi. Hetman, dziękując Bogu za zwycięztwo, przy muzyce wojskowéj, kazał odśpiewać tu na odpoczynku: „Te deum laudamus". Ztąd też wyprawiono Złotnickiego, cześnika Poznańskiego do króla z jeńcami, trofeami i prośbą o łaskę, tudzież o wyznaczenie miejsca na leże i chleby zimowe.

16-go października wojsko ruszyło w pochód i przeszedłszy Kałusz, nocowało dwie mile od tego miejsca. 17-go szło daléj i nocowało na Wojniłowskich polach; 18-go zaś stanęło pod Sokołowem; a 19-go przybyło pod Hoszowę, gdzie miało czekać powrotu Złotnickiego.

Tak się skończyła ta świetna wyprawa, któréj podobnych niewiele się znajdzie w historyi wojennéj, z wyjątkiem chyba ostatnich Amerykańskich rajdów. Garść polskich bohaterów, w liczbie 2500 koni, przebiegłszy w 8 dni przeszło 300 wiorst najfatalniejszéj drogi, przy niesłychanych niewczasach i trudach, goniąc wroga w dzień i w nocy, wśród deszczów i zimna, prawie nie śpiąc, ani razu się nie rozbierając, ognia nieniecąc, mało ledwie co jedząc, bo w spustoszałym kraju o chleba bochenek było trudniéj, niż o tysiąc tatarów, w kilku potyczkach zniosło szesnaście razy liczniejszego nieprzyjaciela, (liczyć go bowiem wypada przynajmniéj na 40,000, gdy polaków nad $2^1/_2$ tysiąca nie było), nabrało prócz tego mnóstwo trofeów i jeńców, a w końcu odbiło do 50,000 chrześcian, w jassyr już gnanych.

I któż tu nie uchyli czoła przed walecznymi wojakami i wielkim ich wodzem, uczuwając mimowolny podziw i uwielbienie dla śmiałości, męztwa, rzutkości i bystrości oka i decyzyi, dla wytrwałości nareszcie, z jaką hetman W. koronny, nie szczędząc ani swego zdrowia, ani sił swych żołnierzy, zdołał doprowadzić dzieło zagłady wroga do możliwych granic. Wytępiono tatarów od 20—40 tysięcy, gdyż Selim Girej prowadził do domu 60,000 a musiało ich być od 80—100 tysięcy.

A jednak współcześni ledwie cień rycerskiéj sławy tym świetnym zwycięstwom przyznawali, kładąc ten pogrom tatarów przez Sobieskiego między dzieła całe pomierne i nie wiele znaczące [1]). Były to bezwątpienia opinie i sądy partyi królewskiéj, która w swém stronniczém zaślepieniu, nie mogła się podnieść do uznania zasługi wielkiego wodza i walecznych jego żołnierzy. A przecież byli to jedyni mężowie w Rzptéj, którzy wśród powszechnego sobkostwa, ospałości i odrętwienia nieśli zdrowie i życie w ofierze na ołtarz ojczyzny, przez obcą politykę i antagonizm możnowładczych domów nad otchłań otwartéj już przepaści przywiedzionéj. Prawda, że i rola Sobieskiego w tych matactwach polityki francuzkiéj nie chwalebna: ale cóż lepszego robiło stronnictwo szlacheckie, narodowe pod wodzą t. zw. patryotów krzyczące?

Zamiast spieszyć na ratunek zagrożonéj w swym bycie Rptéj i stanąć jak jeden mąż w obozie na termin zapowiedziany, rycerstwo, pod wpływem zmyślonych i niedorzecznych wieści, chwieje się czy ma w pole wychodzić lub nie; samowolnie zmienia sobie termin swego zbioru i ledwie wtenczas, gdy już całe prowincye wpadły w szpony nieprzyjaciela i gdy on na dobre grasował po kraju, ściąga się do obozu pod Gołębiem.

Około 25 września znajdujemy w okolicach téj wsi rzesze szlacheckie, przeważnie zapewne Małopolan, na sześciomilowéj przestrzeni rozłożone [2]), które jednak, uchylając się od nienawistnéj sobie dyscypliny, gdyż już byli wyznaczeni urzędnicy obozowi, jak: oboźny, sędzia i strażnik [3]), do obozu iść nie chcą.

2-go października, staje król w obozie, przeprawiwszy się przez Wisłę [4]), a na usilne jego rozkazy przenoszą się tamże 5-go października, przebywszy rzekę i Wielkopolanie. Województwa płockie i mazowieckie zostają jeszcze pod Łysobokami [5]). Takim sposobem około 5-go października, zebrało się w obozie pod Gołębiem do 80,000 pospolitego ruszenia [6]). Miało ono przy sobie 3000 wojska królewskiego, 2000 kozaków Haneńki w Zamościu i niewiadomo ile chorągwi powiatowych [7]). Wojska te były niezbędne przy wyprawie narodowéj, dla odbywania służby strażniczéj i zwiadowéj, któréj niewprawieni do niéj pospolitacy pełnić nie mogli.

Gdyby te siły zebrały się jak było rozkazano 15—20 sierpnia i to nie dla igraszki, a istotnie dla wojny, mogłyby były wielką przy-

---

[1]) Konf. Goł. s. 169. [2]) Ojcz. Sp. T. II. s. 184. [3]) tamże s. 179. [4]) tamże s. 182. [5]) tamże s. 184. [6]) Akta s. 1132. [7]) Oj. Sp. T. II. s. 180.

sługę ojczyźnie okazać, a może nawet najezdnika za próg wyrzucić. Należało tylko komendę nad wojskiem regularném, połączywszy wszystkie rozrzucone po różnych miejscach oddziały (wyniosłyby razem około 8000 ludzi), poruczyć Sobieskiemu, za którym mógłby iść król z pospolitém ruszeniem. W całym składzie wyprawa narodowa niewiele była warta, ale można było z niéj wybrakować kilka tysięcy dzielniejszych rycerzy. Z Gołębia do Buczacza będzie około 400 wiorst drogi. Przestrzeń tę mogłoby wojsko polskie we 40 dni przebyć, licząc po 10 wiorst na dzień marszu, co przy niesforności ogromnych tłumów posp. ruszenia z ciurami i obozami, za mało nie będzie. Przybybyliby więc polacy do Buczucza około 25 września t. j. w chwili, kiedy przeszło dwie trzecie wojska cesarskiego znajdowało się pod Lwowem. Jakie zostawały siły przy cesarzu, nie wiadomo; ale gdyby nawet miał po swéj stronie liczebną przewagę, to wyższość wodza była po stronie polaków; ani bowiem Mahomet IV, ani jego wezyr, W. Achmet Kieprili, nie mogli się mierzyć z Sobieskim co do talentu wojennego. Szanse więc powodzenia były i należało spróbować. Ale podobne przedsięwzięcie wymagało trudu i znoju, ofiary krwi i życia, a nadewszystko tego ożywczego ognia miłości ojczyzny, który już wygasł w szlachcie, wspólnie z innemi cnotami rycerzy Grunwaldzkich. Zamiast więc bronić ojczyzny, stanęło rycerstwo w obronie króla, do czego chwila obecna wcale odpowiednią nie była. Zawiązawszy się w koło konfederackie, pod laską Stefana Czarnieckiego, wyrodnego synowca sławnego bohatera z epoki wojen szwedzkich, żołnierze pospolici, zamiast wojować i bić się z wrogiem, rozprawiali, pobrzękując szablami, strzelali z pistoletów i nawet siekli, tylko nie turków a swoich antagonistów, a nadewszystko srożyli się na malkontentów i pisali groźne na nich dekreta, Stefan Czarniecki, umierając jako wytrwały zwolennik i nader gorliwy popleczník polityki francuzkiéj w Polsce za Jana Kazimierza, nie spodziewał się, że synowiec jego z taką zawziętością z tém cudzoziemskiém stronnictwem walczyć będzie.

Król Michał tymczasem zamiast stanąć na czele posp. ruszenia i prowadzić je na wroga, sam poddał się pod kierownictwo szlachty, potakiwał jéj czynom i podpisywał uchwały. Z turkami woleli rozprawić się ci rojaliści nie szablą, ale za pomocą traktatów i przez posłanychdo Buczacza komisarzów, zawarli z nimi 18 paźdz. traktat pokojowy, ustępując im Ukrainy i Podola z Kamieńcem, tudzież przyjmując na siebie obowiązek płacenia dwudziestu dwóch tysięcy czerw. złr. rocznego haraczu [1]). Za to wszystko ogłosił sułtan przez swoich heroldów w obozie przebaczenie królowi polskiemu.

---

[1]) Hammer s. 388 utrzymuje, jakoby polacy obowiązali się wypłacać 200,000 dukatów turkom.

Lubo traktat Buczacki słusznie jest uważany za sromotny dla Polski, pospieszyli polacy z podziękowaniem Mahometowi IV-mu chyba za to, że zadowolnił się dwoma prowincyami, kiedy mógł całą Rptą zagarnąć i że poprzestał na haraczu dwudziestu dwóch tysięcy czerwonych złotych, których nawet nie otrzymał, kiedy mógł posiąść wszystkie skarby, nagromadzone po prywatnych domach i kościołach. Niełatwo wytłumaczyć sobie tę dziwną u turków i tak niezwykłą wstrzemięźliwość. Być może że sułtan to, co zrobił uważał za pierwszą część ogólnego planu rozszerzenia swego państwa od Indyjskiego oceanu do Baltyckiego morza, odkładając resztę na przyszłe lata, w nadziei, że ta Polska, z którą miał do czynienia, omdlała i bezbronna z rąk mu już nie ujdzie. Być też może, że go wstrzymała spóźniona pora do dalszego prowadzenia działań wojennych, chociaż i tu sam sobie powinien był winę przypisać, gdyż po wzięciu Kamieńca, zostawało mu jeszcze dużo czasu, sposobnego do wojny, którego część na polowaniach zmarnował. Podług przewidywań Sobieskiego, które się na szczęście nie sprawdziły, miał sułtan porę wojenną do S-go Marcina (11 listop.). Nie spotykając w ciągu tego czasu nigdzie żadnego oporu, a więc i godziny się nie zatrzymując, mógł łatwo zajść do Gdańska. Utracił w ten sposób cesarz turecki jedyną pomyślną chwilę, jaka się nadawała do spełnienia jego rozległych zamiarów; chwile zaś pomyślne zdarzają się bardzo rzadko na wojnie i kto z nich korzystać nie umie traci je na zawsze.

Nic też wielkiego nie sprawił Mahomet IV ze swą wielką armią. Zdobył wprawdzie Kamieniec—twierdzę niedostępną, ale widzieliśmy, że to się stało wskutek niedołężnéj obrony. Potem siedząc w Buczaczu bawił się podbijaniem sąsiednich zameczków, jak: Jazłowiec, Trębowla i nawet takich kurników, jak: Budzanowo, Złotniki i Janów, resztę czasu poświęcając polowaniu i kiejfowi. Rzecz widoczna, że ów wielki zdobywca, który po Gdańsk wyciągał rękę, był sobie wschodnim sybarytą, w którego głowie, może pod wpływem haszyszu roiły się marzenia o wielkich czynach, ale którego rozum i charakter nie nadawały się wcale do ich urzeczywistnienia. Był to godny współzawodnik konfederatów Gołąbskich, a wszyscy razem byli to wyrodni potomkowie wielkich przodków.

Po połączeniu się 15 października Chana i Kapłana baszy, którzy 6-go tegoż miesiąca wystąpili ze Lwowa [1]) i po zawarciu pokoju z polakami, cesarz 20 października wyruszył z całą swoją armią z Buczacza. W wielkim nieładzie i bez żadnego szyku pochodowego szło to wojsko Cesarskie na Zbrzyż i Krzywcze do Żwańca [2]),

---

[1]) Akta s. 1112. [2]) tamże s. 1117 i 1119.

zkąd po 6 tygodniach pochodu i 34 dniach marszu, wróciło 9-go grudnia do Adryanopola [1]).

Konfederaci Gołąbscy, po burzliwych posiedzeniach i hałaśliwych rozprawach, które dziesięć dni trwały, przenieśli się 18-go października do Lublina, podobno z zamiarem ruszenia na nieprzyjaciela. W samą porę się wybrali, tego bowiem dnia został podpisany pokój Buczacki. Gdy jednak król zamyślał udać się w dalszą drogę do Zamościa, „oparli się temu Wielkopolanie, niechcący ciągnąć do kraju ogłodzonego [2])". Skoro tedy na wojnę iść nie chcieli a rozpraw politycznych dosyć już mieli, gdy nadto co tylko było żywności w bliższych i dalszych okolicach Lublina politykujące rzesze zjadły a w listopadzie pora dżdżysta i zimna następowała, nie pozostawało pospolitemu ruszeniu jak rozjeżdżać się do domów. To też od początku listopada zaczęli się pp. konfederaci wymykać z Lublina, a 7-go listopada już prawie nikogo nie pozostało, z wyjątkiem deputatów, których przy marszałku zostawiono [3]). Ci deputaci, zgodnie z królem i senatorami ułożyli i podpisali reces Lubelski, mocą którego na dzień 4-ty stycznia roku następnego 1673-go, pod tymże marszałkiem zwołano Radę do Warszawy, wyznaczywszy na wrogów króla i ojczyzny sąd, na podobieństwo trybunalskiego [4]).

Król wyjechał do Warszawy 11-go listopada [5]), wojsko zaś konfederackie, owe chorągwie powiatowe, długo jeszcze, włócząc się od wioski do wioski, w okolicach Lublina „co niezrujnowało pospolite ruszenie.... oni chłopów do ostatka doduszali. I niewiadomo jak długoby te łupieztwa trwały, gdyby ich wojsko kwarciane, blisko w te strony następujące niespłoszyło [6])".

Nie wdając się w głębszy rozbiór konfederacyi Gołąbskiéj, będącéj zjawiskiem, należącém do sfery polityki, którą się jako żołnierz krytycznie zajmować nie myślę, przytoczę tu zdanie o niéj biskupa Trzebickiego, znanego patryoty, męża zacności wielkiéj, niepopierającego fakcyi francuzkiéj, ale nie schlebiającego deklamacyom t. zw. patryotów, który mówi: „że pospolite ruszenie trzy miesiące nad Wisłą bawiło się sądami i głupiemi konsultacyami, — rzecz żałośna. Ten winien, kto im kołować pozwolił, a mając 80000 wojska, przynajmniéj kilkunastu tysięcy ludzi świeżych nie posłał do p. hetmana. A to tandem ta incondita multitudo, kraj *modo hostili* spustoszywszy i nieprzyjaciela nie widziawszy, *rebus infectis* rozjechała się [7])".

---

[1]) Ham. s. 190 i dod. VII do tejże stronicy. [2]) Oy. Sp. T. II. s. 188. [3]) Akta s. 1125. [4]) Konf gol. s. 194. [5]) Akta s. 1126. [6]) Akta s. 1126 i 1127. [7]) Akta s. 1132.

W konfederacyi gołąbskiéj potępiamy to zjawisko, że rzekomi obrońcy króla Michała i wolnéj elekcyi, któréj nikt na seryo nie zagrażał, przeistoczyli żołnierzy w politykujące i sejmikujące zastępy. Przykłady z przeszłości niemogą usprawiedliwić tego faktu, chwila bowiem była zanadto poważną, ażeby dopuszczać podobnéj igraszki. Ale miała ona i dobrą stronę, mianowicie przez to, że malkontentów, burzących się przeciw królującemu monarsze, a służących ślepo polityce francuzkiéj, wyzyskującéj antagonizm naszych możnowładzców i dezorganizującéj coraz niebezpieczniéj nasze wadliwe instytucye republikańskie, że mówię, konfederencya gołąbska umysły nieco do upamiętania przywiodła. Malkontenci, na których czele stał prymas Prażmowski i hetman W. kor., Jan Sobieski, widząc się w mniejszości wobec połączonych przeciwko sobie wszystkich stanów, z Litwą i królem na czele, przycupnęli przed siłą, tak jak gdyby gotowi byli pogodzić się z faktami dokonanemi.

Na mocy recesu lubelskiego, rozpoczęły się dnia 4 stycznia 1673 roku posiedzenia rady związkowéj w Warszawie. Ze skruszonemi już malkontentami w Warszawie i u prymasa w Łowiczu, rozpoczęły się rokowania, które po długich i kłopotliwych, często się rozmiętniających transakcyach, doprowadziły nareszcie do kompromisu, zawartego 1-go marca, za pośrodnictwem i na pokojach królowéj a podpisanego 13 marca 1673-o r., mocą którego, wszystkie postanowienia konfederacyi gołąbskiéj przeciwko malkontentom wydane, zniesione zostały, konfederaci zaś poprzysięgli, że nic szkodliwego, ani przez siebie, ani przez namówione od nich osoby, przeciwko panowaniu króla czynić nie będą [1]).

Gdy już rzeczy skłaniały się ku zgodzie między stronnictwami i uważano za możebne, wziąść pod obrady: obronę Rptéj od nieprzyjaciół Krzyża Ś-go, Sobieski, na prośbę podkanclerzego przedstawił na piśmie projekt o środkach, które należało przedsięwziąć przed rozpoczęciem nowéj wojny z turkami [2]). Projekt ten, czytany 5-go marca, zawierał rady następujące [3]):

Prosić o pomoc panów chrześcijańskich.

Prosić cara i króla Perskiego o wydanie wojny turkom, proponując im związek zaczepny i odporny.

Wezwać cesarza niemieckiego, ażeby kroki wojenne, ze strony Węgier, rozpoczął.

Doroszence ustąpić czasowo Ukrainę, aby go oderwać od turków.

Dla tatarów litewskich (Lipków), którzy się turkom oddali, amnestyą ogłosić.

---

[1]) Konf. goł. od 208—230. [2]) Ambr. Grabowski „Ojczyste Spom. T. II. p. 201. [3]) Tamże. 231. Akta s. 1236.

Zaporożcom posłać pieniądze na łodzie, wzywając ich, ażeby napadali na turków na lądzie i na morzu.

Ponieważ jednak na skuteczność tych wszystkich środków z pewnością rachować nie można i że należy polegać głównie na własnéj sile, niezbędną tedy rzeczą wystawić na tę wojnę 60000 żołnierza płatnego. Pod Chocimem bowiem było wojska naszego daleko więcéj, jak to widać, ze starych komputów, mianowicie: z korony i Litwy liczyło się 35,000, kozaków Zaporożskich rachowano 50,000, nadto przyjmowały udział poczty panów ruskich i ordynatów, pod Lwowem miało się zebrać pospolite ruszenie, a Tomasz Zamoyski, z kilku tysięcami własnego wojska stał pod Tarnopolem. Do tego dodać wypada, że Ukraina była polską, podobnie jak Podole, Kamieniec i Chocim.

Sobieski zamierzał podzielić wojsko na trzy części, z których jedna miała dobywać Kamieńca, druga, wkroczywszy do Mołdawii, zatrzymać nieprzyjaciela, a przynajmniéj bronić mu przeprawy przez Dniestr; trzecia nareszcie gromić tatarów na Ukrainie. Radził też pamiętać o Lwowie i innych twierdzach i trzymać w nich załogi.

Niezapomniał też Sobieski i o żywności, na którą proponował assygnować przynajmniéj ze sto tysięcy złotych. Żywność tę należało, jego zdaniem, zebrać i wydawać we Lwowie, a potem z żołdu potrącić.

Co się tyczy składu wojska, powiedziano w projekcie hetmana, że chociaż armie zagraniczne liczą zwykle od dwóch do trzech części piechoty, to mając na względzie obecnego nieprzyjaciela, najpotrzebniejsza była jazda. Należało tedy mieć przynajmniéj 30000 jazdy, i tyleż piechoty, z jazdy zaś: 6000 ussarzy, a jeżeli więcéj, to i lepiéj, lżejszych chorągwi 30, resztę pancernych z dzidami, z powiększoną płacą. Piechoty miało być 24000, dragonów 6000. A ponieważ w takiéj wojnie bardzo wiele zależało na artylleryi, szczególniéj jeśliby wypadło dobywać Kamieńca, uważał tedy za potrzebne przysposobić 80 dział, a w stosunku do liczby wojska nawet 100 dział. Obliczenie zaś aparatu téj artylleryi, pozostawiał jéj magistrowi, którego to było obowiązkiem. Niezapomniał też hetman o inżynierach, pirotechnikach, minerach, na których najem domagał się osobnéj sumy pieniędzy.

Piechota łanowa powinna się była stawić w terminie zapowiedzianym na miejsce przeznaczone, niezbędna bowiem była do obsługi artylleryi tudzież do przygotowania przepraw i budowania mostów.

Pomnożenie wojska radził uskutecznić przez powiększenie liczby ludzi w starych chorągwiach i pułkach, a że te pułki liczyły wówczas tylko po 250 — 300 żołnierzy, to nietylko podwojone, ale i potrojone być mogły, przez co stare wojsko podniosłoby się do 30000. Pozostała część armii mogłaby się składać z wypraw wo-

jewódzkich, z pozostawieniem do ich woli postanowienia sposobu zaciągu i kosztów.

Daléj żądał hetman, ażeby województwa odleglejsze, mianowicie pograniczne Szlązka, Prus i Pomorza, wcale nie wystawiały piechoty, ponieważ trudno w krótkim czasie mazura lub rusina przeistoczyć na niemca, a tym więcéj wykształcić go na dobrego i ćwiczonego pieszego żołnierza, a byłoby do życzenia mieć piechotę nie węgierskiego, lecz niemieckiego autoramentu. Oficerowie równie jazdy, jak i piechoty powinni być swej rzeczy świadomi i dlatego z rekomendacyi hetmanów wyznaczani, a nie wybierani przez województwa, które przy wyborach zwykły się kierować względami ubocznemi.

Na utrzymanie wojska proponował Sobieski użyć dochodów z czopowego, akcyz, ceł i pogłównego, stosownie do życzenia stanów Rptéj, a że tych podatków prędko zebrać nie było można, sądził tedy, że należało wydzierżawić je komuś za pewną ogólną sumę. Zresztą radził sprzedać słynne i kosztowne obicie „potop“ (gobelin) i część klejnotów koronnych.

W końcu liczył także Sobieski i na posiłki panów starostów i tych, co pod nadworne chorągwie poczty stawić byli obowiązani, a dopiero w ostateczności uciec się i do pospolitego ruszenia.

Nad takiém wojskiem, zdaniem Sobieskiego, mógł objąć komendę każdy wódz, z nadzieją zasłużenia sobie na sławę i podniesienie reputacyi swego imienia.

Pomijając rady Sobieskiego, z zakresu polityki i dyplomacyi, które polaków zwykle zawodziły, mamy tu przed sobą zupełny plan wojny, ze wskazaniem jéj celów, tudzież środków i sił, do wykonania koniecznych. Widzimy wreszcie z tego planu, że twórca jego stał na wysokości współczesnéj sztuki wojennéj, że umiał zastosować organizacyą sił do potrzeby danéj chwili t. j. gotującéj się wojny z turkami i że nie zapomniał ani o aparacie wojennym, ani o żywności, o któréj wodzowie polscy zwykle nie myśleli. Wszystkie rady, które hetman podaje, równie co do pomnożenia jak i co do formowania wojska odznaczają się znajomością rzeczy i praktycznością, jedno tylko możnaby planowi temu zarzucić, mianowicie podział wojska na trzy części dla jednoczesnego osiągnięcia aż trzech naraz celów. Rzecz pewna, że jednéj trzeciéj części spodziewanego wojska t. j. 20000, okazałoby się za mało dla zatrzymania turków w Mołdawii, lub na przeprawie, bo oni wyprowadzali na wojnę zwykle krocie tysięcy. Ponieważ środek ciężkości w gotującéj się wojnie leżałw pokonaniu turków, to należało obrócić przeciwko nim wszystkie siły, gdyż pokonawszy turków, łatwo już było znieść i resztę.

Można było jednak przepowiedzieć, że ten wspaniały plan rozbije się, podobnie jak wszystkie zamierzenia wodzów polskich o zwykły szkopuł, o ten *nervus rerum* każdej wojny, o który w Rptéj

było zawsze tak trudno, — o brak pieniędzy. Przewidywał to i sam Sobieski, pisząc: „naszego wojska, na papierze spisanego, liczba skurczy się zapewnie i daj Boże z 60000 do połowy“ [1]). Tak się też rzeczywiście stało.

Po odczytaniu projektu Sobieskiego, województwa przez dwa dni naradzały się osobno, jakie podatki należało uchwalić na utrzymanie wojska [2]). Wstrzymało nieco ostateczne rozstrzygnięcie téj kwestyi wymaganie litwinów, aby sejm co trzeci rok zbierał się w Grodnie, lecz gdy nastąpiła zgoda stanów na to ich żądanie obowiązali się wystawić 12,000 wojska, ze wszystkiemi wojennemi potrzebami i narzędziami na cały rok, a na jego utrzymanie postanowili piętnaścioro podymnego [3]).

Po załatwieniu téj sprawy sporo już poszły dalsze deliberacye sejmowe.

Prowincye koronne pozwoliły chętnie na pospolite ruszenie, w przypadku nagłéj potrzeby, a zarazem uchwaliły wyprawy ziemiańskie w następującym stosunku: „Król, z dóbr własnych ekonomicznych i tak zwanych królewskich, w dożywocie lub dzierżawę oddanych, z dymów 20-tu, jednego pieszego, z należytym rynsztunkiem, odzieżą i żywnością, szlachta z dóbr ziemskich, z dymów 30-tu konnego jednego, arendarze, zastawnicy, wyderkarze, pieniądze na prowizyach mający od 10000 złr., także konnego jednego, żydzi z dóbr królewskich i duchownych ze 20-tu dymów na pieszego a z dóbr ziemskich na konnego pieniądze złożyć; a stan duchowny ze 20-tu dymów jednego pieszego wysłać; miasta — wozy i inne potrzeby, oraz piechotę, według konstytucyi 1621 roku przystawić miały“ [4]).

„Do ludzi tych, na sejmikach relationis mieli być wybrani pułkownicy i rotmistrze i same wyprawy, po należytem ich skorygowaniu, we 4 niedziele, po wspomnianych sejmikach, do obozu wyprawione, pod karą confiscationis i privationis bonorum“ [5]).

Na zapłatę wypraw ziemskich i zaciągów płatnego od Rzeczypospolitéj żołnierza, uchwalono: cło, akcyzę i pogłówne pod nazwiskiem subsidii Charitativi, od osób wszystkich stanów, z wyjątkiem króla i królowéj [6]).

Liczbę wojska zaciężnego ustanowiono ostatecznie na 31,300, z których 15,000 jazdy i 16300 piechoty. Płaca starym chorągwiom miała się liczyć, podług dawnego etatu, nowym zaś zaciągom kwartalnie, na usarza zł. 200, na kozaka 120, na wołoszyna 100, na dragona 105 i na pieszego 55. Służba i żołd miały się rozpocząć od 1-go maja [7]).

Przygotowawszy w ten sposób środki i zasoby wojenne postanowiono nie wypowiadać wojny Turkom, licząc na to, że Turcy, nie otrzymawszy haraczu, przez traktat Buczacki przyobiecanego, sami za-

---

[1]) Akta 1281. [2]) Konf. gol. s. 233. [3]) Ib. s. 237. [4]) Vol. legg. Anno 1673. T. V. 92. [5]) Ibid. [6]) Ibid. [7]) Akta l. c. pg. 1262.

pewnie wojnę rozpoczną [1]), bo już podczas posiedzeń sejmowych, w marcu, wyprawił wielki Wezyr czausza z listem do podkanclerzego, w którym, skarżąc się o to, że Polacy nie oddali Białéj cerkwi i nie uiścili okupu za Lwów obiecanego, groził ognistym gniewem swego cesarza [2]). I nie były to czcze pogróżki, bo Mahomet IV, który, jak powiadają, nie przestawał marzyć o Gdańsku i miał go ciągle na ustach, rozkazał 22 maja buńczuk Sułtański na wrotach seraju, w Adryanopolu, wywiesić, a zarazem posłał rozkazy hanowi i Doroszence, równie jak hospodarom Mołdawskiemu i Wołoskiemu, aby byli gotowi do łączenia się z nim, za danym hasłem [3]), a rozkazy te musiały być z całą ścisłością wypełnione, nie pod karą confiscationis, która była tylko pogróżką, ale pod niechybną utratą głowy.

Zdałoby się, że ciężka próba, którą Polacy w roku przeszłym przebyli i dotykalne dowody na to,—jakie skutki mogła pociągnąć za sobą niegotowość do wojny, pobudzi umysły do czynu, zagrzeje serca do ofiar, że i grosz przyobiecany popłynie obficiéj do kass poborców i dymowe wyprawy staną ochotnie i każdy sumiennie i święcie spełni swą powinność względem Rptéj, zagrożonéj jarzmem niewoli pogańskiéj. Bynajmniéj! Żadne i najstraszliwsze próby nie zdołały poruszyć tych głów opornych i serc w egoizmie zaskrzepłych. Wszędzie panuje po dawnemu obojętność i apatya, a interes prywatny trzyma górę nad zamiłowaniem dobra publicznego.

Najdobitniéj illustruje usposobienie owoczesne umysłów Sejmik Proszowicki, na którym „szlachta wielką wrzawę uczyniła na posłów, że na podymne pozwolili...a p. Podstoli Sandomierski do żadnéj rzeczy nie chce przystąpić, jeżeli ks. biskup plebana jego o jakąś pretensyą sądzić nie będzie... że się Turków bać nie trzeba, że ci życzą sobie z nami pokoju i o wojnie nie myślą [4])".

O Turkach krążą jak najsprzeczniejsze, przytém zmyślone i niedorzeczne wieści, jak np. ta, że sułtan już nie może wyprowadzić takich sił, jak w roku zeszłym [5]), że przeciw niemu zbuntował się Kapłan basza, to że mu umarł Wezyr wielki. Co zaś do przygotowań do wojny w Polsce, ktoś rozpuścił pogłoskę, że będzie wezwane pospolite ruszenie, a więc, że już żadnych wypraw i podatków nie trzeba [6]). Rubaszny strażnik koronny Bidziński pisze do W-dy Krakowskiego: „Wici na Posp. ruszenie spodziewają się i dla tego ze wszystkimi podatkami zatrzymują, jakby to oni zwojowali bez ludzi zaciężnych. Owo zgoła P. Bóg nas mięsza i nie chce nas podobno widzieć tylko zginionych. Chyba to z téj rady

---

[1]) Konf. Goł. s. 238. [2]) Ambr. Grabowski „Ojcz. Sp." T. II. 198. [3]) Hammer. l. c. s. 391. „Ojcz. Spom." T. II. s. 201 i 202. [4]) Ibid. pg. 209. [5]) Akta l. c. pg. 1281. [6]) Ibid. s. 1274.

jakaś wynijdzie obrona, ale mém zdaniem, z pustéj stodoły, albo sowa, albo diabeł“ [1]).

Przeszedł maj i czerwiec, a tu ani grosza podatku do poborców nie wpłynęło; ani też dymowych żołnierzy wyprawiać nie chcą. Sobieski w liście do biskupa krakowskiego pisze z Warszawy dnia 5 go lipca 1673-go roku: „i czemużby panowie nie mieli zaciągać w swoich majętnościach. Jakoż i ja to sam widzę bardzo dobrze, żeby to uczynić mogli przynajmniéj *in hoc calamitioso* Ojczyzny statu. Ale kiedy i téj ochoty nie masz do usługi Rptéj, rozumiem, ta culpa na mnie redundare nie może [2]).

Dopiero na początku lipca Wyżycki zaczyna ściągać chorągwie na Kosmowskie pola, pomiędzy Hrubieszowem a Kryłowem, ale to idzie niezmiernie tępo, chorągwie się nie kompletują, a między żołnierstwem panuje jakaś niechęć, a wszystko to z braku pieniędzy [3]).

Ile mi wiadomo, to tylko za Zygmunta I wojsko wychodziło w pole na termin naznaczony; ale król ten wydawał zaliczki na żołnierzy w ilości półtora miesięcznego żołdu. Bez tych zaliczek trudno było żołnierzowi wyekwipować się i wyruszyć na wojnę. Ztąd pochodziły ciągłe opóźnienia się żołnierzy, za które ich winić nie można. W obecnym razie nietylko że zaliczek nie dawano, ale co gorsza, nawet żołd za przeszłą służbę zalegał. Wojsku wreszcie cudzoziemskiemu należało się półpiętakroć stotysięcy złotych i dla tego do obozu wcale iść nie chciało [4]).

Król, w końcu czerwca rozesłał uniwersały do województw „*sub amore patriae*“, aby szlachta podatki na wojsko składała i sama na wojnę gotowa była [5]).

30 czerwca odbyła się rada wojenna u króla, w przytomności hetmana, trwająca do wieczora 2 lipca [6]). Nie uradzono jednak nic nowego, coby wychodziło po za propozycye Sobieskiego. Długo toczyły się spory o to, czy król ma się udać do obozu, lub nie; większość Senatorów była przeciwko wyjazdowi króla z Warszawy, przemogło jednak zdanie, dowodzące potrzeby wystąpienia monarchy na czele wojska [7]). Był to tryumf zazdroszczących sławy Sobieskiemu, pragnących zagrodzić mu w ten sposób drogę do nowych tryumfów [8]).

Oprócz tego postanowiono ogłosić surowe uniwersały na tych, którzyby się do 20 lipca w obozie nie stawili. Obóz zaś zostawiono po dawnemu, stosownie do Uchwały Sejmowéj: dla wojsk koronnych pod Hrubieszowem, a dla litewskich pod Włodzimierzem [9]), co jest

---

[1]) Ibid. pg. 1274. [2]) Ibid. pg. 1272. [3]) Ibid. p. 1273. [4]) „Ojcz. Spom.“ T. II. pg. 235. [5]) Ibid. pg. 227. [6]) Ibid. pg. 229. [7]) Ibid. pg. 230. [8]) Konf. Gol. pg. 244. [9]) „Ojcz. Spom.“ T. II. pg. 230.

Mappka
Do wojny Polski z Turcyą w latach 1672 i 1673.
Narol
Krebenne
Ciszanow
Brusno
Potylicz
Koryniec
Radruż
Lubaczow
Niemirow
Krechów
Żółkiew
Skwarzawa
Jarosław
Kochanowka
Jaworow
Bruchnal
Janow
Lwów
Zimnowody
Gródek
Przemyśl
Bieńkowa
Rudki
Korepusz
Komarno
Sambor
Dniestr
Sanok
Lisko
Hruszowa
Rozdół
Drohobycz
Gaje
Honowa
Stryj
Stańkow
Sokołów
Wojniłow
Bolechow
Kałusz
Bednarowo
Dolina
Rozniatow
Nowica
Berestezko
Szczurowice
Bug
Gliniany
Złoczow
Pluchow
Przemyślany
Tarnopol
Narajow
Bohatyn
Podhajce
Złotniki
Trembowla
Janów
Budzanów
Dobrowody
Buczacz
Trzebuchowce
Jazłowiec
Jagielnica
Husiatyn
Czarnokozińce
Zbrzyż
Łuka
Horodenka
Krzywczek
Orynin
Ciołkowice
Żabińce
Kamieniec
Chocim
Dobrzyn
Prut
Zuczka
Czerniowce
1/864000
0 5 10 15 20 25 30 35 40 45 50 55 60 65 70 75 80 85 Kilometrow

dosyć uderzającém. Kombinując te punkta zbioru z przywiedzionym wyżéj planem Sobieskiego, wypada wnosić, że hetman zamierzał rozpocząć swe operacye od oblężenia Kamieńca; Włodzimierz bowiem leży na prostéj drodze między Kamieńcem a Brześciem, którą postępując omijali Litwini błota Pińskie. Dla polaków zaś mógł być wyznaczony Hrubieszów w zamiarze łatwiejszego zbliżenia się i połączenia z Litwinami. Zamiary te zmieniły się jednak później, gdy sytuacya wojenna dokładniéj się wyjaśniła.

Podkanclerzy Olszowski energicznie się opierał wypróżnianiu skarbu koronnego na potrzeby wojny [1]); gdy jednak podatki do kas poborczych tępo wpływały, a oficerowie cudzoziemscy niezapłaceni iść do obozu nie chcieli, gdy żadne perswazye króla, hetmana i innych senatorów nie mogły ich namówić do zmiany takiego postanowienia, musiano się uciec do alienacyi pewnéj części klejnotów koronnych, wynoszącéj podług taksy jubilerów 450,000 złotych. Odebrawszy tedy te klejnoty wydawał hetman każdemu oficerowi klejnot, stosownie do przyznanéj mu sumy pieniędzy. Z tegoż źródła zapłacono 60,000 puszkarzom i furmanom, oraz drugie tyle samemu Sobieskiemu, za jego osobiste ekspensa. Posłano też 20,000 Łąckiemu, naznaczonemu komendantem we Lwowie [2]).

Hetman, po rozdaniu klejnotów, ogłosił 28 lipca uniwersał, wzywający żołnierzy do śpiesznego kupienia się w obozie. Przypomina im, że przez ich opieszałość już ćwierć (licząc od 1 maja) roku upłynęło i Rpta ogromne straty na żołdzie poniosła. Termin ostateczny do zgromadzenia wojska w obozie na 10 sierpnia wyznacza, grożąc nieposłusznym karami wojennemi [3]).

Podług uchwały sejmowéj, wyprawy dymowe, a więc i zaciągi płatnego przez Rptą żołnierza powinny były stawić się w obozie, we 4 niedziele po sejmikach relacyjnych t. j. w początkach czerwca. Termin ten został później odłożony na 20 lipca. Teraz hetman przenosi go przez ten już trzeci swój Uniwersał, aż na 10 sierpnia, a tymczasem żołnierstwo, z wielką ujmą dla powagi hetmańskiéj, pozostaje głuche na wszystkie uniwersały, bo wystąpienie na wojnę bez pieniędzy, połączone zawsze było i będzie z wielkiemi trudnościami. Kary wojenne były tylko pogróżką, właściwie zaś stosowane być nie mogły, bo służba wojenna w Polsce nie była powinnością, a zależała na wzajemném zobowiązaniu się, z jednéj strony przez służbę, a z drugiéj przez płacę żołdu, jeśli zaś żołdu nie płacono to i służba obowiązywać przestawała. Kary wojenne mogły być stosowane tylko od wejścia do obozu.

Wielcy książęta moskiewscy mieli na opóźniających się lub

---

[1]) Ibid. pg. 235. [2]) Ibid. pg. 235. [3]) Akta l. c. pg. 1285.

niestawiających na popis synów bojarskich łatwy sposób,—pakowali ich do turmy lub ćwiczyli batogami [1]), ale w Polsce panowała złota wolność.

Sobieski wyjechał z Warszawy 12 sierpnia i przez Białę Uścimów przybył 20 do Pielaszkowic [2]). Ztamtąd zaś, wysławszy rozkaz do wojska, zebranego w obozie pod Hrubieszowem, aby po uczynieniu popisu ku Lwowu ciągnęło [3]), wyruszył w dalszą drogę przez Sobieską Wolę i Jarosław i w końcu sierpnia stanął w Jaworowie [4]). Zamiana miejsca dla wielkiego obozu powstała zapewne w głowie Sobieskiego, w skutek otrzymania wiadomości o przybyciu pod Chocim tureckiego wojska, którego zniesienie było najbliższym i najstosowniejszym krokiem w gotującéj się wojnie.

(*Dok. nastąpi*).

---

[1]) „Historya Wojenna“ ks. Galicyna. Cz. II. s. 8. [2]) Akta l. c. pg. 1293. [3]) „Ojcz. Spom.“ T. II. 247, 250. [4]) Ibid. pg. 252.

O miastach i mieszczaństwie

W KRÓLESTWIE POLSKIÉM. [1])

Jedną z najskuteczniejszych potęg społecznych na polu gospodarstwa narodowego jest oświata, przenikająca jak najszersze warstwy społeczne. Dotychczasowy rozwój idei państwa nowożytnego dokazał jednak tego, że wszelką inicyatywę oraz całą opiekę nad instytucyami edukacyjnemi, które są źródłem oświaty publicznéj, złożono w ręce władzy państwowéj: udział społeczeństw w urządzeniu szkół miejskich i w nadawaniu kierunku udzielanym naukom szkolnym, jest, z małemi wyjątkami niemal wyłącznie w ręku władz państwowych; zarządy miejskie dostarczają zwykle tylko funduszów na podtrzymanie i polepszenie etatu zakładów szkolnych w miastach.—Tak zorganizowana oświata, wydała u nas owoce, którym choćby pobieżnie przyjrzeć się tu trzeba.

W statystycznym obrazie miast Królestwa Polskiego podaliśmy spis szkół niższych, średnich, specyalnych, oraz wyższych zakładów naukowych; w tém miejscu zwrócimy tylko uwagę na ogólne położenie instrukcyi szkolnéj w miastach naszych. Przedewszystkiem zakłady średnie, z których wychodzi największy kontyngens przyszłych inteligentniejszych pracowników, są nieliczne tak, że pomimo istnienia zakładów średnich prywatnych, znaczna ilość młodzieży każdorocznie nie może się w nich pomieścić. Przytém choćby nawet ilość zakładów prywatnych powiększyć się mogła, to w prowadzonych wzorowo, według wszelkich zasad pedagogicznych, opłata szkolna dla wielu rodziców jest niedostępna. Czy zaś nieliczne

[1]) Ciąg dalszy. Zob. zeszyt za m. Luty r. b.

gimnazya rządowe mogą być rozsadnikami oświaty, choć ich mamy przeciętnie po jedném męzkiém i jedném żeńskiém na gubernią? Jedna tylko Warszawa ma ich 11, ale też półmilionowa ludność zapełnia te szkoły swojémi dziećmi, a z miast prowincyonalnych i ze wsi nie wielu pomieści się kandydatów.

Szkół specyalnych rządowych jakby nie było. Gdy w Rosyi europejskiéj szkół takich dla młodzieży męzkiéj i żeńskiéj jest 364, z 52,240 uczniami, to w Królestwie Polskiem. prócz seminaryów duchownych jest ich 12 z 1534 uczniami, czyli że biorąc parównawcze zestawienie ludności Cesarstwa i Królestwa, znajdziemy, iż w Rosyi europejskiéj na 1 milion mieszkańców znajduje się 6 szkół specyalnych, u nas na takąż ilość ludności 1.5 szkół.

Nie umiejących ani czytać ani pisać w miastach jest 48%, w czém na 100: mężczyzn 46%, kobiet 54%. U pozostałéj ludności miejskiej, stosunek wykształcenia na 100 jest taki: z wykształceniem elementarném 45% mężczyzn, 34% kobiet; z wykształceniem średniém 4% mężczyzn, 5% kobiet; z wykształceniem wyższém mężczyzn 2.45%, kobiet 0.55%. Jak widzimy, wykształcenie średnie i wyższe, i to w miastach, gdzie stan intelektualny ludności powinien się wyrażać wysokim procentem ludzi choćby średnio wykształconych, pozostawia w naszych miastach bardzo wiele do życzenia.

Co zaś do wykształcenia elementarnego, to dopokąd program nauk nie zostanie tu rozszerzony, a system nauczania udoskonalony, dopóty szkoły nietylko umysłom bardziéj rozwiniętym nic nie dadzą, ale nie wystarczą potrzebom umysłów najbardziéj ograniczonych.

Zakłady średnie, stanowiące u nas jedyne źródło nauki dla młodzieży miejskiéj, nie mogą wypełnić zadań, zasadzających się na kształceniu téj młodzieży w duchu przyszłych jéj zajęć. Jedna szkoła realna w Warszawie i dwie na prowincyi, to za mało: gimnazya zaś filologiczne dla cząstki tylko młodzieży miejskiéj mogą być potrzebne, to jest poświęcającéj się prawu, medycynie, naukom filologicznym i historycznym, ale większość znaczna téj młodzieży innéj zupełnie pracy się poświęca.

Ze względu na potrzeby miast koniecznymby był dla nich rozwój szkół profesyonalnych i dla tego bliska ich organizacya może wydać dobre rezultaty. Szkoły te prócz wykształcenia ogólnego, dają wykształcenie specyalne, zasadzające się na nabyciu lub uzupełnieniu wiadomości, potrzebnych do wykonywania pewnéj oznaczonéj profesyi. Nie zwracano na to dotąd należytéj uwagi; według utartych formuł szerzono jednostronną wiedzę, zapominając o tém, że przecież obywatele całego kraju, a zwłaszcza mieszczaństwo, nie może jednakowéj edukacyi odbierać. Do téj pory wykształcenie specyalne czyli profesyonalne tyczyło się profesyi wolnych—adwokatury, medycyny, literatury, sztuk pięknych, a młodzież kształcąca się

w tym kierunku, miała szkoły przygotowawcze w gimnazyach i szkołach realnych, wydziały prawne, medyczne, filologiczne w uniwersytecie, kursa w szkole sztuk pięknych i t. p.

Co się tyczy profesyi mechanicznych, to są one pozbawione wszelkiéj opieki, a w istniejących tego rodzaju szkołach profesyonalnych, tkwi główna wada w ścieśnionych szrankach wykładów, w rutynie. Zaniedbujemy to, co stanowi interesy najzwyczajniejsze, co tworzy utrzymanie życia. Większość młodzieży nie zna ani świata, na którym żyje, ani ziemi, która nas żywi, ani ludzi, którzy zaspakajają jéj potrzeby, ani zwierząt, które jéj służą, ani głównych działów produkcyi, które są podstawą bytu ekonomicznego. Czyżby szkoły dzisiejsze miały przeznaczenie kształcić tylko adwokatów, medyków, literatów lub urzędników? Czy przemysłowcy i handlujący nie zasługują na opiekę?

W ostatnich czasach zaczynają się ujawniać kierunki, dążące do pomnożenia liczby szkół profesyonalnych, do nadania wykształceniu specyalnemu kierunków daleko szerszych. Jest to rzecz na czasie, bo szkoły takie, dostarczające tak zwanych majstrów (werkfirerów, werkmajstrów, monterów, sztygarów), nietylko zwrócą młodzież miejską do pracy pożytecznéj; nietylko przyczynią się do podniesienia wytwórczości przemysłowéj za pomocą rąk umiejętnych fachowców, ale wyzwolą kraj od konieczności posiłkowania się cudzoziemcami.

W tych systemach pedagogicznych, w których młodzież się dotąd rozwijała, nietylko wyżéj przedstawione ujemności spstrzegamy; bo one za mało poważnie traktują nauki i nadmiarem pracy przeciążają młodzież, która traci wzrok, zdrowie, słabo się rozwija fizycznie, a i umysłowo tępiejąc, wychodzi coraz gorzéj przygotowana do słuchania kursów wyższych.

W sferach zamożniejszych mogłoby temu do pewnego stopnia zapobiegać wychowanie domowe, ale i tu trzebaby przedewszystkiem starać się o to, by ci pedagogowie sami wprzód przeszli systematycznie dobrą szkołę. Że zaś z pokolenia w pokolenie nie innemi, tylko encyklopedycznemi wiadomościami wzbogacamy nasz umysł i dzieciom naszym nic nad to innego dać nie możemy. Nie zaprzeczamy, że wiele domów miejskich liczy rozumnych ojców, pełnych serca i poświęcenia matek, wszczepiających w dziecko pierwsze zasady moralności, wyrabiających jego charakter obywatelski, ale zapominających, że chcąc zapewnić przyszłość dziecka, od pierwszéj chwili badać trzeba w jakim kierunku rozbudza się w nim zamiłowanie pewnego rodzaju pracy, trzeba rozjaśniać ten kierunek i wdrażać mu od młodości zamiłowanie do pracy i obowiązków obywatelskich.

Jeśli na wykształcenie specyalne młodzieży miejskiéj taki nacisk kładziemy, to starajmy się także przynajmniéj o praktyczne przygotowanie młodzieży przed wstąpieniem jéj do szkół specyalnych.

Miasta nasze są siedliskiem inteligencyi, nie w znaczeniu najwyższém, lecz jako źródło, w każdym razie trzeźwych i rozumnych umysłów. Ztąd zatem rekrutować się powinni owi praktyczni pracownicy, owi specyaliści, w braku których przemysł nasz, rękodzieła i handel tak nizko stoją. Co się dzieje z tą młodzieżą, któréj tysiące corocznie dochodzi do wieku, powołującego ją do pracy dla kraju i dla siebie? Cząstka, poświęcająca się profesyom wolnym, jest tak nieznaczna, że prawie nie umniejsza szeregów młodzieży, która po skończeniu edukacyi niknie gdzieś, roztapia się w najpodrzędniejszéj walce o byt. Znajdziemy ją jako kancelistów powiatowych, pisarzy gminnych, niższych urzędników kolejowych, a część większa tak zwanych kandydatów do wszystkiego, najmizerniejszy żywot pędzi. Oto—do czego doprowadza błędny kierunek wychowania młodzieży i apatya rodziców, nie umiejących wyjść z po za szablonowych formułek, według których skończenie gimnazyum lub progiminazyum jest otwarciem wrót do pewnéj karyery dziecka.

Poznajomiwszy się ze stanowiskiem ekonomicznem i intelektualném miast winniśmy się rozpatrzeć w ich położeniu społecznem, z tego względu najważniejszém, że stanowi ono streszczenie ostateczne przejawów, które posłużyć mogą do wyrobienia sobie jasnego sądu o stanowisku ludności miejskiéj w naszym organiźmie społecznym.

Zanim jednak z kwestyą tą się zapoznamy, odkryć nam trzeba czarną kartę naszych miast i słów parę powiedzieć o żywiole najliczniéj miasta nasze zamieszkującym, a będącym najważniejszą przeszkodą w sharmonizowaniu dążności, przekonań i pracy ludności miejskiéj. Mając tu na myśli żydów, to mętne źródło, w którém tonie najważniejsza część bogactwa krajowego, bez żadnéj dla kraju korzyści, nie sądzimy, by dobry obywatel kraju, posądzać nas mógł o uprzedzenie tendencyjne lub o antysemityzm. Przeciwnie odwołamy się tylko do faktów i uzasadnimy tylko to nasze przekonanie, że niewłaściwą metodą jest osłanianie błędów żydowskich jak z drugiéj strony szkodliwą jest polityka, wywieszająca tendencyjnie same ich strony ujemne *par partie prie.*

Podczas gdy ludność naszych miast narodowości polskiéj, a nawet niemieckiéj, w dziejach swego życia podlega zmianom charakteru, dążeń, działalności, wykazuje usiłowania ku poprawie moralnéj i materyalnéj, żydzi od pierwszéj chwili osiedlenia się w Polsce, aż do czasów obecnych, ani na krok nie odstąpili od przepisów, które im ich zwyczaj i obyczaj — nienawistne wszystkiemu, co nie jest żydowskie — wypełniać nakazuje. Ta sama odrębność kastowa, ten sam fanatyzm i nienawiść dla chrześcian, z drobnemi tylko wyjątkami, są niezmienne.

Ludność żydowska według obliczeń z 1887 r. stanowi $^1/_7$ ludności w kraju, z tego w miastach 835,350, czyli około 53% ogółu ludności. Zaludnienie to nie rozkłada się równomiernie we wszystkich guberniach; tak np. w guberniach Suwałkoskiéj, Siedleckiéj, Radomskiéj, Łomżyńskiéj żydzi stanowią $^2/_3$ ogólnéj ludności miast, w Kieleckiéj, Płockiéj, Lubelskiéj i Kaliskiéj $^1/_2$, w Warszawskiéj i Piotrkowskiéj $^1/_3$. Z ogółu ludności żydowskiéj w Królestwie Polskiém, $^6/_7$ koncentruje się w miastach. Na 235,200 rodzin żydowskich, rzemieślników, przemysłowców, fabrykantów, właścicieli osad, folwarków, liczy się 54,623 rodzin; drobnych handlarzy 47,887, bez oznaczonego zajęcia 130,420 rodzin. Są to cyfry, z których widzimy, że sto trzydzieści tysięcy rodzin żydowskich utrzymuje się z zarobków dziennych, z pośrednictwa, lichwy, spekulacyi i oszustwa.

Z dwóch sekt, na które dzielą się żydzi tutejsi [1]), t. j. rabinitów — zwolenników studyów talmudycznych i literatury rabinicznéj oraz hassydów—t. j. kabalistów i mistyków, jest ta druga o wiele niebezpieczniejszą. Hassydzi są inicyatorami i kierownikami szkodliwego żydowstwa. Sprytni, ruchliwi, zręczni w oszustwach, znający doskonale stosunki miejscowe, są uosobieniem najujemniejszych wad żydostwa. Największe ich święta religijne, nowy rok i sądny dzień są uroczystościami, na których układają plany całego postępowania. Pod przewodnictwem cadyka, kapłana hassydów, zapoznają się, naradzają, a głównem ich nabożeństwem jest mowa o interesach. Sekta ta zaledwie sto kilkadziesiąt lat temu u nas założona, pomimo oporu rabinitów, wzrosła nadzwyczaj szybko, zjednała sobie prozelitów głównie z tego powodu, że biednym dawała wsparcie i wyszukiwała zajęcie. A wpływ jéj jest straszny; ona krzewi między żydami najgrubsze zabobony i ciemnotę, ona jest zaporą wszelkiego postępu i szlachetniejszych czynów.

Obok tych działaczy, grupuje się jeszcze gorsza klasa chussytów, „nabożnych“, nie robiących nic, a będących pionierami i stróżami tych fanatycznych przepisów i niezliczonych formalności, które mają na celu ochronić od zagłady plemienność żydowską. Są to płatni przez ogół żydowstwa pachołkowie, głoszący najskrajniejsze zasady religii.

Szkoły żydowskie są wyłącznie wyznaniowe i żadnéj zmiany w systemach nauczania od najdawniejszych czasów w nich nie ma. Ten sam ogłupiający system w chederach, czyli szkołach początkowych: prócz czytania po hebrajsku, modlitw i początków starego testamentu, nie daje więcéj nic. Drugą kategoryą szkół wyższych, są tak zwane talmud-tory, mające swe siedlisko na Litwie i ztamtąd wysyłające swych elewów. W szkołach tych dla starszych

[1]) Niektóre z tych wiadomości, zaczerpnięto są z pracy K. Szaniawskiego „Nasi żydzi“—Warszawa 1888 r.

i z obszerniejszym wykładem, uczą gramatyki hebrajskiéj, komentują pięcioksiąg Mojżesza, przechodzą naukę psalmów, ale tego, coby mogło być właściwą nauką, nie dotykają wcale.

Charakterystyką ciekawą tego systemu wychowania żydów, jest następujący ustęp referatu warszawskiéj Komisyi Rządowéj, powołanéj w 1887 r. do rozpoznania sprawy żydowskiéj w Kr. Polskiém.—Czytamy tam co następuje:

„Ogromna ilość chederów, w których, wykładana przez nauczycieli żydów (melamedów) fanatyków, nauka fałszywa, podtrzymuje w żydowskiéj ludności ducha separtyzmu i fanatycznéj nienawiści do chrześcian, stanowi bezsprzecznie najbardziéj chore miéjsce organizmu społecznego. Wychowana w takich zasadach ludność żydowska, przy zupełnym braku w chederach ogólnie ludzkiego rozwoju umysłu oraz wykładu wiadomości ogólnie kształcących, utrzymuje się wrzekomo w swéj ciemnocie i odosobnieniu od otaczającéj ją sfery chrześcian, których nienawidzić i eksploatować uważa się za obowiązek wychowanego przez melameda żyda".

„Dodajmy do tego najfatalniejsze hygieniczne warunki, w których mieszczą się owe szkoły, brudne, ciemne, ciasne, złożone z jednéj izby, w któréj prócz kilkudziesięciu chłopców, przemieszkuje melamed z liczną swą rodziną, a łatwo zrozumiemy jakie to pokolenia wychodzą z tych jaskiń ciemnoty. Zasklepianie się całych tych pokoleń w fanatyzmie i odrębności, odsuwa je od społeczeństwa, którego potrzeb nie uznają i uważają za religijny obowiązek nic dla niego nie robić, a samym wybierać takie zajęcie, które nie wymagając ciężkiéj pracy, dają możność lekkiego przyjścia do majątku, kosztem wyzyskiwanéj ludności chrześciańskiéj".

Przy takich zasadach, które wszczepiają młodzieży żydowskiéj od najmłodszych lat życia, łatwo sobie wytłómaczyć przyczyny braku moralności całego plemienia i źródła opinii, którą sobie wyrobili żydzi nietylko u nas, opinii, uważającéj ich za oszustów i wyzyskiwaczów. Moralność żydów objaśnia statystyka, obliczająca, że procent żydów, skazywanych przez sądy, jest wyższy od procentu skazywanych chrześcian. Na 1,600 chrześcian liczy się skazanych 5.28%, na 1600 żydów skazanych 6.58%, a cyfra ta nie dowodzi jeszcze rzeczywistéj ilości przestępstw, wiadomo bowiem jak zręcznie żydzi umieją się wykręcić lub uchylić od odpowiedzialności. Szerokiém polem ich nadużyć są pożary, będące źródłem zbogacania się. Statystyka wykazuje, że z ogólnéj liczby pożarów w Królestwie, $^1/_3$ wypada na żydowskie mienie, a wiadomo przecież jaki jest stosunek posiadanych przez nich nieruchomości.

Spójnią, która utrzymuje żydów, jest religia, a raczéj jéj stróże, przesadzający się w gorliwości i staraniach, by nie rozluźniać w niczém tych związków ludności, które im sowicie się opłacają. Rzeczywiście, ofiary które żydzi na swe instytucye składają, są

bardzo wysokie, chętnie płacone i głównie bogatszych obciążające, a prócz tego ponoszą bogatsi duże koszta na utrzymanie biednych.

Byłby to piękny rys tego plemienia, gdybyśmy, nie zastanawiając się nad istotą pochodzenia tych ofiar, mogli je brać za objaw szlachetności i uczuć religijnych żydowstwa. Tymczasem ofiary te nie ich są dziełem, ponieważ jest to haracz przez kraj płacony ludności ciemnéj, przesądnéj, fizycznie słabo rozwiniętéj i niezdolnéj nic produkować, na nic się zdobyć, prócz na wyzysk i korzystanie z cudzéj pracy. Owe kahały, chedery, mełamedów, opłaca nasz szlachcic, mieszczanin, chłop, każda istota chrześciańska.

Wiemy już dobrze, na czém się zasadza praca żydowska i gdybyśmy chcieli szukać gdziekolwiek śladów pracy rzeczywistéj, przyszłoby to nam z niezmierną trudnością. Wszak rzemiosła mogłyby stanowić zyskowne zajęcie dla téj ludności, wszak i w księgach żydowskich wiele się o nich mówi i zaleca, a mimo to rzemieślników dobrych znaleźć trudno. Wypływa to przedewszystkiem z tego powodu, że żydzi do pracy fizycznéj wstręt mają, następnie, że wychowanie nie daje im znajomości żadnego fachu, życie żadnéj praktyki, a wziąwszy się do jakiegokolwiek rzemiosła, nie posiadają sił fizycznych odpowiednich, nie posiłkują się dobremi narzędziami, a cokolwiek wykonają jest fuszerką ostatniego rzędu. Mamy w Królestwie Polskiém, bez Warszawy, 1,219 fabryk w rękach żydowskich; zatrudniających 17,744 robotników, w czém 145 żydów! Czyż to nie najoczywistszy dowód wstrętu żydów do pracy, gdzie bowiem łatwiéj im o zajęcie jak u swoich, którzy im przed innemi dadzą pierwszeństwo. Posłuchajmy wreszcie jeszcze jednéj opinii Komisyi żydowskiej:

„Rażąca cyfra spekulantów i eksploatatorów, stanowiąca większą połowę całkowitéj ludności żydowskiéj Kr. Polskiego, zaludnia przeważnie miasta i osady, w których pewna część jest właścicielami lub współwłaścicielami domów i drobnych działków ziemi, znaczna część utrzymuje się z karczem, szynkowania w zakładach trunkowych, z domów zajezdnych, część z furmanienia, większość zaś trudni się faktorstwem w różnego rodzaju ugodach i lichwą. Nakoniec masa żydowskiego proletaryatu żyje z dnia na dzień, czasem z ciężkiéj pracy, a najczęściéj posługuje się otrzymywaniem środków do życia wszelkiemi nieprawnemi sposobami".

Przyrodzone wady ludności żydowskiej mogłyby być stłumione i wykorzenione za pomocą przepisów, zmuszających ją do szanowania praw krajowych, do poddawania się potrzebom tego kraju i wykonywania obowiązków obywatelskich. Tymczasem dzieje się przeciwnie. Przypatrzmy się tylko zasadniczym przepisom o kierunkach kształcenia, które obowiązują krajowców a żydów. Podczas gdy młodzież nasza kształci się pod opieką i kierunkiem rządu i nauczycieli rządowych, gdy szkoły prywatne pod najściślejszą zostają kontrolą, a nawet wychowanie domowe skutkiem wyma-

ganych kwalifikacyi urzędowych od nauczycieli i nauczycielek w domach prywatnych wykładających, znajduje się w zależności od rządu, żydów to nie tyczy. Posiadają oni zupełną swobodę w swych chederach i w wielu urządzeniach swych gmin. Wyszły wprawdzie przed dwoma laty przepisy, zalecające, by cheder był szkołą jawną, by oznaczoną ilość godzin trzymano dzieci w szkole, ale o kształceniu ogólném mowy nie ma.

Jak najtreściwsze podawszy wiadomości o sprawie, która stanowi ciemną stroną stosunków miejskich, pozostaje nam jeszcze obznajomić się ze społecznemi objawami życia ludności miejskiéj, z jéj publiczną, obywatelską i towarzyską działalnością.

Poznaliśmy już siłę i ustosunkowanie narodowościowe ludności miejskiéj. Sama potrzeba zwracania uwagi na stosunki plemienne, świadczy, jak ciężkiem jest położenie kraju, o którym powiedzieć nie można, że mieszczaństwo jego jest krwią z krwi, duchem z ducha narodu. Jesteśmy pod tym względem krajem wyjątkowym; na całym świecie nie ma narodu, gdzieby cały jeden stan, nietylko z najrozmaitszych składał się narodowości, ale gdzieby te żywioły usposobione były względem siebie niemal wrogo, gdzieby ludność nie złączona poczuciem obowiązków obywalelskich, miłością dla kraju, jednakowemi formami życia towarzyskiego, wreszcie gdzieby jedna religia nie stanowiła wyznania znacznéj większości. I dla tego najgłębszy myśliciel, najdoświadczeńszy socyolog z trudnością tylko z téj mięszaniny rasowo-obyczajowéj, stanowiącéj nasze miasta, mógłby wyciągnąć ogólne wnioski, któreby choć w przybliżeniu oznaczyły kształtowanie się i przyszłość tego stanu. W poglądzie więc naszym w prognostyki bawić się nie będziemy, nie ośmielimy się stawiać pewników o tych lub owych widokach przyszłości, poprzestając na prawdziwém opisaniu moralnych, umysłowych i społecznych usposobień, które rządzą naszém mieszczaństwem — jeśli go w ogólności naszém nazwać można.

Za olbrzymie to pole badań, za wielki zakres pracy, by można w szkicowym przeglądzie spraw mieszczaństwa, podać i rozjaśnić wiekowe przyczyny i wpływy, które się złożyły na układ stosunków miejskich u nas, na te bolesne objawy życia miast Polski. Nie bez celu mówiliśmy wiele i, o ile można było, o położeniu ekonomicznem miast. Postęp bowiem ekonomiczny stworzył u nas element napływowy, postęp więc społeczny nie mógł się rozwinąć, bo element dominujący nie interesował się sprawami kraju. Za zasadę reform przyjęto u nas te wzory zachodnio-europejskie, które były niezrozumiałe i przeciwne polskiemu mieszczaństwu, o ile ono było. Przyszli do Polski koloniści niemieccy, którzy do niedawna pod naciskiem feodalizmu, walcząc z tą siłą, zwyciężyli ją, zorganizowali się w społeczeństwo, nie mające żadnego stosunku z wsią i opierające swą siłę i samodzielność na przemyśle miejskim. I taki żywioł napływo-

wy przyszedł cywilizować ludność rdzennie wiejską, z patryarchalną prostotą obyczajów, z zupełną nieznajomością przedsiębiorstw, które stanowiły źródło bytu i bogactwa wędrujących cywilizatorów. Na domiar tych błędów, które w organizacyi miast istniały, polityka państwowa otoczyła kolonistów szczególnemi przywilejami. Praktyczne to było na razie, bo zachęcało emigracyą—skoro ona za tak pożyteczną uznaną została; ale prawa i przywileje należało rozciągnąć na wszystkich mieszkańców miast, a wtedy równoważnik uosobiony w żywiole polskim nie dałby się rozpanoszyć żywiołowi napływowemu. I to, co mówimy nie stosuje się tylko do pierwotnéj kolonizacyi niemieckiéj; przeciwnie, na początku bieżącego stulecia nie były przeludnione miasta nasze elementem niemieckim; dopiero nowa inwazya germańska przez nowsze rządy upoważniona, nowe źródła dla cudzoziemskiego przemysłu otworzyła. Ta kolonizacya, zdaje nam się, że tylko w pasie nadgranicznym dała się we znaki, a czemuż tam, gdzie jéj nie było, t. j. w reszcie kraju, mieszczaństwo samodzielnie nie wytworzyło przemysłu, nie zasłynęło działalnością społeczną? Nie mogło—bo i tam było to samo upośledzenie, ten brak opieki, a nadewszystko straszniejszy żywioł rozkładowy, bo żydzi. I dziś zbieramy owoce téj polityki, która, zaprosiwszy do Polski cudzoziemców w przewidywaniu, że stworzą przemysł i handel polski, obdarzyła nas niemcami i żydami. I dziś takie zyski osiągnęliśmy z kolonizacyi, — że gdzie wielki przemysł istnieje, tam mamy niemców, gdzie wielki handel i bieda—tam żydzi.

Do pewnego stopnia usprawiedliwiamy ten stan społeczny mieszczaństwa, błędy i braki tłómaczymy nieprzyjaznemi okolicznościami, które od początku istnienia miast bytowi ich towarzyszyły; ale nie upoważnia to obecnych pokoleń do opuszczania rąk i do usprawiedliwiania swojéj bezczynności nagromadzonemi w przeszłości przeszkodami.

Przystępując do rozpoznania społecznych stosunków miast naszych, winniśmy zwrócić uwagę na jednę okoliczność. Ogólnego, jednolitego rysu stosunków mieszczaństwa, nie można przeprowadzić, z uwagi na stanowisko Warszawy, wybitnie wyróżniającéj się pod każdym względem w swej działalności, co wynika z jéj stanowiska jako miasta głównego, będącego zbiornikiem cywilizacyi, ludności i bogactw. Osobny zaś rozdział poświęcić Warszawie byłoby niewłaściwém, boć i nasza metropolia nie samemi anielskimi przymiotami się odznacza.

Zaprzeczyć nie można, że wrodzona zacność charakteru, moralność obyczajów, zamiłowanie życia rodzinnego, uczciwość—stanowią tło, na którem rozwija się życie ludności miast naszych. Mówimy teraz o żywiole rodzimym, który już odtąd głównie będziemy mieć na względzie. Od wyższych sfer począwszy a skończywszy na klasie rzemieślniczéj i robotniczéj, nie znajdziemy tutaj tego niepomiernego zbytku, rozpusty i pijaństwa, które tak

często cechują miasta zagraniczne, zwłaszcza wielkie. Robotnik i rzemieślnik są pracowici, rachują się z groszem; w warstwach tych bieda niejednokrotnie w oczy zagląda, nędza nigdy; oni to stanowią najzdrowszy żywioł ludności miejskiéj. Jeśli warstwy mieszczaństwa, umiarkowaniem życia i oszczędnością się odznaczają, nie kładźmy tego na karb ciężkich czasów, gdyż te przymioty spadkowo przechodzą z pokolenia w pokolenie, bo mieliśmy i mamy bogatych mieszczan a nie trwonili oni i nie trwonią odziedziczonego lub nabytego mienia. Jakże rzadko trafia się bankructwo przemysłowe miejskiego właściciela nieruchomości, bogatego rękodzielnika, jak szanują mienie, chociaż nie zapomniane jeszcze zupełnie przykłady starszéj braci z zagona mogły szkodliwie oddziałać na mieszczaństwo. Zdaje się, że jedyna korzyść przez kolonozacyą niemiecką przyniesiona, to przykład oszczędności i pracy, których duchem przejęci pierwsi osadnicy miejscy, dobroczynne swe wpływy na ogół rozciągnęli. Rzadko bardzo trafiają się nadużycia lub kradzieże wśród robotników miejskich, rzadko przemysłowcy lub rękodzielnicy w interesach przekraczają prawa uczciwości i sumienności kupieckiéj. Mieliśmy dowód w czasach, gdy rzemiosła nasze znalazły odbyt swéj produkcyi w Cesarstwie, jak zadowoleni byli tamtejsi odbiorcy, do chwili, aż i tu żydzi musieli się dać we znaki, podszywając się z tandentnym towarem pod firmy polskie.

Ogłada moralna i towarzyska obyczajów wyróżnia zwykle warstwy bardziéj wykształcone od niewykształconych, im niżéj tem głębiéj zarysowują się objawy złych instynktów, nawyknień, próżniactwa. Tego zarzutu najliczniejszéj, choć mniej wykształconéj i zasobnéj warstwie mieszczaństwa naszego nie stawiamy. Jeden z najbardziéj groźnych występków, pijaństwo, znaczniejsze szkody wyrządza, a żadnéj akcyi przeciwdziałającéj temu nałogowi, prócz nauk i przestróg kościelnych, nie było u nas i nie ma. Skromne zabawy niedzielne i świąteczne nie przybierają jednak zbyt gorszących rozmiarów, a jeśli owo poniedziałkowanie jest zwyczajem niepotrzebnym u wielu, jedyna to ich rozrywka i pociecha w ciężkiéj pracy i co łatwo byłoby usunąć, gdyby wszyscy pracodawcy poczuli się w obowiązku, inaczéj czas odpoczynku robotnikom i rzemieślnikom urozmaicać. Ten rys dodatni, o którym tu wspominamy, nie jest tylko cechą Warszawy i większych miast prowincyonalnych, gdzie cywilizacyjne i moralne prądy łatwiéj oddziaływać mogą, gdyż w najmniejszych osadach i miasteczkach przeciętna moralność obyczajów wiele dodatnich rysów przedstawia.

Między ujemnościami życia miejskiego, zwykliśmy zaliczać i tę niepomierną ilość szynków żydowskich, mających być powodem rozpajania ludności. Rzeczywiście, ilość ich jest ogromna, ale mają one swoję specyalną klientelę. Przedewszystkiem ludzie słabi, źli

z natury, a takich jest wszędzie dosyć, łatwo podlegną namowom szynkarza-żyda, zaprzepaszczając w karczmach cześć swoję, mienie i zdrowie, takich stałych pijaków mamy w miastach po kilkunastu, w miasteczkach i osadach po kilkadziesiąt, kilkuset a i więcéj, w miarę większego zaludnienia; sama jednak rdzeń ludności pijaństwu się nie oddaje. Złotém żniwem szynkarzy miejskich, to owe targi tygodniowe i częste jarmarki, na których chłopstwo rozpaja się strasznie. Wreszcie znaczna konsumpcya napojów wyskokowych u nas jest wypływem miejscowych warunków klimatycznych a tem samem odżywczych. Żydzi, nie mając na tém polu powodzenia innemi środkami dążą do wyzyskiwania i niszczenia mieszczaństwa; oszustwem na towarach, wyrobach rzemieślniczych i lichwą, która przybiera monstrualne rozmiary tam, gdzie praca normalnego kredytu nie ma.

Zwróciliśmy już uwagę na ujemne strony edukacyi, skutkiem czego rozwój nietylko umysłowy, ale umiejętność wyzyskiwania pracy na bardzo niskim stopniu stoją. Tyczy się to głównie profesyj ludności warstw średnich i niższych w miastach, a jeśli Warszawa pod względem rzemiosł stanęła wysoko, zawdzięcza to głównie temu, że napływający przez czas długi towar zagraniczny, stanowił wzór dla rzemiosł tutejszych, co właśnie jest dowodem wrodzonéj zdolności naszych rzemieślników i że wreszcie posiada już miasto dziś szkołę rzemiosł i dobrą praktykę u majstrów, co wpływa dodatnio na fachowe uzdolnienie pracowników. Ale miasta prowincyonalne nie mają dobrych rzemieślników, tu i owdzie przybyły z Warszawy pracownik nieco dokładniéj robotę wykonywa, nie należy on jednak do wyborowych rzemieślników, bo w takim razie nie opuszczałby wielkiego miasta i nie może być wzorem dla innych. Stan więc rzemiosł miejskich jest opłakany.

Sięgając wyżéj, trafiamy na szeregi tak zwanéj pół-inteligencyi. Są to ludzie, którzy ukończyli kilka klas w gimnazyum lub w szkole profesyonalnéj: felczerzy, starsi dozorcy fabryczni, cała rzesza podrzędnych urzędników administracyjnych i sądowych. Żywioł ten mógłby pożytecznie oddziaływać na warstwy niżéj stojące umysłowo, ale łączności między niemi nie ma i owa pół-inteligencya za nadto jeszcze nisko stoi, by jéj nie przechodziły po głowie przekonania o wyższości nad tłumem, z którym obcować nie wypada. Następnie ta pół-inteligencya, po pewnym czasie zajęć praktycznych, traci ową odrobinę wiedzy, którą ze szkół wyniosła. Robią się z tego rutyniści, dla których wiadomości ogólne a naweti fachu ich dotyczące, są rzeczą zupełnie nieznaną. Jest to następstwo braku książek i pism peryodycznych dla ludności miejskiéj przeznaczonych, a jedna „Gazeta Rzemieślnicza“, choć bardzo dobrze redagowana, w miastach prowincyonalnych bardzo mało jest czytaną. W Warszawie, rzemieślnicy mają sposobność prócz swego organu, czy-

tywać i inne pisma, ale mały z nich pożytek, gdyż nie znajduje w nich rzemieślnik tego, co się tyczy jego zajęć i poglądów. Ale nadewszystko brak książek specyalnych dla rzemiosł, dotkliwie oddziaływa na stan umysłowy i uzdolnienie fachowe rzemieślników i robotników; podręcznik odpowiedni nietylko uczyć będzie, ale nawet, jeśli go umiejętnie ułożymy, uszlachetni i podniesie zawód, który przedstawia, wzmocni zamiłowanie do niego.

Sięgając znów wyżéj, staniemy w obec inteligencyi miast. Tu jeszcze dwa poddziały powinniśmy zrobić; ludzi ze średniém wykształceniem i nieliczną garstkę z wyższém, ale że ci ostatni choć prawdziwie dopiero na miano inteligencyi zasługujący, drobnym są atomem w naszém życiu mieszczańskiém, ukoronujmy obie kategorye jedném wspólném mianem.

Korzystne wyróżnienie pod względem umysłowego rozwoju przedstawia Warszawa, co nietylko wypływa z większego zamiłowania do studyów poważnych, ale jest następstwem znaczniejszego nagromadzenia środków naukowych, wiadomości z całego świata cywilizowanego i przenikania wiedzy w szersze warstwy mieszczańskie. W saméj rzeczy, nie możemy narzekać, by nam w Warszawie brakło zupełnie środków kształcenia się intelegencyi, bo Warszawa posiada pewną ilość szkół specyalnych. Nie wypełniają one całego programu, ale w każdym razie takie zakłady jak szkoła handlowa, szkoły techniczne przy drogach żelaznych, instytut muzyczny, kilka szkół prywatnych z klasycznym i realnym kierunkiem, odpowiednia ilość gimnazyów i progimnazyów męzkich i żeńskich, oraz szkoła realna, zaspakajają do pewnego stopnia potrzeby najgwałtowniejsze. Przytem częste odczyty i pewien ruch naukowy, będący właściwością każdego wielkiego miasta, nadają Warszawie fizyognomią cywilizowanego miasta.

Jeśliśmy zrobili zastrzeżenie, mówiąc, że do pewnego stopnia Warszawa zasługuje na nazwę wyżéj rozwiniętego umysłowo miasta, to uczyniliśmy to dla następujących powodów. Nie można zaprzeczyć, że nie mamy w sobie samodzielności krytycznéj, nie stać nas na samowiedzę w szerszym zakresie. Jako naród czerpiący pierwiastkową wiedzę z zagranicy, przechowujemy do dziś dnia z bałwochwalczą czcią wszystko, co od niéj przychodzi. Cokolwiek nosi w sobie markę zagraniczną, jest dobrém, wyróżniającém się, korzystném. Więcéj nawet jak do towarów czujemy pociąg i zamiłowanie do strawy umysłowéj zagranicznéj, i bez względu na to, czy rzecz dobra, czy zła, byle tylko francuzko-niemieckim sposobem przyrządzona, smakuje nam doskonale. W tém więc widnieje nasz bezkrytycyzm, nieumiejętność w wyborze dzieł naukowych i przyczyna braku samowiedzy. Dziwimy się często i ubolewamy, że oryginalnych dzieł naukowych tak mało mamy, że badaczy już nie gienialnych, ale prawdziwie uczonych kraj nie wielu posiada. Bezkrytycyzm nie umiejący o niczém samodzielnego zdania wydać, idyotyzmy

zagranicznych skrybentów publicystycznych, przyjmuje za arcydzieła, pracę polskich pisarzy lekceważy a brak samowiedzy nie pozwala mu zrozumieć, że posiadamy w sobie dość sił, by samodzielną pracą nadać naszym badaniom naukowym piętno rodzime.

Stosunki prowincyonalne natomiast pod względem umysłowego życia bardzo wiele przedstawiają do życzenia. Prócz nielicznych szkół średnich, rządowych i prywatnych, nie spotykamy żadnych innych instytucyi naukowych, co więcéj ludność miast prowincyonalnych nie odczuwa potrzeby takich instytucyi; nie stara się własnemi siłami tworzyć stowarzyszeń, dążących do ożywienia i wzbogacenia umysłowego życia miasta. Owe resursy po większych miastach, mające być miejscem umysłowych i towarzyskich rozrywek, są karciarniami i fajczarniami i żadnych naukowych, estetycznych, wogóle cywilizacyjnych celów nie popierają. Tylko w karnawale resursy są miejscem, gdzie się śmietanka miasta zbiera, by potańczyć, pobawić się kosztem bliźnich i rozejść znów na długo. Przez resztę zaś roku resursa jest klubem męzkim, wywołującym te następstwa, że rozrywa stosunki towarzyskie obojga płci, że odciąga klubistów od życia rodzinnego. Oprócz bilardów i stolików do kart, inwentarz owych resurs nie wiele obejmuje; parę gazet stanowić ma źródło potęgi naukowéj miasta, odczyty, koncerty rzadko się tu pojawiają, a wszak niedawno w jedném z miast, gdy komitet resursy kupił nowy fortepian w miejsce dawnego zniszczonego, ojcowie miasta kwestyą gabinetową z tego zrobili. Bardzo więc słabém tętnem bije etyczne życie miast a inteligencya ich takim szacunkiem przejęta dla wszystkiego, co zagraniczne, że szkoda wielka, iż nie naśladuje zagranicy w dobrém. Jakież porównanie naszych miast z zagranicznemi być może. Tam prawie wszyscy umieją czytać i pisać, pisma i książki rozchodzą się w tysiącach egzemplarzy; najmniejsze miasteczko posiada bibliotekę i najrozmaitsze stowarzyszenia, tam przybytki życia są świątyniami, tam bije tętno życia ludzkości—a u nas apatya mgłą otacza zakątki parafialne.

Jednym z głównych czynników życia społecznego, zaznajamiającym ogół ze zdobyczami wiedzy, jest prasa. Jeśli zagranica miano siódmego wielkiego mocarstwa prasie nadała, cóżby w takim razie u nas za tytuł dla niéj wymyślić? Za granicą siódmém mocarstwem stała się prasa ze względu na wpływ, który na stosunki polityczne wywiera, ze względu na to, że dużo pism, jako inspirowanych i subwencyonowanych, służy za organa rządowe i służy nietylko do wyjaśniania myśli tych rządów, ale częstokroć używają jéj do różnych manewrów dyplomatycznych lub obałamucania rządów i ludów. Słusznie więc po części nosi prasa zagraniczna to miano, ale u nas, gdzie polityka zasadza się na przepisywaniu wiadomości o stosunkach zagranicznych, zdawałoby się, że nie możemy mieć pretensyi, by prasa nasza zajęła stanowisko kierownicze i programowe. Skoro prasa nie wypełnia głównych zadań dzie-

nikarstwa, sądzą niektórzy, że o wiele też szczuplejszy ma zakres działania, i dla tego wpływu należytego wywierać nie może. Że tak jest u nas, zaprzeczyć trudno; że tak być nie powinno—każdy światlejszy i głębszy umysł dobrze to rozumie. Żadna prasa nie ma tylu zadań poważnych co nasza, nigdzie nie koncentrują się w niéj do tego stopnia wszystkie interesy kraju, potrzeby, pragnienia. Mieszczaństwo nasze, nie rozporządzające specyalnemi urządzeniami, któreby ułatwiały i opiekowały się prasą, pozbawione instytucyi ekonomicznych i społecznych, musi uważać prasę za wyraz swych opinii, za przedstawiciela swych interesów. Czy prasa polska może być uważaną za tę orędowniczkę i przedstawicielkę miast, czy suma jéj usług zaspakaja sumę potrzeb ogółu? Nie zupełnie.

Cofnąwszy się myślą do chwili, w któréj rozrost l i c z e b n y naszéj prasy tak bardzo się zwiększył, znajdziemy może wytłomaczenie przyczyn, które od początku tego wzrostu aż po chwilę obecną czynią prasę naszę zbiorem prac dość nawet poważnych, ale nie na wiele krajowi przydatnych, a niekiedy nawet robią ją kołem, za pomocą którego powierzchowność lub nieuctwo miesza strawę niezdrową, błędną i szkodliwą. Nie mamy tu na myśli żadnych stronnictw, ale odnosimy uwagi powyższe do ogółu publicystyki, do oświaty mieszczaństwa naszego.

Idzie nam o prasę, któraby urzeczywistniała pragnienia i potrzeby ludności miejskiéj, któraby była kierownikiem i opiekunem wszystkich warstw miejskich. Łatwo zrozumieć, że prasa, któréj znaczenie dla ogólnych stosunków wykazaliśmy, stanowi o wiele potężniejszy czynnik tam, gdzie niebezpieczeństwo zamarcia społecznych, umysłowych i ekonomicznych pojęć grozi pewnéj warstwie narodu.

Prasy takiéj nie mamy—nie mamy organów miejskich. Trudno bowiem nazywać pismami miejskiemi „Kuryery“ i inne codzienne wydawnictwa, są to bowiem przeważnie organa informacyjne, mówiące o wszystkiem powierzchownie [1]) i bez poważniejszych kierunków. O ile pisma takie potrzebne są dla wyższych i średnich sfer miasta, stanowią bowiem ważne źródło informacyjne, o tyle dla niższych wielce są szkodliwe. Połowa ludności miejskiéj Warszawy umie czytać i ta połowa, nie mając nic innego, pochłania wiadomości z pism brukowych; bo chociaż zdawałoby się, że biedniejsi nie są w stanie opłacać prenumeraty, czy w formie pożyczki, czy zbiorową opłatą, znaj-

---

[1]) Oburzające zbrodnie akuszerki Sk. odkryte w połowie lutego r. b. wskutek pożaru na ul. Siennéj pobudziły prasę codzienną do zajmowania się kwestyą domu podrzutków w Warszawie; ale żaden z piszących nie korzystał z gruntownego studyum prof. Ant. Okólskiego, pod tyt. „O domach podrzutków“ (drukowanego w „Bibliotece Warszawskiéj“ 1889-go r. Zesz. za miesiąc styczeń i luty), gdzie kwestyą tę mamy obszernie przedstawioną na podstawie badań naukowych.

dują się w posiadaniu tych pism codziennych. Co za pożytek z tego wypływa? Żaden—tylko straty. Czytając brukowe pismo, robotnik znajdzie w nim wiadomości o teatrach, koncertach, balach, o zabawach bogaczy, a nadewszystko, co najgorsze, opisy zbrodni, samobójstw, kradzieży, nadużyć, rzadko opis szlachetnego czynu, a nigdy coś takiego, coby go pouczyło, umoralniło i do pracy zachęciło.

Nieodzowności takich pism popularnych dla miast, tylko u nas nie pojmują. Nie w miastach, ale w miasteczkach zagranicznych, wszystkie warstwy czytają pisma miejskie, w których dla każdéj znajdzie się rzecz pouczająca. Należałoby koniecznie założyć dla niższych sfer ludności miejskiéj, pismo tanie, które nie zawierałoby żadnych banalnych wiadomości, ale donosiło zrozumiale o rzeczach ogólnego znaczenia: o życiu miasta, a nadewszystko o wszystkich działach pracy, którym czytelnicy się oddają. Tu właśnie byłoby miejsce dla objaśnienia czytelnika o wynalazkach i udoskonaleniach w rzemiosłach, o znaczeniu pracy, o korzyściach z niéj, z jednoczesném wykazywaniem potrzeby moralnego, zjednoczonego i gorliwego spełniania obowiązków.

Przy dobréj chęci, Warszawa mogłaby łatwo organ taki wydawać, ale co do prowincyi, ani myśleć, by się ona na pismo dla mieszczan zdobyła. Dość przypatrzyć się obecnym kierunkom prasy prowincyonalnéj, w któréj—prócz „Gazety Radomskiéj“, „Gazety łódzkiej“, „Kaliszanina“, bardzo umiejętnie redagowanych i obejmujących interesy wszystkich warstw — reszta poważniéj o sprawach mieszczańskich nie mówi. Wiadomości dzienne, sprawozdania z balów i koncertów, od czasu do czasu żądanie poprawienia mostku lub postawienia lampy—oto i wszystko. Ale wiadomości o rzemieślnikach i robotnikach, o potrzebach miejscowego przemysłu, o oświacie, o hygienie miasta, rzadko spotykamy. Tak samo życie inteligencyi miejskiéj z jego poważniejszéj strony, rzadko kiedy bywa przedmiotem gruntowniejszego rozbioru. Pisma te, dla zapewnienia sobie bytu, zajmują się interesami wsi. Na to rada tylko jedna, jeśliby w Warszawie założono pismo dla mieszczaństwa, mogłoby ono również uwzględniać potrzeby prowincyi, mieć w miastach korespondentów, a znaczenie ich dla tego byłoby większe, że łączyłoby całe społeczeństwo miejskie w jedno wielkie koło.

(*Dok. nast.*)

Z KRWAWYCH DNI.

NOWELA

przez K. G.

IV. *).

Nazajutrz wieczorem, po dwóch robrach whista i kilku partyi szachów, obsiedliśmy znowu Bolesława.

„Dla lepszego zrozumienia dalszego ciągu mego opowiadania, rozpoczął Bolesław, — pozwólcie państwo, że was przeniosę na kilka miesięcy przed zgodzeniem się Lucy na to małżeństwo, na chwilę do Paryża.

Były profesor angielskiego języka Maryi Laurenceau, późniejszéj hrabiny de Crécy,— po zamążpójściu swéj uczennicy wyjechał do Ameryki i tam, poznawszy się z bogatym Brazylijskim plantatorem, przyjął posadę nauczyciela do jego nieletniego syna.

Młody Galmain, o miłéj, pełnéj wyrazu twarzy, łagodnego usposobienia, podobał się niezmiernie plantatorowi; gdy zaś, po nagłéj śmierci dziecka, którego przez trzy lata był mentorem i ojciec poszedł za niém do grobu— otwarty testament zrobił profesora dziedzicem olbrzymiego mienia kolonisty, Galmain wrócił do Paryża i odrzuciwszy najświetniejsze partye, które mu przedstawiano, pozostał nie żonaty, poświęcając się dobrym uczynkom i nauce. Raz, podczas chmurnego listopadowego poranku 1869 r. siedział w gabinecie swego pałacyku, położonego śród ogrodu w cyrkule Luksemburskim, gdy lokaj przyniósł mu wizytową kartę na tacy.

---

*) Dokończenie. Zob. Zeszyt na mies. luty r. b.

Galmain wziął ją i przeczytał: August de Nortonville.

— Nie znam zupełnie! mruknął nie kontent, że mu przerwano czytanie. Nie przyjmuję.

Lokaj był starym sługą jego rodziny; rzucony z musu w dniach niedoli—odnaleziony teraz, używał przywilejów doradzcy, prawie przyjaciela.

— Szkaradne ma ten jegomość spojrzenie, choć bardzo przystojny z twarzy, odparł starzec. Podczas pańskiéj z nim rozmowy, będę tu w blizkości—ale, przyjąć go potrzeba;—powiedział bowiem, że nie ustąpi i wejdzie choćby siłą.

Serce profesora ścisnęło jakieś smutne przeczucie, choć nie przypuszczał nawet zkąd miał wypaść cios wymierzony. Nieboszczyk, jego dobroczyńca, pozostawił pasierbów, ludzi wątpliwéj moralności, awanturujących się z Traperami w lasach Missouri sądził, że napaść z ich zawiści pochodziła; podejrzewał jakiegoś wysłańca wydziedziczonych...

— Proś go! rzekł, probując machinalnie bateryi rewolweru i kładąc go w prawą kieszeń szlafroka, którym był odziany.

Nortonville był wzrostu wysokiego—nosił mocny czarny zarost, siwiejący miejscami; przyroda obdarzyła go nizkiém bardzo czołem, szerokiemi brwiami i pełném ognia, ale nieszczerém spojrzeniem.

Wszedł śmiało i gdy spytał go Galmain, czém mu służyć może, w miejsce odpowiedzi rzekł chłodnym, bezdźwięcznym głosem:

— Czy mam zaszczyt mówić rzeczywiście z p. Pawłem Galmain, b. profesorem angielskiego języka w Lyonie?

— Tak panie, odrzekł zapytany.

Wtedy porucznik, milcząc, wydobył zapisaną ćwiartkę papieru z kieszeni i położył ją przed gospodarzem domu na biurze.

— Racz pan przeczytać tę kopią znanego mu zapewne listu.

Galmain rzucił okiem na podany sobie papier i zbladł okropnie: oto bowiem co zawierało złowieszcze pismo:

„Jedyny mój Pawle.

Tak więc, kość rzucona — za pięć tygodni będę żoną tego człowieka — z musu niemal hrabiną de Crécy-Brissac! Mogłabym sama, gdy przyjdziesz jutro na lekcyą, oznajmić ci o tém nieszczęściu, ale... nie mam odwagi. Dla szczęścia i spokoju ojca, muszę zrobić ofiarę. Wczoraj upadłam mu do nóg i wyznałam miłość moję dla ciebie! pogłaskał mię, uśmiechnął się pobłażająco i odpowiedział: że takie koleje każda prawie pensyonarka przejść musi, lecz że w świetnych kołach, w które mię hrabia wprowadzi, szybko zapomnę.

Wtedy, miałam odwagę wyznać mu, że należę do ciebie... i znów ten sam uśmiech pobłażania pojawił się na jego twarzy.

— Hrabia za tytuł swój bierze twoje miliony, słusznem więc jest, abyś i ty miała coś w zamian za poświęcenie swoje, którego dla naszego wspólnego szczęścia wymagam od ciebie! odparł spokojnie. Tylko cię proszę, Maryo—bądź ostrożną... przynajmniéj do dnia ślubu—odpowiadam za ciebie. Potém, rzecz to już hrabiego!

I ja mam odwagę pisać ci te słowa Pawle! Nie sądź przekonań mego ojca! mój Boże, on po swojemu pojmuje szczęście i pragnie go dla mnie gorąco... Jest nieubłagany... cóż tedy poczniemy, nieszczęśliwi? Jego zimna krew i to lekceważenie najdroższych moich uczuć... to wszystko zabija mię...

Przyjdź jutro wcześniéj... oddalę miss Créthon... poślę ją po sprawunki jakie...

Że ja jeszcze od wczoraj nie dostałam obłąkania!

Na wieki twoja, Marya".

Podczas gdy Galmain pozostawał chwil kilka w niemém osłupieniu, de Nortonville, z szatańskim wyrazem twarzy, lecz z lodowatém spojrzeniem śledził za wrażeniem, jakie na nieszczęśliwym wywarła kopia tego listu.

Milczeli obydwaj, obrzucając się wzrokiem — jakby ważąc wszystkie za i wszystkie przeciw przyszłéj, śmiertelnéj walki.

Nakoniec profesor pierwszy przerwał grobową ciszę, panującą w gabinecie.

— Ten list jest w pańskiém posiadaniu? spytał, usiłując zapanować nad sobą.

— I szesnaście innych jeszcze — z których trzy, dowodzące prawie, że Gaston, przyszły hrabia de Crécy, nie ma żadnego prawa do tego tytułu i...

Galmain porwał się z miejsca wściekły z oburzenia, ściskając konwulsyjnie kolbę rewolweru.

— I... dwa pańskie, z niewymowną troskliwością zapytujące o zdrowie malca... ciągnął najspokojniéj porucznik, nie spuszczając oczu z twarzy i nie tracąc ani jednego z ruchów profesora.

— Jeden z nas umrzeć musi koniecznie!... ryknął Galmain, tracąc przytomność prawie. Hola, Andrzeju, dwie szpady i otworzyć okiennice w zbrojowni!

De Nortonville ruszył wzgardliwie ramionami.

— Pan myślisz zapewne, że ze studentem masz do czynienia?

— Listy lub życie!

— Ani jedno, ani drugie, póki się co do pewnych punktów nie porozumiemy! odparł spokojnie bandyta, wskazując rozkazującym prawie ruchem krzesło swemu gospodarzowi. Siądź pan i posłuchaj mnie uważnie, a wierzaj... porzuć twe wojownicze plany;— śmierć moja listów ci nie zwróci... bo nie mam ich przecie przy sobie.

Nieszczęśliwy powziął nagle postanowienie.

— Znajdę je w twojém mieszkaniu, nikczemniku! ztąd nikt nic nie usłyszy, a w pałacyku, w téj chwili, tylko my i Andrzéj jesteśmy!

Wydobył rewolwer i skierował go ku piersiom porucznika..

— Zabić, będziesz mnie pan miał czas zawsze, przy tak sprzyjających okolicznościach! odrzekł szyderczo, zagrożony; lecz z chwilą méj śmierci, złamiesz życie do dziś ubóstwianéj kobiety - napiętnujesz hańbą czoło twego... syna.

— Co chcesz powiedzieć? szepnął Galmain, drżąc mimowolnie.

— Listy pańskie i listy hrabiny, których posiadanie zaraz ci wytłómaczę — są wszystkie, w jednym pakiecie, złożone u pewnego notaryusza tu w Paryżu. Jeżeli dziś w południe, nie przyjdę do niego — to będzie znaczyć, że mnie.. o s t u d z o n o—jutro rano hrabia de Crécy będzie podziwiał ich styl i tchnące gorącą miłością wyrażenia.

Trudno, trzeba było ustąpić konieczności.

Galmain, którego te kilkanaście minut rozmowy z Nortonvillem złamały zupełnie — ocierając piękne swe czoło, zimnym potem oblane, upadł bezwładnie na fotel, upuszczając rewolwer na dywan.

Podniósł go oficer, schował do kieszeni i poczekawszy aż Galmain do zmysłów powróci:

— Niedawno temu, hrabiostwo wyjechali na tydzień do Lyonu, zaczął znów mówić, — a że służba była nowa w zamku Crécy, prosili mię, jako przyjaciela domu, o tymczasowe zamieszkanie ich wspaniałéj siedziby.

Błądząc raz po apartamentach, zaszedłem i do sypialni hrabiny, któréj progu p. de Crécy, już dawno nie przekracza i tam, przypadkiem natrafiwszy na ukrytą w złoconéj ściennéj rzeźbie sprężynę... dostrzegłem w otwartéj skrytce małą hebanową szkatułkę, która mnie bardzo zaciekawiła.

— I popełniłeś pan nową podłość... wyłamanie?

Zacny porucznik obruszył się widocznie.

— Za kogóż to mnie pan bierzesz, panie Galmain, odparł bezczelnie. Wszakże mówiłem, że tydzień cały miałem przed sobą. Znam się trochę na ślusarstwie... Oh, jako amator tylko... dorobiłem kluczyk i...

— Podły! mruknął Galmain przez zęby.

De Nortonville ukłonił się, jakby mu pochlebstwo powiedziano.

— I... sam pan teraz widzisz, jak nierozważnie postąpiła hrabina, zachowując pańskie listy i nie niszcząc własnych, zwróconych jéj wspaniałomyślnie.

Lecz profesor odzyskał już całą przytomność umysłu i godząc się ze straszliwém położeniem, postanowił teraz jaknajprędzej skończyć tę, oburzającą godność ludzką scenę.

— Do rzeczy, mój szanowny panie! przerwał podnosząc głowę. Domyślam się, że chcesz pieniędzy... ile?

— Masz pan rzadki dar odgadywania, powinszować. Wystawisz mi pan zaświadczenie — zaświedczenie notaryalne—lubię bowiem niezmiernie te wszystkie formalności prawne—że w dniu mego ślubu z paną Lucy de Crécy-Brissac...

— Pan z nią się żenić zamierzasz... pan?

De Nortonville wyprostował się jak struna, pogładził czuprynę i pokręcił napoleonkę.

— Hrabianka żyć bezemnie nie może! odparł zupełnie poważnie.

Piorunujący, pełen niemiéj wściekłości wzrok Galmain'a, zatrzymał mu resztę słów na ustach.

— A więc?

— Wypłacisz mi pan... widzisz, Gaston, jako pierworodny, większą część fortuny dla siebie... biednéj Lucy zaledwie milion fr. przypadnie posagu, a ja .. ja nienawidzę liczb nieparzystych... wypłacisz mi pan więc... milion drugi...

— Czy podobne brudy i łotrowstwa są familijne w pańskiéj rodzinie? spytał miażdżącym tonem profesor, mierząc pogardliwym wzrokiem porucznika.

— Nie panie! odrzekł, nie mrugnąwszy nawet okiem bohater bastyonu Małachowa—mam zaszczyt być pierwszy...

Zaiste, panowie, przerwał opowiadanie Bolesław, gdybym całéj téj sceny nie słyszał z ust samego Galmain'a, nie wierzyłbym, że podobni Nortonville'owi ludzie istnieć mogą na ziemi.

I powiedzieć, że do fatalnéj chwili natrafienia na sprężynę skrytki, porucznik był człowiekiem honoru.

Czyby twierdzenie Darwina prawdą było: że pewne cienie równie jak i światłe strony naszego usposobienia zawdzięczamy dziedziczności, która czasem zasypia wieki całe, aby potem tém straszliwiéj rozbudzić się w dalekiéj odrośli zapomnianego w ciągu setek lat zbrodniarza.

Nie wiem — do dziś jednak pojąć nie mogę, jak człowiek mający stanowisko w świecie i choć niezbyt znaczne, z tém wszystkiem jednak wystarczające mienie — mógł postąpić tak niegodziwie.

Niezbadane są tajemnice ludzkiéj natury!

— Lecz jakaż pewność, że listy istotnie wręczone mi zostaną? spytał profesor — opowiadał dalej mój rodak.

— Moje słowo honoru! rzekł bezczelnie porucznik.

Tym razem, Galmain już odpowiedział ukłonem.

— Nie, panie. Mój notaryusz, człowiek uczciwy, akt wia-

domy sporządzi, wymieniwszy w nim liczbę moich i jéj listów, oraz nazwiska stron i nazwisko piszących, a wierzytelność ich mojemu pozostawiona będzie uznaniu.

— Panie!

— Mógłbyś pan podrobić listy, jak ów klucz do szkatułki— jeżeli również jesteś amatorem i pięknego pisma jak ślusarki— zakończył mówiący, wstając i dzwoniąc na lokaja.

— Andrzeju! dodał—wyprowadź tego pana—ja będę jutro u mego notaryusza o jedenastéj rano Oto adres...

Odwrócił się do porucznika plecami.

*

* *

Podobnie nędzna komedya, z małemi tylko zmianami, powtórzyła się w buduarze hrabiny de Crécy.

Nieszczęśliwa kobieta także zgodzić się musiała na wszystko, tém bardziéj, że szlachetna Lucy, podsłuchawszy rozmowę, zaklęła matkę, aby przyjęła jéj ofiarę.

— Musisz mną gardzić, moje biedne dziecko! szepnęła pani de Crécy, po wyjściu łotra.

Dziewcze zarzuciło matce obie rączki na szyję, okrywając twarz jéj łzami i gorącemi pocałunkami.

— Kochałabym cię teraz więcéj jeszcze, gdyby to było możliwe. Cierpiałaś dotąd sama, to smutne! Lżéj nam cierpieć będzie we dwoje.

Gdy jednak przybyłem do zamku Crécy, nic jeszcze nie wiedziałem o właściwéj przyczynie nieszczęść, które groziły rodzinie hrabiego.

Około południa, służący, przez szereg wspaniale umeblowanych apartamentów powiódł mię do jadalnéj sali.

Hrabina z córką, przyszły tam już przed chwilą.

Znalazłszy się wobec kobiet, które widziałem raz pierwszy w życiu, w obec kobiet, na których twarzach malowała się boleść i rozpacz (hrabia bowiem uprzedził je o wszystkiém)—nie wiedziałem prawie co począć z sobą. Szukałem wzrokiem generała; nie było go jeszcze w jadalni.

Wybawiła mię z kłopotu Lucy.

Z dziecinną otwartością podchodząc ku mnie, podała mi swą drobną rękę i rzekła smutnym, lecz czarująco melodyjnym swym głosem:

— Gaston kochał pana jak brata: czy chcesz przyjąć naszę przyjaźń? z serca ci ją ofiarujemy.

I duże jéj, czarne oczy, wilgotne jeszcze od łez przed chwilą przelanych, zatrzymały się na méj twarzarzy.

Niedola, z tego dziecka, zrobiła dojrzałą kobietę. Wzrok jéj był dziwnie badawczy; jak gdyby chciała przeniknąć mnie aż do głębi.

Takim sposobem, obowiązkowe głębokie ukłony i chłodne wyrazy towarzyskich formułek były odrazu pominięte.

Gdy przyszedł pan de Crécy, zastał nas już dobrymi znajomemi.

V.

Daremniebym wam opisywał Lucy. Pięknością może być i brzydota — gdyż sąd tu zależy od osobistego smaku i poglądów osobistych. Inaczéj sądzi artysta, inaczéj zwykły śmiertelnik, a inaczéj jeszcze zakochany. Ja np. nie lubię panien, których wdzięki ilością funtów obliczać trzeba. Venus Milo jest dla mnie marmurem, przedstawiającym olbrzymią masę ciała zdrowego, kształtnego względnie do swych rozmiarów — lecz próżnobym w nim szukał prawdziwych niewieścich powabów. Gdy widzę kobietę, mającą 1 m. 70 cmt. wzrostu, odpowiednio rozwinięte barki, piersi i biodra,—rumiane, pełne policzki i kasztanowate na głowie sploty, powiadam sobie: będzie dobrą matką i karmicielką—gospodynią domu, która się nie ulęknie dźwignąć wiadro wody, lub wsunąć chleb do pieca; w razie potrzeby rozćwiertować udziec wołowiny lub dosadnio rozstrzygnąć silną ręką każdy spór domowy. I takie są potrzebne w społeczeństwie, na mnie jednak nie robią wrażenia.

Może za idealne i za śmieszne mam na wiek dzisiejszy poglądy, ale, o ile w kochance cenię zewnętrzną budowę, o tyle w kobiecie, która się ku temu celowi nie nadaje, lubię słabe strony— przepadam nawet za niemi.

Lucy, była, dla mnie przynajmniéj, prześlicznym okazem francuzkiéj arystokratki. Średniego wzrostu, szczupła, w miarę blada, jasnowłosa z czarnemi oczami, przedstawiała mieszaninę słabości i siły — smutku i wesela — łez i uśmiechu. Wzrok jéj, przez łzy siał iskrzące promienie, w uśmiechu przebijała się tęsknota—w głosie naiwność dziecka — w ruchach rozwaga dojrzałéj kobiety.

Wychowana w klastorze, powinna była wyjść z niego bigotką lub swawolnicą; idąc za przykładem matki, nie pytać polubionego człowieka, czy ją do Mairie zaprowadzi. Rzecz dziwna jednak, pięcioletnie zamknięcie, posty, modlitwy, rekolekcye — przykład bladych, wynędzniałych sióstr, żałujących nieraz może wyrzeczonych ślubów, lub rozpaczliwe poddanie się losowi... wszystkie te wrażenia spłynęły po dziewiczéj szacie Lucy, jak pierwsze mętne

potoki natury. Nieletnia jeszcze pensyonarka, śród biedniejszych koleżanek, marzących ową sławną „l'armoire à glace" która jest, jak to dowcipnie de Banville utrzymuje: „l'infirmité de la femme"— śniła dużo miłości, upojeń może i trochę ciszy i spokoju w przyszłém życiu na swobodzie. Zbadawszy tajemnicę matki, powiedziała sobie: jestem pewna, że ten, którego pokocham, będzie tak szlachetny, iż nie przyjmie podobnéj ofiary.

To było wiele i już same te wyrazy wymownie malują nam piękny charakter dziewczyny.

Gaston za życia był dla dwóch kobiet wszystkiem prawie: umarły—pozostawił po sobie wspomnienie czcią otoczone.

Byłem jego przyjacielem, gorąco przez konającego poleconym —cóż więc dziwnego. że miesiąc nie upłynął jeszcze od czasu mego przybycia do Crécy, a już zaskarbiłem sobie przyjaźń hrabiostwa i może żywsze nawet uczucie pięknéj Lucy.

Inaczéj być nie mogło. Dziewczę, postawione wobec człowieka, który w niém wzbudzał wstręt i odrazę—gorzéj: bo wzgardę, i drugiego, o którym brat ulubiony pisał do rodziców: kochajcie go, obdarzcie waszą przyjaźnią, bo na to zasługuje—wybierać musiało koniecznie, a wybór był z góry jeden już tylko możliwy.

Ja sam przywiązałem się do siostry mego przyjaciela i silny tém uczuciem, wierzyłem, że dziś czy jutro wszystkie przeszkody przełamię.

Trzeba mi jednak było wiedzieć tajemnicę rodziny, gdyż czułem, że cóś w tym rodzaju istnieć musiało. Inaczéj bowiem, zgodziła-żeby się hrabiaka być żoną takiego Nortonville'a.

Będąc ciągle prawie w towarzystwie téj rodziny—od pierwszego dnia widziałem rodzące się uczucie—śledziłem jego wzrost —pojmowałem straszną walkę, toczącą się w sercu Lucy. Czyż bowiem mogła wtajemniczyć mnie w smutną przeszłość matki—powiedzieć o swéj własnéj ofierze dla jéj spokoju? De Nortonville przewidział i to nawet, że może kiedyś obie kobiety zapragną wyłamać się z pod jego władzy; zabezpieczył się więc odpowiednio tym sposobem, że z dniem jego śmierci lub tylko zamachu na jego plany lub osobę—listy zawsze miały być wręczone generałowi.

Ja jednak, nie znając podówczas przeszłości,—postanowiłem oddać Lucy list Gastona.

W początku drugiego miesiąca mego pobytu w Crécy—siedzieliśmy pewnego wieczora na parterowym, obszernym balkonie lewego skrzydła zamku, wgłębionego w odwieczne klony parku. Tego właśnie dnia sam otrzymałem z kraju list i fotografię jednéj z mych sióstr stryjecznych, wychodzącą zamąż w Galicyi. Kuzynka Tadzia była prześliczna, a list, przez omyłkę, hrabinie zaniesiono.

— Jaki pan szczęśliwy, rzekła nagle Lucy—z powodu niepomnę już, jakiego zwrotu rozmowy.

— Dla czego?

— Że pan ma drogich sercu którzy, z tak daleka i tak często pisują do pana.

Szczególna myśl powstała mi w głowie.

— Niewiele takich pozostawiłem w mym kraju, odparłem; w tym jednak razie odgadła pani że pisząca, jest drogą memu sercu.

Rzuciłem przelotnie wzrokiem na twarz hrabianki. Lekko pobladła—uśmiech był trochę przymuszony.

— Pewnie... siostra? rzekła z niejakiém wahaniem.

— Narzeczona... i portret mi swój posyła.

Wyjąłem z kieszeni fotografią.

— Może panie obejrzą... typ słowiański! dodałem podając portret hrabinie.

Lucy wstała pośpiesznie i odwracając się, abym nie widział jéj twarzy, rzekła głosem cichym, a mimo to tak nienaturalnym, że i hrabina, podnosząc głowę, spojrzała na nią uważnie.

— Zmrok już—każę przynieść światło—tak nic nie widać...

Gdy podano herbatę, (letnią porą podawano ją zwykle w saloniku hrabiny), przyszło pokojowe dziewczę, oświadczając, że Lucy czuje mocny ból głowy i dla tego pozostanie u siebie.

Rozmowa rwała się co chwila; hrabia był ponury, markotny trochę — on, zwykle jednakowego, dość wesołego usposobienia; hrabina spoglądała często na mnie, gdy sądziła, żem w inną stronę był obrócony.

O północy rozeszliśmy się na spoczynek.

Nazajutrz, używając przechadzki w parku—na ławce, przy wejściu do naturalnéj, prześlicznéj groty wapiennéj, zastałem Lucy samą, z książką w ręku.

Gdym podszedł i powitał ją, po skinieniu mi głową wstała, i chciała oddalić się. Wziąłem ją za rękę i przymusiłem siąść prawie.

Dla czegoś nas pani wczoraj, tak nagle opuściła? dla czego płakałaś tak dużo, że aż na oczach dziś jeszcze pozostały ślady? rzekłem, zniżając głos, lecz prędko, nie dając jéj czasu do opamiętania się.

Puść mię pan! odparła—czerwieniąc się—usiłując wysunąć swą drobną rączkę z mych dłoni.

— Nie prędzéj, aż mi pani powie prawdę.

— Nie masz pan litości nademną! wyszeptała zalewając się łzami.

Wyjąłem list Gastona i otwarty włożyłem jéj w ręce.

Przeczytajmy go razem, rzekłem otaczając ją, niebroniącą się wcale, mojém ramieniem.

. . . . . .

Darujcie, że nie nie opisuję mojego szczęścia... bezgraniczne

było i może dla tego właśnie, los mi je wydarł tak prędko.

Po przeczytaniu listu — biedna Lucy wszystko mi wyznała. Dziewczę taką miało wiarę w dnie weselsze—taką dziwną szczerość prawie, że wynajdę sposób rozbrojenia nikczemnika—iż nie wahało się ani chwili złożyć w moje ręce honoru swéj rodziny.

— Powiem o wszystkiem mamie! będzie nas odtąd troje. A jakie to będzie szczęście! dodała klaszcząc w ręce, w porywie nagłéj nadziei, gdy ten brzydki człowiek usunie nam się z oczu!

W biednéj, dziwna była mieszanina dzieciństwa i poważnych myśli dojrzałéj kobiety.

O ile mogłem, podtrzymywałem potém w obu kobietach nadzieję, choć mówiąc prawdę, sam, wobec takiego sprytu porucznika, nie miałem wielkiéj wiary w powodzenie.

W dwa dni po opisanych wypadkach, hrabia oznajmił nam, że otrzymał list od Nortonville'a, i że jego przyjaciel najdaléj za miesiąc powróci.

Nie było więc czasu do stracenia. Wymyśliwszy jakąś ważną osobistą sprawę, pojechałem na tydzień do Paryża, tu bowiem tylko Galmain mógł mi być pomocnym—nikt inny. Zabrałem ze sobą mój, i oba drugie listy Gastona.

Przeczytał je drżąc, ze łzami w oczach na myśl o niewidzianym nigdy synu, którego tak wcześnie zabrała kula Beduina. Gdy przeczytał—powstał i podał mi obie dłonie.

Stary Andrzéj, o wszystkiem uwiadowiony, prosił, żebyśmy go przypuścili do narady.

Normandzki ten wieśniak, przy szóstym swym krzyżyku, zachował całą przytomność umysłu i przebiegłość swych rodaków, a prócz tego sprężystość muskułów i niepospolitą siłę.

Po dwóch godzinach, spędzonych na rozbieraniu téj nieszczęśliwéj sprawy —nic nie uradziliśmy, wszystkie bowiem nasze zamysły rozbijały się o fakt nagi,— że z chwilą jakiego bądź zamachu na osobę łotra, papiery wpadną w ręce hrabiego.

A możeby mu dać półtora miliona lub dwa nawet? rzekłem, złamany myślą naszéj bezsilności. Ja mu chętnie odstąpiłbym posag Lucy.

— To daremne! odparł Galmain, wstrząsając głową, on i tak dwa miliony otrzyma a Lucy za nic w świecie się nie wyrzecze.

Tu, słuchający dotąd Andrzéj, zabrał głos nagle i wyłuszczył nam swój plan ataku na wspólnego wroga.

Było to coś szalonego w pomyśle—szaleńszego jeszcze w wykonaniu, lecz bez wątpienia, z pomyślnym skutkiem w perspektywie.

Galmain spojrzał mi pytająco w oczy.

— To jedyny środek, szepnąłem, mimowoli blednąc na myśl już samą, jedyny, ale...

— To straszne bezprawie?.. to równa podłość... gorsza jeszcze może!

— Bah, wtrącił chłodno Normandczyk. Sposób to dawniéj uświęcony! dziśby go jeszcze odnowiono, gdyby można.

Sądzę, rzekłem,—że groźba już sama wystarczy! Takie łotry zwykle drżą na myśl samą niezawodnéj śmierçi,

— Bił się tam w Krymie, dzielnie, jak mówią!

— Eh, wojna, to inna rzecz zupełnie! odrzekłem.

— Zresztą, pozwólcie panowie, mówił Andrzej, zrobić doświadczenie; jak groźbą nic nie wskóramy...

Obrzuciłem ciekawie wzrokiem starego sługę; podobne bowiem pomysły w głowie wieśniaka i... starca, niepojętemi się wydawały.

— Nie dziw się poruczniku! odparł Galmain; Andrzej ma stare rachunki; w rodzinie biedaka, przed laty, rozegrał się dramat straszliwy...

— Au fait! rzekłem—jeżeli prawo nie ma władzy nas bronić, sami bronić się musimy: ja jednak, pod żadnym pozorem ręki do tego dzieła nie przyłożę.

— Przecież tu o pańską narzeczoną... kobietę, którą kochasz i jéj matkę idzie.

— Podobne czyny nie leżą w méj naturze. Chcesz pan, to wyzwę tego łotra—gdy odmówi, strzelę mu w łeb, jak psu i pójdę pod sąd wojenny, ale tym sposobem... nigdy.

Patrzał na mnie zdumiony. Nienawidził tak Nortonville'a, iż nie pojmował różnicy między środkami, wszystkie były dlań dobre.

Nie dziwiłem się temu. Wszakże miał ongi odwagę zrzec się ukochanéj córki przymysłowca — przez lat dziesiątki nie dać znaku życia—nie widzieć syna, aby nie narazić drogich sercu. Dziś, obcy podejmował się ohydnéj roli donosiciela, jedném słowem chciał zburzyć szczęście tylu osób. Ja nie miałem tych powodów nienawiści — powiem otwarcie: czułem, iż nie byłbym zdolny...

— Róbcie co chcecie, zakończyłem—ja odmawiam stanowczo pójść tą drogą. Z zresztą, uprzedzam was, że, w razie nie udania się sprawy—sąd przysięgłych i z pięć lat galer was czekają, a rodzinę de Crécy... wieczna sromota! Napad nocną porą na dom mieszkalny, nocną porą—to u nas drogo kosztuje.

— Kto nic nie waży, ten i nic nigdy nie ma, zakończył zacięty sługa.

VI.

Listem do hrabiego, tak ułożonym, żeby z jego, na pozór, obojętnéj treści, biedne kobiety pojąć mogły, że zbliża się chwila

ich oswobodzenia, zawiadomiłem mieszkańców de Crécy. że z górą miesiąc jeszcze może zmuszony będę przemieszkać w Paryżu—gdzie, rzeczywiście, rozgościłem się u Galmain'a, a na tydzień przed powrotem Nortonville'a, o którym mię Lucy uwiadomiła, wysłaliśmy przodem Andrzeja.

W trzy dni podążył tam i Galmain; ja, zostałem w Paryżu, oczekując rezultatu dziwacznéj wyprawy.

La Briche, posiadłość Nortonville'a—była prześlicznym pałacykiem, niegdyś przystankiem myśliwskim księcia de Clareville—cała ukryta w olbrzymim lesie, z jedną tylko, od wioski, prowadzącą do niéj drogą.

W odległości pięciuset metrów od mieszkalnego budynku, był maleńki pawilonik w parku, nad stawem—niedyś cieplarnia—zamieniony przez porucznika na skład starych niepotrzebnych rupieci.

Bandyta, przed wyjazdem do Włoch, oddalił z trzech tylko ludzi składającą się służbę — konie zaś i psy swoje oddał do Crécy, tak więc, w chwili gdy Andrzéj znalazł się w téj okolicy —pan de Nortonville, chwilowo w posłudze do małego chłopca, syna węglarza, ograniczony — przejrzawszy piękne świadectwa Normandczyka, przyjął go na kamerdynera i polecił nawet zawerbowanie reszty potrzebnych w pałacyku ludzi.

Lokaj Galmain'a, przebrany, ze starannie wygoloną twarzą, i krótko obciętemi włosami - był nie do poznania, nawet gdyby de Nortonville, podczas swéj bytności u profesora w Paryżu, zauważył był starca z sumiastemi wąsami, długą brodą i t. d.

Był pochmurny wieczór czerwcowy—zanosiło się na burzę—powietrze przepełnione elektrycznością, nie poruszone najlżejszym wiatrem, tamowało oddech prawie.

Dla uniknienia podejrzeń, zrobił Galmain cztery „lieues“ konno i dostał się, około północy, przez wyłom w murze do parku La Briche, przedzierając się po ścieżkach leśnych, wydeptanych przez węglarzy i wąziutkie furki kradzionego nocą chrustu.

Światło na okrągłéj wieżyczce pałacyku, miało być hasłem, że wszystko gotowe.

O pierwszéj, ukryty w owym pawilonie Galmain, dostrzegł zapaloną lampę, w wieżowém okienku, podążył tedy przez zarośla, ku stopom oszklonéj galeryi.

W progu czekał nań Andrzéj.

— Włóż pan maskę, rzekł: mnie i mego głosu nie zna przecie —będzie myślał, że zamach w zamiarze kradzieży...

— To niepotrzebne; i tak wiedzieć przecie musi, o co nam idzie.

Sługa ruszył ramionami.

Jak pan sądzi — odparł, on śpi teraz... z rewolweru wy-

jąłem wszystkie ładunki. a kindżał i szpady nad łóżkiem, małemi żelaznemi skobelkami przytwierdziłem nieznacznie do ściany.

Zresztą—wszystko gotowe,

Dwóch minut od wejścia Galmain'a do pałacyku nie upłynęło, a już bandyta był silnie, mocnemi rzemieniami skrępowany.

Wydawał straszne ryki — szamocząc się jak opętaniec; obaj jednak napadający byli silni—nienawiść do łotra zdwajała jeszcze ich siły — przytém już śpiącego, zdołali obezwładnić porywając go pętlicami rzemiennemi za ręce.

. . . . . .

W szkatułce, z tyłu łoża, są moje pieniądze!.. bełkotał pieniąc się z wściekłości.

— A nam co po nich? odparł drwiąco Normandczyk—nam wiadoméj panu paczki, z listami hrabiny de Crécy potrzeba.

De Nortonville umilkł nagle i popatrzył na nich szyderczo.

— Daremnieście sobie, moi kohani panowie, zadawali tyle pracy — wiecie, że listy u mnie się nie znajdują, a moja śmierć nawet...

— Zobaczymy to zaraz! zawołał Andrzéj. Że jednak czas nagli, wyłuszczę panu, wyłuszczę więc nasze żądania, jak można najkrócéj—słuchaj pan uważnie:

1. Wydasz pan dobrowolnie wszystkie listy;

2. Napiszesz zrzecenie się ręki hrabianki Lucy i napiszesz odpowiedni list w téj mierze do hrabiego;

3. Zwrócisz akt notaryalny wystawiony ci przez p. Galmain w Paryżu i napiszesz formalne zrzeczenie się korzyści zeń w przyszłości;

4, Wystawisz nam tu akt, że co do popełnionéj na twéj osobie gwałtu, zrzekniesz się wszelkich poszukiwań prawnych, uznając żeś łotrem pierwszego rzędu, nikczemnikiem, jakich mało i że cię spotkało tylko to, na co zasługujesz;

5. Uczynisz zeznanie, że dnia... i t. d. popełniłeś w sypialni hrabiny de Crécy-Brissac w zamku de Crécy kradzież dokumentów, za pomocą podrobionego klucza, nocną porą i t. d.

Złożony w fotelu de Nortonville, z niepojętą zimną krwią wysłuchał tego szeregu warunków.

— Tylko tyle? odparł z wybuchem dzikiego śmiechu? No, panowie, skończcie już tę komedyą, bo ona nudzić mnie zaczyna; brałem was za artystów, tymczasem widzę, że jesteście zwykli jarmarczni kuglarze. Ale, ale —za mocno trochę skrępowaliście mnie! dodał spokojnie, odwracając głowę.

— To pańskie ostatnie słowo? spytał go równie spokojnie służący Galmain'a.

— Najostatniejsze. A i śmierć moja wam nie pomoże. Oh,

ja dobrze wszystko ułożyłem i obmyślałem! mówił z chłodnym cynizmem, lecz z płomieniami w krwią zabiegłych oczach.

. . . . . .

Mimo to, wyznał, że paczka z listami jest złożona u p. G..., notaryusza w Orleanie, oddalonego o trzy lieues od la Briche.

Andrzej pozostał na straży nędznika, Galmain zaś, dosiadł swego wierzchowca i popędził do miasta, gdzie, rozbudziwszy urzędnika, mimo nocy, otrzymał od niego żądany depozyt. Na wezwaniu było wyraźnie: wydać natychmiastowo.

Nad ranem, gdy wrócił—obaj opuścili pałacyk. Po drodze do stacyi kolejowej wstąpili do węglarza i polecili mu, zostawiając sto fr. za fatygę, aby udał się natychmiast do La Briche, gdzie, jak mówili, p. de Nortonville potrzebował ich koniecznie.

*

* *

W tydzień po wyżéj opisanych wypadkach, Lucy promieniejąca szczęściem, rzuciła mi się w objęcia.

Nortonville, po wysłaniu listu do generała, w którym oświadczył, iż wiedząc niechęć doń hrabianki, zrzeka się jéj ręki, bo honor nie dozwala mu unieszczęśliwiać córki swego dobroczyńcy—otrzymawszy 300,000 fr. od Galmain'a, zniknął bez śladu z La Briche.

Pan de Crécy-Brissac złościł się trochę—groził nawet, ale w końcu uległ błaganiom żony i łzom Lucy i pobłogosławił nas oboje.

Spodziewano się wojny niebawem—ściągano urlopowanych—powoływano pod broń czasowo uwolnionych—ułożyliśmy tedy, że ślub nasz odbędzie się po powrocie armii... z Berlina.

Biedni Francuzi, oszukani przez Le Boeuf'a i posła swego w Berlinie, co do sił wroga i niechęci doń południowych Niemiec—marzyli sześciotygodniową wycieczkę za Ren i tryumfalny powrót ze stolicy Teutona.

VII.

Okoliczności jednak na spełnienie mych najgorętszych życzeń nie dozwoliły.

Wezwany do Tulonu na spotkanie mego pułku, wracającego z innemi z Algieryi—musiałem pożegnać gościnne mury de Crécy—pożegnać narzeczoną, pocieszając ją tylko nadzieją rychłego powrotu.

Po krwawych dniach Sedanu, z których Mac-Mahon, wypłynął jako nowy „Chevalier sans peur et sans réproche"—choć do

dziś nikt nie wie, dla czego po radzie wojennéj w Châlons, (na któréj cesarz miał tylko głos doradczy), jako naczelny wódz. z zimną krwią wprowadził armią swoję w pułapkę—między innemi i pułk nasz, zdziesiątkowany trzykrotną szarżą na hanowerskie armaty, pod St. Privat, dostał się w niewolę. Mój szwadron jednak, sprowadzony do ilości pięćdziesięciu tylko koni—około wieczora przedarł się ze sztandarem, korzystając z zamieszania i zapadającéj nocy, i po piętnastu dniach trudów i nadludzkich wysileń, dla uniknienia spotkania z kolumnami Teutonów, dotarł nareszcie do Orléanu, gdzie były już kadry pułku, sprowadzone z Konstantyny.

A właśnie i dla środkowéj armii zbliżały się także dni klęsk i upadku.

Hr. de la Motte-Rouge, cofał się uporczywie przed Bawarami—oddawał im najlepsze pozycye bez boju; rzucając nareszcie w Orléanie piąty batalion legii zagranicznéj. przeważnie z Polaków złożony (dowódzca Major Arago), dwie kompanie 36-go pułku liniowego, batalion mobilów Girondy i cztery działa — sam, w siedmdziesiąt tysięcy ludzi i 120 dział, opatrzonych kompletem ostrych nabojów, patrzał z założonemi rękami na heroiczną obronę winnic przedmieścia Banniers, nie chcąc posłać w pomoc tym nowym Spartanom francuzkich Termopylów, jednego działa—jednego nawet żołnierza.

Gdy nazajutrz, o świcie, na dymiących zgliszczach do z bombardowanego przedmieścia, zatknięto sztandary najezdnika—generał z salonów przedmieścia S-go Germana, umiejący podobnie jak i następca jego drugi hrabia d'Aurelles de Paladine, wyczekiwać tylko—drapnął haniebnie, rozpraszając lub rostawiając „à la garde de Dieu" swe kohorty.

Wtedy to resztki mego pułku, zabarykadowane z garstką pieszych strzelców w zamku Crécy, postanowiły łącznie z generałem i jego rodziną, bronić się do ostatka.

Huk dział odmłodził generała,—nadzieja niesienia ulgi nowym nieszczęśliwym ofiarom walki, wywołała żywsze barwy na twarz mojéj Lucy, zajmującéj się skrzętnie obowiązkami nadzorczemi zamkowego ambulansu.

Pierwsze trzy dni przeszły nam na umocnianiu i tak już, dzięki przyrodzie, silnego stanowiska—na sypaniu ziemnych wałów —uzbrajaniu murów w kilka dział uprowadzonych — przemianie niższych okien w strzelnice—zasłanianiu wyższych faszyną i układaniu stosów darniny pod zerwanym dachem głównéj budowy i obu pawilonów.

Ozdoby pysznych apartamentów hrabiego, jako to: dzieła sztuki, cenne jedwabne lnb korduanowe obicia i gobeliny, malachitowe wierzchy stołów i konsol, wspaniale rzeźbione złocone lamperye, kosztowne ze skalnego kryształu świeczniki, starożytne brązy, zbroje, bronie, całe stosy srebra i t. p. starannie upakowane

spuszczono do lochów i zamurowano ich wejścia, dla uchowania tych skarbów przed grabieżą. To samo zrobiono z posadzkami z różannego i cedrowego drzewa, z weneckiemi lustrami w ciężkich srebrnych oprawach, z odrzwiami i gzemsami kominów, na które składali się przez ciąg wieków pierwszorzędni rzeźbiarze-artyści. Tysiąc rąk, bez przerwy, dzień i noc pracowało; gdy zaś pozostały już tylko nagie mury, hrabia z uśmiechem uścisnął nam rękę, mówiąc: „teraz niech przyjdą! prędzéj się tu zagrzebię, niż dozwolę zatknąć białą chorągiew na wieży méj siedziby".

Czwartego dnia, o świcie pierwsze bawarskie granaty utknęły w stosach ziemi nagromadzonéj na miejscu rozebranego pokrycia zamku. Po południu, pierwsza kolumna szturmowa, pod przykryciem bateryi, osypującéj zamek pociskami, podstąpiła pod tarasę, jedyną przystępną stronę téj, na prędce zaimprowizowanéj reduty. Dopuszczona na sto metrów prawie, przyjętą została morderczym ogniem pięciuset chassepot'ów; przystawiających mimo to szturmowe drabiny zacietrzewionych Niemców, ugoszczono strumieniami nafty, wylanéj na rzucone w ich szeregi, zapalone wiązki łuczywa. Nam samym drżały ręce i pot zimny spływał po czołach, na ten widok okropny i straszliwe skutki morza płomieni, pośród których wiły się ciała osmalone—pękały z głuchym łoskotem kartaczownice, całe torebki nabojów żołnierzy... W pół godziny późniéj, pochyleni na poręczy tarasy, posyłaliśmy spokojnie, z nienawiścią w oku, ostatnie strzały za cofającą się garstką niemców, z których kilku tarzało się z płonącą odzieżą po rozmiękłej od deszczu ziemi.

Po co te łotry przywlekli się do Francyi?

Nazajutrz przysłano parlamentarza, który oświadczył naszemu naczelnikowi, że jeżeli nie zaprzestaniemy strzelać wybuchającemi kulkami ze sztucerów amerykańskich, i używać nafty—to, po wzięciu zamku, wszyscy jeńcy będą rozstrzelani.

— Zapewne! najpierw jednak zdobyć ten zamek potrzeba! mruknął p. de Crécy-Brissac w odpowiedzi; i odwrócił się plecami do parlamentarza.

Oblężniczych dział c i p a n o w i e z sobą nie mieli — po dwóch więc jeszcze nieudałych napadach, głodem nas wziąć postanowiono. Zapasy tylko na dni piętnaście były obliczone; lecz granaty pruskie, burząc lewy pawilon zamku, w którym je złożono, zmniejszyły ilość ich o tyle, iż dla przedłużenia na dni kilka strasznéj chwili poddania—po pół racyi tylko rozdzielano.

A czyż wam mówić potrzebuję, ciągnął daléj zniżając głos mój przyjaciel – że duszą obrony była moja Lucy?

Dziewczę, wyszłe zaledwie z dzieciństwa, kilka miesięcy niedoli ojczyzny—widok krwi tak na marne przelewanej—widok poświęceń i tylu ofiar, obok niedołęstwa wodzów francuzkich przerobiły na bohaterkę.

Mimo próśb i zaklęć rodziców i moich, czas cały u łoża rannych przepędzała; gdy zaś zagrzmiały rusznice lub deszcz pocisków zionął śmierć lub kalectwo do koła—w ogniu i dymie pękających granatów, jak anioł pociechy i zachęty, można było widzieć moję piękną narzeczoną, często gnącą się pod ciężarem opartego o nią rannego żołnierza, którego w bezpieczne miejsce przeprowadzić należało. I powiedzieć, że na bladém licu dziewczyny była wieczna pogoda, czarne oczęta, rzucające strumienie promiennéj nadziei, patrzały na goszczącą śród nas śmierć, bez trwogi—koralowe usta siały słowa pociechy—rączki rozdzielały żywność, leki i bandaże.

Pan de Crécy, nie chcąc pozbawiać Lucy jéj panieńskiego apartamentu—kazał w nim pozostawić wszystko jak było; że zaś jéj salon i sypialnia, na urwiska i nie dostępne wąwozy części parku nad Loarą były obrócone—niemieckie granaty, na ten pawilon wymierzone, padały wszystkie prawie do parku, lub wezbrane fale Loary. Dziewiątego dnia obrony, Lucy, cierpiąca trochę, wcześniéj się położyła i w jéj to sypialni, na stoliku przysuniętym do łoża, podano obiad, około ósméj wieczorem. Na zewnątrz szalała straszna jesienna burza. Wiatr rzucał strumienie deszczu na kolorowe, w ołów oprawne szyby wysokich okien w gotyckim stylu; kilkowiekowe olbrzymy parku, trzeszczały pod naciskiem nieustannej nawałnicy. Za Loarą błyszczały dogasające ognie wroga, jak sądziliśmy, smołą podtrzymywane; zdrugiéj strony, z wioski zajętéj dnia poprzedniego, w krótkich odstępach odzywały się działowe strzały, pojedyncze, nie przynoszące nam żadnéj szkody. Spożywając obiad, rozmawialiśmy o okropném naszém położeniu—układaliśmy plany na jutro, troskali się o los armii, od któréj żadnych nie było wiadomości. Lucy była tego wieczora, przeciw swemu zwyczajowi, trochę smutna; czarne jéj źrenice zachodziły łzami, spoczywały na méj twarzy co chwila, drobna dłoń szukała méj ręki bez ustanku.

Właśnie tylko co zdjęto nakrycie ze stołu i podano czarną kawę, gdy nagle, na wewnętrznym dziedzińcu zamkowym uderzono w wielki dzwon alarmu i ozwał się ogłuszający huk wymienianych z błyskawiczną szybkością karabinowych strzałów. Bawarskie bronie, ze starych na odtylcówki przerobione i jeszcze za pomocą pistona i kurka dające wystrzały, miały przy wybuchu, głos zupełnie odmienny od naszych chassepot'ów i sztucców amerykańskich; jakież tedy było nasze zdumienie, gdy w jednéj chwili, rozeznalismy ich głuchy łoskot w obrębie zabudowań.

— Niemcy wdarli się do zamku!—ryknął, generał chwytając rewolwer z blizkiéj konsoli i wybiegając z sypialni. Hrabina zemdlała. Ja jednak, nim zdołałem wyjść z osłupienia, poczułem na szyi rączki mojéj Lucy, okalające mnie z namiętną rozpaczą, i głos jéj pieszczotliwy, szepczący w łzach, które mi twarz rosiły:

— Mój jedyny, zostań tu... ja się boję!

— Lucy! mój obowiązek tam!—odparłem, z żalem starając się uwolnić z roskosznego objęcia.

— Chwilkę, chwilkę jeszcze!..— modliła nieszczęśliwa.

Złote pierścienie dziewicy, przytulone do mej twarzy, oddech mi tamowały—żelazny uścisk miękkich ramion narzeczonéj, mimo tak strasznego położenia, zażegał w żyłach płomienie. A na dworze była wrzawa upornéj walki, ogłuszający grzmot wystrzałów i przeciągłe „hura“ wroga. Nagle, purpurowe światło pożaru, łamiąc się w snopy o najdzikszych barwach płomieni, wdarło się do sypialni;—kilkanaście kul, trzaskając szyby balkonowego okna, wprowadziły za sobą potoki deszczu, iskier i dymu doprzed chwilą tak cichéj, pełnéj spokoju komnaty. Z nadludzkiem wysileniem, składając ostatni pocałunek na marmurowo białém czole Lucy, wyrwałem się siłą z jéj objęcia. Jednocześnie prawie padł strzał z drugiego końca sypialni, i w złowrogiém świetle pożaru dostrzegłem człowieka... Trzymał dymiący rewolwer w prawicy, kierując go ku mej piersi, wykrzywiając twarz szatańskim iście uśmiechem. Lucy, chwytając się oburączc za łono, wydała jęk głuchy i padła na poduszki bez życia.

Ćwierć minuty nie upłynęło, a już miałem pod sobą rozbrojonego mordercę.

— Nortonville! jesteś podły... bo zdrajca! mruknąłem przykładając mu do ucha jego broń własną, wyrwaną mu przed chwilą.

Odwróciłem głowę, ściskając kolanami i lewą ręką, jak w kleszczach, rozbójnika.

Czarne, szeroko rozwarte oczy Lucy spoczywały na mej twarzy—ale te oczy były jak szklane—bez tych rozkosznych promieni, które im taki ponętny wyraz nadawały.

Dwóch moich huzarów wpadło do sypialni.

— Związać tego łotra! krzyknąłem, puszczając Nortonville'a —należy do szubienicy. A co tam z bojem, na dziedzińcu?

— Nous sommes en train d'achever cette canaille!—odparł jeden, ocierając pot i krew z czoła.—Dwustu z nich ktoś wprowadził przez podziemię z myśliwskiego pałacyku „La Briche“; łotry, pawilon tu na przeciw zapalili, ale, na szczęście, odcięliśmy ich od tego podziemia. Zaraz się wszystko skończy.

Niebieskie upusty zastąpiły wybornie sikawki pożarne, a nasi...

— Ależ Lucy! ta biedna pańska narzeczona... co z nią się stało! przerwała Matylda, nie mogąc doczekać się końca z ust Bolesława.

Młody człowiek odwrócił głowę, może aby ukryć łzy, lub stłumić westchnienie.

— Czuję jeszcze na ustach jéj ostatni pocałunek,—szepnął cicho—i kwiatek mam zerwany na jéj mogile.

. . . . . .

. . . . . .

Długo siedzieliśmy w milczeniu, marząc o krwawym dramacie słyszanym przed chwilą—pełni spółczucia dla człowieka, którego życie tym sposobem zostało złamane.

— A ten... de Nortonville? spytał pan Y..., chcąc wiedzieć wszystko aż do końca.

— Nazwisko zdrajcy i jego osobę—kończył Bolesław—kazałem ukryć przed wzrokiem hrabiego, który byłby za bardzo cierpiał, dowiedziawszy się, że jego zbawca i przyjaciel, dla zemsty—do tak nizkiéj zszedł roli.

W trzy dni potém — wróg, zagrożony oddziałami generała Chanzy — odstąpił ze wstydem oblężenia; ja zaś, cofając się na Salbris, uprowadziłem jeńca z resztką mego szwadronu.

Ze stryczkiem na szyi, przywiązanego do końskiego ogona, powlokłem nędznika, z napisem „traitre“ na plecach.

Na sądzie doraźnym, zwołanym na bandytę, pełniąc obowiązek kapitana raportera [1]) zażądałem kary śmierci przez powieszenie — dla przykładu. Wykluczono go tedy z armii, pozbawiono stopni, krzyża i stanu cywilnego przed frontem brygady.

Morderca Lucy, słysząc hańbiący wyrok, oniemiał z wściekłości i bólu. Zażądał mówić ze mną—rzucił się na kolana, błagając, abym mu zostawił rewolwer, odrobinę sinku potasu lub jakie bądź zresztą narzędzie, dla odebrania sobie życia.

W odpowiedzi, kazałem mu założyć na barki kaftan bezpieczeństwa.

— Zastrzelenie Lucy — rzekłem wychodząc z więzienia—to czyn osobistéj zemsty — od biedy dającéj się pojąć; ale sprowadzenie bandytów z za Renu do zamku dobroczyńcy!...

De Nortonville mdlał dwa razy pod szubienicą, ale go, na mój rozkaz, otrzeźwiono.

Wieszano go bez kaptura, wolno—kończył Bolesław z niesłychaną dzikością w głosie—upoważniłem kata, aby nałożył na ręce swe rękawice i kat powiedzał mu, iż czyni to dla tego, że lęka się skalać dotknięciem... zdrajcy.

*

* *

Po wyjściu Bolesława, p. Y... przystąpił do mnie, wziął za rękę i powiódłszy w kąt sali, gdzie ciemniéj i puściéj było...—Panie Z... szepnął cichym, złamanym głosem: moja biedna Matylda ko-

---

[1]) Capitaine rapporteur—rodzaj prokuratora. *Przyp. Autora.*

cha pańskiego przyjaciela! w téj chwili to i zapewne za późno dostrzegłem. Powiedz mi, co się z tém dzieckiem stanie?

— Czy mam wybadać Bolesława?

— Nie wiem sam; cóż ja wiedzieć, czego teraz żądać mogę? Zabrał mi serce Matyldy...

— Uczynię, co będzie można! odparłem, ściskając dłoń zacnego gospodarza.

Nic się jednak uczynić nie dało! Gdybym zaś dziś musiał odpowiedzieć, na to pytanie czemuśmy się wtedy obaj nie pożenili, czemu w odjazdu dobie, gdy nas łzawe żegnały spojrzenia, gorących dłoni uściski i ciche, lecz wymowne „do widzenia“—tak cudnemi usteczkami wymówione — w kłopotliwém znalazłbym się położeniu.

Czemu?

Któż pyta, czemu o wiośnie wracają do swych siedzib ptaki wędrowne, w rodzinnéj stronie ścielą gniazda i w rodzinnéj stronie szukają towarzyszek życia?

Każda obca, jeżeli dobrze znana, mile dźwięczy mowa; w upojeniach miłości równie zachwyca: „je t'aime“ jak „ich liebe dich“ i klasyczne „t'amo“ cudnéj ojczyzny Petrarki, ale... gdy dłonie mają być na zawsze złączone, gdy po życiu na żart, z dnia na dzień, po życiu burz i huraganów, należy zacząć życie pracy, pracy dla drugich może, — gdy nas nareszcie wiatr pól rodzinnych owionie, roskoszne z lat dziecinnych ożyją wspomnienia– wtedy, upaja... jedna tylko mowa!

O DROGACH BOCZNYCH

pod względem ekonomicznym.

PRZEZ

C. R.

Prawo o drogach bocznych czyli dojazdowych [1]), mające w niedługim czasie wejść w wykonanie, wywołuje w prasie i w kołach bliżéj tą sprawą interesowanych ożywione dysputy i rozliczne poglądy. Wzorem dla tego rodzaju komunikacyi miały być drogi boczne Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnéj i rzeczywiście rosyjski projekt rządowy pod pewnym względem zapatruje się z tego punktu na ten system komunikacyi wewnętrznéj; należy więc poznać opinią specyalistów, o ile się zgadzają lub nie zgadzają na reformę według tego wzoru.

Mamy właśnie przed sobą dwa zeszyty „Prac wolno-ekonomicznego Towarzystwa“, zawierające pewne dane o téj kwestyi. W pierwszym p. Korolenko w artykule p. t. „O drogach bocznych“ stara się dowieść konieczności budowy szos zamiast dróg żelaznych,

---

[1]) Zastanawiając się szczegółowiéj nad ekonomicznem znaczeniem dróg bocznych, łączących w widokach handlu i przemysłu, ogniska ruchliwszego życia gospodarczego z najgłówniejszymi środkami komunikacyjnemi, jakiemi są najdłuższe krajowe lub międzynarodowe drogi żelazne, spotykamy się na samym wstępie z trudnością, której lekceważyć nie można: mówimy o samej nazwie przedmiotu. Pisma polskie, które się tą sprawą zajmowały, uciekają się tutaj do rozmaitéj nomenklatury, jako to: drogi dojazdowe, drogi podjazdowe, bocznice i t. p. Terminologia taka nie płynie jednak z ducha języka polskiego, który, według naszéj opinii, dobrze to pojęcie maluje przez nazwę dróg bocznych. *Przyp. Red*

w celu ułatwienia dowozu zboża i innych produktów do stacyi kolei żelaznych. Główny argument autora stanowi wzgląd na to, że budowa szos umożliwi bardziéj równomierny dowóz transportów; nie będą one leżyć na stacyach a ceny takiego artykułu jak np. zboża w miejscu produkcyi, więcéj będą zbliżone do cen na rynkach centralnych. Każdy gospodarz stara się produkt swój dostawiać na rynek, a przedtém jeszcze na stacyą kolei, w czasie, gdy drogi są dobre, głównie na jesieni. Skutkiem tego gromadzi się ogromna ilość zboża na stacyach, czemu budowa ruchomych stacyi nie zapobiegnie, a i elewatory w zupełności złemu nie zaradzą, gdyż mogą pomieścić pewną tylko ilość zboża. Prócz tego, jeśliby się nawet dało wysłać całą ilość zboża danéj okolicy na centralny rynek przez utworzenie odpowiedniéj ilości stacyi ruchomych, wywołałoby to z jednéj strony taką obniżkę cen na jednym rynku, i taką podwyżkę frachtów morskich i lądowych na drugim, że cała operacya zyskuby nie przyniosła. Autor utrzymuje, że wszystkie te niedogodności można usunąć przez budowę szosowych czyli bitych dróg bocznych i podaje projekt uskutecznienia tej budowy. Nie rozbierając tu tego planu, nadmieniamy tylko, że uwagi robione przez autora o następstwach bezdroży rzeczywiście bardzo są ważne; lecz podane przez niego argumenty w obronie dróg bitych a przeciwko drogom żelaznym, nie są dostatecznie silne.

Zanim więcéj o tym projekcie powiemy, zapoznać się musimy z przeciwném zdaniem, p. Isajewa, pomieszczoném w drugim zeszycie „Prac wolno-ekonomicznego Towarzystwa". — P. Isajew jest zwolennikiem dróg żelaznych, a na jego zdanie należy dla tego większą zwrócić uwagę, że ostatnie postanowienia prawodawcze oddają pierwszeństwo temu właśnie systemowi komunikacyjnemu. (Postanowienie o drogach bocznych z $^{26}/_{14}$ kwietnia 1887 r. ma na myśli drogi żelazne parowe i konne).

P. Isajew dowodzi, że w Stanach Zjednoczonych Ameryki komunikacya jest nadzwyczaj pospieszna, pomimo złych dróg zwyczajnych, a dzięki rozwojowi dróg żelaznych. Twierdzenie to powtarza kilku autorów. Tymczasem nie zwrócono uwagi na dowodzenia, utrzymujące, że przy rozstrzygnięciu takiego pytania, trzeba pamiętać, że idzie tu o drogi boczne a nie centralne. Dróg bocznych zadaniem jest ułatwienie transportu towarów miejscowych; nie mają one sposobności ściągania do siebie towarów z bocznych lub równoległych dróg gorszych. Następnie dużo zależy od ruchu towarowego i od wartości towaru (o ile ta wartość wpływa na wysokość taryfy). Ilość towaru zależy, naturalnie, od produkcyjności miejscowych mieszkańców i od zaludnienia; wartość towaru głównie od zaludnienia. To znaczy, że im produkcyjniejsza praca danéj miejscowości, im ludność liczniejsza — tem stosowniejsze są nawet boczne drogi żelazne; czyli wydatek na kapitał zakładowy opłaci się ilością transportowanych towarów i w rezultacie na każdą jednostkę to-

waru wypadnie niewielki ciężar z ogólnego rozchodu na kapitał zakładowy. — W przeciwném położeniu, tj. przy małej produkcyjgości i słabém zaludnieniu, rezultat będzie odmienny; skutkiem czeno budowa kolei, jako dróg bocznych, pokaże się nieracyonalną, transport bowiem wypadnie drożéj aniżeli mniéj kosztowną, np. szosową drogą.

Do powyższych uwag dodać trzeba, że o ile w naszym kraju drogi boczne kolejowe mogą się okazać praktycznemi lub niepraktycznemi powyższe względy nie mogłyby być przeszkodą. Ogromne przestrzenie Cesarstwa pod względem produkcyjności stoją jeszcze bardzo nisko, a stepowe strefy i inne miejscowości słabo zaludnione. Królestwo zaś Polskie, gubernie północno- i południowo-zachodnie, wewnętrzne gubernie Cesarstwa i produkcyą i zaludnieniem bogate, mogłyby przedsiębiorstwo takie zastosować.

Nie podajemy tu wyliczenia kosztów porównawczych budowy dróg żelaznych i szosy, natomiast zaznaczymy niektóre uwagi krytykujące punkt wyjścia, który przyjmują projektujący budowę dróg bocznych żelaznych. Otóż wszelkie dowodzenia o możności budowy tanich dróg żelaznych, często bardzo powołujące się na przykład Stanów Zjednoczonych, opierają się na nieznajomości rzeczy. Przedewszystkiem nie zwraca się uwagi na to, że ogromne przestrzenie ziemi darowane były drogom żelaznym w Ameryce bądź to przez rząd związkowy, bądź przez pojedyncze stany. Również pomija się zwykle i tę okoliczność, że tanie drogi są jednocześnie i niedokładne, że np. ruch niemi odbywa się o wiele wolniéj, aniżeli po drogach kosztowniejszych;—inaczéj też dziać się nie może. Wreszcie, co najważniejsza, w Stanach Zjednoczonych, pomimo gęstości sieci kolejowych, nie ma zupełnie bocznych dróg żelaznych w rozumieniu, które wyżéj przytoczono za przykładem specyalisty w kwestyi dróg bocznych (E. Saxa. Das Transportwesen). Wyjątkiem jest tu kilka dróg we wschodnich (przy—atlantyckich) Stanach, np. w węglo—i żelazo—wytwórczym pasie Pensylwanyi, lecz tu i warunki są zupełnie odmienne, choćby ze względu na gęste zaludnienie a zwłaszcza intenzywność saméj produkcyi. Przy tém trzeba tu i o tém pamiętać, że obok dróg żelaznych są i szosy.

Utrzymują daléj, że między innemi stany Indjana Illinois rozwinęły swoję komunikacyą do tego stopnia, że 1 mila drogi żelaznéj wypada na 11 — 11,5 mil kw. przestrzeni, pomimo, że zaludnienie tych stanów wynosi 22 mieszkańców na wiorstę kw., gdy w Królestwie Polskiém 50, w guberniach południowo-zachodnich i czarnoziemnych Cesarstwa 38 mieszkańców. Ale tu mowa o rozwoju sieci dróg żelaznych w ogóle, bez rozróżniania dróg pobocznych od głównych. Często robi się złe porównanie między Stanami Zjednoczonemi a Cesarstwem i Królestwem; dla tego wykazać trzeba, o ile to porównanie w danym razie jest słuszne.

Podobieństwo między temi państwami upatrują w tém, że jedno i drugie przedstawia równiny, zamieszkałe przez ludność trudniącą się rolnictwem. Tymczasem według Kolba (Statistik der Neuzeit), w miastach z ludnością od 20000 (według spisu, który Kolb uważa za niedokładny już dla 1880 r.) było do 9,200,000 mieszkańców, co w stosunku do ogółu ludności 1880 r.—50,$_{44}$ mil., stanowi prawie 18 prct., gdy przeciętnie w Cesarstwie bez Królestwa, ludność miast wynosi 10 — 11 prct. Zaludnieniu miast w Stanach Zjednoczonych sprzyjały: sposób osiedlania się ludności wiejskiéj i napływ przeważnie ludności miejskiéj z przemysłowych okolic Europy. Cyfra miejskiéj ludności sama przez się ma wielkie znaczenie w wyborze tego lub owego systemu komunikacyi; słusznie też utrzymują angielscy kolejarze (Cohn „Eisenbahn-Politik"), że ludność rolnicza w ogóle mniéj ruchliwa aniżeli przemysłowa i że żadne obniżki taryfowe pasażerskiego ruchu między rolnikami nie wywołują. Również ruch towarowy koniecznie będzie żywszy przy większéj ludności miejskiéj; znaczy to bowiem większy rozwój miejskiego przemysłu. Fakt ten potwierdza statystyka.—Kolb oblicza na 2,7 mil. ilość robotników, zajętych w fabrykach i zakładach Stanów Zjednoczonych, gdy dla państwa Rosyjskiego wykazuje wszystkiego 685,000 ludności przemysłowéj tj. o trzy razy mniéj aniżeli w Stan. Zjed.; czyli: w Stan. Zjed. ludność miejska stanowi 5,$_5$ prct., w Rosyi Europejskiéj (licząc 80 mil.) 0,$_8$ prct.

Lecz główna różnica między temi dwoma państwami zasadza się na sposobie rozsiedlenia się ludności, na położeniu zaludnionych miejsc i na systematach prowadzenia gospodarstwa, zależnych w części od rozsiedlenia. W Ameryce nie ma wsi w naszém rozumieniu; tam każdy rolnik jest właścicielem lub dzierżawcą oddzielnéj fermy, któréj grunta w najregularniejszéj formie kwadratu, otaczają siedzibę. Dzięki temu, każdy fermer niezależny jest od sąsiadów w prowadzeniu swego gospodarstwa, od których o b o w i ą z k o w o [1]) odgradza się płotami, lub okopuje rowami. Zwiększeniu produkcyi sprzyja rozwój maszyn, których zastosowanie wywołało małe zaludnienie. Zwiększaniu intensywności i racyonalności amerykańskich gospodarstw, sprzyja wreszcie to, że fermerzy w znacznéj większości, przynoszą z sobą znajomość udoskonalonéj techniki krajów intensywnych (z Europy lub ze stanów wschodnich), następnie kapitały, potrzebne do wypełnienia zadania. W tych warunkach staje się możebném, przy stosunkowo słabém zaludnieniu, wytworzenie nader wielkiéj ilości produktów, któréj nie mogą dostarczyć Cesarstwo i Królestwo chociaż gęściéj zaludnione. Masa wytworzone-

[1]) Nieogrodzone lub nieokopane grunta, według prawa, uważane bywają jako nie należące do nikogo.

go produktu stanowi materyał transportowy kolei żelaznych, a znaczenie téj produkcyi zwiększa się jeszcze przez tę okoliczność, że fermer produkuje głównie dla rynków, nie zaspakajających swych potrzeb produktami własnéj wytwórczości, co właśnie zastępują nasi włościanie.

Wreszcie, nie należy zapominać, że fermy amerykańskie powstają w bliskości dróg żelaznych. Wywołały to następujące okoliczności: 1) grunta oddawane darmo kompaniom dróg żelaznych (zwykle pasem szerokim na milę angielską wzdłuż drogi) sprzedawały kompanie fermerowi. 2) Zakaz urzędowy tworzenia wielkich posiadłości ziemskich, pozwalał żądającym się osiedlać w bliskości dróg żelaznych większe przestrzenie zajmować. 3) Osiedlaniu takiemu sprzyjało i to, że szło ono za drogą żelazną, t. j. droga przeprowadzała się często przez puste miejscowości, a w krótkim czasie otaczały ją fermy.

Taki sposób osiedlania usunął w wielu razach potrzebę dróg bocznych i pozwolił budować stosunkowo kosztowne drogi. Potrzeba dróg bocznych mimo to istniała i objawiała się tam, gdzie zajmowano przestrzenie bardzo oddalone od dróg żelaznych, to też w stanach wschodnich sieć dróg szosowych jest bardzo gęsta (M. Sering „Amerakanische Concurrenz"). Prócz tego, Stany Zjednoczone znalazły podstawę powodzenia dla dróg bocznych w elewatorach, które stawiano prawie na każdéj stacyi drogi żelaznéj równocześnie z jéj budową. Zakładanie elewatorów wywołane było koniecznością usunięcia tych niedogodności, które niedostateczna komunikacya wywołuje. Rzeczywiście, brak dobrze urządzonych dróg bocznych, zmusza do forsownego wysyłania towaru podczas pogody, kiedy i drogi są dobre. Ale też wtedy nagromadza się ogromna ilość towaru i drogom żelaznym pozostaje do wyboru: albo zwiększyć tabor, by jak najspieszniéj towar ekspedyować, lub wybudować składy, w których towar mógłby się gromadzić w pewnych ilościach, bez straty i dla samego towaru i dla jego właściciela. Koleje amerykańskie wybrały ten drugi, bardziéj tani sposób — budowę elewatorów.

Zdaniem rosyjskich ekonomistów, tutejsze drogi, gospodarujące kapitałami, za których siłę produkcyjną odpowiedzialném jest państwo, wolą zwiększać swój tabor ruchomy, gdyż nic je to nie obchodzi, że kapitał zatracony w tym celu, po skończeniu się jego krótkotrwałego pożytku, będzie leżyć martwo; procenty i amortyzacya a nawet rozchody na eksploatacyą, jeśli tego potrzeba, pokryje bezosobiste stworzenie, zwane kasą. To szkodliwe marnotrawstwo mogłoby w pewnych strefach państwa być usunięte przez budowę dróg bocznych prędzéj aniżeli przez elewatory. W Ameryce elewatory i dla tego były korzystne, że fermer nie tylko sprzedawał tam swój towar ale i zakupował potrzebne produkty, czego w państwie Rosyjskiém nie widzimy. Drugą przyczyną rozwoju elewatorów w Ameryce, by-

ła jednostajność produktów, nadsyłanych z pewnego okręgu; wiadomo bowiem, że tylko przy niewielkiéj ilości odmian zboża można je przechowywać w składach, inaczéj bowiem liczba komór powinnaby być tak znaczna i każda pomieszczałaby tak mało zboża, że utrzymanie elewatora byłoby niewygodném. Wszystkie te okoliczności dają pierwszeństwo bocznym, dobrze zbudowanym drogom a nie elewatorom.

Takimi są poglądy specyalistów na drogi boczne i na elewatory.

Co do elewatorów, bezwzględnego zaniechania ich budowy nie podzielamy. Przedewszystkiém nie może nawet być mowy o tém, aby elewatory nie istniały w miastach portowych, na ważniejszych rynkach zbożowych i na główniejszych stacyach kolejowych. bo konieczne są takie składy dla pomieszczenia zapasów, wyładowania i naładowania zboża i tworzenia najbliższych rynków dla rolników. Wreszcie pomieszczenie zboża w elewatorze, zwłaszcza w naszych stosunkach przedstawia nie małe korzyści. Wiadomo jak niedbale czyścimy nasze zboże; poruczając tę czynność przedsiębiorstwu, posiadającemu wyborne przyrządy do młynkowania i rozporządzającemu ludźmi, którzy z czynnością tą obchodzić się umieją, zapewnić sobie można towar pierwszorzędnéj jakości, a tém samém i cenę za niego wysoką.

Jednostajność produktów, mająca być przyczyną rozwoju produkcyi, także źle jest ocenioną. I u nas prawie ta sama istnieje jednostronność wytwórczości. W Ameryce produkują pszenicę, kukurydzę i rośliny oleiste, u nas zaś przybywa żyto, jęczmień, owies; gdyby więc rozpoczęto budowę elewatorów, trzeba tylko urządzić w nich więcéj oddziałów. Wreszcie praktyka funkcyonujących już elewatorów wskazuje, że najzupełniéj odpowiadają przeznaczeniu i korzyści przynoszą.

Co do pożytku dróg bocznych, to jest on bezsprzecznie bardzo obiecujący. Zapewnią one możność całorocznego odstawiania zboża do stacyi kolejowych [1]). Czy zaś pierwszeństwo oddać drogom

---

[1]) Nie potrzebujemy rozprawiać szeroko o korzyściach dostatecznéj ilości zapewnionych w każdéj porze roku dróg bocznych (czy to bitych czy żelaznych), bo to są rzeczy powszechnie znane; ale zwracamy uwagę na rachunek, przeprowadzony przez p. Gołowaczowa w N-rze 30-ym „Mosk. Wiedom.“, z r. b. który podało „Słowo“ w N-rze 37 z dn. 15-go lutego 1890-go r. P. G. obliczył, że na jednę wiorstę kwadratową Rosyi europejskiéj, i tylko w 50 guberniach, posiadających drogi szosowe czyli bite, przypada na 1 wiorstę zaledwie po 6 sążni szosy, gdy Francya na takąż wiorstę kwadratową posiada 490 sążni, czyli prawie o 87 $^1/_2$ raza więcéj. A jednak ogólna ilość ładunku, jaki wsie mają u nas do przewiezienia, sięga 4,000 milionów pudów,a nadto niemniejszą ilość pudów opału i w ogóle materyału

żelaznym, czy szosom, zdaje się, że odpowiedź na stronę dróg bitych wypadnie. Zachodzi tu przytém jedna okoliczność, na którą nie zwracają zwykle uwagi. Na korzyść dróg szosowych przemawiają zyski, które mogą dać inwentarze pociągowe. Dziś konie robocze dworskie, a nawet i włościańskie przez znaczną część roku bezczynnie stoją; z wiosną zaś, gdy pilne roboty polne wymagają użycia inwentarzy do uprawy pól, a zapasy zboża są znaczne, trzeba opłacać drogo furmanki, czego możnaby uniknąć, gdyby drogi rok cały były dostępne. Zwiększenie sieci kolei żelaznych wielce jest pożądane, ale boczne drogi żelazne wtedy tylko są konieczne, kiedy istniejące siły robocze (ludzie i inwentarz pociągowy) nie mogą podołać odstawie całéj ilości produktu, co dopiero wtedy nastąpi, gdy praca znacznie podrożeje i intenzywność gospodarstw naszych do wysokości rolnictwa zagranicznego się podniesie, co obecnie jeszcze rzadko u nas widzimy.

---

budowlanego. Już same te cyfry wskazują wymownie ogrom pracy, którą Rosya traci corocznie i nieprodukcyjnie, wyłącznie tylko na przewóz ciężarów. Dla większéj jasności przytoczymy drugie zestawienie. Przeciętna przestrzeń, dzieląca miasta Rosyi Europejskiej, równa się 70 wiorstom, dzieląca zaś wsie: 5 wiorstom. We Francyi, przestrzeń dzieląca miasta, wzięta także przeciętnie, równa się 20 wiorstom, a wsie: 1,6 wiorście. W obec tego włościanin ruski, dostarczający swoje produkty do miasta, musi je przewozić przeciętnie 35 wiorst, gdy włościanin francuski tylko 10 wiorst. Nadto ruski, przewożąc drogami zwykłemi, a częstokroć bardzo złemi, nie może obciążać konia ciężarem większym, nad 20 pudów i przebywa na dobę tylko wiorst 40; gdy francuz kładzie śmiało na jednego konia pudów 50 i przebywa na dobę więcéj, niż wiorst 50. W takich warunkach, przewożąc np. 100 pudów ciężaru, francuz zużywa na to tylko:

$\frac{100 \times 20}{50 \times 50}$ = 0,8 dnia, gdy ruski zużywa

$\frac{100 \times 70}{20 \times 40}$ = 8,8 dnia, czyli, że francuz przewiezie przez ciąg $9\frac{1}{2}$ godzin, licząc w dniu roboczym godzin 12, taki ciężar, na którego przewiezienie ruski potrzebuje 11 razy więcéj czasu. Powyższe rezultaty obliczeń musiały doprowadzić p. Gołowaczowa do wniosku o konieczności jaknajszybszéj budowy dróg bitych, któremi w dalszym ciągu się zajmuje. Zob. dalsze jego wywody w „Słowie“ N-er 38.

(*Przyp. Red.*).

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Deotyma. Branki w jasyrze. Tom I—III. Warsz. Nakł. i druk S. Lewentala, 1889. 8-o w. str. 213, II; 422 i II; 448, II i 1 nl. z ilustracyami E. M. Andriollego.

Powieść odgrywa w życiu i uspołecznieniu ludów cywilizowanych XIX wieku potężną rolę, bo stała się chlebem powszednim czytającéj publiczności. W powieści szuka ukojenia i wypoczynku zmęczony głębszém badaniem umysł ludzki; — w powieści klasy średnio wykształcone, nie umiejące korzystać ze źródeł nauk ścisłych, szukają odpowiedzi na poważne zagadnienia filozoficzne i społeczne, na niemilknące pytania własnego ducha—kędy mi droga śród ziemskich bezdroży, jaki jest cel mego bytu na ziemi? Ogół wysoko wykształconych ludzi w powieści, równie jak i w dziale poezyi, znajduje tylko środek rozrywki i zaspokojenia estetycznych potrzeb ducha, lecz nie uważa bynajmniéj dzieł belletrestycznych za źródła wiedzy prawdziwéj. Badanie i poznawanie prawdy — powinno zostać udziałem nauki. Rozum ludzki, w pracy, mającéj na celu poznanie rzeczywistości, posiada przyrodzoną logiczną ścisłość myślenia i refleksyą— w tworzeniu artystycznem dzielnie mu pomaga fantazya. Krytyczna i artystyczna działalność myśli ludzkiéj różnią się zasadniczo, a więc i wytwory obu tych różnych kierunków różnymi być muszą. Krytyka—to analiza, — sztuka—to synteza ludzkiéj myśli. Oczywiście więc w dziełach sztuki ani wszechstronnego i naukowego badania rzeczywistości, ani dokładnego wyjaśnienia jéj objawów człowiek nie znajdzie — i szukać nie powinien. Wiedzę, jako podstawę sądu o życiu i wszelkich jego zjawiskach, może posiąść człowiek jedynie za pomocą pracy na polu nauki.

A jednak, wbrew teoryi, która wyróżnia naukę i sztukę, krytyczne i artystyczne objawy działalności umysłu ludzkiego,—powieść kusi się dzisiaj o to, aby zmonopolizować w utworach swoich wszystkie działy myśli ludzkiéj. Powieść chce dzisiaj i rzeczywistość od-

twarzać na swój sposób (powieść realistyczna), i przeprowadzać pewne poglądy lub uzasadniać z góry powzięte tezy (powieść tendencyjna), i przeszłość chce wskrzeszać przed wzrokiem duszy czytelnika (powieść historyczna), — a jednak pomimo, że powieść chce nie tylko te, ale i wiele innych jeszcze postronnych osiągnąć celów, nie jest ani nauką o życiu ani o rzeczywistości, nie jest wykładem naukowem żadnéj tezy, i nie jest historyą; ponieważ jest ona przedewszystkiém dziełem fantazyi powieściopisarza, poety,—a zatem w obec rzeczywistości jest bajką. To, co autor przedstawia w powieści,—nie istniało ani takiém, jak to autor maluje, ani w ten sposób, jak to autor przedstawia. Nie ma powieści, któraby była fotografią rzeczywistości — wbrew wszelkim przeciwnym teoryom. Dzieło, które pisarz stwarza w powieści, wypłynęło przedewszystkiem z jego fantazyi, jak Afrodyta z piany morskiéj, i jak ta bogini—lotne ma kształty! Piękność dzieła poety, — to piękność idealna,—piękność pomyślana w głowie autora—lecz nie rzeczywista. Wszyscy wiemy, że poeta nie kopiuje tego, co jest, lub było, lecz tworzy to, czego nie było.

Oświadczając, że powieść jest bajką, nie zapominajmy jednak o tém, że ma ona być bajką dla dorosłych, a więc — bajką prawdopodobną. Otóż ta konieczna, nieodłączna od powieści cecha prawdopodobieństwa sprowadza częstokroć zamęt i pomyłki w głowach poetów i czytającéj publiczności. Poeta tak wierzy w prawdę i żywotność swych kreacyi, że rozkołysany fantazyą bierze własny świat marzeń za rzeczywistość, — a publiczność tak chętnie ulega złudzeniom idealnego świata poety, który z szaréj toni wydarzeń życia codziennego podnosi myśl i serce ku lepszym, doskonalszym światom, że chętnie zapomina o rzeczywistości, rozkoszując się złudnemi mirażami fantazyi poety. I oto obie strony w zachwycie uniesień biorą za prawdę to, co jest tylko—indywidualnéj fantazyi utworem.

Jednakże ten konieczny warunek prawdopodobieństwa nakłada na powieściopisarza pewne obowiązki, którym zadość uczynić powinien, i umysł powieściopisarza powinien mieć o prawdzie i rzeczywistości to przeciętne pojęcie, jakie posiada średnio wykształcony ogół a więc z nauką współczesną, powinien być obeznany.

Zaznaczywszy, że powieść należy do działu poezyi, zaliczyć ją musimy do dziedziny sztuki; ogólne zatem dążności sztuki ujawnić się także powinny w każdéj powieści.

Sztuka dąży do wytworzenia ideałów, — bez idealnego tła — powieści też nie ma. I napróżno siliłby się najzagorzalszy doktryner na usunięcie z dzieła sztuki, a więc i z powieści, wszelkich idealnych pierwiastków.

Powieść polska w rozwoju swoim odczuwa i uwydatnia ogólne kierunki, współczesnéj powieści europejskiéj. Wspólność cywilizacyi odbija się w życiu i twórczości społeczeństw. Wspólność ta jednak w danym wypadku nie jest tożsamością, lecz tylko podobieństwem. W dziełach sztuki każdy naród zachowuje właściwe sobie,

odrębne cechy warunków swego rozwoju. To też i powieść polska ma swój charakter, swoję odrębność narodową, różniącą ją od powieści niemieckiéj, włoskiéj lub francuzkiéj. Pomimo to powieść polska należy niezaprzeczenie do sztuki europejskiéj, jak gałąź do drzewa, z którego wyrasta.

Głębsza krytyka utworów powieściowych ma swe uzasadnienie w gorączkowém zapotrzebowaniu powieści przez nasz ogół czytający, bo patrząc na nasze dzienniki, zdawaćby się mogło, że ona jest głównym, jeśli nie jedynym środkiem powodzenia pisma. Jakkolwiekbądź z tém zjawiskiem pisma naukowe liczyć się powinny, ponieważ wszelki objaw społeczny — jest skutkiem przyczyn realnych. A jeśli w życiu nie ma ani jednego momentu, któryby przeszedł bez skutku, choćbyśmy go nawet nie dostrzegli, to na tém głębszą uwagę ogółu zasługują te objawy życia społecznego, które tak szerokie przybrały rozmiary. To też sądzimy, że rozbiory utworów powieściowych zajmują w literaturze peryodycznéj wcale poważne stanowisko i mają, jeśli tylko czynią zadość warunkom krytyki naukowéj niepoślednie znaczenie.

Najnowszy utwór powieściowy Deotymy pod tytułem „Branki w Jassyrze“ zasługuje na bliższy rozbiór nietylko dla rozgłosu, jaki już pozyskał, lecz i dla swéj wysokiéj artystycznéj wartości. Deotyma jest poetką z głębokiém poczuciem piękna w sztuce. Z utworu, którego tytuł wypisaliśmy w nagłówku niniejszego sprawozdania tchnie taka czystość uczuć i podniosłość myśli, że czytelnik bezwiednie ulega kojącemu urokowi poetki, wiodącéj go na szczyty idealnych wyżyn ducha ludzkiego.

Treść utworu zamierzchłych sięga czasów, bo aż XIII wieku. Dwie szlachcianki dostają się w niewolę tatarską w epoce najścia tatarów na Polskę i smutne dzieje ich niewoli stanowią zasadniczy motyw powieści.

Jedna z branek—to żona szczęśliwa sławnego rycerza Sulisława i matka prześlicznego dziecięcia Jasia,—druga—dziewica sławnego rodu; obie piękne, młode, bogate,—los rzuca im kwiaty pod nogi. Lecz te kwiaty zaścielają tylko początki ich wędrówki ziemskiéj. Na drugiéj połowie już dotkliwie kolce ranią ich stopy, — a daléj już ciernista wije się przed niemi droga. Złączone węzłem przyjaźni—dzielą i szczęście i ciężkie chwile w jednakiéj niedoli.

Elżbieta, żona rycerza Sulisława, przyjęła chwilowo w dom swój Ludmiłę, młodę dziewczę, sierotę już w zaraniu wieku. Kobiety od pierwszéj chwili poznania powzięły do siebie bezgraniczne zaufanie i sympatyą, a te uczucia w następstwie zamieniły się w przyjaźń. Drobne kłopoty z powodu niefortunnych swatów Ludmiły szczęśliwie jakoś mijają, — gdy oto nawała tatarska zalewa kraj. Wszystko idzie na łup tatarskiego miecza. Młody rycerz Przedwojowic, który potrafił podbić młode serce Ludmiły, ginie w walce z tatarami śmiercią bohatera. Sulisław, zostawiwszy ukochaną żo-

nę z synem w warownym zamku, śle do niéj posłańca, aby natychmiast z domem całym wyjeżdżała do Krakowa pod opiekę księcia Bolesława i świętobliwéj małżonki jego Kunegundy. Po niewczasie przekonywa się nieszczęśliwy rycerz, że posłańca na drodze ubili tatarzy. Biedna Ludmiła, z sercem rozdartém po śmierci swego rycerza Przedwojowica, przedsiębierze go wyręczyć. Ludmiła była już w rękach tatarów, czuła już uściski ich powrozów. Dzielny Przedwojowic odbił ją z jassyru — i zginął śmiercią walecznych. Ludmiła więc zakosztowała już goryczy niewoli,—tem chyżéj bieży z wieścią do ukochanéj Elżbiety. Morze dziczy tatarskiéj rozlewa za nią rozhukane swe fale, — idzie za nieszczęsną trop w trop. — Zaledwie zdążyła złą wieść opowiedzieć w zamku, — w chwili, gdy wszystko gotowe już do drogi,—tatarzy otaczają warowny zameczek. Odwrót odcięty. Liczba tatarów jest tak przemagającą, że najdzielniejszy opór oblężonych uratować nie zdoła i mają do wyboru śmierć albo jasyr.

Dowódca załogi, Rupert, pragnie ratować ukochaną panią z dziecięciem, Ludmiłę i kapelana. Wyprowadza więc ich podziemném przejsciem, które łączyło zamek z Iłżą. Na końcu przejścia spotykają tatarów, którzy zdobywali już Iłżę. W tym samym czasie mniéj więcéj ginie w boju z tatarami Sulisław.

Nieszczęsne kobiety z dziecięciem idą w niewolę. Elżbieta została przeznaczoną za niańkę dziecka tatarskiego wodza, a Ludmiła i Jasio z powodu cudownéj ich urody na łup dla wielkiego Chana. Od téj chwili rozpoczynają się bolesne roczniki jasyru — długiego, bo dopiero po 40 latach ujrzały branki ziemię rodzinną.

W drodze do Azyi Ludmiła zdołała uciec z dziecięciem—które oddała na Węgrzech w ręce wiernego sługi. Sługa miał oddać Jasia rodzonemu bratu jego matki, księdzu Maciejowi.

Lecz pomimo wszelkich okropności jarzma tatarskiego, pomimo obawy śmierci, a co gorsza — hańby,—młode dziewczę nie chce wolności bez ukochanéj Elżbiety. Z garstką koczowniczych włoskich kupców i z bogactwami na wykup Elżbiety, Ludmiła bez chwili zwłoki puszcza się śladem tatarskiéj karawany. Dopędza ją. Niestety pomimo przebrania i wszelkich środków ostrożności Ludmiłę poznano—i znowu powleczono w niewolę. Ofiara jéj spełzła tedy na niczem. Los obu niewolnic jest jednak bardzo różnym.

Od pierwszéj chwili niewoli—Ludmiła wpadła w oko młodemu wodzowi tatarskiemu Ajdarowi, który taką szczególną ku niéj zapałał miłością, że wbrew wszelkim trudnościom i przeszkodom, bierze ją za małżonkę. Ślubu, na żądanie Ludmiły, dopełnił jakiś duchowny nestoryański.

Elżbieta jest niańką dziecka bratowéj Ajdara, małego Kalgi. Ta okoliczność pozwala brankom nierozłączać się ani na chwilę, gdyż Ajdar i ojciec Kalgi nigdy się nie rozłączają.

Przed Ludmiłą ściele się dola dostojnéj damy tatarskiéj. Przepychy i świetności życia na dworze Chana stoją otworem przed Ludmiłą, która, będąc możną i bogatą, osładza dolę ukochanéj przyjaciółki. Ajdar kocha żonę do szaleństwa i ulega wszelkim jéj życzeniom,—nawet przyjmuje chrzest Św.

Po wielu, wielu latach pożycia z Ajdarem, Ludmiła pada ofiarą zazdrości jednéj z małżonek Ajdara, Bigi. Biga zaraża ją trądem. Wszyscy, nawet Ajdar, odstępują nieszczęśliwéj. Nieodstępuje jéj jedna Elżbieta, — zaraża się dobrowolnie trądem—i obie wolne już branki otwartą mają drogę do Europy.

Nowa faza cierpień i upokorzeń dla nieszczęsnych kobiet — ci, ku którym one idą — unikają ich z obawy zarażenia się trądem. A jednak branki wracają do kraju. Elżbieta odzyskuje syna, okrytego chwałą wybawiciela miasta Krakowa,—księżna Kunegunda jednym pocałunkiem leczy branki z trądu, zagrabione mienie powracają im sądy.

Branki same, zaznawszy największych cierpień,—resztę życia i bogactwa poświęcają na osłodę cierpiących, — służą trędowatym. Cicha i spokojna śmierć jest ostatnią ich ziemską nagrodą.

Oto szkielet treści najnowszego utworu Deotymy. Łatwo zrozumieć, jak szerokie pole dla bujnéj fantazyi przedstawia podobny temat. Obrazy wojen, rozdzierające sceny niewoli, oryginalność i malowniczość epizodów życia tatarskiego, głębokość uczuć i potęga poświęcenia nieszczęsnych brańców i branek,—oto kanwa, na któréj wprawną dłonią snuje poetka misterne swe wzory. Całość rozwija się malowniczo przed oczyma duszy czytelnika.

Oczywiście mnóstwo drobniejszych, a jednak w opowiadaniu ważnych epizodów musieliśmy pominąć. Potrącimy o nie przy bliższym rozbiorze utworu, który tworzy ogromną księgę z pięknemi ilustracyami Andriolli'ego. Jakkolwiek właściwy dramat powieściowy rozgrywa się między osobami, tworzonemi przez fantazyą poetki, w pojedyńczych, poszczególnych epizodach, występują osoby historyczne, jak np. książe Bolesław, ks. Kinga, braciszek Benedykt, Chanowie tatarscy, księżna Siurkukteni i wiele innych postaci, znanych w dziejach. Malownicze sceny dworskie ilustrują odnośną epokę, tak, że powieść tę do rzędu historycznych zaliczyć trzeba. Powieść historyczna,—to bardzo oryginalne zjawisko, bo historya — to nauka, powieść—to dzieło sztuki, utwór poetyczny. Nauka bada rzeczywistość i prawa nią rządzące,—sztuka urzeczywistnia, realizuje ideały poety, wcielając je w realne formy, nadając im kształty dla zmysłów i umysłu uchwytne. Sztuka daje nam ideały, nauka — poznanie rzeczywistości. Gdy umysł uczonego bada fakta życiowe i wszelkiego rodzaju zjawiska w ich rzeczywistéj, realnéj szacie i przy pomocy logicznych przyrodzonych praw umysłu wysnuwa konsekwen-

tne wnioski, dopatrując się stałych zasad wszechbytu,—poeta wybiega umysłem po nad rzeczywistość i stwarza to, czego pierwéj nie było. Uczony objektywnie poznaje to, co jest, poeta subiektywnie indywidualizuje własne swe dążności i pragnienia, odkrywając nowe horyzonty, jaśniejące jutrzenką ideału. Uczony dzieli i rozbiera zjawiska—analizuje, poeta z rozstrzelonych rysów i cząstek składa całości fantastyczne — działa syntetycznie. Rezultat pracy uczonego — to fotografia rzeczywistości; rezultat pracy poety — to ideał rzeczywistości. Czém tedy może być powieść historyczna? Przedewszystkiem—dziełem sztuki, jako powieść,—a więc dziełem fantazyi; w nauce zaś fantazyować—nie wolno,—a więc przedewszystkiem nie szukajmy w powieści historyi. Ta nazwa „historyczna" najniepotrzebniéj do powieści przypiętą bywa. Deotyma nie uczyniła tego, i słusznie.

A jednak ze względu na utartą i ustaloną nazwę w dziale powieściowym, — z natury rzeczy musieliśmy opowiadanie autorki do rzędu historycznych powieści zaliczyć. Poeta nie może nagiąć fantazyi swéj do rzeczywistości o tyle, aby odtworzyć lub wskrzesić prawdziwe postacie i wydarzenia historyczne, — fantazya jego wówczas przestałaby być twórczą. Że tak jest w istocie, — przykładów mamy pod ręką aż do zbytku. Wszak Marya Stuart — to postać niezaprzeczenie realna; historya przedstawia nam ją z całą prawdą i z możliwą dokładnością. Zestawiona z historyczną postacią Maryi Stuart—Marya Szyllera i Słowackiego, bynajmniéj nie są do siebie podobne. Lub porównajmy Joannę d'Arc Szyllera z Joanną Szekspira? Niebo i ziemia!

Gdzież więc w tych historycznych (?) postaciach poety podziała się rzeczywistość, gdzie w nich historya? Kapitulowała przed—fantazyą. Czy można czynić z tego zarzut poecie? Zdaniem naszém—nie, tak samo jak nie można czynić zarzutu ptakowi, że po powietrzu buja,—lub rybie, że w wodzie żyje,—taka już ich n a t u r a.

I natura poety jest taką, że nie może ani naśladować niewolniczo rzeczywistości, ani odtwarzać ściśle przeszłości, która w najlepszym razie może nietylko służyć za manekin, na którym on rozepnie „swych marzeń przędzę". A jeśli w pustkę martwą tego manekina poeta złoży jeszcze i „swych uczuć kwiaty", to nagle ożywi się lalka bezmyślna, lecz nie reprodukcyą przeżytego już życia, ale nowém życiem—z natchnienia poety zaczerpniętém. A jednak, nie mogąc w powieści odtwarzać realnéj przeszłości, poeta może uchwycić jéj ducha, to, co nazywamy duchem czasu, duchem epoki. I pod tym względem powieść może być historyczną.

Odtworzyć ducha epoki, to znaczy uchwycić nieuchwytne na pozór charakterystyczne znamiona pojęć, obyczajów i warunków życia danego narodu w danéj fazie jego rozwoju — i uchwyciwszy to myślą, uplastycznić w dziele sztuki. Wówczas poeta s t w a r z a

świat p o d o b n y do odnośnych minionych epok przeszłości, opromieniając go błyskami ideału. Ten świat poety, który oddaje ducha czasu,—pod tym jedynym względem zasługuje na nazwę historycznego, — to też wielcy poeci (Szekspir), popełniając tysiące anachronizmów, jakby intuicyjnie odgadują ducha czasu i uwieczniają go w swych dziełach. Deotyma w powieści swéj w opisach dworu ks. Kunegundy i panujących tam zwyczajów, daléj w opisach różnych scen z życia tatarów niewątpliwie starała się uchwycić ducha czasów i odpowiedni opisom swym nadać koloryt. Jednakże właściwą część historyczną zamknęła w kilku rozdziałach, nie mających żadnego związku z fabułą powieści, lecz za to bardzo pouczającéj treści. Autorka nie tylko daje opisy wydarzeń, lecz nawet wdaje się w ich roztrząsanie historyczne (np. rozpatruje czynniki, które wywołały epokę odrodzenia i t. p.). Z opisów tych czytelnik dowiaduje się wielu ciekawych, a nawet mało znanych szczegółów z epoki rozkwitu państwa Mongolskiego, które tak ważną na wschodzie odegrało rolę.

Poglądy autorki są, niestety, rzadko wymotywowane, ale zwykle gołosłowne a często wprostmylne, — lecz z tego powodu ani zarzutów czynić jéj nie zamierzamy, ani też w ogóle krytykować tych poglądów nie myślimy, ponieważ to należy do nauki ścisłéj, któréj autorka specyalnie nie uprawia i która bynajmniéj w powieści odpowiedniego miejsca znaleźć nie mogła i nie może. Zamało to jednego rozdziału, aby wyjaśnić naukowo epokę odrodzenia lub zwalić dotychczasowe poglądy na wpływ świata klasycznego w owéj epoce, na ruch umysłowy w Europie. Autorka nie usprawiedliwia swoich zbyt śmiałych zapatrywań na daną epokę lecz poglądów jéj objaśniać nie potrzebujemy, bo uważamy w ogóle te naddatki „historyczne“ w osobnych rozdziałach do powieści przyczepione, za niepotrzebny tylko balast w powieści. Wskutek tego długa ta powieść staje się—zadługą i chwilami, zamiast bawić i podnosić umysł i serca—nuży. A tymczasem zasadnicze ideały autorki są tak podniosłe, że szkoda, gdy czytelnik w nawale szczegółów traci je z oczu. Te ideały powinnyby w każdym niemal rozdziale występować z całą wyrazistością, bo autorka przejęta głęboką wiarą w słuszność swéj sprawy,—wiarą w nieśmiertelność, w duchu katolickim wypowiada wszędzie z jak najszlachetniejszą szczerością przekonań te szlachetne poglądy swoje. Deotyma w powieści swéj wprowadza sferę „cudów“ i „cudowności“, czynniki nadprzyrodzone, — w obec których krytyka— składa pióro. W jednym z ustępów autorka zaznacza, że dzieje się w jéj wydarzeniach nie jeden „cud“, ale „sto cudów“. Kto wie,—może i więcéj! Deotyma rozpoczyna powieść swoję przepowiednią natchnionego pustelnika, która spełnia się co do joty. Cud za cudem obezwładnia naturalne siły przyrody, — dłoń opatrzności rozstawia i porusza wszystkie postacie w obrazie Deotymy. Sprawiedliwość tryumfuje,—i na ziemi i w niebie,—cnota i występek odpowiednie mają wynagrodzenie.

Zaznaczywszy tę właściwość ostatniéj powieści Deotymy, przejdźmy do rozpatrzenia tych naturalnych czynników, które krytyka uchwycić może.

Najsilniejszém światłem swoich ideałów, otoczyła autorka dwie postacie głównych bohaterek powieści: Elżbiety i Ludmiły. Podniosłe ideały katolicyzmu w całym blasku jaśnieją urzeczywistnione w obu brankach. Czysta miłość i poświęcenie bez granic, głęboka niezachwiana wiara, dobra i stała wola wykonywania wszystkich przepisów religii Chrystusowéj, wytrwałość i pogoda ducha w obec najstraszniejszych kataklizmów społecznych — oto rysy charakterystyczne obu branek. A obok tych cnót ewangelicznych, wrodzona kobieca dobroć i łagodność dopełniają reszty obrazu. Obie te kobiety różnią się tylko temperamentem. Elżbieta jest cicha i powolna, Ludmiła żywa—jak iskra. Krwawe potoki gasiły tę iskrę powoli; a jednak mały ten płomyk świecił w oczach Ludmiły nawet jeszcze po powrocie z niewoli. Autorka w przeprowadzeniu obu tych charakterów okazała chwalebną konsekwencyą.

Czytelnik, który zaufał im od pierwszéj chwili, — nie traci w ciągu całego opowiadania téj ufności. Takie serca i dusze — to opoka, na któréj wznosi się na ziemi kościół Chrystusowy. Dziwnym napozór wydaje się stosunek Ludmiły do Ajdara. Ta niewolnica, umiejąca okiełznać takiego tygrysa, nietylko nawykła do niego, lecz nawet go — pokochała. Ajdar nie potrzebował brać szturmem pieszczot od cudnéj swéj małżonki. Ludmiła potrafiła szczodrze obsypywać go niemi, bo nawet „zawroty miłości“ poznał na jéj łonie (scena po chrzcie Ajdara), gdzie Deotyma staje się nieustępującą innym realistką; ale pod względem psychologicznym błędu nie popełnia.

Ta sama Ludmiła, która deklamuje w chwili uniesienia, że „nieprzyjaciela własnéj ziemi“ kobieta nigdy kochać nie może, w chwili radości z nawrócenia Ajdara, z niekłamaném uczuciem miłości oplata białe ręce w około szyi barbarzyńcy i ciemiężcy, który wiódł krwawą hordę na mlekiem i miodem płynące łany ojczystéj jéj ziemi. Niekonsekwencya postępowania—to pierwszy rys charakterystyczny natury kobiecéj. Kobieta umie być wdzięczną, a mężczyzna, który z oddaniem się czci kobiety spełnia wszelkie jéj zachcianki, a nawet wyrzeka się wielu własnych upodobań dla jéj woli,—może śmiało liczyć na powodzenie w jéj sercu.

Ten rys charakteru Ludmiły w niczem nie kazi świetlanéj téj postaci. Kobieta, któraby w obec takich pokus, jakie otaczały Ludmiłę, okazała się zimną jak głaz i nieczułą,— nie byłaby kobietą. Ajdar — ów bohater tatarskiego pokroju przeistoczył się, aby posieść miłość Ludmiły,—i potrafił ją pozyskać. W najdroższych swych uczuciach Ludmiła była zaspokojoną; Ajdar zezwolił na otaczanie Elżbiety taką pieczołowitością, jakiéj tylko Ludmiła zapragnęła, zezwolił na czyny miłosierdzia względem jeńców — według

uznania Ludmiły,—wyrzekł się wszystkich innych żon,—sypał perły pod stopy swéj gołąbki, roztoczył przed nią przepych i bogactwa dworu tatarskiego Chana. Ludmiła—niewólnica—niewolnicą była w teoryi. W rzeczywistości była wielką panią przy tatarskim dworze,—no i może w tatarskim nieco guście. A jednak po rozstaniu się z Ajdarem zbyt gorzkich łez po nim nie roniła... Lecz gdy po powrocie z niewoli po latach czterdziestu ujrzała w lochach pod Iłżą miejsce, gdzie po raz pierwszy go spotkała a westchnąwszy rzekła: „Tu po raz pierwszy zobaczyłam Ajdara... A w głosie jéj... był odcień rozczulenia". O zmienności kobiecal

Ta wrażliwość temperamentu Ludmiły czyni ją tém ponętniejszą, a oczywiście nie przeszkadza jéj gorliwie pełnić najpodniośléjszych obowiązków chrześcianki. Nie wątpliwie, że pierwszy gwałt, jaki zadała swemu sercu, aby nawyknąć do nowego swego położenia—niewolnicy tatarskiéj, był skutkiem nadziei, że lżejszą będzie dola Elżbiety i że Ajdar z czasem może przyjmie chrzest św. Myśl tę podszepnęła Ludmile Elżbieta,—i od téj chwili idea ta nie opuszcza małżonki Ajdara. Zabiegi jéj odniosły tryumf—Ajdar został chrześcianinem.

Obie branki, zachowując i pielęgnując cnotę chrześciańską, różnią się,—jak ludzie zazwyczaj, pewnemi właściwościami charakteru. Elżbieta od chwili pójścia do niewoli zaparła się siebie saméj, wyrzekła się wszelkiéj przyjemności, rozkoszy życia. Ludmiła—bynajmniéj,—przy każdéj sposobności stara się i zabawić i ubrać pięknie i o jakiéjś rozrywce pomyśleć. Młodość jéj szuka ujścia dla tysiącznych swych porywów, los wiele z nich zaspakaja.

Jakkolwiek obie branki jeden mają ideał przed sobą i jednemi kierują się zasadami, urzeczywistnienie tego ideału różne przybiera formy ze względu na zaznaczoną powyżéj i trafnie przeprowadzoną różnicę ich charakterów i temperamentów. Postacie te żyją i działają nie jak manekiny, lecz jak ludzie żywi. Czytelnik wierzy najzupełniéj, że takie istoty istnieć mogą, jakkolwiek są one niepospolite, niezwyczajne. Dzięki jednak umiejętnéj charakterystyce autorki, bohaterstwo tak naturalnie wynika z podniosłych dążności, zarazem z chartu i energii branek, że zachowuje wszelkie cechy prawdopodobieństwa. Elżbieta wygląda niemal na świętą; — ale wszakże i takie istniały. Religia katolicka posiada wystarczającą siłę i potęgę, aby wytwarzać ludzi cnót wielkich, aby wypleniać z dusz chwasty egoizmu i namiętności i rzucać posiew na bohaterskie czyny. Bohaterstwo to w chrześciańskim świecie spełnia się w ciszy i pokoju, w głębiach ludzkiéj duszy, w skrytościach serca, a prócz tego wynika ono z sił i czynników, nie w naturze ludzkiéj, lecz po za nią, a właściwie po nad nią istniejących. Tego rodzaju abnegacya dla wszystkiego, co ziemskie, nie da się wytłomaczyć zimnym rozsądkiem, a ludzie, wyrastający na bohaterów chrześciańskich, nie podchodzą pod zwykłą miarę. To też branki Deotymy stoją na tym wysokim

piedestale poezyi, na którym serce poety umieszcza swe ideały. — Wobec tych wspaniałych kreacyi autorki, — reszta postaci mniéj więcéj blado się przedstawia. Na każdéj jednak—autorka wycisnęła piętno głębokich swych poetycznych uczuć i zdolności. Ajdar, mąż Ludmiły, budzi żywą sympatyą czytelnika. Z jednéj strony męzka jego uroda i świetność tatatarskiego wodza, z drugiéj strony wrodzona, może nieco nie tatarska, „prawość charakteru“ stanowią czynniki szczerze pociągające. Ajdar bardziéj chwilami wygląda na średniowiecznego rycerza, aniżeli na okrutnego tatara,—lecz i czegóż miłość nie może. Pod wpływem tego podniosłego uczucia, jak pączek róży pod działaniem ciepła słonecznego, rozwija się serce i dusza człowieka, okazując ukryte swe przymioty we właściwém świetle i blasku. W powieści Deotymy występuje Ajdar już w stanie téj powolnéj metamorfozy, gdyż epoka pierwotnéj dzikości tatarskiéj zaledwie zaznaczoną została. Sądzimy téż, że do tego tkliwego, mężnego i kochającego wodza tatarów zapłonie nie jedno młode serduszko nadobnych czytelniczek. Warto być porwaną choćby przez takiego tatarskiego chanika, aby królować na tronie miłości.

Jeśli w Ajdarze najmniéj występuje tatar, a bardziéj rozkochany rycerz, za to w innych postaciach tatarów autorka zachowała wiernie rysy tatarskiego plemienia. Rozległe studya autorki na polu historyi i etnografii widnieją z całéj pracy. Taktyka wojowania tatarów, właściwości ich charakteru, życie ich stepowe,— wszystko to czytelnik ma, jak na dłoni. Poetka, zamiast suchéj opowieści, daje wszędzie barwne obrazy.

Równie sympatycznie przedstawia autorka franciszkanina ks. Benedykta, postać historyczną, jak i wiele innych osobistości z ówczesnéj epoki.

Strona opisowa stanowi największą zaletę powieści. Autorka roztacza zajmujące, barwne i pouczające obrazy z bytu ówczesnéj epoki zaczerpnięte. Dwór św. Kunegundy, rycerski turniéj w Polsce, obchód świąt Bożego Narodzenia w Krakowie, uroczystości w stolicy tatarskiéj pod względem opisu nie pozostawiają nic do życzenia. Plastyka słowa jest mistrzowską. Słabsze nieco pod względem artystycznym są obrazy rzezi i napadów tatarskich (np. obraz wzięcia klasztoru Norbertanek). Widocznie pióro niewieście wzdryga się przed krwawemi scenami,—autorka z trudnością znajduje barwy do oddania grozy łuny i krwawéj posoki.

Całość utworu jest może nieco za rozwlekłą, chwilami nuży czytelnika. Wynagradza za to rzeczywisty pożytek, jaki z ciekawych i mało znanych szczegółów każdy umysł odnieść może. Ze względu na podniosłość ideałów autorki i obrazowość jéj pióra, uważamy utwór jéj za dzieło wysoko pedagogiczne, które winno się znaleźć w rękach czytającéj młodzieży polskiéj. Rzadko znajdzie się książka, zapewniająca czytelnikowi tyle estetycznego i umysłowego pożytku, co „Branki w Jasyrze“ Deotymy. Nie ma w całéj

téj powieści ani jednéj postaci, któraby uosabiała zło, w całéj jego demonicznéj potędze. Nawet ów przedstawiciel złych potęg, Zyndram, nawraca się i żałuje za grzechy i publiczną odbywa pokutę.

U autorki wszystko się dobrze kończy, wszystkie węzły opowiadania tak misternie są zadziergnięte i rozplątane, że poczuciu słuszności i sprawiedliwości czytelnika najzupełniéj zostaje zaspokojoném. W całéj powieści góruje ta zasada, że wszystkiem na świecie rządzi opatrzność, która nawet zła używa dla spełnienia i osiągnięcia swych niedoścignionych celów i zamiarów. Oko Opatrzności widzi wszystko—i nic nie dzieje się bez wyraźnéj lub niewyraźnéj, ale zawsze działającéj, Bożéj woli. Zło, które Bóg na nas zsyła, jest tylko środkiem udoskonalenia, środkiem osiągnięcia najwyższych ideałów człowieka—wiekuistego szczęścia.

Dla przeprowadzenia téj zasady, autorka obficie posługuje się środkami nadprzyrodzonemi, to jest cudami. To téż dla tego tak jéj się w powieści dobrze wszystko składa, dla tego tak wszystko złe dobrze się kończy.

Pod względem artystycznym wszelka przesada jest wadą, gdyż narusza konieczną w sztuce miarę harmonii, a autorka nietylko że używa jako sprężyn swéj opowieści cudu, ale go i nadużywa.

Te wady nikną jednak przed wzrokiem czytelnika ulegającemu urokowi prawdziwych poetycznych piękności utworu. Rozdziałów prawdziwie pięknych powieść posiada bardzo wiele, całość podnosi ducha, wskazując mu przykłady bohaterskich czynów. Prócz tego autorka podtrzymuje w czytelniku głębsze zainteresowanie się losem bohaterek, nie słabnące do końca powieści. Branki i ich dola od początku do końca pozostają ściśle i konsekwentnie głównemi postaciami powieści.

Przyznając dziełu Dyotymy wszystkie powyżej oznaczone i artystyczne i etyczne, a nawet i pedagogiczne zalety, zaznaczyć musimy, że pod względem techniki powieściopisarskiéj „Branki“ nie dodosięgają poziomu sztuki współczesnéj. Talent autorki, właściwie liryczny, z natury swéj nie nadaje się do epoki najazdów tatarskich. Powieść chwilami rwie się dla historycznych medytacyi i roztrząsań, a nawet dla lekkiéj polemicznéj sprzeczki, gdy mówi o znaczeniu wieku XIII historyi polskiéj. Chwilami czysto etyczne osobiste rozumowania autorki również odskakują od fabuły powieściowéj. To téż powieść Deotymy robi wrażenie gawędy przy kominku—o tém i o owém, co się tam po drodze nadarzy. Osobistość autorki często i nazbyt może wyraźnie mówi do czytelnika, tam, gdzie wydarzenia powieści mówićby powinny. Autorka zapomina wówczas, że twórca dzieła epicznego w utworze swym zniknąć powinien, że wszystko roztaczać się winno przed czytelnikiem jak jeden obraz, przez niewidzialnego piewcę wyśpiewany. (Iliada i Odysseja).

Ale i cóż na świecie bez zarzutu? Wielkie zalety i podniosły nastrój „Branek w Jasyrze“ czynią utwór ten prawdziwą ozdo-

bą polskiéj leteratury belletrystycznéj. Prócz tego dobroczynny wpływ, jaki na umysły i serca młodzieży utwór ten wywrzeć może, i powinien, każe nam się spodziewać, że „Branki w Jasyrze“ znalazły jak największą liczbę czytelników.

Te światła, które w powieści swej skupiła autorka w jedno słońce cnoty i wiary, powinny rzucić młodzieży jasny blask na szarzejące mglistéj przyszłości drogi, powinny zwrócić młode dusze, nie zatrute jeszcze zdradnym tchnieniem materyalistycznych teoryi, ku wyżynom ideałów, dla których żyć i umierać warto.

J. K. Dworzaczek.

Rodziewiczówna Marya. „Kwiat Lotosu“, powieść. Warszawa. Nakł. i druk S. Lewentala, 1889. 8-o min. str. 320.

O ile „Dewajtis“ p. M. Rodziewiczównéj jest powieścią szczęśliwie pomyślaną i w wielu ustępach dobrze napisaną, o tyle następne utwory téj początkującéj autorki, goniące za drastycznemi efektami i dotykające kwestyi, dla czytelnika nie zrozumiałych, — a niestety,—nie zrozumiałych zapewne i dla p. Rodziewiczównéj.

Jeżeli o utworze tak słabym, jak „Kwiat lotosu“ zamierzamy pomówić nieco obszerniej, to dla tego jedynie, że ogół czytający żywo interesuje się powieściami Maryi Rodziewiczównéj, a krytyka nie zajęła się dotychczas gruntowniejszym rozbiorem prac—oby nie za pochopnie przechwalonéj autorki.

Pierwszą i zasadniczą wadą powieści p. Maryi Rodziewiczównéj jest brak niezbędnego wykończenia jéj utworów. Powieści p. M. R. robią wrażenie roboty terminowéj, która nie zawsze zdoła ominąć niebezpieczny szkopuł sztuki powieściowéj. Autorka szkicuje tylko zlekka zarówno postacie pojedynczych osób, jak i całe sytuacye, lubując się w górnolotnych frazesach i zbytecznéj przekładni wyrazów. Stąd wynika często wadliwa konstrukcya całego planu i zaniedbanie pod względem zewnętrznéj formy.

Wady te pochodzą albo ze zbyt natarczywego zapotrzebowania powieści oryginalnych, albo,—co byłoby jeszcze gorszém, ze zbytniéj pewności siebie szanownéj powieściopisarki. I jedna i druga przyczyna może w twórczości artystycznéj autorki zgubne sprowadzić następstwa.

Już przy ocenie „Dewajtisa“ zastrzegliśmy się jak najwyraźniéj, że pisząc o tym utworze zapominamy o tém, że to jest powieść konkursowa, nie chcemy wiedzieć, że jest uwieńczoną, gdyż rozpatrując ją, jako uwieńczoną, inną zupełnie stosowaćbyśmy musieli miarę. Lecz niech autorka nie daje unosić się wysokiemu o sobie mniemaniu, dla tego, że komisya konkursowa uwieńczyła

jednę z jéj powieści, lub że ogół chętnie czytuje jéj utwory. Do lekceważenia pracy to wszystko tytułu nie daje. Ogół również łatwo zniechęcić się może do powieści, którym brak wykończenia, a wówczas o nowe względy tego ogółu starać się będzie trzeba. Przystępując do rozbioru powieści, któréj tytuł w nagłówku podaliśmy, trudno nam przedewszystkiém zrozumieć, dla czego autorka dała powieści tytuł „Kwiat lotosu", gdyż tytuł taki, mógłby mieć zastosowanie tylko do ostatniego rozdziału;—z całością zaś, nie ma nic wspólnego. Mogłoby to robić wrażenie, jakoby autorka chciała zaakcentować drastyczną sytuacyą ostatniego rozdziału swego utworu,—a doprawdy sytuacya nie warta była ani podkreślenia, ani nawet opracowania.

Treść utworu nie odznacza się ani inwencyą ani głębszą myślą —a w pogoni za efektami autorka pogubiła nawet pozór prawdopodobieństwa. Osią powieści jest pseudo demon, wcielony w osobie Rafała Radwana. Ów bohater powieści jest uosobieniem piękna, a obok tego uposaża go autorka silną, potężną nawet wolą i samodzielnym wyższym umysłem. Radwan będąc sprawcą wielu nieszczęść, jest główną sprężyną w całéj opowieści. Jako sublokator biednej wdowy, Brzezowéj, rozpala umysł młodéj panny Leonji Brzezównéj, córki owéj wdowy.

Młoda (na początku powieści) panienka gorączkowo pracuje nad swojém wykształceniem i pomimo nędzy i wszelkich przeciwności uczy się na pensyi z „nadludzkim wysiłkiem".

Wogóle autorka, pisząc o ludziach, lubuje się w ich „nadludzkich przymiotach" i właściwościach, szafując tym wyrazem bez potrzeby. Tymczasem w zapale poetycznym zapomina, że w świecie objawów życia ludzkiego rzeczywistość „nadludzkich" zjawisk nie zna. Wszystko, co tylko dokonywa człowiek, jest ludzkiém i dla człowieka możliwém. Otóż owa nadludzko pracująca Leonka przesuwa się tylko na początku powieści i ukazuje na końcu. Pracując skutecznie nad przewróceniem w głowie Leonce, Rafał Radwan bez powodzenia stara się przewrócić w głowie koledze swemu, Adamowi Lachnickiemu, który współcześnie z Radwanem jest studentem medycyny. Pomimo wprost odmiennych poglądów, Adam ukochał Rafała, i zabiera go na wakacye na wieś do swego ojca, który jest leśniczym w wielkim majątku Rahozów. Radwan przyjmuje. Mają to być ostatnie wakacye wspólnie spędzone, gdyż Radwan porzuca studya swe medyczne, jakkolwiek dopiero jest na 3 kursie medycyny, a przerzuca się na wydział filozoficzny, który kończyć zamierza w Monachium. Sytuacya od téj chwili wikłać się poczyna. Syn starego Rahozy, Feliks, student prawa, mieszkający razem z Radwanem u staréj Brzezowéj, bogaty, szałaputny, pełną piersią używający wszelkich dozwolonych i niedozwolonych rozkoszy życia, od dawien dawna jest w niezgodzie z Radwanem, drwiąc z napuszonych jego frazesów. Radwan nienawidzi go serdecznie.

Spotkanie oczywiście podczas wakacyi jest nie uniknione, a na sposobności do podrażnień wzajemnych nie zbywa. Niechęć Radwana do Feliksa Rahozy łączy się z niechęcią do jego ojca, który przy pierwszém spotkaniu z Radwanem w Warszawie przypomina sobie, że stary profesor Radwan wziął mu z przed nosa ukochaną kobietę, której synem jest właśnie młody Rafał. Stary Rahoza czuje od razu sympatyą do młodego Radwana przez pamięć na jego matkę, a Radwan, uwielbiający pamięć ojca, któremu zawdzięcza ową (jakoby) wiedzę, czuje niechęć do byłego wielbiejela swéj matki.

Stary Lachnicki, ojciec Adama, jest wiernym sługą Rahozów i wyznaje na wskroś serwilistyczne teorye, które (rzecz niepojęta) szanuje i wprowadza w czyn na wsi syn jego, Adam, człowiek, który zakosztował nauki i przejął się najpodnioślejszemi ideemi XIX wieku.

Serwilizm ten, którym przy każdéj sposobności ciska mu w twarz Radwan, przybiera na wsi u Rahozów bardzo nie sympatyczne znamiona. Adam razem ze swym ojcem stoi w progu gabinetu p. Rahozy, przy spotkaniu w polu lub w lesie Adam rozmawia z p. Rahozą z odkrytą głową, czapkę pokornie trzymając w ręku, i tak oto godność osobista młodego Adama poniewiera się na każdym kroku. Poniżenie znosi Adam z niepojętą rezygnacyą i oczywiście,— bez potrzeby. Lecz dla wyjaśnienia sposobu zachowania się młodego Lachnickiego autorka zadzierzga nowy węzeł w posępnym swym melo-dramacie. Adam Lachnicki kocha córkę pana Rahozy, a siostrę Feliksa,—Anielkę, która odpłaca mu wzajemnością. Wobec arystokratycznych pojęć starego Rahozy, miłość ta jest bez nadziei osiągnięcia celu zamierzonego.

Jaki rezultat z tych wszystkich naciągniętych sytuacyi wyniknie,—przewidzieć łatwo,—wobec posępnego kolorytu, który obrazom swym nadaje autorka. Radwan i Feliks Rahoza drażnią się przy każdém spotkaniu, co podsyca wzajemną ich nienawiść. Stary Rachoza w sposób brutalny przy pierwszém spotkaniu w lesie z Radwanem, znieważa pamięć jego ojca. Zaznaczamy, że postępek ten ze strony rozsądnego i prawego szlachcica—jest niewytłómaczony i w najwyższym stopniu nieprawdopodobny. Radwan zaprzysięga zemstę.

Stary Rahoza, nie wiadomo na co i poco, wysyła syna Feliksa za Radwanem na studya do Monachium. Pobyt w jedném mieście nastręcza nową sposobność do podrażnienia Radwana i rozdmuchania tlejącéj iskry nienawiści. Radwan postanawia dokonać zemsty. W jednéj chwili przeistacza się z zabrudzonego studenta w wytwornego eleganta—i w ciągu paru tygodni odbija narzeczoną Feliksowi. Dla ujrzenia owoców swéj zemsty, Radwan wraca do kraju i jedzie w strony majątku Rahozów, z którego dobrami graniczą

wsie narzeczonéj Feliksa. Za powrotem Radwan zastaje nieprzewidziane zmiany. Ojciec Adama Lachnickiego umarł, Adam w liberyi Rahozów pełni służbę leśniczego w majątku starego Rahozy, porzuciwszy oczywiście uniwersyset. Powodem tego rozpaczliwego kroku była wola ojca Lachnickickiego, który chciał spłacić dług, jaki zaciągnął stary leśniczy u pana Rahozy dla kształcenia syna na uniwersytecie.

Radwan skłania ostatecznie Adama, aby oświadczył się p. Rahozie o jego córkę, przewidując z góry następstwa podobnéj propozycyi biednego oficyalisty. Plany Radwana udają się wyśmienicie. Feliks Rahoza zastaje go w czułej pozycyi ze swoją narzeczoną,— następuje natychmiastowy pojedynek, — Feliks pada od kuli Radwana.

W tej saméj chwili stary Rahoza wypędza Adama Lachnickiego, który oświadczył się o rękę jego córki. Adam idzie w świat z Radwanem, który, straciwszy wiarę w naukę, postanowił podróżować razem z jakimś awanturnikiem Bertem.

Ostatnie sceny powieści rozgrywają się po latach dziesięciu. Stary Rachoza umarł już dawno, córka jego oczekuje powrotu ukochanego Adama. Leonka Brzezówna, dzięki pomocy Rahozów, ukończyła za granicą wydział medyczny i rozpoczęła praktykę lekarską w małéj mieścinie w okolicy majątku Rahozów.

Obie te kobiety są Aniołami opiekuńczemi okolicy.

Wraca Radwan i obwieszcza córce Rahozy śmierć Adama. Zemsta jego dokonana. Zabił młodego Rahozę,—co dla wszystkich pozostało tajemnicą, gdyż rodzina Rahozów uważała Feliksa za samobójcę;— o śmierci Adama on powiadomił córkę Rahozy.

Lecz jeszcze czeka spokojnie ostatnia ofiara —Leonka.

Radwan pozostawił ją w kraju brzydką dziewczyną, wróciwszy zaś zastał dorodną kobietą. W Radwanie raptem powstaje nowa i nieprzewidziana żądza—żądza posiadania Leonki. Leonka kocha go, radaby wyrwać z duszy Radwana chwasty i kąkole; próżny jéj wysiłek. Radwan jest ateuszem i sceptykiem, pogardza wszystkiem, uznaje tylko swoje żądze. Żoną Radwana Leonka zostałaby chętnie,—kochanką nigdy. A jednak Radwan postanowił posiąść ją— zerwać kwiat Lotosu. W istocie—jak huragan nocą zwalił się do mieszkanka młodéj doktorki, która za jedyną opiekunkę miała matkę—waryatkę. Leonka została schańbioną,—na drugi dzień znaleziono ją bez życia, a obok niéj próżną flaszeczkę po truciźnie. Radwan po raz pierwszy w życiu poczuł ból i żal w piersi.

W apoteozie powieści autorka za bardzo nieprzejrzystą zasłoną ukazuje Rafała Radwana, skruszonego pokorą u stóp krzyża.

Jak widzimy w doborze efektów autorka nie jest zbyt wybredną. Czyny przewidziane kodeksem karnym, stanowią główne tło obrazu. Pojedynek bez świadków, śmierć (aż pięć czy sześć trupów rzuciła autorka na pokaz czytelnikom), zgwałcenie tylko

jedno, samobójstwa aż dwa—przez otrucie i powieszenie (Griszan, pomocnik leśniczego, wiesza się), bohaterskie dobrowolne zwichnięcie ręki we drzwiach (Radwan czyni to naumyślnie w Monachium)—doprawdy, że to za dużo na jednę powieść. W dodatku jedynie ocalała z rozbicia córka Rahozy,—lecz i ta obok rany w sercu, ma rany w płucach—jest suchotnicą.

Główny pomysł powieści skoncentrowała autorka w osobie Rafała Radwana, ktory ma być--demonem.

Ale czego demonem? Czy demonem zła? Nie,—takim autorka go nie przedstawia. Rafał Radwan—jest to umysł skrzywiony, lecz dążący do poznania prawdy. Tak jasnego i podniosłego ideału demon mieć nie może, i na odwrót, człowiek, który tak świetlany stawia sobie ideał, - demonem zwać się się nie powinien. Demon—to duch zła, duch przewrotności. Rafał Radwan, to człowiek, obdarzony samodzielnym i wyższym umysłem i nadzwyczajną siłą woli. Umysł, szukający prawdy, może zbaczać na manowce, lecz zawsze dąży do światła. Jeśli dochodzi do sceptyzmu,—to w każdym razie wyrzeka się tylko wszelkiéj teoryi i możności poznania, lecz jeszcze nie staje się przewrotnym. Przewrotność i zło w człowieku nie wynika z umysłu jego, nie z abstrakcyjnych teoryi, które dążą do poznania prawdy, lecz z charakteru, z namiętności, z temperamentu i z niezaspokojonych żądz i pragnień.

Autorka mięsza to wszystko bezładnie, odejmując swemu „demonowi“ to, co stanowi istotę demonizmu—poznanie, wiedzę.

Rafał Radwan, — to niedouczony medyk, niedouczony filozof, niewykształcony socyolog i reformator ludzkości,—w ogóle to frazesowicz, bez jasno zdefiniowanych celów. Radwan co chwila oburza się na fałsz i obłudę, co chwila deklamuje o wiedzy i prawdzie,—a postępuje wbrew tym ideałom i daje się porywać bajkom pijanego studenta.

Demon autorki bezmyślnie powtarza znaną zwrotkę, że najprzód trzeba zburzyć to wszystko co jest, zanim się wzniesie nowe gmachy wiedzy. Cóż, kiedy on sam nawet nic nie burzy, w nic się nie wdaje, tracąc czas na podpatrywaniu i krytykowaniu romansów swoich kolegów, lub na spełnianiu zadań niepowołanego mściciela. Za co, na co i po co pada trupem poczciwy z kościami szałaputa Feliks Rahoza,—trudno to odgadnąć. I to taki wielki, demoniczny umysł po to schodzi z obranych i wyfilozofowanych dróg życia, aby, jak zbój, w pojedynku bez świadków, zabijać młokosa dla drobnych uraz koleżeńskich, dla bezmyślnych żarcików i sprzeczek!

W istocie—ten demon wygląda na zawadyakę—studenta, któremu brak zdolności nie pozwala kończyć kursów. Tryumfy zaś, które odnosi ów „demon“ autorki, nie są tryumfami demona. Cóż trudnego przewrócić w głowie pensyonarce z 5-téj klasy drwinkami z wyznawanéj przez nią wiary? Co trudnego burzyć gmachy wierzeń, które na wątłém sercu dziewczyny zbudowała miłość macie-

rzyńska? Czy to tryumf demona? A co to trudnego rozkochać w sobie cudzą narzeczoną, gdy ta narzeczona jest prawie obojętną dla swego narzeczonego? Albo i karygodny postępek z Leonką,—to nie tryumf rozumnego, głębiéj myślącego człowieka,—ale człowieka, który drwi z namiętności i żądz całego świata!

Gdyby Radwan zdołał uwieść Leonkę w epoce, gdy rozum jéj się rozwinął, gdy serce jéj zmężniało,—gdyby Radwan przy pomocy przewrotnéj sofistyki zdołał zamącić jasne myśli Leonki, wyplenić z niéj poczucie obowiązku i cnoty, i posiąść ją—za jéj zgodą,—wówczas byłby demonem zła, demonem w istotném tego słowa znaczeniu. Lecz jeśli Radwan przemocą zwyczajnéj brutalnéj siły ubezwładnia fizycznie kobietę, staje się zwyczajnym zbrodniarzem w rodzaju złodzieja, lub zaczajonego mordercy, wobec takiego czynu i takiéj konsekwencyi—uczucia estetyczne nie istnieją. Czytelnika przejmuje wstręt i obrzydzenie.

Ten moment powieści, tłómaczy jéj tytuł, który już sam przez się czyni utwór Maryi Rodziewicz—chybionym ze względu na pomysł zasadniczy.

Autorka często wyraża się o Radwanie w ten sposób: „pysznym był ten demon“ nie,—nie pysznym, lecz wstrętnym jest ten „student“, kwalifikujący się na ławy oskarżonych, ten „projekt“ na „dziedzicznego“ zbrodniarza. Postępki Radwana wymownie ilustrują istotę tego człowieka. O jego studyach i zdolnościach opowiada autorka na każdém miejscu, lecz w słowach jéj „demona“ śladu tych studyów nie znać. Niedouczony gimnazista z VIII klasy powtarza mniéj więcéj w ten sposób niezrozumiałe dlań frazesy radykalnych i materyalistycznych teoryi. Żądzy wiedzy nie zdradza ten, kto nie kończy żadnych studyów naukowych, lecz rzuca rozpoczęte, zaledwie dotknąwszy zasad danéj nauki.

Przez cały ciąg powieści Radwan cierpi widoczny wstręt do kobiet; według pojęć autorki wstręt taki musi wywołać reakcyą—i skończyć się wybuchem gwałtownéj fizycznéj żądzy. Takiej teoryi dotychczas nie znamy i nie wyznajemy.

W ogóle nie rozumiemy tego wstrętu w człowieku, który napawa się atmosferą szynkowni studenckich; oddaje się obfitym libacyom w gronie kolegów, — a Radwan w Monachium, a przypuszczalnie i w Warszawie, chętnie spędzał noce w piwiarniach i tym podobnych zakładach. W takiéj przynajmniéj sytuacyi przedstawia nam go autorka w Monachium. Zkąd więc powtarzamy ten wstręt do kobiet, jaki na każdém miejscu drastycznie zaznacza autorka? Nie pojętém jest również, czemu przypisać miłość Adama Lachnickiego do Radwana, który drwi z najgorętszych a szlachetnych uczuć Lachnickiego,—a co ważniejsza, iż drwi z niewinnéj kobiety, ukochanéj przez tegoż Adama. Takich drwin—prawy mężczyzna nie zniesie, a ciężka obraza kobiety ukochanéj zrywa węzły przyjaźni, lecz nigdy ich nie nawięzuje. A tu tymczasem, po wszystkich wymy-

słach i obelgach; jakie na ukochaną przez Adama córkę Rahozy wypowiedział Radwan,—ów Adam rzuca się w jego objęcia i rusza z nim w świat daleki.

Ależ tu brak—logiki.

Oczywiście — łatwo bardzo zapewnić powodzenie w powieści ulubionemu bohaterowi, lecz dla czytelnika należy to powodzenie uczynić prawdopodobném. Radwanowi wszystko dzieje się jak z płatka, lecz czemu to przypisać, niewiadomo.

Otóż bohater autorki, to ani demon, ani filozof, ani reformator społeczny, lecz brutalny awanturnik, który pragnie świat olśnić strzępkami wiedzy, ubranemi w retoryczne kwiaty. Cóż, kiedy przez te kwiaty retoryki przegląda taki bezsens, że o rozum samodzielny i śmiały—Radwana nikt nie posądzi.

Autorka tak lekko szkicuje resztę postaci, tak ciągle i jednostajnie na pierwszy plan wysuwa swego niedouczonego ateusza,—że o innych kreacyach nie warto nawet wspominać. To tylko zaznaczymy, że często każe wszystkim spełniać „nadludzkie“ czyny, co pozbawia ich oczywiście cech przymiotów ludzkich.

W tém miejscu zaznaczymy, że „Kwiat Lotosu“ przypomina nam pod względem roboty „Dewajtisa“. I w jednéj i w drugiéj powieści jedna tylko, właściwie mówiąc, działa osoba; tu Rafał—tam Marek, reszta osób,—to stałe szablony. Ta maniera w pisaniu powieści jest bardzo szkodliwą;—w powieści występuje zawsze wiele osób,—wszystkie powinny żyć i działać.

A jednak, pomimo wszystkich wad tego utworu, pomimo karykaturalności głównéj postaci i potwórności czynów bohatera—widzimy w autorce talent, godny rozwinięcia. Autorka posiada w szkicowaniu śmiałe rzuty,—radzibyśmy widzieć delikatne jéj cieniowania. Bez opracowania szczegółów, całość zawsze będzie niewykończoną: szkice, to tylko początek roboty.

Oprócz tego zaznaczymy, że autorka podjęła zamiar nad swoje siły: chciała przedstawić demona, a stworzyła—karykaturę.

Nadmienić wreszcie musimy brak u autorki studyów przygotowawczych. Scena w piwiarni Monachijskiej między studentami świadczy o zupełnéj nieznajomości życia studenckiego. Możemy zaręczyć autorce, że studenci nie pozwalają nigdy jednemu pośród siebie, nawet najbardziéj lubianemu koledze, wymyślać bez żadnego powodu zebranym kolegom od ostatnich słów, jak to ma miejsce w owéj piwiarni Monachijskiej. W ogóle smak estetyczny i poczucie piękna cierpią bardzo w powieści „Kwiat Lotosu“.

Talent autorki, zdaniem naszém, polega na wskazanéj powyżéj śmiałości rysunku i wyrazistości kolorytu. Każda scena wychodzi barwnie i wyraziście. Tylko pomiędzy epizodami brak łączności, brak przewodniéj myśli, łączącej oddzielne sceny w jednę całość.

Sądzimy, że ta nieudana powieść Marii Rodziewiczównéj była jedną z prób, które mogłyby się nie pokazywać światu. Zwracamy wre-

szcie uwagę autorki na to jeszcze, że kto w usta swego bohatera wkłada jakieś teorye, to oczywiście znać je sam powinien. Inaczéj plącze bezładne frazesy, często wprost sprzeczne, lub bez żadnéj głębszéj łączności. Niełatwe podjąłby zadanie, ktoby pragnął z bezładnych tych frazesów i wykrzykników Rafała dowiedzieć się, jaką teoryą wyznaje sam Radwan, ów pseudo-demon.

Pod względem społecznym i życiowym powieść ta nie posiada żadnej wartości. Jakie społeczeństwo, które prądy chce odmalować autorka, odgadnąć trudno. Być bardzo może, iż p. Rodziewiczówna podjęła tendencyjną walkę przeciwko ateizmowi — lecz przeprowadziła ją bardzo nieszczęśliwie. Tendencyjność zbyt jaskrawa w powieści jest niebezpieczna, bo zabija artyzm.

Wreszcie dodać jeszcze musimy, że nawet w powieści unikać trzeba zdań na wiatr wypowiadanych jak np. to gdy autorka opowiada nam, że „dziecko wertowało Spinozę i Darwina, nabijając sobie głowę fałszem i sofizmatami". Teorye Spinozy i Darwina można krytykować; ale tak od niechcenia okolicznościowo dzieci niemi straszyć nie należy, zwłaszcza, że nie rozumiemy, które to dziecko zdolnémby było do w e r t o w a n i a dzieł Spinozy i Darwina. Takie genialne dzieci rodzą się chyba tylko w głowie autorki.

Pragnęlibyśmy, aby sz. Autorka, nie łudząc się zwodniczém w pierwszéj chwili powodzeniem, pracowała gorliwie nad głębszém wykończeniem każdego swego utworu, a wtedy można się spodziewać, że chociażby nawet zmniejszyć się miała ilość jéj utworów powieściopisarskich, to, przy niezaprzeczonym talencie, jakość ich zyskać na tém tylko może.

J. K. Dworzaczek.

„Kwestya mieszkań". Napisał Adolf Suligowski. Warszawa. 1889 r. 8-o m. str. 86, 2 nl.

Osnowa książki, któréj tytuł w nagłówku wypisaliśmy, nie odnosi się do kwestyi mieszkań w ogólności, jakby z napisu wnosić można; ale ogranicza się na przedstawieniu istniejących stosunków mieszkalnych w główniejszych m i a s t a c h europejskich; szczegółowiej zaś mówi o zaniedbaniu téj ważnej sprawy społecznej tylko w Warszawie.

Praca p. Suligowskiego pojawiła się na czasie nietylko z tego względu, że kwestya mieszkań należy zawsze do ważnych spraw hygienicznych i społecznych ludności miejskiéj, lecz i dla tego, że Warszawa w obecnéj chwili stara się o to, aby być miastem dobrze urządzoném pod względem sanitarnym, bo kanalizacya i coraz staranniejsze utrzymanie czystości miasta, opieka nad skwerami, i zadrze-

wianie ulic wiele na zdrowowotność miasta wpłynąćby mogły, gdyby nie stała temu na przeszkodzie kwestya mieszkań, będąca najciemniejszą stroną życia miejskiego Warszawy. Większość mieszkań, zwłaszcza klas roboczych, jest siedliskiem niezdrowia, co dawno już było powinno zwrócić na siebie uwagę władzy, ekonomistów i filantropów. Brak czystego powietrza, światła i ciepła, połączony z wilgocią, wytwarza między ludnością nagromadzoną w tych mieszkaniach skrofuły, tuberkuły i choroby chroniczne wszelkiego rodzaju. Hygiena miast, zarówno jak hygiena ogólna, wielki postęp w wielu krajach zrobiła, gdy my, mieniący się narodem cywilizowanym, tak długo czekamy z wykazaniem warunków zdrowotności mieszkań, tak niedbale bierzemy się do ich wykonania. To też praca p. Suligowskiego powinna rozbudzić opinią, skłonić ogół do przedsiębrania środków, usuwających fatalne warunki mieszkań i ostrzedz o następstwach przemieszkiwania w tych norach brudnych i niezdrowych, przepełnionych lokatorami.

Autor we wstępném słowie, mówiąc o trzech zasadniczych potrzebach człowieka, pożywieniu, okryciu i schronieniu, ostatniemu najważniejszą rolę przyznaje Określiwszy znaczenie mieszkania dla zdrowia i życia społecznego, pan S. wspomina ile to czasu było potrzeba, zanim kwestya mieszkań weszła na porządek dzienny. Dopiero w wieku bieżącym choroby zaraźliwe i epidemiczne zwróciły na tę sprawę uwagę narodów i pierwsza Anglia a raczéj jeden z jéj obywateli, adwokat Edwin Chadwick, ujawnił kwestyą i przedstawił ją w całéj grozie. Drugą była Francya; ale tam nie wiele zrobiono; trzecie Niemcy, gdzie inicyatywa prywatna głównie działała.

Po takim wstępie, autor zwraca się do stosunków mieszkalnych Warszawy, gdzie ze zwiększeniem ludności nie idzie na równi wzrastanie ilości budowli, zwłaszcza, że podwojona od lat dwudziestu ludność zamieszkuje na téj saméj przestrzeni co dawniéj. Coraz wyżéj piętrzą się domy, zapełniają otwarte place, budują oficyny. Słusznie określa autor ten fakt: „miasto rozrasta się w kierunku pionowym, w górę i na dół, ale nie prawie w kierunku poziomym“. Znajdujemy tu także wzmiankę o braku dobréj wody, czego chyba nie można powiedzieć o domach, połączonych z nowemi wodociągami.

W rozdziale II-im opisano mieszkania uboższych. Smutny to nadzwyczaj obraz. Najwięcéj jest w Warszawie mieszkań jednoizbowych, bo 46 proc. dwuizbowych 23 proc.; w suterynach na jednę izbę wypada $3^1/_3$ lub $3^1/_4$ osób. A i większe mieszkania—trzy-, cztero-izbowe są siedliskiem nędzy; mieszczą się tu bowiem warsztaty różne, współlokatorowie, których w Warszawie jest 48,845 osób. W ten sposób $^2/_3$ ludności warszawskiéj źle mieszka. Mieszkań najgorszéj kategoryi w suterynach, na poddaszach, na 4-ym piętrze 17 proc., izb 18,397, mieszkańców 63,941. Ale nic Czytelnika tak nie oburza jak ta wiadomość, że jest w mieście 1,515 izb całkiem bez okien, 2,985 bez ogniska; są prócz tego i bez okien i bez ogniska izby, zamieszkałe

przez 16,000 ludzi. Pan S. serdecznie też przemawia za tą nędzą, za ludźmi, którzy także spełniać muszą różne obowiązki społeczne, pracować ciężko, utrzymywać rodzinę, wychowywać dzieci.

Jeśliby ktoś zrobił zarzut, że wszędzie dzieje się to samo, niech posłucha, jak te stosunki wyglądają za granicą. Przedewszystkiém ceny izb warto porównać: w Londynie kosztuje jedna izba około 4 rs. miesięcznie, w Paryżu $6^1/_2$—$7^1/_2$, u nas rocznie 100 rs. W Berlinie mieszkań bez ognisk 1,3 proc., u nas 4 proc., izb bez światła w Berlinie nie ma.

Ta nędza mieszkań w ostatnich latach wciąż się zwiększa, oddziaływując ujemnie na ludność pod względem fizycznym i moralnym.

Skutki fizyczne są następujące. Procent śmiertelności w stosunku do gęstości zaludnienia: W Londynie 8 głów na dom, śmiertelność roczna 24 na 1,000 osób; w Berlinie 32 głów na dom, śmiertelność 25 na 1,000; w Paryżu 35 głów na dom, śmiertelność 28 na 1,000; w Warszawie 93 głów na dom, śmiertelność 43 na 1,000 osób. W porównaniu więc z wymienionemi miastami, w Warszawie umiera o 18 ludzi na 1,000 więcéj, co na ogół ludności wyniesie 8,100 osób. Tylko poprawa mieszkań może przynieść zmianę ku lepszemu, czego przykładem Anglia. Kiedy bowiem pobudowano odpowiednie domy dla robotników w Londynie, śmiertelność znacznie się zmniejszyła. W porównaniu z cyrkułem, w którym mieszkania były najgorsze, pokazało się, że w tych mieszkaniach śmiertelność była 8 do 10 razy większa, chociaż domów nowych nie stawiano w oddalonych dzielnicach, lecz w samém mieście.

W Warszawie choroby również nawiedzają ludność w nienormalnym stosunku. W latach najzdrowszych, wolnych od epidemii, umiera z chorób pomorkowych około 15 prct.; naturalnie choroby te dotykają głównie lokatorów nędznych mieszkań. I tu poprawa mieszkań dużo pomódz może. Pomoc taka leży w interesie klas biedniejszych, ale czy nie powinna zajmować ogółu? W normalnych warunkach choroby biedniejszéj ludności, nie zbyt szkodzą bogatszym, ale w razach epidemii rozszerzą się one wszędzie; biorąc początek u dołu wejdą i na górę.

Ze strony ekonomicznéj straty z tąd wynikłe są również poważne. Jak powiedziano: w Warszawie umiera 8,100 osób po nad zwykłą normę śmiertelności, w czém 2,700 ludzi pracy produkcyjnéj. Przyjmując przeciętną wartość pracy człowieka na 1 rs. dziennie (za wysoka norma, nasza bieda nie zawsze tyle zarabia, zwłaszcza kobiety, które się także pracą produkcyjną zajmują) czyni 365 rs. rocznie; a zatém śmierć 2,700 ludzi stanowi w ciągu roku blizko milion rubli straty. Nadmierny stosunek chorób, wywołuje także strat na 486,000 rs. rocznie. Śmiertelność ludzi nieprodukcyjnych do lat 20-tu, stanowiąca 5,400 osób rocznie, powoduje stratę wydatków, poniesionych na wychowanie jednostki, co obliczyć można na 2 mil. rubli, razem więc ogół strat wynosi $3^1/_2$ mil. rubli.

Zwiększona śmiertelność i co za tem idzie skrócona przecięciowo długość życia, prowadzi do zmniejszenia liczby ludzi dojrzałych, powołanych do podtrzymania swym trudem pracy ekonomicznéj. W Warszawie na 52 osoby w wieku produkcyjnym, wypada 43 w wieku nieprodukcyjnym, nie licząc starców. Tymczasem w Paryżu nieprodukcyjnych 28 prct., produkcyjnych 63 prct., w Berlinie 36 prct. i 59 prct.

Pod względem moralnym, muszą nędzne mieszkania bardzo ujemnie oddziaływać. Sprawdzono to w Anglii. W miarę rosnącéj nędzy mieszkaniowéj wzmaga się nie tylko śmiertelność, ale współrzędnie podnosi się pijaństwo i nieuctwo. Dla uwydatnienia tego wzięto za podstawę płacących mniéj od 7 fun. szt. rocznie za komorne, i okazało się, że liczba karanych za pijaństwo podnosi się blizko o 70 prct, nieumiejących czytać i pisać 50 prct, w porównaniu z tém, co widzimy w okręgach, gdzie mniéj ludzi źle mieszka. W Paryżu to samo się dzieje; w Mühlhuzie (Alzacya) ludność przedstawiała się jak najgorzéj, dopiero gdy za Napoleona III pobudowano dla téj ludności nowe domy i poprawiono byt pod względem mieszkań, stan rzeczy zmienił się do niepoznania. O Warszawie autor cyfr takich nie podaje, tylko oblicza cyfrę nieumiejących czytać i pisać, co stanowi prawie połowę ludności, nie licząc żydów także w większości nieczytelnych i niepiśmiennych w języku polskim. Szkoda, że sz. autor nie zaznaczył dodatniego rysu biednéj ludności, która pomimo nędzy nie oddaje się pijaństwu.

W końcu rozdziału autor nieco pesymistycznie zapatruje się na poprawę rzeczy w téj kwestyi, utrzymując, że w obec braku oświaty, zdrowe pojęcia szerzyć się nie mogą, ponieważ dobre i rozumne kierunki mogą iść z góry z chwilą, gdy świadomość niebezpieczeństw wskazanych stanie się ogólną a właśnie praca p. Suligowskiego będzie ku temu wyborną podnietą i przewodniczką.

W rozdziale III mowa jest o mieszkaniach zamożniejszych. Sprawa to nie tak ważna, więc krócéj się nad nią zatrzymamy, główne tylko uwagi autora poruszając. Otóż, owi zamożniejsi obszerniejsze mają mieszkania, aniżeli w Berlinie lub Hamburgu, co nie wynika z bogactwa, ale może z życia nad stan, przytem urządzenie tych mieszkań dość jest oryginalne. Trzy-pokojowe mieszkanie musi mieć salon, a w dwóch przepełnienie lokatorów. Liczba sług także jest za duża. Rozmaite nie potrzebne wydatki w życiu zamożniejszych i biedę biednych, autor charakteryzuje temi słowami: „Z jednéj strony u dołu nędza mieszka, z drugiéj u góry marnotrawstwo w mieszkaniu“.

„Drogi poprawy“ stanowią przedmiot rozdziału IV. Głównie ma tu autor na myśli mieszkania klas niezamożnych. Warszawa z dawien dawna nie miała mieszkań znośnych nawet dla klas pracujących, a pogorszenie znaczne nastąpiło od 1868 r. z przyczyn

powiększenia się ludności w dwójnasób. Z roku na rok napływały tutaj tysiące jednostek, a skutkiem braku mieszkań wzmogła się konkurencya lokatorów. Budowano nowe domy, jednak nie tyle, ile przyrost ludności wymagał. Spekulacya wywołała zwyżkę cen lokali, następnie obniżka waluty, która powodując podrożenie wszelkich przedmiotów, tém samém i cenę mieszkań podniosła.

Wśród takich warunków stanowi nadmierna drogość mieszkań smutną fizyognomią mieszczaństwa naszego. Drugą cechą jest brak mieszkań i związane z nim przeludnienie tych nędznych lochów. Trzecią nareszcie cechą, to powszechna wadliwość mieszkań przeznaczonych dla téj kategoryi lokatorów.

Co więc robić dla poprawienia tych stosunków?

Drożyzna mieszkań jest pewnikiem, ale ani ich cen nie można obniżyć, ani zarobków klas pracujących gwałtownie podnieść. Niech stanie w różnych punktach sto domów z mieszkaniami dla biedniejszych, po cenie umiarkowanéj, a wtedy przyjdzie prawdziwa konkurencya. W nowych domach znaczna ilość ludzi znajdzie pomieszczenie, opustoszeją dawniejsze mieszkania, a to zmusi ich właścicieli do ulepszeń i zniżenia ceny komornego. Drugi kierunek powinien mieć na oku poprawienie złych i wadliwych mieszkań; trzeci zwrócić się ma ku zwalczeniu ciemnoty klas uboższych, ku upowszechnianiu wiadomości higienicznych i t. p.

Co zrobiono dla poprawy za granicą?—objaśnia nas rozdział V. Wymieniamy tu najważniejsze postanowienia. W Anglii prawa z 1834, 1844 i 1848 r. ustanawiają urzędy sanitarne do kontrolowania stanu mieszkań. W 1868 r. Torennus act znagla właścicieli domów z mieszkaniami bardzo opuszczonemi do poprawienia ich, pod groźbą zamknięcia lub zniesienia bez indeminizacyi. Praktycznemi były dwa bile: z 1866 r., dający pożyczki dla przedsiębiorstw i osób prywatnych na budowę domów dla robotników, drugi z 1883 roku, zobowiązujący towarzystwa tramwajów i dróg żelaznych do znacznego obniżenia cen przejazdu dla robotników. Najpłodniejszą jednak była działalność społeczeństwa angielskiego. Powstały towarzystwa budowlane z inicyatywy arystokracyi i ludzi wielkiéj fortuny, następnie potworzyły się spółki, np. instytucya Peabody Buildings, posiadająca 17 dzielnic w Londynie z mieszkaniami zdrowemi dla robotników. Istnieją przytém stowarzyszenia robotnicze do budowy domów, z samych robotników złożone, którzy za pomocą dorobnych miesięcznych składek wytwarzają fundusz pożyczkowy na kupno lub budowę domów dla swych członków. Piękny też czyn spełnia angielka Octavia Hill, wyszukująca domy zaniedbane, urządza je odpowiednio i wynajmuje biedniejszéj warstwie. Z małemi funduszami zacna filantropka doszła do tego, że przedsiębierstwo przez nią podjęte posiada 57 budynków, wartości 311,767 funt. szter. a mieszka w nich 11,582 osób. We Francyi reformy na tém polu mniéj pomyślnie przeprowadzają. Komisye sanitarne, zależne do

uznania zarządu gminy miejskiéj, rzadko gdzie powstawały; dopiero w tych czasach, deputowany Nadaud wygotował projekt ustanowienia wszędzie komisyi sanitarnych i zapewnienia im szerszéj władzy. W 1852 rząd wyznaczył 10 mil. franków na poprawę mieszkań robotniczych. Napoleon III kazał wybudować 41 domów dla robotników w Paryżu. W Niemczech działalność objawiła się w trzech kierunkach: towarzystw budowlanych, stowarzyszeń robotniczych i pojedyńczych przedsięwzięć. Prócz tego potworzyły się towarzystwa akcyjne, z pomiędzy których kilka nie miało powodzenia, skutkiem braku przedsiębiorczości.

Ostatni rozdział VI bada, co zrobiono u nas dla poprawy tych stosunków i co zrobić wypada? Znajdujemy tu regestr tych nielicznych środków, które u nas przedsięwzięto. W 1876 r. zakazano wznoszenie w obrębie miasta domów drewnianych, domy grożące zawaleniem nakazano natychmiast naprawiać, a często rozebrać. W 1856 r. wyznaczono komitet do regulacyi miasta; ale dotychczas nic ważniejszego w kwestyi mieszkań nie zrobiono. W 1862 roku zawiązano spółkę budowy domów dla rzemieślników i robotników, która obecnie posiada trzy domy i cztery place; stan majątkowy spółki jest dobry, ale widząc zarobek w sprzedaży, spółka stopniowo wyzbywała się domów. W 1873 r. pojawił się projekt towarzystwa budowlanego, zatwierdzony przez rząd. Zadaniem towarzystwa miało być budowanie domów na własny rachunek, lub na zlecenie, urządzanie targów, ogrodów i t. d. pośrednictwo przy kupnie i sprzedaży ruchomości i t. p. Towarzystwo do skutku nie doszło.

W literaturze sprawa nie przedstawia się lepiej. Pierwszy początek dała „Biblioteka Warszawska“, drukując w roku 1849 T. 3, str. 482 — 495, rozprawkę tłómaczoną z francuzkiego „O mieszkaniach dla klas robotniczych“.

Po zaburzeniach czerwcowych r. 1848 w Paryżu, generał Cavaignac, wówczas prezydent władzy wykonawczéj we Francyi, wezwał Akademią nauk moralnych i politycznych, aby przyłożyła się do usiłowań rządu, walczącego w obronie zasad porządku społecznego. Akademia, dążąc do uspokojenia umysłów przez oświecenie, ogłosiła w zakresie potrzeb społecznych mnóztwo pism ulotnych; dla skuteczniejszéj zaś działalności w tym kierunku, zapragnęła poznać rzeczywisty stan położenia i stosunków materyalnych i moralnych klas robotniczych w całej Francyi. W tym celu wydelegowała jednego ze swoich członków, p. Blanqui, aby objechał kraj cały a szczególniéj departamenty rękodzielnicze. Powróciwszy z téj wyprawy, odczytał Blanqui szczegółowy raport na posiedzeniu akademii dn. 2-go grudnia 1848 r., w którym jako przyczynę zaburzeń, trapiących od tylu lat Francyą, uznawał pauperyzm i utopie, a za jednę z najwięcéj stanowczych przyczyn téj plagi zaznaczył „niezdrowe mieszkania klas robotniczych“, o któréj usunięcie błagał

w imieniu ludzkości i moralności. Raport Blanqui'go, zawierający bardzo wiele gruntownych spostrzeżeń, przedstawiła „Biblioteka Warszawska“ w przekładzie polskim ku nauce i dalszemu postępowaniu na wskazanéj drodze dla społeczeństwa naszego. Głos ten nie poruszył jednak innych pism polskich. Luźne artykuły, jeżeli były, nie pozostawiły po sobie śladu. Autor słusznie to nazywa wymownym dowodem naszéj apatyi; że nic nie robimy, to jest mniejsza, ale że zgoła nad tak ważną kwestyą się nie zastanawiamy, a co zatém idzie, wcale téj kwestyi nie rozumiemy, czego już niczem usprawiedliwić ani wyłtomaczyć nie można.

Na pytanie co robić? pan S. zwraca przedewszystkiem uwagę na potrzebę rewizyi przepisów policyi budowlanéj; uzupełnienie ich w kierunku mieszkań i ich zdrowotności, ustanowienie organów kontrolujących i t. p. Najskuteczniejszą ulgę przyniosłaby pomoc społeczna, nie w formie dobroczynności, lecz w skierowaniu środków materyalnych na budowę domów dla niezamożnych i na ulepszenie ich mieszkań za stosownem za to wynagrodzeniem. Założyć zatém trzeba dwa towarzystwa budowlane, jedno dla kupowania placów i budowania domów, drugie dla zakupywania domów w złym stanie i ulepszania znajdujących się w nich mieszkań. Co do kapitałów, zacząć na razie trzeba z mniejszym, pozyskać pożyczkę towarzystwa kredytowego m. Warszawy, rozszerzając działalność stopniowo w miarę powodzenia. Jednocześnie powinna się rozwinąć działalność indywidualna, czerpiąca przykłady we wzniosłych czynach, które powyżéj przedstawiono.

Niemniéj ważne są środki najbliższe, które przedewszystkiem użyte być winny. Pierwszym z nich jest przeprowadzenie szczegółowego badania stanu mieszkań biedniejszych, drugim zaprowadzenie w czasopismach stałéj rubryki dla badań kwestyi mieszkań, a zarazem dla zbierania faktów życia codziennego z téj dziedziny. Prasa zaspała sprawę—niech więc, choć późno przyzna jéj należne miejsce i otworzy dyskusyą.

Na tém kończy się praca p. Suligowskiego, praca którą nie tylko z przyjemnością, ale i z niemałym pożytkiem przeczyta każdy. Kwestya zupełnie nieznana a pierwszorzędnego znaczenia nietylko dla Warszawy ale dla wszystkich miast naszych, gdzie stosunki mieszkalne są opłakane, znalazła wyjaśnienie w pracy rozumnie, źródłowo, przystępnie napisanéj. Niechbyśmy więcéj tego rodzaju prac mieli w sprawach innych naszych trosk i naszéj biedy, możeby prędzéj świadomość zadań społecznych i energia w ich wykonaniu wszczepiły się w zbyt apatyczny organizm narodu.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Wystąpienie cesarza Wilhelma II-go z projektem reformy stosunków ekonomiczno-socyalnych. Reskrypty cesarskie z dnia 5 lutego r. b. a) do ks. Bismarcka, b) do bar. Berlepscha, ministra handlu, robót publicznych i przemysłu. Pogląd na ogólne znaczenie wystąpienia cesarskiego. — Zagajenie przez Wilh. II posiedzeń pruskiéj „Rady Stanu“ (dn. 14 lutego), zwołanéj dla wypracowania szczegółowego programu wprowadzenia w wykonanie zamiarów cesarskich.—Przygotowania dyplomatyczne do zwołania konferencyi międzynarodowéj do Berlina.—Spisek bułgarskiego majora Panicy w celu wywrócenia rządów ks. Ferdynanda Koburskiego w Bułgaryi.—Wystąpienie Filipa ks. Orleańskiego, jako „rekruta“ do wojska republikańskiego.—Ponowny wybór bulanżystów przez m. Paryż.—Nowe wybory do parlamentu rzeszy niemieckiéj: porażka na całéj linii dotychczasowéj większości bismarckowskiéj.—Sprawozdanie komisyi kolonizacyjnéj za rok 1889 z operacyi zakupna i parcelacyi dóbr polskich w W. Ks. Poznańskiém i Prusach Zachodnich.—Posiedzenie Akad. Nauk w Petersburgu dn. 23 stycznia r. b.—Posiedzenie publiczne nowo założonego Towarzystwa historycznego przy uniwersytecie petersburskim.—Przepisy egzaminacyjne dla nauczycieli szkół powiatowych oraz nauczycieli i nauczycielek szkół domowych, elementarnych i początkowych.—Widoki reorganizacyi szkół gimnazyalnych. — Posiedzenie komisyi historyi sztuki w Akad. Um. w Krakowie dnia 3 grudnia 1889 r.—Posiedzenie komisyi historycznéj Akad. Um. w Krakowie dn. 6 grudnia 1889 r.—Posiedzenie Wydziału histor. filoz. dn. 16 grudnia.—Posiedzenie komisyi histor. Akad. Um. dn. 28 grudnia 1889 r.—Posiedzenie komisyi historyi sztuki dnia 4 stycznia 1890 r.—Posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego Akad. Um. w lutym r. b.—Zjazd g o s p o d a r c z y w Toruniu.—Spis referatów, zapowiedzianych na II-gi zjazd historyków polskich we Lwowie, przy odezwie Komitetu o wczesne zgłaszanie się z udziałem.—Walne zebranie Towarzystwa Tatrzańskiego w Krakowie dn. 2 lutego 1890 r.—Odezwy Komitetu Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Król. Polskiém: konkurs malarski im. prof. Wojciecha Gersona i stypendyum z zapisu ś. p. Ign. Ciszewskiego dla uczniów sztuki rzeźbiarskiéj.—Archeologia: Wykopaliska w Galilei w Palestynie.

Uwagę prasy europejskiéj w miesiącu lutym r. b. zajmowało przeważnie wystąpienie cesarza niemieckiego Wilhelma II z ini-

cyatywą uregulowania z pomocą władzy państwowéj burzących się coraz gwałtowniéj interesów ekonomiczno - społecznych a w szczególności robotniczych. W chwili agitacyi przedwyborczéj do parlamentu rzeszy niemieckiéj nie odzywało się już ze strony rządowéj hasło „walki z socyalistami“ tak głośno, jak się można było spodziewać po odrzuceniu w sejmie projektowanéj przez rząd obostrzonéj nowéj ustawy „antysocyalnéj“.—Tym milszą niespodzianką były dwa reskrypta cesarskie, (ogłoszone dn. 5-go lutego r. b.), tchnące pieczołowitością o losy klasy robotniczéj, i zapowiadające zwrot w dotychczasowéj polityce socyalnéj Niemiec. Pierwszy z tych reskryptów, zwrócony do kanclerza państwa, ks. Bismarcka, opiewa:

„Postanowiłem przyczynić się do polepszenia losu robotników niemieckich, o ile tylko będę w stanie pogodzić to z dbałością moją o pomyślne współzawodnictwo produkcyi niemieckiéj na rynkach wszechświatowych. Pojmuję dobrze, że złe warunki takiego współzawodnictwa, pozbawiając przemysł nasz możności odbytu zagranicą, nietylkoby zrujnowały przemysłowców (pracodawców), lecz pozbawiłyby i robotników chleba. Mniemam zatem, że trudności, płynące z tego współzawodnictwa, ograniczające możność poprawienia losu robotników, należałoby, jeśli nie usunąć, to przynajmniéj zmniejszyć w drodze porozumienia międzynarodowego. W przekonaniu, że rządy zagraniczne podzielą chętnie zapatrywania moje i poddadzą wspólnemu rozbiorowi te same sprawy, któremi się zajmują międzynarodowe kongresy robotnicze, chcę ażeby dyplomatyczni przedstawiciele mojego rządu we Francyi, Anglii, Belgii i Szwajcaryi zapytali urzędownie tamtejsze rządy, czy się zgadzają na wejście z nami w porozumienie i zwołanie konferencyi międzynarodowéj celem zadośćuczynienia potrzebom i życzeniom klas pracujących. Gdy tylko nastąpi zgoda na moję propozycyą, upoważniam Pana zaprosić wszystkie gabinety rządów europejskich, interesowanych w sprawie socyalnéj, na konferencyą, mającą się zająć rozbiorem i rozstrzygnięciem pytań, odnoszących się do sprawy robotniczéj“.

Drugi reskrypt cesarski, równocześnie ogłoszony, zwraca się do nowomianowanego (po zrezygnowaniu tego portfelu przez ks. Bismarcka) ministra handlu i przemysłu, barona Berlepsza, i opiewa:

„Wstępując na tron, zapowiedziałem, iż starać się szczególniéj będę o rozwój prawodawstwa socyalnego, w duchu zasad moralności chrześciańskiéj, popieranych przez ś. p. dziada mojego. Lubo dotychczasowe reformy, ustawodawcze i rządowe, przedsiębrane w celu poprawienia losu robotników, są wielce cenne, mimo to nie czynią jeszcze całkowicie zadość programowi, który sobie zakreśliłem. Obok dalszego rozwijania ustaw, dotyczących zabezpieczenia robotników przeciw wypadkom losowym i skutkom starości, należy dokładnie zbadać i ulepszyć istniejące ustawy przemysłowe, odnoszące się do stosunków robotniczych, tak iżby zaspokoić w téj mierze żale i życzenia, o ile one są uzasadnione. W badaniu tém należy wziąć za punkt wyjścia zasadę, że władza państwowa obowiązaną jest uregulo-

wać czas i rodzaj roboty w ten sposób, aby dogodzić warunkom utrzymania zdrowia, przykazaniom moralności, ekonomicznym potrzebom robotników i słusznemu domaganiu się ich o równouprawnienie. Dla osiągnięcia prawidłowych stosunków między pracodawcami a robotnikami, należy obmyślić i prawnie określić stałe formy obrony robotników, ażeby za pośrednictwem wybranych przez siebie i zaufanych ludzi porozumiewać się oni mogli z pracodawcami i organami rządu. Organ taki służyłby robotnikom do swobodnego wyrażania swych skarg i życzeń, dając zarazem rządowi możność posiadania stałych i dobrych informacyi o biegu spraw robotniczych oraz podtrzymywania ciągłego porozumiewania się z nimi. Pragnę, aby państwowe zakłady górnicze stały się w przedmiocie opieki nad robotnikami, wzorem dla zakładów prywatnych, względem których życzę sobie, aby między ich zarządami a dyrekcyami kopalni państwowych wytworzył się związek stały i aby dyrekcye rządowe spełniały wobec prywatnych funkcye inspektorów fabrycznych. Dla przeprowadzenia obrad wstępnych w całéj téj sprawie zebrać się ma pod Mojém przewodnictwem rada stanu, przy współudziale rzeczoznawców, których wybór i wezwanie sobie zastrzegam. Jednę z największych trudności rozwiązania sprawy robotniczéj we wskazanym kierunku stanowią względy, płynące z potrzeby ochronienia produkcyi krajowéj w jéj walce współzawodniczéj z zagranicą, dla tego poleciłem kanclerzowi, aby zaprojektował rządom zebranie konferencyi, celem wspólnego obmyślenia i przeprowadzenia granic, w których obrębie mogłyby się pomieścić wymagania stawiane w sprawie robotników. Kanclerz udzieli Panu odpisu rozporządzenia, które do niego wystosowałem".

Powołane co tylko dokumenta poruszają sprawy tak doniosłe i szerokie, że dokładny ich rozbiór w sprawozdaniu kronikarskiém jest niemożliwy, tymbardziéj, że ogólnikowe ich brzmienie nie odsłania dostatecznie zasadniczéj myśli, kryjącéj się w intencyach władzcy tak potężnego państwa, jak dzisiejsze Niemcy. W obec potężnego wzrostu socyalizmu występuje tu państwo w charakterze czynnika przewodniczącego, a zarazem miarkującego w téj walce kapitału i pracy, grożącéj obaleniem dotychczasowych podstaw życia, gdyby jéj pozwolono rozwijać się daléj w obranym raz kierunku. Ta to konieczność interwencyi państwowéj, różniącéj się jednak wielce od socyalizmu państwowego, propagowanego przez ks. Bismarcka, stanowi wskazówkę dalszego rozwoju stosunków socyalnych w kierunku wyzwolenia stanu robotniczego z twardéj dotychczasowéj zależności od kapitału. Czy państwo, opierające się na idei „Siły przed prawem" zdoła sprawiedliwie przeprowadzić to zadanie lub nie, od tego zależéć będzie historyczne znaczenie reskryptów cesarskich, które mogą być tém, czém się stało zwołanie „Stanów generalnych" we Francyi r. 1789.

Znaczenie ogólne tych odezw cesarskich jest ważne nietylko pod względem ekonomiczno-socyalnym, ale i politycznym, narodowym.

Wobec zbliżającego się końcowego terminu obowiązujących dziś traktatów handlowych Niemiec z Rossyą i Francyą (1892 r.),

zawartych w chwili nader korzystnéj dla Niemiec, tryumfujących nad Francyą i admirowanych przez sąsiadów, troszczy się cesarz Wilhelm II—(może nawet w zgodzie z ks. Bismarckiem, mimo wszelkich manifestacyjnych przeciwnych pozorów), o przedłużenie i, o ile podobna, o wzmocnienie oraz o międzynarodowe skodyfikowanie przeważnego wpływu Niemiec nawet i w sferze idei ekonomiczno-socyalnych,—wpływu i stanowiska, mogącego i w przyszłości podtrzymać ekonomiczną i finansową przewagę niemiecką, z któréj pragną się otrząsnąć nie tylko Francya i Rossya, ale wszyscy—nawet „zligowani“ — i słabsi sąsiedzi.

Oprócz tego, występuje socyalizm dzisiejszy pod hasłem idei kosmopolitycznych, bo przyczyny, które wywołują to gorączkowe wrzenie socyalistyczne od lat już bardzo dawnych, jak np. monstrualny stosunek między kapitałem a pracą, upośledzone stosunki życia towarzyskiego rodzin robotniczych, wobec przewagi roboty maszynowéj, trudność dostatecznego zarobku, nakoniec i naga bieda w mieszkaniach zaniedbanych, przy milionach armii, pochłaniających miliardy,—bo, mówię, przyczyny tego oburzenia klas uboższych nie płyną ze źródeł jednego lub drugiego narodu; ale są wyrazem doli i niedoli ogólno-ludzkiéj. Dla idei narodowych, które za przykładem Niemiec zepchnięto do znaczenia zwierzęcych instynktów zawiści i zaciekłości rasowéj, miejsca tu niema; a tymczasem ten wielki „Vaterland“ jeszcze nie zupełnie skonsolidowany, robotnicy niemieccy „fraternizują“ z wszystkimi innymi i psują uprawę gruntu na którym, według „patryotów“ germanii, powinna wyrość potężna i bezpieczna hegemonia rasy niemieckiéj!

W tych momentach kryją się główne przyczyny owéj podejrzliwości, która, wobec dawniéj zapowiedzianego i przez wiele państw zaakceptowanego kongressu, zwołanego przez Szwajcaryą do m. Bern, wolałaby dyskutować nad sformułowanym już programem reformy stosunków robotniczych przy niepokaźnym stole szwajcarskim, aniżeli pod naciskiem przemożnéj potęgi władzcy Niemiec i jego biegłych w sprawach międzynarodowych pomocników, bez sformułowanego wyraźnie programu.

Nieco słabego światła rzuca na intencye rządu pruskiego przemówienie, którém cesarz zagaił zapowiedziane w odezwie do bar. Berlepsza posiedzenia zwołanéj ad hoc „Rady Stanu“, organu, funkcyonującego tylko wyjątkowo w Królestwie Pruskiém. Osnowa tego przemówienia cesarskiego opiewa:

„Poważném i pełném odpowiedzialności jest zadanie, do którego panów tu powołałem. Przynależna robotnikom opieka przeciwko samowolnemu i bezgranicznemu wyzyskowi siły roboczéj: nieodzowne, po uwzględnieniu uczucia ludzkości i naturalnych praw rozwoju, ograniczenie pracy dzieci: zajęcie się tak ważném, z uwagi na moralne i materyalne warunki życia familijnego, stanowiskiem kobiety w rodzinie robotnika i inne z powyższemi łączące się stosunki stanu robotniczego,

mogą, zdaniem mojém, być polepszone i uregulowane. Należy jednak z fachową znajomością rzeczy zważyć, do jakich granic nasza industrya może znieść wynikające z ścisłych przepisów na korzyść robotników obciążenie, nie tracąc na rynku wszechświatowym nic ze swojéj siły konkurencyjnéj. W tym bowiem razie zamiast polepszyć, pogorszyłoby się jeszcze położenie robotników. Aby tego uniknąć, potrzeba wielkiéj roztropności, gdyż szczęśliwe rozwiązanie tych dominujących w naszych czasach zagadnień, stoi w związku z poruszoną przezemnie sprawą międzynarodowego porozumienia się w tym względzie.

„Niemniej ważne dla zapewnienia pokojowego stosunku pracujących do pracodawców—mówił daléj cesarz—są formy, w których robotnicy znajdą się w możności przy pomocy posiadających ich zaufanie pełnomocników, brać udział w uregulowaniu działalności bezpośrednio ich obchodzącéj i w strzeżeniu ich interesów wobec pracodawców. Pożądanémby było, aby przedstawiciele robotników weszli w stosunek z inspektorami górniczymi i fabrycznymi i tym sposobem, aby mogli swobodnie i spokojnie wyrażać swoje życzenia i interesa, władze zaś państwowe, aby były ustawicznie przez tychże robotników dobrze informowano i utrzymywały z nimi tak pożądane a ciągłe stosunki. Również i wydoskonalenie państwowych przedsiębierstw na wzorowe zakłady, potrzebuje głębszej rozwagi".

W końcu wreszcie dodał jeszcze cesarz: „Przyznaję, że na tém szczególniéj polu nie wszystkie pożądane ulepszenia dadzą się osiągnąć na drodze tylko państwowéj działalności. Miłosierdziu, Kościołowi i Szkole otwiera się obok tego błogosławione pole do rozwinięcia swojéj pracy, w któréj wszelkie ustawy muszą znaleźć poparcie i żywotność, aby wydały pożądane owoce. Jeżeli tedy przy pomocy Bożéj zaspokoicie słuszne życzenia pracującego ludu przez projekta, których wygotowanie panom powierzam, wówczas możecie być pewni nietylko mojéj królewskiéj wdzięczności, ale i uznania całego narodu".

Do udziału w pracach zgromadzonéj Rady Stanu, powołał cesarz nietylko fachowych dostojników rządowych, ale i znamienitszych reprezentantów z kół przemysłowych, handlowych i rzemieślniczych. Dla łatwiejszego i gruntowniejszego rozbioru rozlicznych szczegółów, członkowie Rady Stanu postanowili pracować w dwóch departamentach, mianowicie: a) w departamencie spraw zarządu wewnętrznego; b) w departamencie handlu i przemysłu.

Nie przesądzając owoców téj zabiegliwości cesarza Wilhelma II-go co do uporządkowania stosunków robotniczych, zwłaszcza, że prace Rady Stanu trzymane są z woli cesarza w największéj tajemnicy, przyznać trzeba że cesarz Wilhelm II-gi otacza kwestyą socyalną inną, szlachetniejszą opieką aniżeli to pragnął zrobić t. zw. socyalizm państwowy, szukający jedynego skutecznego ratunku we wszechwładzy państwowéj, która za pomocą prowokacyjnych policyantów myślała najprzód wytropić socyalistów, a za pomocą przymusowego ubezpieczenia robotników chciała zabezpieczyć Niemcy przed furyami socyalizmu. Socyalizm państwowy obracał się wyłącznie w kole samych materyalnych inte-

resów a nie troszczył się bynajmniéj o najstraszniejszą otchłań niedoli moralnéj, zabijał wszelką samodzielność obywateli kraju; gdy tymczasem proklamowana przez cesarza intencya reformy stosunków socyalnych nie zamyka się w pętach niewoli wszechwładzy państwowéj; ale wybiega na szerokie pole działalności i zbawiennego wpływu Kościoła, Szkoły, Miłosierdzia publicznego i praktycznéj samopomocy. Przy tém wszystkiem sądzimy, że pierwszym warunkiem trwałego powodzenia zamierzeń cesarskich na powszechnym warsztacie pracy międzynarodowéj, okaże się jeszcze nieunikniona konieczność stanowczego rozbratu z polityką protekcyjną, obezwładniającą wszelkie uczciwe współzawodnictwo, niemniéj z narzucającą się zbyteczną pieczołowitością nad robotnikami pełnoletnimi, zdrowymi i pilnymi, którzy bez uszczerbku zdrowia chcą i mogą dłużéj pracować na zapewnienie nie tylko bytu, ale i przyszłości sobie i rodzinie swojéj.

Zgodnie z wolą cesarza, przystąpiła już dyplomacya niemiecka do rokowań z mocarstwami co do zwołania w tym celu konferencyi międzynarodowéj. Można się było spodziewać, że gabinet berliński spotka się na razie z niektóremi trudnościami, wynikającemi z pobudek, na któreśmy wyżéj uwagę już zwrócili; ale dzisiaj jest już rzeczą niewątpliwą, że konferencya projektowana zawad nieprzezwyciężonych nie tylko u drugorzędnych, ale i u pierwszorzędnych państw nie znajdzie. Prócz Rossyi i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj, mniéj w téj sprawie zainteresowanych, odpowiedziały już wszystkie państwa przychylnie na zaproszenie pruskie.

Wobec téj sprawy, górującéj nad ogólném położeniem chwili, mało zajmowała się opinia publiczna spiskiem Panicy przeciwko rządowi bułgarskiemu, który, pochwyciwszy w ostatniéj niemal godzinie szare nici zbrodniczego knowania, zajmuje się zbadaniem istotnego stanu rzeczy, trzymając całą sprawę w tajemnicy, aż do ukończenia śledztwa.

Przeszło téż niemal bez śladu otwarcie parlamentu angielskiego, chociaż przydłuższa deklaracya królowéj co do zatargu z Portugalią, niemniéj i zadowolenie z poprawienia się stosunków irlandzkich, mogło było silniéj oddziałać na opinią europejską.

Smiałe wystąpienie młodego Filipa ks. Orleańskiego, jako gotowego „rekruta“ do wojska republikańskiego, niemniéj i ponowny wybór do Izby francuzkiéj wypchniętych co tylko bulanżystów—przez miasto Paryż, naraził gabinet Tirarda na niespodziewane kłopoty, będące owocem fakcyjnych antagonizmów w dawniejszym „parlamencie“. Wypadek z księciem Orleańskim, jego więzienie, proces, wyrok skazujący rzekomego pretendenta

na dwuletnie zamknięcie w twierdzy, a potém zapowiedziane wywiezienie z Francyi, zelektryzują nietylko skompromitowane stronnictwo hr. Paryża, ale w postaci tego męczennika przypomną narodowi sztandar monarchii.

Dokonane w końcu lutego w Prusach wybory do sejmu rzeszy niemieckiéj zaświadczyły porażkę dotychczasowéj większości bismarckowskiéj na całéj linii. W części zapewne pod wpływem samodzielniejszego wystąpienia cesarzarza w kwestyi reformy stosunków socyalnych, w części téż i z niezadowolenia ogółu ze zbyt uciążliwéj dla wszystkich gospodarki bismarckowskiéj, przygniatającéj nadmiernym ciężarem podatkowym uboższe warstwy narodu, wreszcie i pod wpływem powszechnego rozgoryczenia, które coraz liczniejsze „ustawy wyjątkowe“ w całym kraju budzić musiały,—zwyciężyli stanowczo: katolicy (89), konserwatyści nie kartelowcy (67); wolnomyślni (21) i demokraci socyalistyczni (20), przy skórczonéj znacznie cyfrze t. zw. liberałów narodowych (18). Polacy zdołali przeprowadzić 14 swoich zapasników, broniących w tak utrudnionych warunkach naszych interesów najżywotniejszych: Szkoły, Języka, Kościoła, niemniej i materyalnych interesów społeczeństwa, podkopywanych coraz silniéj przez t. zw. komisyą kolonizacyjną, która właśnie złożyła sejmowi pruskiemu sprawozdanie ze swoich czynności w roku ubiegłym.

Z rocznego obrachunku téj roboty germanizacyjnéj pokazuje się, że w r. 1889 nabyła komisya kolonizacyjna ośm większych dóbr ziemskich i cztery samodzielne gospodarstwa włościańskie, czyli ogółem 4,838 hektarów ziemi za sumę 3,293,309 marek. Majątki i gospodarstwa położone są po części w W. Ks. Poznańskiém, po części w Prusach zachodnich. Fakt, że w roku zeszłym mniéj, niż w latach poprzednich komisya nabyła ziemi, objaśnia się przez to, że liczba dóbr, które po dostępnej cenie można było kupić, zmniejszła się znacznie. W ciągu trzech lat działalności komisyi, zakupiła ona ogółem w Ks. Poznańskiém i w Prusach Zachodnich 70 dóbr większych i 30 gospodarstw włościańskich, obejmujących razem 42.225 hektarów za sumę ogólną 25,176,551 m. Z większych majątków zakupiła komisya 57 z wolnéj ręki, a 13 na subhastacyi. Przykre wrażenie robią na każdego poważniéj myślącego obywatela lekkomyślne tryumfy korespondetów gazeciarskich oraz polityków codziennych, którzy z miarowych bardzo kroków komisyi kolonizacyjnéj każą gromadzie wierzyć w swoje złudzenia, że robota wrogów na ziemi polskiéj chybi celu zamierzonego, że nie wydrze nam ziemi ojczystéj. Każdy ubytek 100 morgów waży już dzisiaj w naszym budżecie narodowym więcéj, aniżeli przed 50 laty 1,000 lub nawet 10,000 morgów. Siły bowiem narodowe słabną z każdą morgą, na któréj niemiec się zagospodaruje.

Z dziedziny naukowéj zaznaczamy, o ile ciasne już ramy kroniki pozwalają fakta następujące:

W dniu 23 stycznia odbyło się uroczyste doroczne posiedzenie akademii nauk w Petersburgu. W odczytaném sprawozdaniu z roku ubiegłego, zaznaczono: że akademia przyznała dwie nagrody: nagrodę szlachty symbirskiéj na uczczenie pamięci cesarza Aleksandra II, J. P. P. Siemionowi w sumie 1500 rubli za dzieło p. t.: „Oswobodzenie włościan za panowania cesarza Aleksandra II“, nagrodę hr. A. A. Tołstoja drugi złoty medal, wartości 250 rubli, Ponomarowowi, trzeci A. M. Sibiriakowowi; nagrodę w sumie 1500 rubli przyznano Andrejewiczowi za trzy szkice o Syberyi.

Założone w końcu roku zeszłego Towarzystwo historyczne przy uniwersytecie petersburskim, odbyło dnia 24 stycznia pierwsze posiedzenie publiczne, na którém postanowiono wydawać rozumowaną bibliografią dzieł historycznych i związek z historyą mających, podług planu, mającego być wypracowanym przez osobną komisyą, ze współudziałem znakomitszych historyków w téj liczbie i prof. Pawińskiego. Potém nastąpił obszerny komunikat prezesa, prof. Kariejewa „O opracowywaniu kwestyi odnoszących się do naukowéj teoryi historyi“. Teorya historyi, która zwykle odgrywa role służebnicy historyozofii, powinna, podług prof. K. zachować swoje znaczenie samoistne. Prof. Kariejew dzieli naukowy system badań historycznych na cztery kategorye: 1) Wpływ natury na przebieg rozwoju historyi oraz znaczenie przymiotów przyrodzonych człowieka; 2) Wpływ psychiczny człowieka na człowieka i wpływ otoczenia; 3) Stosunek filologii do historyi i 4) Teorya przyczynowości historycznéj oraz kwestya co do roli, odgrywanéj w historyi przez osobistość. Pierwsze trzy kategorye leżą w obrębie różnych specyalności, ostatnia może być opracowywaną przez samych historyków. W tym celu przedstawił też prof. Kariejew pracę swoję pod tyt. „Istota procesu historycznego i rola osobistości w historyi“. Po komunikacie prezesa czytał jeszcze rozprawę p. S. Stepanow: „O uniwersytecie ateńskim w IV wieku po Chrystusie“. Następne posiedzenie wyznaczono na dzień 21 lutego.

Przepisy, postanowione dla egzaminów nauczycieli szkół powiatowych, nauczycieli i nauczycielek domowych lub szkół elementarnych, opiewają co następuje: Egzamina pomienione odbywają się w miastach, w których istnieją gimnazya lub progimnazya, przed radą pedagogiczną tych zakładów; w miastach, gdzie nie ma gimnazyów lub progimnazyów—przed radą pedagogiczną szkół powiatowych, lecz w szkołach tych można składać

egzamin tylko nauczyciela lub nauczycielki nauki początkowéj. Podania o dozwolenie składania egzaminu z wyszczególnieniem w nich przedmiotów, które kandydat lub kandydatka zamierzają wykładać, należy wnosić: w Warszawie—na imię kuratora okręgu naukowego, w innych zaś miastach – na imię dyrektorów gimnazyów, inspektorów progimnazyów lub zarządzających szkołami powiatowemi. Wiek dla przystępujących do egzaminów wymienionych oznaczony został: dla mężczyzn 17 lat, dla kobiet 16 lat skończonych. Przy podaniu należy dołączyć: metrykę, świadectwo pochodzenia, moralnego prowadzenia, które wydaje władza policyjna, krótki opis życia swego, a osoby, które uczęszczały do zakładów naukowych, winny dołączyć świadectwa szkolne.

Osoby, nie mające patentu z ukończenia gimnazyum, szkoły realnéj, lub innego zakładu naukowego średniego, a pragnące uzyskać stopień nauczyciela domowego, podlegają egzaminowi z przedmiotu głównego w zakresie kursu gimnazyalnego, z przedmiotów zaś ogólnych i dodatkowych w zakresie szkoły powiatowéj. (Kurs szkoły powiatowéj odpowiada 4 m klasom). Przedmioty ogólne są: religia, język ruski, z których składa się egzamin wstępny. Otrzymujący z tych przedmiotów stopień niedostateczny, nie składają już dalszego egzaminu, który, stosownie do woli składającego egzamin, obejmuje następujące przedmioty: 1) Przedmiot główny: matematyka; dodatkowe: religia, język ruski, geografia i historya; 2) przedmiot główny: historya; dodatkowe: religia, język ruski, arytmetyka i geografia; 3) przedmiot główny: geografia; dodatkowe: religia, arytmetyka i historya; 4) przedmiot główny: język ruski; dodatkowe: religia, arytmetyka, geografia i historya; 5) przedmiot główny: jeden z języków starożytnych lub nowożytnych; dodatkowe: religia, arytmetyka, historya i geografia. Egzamina z przedmiotów głównych odbywają się piśmienne i ustne, z dodatkowych zaś tylko ustne. W razie odpowiedzi dostatecznych, składający egzamin winni wykazać umiejętność wykładu obranego przedmiotu. Osoby, które nie ukończyły gimnazyów żeńskich, podlegają egzaminom narówni z mężczyznami, z wyjątkiem matematyki, z któréj arytmetyka stanowi przedmiot główny i składają z niéj egzamin w zakresie gimnazyalnym; geometrya zaś liczy się jako przedmiot dodatkowy. Posiadający patenta z ukończenia zakładów naukowych średnich, podlegają na stopień nauczyciela domowego lub nauczycielki domowéj, egzaminowi skróconemu, który składają tylko z przedmiotów głównych; zasadza się on na oddaniu odpowiedzi piśmiennéj, objaśnień ustnych i t. zw. lekcyi próbnéj. Ci, którzy nie złożą egzaminu, mogą składać powtórnie dopiero po upływie 6-ciu miesięcy.

Mężczyźni, nie mający świadectw z ukończenia szkoły powiatowéj, 4 klas gimnazyum, progimnazyum lub szkoły realnéj,

kobiety — z 4-ch klas gimnazyalnych lub całkowitego kursu progimnazyum, a pragnący uzyskać stopień nauczyciela lub nauczycielki szkoły początkowéj wiejskiéj, podlegają egzaminowi całkowitemu, który dzieli się na piśmienny i ustny. Przedewszystkiem składa się egzamin ustny z religii w zakresie szkoły powiatowéj. Ci, których odpowiedzi z religii uznane zostaną za dostateczne, przystępują do egzaminu piśmiennego w zakresie kursu szkoły powiatowéj z następujących przedmiotów: języka ruskiego, arytmetyki, geografii i historyi Rosyi. Egzamin ustny składa się z tychże przedmiotów i zasadza się na oddaniu dwóch odpowiedzi z każdego przedmiotu. W razie odpowiedzi dostatecznych, składający egzamin winni wykazać znajomość nauczania dwóch przedmiotów, języka ruskiego i arytmetyki. Mężczyźni, mający wyżéj wyszczególnione świadectwa szkolne, podlegają egzaminowi skróconemu, który składają ze wszystkich przedmiotów, wykładanych w szkole elementarnéj miejskiéj (kurs odpowiada 2 klasom gimnazyalnym), z wyjątkiem religii, z któréj odpowiedzi wymagane są w zakresie szkoły powiatowéj. Egzamin ustny polega na kilku objaśnieniach, zwykle tyczących się pomyłek w wypracowaniu piśmiennem popełnionych. Następnie składający egzamina odbywają t. zw. lekcyą próbną. Posiadające patenta z ukończenia gimnazyów lub progimnazyów żeńskich, jeżeli przebędą przy szkole elementarnéj przynajmniéj pół roku w charakterze pomocnicy nauczycielki, uzyskują świadectwo na nauczycielkę bez składania egzaminu. Egzamin na nauczyciela lub nauczycielkę wiejskich i prywatnych szkół składa się z religii, języka ruskiego i arytmetyki w zakresie szkoły początkowéj miejskiej. Dzieli się również na piśmienny i ustny. Ci, którzy nie złożą egzaminu, mogą przystępować ponownie dopiero po upływie 6-ciu miesięcy.

Dzienniki petersburskie donoszą, jakoby komissya, powołana do reorganizacyi klassycznych szkół gimnazyalnych, reorganizacyi niezbędnéj w obec dzisiejszych potrzeb życia praktycznego (w zawodzie rolniczym, handlowym, przemysłowym, technicznym i rzemieślniczym) — miała projektować zmniejszenie liczby lekcyi języka greckiego i łacińskiego o 2 godziny, które mają być natomiast obrócone na 2 lekcye nauki języka ruskiego.

Z Akademii Umiejętności. Dnia 3-go grudnia 1889 r. odbyło się posiedzenie komisyi historyi sztuki, na którém przewodniczący prof. Łuszczkiewicz przedłożył wyszły już przed niejakim czasem zeszyt 3 tomu IV Sprawozdań komisyi historyi sztuki — Następnie p. Alfred Römer przedstawił i objaśnił zdjęty przez siebie widok rysunkowy cerkwi św. Trójcy w Wilnie, budynku

fundacyi ks. Konstantego Ostrogskiego, z bardzo oryginalném zakończeniem części ołtarzowéj, złożonem dołem z trzech absyd, które w górnéj części przechodzą zewnętrznie w jedne absydę — przy czém w dyskusyi prof. Maryan Sokołowski zwrócił uwagę na pewne analogie zewnętrznéj strony tego budynku z innemi cerkwiami na wschodzie. Dalej przedstawił pan Römer średniowieczne spiżowe naczynie kościelne do wody, w kształcie lwa, zw. aquamanile, wykopane w Bortkuszkach, majątku hr. Broel Platera, niedaleko Wilna położonym; przyczem p. Leonard Lepszy przypomniał, że jeden okaz rzadkiego tego w naszym kraju zabytku romańskiéj stylowéj epoki znajdować się ma w skarbcu klasztoru OO. Dominikanów w Krakowie.—Prof. Maryan Sokołowski zawiadomił, że p. Ptaszyckiemu w bibliotece ces. w Petersburgu powiodło się znaleść bardzo ważne księgi rachunkowe dworu polskiego z czasów Zygmunta Augusta, tudzież rachunki i inwentarze odnoszące się do spraw majątkowych Decyusza młodszego i jego żony. P. Ptaszycki ofiaruje się opracować do wydawnictwa komisyi akta te, mające niemałe znaczenie, zwłaszcza dla historyi kultury w Polsce. Także p. Ferdynand Bostel nadesłał kilka komunikatów, odnoszących się do historyi sztuki w Polsce, które do objaśnienia i przygotowania do druku dano dwom członkom komisyi.—Wreszcie prof. Łuszczkiewicz przedłożył jako komunikaty tablice rysunkowe, zawierające szczegóły architektoniczne kościoła ś. Jana Jerozolimskiego w Gnieźnie; drzwi do kapitularza w Włocławku, fundacyi biskupa Drzewickiego z datą 1527; wczesno - gotycki z XIV wieku portal oraz odrzwia stylu przejściowego z datą 1520 z kościoła w Piasku Wielkim pod Stobnicą ruiny dziś może już zburzonéj; wreszcie widok wieży kościoła Miechowskiego, robiony przez p. Wodzinowskiego. Poprzednie rysunki są prof. Łuszczkiewicza.

Z Akademii Umiejętności. Komisya historyczna odbyła dnia 6 grudnia 1889 r. pod przewodnictwem prof. hr. Tarnowskiego posiedzenie, na którém sekretarz przedstawił program dalszego wydawnictwa poetów łacińskich. W r. 1890 wyjdą poezye Janickiego w wydaniu prof. Ćwiklińskiego. Następny tom będzie się składał ze zbioru poetów mniejszych, w części cudzoziemców o Polsce piszących. W tym celu dr. Jeziениecki w Berlinie opracował pieśni Wawrzyńca Corvinus'a i Lang'a, dr. Sternbach we Lwowie Leonarda Coxusa. Prócz tego prof. Kruczkiewicz we Lwowie rozpoczął prace przygotowawcze do wydania Royzius'a; p. Pelczar w Krakowie zajęty jest dziełami Hussowianus'a; p. Marcin Sas w Krakowie utworami Andrzeja Trzycieskiego. Poezye Kalimacha, nad któremi obecnie pracuje dr. Windakiewicz we Włoszech, zapewne już w r. 1890 będą przygotowane do druku. Następnie prof. Rostafiński, imieniem komisyi, zaj-

mującéj się zbieraniem materyałów do dziejów uniwersytetu krakowskiego, doniósł, że postanowiono przedewszystkiem zająć się wydaniem aktów rektorów (Rectoralia) i Conclusiones, a kierownictwo powierzono dr. Wisłockiemu.

Wydział historyczno-filozoficzny Akad. Um. w Krakowie, odbył dnia 16 grudnia 1889 r. posiedzenie pod przewodnictwem dr. Zolla, na którém prof. Ulanowski streścił wyniki swéj pracy o Synodzie łęczyckim r. 1487. Autor, pracując nad historyą prawa kanonicznego w Polsce, szczególniejszą zwrócił baczność na synody prowincyonalne wieku XV i czynił skrzętne zabiegi w celu odszukania śladów niezmiernie wybitnéj ich działalności w téj epoce. Szczęśliwym trafem udało mu się znaleźć między innymi nie ogłoszonymi dotychczas zabytkami, także obszerniejsze akty, odnoszące się do synodu Łęczyckiego z r. 1487. W pierwszéj części swéj pracy określa autor stanowisko duchowieństwa, jako odrębnego politycznego czynnika, który w walce z królem i szlachtą rozmaitych chwyta się środków, ażeby przywilejów swych i autonomii nie utracić. Objaśnienie aktów, będących w bezpośrednim związku z synodem r. 1487 oraz zestawienie ich treści z materyałem dotychczas znanym, stanowi drugą i główną część pracy.

Komisya historyczna odbyła dnia 28 grudnia 1889 r. posiedzenie, na którém dr. St. Windakiewicz zdał sprawę z przeglądu Archiwum rządowego w Parmie, gdzie znajduje się obfita korespondencya kardynała Aleksandra Farnese, protektora Polski 1535—1589, mieszcząca się wraz z korespondencyą innych Farnezych, mianowicie też Aleksandra, słynnego namiestnika Niederlandów, w 262 grubych tekach, ułożonych chronologicznie. Sumaryczny przegląd tymczasowy okazuje, że z lat późniejszych po 1549, znajduje się tam mniéj listów, odnoszących się do spraw polskich, że natomiast z lat poprzedzających, kiedy kardynał Farnese był podkanclerzem papieskim za Pawła III, przechowały się ważne listy i akty, które należałoby szczegółowo rozpatrzeć; na pojedynczy rok wypada po 3 lub 4 teki do przejrzenia. Dr. St. Krzyżanowski zdał sprawę z poszukiwań archiwalnych głównie za dyplomatami Przemysława II i Bolesława Wstydliwego, których poznanie pozwala skonstantować znaczne różnice zachodzące między kancelaryą Wielkopolską i Małopolską; podał także wiadomość o innych dyplomatach z XIII i XIV w., które odszukał głównie w Poznaniu i Włocławku. Oznajmiono także komisyi o wynalezieniu nieznanego dotąd dyaryusza sejmu warszawskiego z roku 1556/7, którego odpis komisya spodziewa się otrzymać. Poszukiwania archiwalne w Rzymie będzie prowadzić w dalszym ciągu dr. Feliks Koneczny. Nakoniec zajmowano się rozbiorem projektów

poszukiwań w innych także archiwach i zamierzonych przyszłych wydawnictw (regestrów polskich), a wreszcie roztrząsano ponownie sprawę zjazdu historycznego we Lwowie i przyszłych na nim referatów.

Komisya historyi sztuki odbyła dnia 4 stycznia 1890 r. pod przewodnictwem prof. Łuszczkiewicza posiedzenie, poświęcone sprawie udziału w zjeździe historyków polskich. Uchwalono przyjąć w nim najliczniejszy udział, a kilku członków komisyi zgłosiło się z chęcią podjęcia referatów w przedmiotach z historyą sztuki w związku będących.

Na posiedzeniu wydziału historyczno-filozoficznego: dr. Br. Dembiński przeczytał rozprawę: „O stosunku Francyi do stolicy Apostolskiéj w r. 1560“, a dr. St. Smolka przedłożył rzecz: „O projekcie ligi przeciw turkom w latach 1583 i 1584“. Z innych rozpraw na zaznaczenie zasługują: d-ra Wł. Ostrożyńskiego: „Ostatni projekt reformy praw i procesu karnego w Polsce“ i d-ra St. Krzyżanowskiego: „Dyplomy Bolesława Wstydliwego dla katedry krakowskiéj, jako przyczynek do dyplomatyki polskiéj XIII wieku“.

Na sejmiku gospodarczym w Toruniu p. Ludwik Ślaski mówił na temat: „Czy kształcenie się u nas gospodarzy jest dostatecznem i jak należy je pokierować, aby wydało praktyczne rezultaty“; p. Ulatowski „O sztucznych nawozach“; pan Donimirski „O nowéj metodzie osuszania pól pana Korzybskiego“.

Komitet II-go Zjazdu historyków Polskich we Lwowie zawiadomił Red. „Biblioteki Warszawskiéj“, że zapowiedziano 41 referatów do rozpraw na posiedzeniach zjazdu, mianowicie:

1. Prof. dr. Władysław Abraham ze Lwowa: O potrzebie krytycznego wydania średniowiecznych pomników ustawodawstwa Kościoła polskiego.

2. Prof. dr. Oswald Balzer ze Lwowa: W sprawie wydania zbioru średniowiecznych ustaw polskich (Corpus iuris Polonici medii aevi).

3. Dr. Bronisław Czarnik ze Lwowa: Literatura w Galicyi od czasu jéj zajęcia przez Austryą; co na tém polu zrobiono i co jeszcze należałoby zrobić.

4. Aleksander Czołowski ze Lwowa: O położeniu starego Halicza.

5. Dr. Bronisław Dembiński z Krakowa: Kwestya soboru narodowego w Polsce w wieku XVI.

6. Dr. Włodzimierz Demetrykiewicz z Krakowa: Sprawa urzędów konserwatorskich w Galicyi; obowiązki, środki działania i prawa konserwatorów, oraz ulepszenia, jakich w tym względzie żądaćby należało.

7. Tadeusz Dowgird z Warszawy: Przegląd badań pamiątek z czasów przedhistorycznych, dokonanych w ostatniem pięćdziesięcioleciu na Litwie i Żmudzi.

8. Dr. Bolesław Erzepki z Poznania: O potrzebie zbiorowego i poprawnego wydania traktatów zawartych przez Rzeczpospolitą polską.

9. Dr. Ludwik Finkel ze Lwowa: Jakiego podręcznika historyi polskiéj koniecznie nam potrzeba i jaką drogą dojść do niego?

10. Wojciech Gerson z Warszawy: Nieprzerwalność uprawy sztuki w Polsce.

11. Aleksander Jabłonowski z Warszawy: Wołoszczyzna, Mołdawia i Multany.

12. Dr. Maksymilian Kawczyński ze Lwowa: Etymologia jako środek pomocniczy w badaniach historycznych.

13. Dr. Wojciech Kętrzyński ze Lwowa: O ludności miejskiéj w Polsce pod względem narodowości.

14. Dr. Józef Korzeniowski z Krakowa: Stan i program wydawnictw źródłowych XVI wieku.

15. Prof. Tadeusz Korzon z Warszawy: Wady historyografii naszéj w budowie dziejów Polski.

16. Dr. Stanisław Krzyżanowski z Krakowa: O zadaniu paleografii i dyplomatyki w obec historyi polskiej i historyi prawa polskiego.

17. Prof. dr. Ludwik Kubala ze Lwowa: O wydawnictwie źródeł XVII wieku.

18. Leonard Lepszy z Krakowa: O potrzebie zajęcia się zebraniem i wydaniem słownika wyrazów technicznych polskich, odnoszących się do sztuki i rękodzieł z nią w związku stojących, tudzież jakie byłyby zasady takiéj pracy i czego od niéj wymagać należy?

19. Tenże: O potrzebie publikowania pieczęci miejskich i cechowych, oraz stanowisko i ważność numizmatyki i sfragistyki dla historyi ogólnéj, a zwłaszcza w dziejach sztuki.

20. Prof. dr. Anatol Lewicki z Krakowa: Jakie prace do dziejów XV wieku byłyby najbardziéj pożądane?

21. Prof. dr. Ksawery Liske ze Lwowa: W jaki sposób dałby się rozbudzić i rozwinąć ruch naukowy na prowincyi?

22. Dr. Władysław Łebiński z Poznania: O potrzebie systematycznego opracowania osobnéj nauki starożytności polskich.

23. Prof. Władysław Łuszczkiewicz z Krakowa: O potrzebie i środkach obudzenia żywszego interesu dla prac w zakresie historyi sztuki.

24. Zygmunt Miłkowski z Genewy: Rusini —mężowie stanu.

25. Dr. Fryderyk Papée ze Lwowa: Najważniejsze dezyderaty odnośnie do dziejów Rusi Czerwonéj za czasów Rzeczypospolitej.

26. Prof. dr. Roman Pilat ze Lwowa: Zalety i niedostatki najnowszéj krytyki historyczno-literackiéj.

27. Dr. Antoni Prochaska ze Lwowa: O wydawnictwie pomników dziejopisarstwa litewsko-ruskiego.

28. Prof. dr. Józef Przyborowski z Warszawy: Chronologia zabytków przedhistorycznych w Polsce.

29. Dr. Aleksander Rembowski z Warszawy: Czy Ostroróg pisał swój traktat w wieku XV czy XVI?

30. Antoni Ryszard z Krakowa: Moneta obca w Polsce.

31. Prof. dr. Aleksander Semkowicz ze Lwowa: O potrzebie i sposobie wydania dyplomatów oraz innych ważniejszych źródeł, znajdujących się w miejskiém archiwum we Lwowie.

32. X. dr. Eustachy Skrochowski z Krakowa: Sprawa zakładania muzeów dyecezyalnych zabytków sztuki i przemysłu artystycznego, ich potrzeba, cel korzyści i program.

33. Prof. dr. Stanisław Smolka z Krakowa: O pracach w przedmiocie dziejów Unii Korony z Litwą.

34. Prof. dr. Maryan Sokołowski z Krakowa: O znaczeniu i potrzebie badań, dotyczących historyi handlu w Polsce.

35. Maurycy Stankiewicz z Krakowa: W sprawie gromadzenia materyałów do dziejów piśmiennictwa litewskiego.

36. Dr. Leon Sternbach ze Lwowa: Wpływ poetów greckich na literaturę polską XVI i XVII wieku.

37. Ernest Sulimczyk Świeżawski z Warszawy: O związku niektórych zjawisk ekonomiczno-społecznych z dziejami politycznemi byłéj Rzeczypospolitéj.

38. Prof. dr. Stanisław hr. Tarnowski z Krakowa: O charakterze literatury politycznéj polskiéj XVII wieku.

39. Kazimierz Waliszewski z Paryża: O nieprawidłowości naszego ustroju politycznego i jéj przyczynach.

40. Wincenty Juliusz Wdowiszewski z Krakowa: Jak przyspieszyć zebranie materyału archiwalnego do dziejów sztuki w Polsce?

41. Dr. Stanisław Windakiewicz z Krakowa: Znaczenie szkół i uniwersytetów dla umysłowości polskiéj wieków średnich.

Powyższe referaty zostaną ogłoszone drukiem i wcześnie przed zjazdem rozesłane bezpłatnie pomiędzy wszystkich uczestników zjazdu dla ułatwienia i przygotowania dyskusyi nad poruszonemi pytaniami. Po ukończeniu zjazdu przystąpi Komitet do wydania Pamiętnika, zawierającego na podstawie zapisek stenograficznych cały dosłownie podany tok obrad przeprowadzonych na zjeździe. I ten Pamiętnik otrzymają uczestnicy zjazdu bezpłatnie. Ze względu na znaczne koszta; jakie pociągnie za sobą druk referatów i Pamiętnika, ustanowioną została dla uczestników zjazdu składka w ilości 5 złotych = 5 rubli rs. = 10 marek = 12 franków. Wkładki należy przesyłać na ręce sekretarza Komitetu d-ra Oswalda Balzera, Lwów ul. Zimorowicza 7. O wczesne nadsyłania składek, uprasza się ze względu na to, iż referaty na zjazd drukowane będą w ograniczonéj ilości egzemplarzy i Komitet nie bierze odpowiedzialności za to, jeżeli późniéj zgłaszającym się uczestnikom referaty te nie będą mogły być dostarczone. Przy zgłoszeniu uczestnictwa uprasza się o dokładne podanie imienia i nazwiska, urzędu lub zajęcia, tudzież adresu. Każdy z uczestników otrzyma: „Kartę uczestnictwa“, która służyć będzie za legitymacyą do korzystania ze wszystkich ułatwień przyznanych uczestnikom zjazdu, zwłaszcza zaś ze zniżonych cen jazdy na kolejach żelaznych; dla tego we własnym interesie uczestników uprasza się o staranne przechowanie tejże karty. Zjazd odbędzie się z początkiem drugiéj połowy lipca b. r. w dniach, które późniéj podane zostaną do publicznéj wiadomości. Czas ten wybrany został głównie ze względu na PP. profesorów szkół średnich, ażeby w obec rozpoczynających się właśnie feryj umożliwić im przybycie na II zjazd historyków polskich.

Towarzystwo tatrzańskie odbyło dnia 2 lutego w Krakowie, pod przewodnictwem ks. Eustachego Sanguszki, swe XVII doroczne walne zgromadzenie. Tow. liczy obecnie 2025 członków (między tymi 195 członków oddziału kołomyjskiego i stanisławowskiego). Na budowę schronisk, dróg i ścieżek, jakoteż naprawę linii telegraficznéj między Nowym Targiem a Zakopanem wydało łączną kwotę 1146 zł. 56 ct., rozpoczęło wydawnictwo albumu widoków tatrzańskich, zajmowało się dalszemi pomiarami stawów Gąsienicowych, badaniami grot i jaskiń w Tatrach. Przyjęto z wdzięcznem uznaniem do wiadomości doniosłą uchwałę sejmową z d. 26 listopada 1889 w sprawie dróg tatrzańskich, daléj, że Towarzystwo zakupiło na własność około 1/6 części hal około Morskiego Oka, na który to cel znana z patryotyzmu p. Emilia Sczaniecka z Pakosławia ofiarowała 100 marek. Dochód Tow. wynosił r. z. 9067 zł. 2 ct., rozchód 8715 zł. 50 ct. Wniosek wydziału względem zaciągnięcia pożyczki na budowę drugiego domu gościnnego przy Morskiém Oku, przedstawił p. Eliasz.—Dom ten ma zawierać według planu p. Beringera 25 pokoi. Zgromadzenie upoważniło wydział do zaciągnięcia pożyczki w kwocie 3500 zł.—Przy rozbiorze preliminarza budżetu, przy pozycyi XVIII domagał się p. Heppe, delegat Tow. ze Lwowa, aby korzystający z dobrodziejstwa telegrafu przyczynili się jakąś kwotą do preliminowanéj sumy, lecz wniosek ten się nie utrzymał. Resztę pozycyj przyjęto bez dyskusyi. Dochód obliczono na 10,821 zł. 52 ct., a rozchód na 10.775 złr.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk pięknych w Królestwie Polskiem ogłasza niniejszem dla pp. artystów-malarzy konkurs imienia Wojciecha Gersona na obraz historyczny (religia, historya, allegorya, mitologia), wykonany w ciągu trzech lat ostatnich i któryby nie znajdował się, czy to na wystawie Towarzystwa, czy na innéj wystawie w Warszawie. Nie kwalifikują się do konkursu żadne kopie, ani kompozycye autorów zmarłych na trzy lata przed 1 stycznia 1891 roku. Życzący stanąć do konkursu, winien nadesłać komitetowi Towarzystwa przed 15 grudnia r. b. deklaracyą w formie listu z wymienieniem tytułu obrazu, imienia i nazwiska i dokładnego swojego adresu. Obrazy winny być nadesłane do lokalu Towarzystwa najpóźniéj dnia 30 grudnia r. b. Przed rozstrzygnięciem konkursu, obrazy podlegają rewizyi cenzury rządowéj. Autor obrazu, uznanego przez komitet Towarzystwa wespół z profesorem Gersonem, za najlepszy, otrzyma w nagrodę rubli sześć set. Obrazy nadesłane i przyjęte na konkurs, pozostawać będą na wystawie Towarzystwa przez tygodni sześć.

Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem podaje także do wiadomości, iż z zapisu ś. p. Ign. Ciszewskiego wakować będzie od dnia 1 kwietnia r. b. stypendyum dla młodzieńca, poświęcającego się sztuce rzeźbiarskiéj, podług wyboru komitetu Towarzystwa. Kandydaci, ubiegający się o powyższe stypendyum winni uczynić podanie do komitetu Towarzystwa do dnia 1 kwietnia r. b. z treściwym opisem biegu życia, t. j. gdzie i kiedy się urodzili, gdzie i u kogo kształcą się w sztuce rzeźbiarskiéj i gdzie mają miejsce stałego zamieszkania w Królestwie Polskiem, oraz przedstawić komitetowi na dowód kwalifikacyi odpowiednią pracę swoję, jeżeli nie była umieszczona na wystawie Towarzystwa przed podaniem się proszącego na stypendystę.

Wykopaliska w Galilei. Edmund Durighello ogłasza w „Cour. de l'Art" owoce swoich poszukiwań na ziemi galiléjskiéj, które nie małe powinny wywołać zajęcia w świecie archeologicznym. Durighello odkrył mianowicie stare fenickie grobowce, godne uwagi nie tylko z tego względu, że dają pojęcie o zupełnie nieznanych dotąd obrządkach pogrzebowych u fenicyan, ale nadto przez to, że zawierają w sobie wiele klejnotów, amuletów, skarabeów i grup wyrzeźbionych w terrakocie. Obok zwłok umieszczone są naczynia, w których widocznie znajdowały się niegdyś potrawy i napoje. Wiadomości te wymagałyby jeszcze pewnego potwierdzenia, nie można jednak wątpić o autentyczności odkryć dokonanych w Saidzie, gdzie Durighello natrafił na wielkie cmentarzysko, albowiem sarkofagi ztamtąd przewieziono już do muzeum w Konstantynopolu. Pośród grobów, sięgających epoki helleńskiéj, znaleziono nienaruszony sarkofag któregoś z władców sydońskich. Cmentarzysko rozkopano obecnie i owe podziemne sklepienia, które oparły się tylu trzęsieniom ziemi, dziś stały się łupem ogrodnika, który sprzedaje je na kamienie budowlane. Rząd turecki mało się bowiem troszczy o podobne rzeczy naukowe.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

„Review of Reviews“ (Przegląd przeglądów).—Międzynarodowe czasopismo etnograficzne „*Folklore*“ wyd. w Peszcie.—Podania białoruskie zebrał Wład. Weryho wyd. J. Karłowicz. — Przyczynek do historyi klęski Władysława Warneńczyka (1444).—R. Fagniez „Le Pere Joseph et Richelieu—le projet de croisade 1616—1625.“—Sz. Szymonowicz, jako filolog.—Walenty Ćwik (pseudon.). Rys dziejów poczt i telegrafów. Lwów 1890.—Gustaw Chwat „Buchalteryi podwójnéj (włoskiéj) zesz. 2.

Z początkiem roku bieżącego począł wychodzić w Londynie miesięcznik oryginalny w swoim rodzaju a zarazem, w obec nadzwyczajnie rozwielmożnionéj prasy peryodycznéj, bardzo pożądany i pożyteczny: mówimy o miesięczniku p. t. „The Review of Reviews“, wydawany i redagowany przez p. W. T. Stead, dotychczasowego redaktora londyńskiéj gazety „Pall Mall Gazette“. Czasopismo to ma być, jak sam tytuł opiewa, „Przeglądem przeglądów“ t. j. sprawozdaniem treściwém z wszystkich, wychodzących na kuli ziemskiéj kwartalników, miesięczników, tygodników i wszelkich publikacyi najważniejszych, które się w czasie miesiąca ukazują w prasie peryodycznéj, słowem: ma to być klucz dla ludzi nauki do swobodnego korzystania z całego ogromnego materyału naukowego, który się w osobnych, i często gruntownych, specyalnych studyach i monografiach po nieprzejrzanem morzu czasopism bezładnie rozprasza i dla nauki ginie. „Przegląd Przeglądów“ około 10-go każdego miesiąca zdaje sprawę z tego, co w sobie zawierają pisma peryodyczne wyszłe dnia 1-go i pisma poprzedniego miesiąca, wyszłe po 5-tym. Prócz gołosłownéj treści, przytacza „Przegląd przeglądów“ w treściwém skróceniu najważniejsze i najlepsze artykuły, poświęcając im około 20 do 25 kart dwuszpaltowych in 4-to m. Oprócz tego podaje „Review of Reviews“ tytuły nowych dzieł, ogłoszonych w minionym miesiącu, z krótszemi lub dłuższemi uwagami nad każdém, według jego wartości naukowéj i literackiéj. Ro-

zumie się, że najobszerniéj uwzględnia Redakcya czasopisma angielskie i amerykańskie, ponieważ co do obcych sobie literatur zależną jest od skrzętności, zabiegliwości i naukowego niemniéj i literackiego uzdolnienia specyalnych z każdéj literatury referentów. Sprawozdań z piśmiennictwa polskiego podjął się, w poczuciu obywatelskiego obowiązku, współpracownik nasz p. Edmund Naganowski (12 Fitzroy Road. Regents Park. London, N. W.), który jednak o tyle tylko zdoła być dokładnym referentem z naszego ruchu umysłowego, o ile Redakcye, dbałe o rozwój naszéj myśli, zechcą mu przez jaknajwcześniejsze nadsyłanie wydawnictw swoich, pracę tę umożebnić.

W zeszycie 1-ym (84 stronic tekstu i 40 stronic inseratów, zapewniających materyalny byt pisma) podaje „Review of Reviews“ portret p. H. Johstona, konsula brytańskiego w Mozambiku, bohatera chwili. Daléj 11 stronic autografów in facsimili—listów z wyrazami zachęty i uznania za tak pożyteczną pracę, pisanych przez pierwsze znakomitości naszego czasu, jak: Gladston, Salisbury, Derby, Hartington, Randolf Churchill, Wolseley, Tennyson, Dufferin, kard. Manning, arcyb. Walsh, arcyb. anglik. z York, historyk Froude, Michał Davitt, Huxley, Olga Nowikow i Juliette Lambert (M-me Adam) i w. i.

Z pomiędzy czasopism słowiańskich czytamy w I-szym zeszycie 3 sprawozdania z literatury rosyjskiéj („Wiestnik Ewropy“, „Posłaniec Północy“ i „Starożytności ruskie“), z niemieckich „Rundschau“, „Unsere Zeit“, dwa francuzkie, dwa włoskie i. i.

W programie, który Redakcya ogłosiła w tym zeszycie usprawiedliwia p. W. T. Stead potrzebę takiego czasopisma w naszéj epoce — i zapowiada, że każdy zeszyt następny zawierać będzie: 1) Staranie napisany przegląd wypadków krajowych i zagranicznych, których wiadomość niezbędną jest dla trafnego ocenienia ruchu prassy peryodycznéj; 2) Spis świeżo ogłoszonych „ksiąg niebieskich“ i dzieł nowych z dodaniem uwag choćby najtreściwszych; 3) Streszczenie najlepszéj powieści ubiegłego miesiąca, angielskiej lub obcéj, czasem powiastkę oryginalną; 4) rys charakteru kobiety lub mężczyzny, odznaczonego na widowni minionego miesiąca i t. d.

Cena pojedyńczego zeszytu „Review of Reviews“ z przesyłką do krajów związku pocztowego wynosi 80 fenigów, czyli 1 frank. Abonament roczny z przesyłką 12 fr. półroczny 6 fr. kwartalny 3 fr.

Prof. uniwers. w Peszcie, Antoni Herrmann i Ludwik Katona zamierzyli wydawać w Peszcie etnograficzny Przegląd międzynarodowy pod tyt. „Folklore“, który ma zastąpić dotychczasowe „Ethnologische Mittheilungen aus Ungarn“, wychodzące od r. 1887-o, pod redakcyą dr. Herrmanna. W ogłoszeniu tego wydawnictwa twierdzą wzmiankowani uczeni, że geograficzne położenie Węgier niemniéj i tradycye historyczne czynią Węgry

naturalném ogniskiém takiéj publikacyi międzynarodowéj. „Przegląd nasz, czytamy w programie wydawców, obéjmować będzie wszystkie pomocznicze nauki etnologii. Otwiera on swoje karty dla wszystkich badań specyalnych zarówno jak i dokumentów nieznanych, zasługujących na uwagę szczególniejszą. Do wszystkich artykułów, o ile tylko zajdzie potrzeba, dodawane będą ilustracye, a do pieśni ludowych dodatki muzyczne. „Folklore“ ogłaszać będzie artykuły, w języku francuzkim, angielskim, niemieckim, włoskim, hiszpańskim, rysyjskim i węgierskim. Zabytki „Mowy ludowéj„ „Folklore“ ogłaszać zawsze będzie w oryginale.

Podania białoruskie zebrana przez Władysława Weryhę, poprzedzone wstępem przez Jana Karłowicza. Lwów 1889. (cz. Bibl. W. 1889. Zesz. 12). Język białoruski, oraz pieśni, podania, przysłowia i zagadki ludu nim mówiącego, zasługują na baczną uwagę naszę przez wzgląd na to, że językiem tym mówi przeszło pięć milionów ludzi, i że plemię białoruskie stanowi na ogromnej przestrzeni tło ludowe dla badań etnograficznych. „Zbiór wiadomości do antropologii krajowéj“ podawał już w tomach V i X przysłowia białoruskie, zebrane przez p Dybowskiego. Władysław Weryha w r 1884 zebrał w okolicy Nowego dworu i Ostryny w powiecie lidzkim wiązankę bajek i pieśni ludu białoruskiego. Z tych bajek dwadzieścia i trzy wydał p. Jan Karłowicz w powyższéj broszurze, w języku białoruskim, poprzedzając je wstępem w mowie białoruskiéj, któréj naznacza odrębne stanowisko obok mowy ukraińskiéj i wielkorosyjskiéj. Do poszczególnych wyrazów, których zrozumienie mogłoby nastręczyć pewną trudność czytelnikowi polskiemu, dodał wydawca objaśnienia, przy czém niejeden czytelnik, jak niemał zawsze przy podobném postępowaniu, żałować będzie, że niejedno objaśnienie jest zbyteczne, a niejednego bardzo pożądanego brakuje. *Zr.*

Nadzwyczajne zaintoresowanie pomiędzy historykami obudziła naukowa polemika, którą z niezwykłym zapałem prowadzili dwaj uczeni węgierscy, pp. Horvath de Rona i Dr. Fraknói, w kwestyi, dotyczącéj także i naszych dziejów, bo zajmującej się osobą króla naszego Władysława Warneńczyka i klęską warneńską z r. 1444-go. — P. Horvath de Rona wystąpił z gwałtowną napaścią przeciwko zacności charakteru Władysława, dowodząc, że król polski i węgierski dopuścił się w r. 1444-ym krzywoprzysięstwa względm sułtana Murada, z którym był zawarł pokój w Szegedynie, a zaprzysiężonego jak najuroczyściej nie dotrzymał, ale go złamał i dalszą wojnę lekkomyślnie rozpoczął. Zgodnie z tym poglądem uważa też p. Horvath de Rona poniesioną przez Władysława straszną klęskę pod Warną 1444 r., w któréj

sam poległ i legat papieski Cesarini zabity został, tylko za chłostę i karę zasłużoną.

Przeciwnie dr Fraknói, z wiarogodnemi współczesnemi dokumentami w ręku, rozbiera i waży jak najtroskliwiéj wszystkie momenta danéj kwestyi, a zbadawszy wszystkie okoliczzości, nie może ciskać takiéj plamy na charakter szlachetnego Jagiellończyka, nie może obciążać taką zbrodnią Władysława ani jako króla ani téż jako człowieka, a to dla następujących przyczyn i niewątpliwych dowodów faktycznych.—Już od r. 1443-go przygotowywał papież Eugieniusz IV wielką krucyatę przeciwko niewiernym. Pozyskawszy dla tego przedsięwzięcia rzeczpospolitą Wenecką, zdołał także przyciągnąc do tego związku i Władysława Jagiellończyka, który jako król węgierski często bywał niepokojony przez nawałę turecką, walącą się coraz większym ciężarem na ziemie królestwa Arpadowego. — Murad, przerażony tak groźném niebezpieczeństwem, szukał tedy wszelkich środków, żeby tę nadciągającą burzę od Islamu odwrócić. Za pośrednictwem despoty (rządzcy) serbskiego, Jerzego Brankowicza, ofiarował téż Władysławowi tak korzystne warunki pokoju, że żaden panujący wągierski nie mógłby ich odrzucić. Władysław, mając na uwadze dobro Węgier i Polski, w ogóle dobro królestw chrześciańskich, z Turcyą się bezpośrednio stykających, zgodził się na propozycye Murada, mimo energicznego oporu legata Cesariniego. Tymczasem uzbrojona już przez papieża i Rptą Wenecką piękna i do boju gotowa flota wenecka w dniu umówionym rozpuściła swe żagle i wyruszyła na morze; Murad zaś w ociężałości swojéj pozwolił upłynąć terminowi umówionych dni 8-iu, w przeciągu których zobowiązał się względem Władysława do wydania w ręce chrześcian warowni Schendroe i Colombacz. Zbieg tych 2-óch okoliczności, mianowicie: gotowości do boju floty weneckiéj z jednéj strony, pobudzającéj także i Władysława do kroków wojennych; z drugiéj zaś niedopełnienie przez Murada w umówionym terminie warunku ugody Szegedyńskiéj wydania chrześcianom wskazanych warowni, zbieg, mówię, tych okoliczności nastręczył legatowi Cesariniemu sposobność do przeciągnienia Władysława na stronę ligi papieskiéj z Wenecyanami i do rozpoczęcia dalszych kroków wojennych przeciwko turkom. Naznaczono tedy wojsku punkt zborny, w Orsowie, zkąd postanowiono wtargnąć do Bułgaryi. Wśród takiego zbiegu okoliczności łatwo sobie wytłómaczyć pozorną dwulicowość postąpienia Władysławowego; lecz czego nikt nie pojmie i nie wytłómaczy, to zachowania się i postępowania w téj chwili Wenecyan, którzy, zmusiwszy w sposób wskazany Węgrów do rozpoczęcia kroków wojennych, zatrzymali się ze swoją imponującą flotą przy wyspie Tenedos, przez co pozwolili Muradowi

wtargnąć do Europy ze wszystkiemi jego wojskami, nie pokusiwszy się nawet choćby o pozór stawienia mu jakiegokolwiek w tym pochodzie oporu.

Uczony francuzki M. B. Fagniez ogłosił w czasop. francuzkiém „Revue des questions historiques“ artykuł p. tyt. „Le Pere Joseph et Richelieu — le projet de croisade, 1616 — 1625“. Wiadomo, że nieustającém usiłowaniem w całém życiu O. Józefa było knucie planu wydarcia z rąk niewiernych Ziemi Ś-téj. Równocześnie rozpoczął był także Karol Gonzaga, książę Nevers, zapewne w tym samym celu układy z Grecyą i ze Słowianami (około r. 1609), które jednak zostały zwichnięte przez zaburzenia francuzkie w r. 1614. Tymczasem zbliżyli się do siebie książę Gonzaga i O. Józef. Książę Gonzaga odkrywa O. Jozefowi swoje plany, na które zgodziły się już niektóre kraje, mianowicie Hiszpania. Nawet z Richelieu'em zawarł Gonzaga układ odpowiedni: książę Gonzaga zobowiązuje się względem biskupa z Luçon (Richelieu) do ułatwienia mu wstępu do władzy publicznéj, biskup zaś zobowiązuje się popierać widoki księcia. Termin wyjazdu do Ziemi Ś-téj postanowiono na jesień r. 1616-go. Książę Gonzaga pragnął zapewnić sobie pomoc i poparcie także i w Niemczech; ale przeszkodziło mu w tych zamiarach aresztowanie księcia Condé (1-go września 1616). Ojciec Józef dotarł w tym celu aż do Rzymu, z zamiarem pozyskania dla projektowanéj wyprawy nawet i papieża Pawła V-go. Tymczasem papież, zapewne nieufny dla projektów zanadto już zużytych i niemal poszarzanych, zadługo zwlekał odpowiedź stanowczą Podczas tych zabiegów, które od wielu lat niepokoiły także i Rptę polską. król nasz Zygmunt III-i, napastowany w téj chwili przez Turków, poskromił ich pod Chocimem (1621). „Zwycięstwo chocimskie zapewniło krajom chrześciańskim bezpieczeństwo i wróciło im wolność szarpania się wzajemnego“. (Sa victoire „rendit á la republique chretienne la securité et la liberté de se dechirer elle même“). O. Józef począł też głosić, że z r. 1625 okoliczności nakazują, aby odtąd zawiesić stanowczo i odroczyć wszelkie projekty krucyat!

Sz. Szymonowicz jako filolog. Na posiedzeniu berlińskiéj Akademii umiej. 19 grudnia 1889 czytano rozprawę profesora uniwersytetu strasburskiego, E. Heitza, o rzekoméj metafizyce Herenniosa. Wbrew dotychczasowym uczonym, którzy ową metafizykę odnosili do VI wieku po Chrystusie, uważając ją za jeden z późniejszych wytworów szkoły nowoplatońskiéj, prof. Heitz dowodzi, że jestto nędzny falsyfikat, sporządzony dość bezczelnie

(„f r e c h“) dopiero w wieku XVI. Moglibyśmy więc i my pominąć tę sprawę milczeniem, gdyby nie to, że pierwszym wydawcą owéj metafizyki był nasz dzielny poeta Szymon Szymonowicz (Simonides), który ją przetłomaczył na język łaciński i wydał wraz z oryginałem greckim w Zamościu około r. 1604. Dwa egzemplarze tego wydania, nieznane nawet Estrejcherowi [1]), znajdują się w bibliotece Jagiellońskiéj i im. Ossolińskich; lecz szerszy świat uczonych europejskich o nich nie wiedział, a Herenniosa czytano głównie podług wydania, które w naszym wieku sporządził znany kardynał A. Mai (w IX tomie „autorów klasycznych“). Jak widać z rozprawy wzmiankowanego profesora, Szymonowicz przy redakcyi tekstu greckiego okazał w niektórych miejscach większą bystrość, aniżeli piszący w naszym wieku uczony kardynał. Domyśla się też prof. Heitz, że poeta nasz prawdopodobnie dlatego nie wykończył całkowicie swojego wydania i zaprzestał go drukować w większéj liczbie egzemplarzy, ponieważ się przekonał, iż ma do czynienia z falsyfikatem. Ciekawa praca Heitza mieści się w „Sitzungsberichte der kgl. preuss. Akad. d. Wissensch. zu Berlin T. LIII, str. 1167—1190.

M. R.

„R y s d z i e j ó w p o c z t i t e l e g r a f ó w“, pierwsze w piśmiennictwie polskiem dzieło o tym przedmiocie, napisał Walenty Ćwik (pseudon.) i wydał je nakładem Towarzystwa czynnéj pomocy c. k. urzędników pocztowych w Galicyi. Autor, korzystając z wielu prac w języku niemieckim i francuskim, przedstawił nadzwy-

---

[1]) F. M. Sobieszczański w Encyklop. powsz. Orgelbranda s. v. powołuje to dzieło Szymonowicza b. m. i r. dr. a twierdzenie prof. niemieckiego, jakoby prof. Estreicher nie znał go zupełnie upada wobec str. 111-a T-u 8-go „Bibliografii polskiéj“, gdzie jest wymienione pomiędzy dziełami, „Bez wyrażenia roku i nie wykrytemi“: „Herenius. Enarratio per Sim. Simonid.“ W bibliotece ordyn. Zamoyskiéj znajduje się kodeks grecki, w skórę oprawny— w formie wielkiego arkusza, zawierający kart 183—a obejmujący właśnie tego Hereniusza (str. 1 — 98) i Homilie Originesa. Rękopism ten z podpisem „Simonides“ ręką Szymonowicza był jego własnością, z niego uskutecznił też swoje tłómaczenie. W edycyi tego tłomaczenia (str. 1—160), drukowanego w 2 szpaltach (w jednéj tekst grecki, a obok tłom. łacińskie) nie ma karty tytułowéj i ostatniéj str. 161/162. Musiały także być jeszcze „Adnotationes“, bo je zapowiada Szymonowicz na str. 15. Z korespondencyi J. Zamoyskiego z Szymonowiczem można wnosić, że istotnie książka ta mogłaby być ogłoszoną w r 1604—i zapewne taki nieuszkodzony egzemplarz miał w ręku prof. Heitze. *Red.*

czaj zajmująco dzieje jednéj z najważniejszych instytucyi, odgrywającéj ogromną rolę w rozwoju cywilizacyjnym ludzkości, sięgającéj skromnemi początkami aż do zamierzchłéj starożytności, a tak olbrzymio rozwiniętéj w czasach najnowszych. Autor uwzględnił wszystkie narody, kraje i wieki, najobszerniéj zaś przedstawił rozwój poczt i telegrafów w Galicyi w bieżącem stuleciu.

Wyszedł z druku 2-gi zeszyt Buchalteryi Podwójnéj (włoskiéj) w opracowaniu dla samouków przez nauczyciela buchalteryi Gustawa Chwat'a i zawiera: określenie Debet'u i Credit'u, o inwentarzu, bilansie, otwarcie i księgach: kasie, memoryale i dzienniku. Tegoż autora w krótce opuści prasę Rachunkowość handlowa.

Zapowiedzianéj w końcu r. zeszłego „Wielkiéj Encyklopedyi powszechnéj ilustrowanéj", (nakład i druk S. Sikorskiego) wyszedł zeszyt I-szy, obejmujący arkuszy 9 druku (str. 72) z artykułami od litery *A.* do *Absorpsya.* Zeszyt pierwszy zaleca bardzo korzystnie wydawnictwo tak poważnych rozmiarów, bo pomijając już piękną stronę zewnętrzną (papier, druk, ilustracye), trzeba przyznać redakcyi staranność w obrobieniu pojedyńczych artykułów. Na podstawie 1-go zeszytu nie można wydawać sądu o naukowéj wartości przedsięwziętego wydawnictwa, któremu jak najlepszego powodzenia życzymy. Redakcya słusznie postąpiła, że nie uprzedzając postanowienia Akademii Um. w Krakowie co do ujednostajnienia pisowni, o które się u niéj z tylu stron dopominają, pozostała w zasadzie na stanowisku, zaleconém przez tyloletnią praktykę naszéj pięknéj literatury z epoki Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego.

Nekrologia.

Dnia 31-go stycznia r. b. umarł w Warszawie na chorobę serca **Jan Kryński**, utalentowany artysta—rzeźbiarz. Ś. p. Kryński urodził się w Warszawie 1850 r. i po odbyciu nauk szkolnych wyjechał do Petersburga, celem kształcenia się w tamtejszéj Akademii sztuk pięknych. Ukończywszy ją ze złotym medalem 1870 r., jako laureat, wysłany został kosztem rządu za granicę. Ze studyów artystycznych w Rzymie, Florencyi i Paryżu powrócił do Warszawy 1875 r. Z licznych dzieł tego pracowitogo artysty wymienić należy: pomniki Sobieskiego, Kraszewskiego, pastora Otto'na, oraz rzeźby na nowym froncie kościoła św. Aleksandra. Postać zmarłego Otto'na, w postawie stojącéj więcéj, niż naturalnéj wielkości, odlano z bronzu w odlewni, którą Kryński własnym kosztem i staraniem założył Jest to pierwsze podobnych rozmiarów dzieło, odlane z bronzu w pracowni miejscowéj. Ś. p. Jan odznaczał się nader wybitną działalnością na polu sztuki stosowanéj do przemysłu. Twórca nader licznych modelów dla zakładów jubilerskich, fabryk wyrobów platerowanych i t. d. położył ś. p. Jan niepospolite zasługi dla sztuki krajowéj. Cześć jego pamięci!

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca **J. K. Plebański.**

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

z roku 1890.

stron.

Poezya.

Wieża Eiffel. Wyjątek z poematu „Mefisto". Przez T. L. . 1

Krajoznawstwo.

Wzmianka o bibliotece ś. p. Juliana Biergiela, pastora w Słucku. (Opis charakterystycznych osobliwości, łączących się z miejscowościami, które, jadąc do Słucka, spotykamy. — Sadyba Ciepleń. — Mikołka. — Dołhinicze (Czeczotów). — Pereszew. — Pereszewska Słoboda. — Przewoz. — Starzyca. — Hrozowo. — Koniuchy. — Kopyle. — Chrzanów. — Uszałowicze. — Siołko. Wzmianka o zakładzie wychowawczym p. Heleny Kowalnickiéj. — Słuck. Opis miasta z rzutem oka na jego dzieje. — Dynastya Olelkowiczów. — Cerkiew w Trojczanach. — Grobowiec jenerała Kreczetnikowa. — Grobowiec Zofii z Olelkowiczów Radziwiłłowéj. Ciekawe o niéj wspomnienie. — Słuck za Radziwiłłów. Widoczne chylenie się miasta ku upadkowi. — Biblioteka J. Biergiela. — Szkoły słuckie. — Leopold Wannowski. — Fara słucka. — Hieronim ks. Radziwiłł. — Ks. Stanisław Szantyr, eks-jezuita). Podał Aleksander Jelski. 7, 222

Powieść.

Z depeszą. Opowiadanie starego kapitana. Przez Kajetana Kraszewskiego. 28

Z krwawych dni. Nowela. Przez K. G. 250

stron.

Sprawy społeczne.

O miastach i mieszczaństwie w Królestwie Polskiém. (c. d). 41, 239, 385
Najstarszy dom poprawy w Warszawie. Przez Z. Z. 214

Historya literatury.

Zarysy ruchu literackiego Słoweńców. Przez Piotra Miklawca. 64

Ekonomika.

Konkurencya amerykańsko-europejska w handlu zbożowym. Przez C. R. 114
O drogach bocznych. 420

Kronika zagraniczna.

Kronika wiedeńska.—Architektura.—Muzea cesarskie.—Weilen. Hamerling.—Teatr ludowy.—Anzengruber.—Skandal literacki.—P. Orth. 86
Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. „Lelewel w Brukselli“ przez Henryka Merzbacha.—„Pater“ (Ojcze nasz!) dramat Franciszka Coppée.—„Joanna d'Arc“, mysterjum Juliusza Barbier z muzyką Gounoda.—„Pamiętniki Talleyranda“.—„Kwiaty zimowe“, przez Ernesta Legouvé. 268

Historya.

Wojna Rzeczypospolitéj polskiéj z Turcyą w latach 1672 i 1673-im. Upadek Kamieńca. (Z mapą warowni Kamienieckiéj z r. 1672 o i Planem obozu pod Chocimem). — Pogrom Tatarów. (Z mapką do wojny Polski z Turcyą w latach 1672 i 1673).—Przez Konstantego Górskiego. 163, 367

Odkrycia i podróże.

Stanley i Emin. Przez Eugeniusza Lipnickiego. 184
Serpa Pinto. (Przyczynek do dziejów kolonizacyi w Afryce). Przez Eugeniusza Lipnickiego. . . . . .

stron.

Filozofia.

O konieczności odróżniania uczuć wyższych od niższych. (Studyum psychologiczne). Napisał Zdzisław Dębski. 323

Archeologia i przemysł.

Wystawa sztuki starożytnéj i nowożytnéj stosowanéj do przemysłu, urządzona w Muzeum rolnictwa i przemysłu w Warszawie 1889-o. Opisał Tadeusz Dowgird. 356

Piśmiennictwo krajowe i zagraniczne.

„Prawa, konstytucye i przywileje Królestwa polskiego, w. ks. litewskiego i wszystkich prowincyi należących, na walnych sejmach koronnych od sejmu wiślickiego roku pańskiego 1347, aż do ostatniego sejmu uchwalone.“ — Volumina Legum Volumen (IX) nonum ab anno 1782 ad annum 1792 Acta Reipublicae continens. Wydawnictwo Komisyi prawniczéj Akademii Umiejętności w Krakowie (Z funduszu ś. p. Ks. Adama Jakubowskiego). Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności 1889, 8-o m. str. 503. Przez J. K. Plebańskiego. 123

„Poezye J. I. Kraszewskiego“. Lwów 1888. Przez Bronisława Bieńkowskiego. 132

„Podręcznik metryki łacińskiéj i greckiéj do użytku szkolnego“ Ułożył Marcin Sas. Kraków. Nakładem autora. 1889. str. 39. Przez M. Rowińskiego. 137

Połączenie Rusi Czerwonéj z Polską przez Kazimierza Wielkiego. Napisał Kazimierz J. Górzycki. Lwów, nakładem Drukarni polskiéj 1889. Przez Dr. Zygmunta Lisiewicza. 293

Dr. Witold Załęski. Zasady Ekonomiki (nauki gospodarstwa narodowego). Dzieło wydane z zapomogi kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém imienia Dr. Józefa Mianowskiego. Warszawa 1889 r. str. 389. Przez J. K. Dworzaczka. 298

Deotyma. Branki w jasyrze. Tom I—III. Warsz. Nakł. i druk S. Lewentala, 1889. 8-o w. str. 213, II; 422 i II; 448, II i 1 nl. z ilustracyami E. M. Andriollego. Przez J. K. Dworzaczka. 427

Rodziewiczówna Marya. „Kwiat Lotosu“, powieść. Warszawa. Nakł. i druk S. Lewentala, 1889. 8-o min. str. 320. Przez J. K. Dworzaczka. 438

„Kwestya mieszkań“. Napisał Adolf Suligowski. Warazawa 1889 r. 8-o m. str. 86, 2 nl. 445

Kronika miesięczna.

Styczeń. — Pokojowe widoki na polu stosunków międzynarodowych. — Przyjazne zbliżenie Rosyi z Niemcami. — Rzpta francuzka umacnia instytucye republikańskie. — Anormalne stosunki na półwyspie bałkańskim. — Wpływ ligi „pokojowéj“ środkowo-europejskiéj na sprawy międzynarodowe: reminiscencye św. przymierza. — Stosunek polityki wewnętrznéj do kierunku polityki międzynarodowéj. — Nowa próba gabinetu hr. Taaffe'ego wytworzenia pożądanego modus vivendi między Niemcami a Czechami w królestwie Św. Wacława. — Nieprzyjazne postępki rządu włoskiego względem interesów kościoła. Groźba bankructwa finansowego we Włoszech. — Zatarg angielsko-portugalski w Afryce. — Przeciwności na kongresie antiniewolniczym w Brukselli. — Projekt E. Laveley'a. — Niepewność co do rozwoju stosuków w Rzpté brazylijskiéj. — Konkurs imienia ś. p. Kuryerowa, rozstrzygnięty na korzyść dzieła p. Piotra Chmielowskiego p. tyt. „J. I. Kraszewski. Zarys literacko-biograficzny“. — Stała wystawa prób i wzorów towarów eksportowych w Muzeum przemysłu i handlu w Warszawie. — Posiedzenie wydziału matematycznego Akad. Um. w Krakowie. — Posiedzenie komisyi antropologicznéj Akad. w Krakowie d. 6-go grudnia. — Odezwa drugiego Zjazdu historyków polskich do Lwowa. — Odezwa komisyi, wybranéj z grona drugiego Zjazdu prawników i ekonomistów polskich we Lwowie dla zbadania kwestyi emigracyi. — Ruch polskiéj własności ziemskiéj podług „Wileńskiego Wiestnika“ w gubernii wileńskiéj, grodzieńskiéj i kowieńskiéj oraz obraz stosunków agrarnych w gub. mińskiéj i podolskiéj. — Z archeologii: Wykopaliska w okolicach Gdańska, — pod Grimlingshausen w Niemczech, w starożytnéj Babilonii. 140

Luty. — Rzut oka na ważniejsze wypadki polityki międzynarodowéj. — Zatarg angielsko-portugalski. — Polityka finansowa rządu bułgarskiego wobec dyplomacyi europejskiéj. — Fizyognomia republiki francuzkiéj. — Budząca się opozycya reprezentatów narodu w sejmie niemieckim. — Ugoda Czechów z Niemcami o konstytucyjny modus vivendi obydwóch narodowości w granicach korony Św. Wacława. — Czeska Akademia Umiejętności w Pradze. — Włochy nieustające w walce z Kościołem katolickim: ustawa o fundacyach dobroczynnych. — Uniwersytety katolickie w państwach protestanckich. — Rosya zajęta sprawami wewnętrznemi: sprawa finansów, wojskowości, szkół. — Ósmy zjazd naturalistów i lekarzy w Petersburgu. — Zjazd w sprawie szkół technicznych i professyonalnych. — Uniwersytet Warszawski. Temata konkursowe na wydziale prawnym. — Objaśnienie ogłoszonego przez uniwersytet tematu konkursowego z zapisu Ad. Chojnackiego („Warunki urodzajności roli“). — Posiedzenie Wydziału historyczno-filoz. Akad. Um. w Krakowie. — Posiedzenie Wydziału filologicznego tejże Akademii. — Walne zebranie Tow. Mickiewiczowskiego we Lwowie. — Sprawa ujednostajnienia pisowni polskiéj. — Wystawa konkursowa architektury, zapowiedziana przez Komitet Tow. Zach. Sztuk pięknych w Warsza-

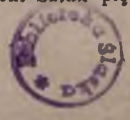

stron.

wie na styczeń 1891-o r.—Likwidacya Spółki sprzedaży owoców w Warszawie. 307

Marzec.—Wystąpienie cesarza Wilhelma II go z projektem reformy stosunków ekonomiczno-socyalnych. Reskrypty cesarskie z dn. 5 lutego r. b. a) do ks. Bismarcka, b) do bar. Berlepscha, ministra handlu, robót publicznych i przemysłu. Pogląd na ogólne znaczenie wystąpienia cesarskiego.—Zagajenie przez Wilhelma II posiedzeń pruskiéj „Rady Stanu“ (dn. 14 lutego), zwołanéj dla wypracowania szczegółowego programu wprowadzenia w wykonanie zamiarów cesarskich.— Przygotowania dyplomatyczne do zwołania konferencyi międzynarodowéj do Berlina.—Spisek bułgarskiego majora Panicy w celu wywrócenia rządów ks. Ferdynanda Koburskiego w Bułgaryi.—Wystąpienie Filipa ks. Orleańskiego jako „rekruta“ do wojska republikańskiego. — Ponowny wybór bulanżystów przez m. Paryż. — Nowe wybory do parlamentu rzeszy niemieckiéj: porażka na całéj linii dotychczasowéj większości bismarckowskiéj.—Sprawozdanie komisyi kolonizacyjnéj za r. 1889 z operacyi zakupna i parcelacyi dóbr polskich w W. Ks. Poznańskiém i Prusach Zachodnich.—Posiedzenie Akad. Nauk w Petersburgu dn. 33 stycznia r. b.—Posiedzenie publiczne nowo założonego Towarzystwa historycznego przy uniwersytecie petersburskim.—Przepisy egzaminacyjne dla nauczycieli szkół powiatowych oraz nauczycieli i nauczycielek szkół domowych, elementarnych i początkowych.—Widoki reorganizacyi szkół gimnazyalnych. — Posiedzenie komisyi historyi sztuki w Akad. Um. w Krakowie dn. 3 grudnia 1889 r.—Posiedzenie komisyi historycznéj Akad. Um. w Krakowie dn. 6 grudnia 1889 r.—Posiedzenie Wydziału histor. filoz. dn. 16 grudnia.—Posiedzenie komisyi histor. Akad. Um. dn. 28 grudnia 1889 r —Posiedzenie komisyi historyi sztuki dn. 4 stycznia 1890 r.—Posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego Akad. Um. w lutym r. b.—Ziazd gospodarczy w Toruniu.—Spis referatów, zapowiedzianych na II gi zjazd historyków polskich we Lwowie przy odezwie Komitetu o wczesne zgłaszanie się z udziałem.—Walne zebranie Towarzystwa Tatrzańskiego w Krakowie dn. 2 lutego 1890 r.—Odezwy Komitetu Tow. Zachęty Sztuk Pięknych w Król. Polskiem: konkurs malarski im. prof. Wojciecha Gersona i stypendyum z zapisu ś. p. Ign. Ciszewskiego dla uczniów sztuki rzeźbiarskiéj.—Archeologia: Wykopaliska w Galilei w Palestynie. 452

Wiadomości bibliograficzne.

Styczeń. — Stein „Les travaux bibliographiques de 1878 — 1888. — Katalog rękop. greckich we wrocławskiéj bibliot. miejskiéj. — J. Korzeniowski „Katalog dokumentów do historyi polskiéj“ z bibliotek włoskich (155). —Katalog bibliot. uniwers. peszteńskiego.—„Zapiski archeologiczne Tow. Prz. N. Poznańskiego“ zesz 5-ty.—Łuczkiewicz „Dwie księgi Hippokratesa“ (156).— J. Kowalczyk „Bieg ciał niebieskich“. — D. Wierzbicki „J. Heweliusz“; „Herkules Dembowski“.—J. Nep. Franke

strona.

„Mechanika teoretyczna“ —M. Baraniecki „Ks. T. Kłosa Algorithmus“. J. K. Plebański „Geografia, jéj znaczenie w szkole i literaturze“ (157). S. Dickstein „Geometrya elementarna“.—„Prace matematyczne“ T. II, zesz. 1-szy.— Dr. Ferd. Źródłowski „Reforma szkół w Austryi“ (158). Łuczakowski „Nauka języka niemieckiego w szkołach galicyjskich“.— Fr. Pietzker i P. Treutlin „Natłok młodzieży do zawodów naukowych. — Fr. Paulsen „Gimnazyum realne i wykształcenie humanistyczne“ (159).—Fr. Pietzker „Humanizm i zadanie szkoły“. — A. J. Wiśniakowski „Kolorowane tablice do nauki o rzeczach“.—„Rocznik Tow. Przyj. Nauk Poznańskiego“ T. XVI.—E. T. Breiter „Bartosz z Wissemburga“.—Ks. Pierling „Papes et tzars 1547— 1597“.—G. Juritsch „Otto I, apostoł Pomorza“. — G. Froehlich „Biskupstwo Chełmińskie i Zakon Niemiecki“. —„Słownik geograficzny“ zesz. 119. 161

Luty. — Archiwum konsystorskie w Wilnie. — Archiwum lubelskie przewiezione do Wilna i wcielone do tamtejszego Archiwum akt starożytnych. — W. Czermak „O archiwach galicyjskich“. — Ks. A. Arndt S. J. „O bibliotece pisarzów jezuickich“. — „Zbiór dokumentów histor. z XVI-go do końca XVIII-go wieku“ E. Korwin-Piotrowskiego złożony w bibliotece Jagiellońskiéj. — Dokumenta do historyi Rumunii z bibliotek polskich, zebrane staraniem Akad. rumuńskiéj, przygotowane do druku przez p. Józefa Skupiewskiego.—„Ekonomista Polski“ z „Tygodnikiem ekonomicznym“ Lwów. 1890. Zesz. 1. 318

Marzec.—„Review of Reviews“ (Przegląd przeglądów).— Międzynarodowe czasopismo etnograficzne „Folklore“ wyd. w Peszcie. — Podania białoruskie zebrał Wład. Weryho, wyd. J. Karłowicz.—Przyczynek do historyi klęski Władysława Warneńczyka (r. 1444).—B. Fagniez „Le Pere Joseph et Richelieu—le projet de croisade 1616—1625“.— Sz. Szymonowicz, jako filolog. — Walenty Ćwik (pseudon.) „Rys dziejów poczt i telegrafów“. Lwów 1890. — Gustaw Chwat „Buchalteryi podwójnéj (włoskiéj) zesz. 2.—Wielka encyklopedya powszechna ilustrowana S. Sikorskiego. Warszawa 1890. Zesz. I. 469

Nekrologia.

Ś. p. Władysław Wiślicki.—Ś. p. hr. Tomasz Ordynat Zamoyski. (str. 162). — Ś. p. Władysław Taczanowski. (str. 322). — Ś. p. Jan Kryński. 476

Ogłoszenia.

Prospekt „Biblioteki Warszawskiéj“ na rok 1890. — „Kraj“ wraz z „Przeglądem literackim“

Biblioteka Śląska